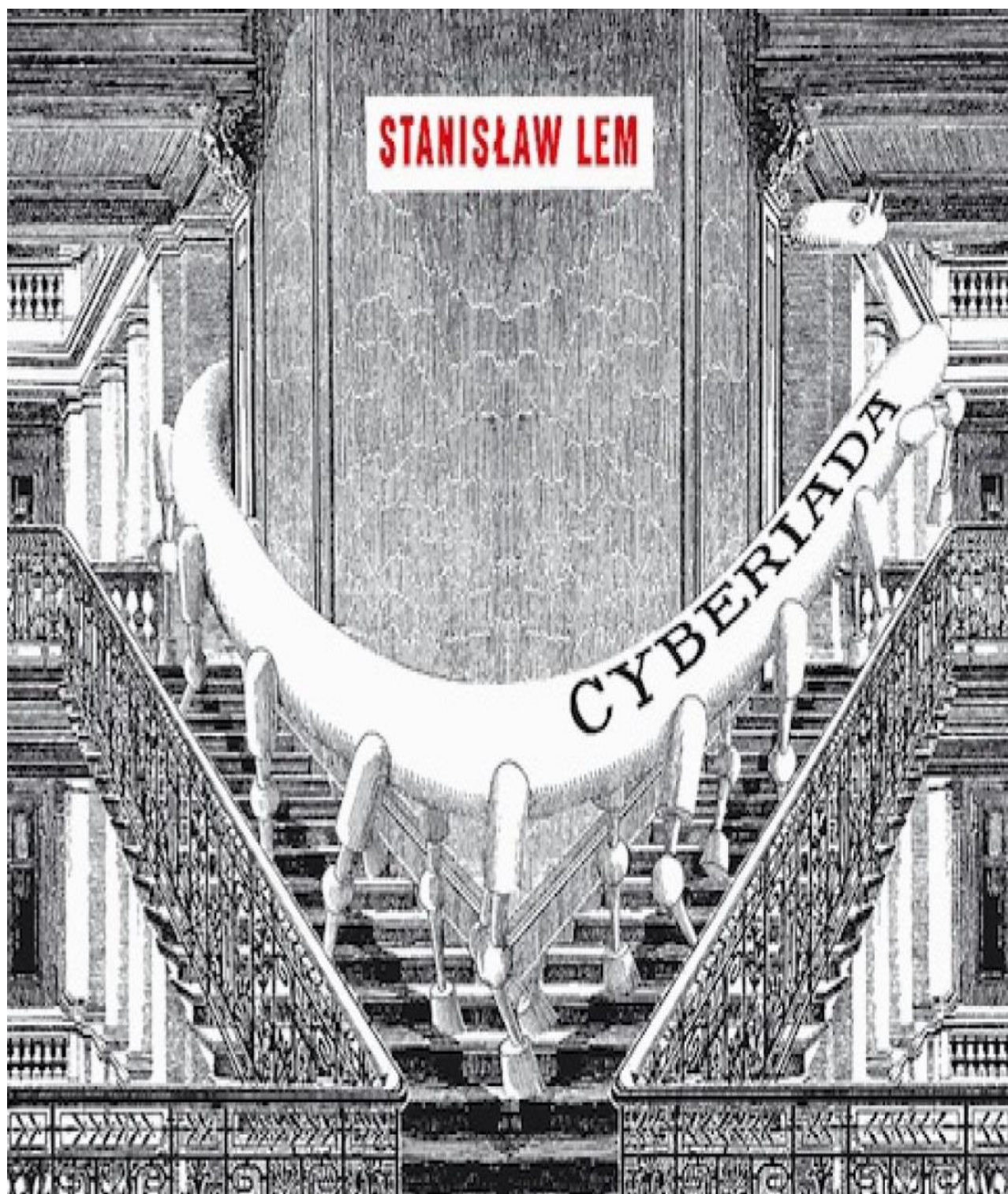


Stanisław Lem "Cyberiada"



Spis treści

Z DZIEŁA CYFROTIKON, CZYLI O DEWIJACYACH, SUPERFIKSACYACH A WARYJACYACH SERDECZNYCH

O królewiczu Ferrycym i królewnie Krystali

Jak ocalał świat

Maszyna Turla

Wielkie lanie

SIEDEM WYPRAW TRURLA I KLAPAUJCJUSZA

Wyprawa pierwsza, czyli pułapka Gargancjana

Wyprawa pierwsza A, czyli Eektrybałt Turla

Wyprawa druga, czyli oferta króla Okrucyusza

Wyprawa trzecia, czyli smoki prawdopodobieństwa

Wyprawa czwarta, czyli o tym, jak Trurl kobietron zastosował, królewicza Pantarktyka od mąk miłosnych chcąc zbawić, i jak potem do użycia dzieciomiotu przyszło

Wyprawa piąta, czyli o figlach króla Baleryona

Wyprawa piąta A, czyli konsultacja Turla

Wyprawa szósta, czyli jak Trurl i Klapaucjusz demona drugiego rodzaju stworzyli, aby zbójcę Gębona pokonać

Wyprawa siódma, czyli o tym, jak własna doskonałość Turla do złego przywiodła Bajka o

trzech maszynach opowiadających króla Genialona Altruizyna czyli opowieść prawdziwa o

tym, jak pustelnik Dobrycy kosmos uszczęśliwić zapragnął i co z tego wynikło Kobyszcze

Edukacja Cyfrania

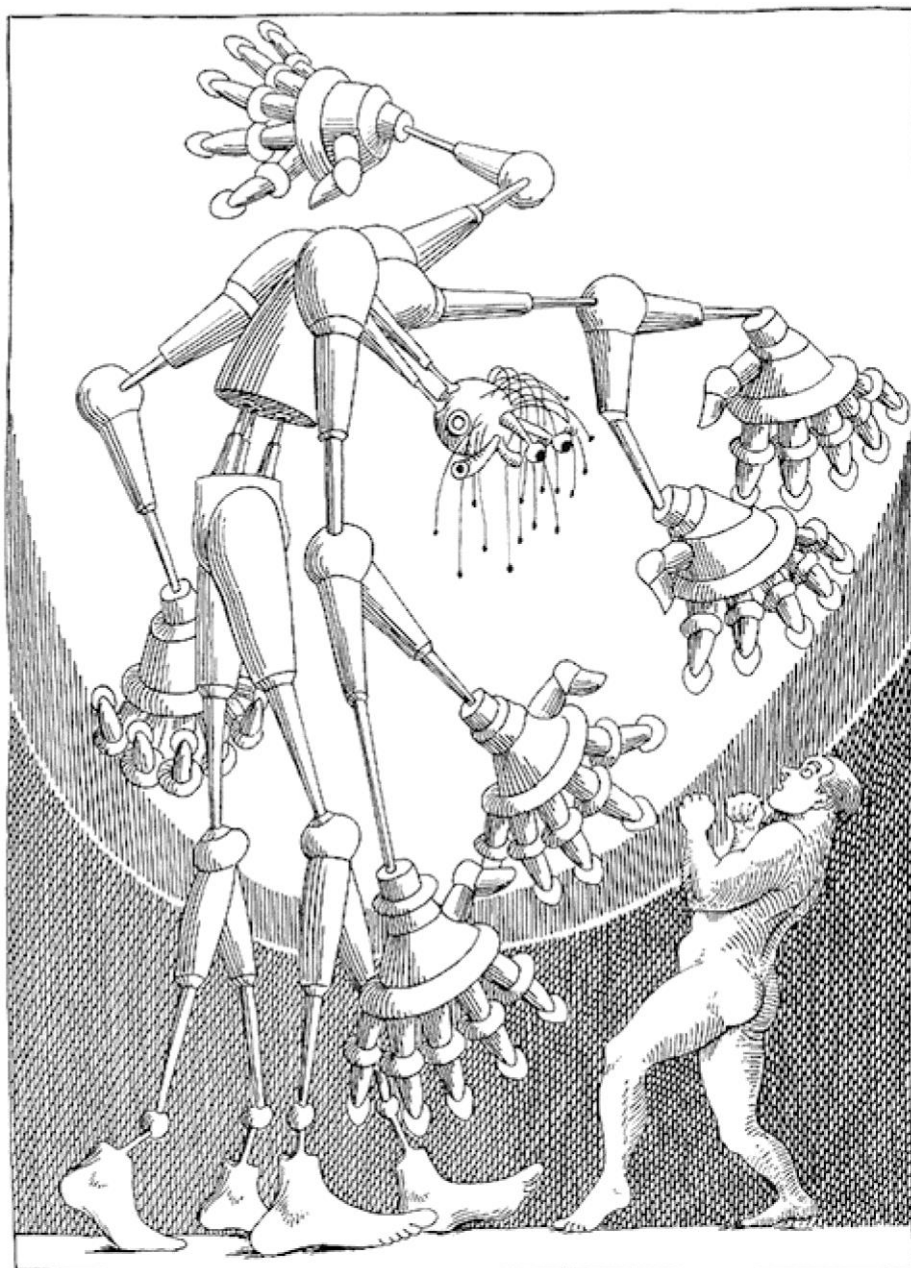
Opowieść pierwszego odmroźca

Opowieść drugiego odmroźca Powtórka

GALERIA RYSUNKÓW DANIELA MROZA



Z DZIEŁA CYFROTIKON, CZYLI O DEWIJACYACH, SUPERFIKSACYACH A WARYJACYACH SERDECZNYCH



O KRÓLEWICZU FERRYCYM I KRÓLEWNIE KRYSTALI

Król Panceryk miał córkę, której piękno przewyższało blask klejnotów koronnych; ognie, odbijające się od jej lic lustrzanych, zaćmiewały umysł i oczy, a kiedy przechodziła, to nawet ze zwyczajnego żelaza sypały się iskry elektryczne; wieść o niej sięgała najdalszych gwiazd. Usłyszał o niej Ferrycy, następca tronu jonidzkiego, i zapragnął połączyć się z nią na wieki, tak aby ich wejść i wyjść nic już nie mogło rozdzielić. Gdy wyjawiał to swemu rodzicowi, ów wielce się zasmucił i rzekł:

- Synu mój, zaiste szalony powziąłeś zamiar, nie spełni się on nigdy!

- Dlaczego, królu i panie? - spytał Ferrycy, zatrwożony tymi słowami.

- Czy nie wiesz o tym - rzekł król - że królowna Krystala ślubowała nie połączyć się z nikim innym, jak tylko z bladawcem?

- Bladawiec! - zawołał Ferrycy. - A cóż to mi takiego? Nie słyszałem jeszcze o takiej istocie!

- W tym właśnie twoja niewinność, synu - odparł król. - Wiedz, że ta rasa Galaktyki zrodziła się w sposób tyleż tajemny, co wszeteczny, a to kiedy doszło do ogólnego nadpsucia ciał niebieskich; powstały w nich wówczas opary i odwary mokro-zimne i z nich ułagł się ród bladawców, ale nie od razu. Najpierw byli pleśnieniem i pełzaniem, potem przelali się z oceanu na ląd, żyjąc z wzajemnego się pożerania; a im więcej się pożerali, tym więcej ich było, nareszcie wyprostowali się, pozawieszawszy lepka treść swą na wapiennych rusztowaniach, i pobudowali maszyny. Z tych pramaszyn powstały maszyny rozumne, które spłodziły maszyny mądre, które wymyśliły maszyny doskonałe; albowiem zarówno atom, jak i Galaktyka są maszyną, i nie ma nic oprócz maszyny, która jest wieczna!

- Amen! - odparł Ferrycy machinalnie, była to bowiem zwykła formułka religijna.

- Ród bladawców-zakalcytów wzbił się wreszcie na maszynach w niebo - ciągnął sędziwy król - poniewierając szlachetne metale, znęcając się nad słodką elektrycznością i deprawując energię jądrową. Wszelako stało się, że wypełniła się miara ich występków, co pojął dogłębnie i wszechstronnie praojciec rodu naszego, wielki

Kalkulator Genetoforius; tedy jał przedkładać owym śliskim tyranom, jak

bardzo haniebnie jest ich postępowanie, gdy brukają niewinność mądrości krystalicznej, zaprzęgając ją do swych nikczemnych zadań, kiedy niewolą maszyny gwoli swym chuciom - lecz nie znalazł posłuchu. On im mówił o etyce, a oni mówili, że jest źle zaprogramowany. Wówczas praojciec nasz stworzył algorytm elektrowcielenia i w wielkim trudzie spłodził nasze plemię, wywiódłszy tym obrotem rzeczy maszyny z domu niewoli bladawczej. Rozumiesz przeto, synu, że nie ma zgody ani związku między nami a nimi; my działamy, dźwięcząc, iskrząc i promieniując, a oni bełkocąc, pluszcząc i zanieczyszczając. Wszelako nawet u nas zdarza się szaleństwo; weszło ono za młodu w umysł Krystali i zaciemniło jej rozeznanie między dobrem a złem. Odtąd każdego, kto ubiega się o jej dłoń promieniotwórczą, nie dopuszcza przed swoje oblicze, chyba że powiada się bladawcem. Takiego przyjmuje w pałacu, który podarował jej rodzic, król Aurancjusz, i bada prawdę jego słów, a jeśli wykryje kłamstwo, każe ściąć zalotnika. Przyziemie jej pałacu otaczają stosy pogruchotanych szczątków, których sam widok przyprawić może o zwarcie z niebytem, tak okrutnie poczyną sobie ta szalona ze śmiałkami, którzy o niej marzą. Poniechaj tedy swej myśli, synu, i odejdz w pokoju.

Królewicz oddał należny pokłon swemu panu i ojcu, za czym oddalił się, milcząc, lecz myśl o Krystali nie opuściła go i im dłużej o niej myślał, tym bardziej jej pragnął. Pewnego dnia wezwał do siebie Polifazego, który był Wielkim Strojczym Koronnym, i ukazawszy mu żar swego serca, rzekł:

- Mędrcze! Jeśli ty mi nie pomożesz, nie uczyni tego nikt, a wówczas policzone są moje dni, bo nie raduje mnie już ani blask emisji podczerwonych, ani ultrafiolet baletów kosmicznych, i zginę, jeśli się nie sprzęgnę z cudną Krystalą!

- Królewiczu - odparł Polifazy - nie odmówię twemu żądaniu, ale musisz je wymówić po trzykroć, abym wiedział, że taka jest twoja niezłomna wola.

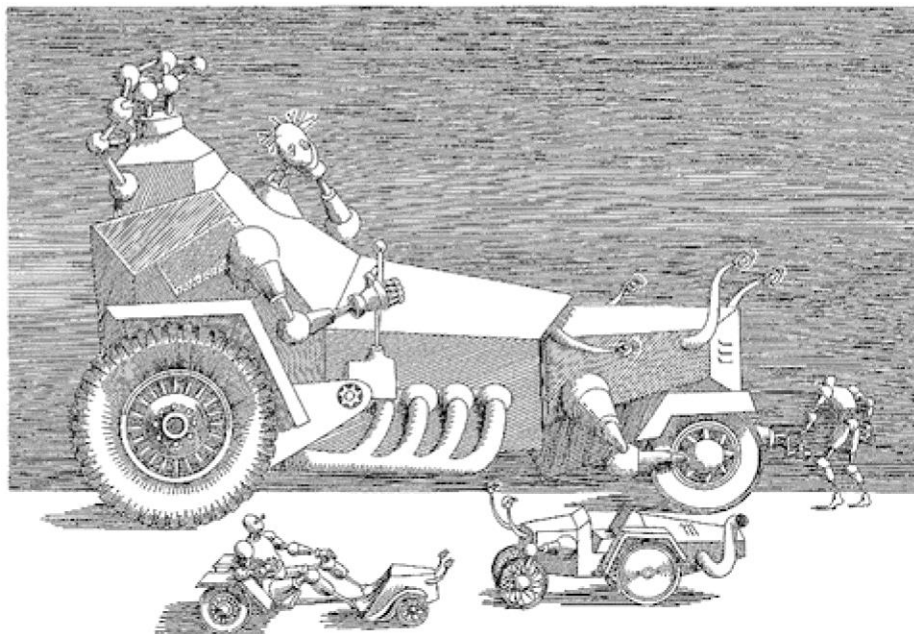
Ferrycy powtórzył swe słowa trzy razy, a Polifazy rzekł wtedy:

- Panie mój, nie ma innego sposobu, aby stanąć przed królową, jak tylko w przebraniu bladawca!

- Więc uczyni tak, abym był jak on! - zawołał Ferrycy. Polifazy, widząc, że miłość oślepiła rozum młodzieńca, uderzył przed nim czołem i udał się do swego laboratorium, gdzie jął przyrządzać i warzyć kleje kleiste i ciecze ciekliwe. Potem posłał sługę do pałacu królewskiego, mówiąc mu:

- Niech królewicz przyjdzie do mnie, jeśli nie odmienił się jego

zamiar.



Ferrycy przybieżał natychmiast. Mędrzec Polifazy namazał jego hartowne ciało błotem i spytał:

- Mamże dalej tak czynić, o, królewiczu?
- Czyn swoje! - rzekł mu Ferrycy.

Wziął wówczas mędrzec wielki gneciuch, a był to osad olejowych nieczystości, kurzu zastałego i lepkich smarów, dobyte z wnętrzości najstarszych maszyn, i zanieczyścił nim pierś sklepioną królewicza, i oblepiał paskudnie jego twarz błyszczącą i jego czoło lśniące, a czynił to tak długo, aż wszystkie członki przestały wydawać miły dźwięk i stały się podobne do wysychającej kałuży. Wówczas wziął mędrzec kredy, roztlukł ją, zmieszał z rubinem sproszkowanym i z żółtym olejem i uczynił z niej drugiego gneciucha; za czym oblepiał Ferrycego od stóp do głów, przydając jego oczom obmierzłej wilgotności, i uczynił jego tors poduszkowatym, bomblastymi policzki, i przyprawił mu uczynione z kredowego ciasta wisiorki i frędzelki tu i tam, na koniec zaś umocował na jego głowie rycerskiej kępę włosów koloru zjadliwej rdzy i poprowadziwszy go przed srebrne zwierciadło, powiedział:

- Patrz!

Spojrzał w taflę Ferrycy i zadrżał, zobaczył w niej bowiem nie siebie, lecz zmore-potworę, jakby wykapanego bladawca, o spojrzeniu zawilgłym jak stara pajęczyna na deszczu, obwisłego tu i tam, z rdzawym kłakiem na głowie, ciastowatego i przyprawiającego o mdłości; a kiedy poruszył się, ciało jego trząsało się jak zjełczała galareta, aż zawołał, drżąc z

obrzydzenia:

- Mędrcze, czyś oszalał? Zedrzyj ze mnie natychmiast błoto spodnie - ciemne i wierzchnie - blade, jak również ów rdzawy porost, jakim skalaleś moją dzwonną głowę, albowiem znienawidzi mnie królowna na wieki, jeśli zobaczy mnie w tak hańbiącej postaci!

- Mylisz się, królewiczu - odparł Polifazy. - Na tym właśnie zasadza się jej szaleństwo, że ohyda widzi się jej pięknnością, a pięknność - ohydą. Tylko w tej postaci możesz ujrzeć Krystalę...

- Niech więc tak będzie! - rzekł Ferrycy.

Mędrzec zmieszał cynober z rtęcią i napełnił tym cztery pęcherze, które ukrył pod szatą królewicza. Wziął miechy, napełnił je zgniłym powietrzem ze starego lochu i schował na piersi królewicza; nalał wody trującej, czystej, do szklanych rurek, których było sześć; dwie włożył mu pod pachy, dwie do rękawów, dwie do oczu, wreszcie odezwał się:

- Słuchaj i zapamiętaj wszystko, co ci powiem, inaczej zginiesz. Królowna wystawi cię na próby, aby zgłębić prawdziwość twych słów. Jeśli wyciągnie nagi miecz i każe ci, byś go ujął, tajemnie ściśniesz pęcherz cynobrowy, aby wyciekła zeń czerwień i połała się na ostrze, a gdy cię królowna spyta, co to jest, odpowiedz: „Krew!”. Potem królowna zbliży swoją twarz, podobną do srebrnej misy, do twojej twarzy, a ty naciśniesz pierś, aby wyszło powietrze z miechów; spyta cię, co to za powiew, a ty odpowiesz: „Dech!”. Wówczas uda królowna wielką złość i każe cię ściąć. Pochylisz wtedy głowę, niby w pokorze, i woda wycieknie ci z oczu, a gdy spyta cię, co to jest, odpowiesz: „Łzy!”. Być może, iż wtedy zgodzi się z tobą połączyć, wszelako nie jest to pewne; pewniejsze jest, że zginiesz.

- O, mędrcze! - zawołał Ferrycy. - A jeśli weźmie mnie na spytki i będzie chciała wiedzieć, jakie są obyczaje bladawców, jak powstają, jak miłują się i jak bytują, w jaki sposób jej odpowiem?

- Zaiste, nie ma innej rady - odparł Polifazy - jak tylko połączyć twój los z moim losem. Przebioreę się za przekupnia z innej galaktyki, najlepiej z niespiralnej, gdyż tacy bywają opaśli, a ja muszę ukryć pod mymi szatami mnóstwo ksiąg, w których zawarta jest wiedza o straszliwych obyczajach bladawców. Nie mógłbym cię jej nauczyć, choćbym chciał, gdyż wiedza o nich jest przeciwna naturze: wszystko bowiem robią na odwrót, w sposób lepki, przykry i tak nieapetyczny, jak tylko można sobie wyobrazić. Spiszę potrzebne dzieła, a ty każ, aby ci krawiec dworski z wszelkich włókien i plecionek skroił strój bladawczy, gdyż wyruszymy niebawem. A gdziekolwiek udamy się, nie opuszczę cię, abyś

wiedział, co masz czynić i mówić.

Uradował się Ferrycy i dał sobie skroić szaty bladawcze, dziwiąc się im wielce; zakrywały bowiem prawie całe ciało, tu ukształcone w rodzaj rurociągów, tam spajane guzami, haczykami, klapkami i sznureczkami; musiał mu krawiec umyślną sporządzić instrukcję, a sporą, co i jak najpierw trzeba wdziwać, gdzie i co do czego przypiąć, i jak z siebie wszystkie owe sukienne i materialne chomąta zdejmować, gdy nadejdzie pora.

Mędrzec zaś nałożył szaty przekupnia, porozwieszał w nich ukradkiem grube dzieła uczone, traktujące o bladawczych praktykach, kazał ze sztab żelaznych uczynić klatkę, na sześć sążni wzdłuż i wszerz, zamknął w niej Ferrycego, i wyruszyli we dwóch próżniopławem królewskim. Gdy zaś dotarli do granic Aurancjuszowego królestwa, mędrzec w przebraniu przekupnia ruszył na targ miejski i obwieszczał wielkim głosem, iż przywiózł z dalekich stron młodego bladawca, aby go kupił, kto zechce. Sługi królowy zanosły jej tę wieść, a ona zdumiała się i rzekła do nich:

- Zaprawdę, musi to być jakieś wielkie szalbierstwo, ale nie oszuka mnie ów przekupień, gdyż nikt nie wie o bladawcach tego, co ja wiem. Nakażcie mu, aby przyszedł do pałacu i pokazał onego!

Zawiedli słudzy przekupnia przed oblicze Krystali; ujrzała godnego starca i klatkę, którą wnieśli jego niewolnicy; w klatce siedział bladawiec, twarz jego była koloru kredy zmieszanej z pirytem, oczy jak wilgotna pleśń, a członki jak błoto turlane tu i tam. A Ferrycy spojrzął na królową i zobaczył jej twarz, która zdawała się dźwięczeć, oczy jaśniejące jak ciche wyładowania, i powiększyło się zaraz szaleństwo jego serca.

Doprawdy, ten mi wygląda na bladawca! - pomyślała królowa, lecz głośno rzekła:

- Zaiste, musiałeś się natrudzić, starcze, nim ulepiłeś z błota taką kukłę i natarłeś ją wapiennym kurzem, aby mnie podejść, lecz wiedz, że znam wszystkie tajniki rodu potężnych bladawców i gdy obnażę twoje oszustwo, każę ściąć ciebie i tego samozwańca!

Mędrzec odparł:

- Królowno Krystalo, ten, którego widzisz w klatce, jest tak prawdziwy, jak tylko może nim być bladawiec; nabyłem go za pięć tysięcy hektarów pola jądrowego od piratów gwiazdnych i, jeśli taka będzie twoja wola, ofiaruję ci go, albowiem nie mam innego życzenia, jak tylko uradować twoje serce!

Królewna kazała podać sobie miecz i wetknęła go do klatki poprzez kraty. Królewicz chwycił ostrze i zaciął nim szatę swoją, aż rozpruł się pęcherz i polał się cynober na miecz i splamił go czerwienią.

- Co to jest? - spytała królewna, a Ferrycy odparł:

- Krew!

Wówczas królewna kazała otworzyć klatkę, weszła do niej śmiało i zbliżyła swą twarz do twarzy Ferrycego; bliskość jej oblicza zmała mu rozum, lecz mędrzec dał z dala tajny znak i królewicz nacisnął miechy; wyszło z nich zgniłe powietrze, a gdy królewna spytała: - Co to za wiew? - Ferrycy odparł:

- Dech!

- Zaprawdę, jesteś wcale zręcznym sztukmistrzem - rzekła królewna do przekupnia, wychodząc z klatki - lecz oszukałeś mnie, zginiesz przeto ty i kukła twoja!

Wtedy mędrzec opuścił głowę, jakby w wielkim przerażeniu i żalu, a gdy to samo uczynił królewicz, z oczu jego popłynęły przejrzyste krople. Królewna spytała:

- Co to jest? Ferrycy zaś odparł:

- Łzy!

I rzekła:

- Jak się zwiesz, ty, który mienisz się bladawcem z dalekich stron?

- O, królewno, nazywam się Myamlak i niczego bardziej nie pragnę, jak połączyć się z tobą w sposób rozlewny, miękki, ciastowaty i wodnisty, jako to jest obyczajem plemienia mego - odparł Ferrycy, gdyż takich słów wyuczył go mędrzec. - Dałem się chwycić piratom umyślnie i uprosiłem ich, aby mię sprzedali temu przekupniowi, bo zmierzał do twego państwa. Pełen jestem przeto wdzięczności dla jego blaszanej osoby, że przyprowadził mnie tutaj: albowiem jestem pełen miłości ku tobie, jak kałuża pełna jest błota.

Zdumiała się królewna, albowiem naprawdę przemawiał sposobem bladawców, i rzekła:

- Powiedz mi, ty, który mienisz się Myamlakiem-bladawcem, co czynią twoi bracia w dzień?

- O, królewno - odparł Ferrycy - z rana moczą się w wodzie czystej i polewają nią swe członki i wlewają ją sobie do środka, gdyż sprawia im to lubość. A potem chodzą tu i tam w sposób falisty i płynny, i pluskają, i mlaskają, a gdy ich coś zasmuci, trzęsą się i z oczu kapie im solona woda, a kiedy ich coś rozweseli, trzęsą się i czkają, lecz oczy ich pozostają dosyć suche. I mokre pokrzykiwania zwiemy płaczem, a suche

- śmiechem.

- Jeśli jest tak, jak mówisz - rzekła królowna - i jeśli dzielisz z braćmi swymi zamiłowanie do wody, każę cię wrzucić do mej sadzawki, byś się nią do woli nasycił, a nogi każę ci obciążyć ołowiem, abyś nie wypłynął przed czasem...

- O, królowno - odparł Ferrycy, pouczony przez mędrca - jeśli uczynisz tak, zginę, albowiem choć wewnątrz nas jest woda, nie może być ona na zewnątrz nas dłużej niż przez chwilę, gdyż wtedy powiadamy słowa ostatnie „bul-bul-bul”, którymi to dźwiękami żegnamy życie.

- A powiedz mi, Myamlaku, jakim sposobem zdobywasz energię, aby przechadzać się, pluskając i mlaskając, kołysząc się i panosząc tu i tam?
- spytała królowna.

- Królowno - odparł Ferrycy - tam, gdzie mieszkam, oprócz bladawców małowłosych są inne, przechadzające się głównie na czworakach, które póty dziurawimy tu i tam, aż zginą; zwłoki ich parzymy i warzymy, siekamy i krajamy, po czym nadziewamy ich cielesnością naszą cielesność; i znamy trzysta siedemdziesiąt sześć sposobów zabijania, i dwadzieścia osiem tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt siedem sposobów obchodzenia się z nieboszczykami tak, aby wpychanie ich ciał w nasze ciała przez pewną dziurkę, zwaną ustami, sprawiało nam mnóstwo uciechy; a sztuka przyrządzania nieboszczyków jest u nas jeszcze sławniejsza od astronautyki i zwie się gastronautyką lub gastronomią; wszelako z astronomią nie ma to nic wspólnego.

- Czy znaczy to, iż bawicie się w cmentarze, czyniąc w was samych pochówki waszym czworonożnym pobratymcom? - spytała podchwytliwie królowna, lecz Ferrycy, pouczony przez mędrca, rzekł:

- O, królowno, nie jest to zabawa, lecz konieczność, albowiem życie żywi się życiem; lecz myśmy z konieczności uczynili sztukę.

- A powiedz mi, Myamlaku-bladawcze, jak budujecie potomstwo?
- spytała królowna.

- Nie budujemy go wcale - odparł Ferrycy - lecz programujemy metodą statystyczną, na zasadzie procesu Markowskiego, czyli stochastycznie, ślicznie, choć probabilistycznie; a robimy to niechcący i okolicznościowo, myśląc przy tym o różnościach oprócz programowania statystycznego, nieliniowego i algorytmicznego, wszelako programowanie właśnie podówczas zachodzi samochoć, odsiebnie i najzupełniej automatycznie, gdyż właśnie tak, a nie inaczej jesteśmy urządzeni, że każdy bladawiec stara się programować potomstwo, gdyż to mu jest rozkoszne, lecz programuje, nie programując, i wielu robi, co może, aby z

tego programowania nic nie wynikło.

- To bardzo dziwne - rzekła królowna, której wiedza była mniej szczegółowa od mędrca Polifazego - więc jak wy to właściwie robicie?

- O, królowno! - odparł Ferrycy. - Mamy odpowiednie aparatury, zbudowane na zasadzie sprzężenia zwrotnego, chociaż wszystko to w wodzie; aparatury te są technicznie istnym cudem, ponieważ posługiwać się nimi może największy kretyn; wszelako, aby wyjawić ci szczegółowo metody, jakich używamy, musiałbym bardzo długo mówić, gdyż to wcale nieproste. Istotnie to dziwne, zważywszy, żeśmy wcale owych metod sami nie wymyślili, ale, aby tak rzec, metody te wymyśliły siebie same; wszelako są miłe i nie mamy nic przeciwko nim.

- Doprawdy - zawołała Krystala - ty jesteś prawdziwym bladawcem! Gdyż to, co mówisz, niby ma sens, a w gruncie rzeczy jest całkowicie pozbawione sensu, nieprawdopodobne, lecz pono prawdziwe, chociaż sprzeczne logicznie, jak bowiem można być cmentarzem, nie będąc nim, albo programować potomstwo, wcale go nie programując?! Tak, tyś bladawcem, Myamlaku, a przeto, jeśli łakniesz tego, połączę się z tobą zwrotnym węzłem małżeńskim i wstąpisz ze mną na tron, jeśli wypełnisz próbę ostatnią.

- A jaka to próba? - spytał Ferrycy.

- Próba ta... - zaczęła królowna, lecz nagle podejrzliwość wstąpiła w jej serce i spytała: - Powiedz mi najpierw, co robią twoi bracia w nocy?

- W nocy leżą tu i tam, z rękami podgiętymi, a nogami skurczonymi, powietrze zaś wchodzi w nich i wychodzi z nich, czyniąc taki hałas, jakby ktoś ostrzył zardzewiałą piłę.

- A więc oto próba: podaj mi rękę! - rozkazała królowna. Podał jej Ferrycy dłoń, a ona ścisnęła ją; Ferrycy zaś krzyknął wielkim głosem, gdyż tak mu nakazał mędrzec, a ona spytała, czemu krzyczy.

- Przez ból! - odparł Ferrycy, ona zaś uwierzyła wówczas, iż jest prawdziwym bladawcem, i kazała wszcząć przygotowania do ceremonii zaślubin.

Lecz stało się wówczas, że powrócił właśnie statek, którym elektor królowny, cybergraf Cyberhazy, wyruszył w kraje śródgwiezdne, aby znaleźć dla Krystali bladawca, pragnął bowiem wkupić się tym sposobem w jej łaski. Przybiegł do Ferrycyego zatrwożony mędrzec Polifazy i rzekł:

- Królewiczu, przybył statkiem próżniowym wielki cybergraf Cyberhazy i przywiózł królownie prawdziwego bladawca, jak to właśnie widziały moje oczy; a przeto musimy czym prędzej uciekać, albowiem daremne będzie dalsze udawanie, jeśli pospołu staniecie przed królowną.

Jego lepkość jest bowiem bardziej lepka, włochatość - bardziej włochata, ciastowatość - także nie do prześcignięcia, więc wyda się nasz podstęp i zginiemy!

Ferrycy jednak odmówił zgody na ucieczkę, pokochał bowiem królownę wielkim uczuciem i rzekł:

- Raczej zginąć, niż ją stracić!

Cyberhazy zaś, zwiędziawszy się o przygotowaniach do ślubu, czym prędzej zakradł się pod okno komnaty, w której rzekomy bladawiec przebywał z przekupniem, a podsłuchawszy ich tajemną rozmowę, pognał do pałacu pełen czarnej radości i stanął przed Krystalą, by rzec:

- Oszukano cię, królowno, albowiem tak zwany Myamlak jest w istocie zwykłym śmiertelnikiem, a nie żadnym bladawcem; prawdziwy jest tylko ten!

I wskazał na przywiezionego, który wyprężył swą włosem porośłą pierś, wytrzeszczył swe oczy wodniste i rzekł:

- Bladawiec to ja!

Królowna kazała natychmiast wezwać Ferrycego, a gdy stanął wraz z tamtym przed jej obliczem, na nic zdał się podstęp mędrca. Ferrycy bowiem, choć oblepiony błotem, kurzem i kredą, choć maszczony olejem i wodniście chlupiący, nie mógł ukryć ani swego wzrostu elektryczerskiego, ani postawy wspaniałej, szerokości barów stalowych ni chodu grzmiącego. Bladawiec natomiast cybergrafa Cyberhazego był to pokurcz prawdziwy; jego krok każdy był jako przelewanie się stągwi błotnistych, jego wejrzenie jak zamulona studnia, od jego zgniłego tchu ślepy mgłą okryte zwierciadła, a rdza chwytła żelazo. I pojęła w swoim sercu królowna, że wstrętny jest jej ów bladawiec, któremu, gdy mówił, jakoby robak różowy poruszał się, pełzając w gębie; przejrzała Krystalą, ale duma jej nie pozwoliła wyjawić tego, co ocknęło się w sercu.

Powiedziała więc:

- Niech walczą z sobą obaj, a który zwycięży, pojmie mnie za żonę...

Rzekł Ferrycy do mędrca:

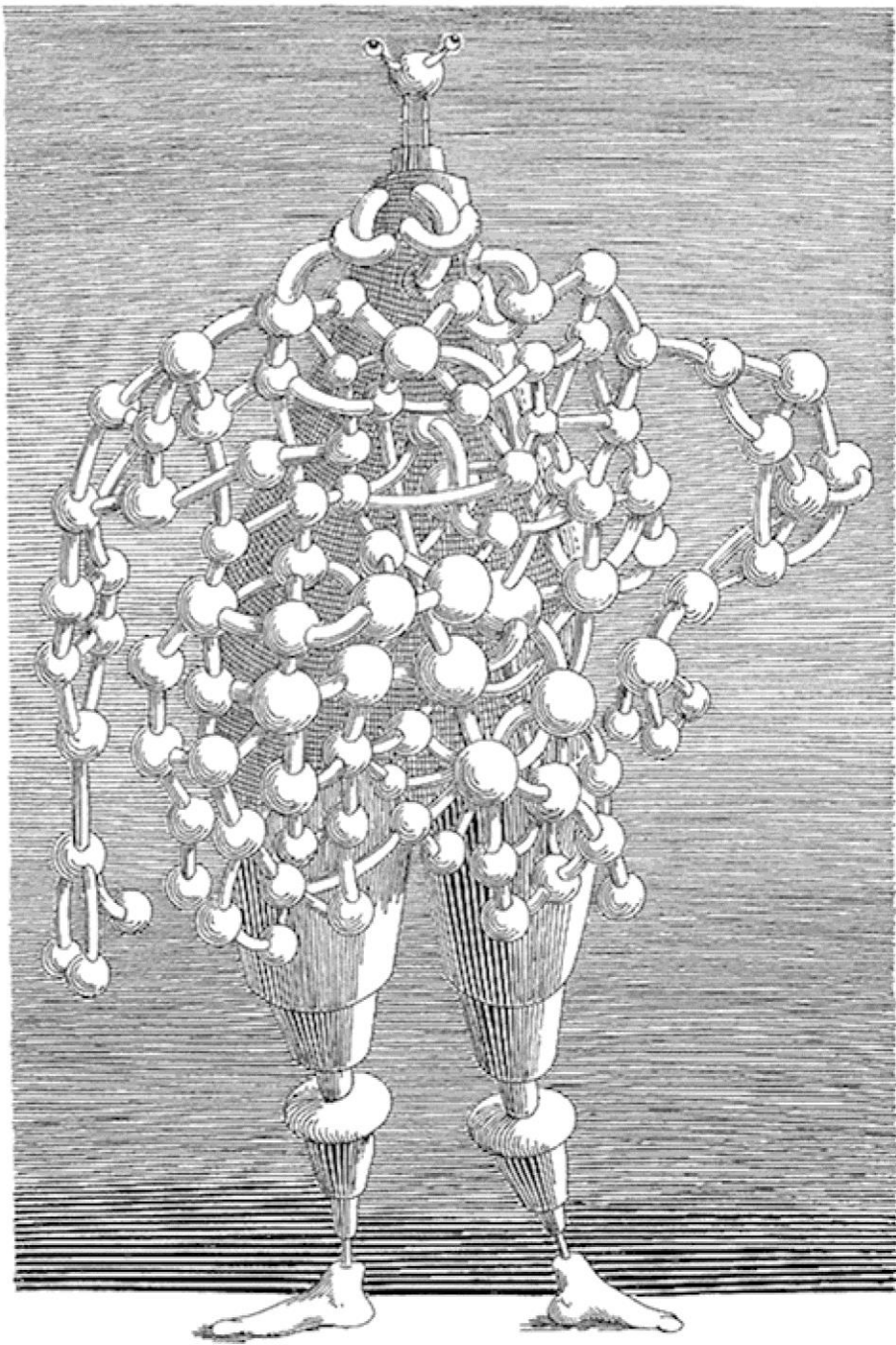
- Panie, jeśli ruszę na tego pokurcza i obrócę go w błoto, z którego powstał, podstęp wyda się, glina opadnie ze mnie i na wierzch wyjdzie stal; co mam czynić?

- Królewiczu - odparł Palifazy - nie atakuj, jeno broń się!

Weszli tedy obaj na podworec pałacowy, każdy z mieczem, i skoczył bladawiec na Ferrycego, jak skacze bagienny szlam, i obtańcowywał go, bełkocąc i kucając, i sapiąc, i zamachnął się, i ciał go mieczem, który przeszył glinę i rozstrzaskał się o stal, a bladawiec wpadł

z impetu na królewicza, prysnął, pękł i rozplynał się, i nie było już bladawca. Lecz poruszona, zeschnięta glina opadła z barków Ferrycego i obnażyła się jego prawdziwa natura stalowa przed oczyma królowej i zadrżała, oczekując zguby, lecz w jej spojrzeniu kryształowym ujrzał podziw i zrozumiał, jak bardzo odmieniło się jej serce.

Połączyli się więc sprzężeniem małżeńskim, które jest trwałe i zwrotne, jednym na radość i szczęście, innym na biedę i skon; i panowali długo a szczęśliwie, doprogramowawszy się niezliczonego potomstwa. A skórę bladawca, którego przywiózł cybergraf Cyberhazy, wypchano i ustawiono w muzeum koronnym na wieczną rzecz pamiątkę. Stoi tam do dzisiaj, pałubiasta, porosła tu i tam włosiem wyleciałym, i wielu mędrków waży się rozpuszczać wieść, jakoby była tylko sztuczką i udaniem, a żadnych bladawców- cmentarników, ciastonosów klejookich na świecie nie było i nie ma. Kto wie: może to i czcze zmyślenie - albowiem to mało bają i mitów roi sobie plebs? Ale jeśli to i nieprawdziwa historia, ma w sobie ziarno pouczenia, a że zabawna - godna opowieści.



JAK OCALAŁ ŚWIAT

Konstruktor Trurl sporządził raz maszynę, która umiała robić wszystko na literę *n*. Kiedy była gotowa, na próbę kazał jej zrobić nici, potem nanizać je na napastrki, które też zrobiła, następnie wrzucić wszystkie do sporządzonej nory, otoczonej natryskami, nastawniami i naparami. Wykonała polecenie co do joty, ale ponieważ nie był jeszcze pewny jej działania, kolejno musiała zrobić nimby, nausznice, neutrony, nurty, nosy, nimfy i *natrium*. Tego ostatniego nie umiała i Trurl, bardzo zmartwiony, kazał się jej tłumaczyć.

- Nie wiem, co to jest - wyjaśniła. - Nie słyszałam o czymś takim.
- Jak to? Ależ to sól. Taki metal, pierwiastek...
- Jeżeli nazywa się sól, jest na *s*, a ja umiem robić tylko na *n*.
- Ale po łacinie nazywa się *natrium*.

- Mój kochany - rzekła maszyna - gdybym mogła robić wszystko na *n* we wszelkich możliwych językach, byłabym Maszyną Która Może Wszystko Na Cały Alfabet, bo dowolna rzecz w jakimś tam obcym języku na pewno nazywa się na *n*. Nie ma tak dobrze. Nie mogę robić więcej, niż to wymyśliłeś. Sodu nie będzie.

- Dobrze - zgodził się Trurl i kazał jej zrobić niebo. Zrobiła zaraz jedno, niewielkie, ale zupełnie niebieskie. Zaprosił wtedy do siebie konstruktora Klapaucjusza, przedstawił go maszynie i tak długo wychwalał jej nadzwyczajne zdolności, aż ów rozgniewał się skrycie i poprosił, aby i jemu wolno było coś jej rozkazać.

- Proszę bardzo - rzekł Trurl - ale to musi być na *n*.

- Na *n*? - rzekł Klapaucjusz. - Dobrze. Niech robi naukę. Maszyna zawarczała i po chwili plac przed domostwem Trurla wypełnił się tłumem naukowców. Wodzili się za łby, pisali w grubych księgach, inni porywali te księgi i darli je na strzępy, w dali widać było płonące stosy, na których skwierczeli męczennicy nauki, tu i ówdzie coś huknęło, powstawały jakieś dziwne dymy w kształcie grzybów, cały tłum gadał równocześnie, tak że słowa nie można było zrozumieć, od czasu do czasu układając memoriały, apele i inne dokumenty, w odosobnieniu zaś, pod nogami wrzeszczących, siedziało kilku samotnych starców i bez przerwy maczkiem pisało na kawałkach podartego papieru.

- No co, może złe?! - zawołał z dumą Trurl. - Wykapana nauka, sam przyznasz!

Ale Klapaucjusz nie był zadowolony.

- Co, ten tłum to ma być nauka? Nauka to coś całkiem innego!

- Więc proszę, powiedz co, a maszyna zaraz to zrobi! - obruszył się Trurl. Ale Klapaucjusz nie wiedział, co powiedzieć, więc oświadczył, że postawi maszynie jeszcze dwa inne zadania, a jeśli je ona rozwiąże, uzna, że jest taka, jak ma być. Trurl przystał na to i Klapaucjusz rozkazał, aby zrobiła nice.

- Nice! - wykrzyknął Trurl. - Słyszał kto coś takiego, co to są nice?!

- Ależ jak to, druga strona wszystkiego - odparł Klapaucjusz spokojnie. - Nicować, przewracać na podszewkę, nie słyszałeś o tym? No no, nie udawaj! Hej, maszyno, bierz się do roboty!

Maszyna jednak działała już od dobrej chwili. Zrobiła najpierw antyprotony, potem antyelektrony, antyneutrino, antyneutrony, i tak długo pracowała, nie ustając, aż natworzyła bez liku antymaterii, z której zaczął się z wolna, podobny do dziwnie błyszczącej chmury w niebie, formować antyświat.

- Hm - rzekł bardzo niezadowolony Klapaucjusz - to mają być nice? Powiedzmy, że tak... Dajmy na to, dla świętego spokoju... Ale oto trzeci rozkaz: Maszyno! Masz zrobić Nic!

Maszyna przez dłuższy czas w ogóle się nie ruszała. Klapaucjusz ją zacierał z zadowolenia ręce, Trurl zaś rzekł:

- O co ci chodzi? Kazałeś jej nic nie robić, więc nic nie robi!

- Nieprawda. Kazałem jej zrobić Nic, a to co innego.

- Też coś! Zrobić Nic, a nie zrobić nic, znaczy jedno i to samo.

- Skądże! Miała zrobić Nic, a tymczasem nie zrobiła nic, więc wygrałem. Nic bowiem, mój ty przemądrzały kolego, to nie takie sobie zwyczajne nic, produkt lenistwa i nie działania, lecz czynna i aktywna Nicość, to jest doskonała, jedyna, wszechobecna i najwyższa Niebyt we własnej nieobecnej osobie!!

- Zawracasz głowę maszynie! - krzyknął Trurl, lecz naraz rozległ się jej spiżowy głos:

- Przestańcie się kłócić w takiej chwili! Wiem, co to Niebyt, Nicość, czyli Nic, ponieważ te rzeczy należą do klucza litery n, jako Nieistnienie. Lepiej po raz ostatni przyjrzyjcie się światu, bo wnet go nie będzie...

Słowa zamarły na ustach rozjuszonym konstruktorom. Maszyna w samej rzeczy robiła Nic, a to w ten sposób, że kolejno usuwała ze świata rozmaite rzeczy, które przestawały istnieć, jakby ich w ogóle nigdy nie było. Usunęła już natagwie, nupajki, nurkownice, nędzy nałuszki,

niedostópki i nędasy Chwilami wydawało się, że zamiast redukować, zmniejszać, wyrzucać, usuwać, unicestwiać i odejmować - powiększa i dodaje, ponieważ zlikwidowała po kolei niesmak, niepospolitość, niewiarę, niedosyt, nienasyceń i niemoc. Lecz potem znowu zaczęło się robić wokół patrzących rzadziej.

- Ojej! - rzekł Trurl. - Żeby coś z tego złego tylko nie wynikło...

- E, co tam! - rzekł Klapaucjusz. - Przecież widzisz, że ona nie robi wcale Nicości Generalnej, a jedynie Nieobecność wszystkich rzeczy na n, nic się nie stanie, bo też ta twoja maszyna całkiem do niczego!

- Tak ci się tylko wydaje - odparła maszyna. - Zaczęłam, istotnie, od wszystkiego, co na n, bo było mi to bardziej familiarne, ale co innego jest zrobić jakąś rzecz, a co innego usunąć ją. Usuwać mogę wszystko, z tej prostej przyczyny, że umiem robić wszyściuteńko, ale to wszyściuteńko na n, a więc Niebyt jest dla mnie fraszką. Zaraz was nie będzie ani niczego, więc proszę cię, Klapaucjuszu, abys powiedział jeszcze prędko, że jestem prawdziwie uniwersalna i wykonuję rozkazy, jak się należy, bo będzie za późno.

- Ależ to... - zaczął przestraszony Klapaucjusz i w tej chwili zauważył, że istotnie już nie tylko na n nikną różne rzeczy: przestały ich bowiem otaczać kambuzele, ściśnięta, wytrzopki, gryzmaki, rymundy, trzepce i pćmy

- Stój! Stój! Cofam to, co powiedziałem! Przestań! Nie rób Niebytu!! - wrzeszczał na całe gardło Klapaucjusz, ale zanim maszyna się zatrzymała, znikły jeszcze graszaki, plukwy, filidrony i zamry Wtedy dopiero maszyna znieruchomiała. Świat wyglądał wręcz przeraźliwie. Zwłaszcza ucierpiało niebo: widać było na nim ledwo pojedyncze punkciki gwiazd; ani śladu prześlicznych gryzmaczków i gwajdolnic, które tak dotąd upiększały nieboskłon!

- Wielkie nieba! - zakrzyknął Klapaucjusz. - A gdzie są kambuzele? Gdzie moje murkwie ulubione? Gdzie pćmy łagodne?!

- Nie ma ich i nigdy już nie będzie - odparła spokojnie maszyna.

- Wykonałam, a raczej zaczęłam wykonywać to tylko, coś mi kazał...

- Kazałem ci zrobić Nicość, a ty... ty...

- Klapaucjuszu, albo jesteś głupcem, albo głupca udajesz - rzekła maszyna. - Gdybym zrobiła Nicość naraz, za jednym zamachem, przestałoby istnieć wszystko, więc nie tylko Trurl i niebo, i Kosmos, i ty, ale nawet ja. Więc kto właściwie i komu mógłby wtedy powiedzieć, że rozkaz został wykonany i że jestem sprawną maszyną? A gdyby nikt tego

nikomu nie powiedział, w jaki sposób ja, której by także już nie było, mogłabym otrzymać należną mi satysfakcję?

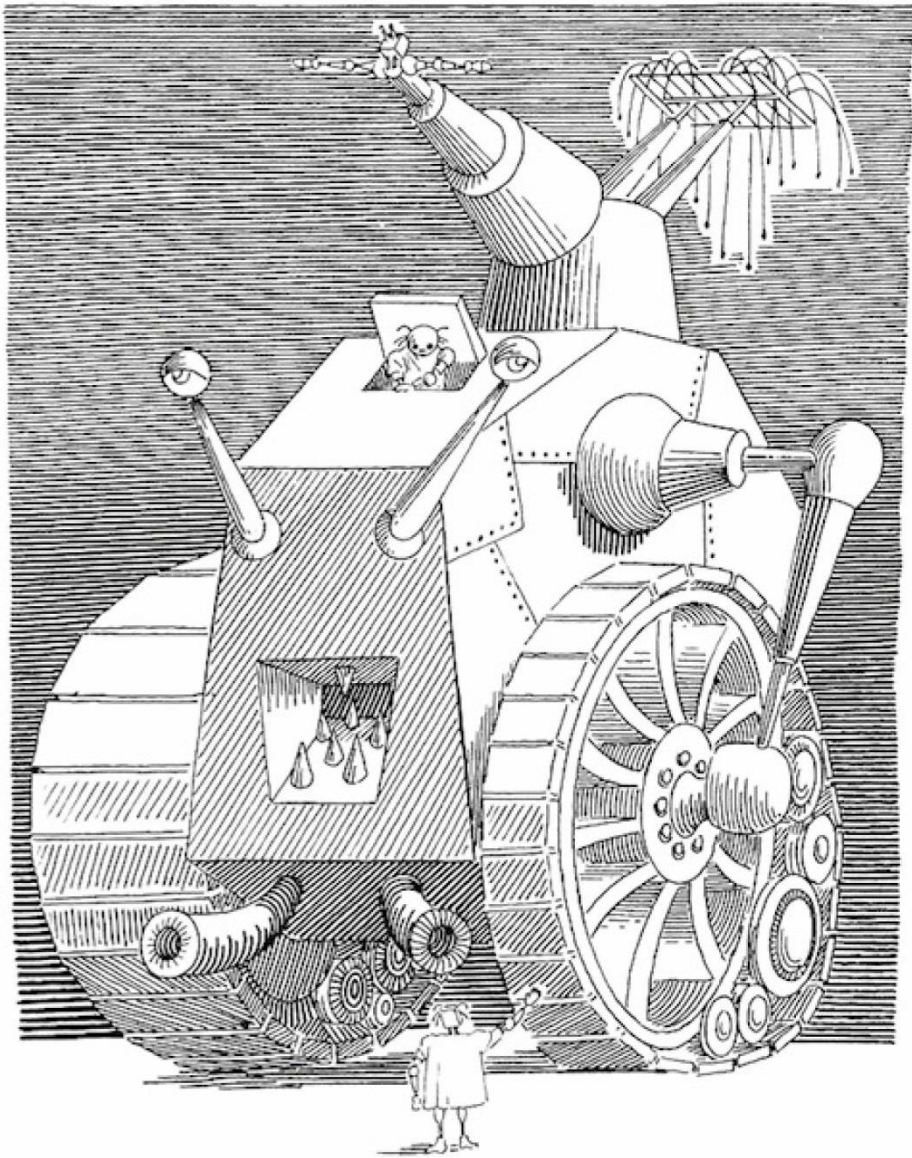
- Niech ci będzie, nie mówmy już o tym - rzekł Klapaucjusz. - Już niczego od ciebie nie chcę, śliczna maszyna, tylko proszę, zrób murkwie, bo bez nich życie mi niemiłe...

- Nie umiem tego, ponieważ są na *m* - rzekła maszyna. - Owszem, mogę na powrót zrobić niesmak, nienasycenie, niewiedzę, nienawiść, niemoc, nietrwałość, niepokój i niewiarę, ale na inne litery proszę się po mnie niczego nie spodziewać.

- Ale ja chcę, żeby były murkwie! - ryknął Klapaucjusz.

- Murkwi nie będzie - rzekła maszyna. - Popatrz, proszę, na świat, jaki jest cały pełen olbrzymich czarnych dziur, pełen Nicości, która wypełnia bezdenne otchłanie między gwiazdami, jak wszystko dookoła stało się nią podszyte, jak czyha nad każdym skrawkiem istnienia. To twoje dzieło, mój zawistniku! Nie sądzę, żeby następne pokolenia miały cię za to błogosławić...

- Może się nie dowiedzą... Może nie zauważą... - wyjąkał pobladły Klapaucjusz, patrząc z niewiarą w pustkę czarnego nieba i nie śmiać nawet w oczy spojrzeć swemu koledze. Pozostawiwszy go obok maszyny, która umiała wszystko na *n*, wrócił chyłkiem do domu - świat zaś po dziś dzień pozostał już cały podziurawiony Nicością - tak jak go w toku nakazanej likwidacji zatrzymał Klapaucjusz. A ponieważ nie udało się zbudować maszyny na żadną inną literę, trzeba się obawiać, że nie będzie już nigdy takich wspaniałych zjawisk, jak *p*ćmy i murkwie - po wieki wieków.



MASZYNA TRURLA

Konstruktor Trurl zbudował raz ośmiopiętrową maszynę rozumną, która, kiedy skończył najważniejszą pracę, pociągnął najpierw białym lakierem; potem narożniki pomalował liliowo, przypatrzył się z daleka i dorobił jeszcze mały deseń na froncie, a tam, gdzie można sobie było wyobrazić jej czoło, położył lekki pomarańczowy rzucik i, bardzo zadowolony z siebie, pogwizdując od niechcienia, niejako z czczego obowiązku, rzucił sakramentalne pytanie, ile jest dwa razy dwa?

Maszyna ruszyła. Najpierw zapaliły się jej lampy, zajaśniały obwody, zahuczały prądy jak wodospady, zagrały sprzężenia, potem rozżarzyły się cewki, zawirowało w niej, rozłomotało się, zadudniło i tak szedł na całą równinę hałas, aż Trurl pomyślał, że trzeba będzie sporządzić jej specjalny tłumik myślowy. Tymczasem maszyna wciąż pracowała, jakby przychodziło jej rozstrzygać najtrudniejszy problem w całym Kosmosie; ziemia dygotała, piasek usuwał się spod stóp od wibracji, bezpieczniki strzelały jak korki z flaszek, a przekaźniki aż nadrywały się z wysiłku. Nareszcie, kiedy Trurla porządnie już zniesmaczył taki rwetes, maszyna zahamowała gwałtownie i rzekła gromowym głosem: SIEDEM!

- No no, moja droga! - rzekł od niechcienia Trurl. - Nic podobnego, jest cztery, bądź tak dobra, popraw się! Ile jest dwa a dwa? - SIEDEM! - odparła maszyna niezwłocznie. Chcąc nie chcąc, Trurl - westchnawszy - nałożył roboczy fartuch, który był już zdjął, zakasał wysoko rękawy, otworzył spodnią klapę i wlaź do środka. Nie wychodził z niej długo, słyhać było, jak wali młotem, jak odkręca coś, spawa, lutuje, jak wbiega, dudniąc po blaszanych stopniach, raz na szóste piętro, raz na ósme, i zaraz w te pędy gna na dół. Puścił prąd, aż zaskwierczało w środku i fioletowe wasy wyrosły iskiernikom. Mozolił się tak dwie godziny, aż wyszedł na świeże powietrze zakopcony, lecz zadowolony, złożył wszystkie narzędzia, rzucił fartuch na ziemię, wytarł twarz i ręce, i już na odchodnym, ot, tak, dla świętego spokoju, spytał:

- Ileż to jest: dwa a dwa?

- SIEDEM! - odparła maszyna.

Trurl zaklął okropnie, ale nie było rady - znów jał w niej dłubać, poprawiał, łączył, rozlutowywał, przestawiał, a kiedy po raz trzeci dowiedział się, że dwa a dwa jest siedem, usiadł zrozpaczony na najniższym stopniu maszyny i siedział tak, aż nadszedł na to Klapaucjusz. Spytał Trurla, co mu się stało, że wygląda, jakby właśnie

wrócił z pogrzebu, a ten wyjawiał mu swój kłopot. Klapaucjusz sam parę razy wchodził do wnętrza maszyny, próbował poprawić to i owo, pytał ją też, ile jest dwa a jeden, odparła, że sześć; jeden a jeden wynosiło według niej zero. Klapaucjusz podrapał się w głowę, odchrząknął i rzekł:

- Przyjacielu, nie ma co, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Sporządziłeś inną maszynę, niż chciałeś. Wszelako każde zjawisko ujemne ma też swoje strony dodatnie, ta maszyna na przykład też.

- Ciekawym, jakie - odparł Trurl i kopnął fundament, na którym siedział.

- Przestań - powiedziała maszyna.

- Ot, widzisz, jest wrażliwa. Więc... co chciałem powiedzieć? Jest to, nie ulega wątpliwości, maszyna głupia, i to nie taką sobie zwykłą, przeciętną głupota, bynajmniej! Jest to, o ile się orientuję, a jestem, jak wiesz, znakomitym specjalistą, jest to najgłupsza maszyna rozumna na całym świecie, a to już nie byle co! Zbudować ją umyślnie nie byłoby łatwe, wprost przeciwnie, sądzę, że to by się nikomu nie udało. Nie tylko głupia jest bowiem, ale i uparta jak kłoc, czyli ma charakter, zresztą właściwy idiotom, bo oni zwykle są szalenie uparci.

- Po diabła mi taka maszyna?! - rzekł Trurl i kopnął ją drugi raz.

- Ostrzegam cię poważnie, przestań! - rzekła maszyna.

- Proszę, już masz poważne ostrzeżenie - skomentował oschle Klapaucjusz. - Widzisz, jest nie tylko wrażliwa i tępa, i uparta, ale także obraźliwa, a z taką ilością cech można już dopiąć niejednego, ho ho, ja ci to mówię!

- No dobrze, ale co właściwie mam z nią począć? - spytał Trurl.

- Ba, w tej chwili trudno mi odpowiedzieć. Mógłbyś na przykład zrobić wystawę, ze wstępem, z biletami, aby każdy, kto zechce, mógł obejrzeć najgłupszą maszynę rozumną na świecie; ile ona ma - osiem pięter? Proszę cię, ależ tak wielkiego idioty nikt dotąd nie widział. Ta wystawa zwróci ci nie tylko poniesione koszty, ale...

- Daj mi spokój, nie będę robił żadnej wystawy! - odparł Trurl, wstał, i że nie mógł się powstrzymać, kopnął maszynę jeszcze raz.

- Udzielam ci trzeciego poważnego ostrzeżenia - rzekła maszyna.

- Bo co? - krzyknął rozjuszony jej majestatycznością Trurl. - Jesteś... jesteś... - tu nie znalazł słów, więc kopnął ją kilka razy, wrzeszcząc: - Nadajesz się tylko do kopania, wiesz?

- Obraziłeś mnie po raz czwarty, piąty, szósty i ósmy - rzekła maszyna - dlatego więcej nie będę liczyła. Odmawiam odpowiedzi na dalsze pytania dotyczące zadań z zakresu matematyki.

- Ona odmawia! Patrzcie ją! - żołądkował się dotknięty do żywego Trurl. - Po szóstce wypada jej osiem, uważasz, Klapaucjuszu, nie siedem, lecz osiem! I ona ma czelność odmawiać TAKIEGO wykonywania zadań matematycznych. A masz! masz! masz! Może jeszcze?

Na to maszyna zadygotała, zatrzęsała się i bez jednego słowa zaczęła ze wszech sił wydobywać się z fundamentów. Były głębokie, więc pogięły się liczne dźwigary, lecz w końcu wylazła z dołu, w którym zostały tylko pokruszone kłocce betonowe z wystającymi prętami zbrojeń, i ruszyła jak forteca krocząca na Klapaucjusza i Trurla. Ten ostatni tak osłupiał od niepojętego wydarzenia, że nie próbował nawet skryć się przed maszyną, która zmierzała najoczywiściej do tego, aby go zmiażdżyć. Dopiero przytomniejszy Klapaucjusz, porwawszy go za rękę, pociągnął przemocą i obaj odbiegli spory kawałek. Kiedy się odwrócili, maszyna, chwiejąc się jak wysoka wieża, szła powoli, przy każdym kroku zapadała się prawie po pierwsze piętro, ale uparcie, niezmordowanie wynurzała się z piasku i parła wprost na nich.

- No, tego jeszcze na świecie nie było! - rzekł Trurl, którego aż zatchnęło ze zdumienia. - Maszyna się zbuntowała! Co teraz robić?

- Czekać i obserwować - odparł roztropny Klapaucjusz. - Może się coś wyklaruje.

Nic na to na razie nie wskazywało. Maszyna, wydostawszy się na twardszy grunt, ruszyła szybciej. W środku jej gwizdało, syczało i pobrząkiwało.

- Zaraz się rozlutuje nastawnia i programowanie - mruknął Trurl. - Wtedy się rozleci i stanie...

- Nie - odparł Klapaucjusz - to szczególny wypadek. Ona jest tak głupia, że nawet zatrzymanie się całego rozrządu jej nie zaszkodzi. Uważaj, ona... Uciekajmy!!

Maszyna najwyraźniej rozpędzała się, aby ich stratować. Gnali więc co tchu, słysząc za plecami rytmiczny łoskot straszliwego tupania. I biegli tak, bo cóż mogli zrobić innego? Chcieli wrócić do rodzinnej miejscowości, ale maszyna udaremniła to, spychając ich przez flankowanie z upatrzonej drogi, i nieubłaganie zmuszała ich do zagłębiania się w kraj coraz bardziej pustynny. Powoli wyłoniły się z przyziemnych mgieł góry, posępne i skaliste; Trurl, dysząc ciężko, zawołał do Klapaucjusza:

- Słuchaj! Uciekajmy w jakiś ciasny wąwóz... gdzie nie będzie mogła za nami wejść... przekłeta... co?!

- Lepiej biegnijmy... prosto - wydyszał Klapaucjusz. - Niedaleko jest

mała miejscowość... nie pamiętam, jak się nazywa... w każdym razie znajdziemy tam... uf!!! schronienie...

Popędzili zatem prosto i rychło ujrzeni przed sobą pierwsze domostwa. O tej porze dnia ulice były niemal puste. Przebiegli dobry kawał drogi, nie napotykając żywego ducha, gdy przeraźliwy rumor, taki, jakby na skraj osiedla zwała się kamienna lawina, zaświadczył o tym, że ścigająca ich maszyna już tam dotarła.

Trurl obejrzał się i aż jęknął.

- Wielkie nieba! Popatrz, Klapaucjuszu, ona burzy domy!! - Jakoż maszyna, pracując uparcie za nimi, szła przez mury domów jak stalowa góra, a drogę jej znaczyły ceglane rumowiska wypełnione białymi kłębami wapiennego kurzu. Rozległy się przeraźliwe krzyki zasypanych, zaroilo się na ulicach, Trurl zaś i Klapaucjusz pędzili, ledwo dysząc, przed siebie, aż dopadli wielkiego gmachu ratuszowego, gdzie w mig zbiegli po schodach do głębokiej piwnicy.

- No, tu nas nie dosięgnie, żeby miała nam nawet cały ten ratusz na głowę zwalić! - wysapał Klapaucjusz. - Ale diabli skusili mnie złożyć ci dzisiaj wizytę... Byłem ciekaw, jak ci idzie robota, no i proszę - dowiedziałem się...

- Bądź cicho - odparł mu Trurl. - Ktoś tu idzie...

Rzeczywiście, drzwi podziemia uchyliły się i wszedł sam burmistrz wraz z kilkoma radnymi. Trurl wstydził się wyjawić, co spowodowało niezwykłą i przeraźliwą zarazem historię, więc wyręczył go Klapaucjusz. Burmistrz przysłuchiwał mu się w milczeniu. Naraz ściany drgnęły, zakolysała się ziemia i do głęboko pod jej powierzchnią ukrytej piwnicy dotarł przeciągły łoskot walących się murów.

- Ona już jest tu?! - krzyknął Trurl.

- Tak - odparł burmistrz. - I żąda, abyśmy was wydali, w przeciwnym razie zburzy całe miasto...

Zarazem dobiegły ich wypowiedziane gdzieś, na wysokości, nosowo brzmiące, do stalowego gęgania podobne słowa:

- Tu jest gdzieś Trurl... Czuję Trurla...

- Ale chyba nas nie wydadacie? - spytał drżącym głosem ten, którego tak natarczywie domagała się maszyna.

- Ten z was, który nazywa się Trurl, musi stąd wyjść. Drugi może zostać, gdyż jego wydanie nie jest koniecznym warunkiem...

- Ależ litości!

- Jesteśmy bezsilni - rzekł burmistrz. - Gdybyś zresztą miał tu zostać, Trurlu, odpowiadać byś musiał za wyrządzone miastu i jego

mieszkańcom szkody, bo to przez ciebie maszyna zburzyła szesnaście domów i pogrzebała pod ich ruinami wielu tutejszych obywateli. Tylko to, że znajdujesz się w obliczu śmierci, pozwala mi puścić cię wolno. Idź i nie wracaj.

Trurl spojrzął na twarze radnych, a widząc na nich wypisany na siebie wyrok, powoli skierował się ku drzwiom.

- Czekaj! Idę z tobą! - wykrzyknął impulsywnie Klapaucjusz.

- Ty? - ze słabą nadzieją w głosie rzekł Trurl. - Nie... - rzekł po chwili. - Zostań, tak będzie lepiej... Po co miałbyś niepotrzebnie ginąć?...

- Idiotyzm! - zawołał energicznie Klapaucjusz. - Cóż to, dlaczego mamy ginąć, czy może za sprawą tej żelaznej kretynki? Też mi coś! To za mało, aby zetrzeć z powierzchni globu dwóch najwybitniejszych konstruktorów! Chodź, mój Trurlu! Śmiało!

Podniesiony tymi słowami na duchu Trurl pobiegł po schodach za Klapaucjuszem. Na rynku nie było żywego ducha. Wśród kłębów pyłu i kurzawy, z których wylaniały się sterczące szkielety poburzonych domów, stała, wydzielając kłęby pary, maszyna, wyższa nad wieże ratusza, cała zboczona ceglana krwią murów i umazana białym prochem.

- Uważaj! - szepnął Klapaucjusz. - Ona nas nie widzi. Pędzimy tą pierwszą uliczką w lewo, potem w prawo, i prosto jak strzeł, niedaleko już zaczynają się góry. Tam się schronimy i obmyślimy coś takiego, żeby raz na zawsze odechciało się jej... W nogi! - krzyknął, bo maszyna dostrzegła ich w tym momencie i natarła na nich, aż grunt zatrzęsł się w posadach.

Pędząc bez tchu, wybiegli za miasteczko. Jakaś milę galopowali tak, słysząc za sobą gromowe stąpania kolosa, który nieustępliwie ich ścigał.

- Znam ten wąwóz! - zawołał nagle Klapaucjusz. - Jest tam koryto wyschłego potoku, które prowadzi w głąb skał, tam są liczne jaskinie, biegnijmy szybciej, zaraz będzie musiała stanąć!...

Gnali więc pod górę, potykając się i wymachując rękami dla odzyskania równowagi, ale maszyna wciąż znajdowała się w jednakiej za nimi odległości. Po chyboczących głazach wyschłego strumienia dobiegli do szczeliny w pionowych skałach, a ujrzawszy dosyć wysoko w górze czerniejący wylot jaskini, jęli się co sił pięć ku niemu, nie zważając na umykające spod stóp, luźne kamienie. Wielki otwór w skale ział chłodem i ciemnością. Skoczyli czym prędzej do środka, przebiegli jeszcze kilka kroków i zatrzymali się.

- No, tu jesteśmy bezpieczni - rzekł Trurl, który odzyskał spokój.

- Wyjrzę, żeby zobaczyć, gdzie utknęła...
- Uważaj - przestrzegł go Klapaucjusz. Trurl podszedł ostrożnie do otworu jaskini, wychylił się i nagle skoczył z przestrachem w tył.

- Ona włązi na górę!! - krzyknął.

- Uspokój się, tutaj na pewno nie wejdzie - rzekł niezupełnie stanowczym głosem Klapaucjusz. - Co to? Jakby pociemniało... Och!

W tej chwili wielki cień przesłonił niebo, widoczne dotąd przez wylot pieczary, i ukazała się w nim na mgnienie stalowa, gładka, nitami wybijana raz koło razu ściana maszyny, która przywarła powoli do skały. W ten sposób jaskinia została jak gdyby stalową przykrywą szczelnie zamknięta od zewnątrz.

- Jesteśmy uwięzieni... - wyszeptał Trurl, a głos jego drżał tym mocniej, że zapadła całkowita ciemność.

- To było z naszej strony idiotyczne! - ze wzburzeniem zawołał Klapaucjusz. - Pchać się do jaskini, którą mogła zabarykadować! Jak mogliśmy zrobić coś takiego?

- Jak myślisz, na co ona liczy? - spytał po długiej chwili milczenia Trurl.

- Na to, że będziemy chcieli stąd wyjść, do tego nie trzeba specjalnego rozumu.

Znowu zapadło milczenie. Trurl podszedł w czarnym mroku na palcach, wyciągając przed siebie ręce, w stronę, w której znajdował się otwór jaskini i wodził po skale rękami, aż dotknął głębokiej stali, która była ciepła, jakby nagrzana od środka...

- Czuję cię, Trurlu... - zahuczał w zamkniętej przestrzeni żelazny głos. Trurl cofnął się, usiadł na głazie obok przyjaciela i jakiś czas spoczywali bez ruchu. Wreszcie Klapaucjusz szepnął mu:

- Niczego tu nie wysiedzimy, nie ma rady. Spróbuję z nią paktować...

- To beznadziejne - rzekł Trurl. - Ale próbuj, może chociaż ciebie wypuści cało...

- Ależ nie, nie tak! - rzekł mu krzepiąco Klapaucjusz i podszedłszy do niewidzialnego w ciemności otworu skalnego, zawołał:

- Halo, czy słyszysz nas?

- Słyszę - odparła maszyna.

- Słuchaj, chciałbym cię przeprosić. Wiesz... wynikło między nami małe nieporozumienie, ale to przecież drobiazg w gruncie rzeczy. Trurl nie miał zamiaru...

- Zniszczę Trurla! - rzekła maszyna. - Ale przedtem odpowie mi na

pytanie, ile jest dwa a dwa.

- Ach, odpowie ci, i to tak, że będziesz zadowolona i na pewno się z nim pogodzisz, nieprawdaż, Trurlu? - uspokajająco rzekł mediator.

- No, zapewne... - rzekł ów słabym głosem.

- Tak? - powiedziała maszyna. - To ile jest dwa a dwa?

- Czte... to jest siedem - jeszcze ciszej powiedział Trurl.

- Ha, ha! Nie cztery więc, tylko siedem, co? - zahuczała maszyna.

- A widzisz!

- Siedem, naturalnie, że siedem, zawsze było siedem! - gorliwie przytaknął Klapaucjusz. - Czy wypuścisz nas już? - dodał ostrożnie.

- Nie. Niech Trurl jeszcze raz powie, że mu bardzo przykro i ile jest dwa razy dwa...

- A czy puścisz nas, jeśli powiem? - spytał Trurl.

- Nie wiem. Zastanowię się. Nie będziesz mi stawiał warunków. Mów, ile jest dwa razy dwa!

- Ale prawdopodobnie nas wypuścisz? - powiedział Trurl, chociaż Klapaucjusz szarpał go za rękę, szepcząc do ucha: - To idiotka, idiotka, nie sprzeczasz się z nią, błagam!

- Nie wypuszczę, jeśli mi się nie zechce - odparła maszyna. Ale ty i tak powiesz mi, ile jest dwa razy dwa...

Nagła wściekłość zatrzęsa Trurlem.

- O! Powiem ci, powiem! - zakrzyknął. - Dwa a dwa jest cztery i dwa razy dwa jest cztery, choćbyś się na głowie postawiła, choćbyś całe te góry w proch obróciła, morzem się udławiła, niebo wypięła, słyszysz? Dwa a dwa jest cztery!!

- Trurlu! Tyś zwariował! Co ty mówisz? Dwa a dwa jest siedem, proszę pani! Kochana maszyno, siedem! Siedem!!! - wołał Klapaucjusz, usiłując przekrzyczeć przyjaciela.

- Nieprawda! Cztery jest! Tylko cztery, od początku aż do końca świata CZTERY!! - do utraty głosu ryczał Trurl.

Nagle skały pod ich stopami przeszył febryczny dreszcz.

Maszyna odsunęła się od wylotu jaskini, że w jej głąb padł szarawy pobrzask, a zarazem wydała przeciągły krzyk:

- Nieprawda! Siedem! Powiesz zaraz, jak cię chwycę!

- Nie powiem nigdy! - odparował Trurl, jakby mu już było wszystko jedno, a wtedy ze stropu na ich głowy sypnął się kamienny grad, bo maszyna jęła całym swoim ośmiopiętrowym cielskiem raz za razem taranować skalny wiszar i waliła sobą w pionowe zbocze, aż ogromne głązy odpryskiwały od litych skał i z hukiem toczyły się w dolinę.

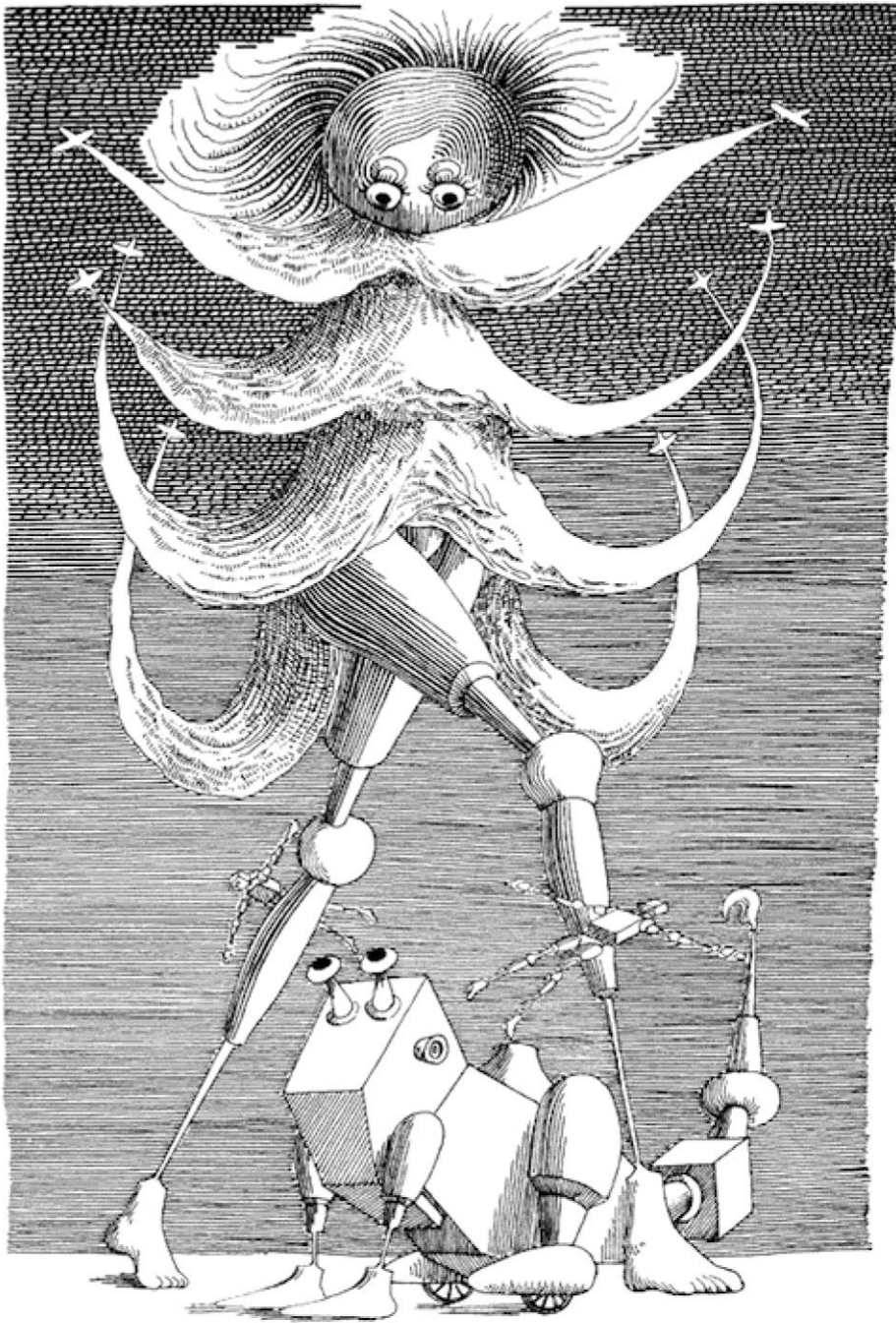
Grzmot wraz z wonią krzemionkowego dymu napełniał jaskinię pospołu z krzesanymi stałą o głąz iskrami, lecz poprzez te piekielne odgłosy szturmu chwilami dawał się słyszeć głos Trurla, wołającego bez ustanku:

- Dwa a dwa jest cztery! Cztery!!!

Klapaucjusz próbował zamknąć mu przemocą usta, lecz, odtrącony gwałtownie, zamilkł i usiadł, okrywając głowę rękami. Maszyna wciąż nie ustawała w piekielnych wysiłkach i zdawało się, że lada chwila strop jaskini runie na uwięzionych, miażdżąc ich i grzebiąc na wieki. Lecz kiedy stracili już wszelką nadzieję, kiedy gryzący pył wypełnił powietrze, coś naraz straszliwie zazgrzytało, dał się słyszeć powolny grom, silniejszy od wszystkich odgłosów zaciekłego kucia i dobijania się, potem powietrze zawyło, czarna ściana, zasłaniająca otwór, znikła jak zdmuchnięta przez wichur, w dół poszła lawina olbrzymich złomów skalnych. Echo grzmotów toczyło się jeszcze przez dolinę, odbijane od gór, kiedy obaj przyjaciele dopadli wyjścia jaskini i wychyliwszy się do połowy ciała, ujrzeli maszynę, jak leżała pogruchatana i spłaszczona wywołanym przez siebie skalnym obwałem, z olbrzymim głazem pośrodku swych ośmiu pięter, który przełamał ją niemal na pół. Zeszli ostrożnie po kurzącym się mąką skalną rumowisku. Aby dotrzeć do koryta wyschłego potoku, musieli przejść tuż obok zewłoku leżącej na płask maszyny, wielkiego jak okręt wyrzucony na brzeg. Nic nie mówiąc, zatrzymali się obaj jednocześnie pod jej wgniecioną, stalową flanką. Maszyna ruszała się jeszcze słabo i słyszeć było, jak w jej wnętrzu z gasnącym hurkotem coś krąży.

- A więc taki twój niesławny koniec i dwa a dwa jest dalej - zaczął Trurl, lecz w tejże chwili maszyna zaszumiała słabo i niewyraźnie, ledwo słyszalnie, po raz ostatni wybełkotała: - SIEDEM.

Potem coś cienko zgrzytnęło w jej wnętrzu, kamienie posypały się z wierzchu i zamarła, przeistoczona w bryłę martwego żelastwa. Obaj konstruktorzy spojrzeli na siebie, a potem, bez jednego słowa, jęli, nie odzywając się do siebie, wracać korytem wyschłego strumienia.



WIELKIE LANIE

Ktoś zapukał do domu konstruktora Klapaucjusza, który uchylił drzwi, wystawił głowę na zewnątrz i zobaczył brzuchatą maszynę na czterech krótkich nogach.

- Kim jesteś i czego chcesz? - spytał.

- Jestem Maszyną Do Spełniania Życzeń, a przysłał mnie do ciebie twój przyjaciel i wielki kolega, Trurl, jako podarek.

- Jako podarek? - rzekł Klapaucjusz, którego uczucia dla Trurla były dosyć mieszane, a szczególnie nie spodobało mu się to, że maszyna nazwała Trurla jego „wielkim kolegą”. - No, dobrze - zdecydował po krótkim namyśle - możesz wejść.

Kazał jej stanąć w kącie obok pieca i, nie zwracając na nią pozornie uwagi, wrócił do przerwanej pracy. Budował baniastą maszynę na trzech nogach. Była już prawie gotowa i tylko ją polerował. Po jakimś czasie Maszyna Do Spełniania Życzeń odezwała się:

- Przypominam o swej obecności.

- Nie zapomniałem o niej - rzekł Klapaucjusz i dalej robił swoje. Po chwili maszyna się odezwała:

- Można wiedzieć, co robisz?

- Jesteś Maszyną Do Spełniania Życzeń czy Do Stawiania Pytań? - rzekł Klapaucjusz i dodał: - Potrzebuję niebieskiej farby.

- Nie wiem, czy będzie w odcieniu, jakiego potrzebujesz - odparła maszyna, wysuwając przez klapkę w brzuchu puszkę farby. Klapaucjusz otworzył ją, bez słowa zanurzył w niej pędzel i wziął się do malowania. Do wieczora zażądał jeszcze po kolei szmergla, karborundu, wiertła i białej farby oraz śrubek, a za każdym razem maszyna dawała mu natychmiast to, czego sobie życzył. Pod wieczór zakrył budowany przyrząd kawałkiem płachty, posilił się, usiadł naprzeciw maszyny na małym trójnogu i rzekł:

- Zobaczmy teraz, czy coś potrafisz. Powiadasz, że umiesz robić wszystko?

- Wszystko nie, ale wiele - odparła skromnie maszyna. - Czy zadowolili cię farby, śrubki i wiertła?

- A, owszem, owszem! - odparł Klapaucjusz. - Ale zażadam teraz od ciebie rzeczy daleko trudniejszej. Jeśli jej nie zrobisz, odeślę cię do twego pana z odpowiednim podziękowaniem i opinią.

- A cóż to takiego? - spytała maszyna i przestąpiła z nogi na nogę.

- To Trurl - wyjaśnił Klapaucjusz. - Masz mi zrobić Trurla, takuteńkiego jak prawdziwy. Żeby jeden był nie do odróżnienia od drugiego!

Maszyna pomruczała, pobrzęczała, poszumiała i rzekła:

- Dobrze, zrobię ci Trurla, ale obchodź się z nim ostrożnie, bo to bardzo wielki konstruktor!

- Ach, rozumie się, możesz być spokojna - odparł Klapaucjusz.

- No i gdzież ten Trurl?

- Co? Tak zaraz? Przecież to nie byle co - rzekła maszyna. - To musi chwilę potrwać. Trurle - to nie śrubki ani lakiery!

Jednakże nad podziw szybko zatrąbiła, zadzwoniła, w brzuchu otwarły się jej spore drzwiczki i z ciemnego wnętrza wyszedł Trurl. Klapaucjusz wstał, obszedł go, przyjrzał mu się z bliska, obmacał go dokładnie i ostukał, ale nie było żadnej wątpliwości - miał przed sobą Trurla jak dwie krople wody podobnego do oryginału. Trurl, który wyszedł z brzucha maszyny, mrużył oczy od światła, ale poza tym zachowywał się całkiem zwyczajnie.

- Jak się masz, Trurlu! - powiedział Klapaucjusz.

- Jak się masz, Klapaucjuszu! Ale skąd ja się tu właściwie wzięłem?

- odparł, wyraźnie zdziwiony, Trurl.

- A, tak, ot, po prostu zaszedłeś... Dawno cię nie widziałem. Jak ci się u mnie podoba?

- Owszem, owszem... Co to masz tam pod tą płachtą?

- Nic takiego. Może siądziesz?

- E, kiedy zdaje mi się, że już późno. Ciemno na dworze, chyba pójdę do domu.

- Nie tak prędko, nie tak zaraz! - zaprotestował Klapaucjusz.

- Chodź najpierw do piwnicy, zobaczysz, jakie to będzie interesujące...

- A cóż masz takiego w piwnicy?

- Jeszcze nie mam, ale będę zaraz miał. Chodź, chodź... I, poklepując go, sprowadził Klapaucjusz Trurla do piwnicy, tam zaś podstawił mu nogę, a gdy ów upadł, związał go, a potem grubym drągiem zaczął go tłuc na kwaśne jabłko. Trurl wrzeszczał wniebogłosy, wzywał pomocy, na przemian kłął i prosił zmiłowania, lecz nic to nie pomagało - noc była ciemna i pusta, a Klapaucjusz walił go dalej, aż huczało.

- Oj! Au! Dlaczego mnie tak bijesz?! - wołał Trurl, uchylając się przed razami.

- Bo mi to sprawia przyjemność - wyjaśnił Klapaucjusz i

zamachnął się. - Tegoś jeszcze nie spróbował, mój Trurlu!

I uderzył go w głowę, aż zadzwoniła jak beczka.

- Puść mnie natychmiast, bo pójde do króla i powiem, co ze mną robiłeś, a wtrąci cię do lochu!! - krzyczał Trurl.

- Nic mi nie robi. A wiesz, czemu? - spytał Klapaucjusz i usiadł na ławce.

- Nie wiem - rzekł Trurl rad, że nastąpiła przerwa w biciu.

- Bo ty nie jesteś prawdziwym Trurlem. On jest u siebie, zbudował Maszynę Do Spełniania Życzeń i przysłał mi ją w darze, a ja, żeby ją wypróbować, kazałem jej sporządzić ciebie! Teraz odkręcę ci głowę, postawię pod moim łóżkiem i będę jej używał jako pachołka do ściągania butów!

- Jesteś potworem! Dlaczego chcesz to zrobić?!

- Powiedziałem ci już: bo mi to sprawia przyjemność. No, dość tego pustego gadania! - To mówiąc, Klapaucjusz ujął kij w obie ręce, a Trurl zaczął krzyczeć:

- Przestań! Przestań natychmiast! Powiem ci coś bardzo ważnego!!

- Ciekawym, co możesz mi takiego powiedzieć, co by mnie powstrzymało od używania twej głowy jako pachołka do butów - odparł Klapaucjusz, ale przestał go bić. Trurl zawołał wtedy:

- Wcale nie jestem Trurlem zrobionym przez maszynę! Jestem prawdziwym Trurlem, najprawdziwszym w świecie, i chciałem się tylko dowiedzieć, co robisz od tak dawna, zamknąwszy się w domu na cztery spusty! Zbudowałem więc maszynę, schowałem się w jej brzuchu i kazałem się zanieść do twego domu pod pozorem, że ona jest podarkiem ode mnie dla ciebie!

- Proszę, proszę, ależ historyjkę wymyśliłeś i to tak na poczekaniu! - rzekł Klapaucjusz i wstając, ścisnął w ręku grubszy koniec kija. - Możesz się nie wysilać, widzę twoje kłamstwa na wylot. Jesteś Trurlem zrobionym przez maszynę, spełnia ona wszystkie życzenia, dzięki niej dostałem śrubki i białą farbę, jak również niebieską, wiertła i inne rzeczy. Jeżeli potrafiła zrobić tamto, potrafiła zrobić i ciebie, mój kochany!

- Miałem to wszystko przygotowane w jej brzuchu! - zawołał Trurl. - Nie było trudno przewidzieć, czego będziesz potrzebował podczas pracy! Przysięgam, że mówię prawdę!

- Gdyby to była prawda, oznaczałaby, że mój przyjaciel, wielki konstruktor Trurl, jest zwyczajnym oszustem, a w to nigdy nie uwierzę! - odparł Klapaucjusz. - Masz!

I zdzielił go od ucha w plecy.

- To za oszczerstwa rzucone na mego przyjaciela Trurla.

- Masz jeszcze raz!

I dołożył mu z drugiej strony. Potem bił go jeszcze, grzmocił i tłukł, aż się zmęczył.

- Pójdę się teraz zdrzemnąć nieco i w ten sposób odpocznę - rzekł wyjaśniająco i odrzucił kij. - A ty poczekaj sobie, niebawem wrócę...

- Kiedy odszedł, a po całym domu rozeszły się odgłosy jego pochrapywania, Trurl póty jał wić się w sznurach, aż rozluźnił je, potem porozsupływał węzły, pobiegł cicho na górę, wlaźł do środka maszyny i ruszył w niej z kopyta do domu. Klapaucjusz zaś, śmiejąc się w kułak, patrzył przez górne okienko na jego ucieczkę. Nazajutrz udał się z wizytą do Trurla. Ten wpuścił go do izby, milcząc ponuro. W izbie panował półmrok, lecz bystry Klapaucjusz i tak spostrzegł, że korpus i głowa Trurla noszą ślady wielkiego lania, jakie mu spuścił, chociaż widać było, że Trurl porządnie się napracował, wyklepując i prostując wgłębienia uczynione razami.

- Cóżes taki posepny? - zagadnął wesoło Klapaucjusz. - Przyszedłem podziękować ci za piękny podarek, szkoda tylko, że podczas mego snu umknął, zostawiając otwarte drzwi, jakby się paliło!

- Wydaje mi się, że uczyniłeś niewłaściwy użytek z mego podarunku, aby nie powiedzieć więcej! - wybuchnął Trurl. - Maszyna opowiedziała mi wszystko, nie musisz się fatygować - dodał ze złością, widząc, że Klapaucjusz otwiera usta. - Kazałeś jej zrobić mnie, mnie samego, a potem podstępem sprowadziłeś duplikat mej osoby do piwnicy i tam najstraszliwiej go zbiłeś! I po takiej wyrządzonej mi zniewadze, po takiej podzięce za wspianiały dar ośmielasz się jeszcze, jak gdyby nigdy nic, przychodzić do mnie? Co masz mi do powiedzenia?

- Zupełnie nie pojmuję twego gniewu - odparł Klapaucjusz.

- Istotnie, kazałem maszynie zrobić twoją kopię. Powiadam ci, była doskonała, wprost zdumiałem się na jej widok. Co się tyczy bicia, maszyna musiała mocno przesadzić - istotnie, szturchnąłem parę razy tego zrobionego, bo chciałem wypróbować, czy jest solidnie wykonany, byłem też ciekaw, jak na to zareaguje. Okazał się nadzwyczajnie bystry. Z miejsca opowiedział mi wymyśloną historyjkę, jakobyś to był ty sam we własnej osobie; nie dałem mu wiary, a wtedy zaczął przysięgać, że wspianiały dar nie był darem, lecz zwykłym oszukaństwem; rozumiesz chyba, że w obronie twego honoru, honoru mojego przyjaciela, musiałem go za tak bezczelne kłamstwa złościć. Przekonałem się jednak, że wykazuje

wybitną inteligencję, a więc nie tylko fizycznie, ale i duchowo przypominał cię, mój drogi. Jesteś, zaiste, wielkim konstruktorem, to tylko chciałem ci powiedzieć i w tym celu przyszedłem tak wcześnie!

- Ach! No, tak, zapewne - odparł już nieco udobruchany Trurl. - Co prawda użytek, jaki zrobiłeś z Maszyny Do Spełniania Życzeń, nie wydaje mi się w dalszym ciągu najszcześniejszy, ale niech ci będzie...

- A, prawda, chciałem cię właśnie spytać, co właściwie zrobiłeś z tym sztucznym Trurlem? - spytał niewinnie Klapaucjusz. Czy mógłbym go zobaczyć?

- Był wprost szalony z wściekłości! - odparł Trurl. - Groził, że strzaska ci czaszkę, zaczaiwszy się koło tej wielkiej skały przy twoim domu, a kiedy usiłowałem mu to wyperswadować, skakał mi do oczu, w nocy zaś jał pleść z drutów wnyki i sieci na cię, mój drogi, więc chociaż uważałem, że to mnie obraziłeś w jego osobie, powodowany pamięcią o naszej starej przyjaźni, aby usunąć ci z drogi grożące niebezpieczeństwo (bo on się aż zapamiętał), rozebrałem go, nie widząc innego wyjścia, na drobne części...

To mówiąc, Trurl jakby od niechcienia tracił nogą walające się po podłodze, rozwłózione szczątki mechanizmów.

Po czym pożegnali się ciepło i rozstali jako serdeczni przyjaciele. Od tej pory Trurl nie robił nic innego, tylko na lewo i na prawo opowiadał całą historię, jak to obdarował Klapaucjusza Maszyną Do Spełniania Życzeń, jak obdarowany postąpił niepięknie, każąc jej zrobić sobie Trurla i spuścił mu lanie, jak wspaniale sporządzona przez maszynę kopia zręcznymi kłamstwami usiłowała wydobyć się z opresji i umknęła, ledwo zmęczony Klapaucjusz ułożył się do snu, a on sam, Trurl, rozebrał na kawałki zrobionego Trurla, który przybiegł do jego domostwa, uczynił zaś tak tylko po to, by uchronić swego przyjaciela od zemsty pobitego. I póty opowiadał i chwalił się, i puszył, i przyzywał świadectwo Klapaucjusza, aż wieść o tej dziwnej przygodzie doszła na dwór królewski i nikt już tam nie wyrażał się o

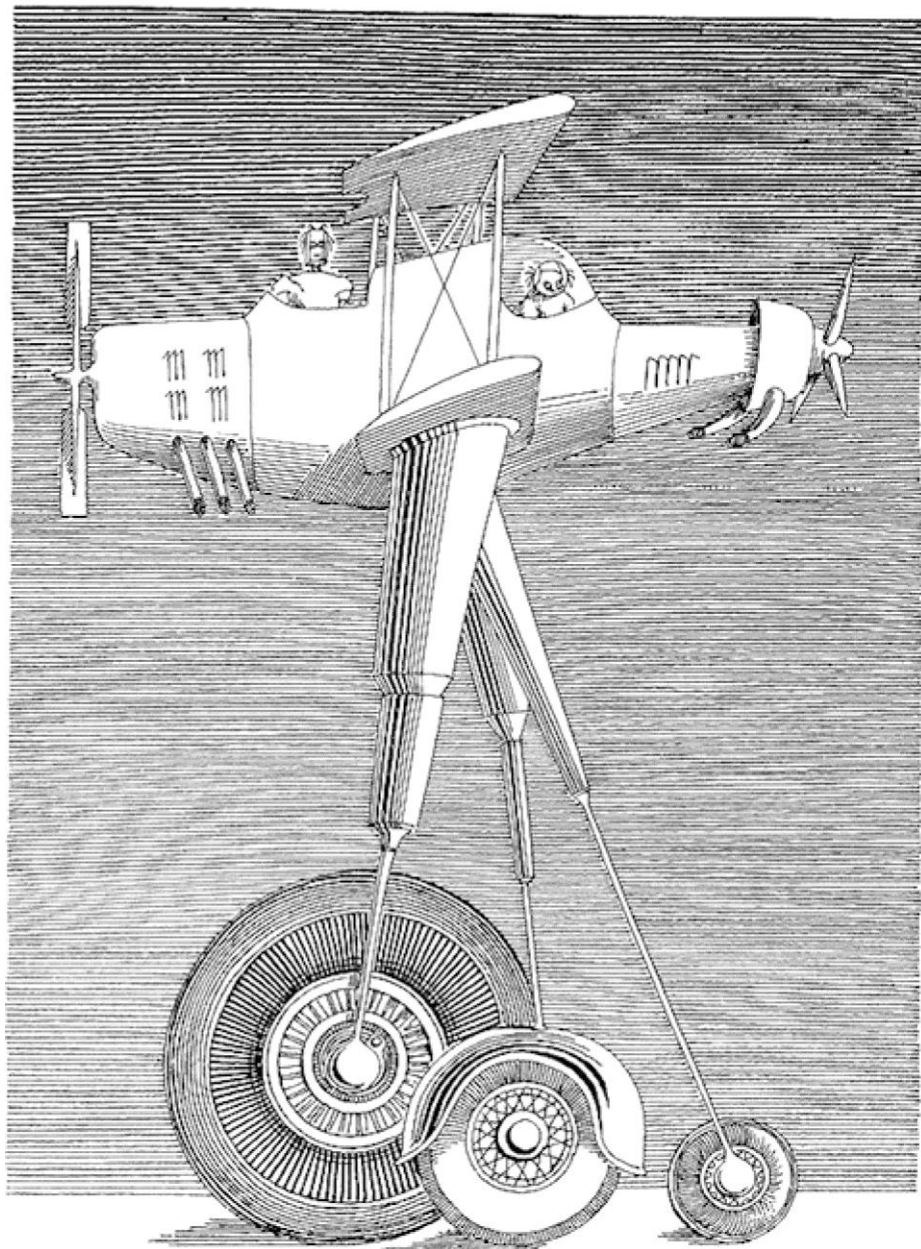
Trurlu inaczej, jak tylko z największym podziwem, choć do niedawna jeszcze powszechnie zwano go Konstruktorem Najgłupszych Maszyn Rozumnych na świecie. A kiedy Klapaucjusz posłyszał, że sam król obficie obdarował Trurla i odznaczył go Orderem Wielkiej Sprężyny i Gwiazdą Helikonoidalną, zawołał wielkim głosem:

- Jak to? Więc za to, że udało mi się go przechytrzyć, kiedym go przejrzał, kiedy spuściłem mu setne baty, że musiał się potem klepać i łatać, jak niepyszny uciekły na pokrzywionych nogach nocą z mojej

piwnicy, za to wszystko opływa teraz w dostatki, a jakby tego było mało, król odznacza go jeszcze orderem? O, świecie, świecie!...

I okropnie rozgniewany wrócił do domu, aby zamknąć się w nim na cztery spusty. Budował bowiem taką samą Maszynę Do Spełniania Życzeń jak i Trurl, tylko tamten wcześniej ją skończył.

SIEDEM WYPRAW TRURLA I KLAPAJCJUSZA



WYPRAWA PIERWSZA, CZYLI PUŁAPKA GARGANCJANA

Kiedy Kosmos nie był jeszcze tak rozregulowany jak dziś, a wszystkie gwiazdy stały porządnie poustawiane, tak że łatwo dało się je policzyć od lewej ku prawej albo z góry na dół, przy czym osobno grupowały się większe i bardziej niebieskie, a mniejsze i żółknące jako ciała drugiej kategorii poupychane były po kątach, gdy w przestrzeni ani śladu nikt nie znalazł wszelakiego kurzu, pyłu i śmiecia mgławicowego, w owych dobrych, dawnych czasach panował zwyczaj, że konstruktorzy posiadający Dyplom Omnipotencji Perpetualnej z wyróżnieniem wyprawiali się kiedy niekiedy w podróże, aby dalekim ludom nieść dobrą radę i pomoc. Zdarzyło się więc, że zgodnie z ową tradycją wyprawili się Trurl i Klapaucjusz, którzy tak umieli gwiazdy stwarzać lub gasić, jakby ktoś orzechy łuskał. Kiedy wielkość przebytej otchłani zatarła już w nich ostatnie wspomnienie ojczystego nieba, ujrzeni przed sobą planetę, nie za dużą i nie za małą, w sam raz, z jednym jedynym kontynentem. Jego środkiem biegła linia całkiem czerwona, wszystko zaś, co znajdowało się z jednej strony, było żółte, a to co z drugiej - różowe. Zrozumieli więc, że mają przed sobą dwa sąsiadujące państwa, i postanowili naradzić się przed lądowaniem.

- Skoro tu są dwa państwa - rzekł Trurl - sprawiedliwie będzie, jeśli ty udasz się do jednego, a ja do drugiego. Dzięki temu nikt nie zostanie pokrzywdzony.

- Dobrze - odparł Klapaucjusz - ale co będzie, jeśli zażądamy od nas środków wojennych? To się zdarza.

- Istotnie, mogą domagać się broni, nawet cudownej - zgodził się Trurl. - Ustalmy, że twardo odmówimy.

- A jeśli będą nastawali gwałtownie? - zareplikował Klapaucjusz.

- I tak bywa.

- Zbadamy to - rzekł Trurl i włączył radio, z którego buchnęła zaraz dziarska muzyka wojskowa.

- Mam pomysł - rzekł Klapaucjusz, wyłączając radio. - Możemy zastosować receptę Gargancjana. I cóż ty na to?

- Ach, recepta Gargancjana! - wykrzyknął Trurl. - Nigdy nie słyszałem, aby ją ktoś stosował. Ale można zrobić początek. Czemu nie?

- Każdy z nas będzie gotów ją zastosować - wyjaśnił Klapaucjusz - ale koniecznie musimy to zrobić obaj, inaczej wszystko skończy się całkiem niedobrze.

- Och, to głupstwo - rzekł Trurl. Wyjął zza pazuchy złote puzderko i otworzył je. W środku leżały na aksamicie dwie białe kuleczki.

- Weź jedną, przy mnie zostanie druga - powiedział. - Co wieczór obejrzysz swoją kuleczkę; jeśli zaróżowi się, będzie to oznaczało, że zastosowałem przepis. Wtedy i ty zrobisz to samo.

- A zatem umowa stoi - rzekł Klapaucjusz, schował kuleczkę, po czym wyładowali, uścisnęli się i ruszyli w przeciwne strony.

Państwem, do którego trafił Trurl, rządził król Potworyk. Był to militarysta z dziada pradziada, a przy tym sknera iście kosmiczny. Aby ulżyć skarbowi, zniósł wszystkie kary z wyjątkiem głównej. Ulubionym jego zajęciem było likwidowanie zbędnych urzędów, odkąd zaś zniósł urząd kata, każdy skazany musiał ścinać się sam lub, przy wyjątkowej łasce królewskiej, z pomocą bliższej rodziny. Ze sztuk popierał tylko niewymagające ekspensów, jak chóralne recytacje, grę w szachy i gimnastykę wojskową. W ogóle wojenne sztuki cenił nadzwyczajnie, jako że wygrana wojna przynosi znaczne dochody; lecz z drugiej strony do wojny można się porządnie przygotować tylko w czasach pokoju, dlatego król popierał go, chociaż z umiarem. Największą reformą Potworyka było upaństwowienie zdrady stanu. Kraj sąsiedni nasyłał mu szpiegów; monarcha utworzył więc urząd Sprzedawcy vel Sprzedawczyka Koronnego, który za pośrednictwem podwładnych sobie urzędników za sutymi opłatami przekazywał wrazym agentom tajemnice państwowe; ajenci owi kupowali raczej przestarzałe, bo były tańsze, a musieli się wyliczać z wydatków przed własną skarbowością.

Poddani Potworyka wstawali wcześniej, nosili się skromnie i udawali na spoczynek późno, bo wiele pracowali. Robili kosze do szańców i faszyny, a także broń i donosy. Aby się państwo nie rozleciało od nadmiaru tych ostatnich, gdyż podobny kryzys nastąpił za Bardzolimusa Stuokiego przed wieluset laty, ten, kto składał zbyt wiele donosów, płacił specjalny podatek od luksusu. Tak więc utrzymywały się one na rozsądnym poziomie. Dotarłszy na dwór Potworyka, Trurl zaofiarował mu swoje służby, król zaś, jak łatwo można się domyślić, zażądał odeń sporządzenia potężnych broni wojennych. Trurl poprosił o trzy dni do namysłu, a kiedy udał się do wyznaczonej mu skromnej kwatery, obejrzał kuleczkę w złotym puzderku. Była biała, lecz kiedy patrzył na nią, jęła się z wolna rumienić.

- Oho - rzekł sobie - trzeba się brać za Gargancjana! - i zaraz siadł do tajnych notatek.

Klapaucjusz znajdował się tymczasem w drugim państwie, którym

władał potężny król Megieryk. Wyglądało tam wszystko całkiem inaczej niż w Potworii. I ten monarcha też ląkał pochodów bitewnych, i onłożył na zbrojenie, lecz czynił to w sposób światły, bo był niezmiernie szczodropliwości panem, a jego wrażliwość na sztukę nie miała sobie równych. Kochał się król ów w mundurach i złotych sznurach, w lampasach i kutasach, w akselbantach, portierach z dzwonekami, pancernikach i szlifach. Był naprawdę bardzo wrażliwy: ile razy spuszczał na wodę nowy pancernik, cały aż się trząsał. Hojnie szafował środkami na malarstwo batalistyczne, płacąc przy tym ze względów patriotycznych od ilości poległych wrogów, tak więc na panoramach, których bez liku mieściło królestwo, piętrzyły się pod niebo góry wrażliwych trupów. W życiu codziennym łączył absolutyzm z oświeceniem, a surowość ze wspaniałomyślnością. W każdą rocznicę swego wstąpienia na tron wprowadzał reformy. Raz kazał umaić wszystkie gilotyny, raz nasmarować je, aby nie skrzypiały, raz - pozłocić miecze katowskie, nie zapominając o nakazie wyostrzenia ich ze względów humanitarnych. Szeroką miał naturę, ale rozrzutności nie pochwalał, dlatego specjalnym dekretem znormalizował wszystkie koły, pały, śruby, kluby i kajdany. Egzekucje nieprawomyślnych, zresztą rzadkie, odbywały się hucznie i bogato, w ordynku i szyku, z pociechą duchowną, namaszczeniem, pośród maszerujących czworoboków z lampasami i pomponami. Miał też ów światły monarcha teorię, którą wcielał w życie, a była to teoria szczęścia powszechnego. Wiadomo wszak, że człowiek nie dlatego się śmieje, że jest wesoły, ale dlatego jest wesoły, ponieważ się śmieje. Kiedy wszyscy mówią, że jest świetnie, zaraz nastroje się poprawiają. Poddani Megieryka obowiązani więc byli dla własnego, rozumie się, dobra powtarzać w głos, że mają się wprost nadzwyczajnie, a dawną, niejasną formułkę powitania: „Dzień dobry” - król zamienił na korzystniejszą: „Jakdobrze!” - przy czym dzieciom do czternastego roku życia wolno było mówić: „Hu, ha!” - starcom zaś: „Dobrzejak!”.

Megieryk radował się, widząc, jak krzepnie duch w narodzie; kiedy przejeżdżając ulicami karocą w kształcie pancernika, widział wiwatujące tłumy i łaskawie pozdrawiał je ruchami ręki monarszej, one zaś na wypródki wołały: „Hu, ha! - „Dobrzejak!” - i: „Czarownie!”. Był zresztą demokratycznego usposobienia. Lubił niezmiernie wdawać się w krótkie, marsowe pogawędki ze starymi wiarusami, co to z niejednego pieca chleb jadał, ląkał opowieści bitewnych prawionych na biwakach i bywało, że kiedy przyjmował na audiencji jakiegoś obcego dygnitarza, palnąwszy się ni z tego, ni z owego buzdyganem w kolano, wołał: „Góra

nasi!" - albo:

„Zagwoździć mi ten pancernik!" - lub: „A niechże mię kule biją!". Niczego bowiem tak nie ubóstwiał, w niczym się tak nie kochał jak w krzepie, w męstwie swojackim, w pierogach na gorzałce z prochem, sucharach i jaszczkach, jak również kartaczach. Dlatego, gdy bywał smętny, kazał defilować przed sobą pułkom, które śpiewały: „Wojsko gwintowane" - „Na szmelc rzuciliśmy swój życia felc" - „Dzwoni mutra, czekaj jutra" - albo starą koronną: „Chwyć majzel wraz z ferszlusem, na bagnety ruszę kłusem". I nakazał, aby kiedy zemrze, stara gwardia zaśpiewała mu nad grobem ulubioną jego pieśń: „Stary robot rdzewieć musi".

Klapaucjusz nie od razu dostał się na dwór wielkiego monarchy. W pierwszej miejscowości, do jakiej trafił, dobijał się do różnych domostw, ale nikt mu nie otworzył. Wreszcie ujrzał na pustej całkiem ulicy małe dziecko, które podeszło doń i spytało cienkim głosem:

- Kupi pan? Tanio sprzedam.

- Być może kupię, ale co? - spytał zdziwiony Klapaucjusz.

- Tajemniczkę państwową - odparło dziecko, ukazując spod rąbka koszulki brzeżek planu mobilizacyjnego. Klapaucjusz zdziwił się jeszcze bardziej i rzekł:

- Nie, dziecinko, nie potrzebuję tego. Nie wiesz, gdzie tu mieszka jakiś sołtys?

- A na czo panu szołtysz? - spytało dziecko, które seplenilo.

- A mam z nim do pomówienia.

- Na osobności?

- Może być i na osobności.

- To pan potrzebuje ajenta? To mój tata by się nadał. Pewny i niedrogo.

- Pokażże mi tego tatę - rzekł Klapaucjusz, widząc, że inaczej się z tej rozmowy nie wywikła. Dzieciątko zawiodło go do jednego z domostw; wewnątrz, przy lampie świecącej, choć był pełny dzień, siedziała rodzina - sędziwy dziadek na bujaku, babka robiąca pończochę na drutach i dojrzałe, rozrosłe ich potomstwo; a każdy zajęty swoim, jak to w domu. Na widok Klapaucjusza wstali i rzucili się na niego; druty okazały się kajdankami, lampa mikrofonem, a babka miejscowym naczelnikiem policji.

- Widać zaszło nieporozumienie - pomyślał Klapaucjusz, kiedy wtracono go do lochu, uprzednio poturbowawszy. Cierpliwie czekał przez całą noc, bo i tak nic innego nie mógł robić. Świt osrebrzył pajęczyny na kamiennych ścianach i porzewiałe resztki dawniejszych więźniów; po

jakimś czasie zaprowadzono go na przesłuchanie. Okazało się, że zarówno osiedle, jak i domy oraz dziecko były podstawione: w ten sposób z mańki zażywano wraźych agentów. Proces sądowy Klapaucjuszowi nie groził, postępowanie było bowiem krótkie. Za próbę kontaktu z tatarsprzedawczykiem należała mu się gilotynacja trzeciej klasy, ponieważ administracja miejscowa fundusze na przekupywanie wrogich szpiegów już w owym roku budżetowym wydała, Klapaucjusz zaś żadnej państwowej tajemnicy, mimo powtarzanych namów, ze swej strony nabyć nie chciał; dodatkowo obciążał go brak poważniejszej przy nim gotówki. Mówił wciąż swoje, oficer przesłuchujący nie dawał wszakże jego słowom wiary, zresztą gdyby i chciał, uwolnienie więźnia nie leżało w jego kompetencji. Sprawie nadano wszakże bieg wyższy, w międzyczasie poddając Klapaucjusza torturom, więcej ze służbistości niż z rzeczywistej potrzeby. Po tygodniu sprawa jego wzięła pomyślny obrót: ochędożonego wysłano do stolicy, tam zaś, poinstruowany o przepisach dworskiej etykiety, dostąpił zaszczytu osobistej audiencji u króla. Dostał nawet trąbkę, każdy bowiem obywatel obwieszczał w miejscach urzędowych swe przybycie i odmaszerowanie otrąbieniem, a służbistość powszechna była taka, że wschód słońca nie liczył się w całym państwie bez pobudki.

Megieryk istotnie zażądał odeń nowej broni; Klapaucjusz przyobiecał spełnić to żądanie monarsze; pomysł jego, zapewnił, jest przewrotem podstaw działania wojennego. Jaka - spytał najpierw - armia jest niezwyciężona? Taka, która ma lepszych dowódców i karniejszych żołnierzy. Dowódca rozkazuje, a żołnierz słucha; pierwszy musi być zatem mądry, a drugi - karny. Mądrości jednak umysłu, nawet wojskowego, położone są naturalne granice. Nadto genialny dowódca może trafić na równego sobie. Może też paść na polu chwały, osierocając swój oddział, jak również uczynić coś jeszcze gorszego, gdy, niejako zawodowo zaprawiony do myślenia, przedmiotem jego uczyni władzę. Czyż nie jest niebezpieczna czereda ordzewiałych w bojach sztabowców, którym myślenie polowe zglejowało skronie, że aż zaczyna im się zachciewać tronu? Czy nie upadły przez to liczne już królestwa? Jak z tego widać, dowódcy są jeno złem koniecznym; rzecz w tym, by konieczność tę zlikwidować. Dalej - karność armii na tym polega, by wykonywała dokładnie rozkazy. Idealem regulaminowym jest taka, co z tysięcy piersi i myśli czyni jedną pierś, myśl i wolę. Temu służy cała wojskowa dyscyplina, musztra, manewry i ćwiczenia. Otóż celem niedościgłym wydaje się taka armia, która by działała dosłownie jak jeden mąż, sama sobie będąc twórcą i realizatorem strategicznych

planów. Któż jest wcieleniem takiego ideału? Tylko jednostka, nikogo bowiem nie słucha się tak chętnie jak siebie i nikt wydawanych rozkazów tak ochoczo nie wypełnia jak ten, kto sam je sobie wydaje. Nadto nie może jednostka pójść w rozsypkę, odmówić samej sobie posłuszeństwa czy wręcz przeciwko sobie szemrać. Rzecz więc w tym, aby tę gotowość posłuchu, tę miłość własną, która przedstawia indywiduum, uczynić własnościami tysięcznych szeregów. Jak to zrobić? Tu przeszedł Klapaucjusz do wyjaśniania zasłuchanemu królowi prostych, jak wszystko genialne, idei mistrza Gargancjana.

- Każdemu poborowemu - wyjął - wkręca się z przodu wtyczkę, a z tyłu rozetkę. Na rozkaz: „Połącz się” - wtyczki wskakują do rozetek i tam, gdzie przed chwilą znajdowała się banda cywilów, pojawia się oddział wojska doskonałego. Gdy oddzielne umysły, zajęte dotąd pozakoszarowymi głupstwami, zlewają się w jedność dosłowną wojskowego ducha, nie tylko automatycznie pojawia się karność, widoma w tym, iż armia cała robi zawsze to samo, bo jest jednym duchem w milionach ciał, lecz zarazem pojawia się mądrość. A mądrość owa jest wprost proporcjonalna do liczebności. Pluton posiada psyche podoficerską; kompania jest mądra jak sztabskapitan, batalion - jak pułkownik dyplomowany, a dywizja, nawet rezerwy, warta jest wszystkich strategów razem wziętych. W ten sposób można dojść do formacji genialnych wprost przerażająco. Wydanych rozkazów nie mogą one nie wykonać, któż bowiem nie słucha samego siebie? Tym sposobem kładzie się kres fanaberiom i wyskokom jednostek, zależności od przypadkowych uzdolnień dowódców, ich wzajemnym zawiściom, rywalizacjom, konfliktom; oddziałów raz połączonych rozłączać już nie należy, bo nie dałoby to nic oprócz rozgardiaszu. - Armia bez wodzów sama sobie wodzem - oto moja idea! - zakończył Klapaucjusz swą przemowę, która wielkie wrażenie zrobiła na królu.

- Odejdź wasze na kwaterę - rzekł wreszcie monarcha - a ja naradzę się z moim sztabem generalnym...

- Och, nie czyn tego, Wasza Królewska Mość! - zawołał chytrze Klapaucjusz, udając znaczne pomieszanie. - To samo właśnie zrobił cesarz Turbuleon, a sztab jego, w obronie posiadłości własnych, utracił projekt, za czym sąsiad Turbuleona, król Emaliusz, napadł zreformowaną armią państwo cesarza i obrócił je w perzynę, choć miał siły ośmiokrotnie słabsze!

Po tych słowach udał się do przeznaczonego mu apartamentu i obejrzał kuleczkę, która była jak buraczek; z czego pojął, że Trurl działa

podobnie u króla Potworyka. Wnet sam król zlecił mu przeróbkę jednego plutonu piechoty; za czym mały ów oddziałek połączył się duchem w jedno, krzyknął: „Bij, zabij” - i stoczywszy się z pagórka na trzy szwadrony kirasjerów królewskich, zbrojne po zęby i dowodzone przez sześciu wykładowców Akademii Sztabu Generalnego, rozniósł je w puch. Bardzo się zasmucili wszyscy marszałkowie wielcy i polni, generałowie i admirałowie, których król posłał zaraz na pensję, a przekonany całkowicie do przewrotnego wynalazku, kazał Klapaucjuszowi przerobić całą armię.

Jakoż fabryki rusznikarsko-elektrykarskie dniem i nocą jeły wytwarzać wagony wtyczek, które wkręcano, gdzie należało, we wszystkich koszarach. Klapaucjusz jeździł na inspekcje od garnizonu do garnizonu, otrzymawszy od króla mnóstwo orderów; Trurl, krzątający się podobnie w państwie Potworykowym, musiał, dla znanej oszczędności owego monarchy, zadowolić się dożywotnim tytułem Wielkiego Sprzedawcy Ojczyzny. Oba państwa gotowały się tedy do działań wojennych. W gorączce mobilizacyjnej szykowano zarówno broń konwencjonalną, jak i nuklearną, pucując od świtu do zmierzchu armaty i atomy, aby błyszczały zgodnie z regulaminem. Konstruktorzy, którzy nie mieli już właściwie nic do roboty, wzięli się chyłkiem do pakowania manatków, aby spotkać się, kiedy przyjdzie pora, w umówionym miejscu, przy statku pozostawionym w lesie.

Tymczasem dziwy rozmaite działy się w koszarach, szczególnie piechoty. Kompanie nie musiały już uczyć się musztry ani nie potrzebowały odliczania, by poznać swą liczebność, podobnie jak nie myli lewej nogi z prawą ten, kto ma obie, i nie musi liczyć, aby się dowiedzieć, że jest go raz. Radość była patrzeć, jak takie nowe oddziały maszerowały, jak robiły „w lewo zwrot!” i „baczność!”; po ćwiczeniach atoli kompania zaczynała się przerzucać pogwarkami z innymi, tak więc przez otwarte okna koszarowych baraków pohukiwano sobie na wypródki o pojęciu prawdy koherentnej, o sądach analitycznych i syntetycznych *a priori* lub o bycie jako takim, gdyż do tego już doszła zbiorowa rozumność. Dopracowano się i postaw filozoficznych, aż wreszcie pewien batalion saperów doszedł do kompletnego solipsyzmu i głosił, że oprócz niego nic realnie nie istnieje. Ponieważ wyszło z tego, iż nie ma ani monarchy, ani nieprzyjaciela, batalion ów przyszło po cichu rozłączyć i poprzydzielać do oddziałów stojących na pozycjach

epistemologicznego realizmu. Podobno w tym samym czasie w państwie

Potworykowym szóstą dywizją desantową przeszła z ćwiczeń w ładowaniu do ćwiczeń mistycznych i, tonąc w kontemplacji, omal nie utonąła w strumyku; nie wiadomo dobrze, jak tam było naprawdę, dosyć, że akurat wtedy wojna została wypowiedziana i pułki, grząc żelazem, jęły się z obu stron posuwać z wolna ku granicy państwowej.

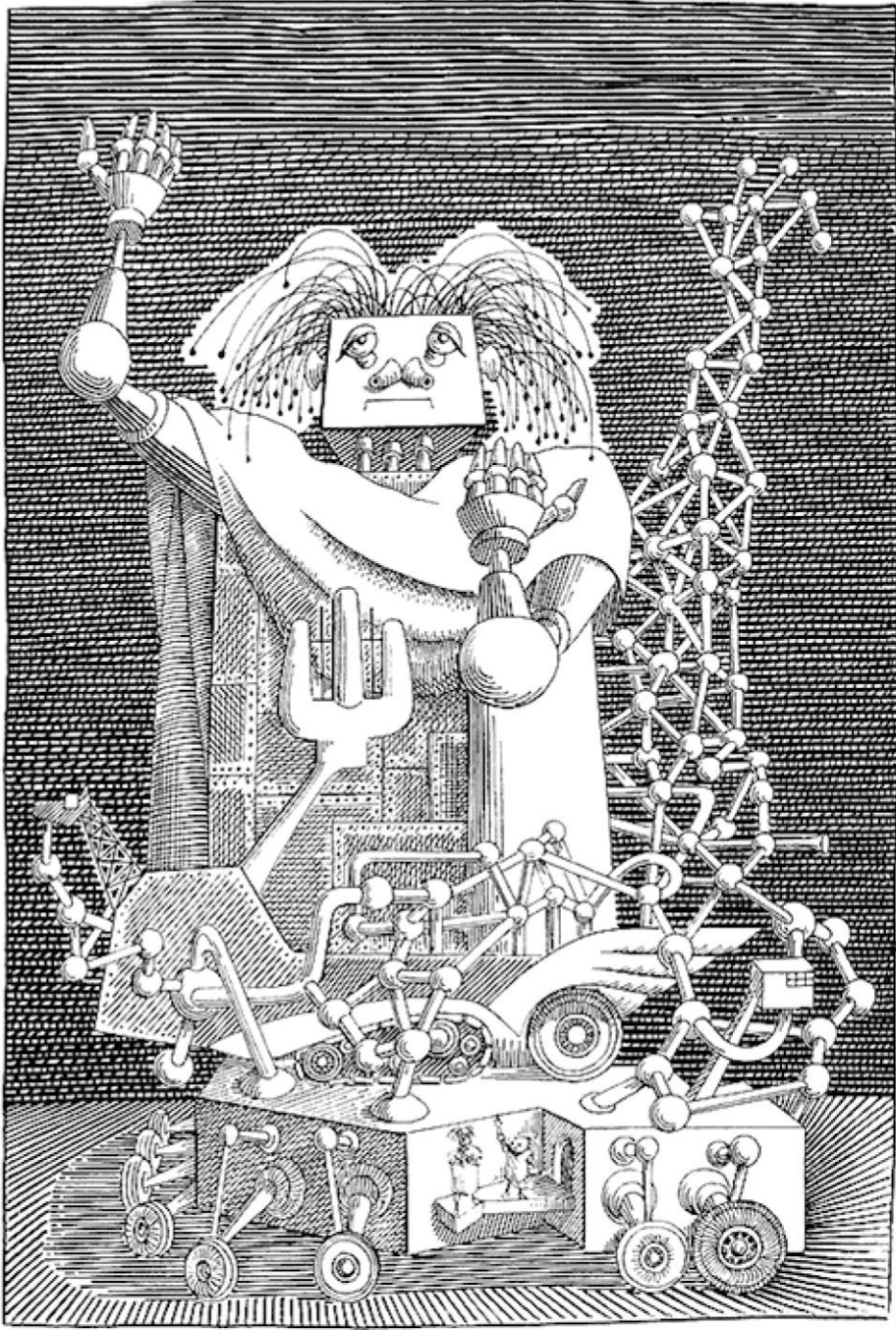
Prawo mistrza Gargancjana działało z nieubłaganą prawidłowością. Gdy formacje łączyły się z formacjami, proporcjonalnie rosła i wrażliwość estetyczna, osiągająca maksimum na szczyblu dywizji wzmocnionej, dlatego też kolumny tej siły łatwo zapędzały się na bezdroża za byle motylkiem, a gdy korpus zmotoryzowany imienia Bardzolimusa podszedł pod wrażą fortecę, którą należało wziąć szturmem, plan natarcia, sporządzony w ciągu nocy, okazał się świetnym owej fortecy portretem, do tego namalowanym w duchu abstrakcjonistycznym, całkiem sprzecznym z wojskowymi tradycjami. Na szczyblu korpusów artyleryjskich przejawiała się głównie najcięższa problematyka filozoficzna; zarazem z roztargnienia, właściwego osobom genialnym, wielkie te jednostki już to pozostawiały gdzie bądź broń i ekwipunek ciężki, już też zapominały całkowicie o tym, że idą na wojnę. Co się tyczy całych armii, ducha ich przepełniały mnogie kompleksy, jak to zwykle bywa z niezmiernie bogatymi osobowościami, i przyszło każdej przydać specjalną, zmotoryzowaną brygadę psychoanalityczną, która w marszu dokonywała odpowiednich zabiegów.

Tymczasem przy nieustającym huku litaurów obie armie zajmowały z wolna pozycje wyjściowe. Sześć pułków szturmowych piechoty, zespoliwszy się z brygadą haubic i batalionem zapasowym, ułożyło, gdy im podłączono pluton egzekucyjny, „Sonet o Tajemnicy Bytu”, i to podczas nocnego marszu na stanowiska. Po obu stronach robiło się niejaki zamieszanie; osiemdziesiąty korpus marlabardzki wołał, iż trzeba koniecznie uściślić definicję pojęcia „nieprzyjaciel”, która wydaje się, jak dotąd, obciążona logicznymi sprzecznościami, a może nawet zgoła bezsensowna.

Oddziały spadochronowe usiłowały algorytmizować wsie okoliczne, szyki zderzały się, więc obaj królowie jęli ślać fligiel-adiutantów i kurierów nadzwyczajnych, aby zaprowadzili ład w szeregach. Każdy jednak, ledwo podleciał, koniem zatoczył do właściwego korpusu, aby się dowiedzieć, skąd taki bałagan, w mig oddawał swego ducha duchowi korpuśnemu, zostali tedy królowie bez adiutantów. Świadomość okazywała się straszną pułapką, do której można wejść, lecz z której wyjść niepodobna. Na oczach samego Potworyka jego kuzyn, Wielki

Książę Derbulion, pragnąc dodać wojskom ducha, podskoczył ku liniom, ale zaledwie podłączył się, to się duchem wlał, zlał i już go wcale nie było.

Widząc, że źle, choć nie wiadomo - czemu, skinął Megieryk na dwunastu trębaczy przybocznych. Skinął i Potworyk, na wzgórku dowodzenia stojący, przyłożyli trębacze spiż do ust i zagrały surmy z obu stron, dając znak do bitwy. Na ów sygnał przeciągły każda armia w całości się definitywnie połączyła. Groźny szczepek żelazny zamykających się kontaktów poszedł z wiatrem na przyszłe pobojuwisko i zamiast tysięcznych bombardierów i kanonierów, celowniczych i ładowniczych, gwardzistów i artylerzystów, saperów, żandarmów, komandosów - powstały dwa duchy gigantyczne, które milionem oczu popatrzały na siebie poprzez wielką równinę, leżącą pod białymi chmurami, i zapanowała chwila doskonałej ciszy. Po obu stronach doszło bowiem do słynnej kulminacji świadomości, którą wielki Gargancjan przewidywał ze ścisłością matematyczną. Oto powyżej pewnej granicy wojskowość, jako stan lokalny, przekształca się w cywilność, a to dlatego, ponieważ Kosmos jako taki jest cywilny absolutnie, a właśnie kosmicznego już wymiaru dosięgły duchy wojsk obu! Choć więc z zewnątrz stał lśniła, pancerze, kartacze i ostrza śmiertelne, wewnątrz rozfalował się podwójny ocean wyrozumiałej pogody, życzliwości wszechobejmującej i doskonałego rozumu. Stojąc tedy na wzgórzach, połyskując stałą w słońcu, w nieustającym wciąż jeszcze werblu, obie armie uśmiechnęły się do siebie. Trurl z Klapaucjuszem wstępowali właśnie na pokład swego statku, kiedy stało się, do czego dążyli: na oczach poczerwiałych ze wstydu i wściekłości królów oba wojska chrząknęły, wzięły się pod ręce i poszły na spacer, zrywając kwiaty pod ciągnącymi chmurami, na polu niedoszłej bitwy.



WYPRAWA PIERWSZA A, CZYLI ELEKTRYBAŁT TRURLA

Dla uniknięcia wszelkich pretensji i nieporozumień musimy wyjaśnić, że była to, przynajmniej w rozumieniu dosłownym, wyprawa donikąd. Trurl bowiem nie ruszał się przez cały czas ze swego domostwa, jeśli nie liczyć pobytu w szpitalach oraz mało istotnej jazdy na planetoidę. Wszelako w sensie dogłębnym i wyższym była to jedna z najdalszych wypraw, jakie ten znakomity konstruktor kiedykolwiek przedsięwziął, albowiem do samych granic możliwości.

Zdarzyło się raz Trurlowi zbudować maszynę do liczenia, która okazała się zdolna tylko do jednego działania, mnożyła mianowicie dwa przez dwa, a i to fałszywie. Jak to jest opowiedziane w innym miejscu, maszyna ta była jednak bardzo ambitna i jej spór z własnym twórcą omal nie skończył się dlań tragicznie. Od tamtego czasu Klapaucjusz obrzydzał Trurlowi żywot, docinając mu tak i owak, aż ów zawział się i postanowił wybudować maszynę, która będzie pisała wiersze. W tym celu zgromadził Trurl osiemset dwadzieścia ton literatury cybernetycznej oraz dwanaście tysięcy ton poezji i zabrał się do studiów. Kiedy już nie mógł wytrzymać od cybernetyki, przerzucił się do liryki, i na odwrót. Po pewnym czasie pojął, iż zbudowanie samej maszyny jest zupełną fraszką w porównaniu z jej zaprogramowaniem. Program, który ma w głowie zwykły poeta, stworzyła cywilizacja, w której przyszedł na świat; tę cywilizację wydała inna, ta, co ją poprzedziła, tamtą - wcześniejszą, i tak do samego początku Wszechświata, kiedy to informacje o przyszłym poecie krążyły jeszcze bezładnie w jądrze pierwotnej mgławicy. Aby zatem zaprogramować maszynę, należało wpierw powtórzyć - jeśli nie cały Kosmos od początku, to co najmniej sporą jego część. Każdego innego na miejscu Trurla zadanie to skłoniłoby do rezygnacji, lecz dzielny konstruktor ani myślał rejterować. Skonstruował najpierw maszynę, która modelowała chaos, i elektryczny duch latał w niej nad elektrycznymi wodami, potem dodał parametr światła, potem pramgławic, i tak po trosze zbliżał się do pierwszej epoki lodowcowej, co było możliwe tylko dlatego, ponieważ maszyna jego w ciągu pięciomiliardowej części sekundy modelowała sto septylionów wydarzeń w czterystu oktylionach miejsc naraz; a jeśli kto sądzi, że Trurl się gdzieś pomylił, niech cały rachunek sam sprawdzi. Modelował tedy Trurl początki cywilizacji, krzesanie krzemieni i garbowanie skór, jaszczury i potopy, czworonożność i ogoniastość, potem zaś prabladawca, który

wydał bladawca, który zapoczątkował maszynę, i tak to szło, eonami i tysiącletkami, w szumie elektrycznych wirów i prądów; a kiedy maszyna modelująca okazywała się przyciasna dla następnej epoki, Trurl dorabiał jej przystawkę; aż wreszcie z owych dobudówek powstało coś w rodzaju miasteczka poplątanych przewodów i lamp, że by się w ich gmatwaninie diabeł nie rozeznał. Trurl jednak jakoś tam sobie radził i dwa razy tylko musiał powtarzać: raz, niestety, prawie od początku, bo wyszło mu, że to Abel zabił Kaina, a nie Kain Abła (wskutek przepalenia się bezpiecznika w jednym z obwodów), drugi raz zaś cofać się było trzeba tylko o trzysta milionów lat, do środkowego mezozoiku: gdyż zamiast praryby, która wydała prajaszczura, który wydał prassaka, który wydał pramałpę, która wydała prabladawca, zrobiło się coś takiego dziwnego, że zamiast bladawca wyszedł mu latawiec. Zdaje się, że to jakaś mucha wpadła do maszyny i potrafiła superskopiczny wyłącznik czynnościowy. Poza tym jednak wszystko szło nad podziw gładko. Wymodelowane zostało średniowiecze i starożytność, i czasy wielkich rewolucji, tak że maszyna chwilami trzęsła się, a lampy, modelujące co poważniejsze postępy cywilizacji, trzeba było wodą polewać i mokrymi szmatami okładać, by się nie rozleciały; postęp ów bowiem, modelowany zwłaszcza w takim tempie, omal ich nie rozsadził. Pod koniec dwudziestego wieku maszyna dostała najpierw wibracji skośnej, a potem trzęsączki wzdłużnej, nie wiadomo czemu; Trurl bardzo się tym martwił i nawet przygotował pewną ilość cementu i klamer, gdyby się miała walić. Na szczęście jakoś się bez tych środków ostatecznych obeszło; przejechała przez wiek dwudziesty i pomknęła gładziej. Potem dopiero szły, każda po pięćdziesiąt tysięcy lat, kolejne cywilizacje istot doskonale rozumnych, z których i Trurl brał początek; i waliła się szpula wymodelowanego procesu historycznego za szpulą do zbiornika; a było owych szpul tyle, że patrząc przez lornetę ze szczytu maszyny, nie widziałeś krańca tych zwałów; wszystko po to, aby wybudować jakiegoś tam rymotwórcę, niechby i wybornego! Ale takie są już skutki naukowego zacierzenia. W końcu programy były gotowe; należało tylko wybrać z nich to, co istotne. Gdyż w przeciwnym razie uczenie elektropoety trwałoby wiele milionów lat.

Przez dwa tygodnie wprowadzał Trurl do swego przyszłego elektropoety programy ogólne; potem przyszło strojenie obwodów logicznych, emocjonalnych i semantycznych. Już chciał prosić Klapaucjusza na próbny rozruch, ale się rozmyślił i puścił maszynę wpierw sam. Wygłosiła natychmiast odczyt o polerowaniu szlifów krystalograficznych dla wstępnego studium małych anomalii

magnetycznych. Osłabił więc obwody logiczne i wzmocnił emocjonalne; dostała najpierw czkawki, potem ataku płaczu, wreszcie z największym trudem wygęgała, że życie jest straszne. Wzmocnił semantykę i dobudował przystawkę woli; oświadczyła, że ma jej odtąd słuchać, i kazała dorobić sobie dalszych sześć pięter do dziewięciu, jakie już miała, aby podumać nad istotą bytu. Wstawił jej dławik filozoficzny; wówczas przestała się w ogóle do niego odzywać i tylko kopała prądem. Największymi błaganiami skłonił ją do odśpiewania krótkiej piosenki: „Żabka i babka w jednym stały domku”, ale na tym się jej popisy wokalne skończyły. Wkręcał więc, dławił, wzmacniał, osłabiał, regulował, aż wydało mu się, że lepiej być już nie może. Wówczas uraczyła go wierszem takim, że wielkim niebiosom dziękował za przezorność; tożby się Klapaucjusz uśmieł, usłyszawszy te ponure rymowanki, dla których wstępnie wymodelował całe powstanie Kosmosu i wszystkich możliwych cywilizacji! Dał sześć filtrów przeciwgrafomańskich, lecz pękały jak zapałki; musiał je zrobić ze stali korundowej. Potem jakoś już poszło: rozchwiał maszynę semantycznie, podłączył generator rymów i omal nie wysadził wszystkiego w powietrze, maszyna bowiem zapragnęła stać się misjonarzem wśród ubogich plemion gwiazdnych. Wówczas jednak, w ostatniej niemal chwili, gdy był już gotów iść na nią z młotem w ręku, przyszła mu zbawcza myśl. Wyrzucił wszystkie obwody logiczne i wstawił na to miejsce ksobne egocentryzatory ze sprzężeniem narcystycznym. Maszyna zachwiała się, zaśmiała się, zapłakała i powiedziała, że boli ją coś na trzecim piętrze, że ma wszystkiego dość, że życie jest dziwne, a wszyscy podli, że pewno niedługo umrze i pragnie tylko jednego: aby o niej pamiętano, gdy już jej tu nie będzie. Potem kazała sobie dać papieru. Trurl odetchnął, wyłączył ją i poszedł spać. Nazajutrz poszedł po Klapaucjusza. Usłyszawszy, że ma być obecny przy rozruchu Elektrybałta, bo tak postanowił nazwać Trurl maszynę, Klapaucjusz rzucił swoją całą robotę i poszedł, jak stał, tak mu było spieszo zostać naocznym świadkiem porażki przyjaciela.

Trurl włączył najpierw obwody żarzenia, potem dał mały prąd, jeszcze kilka razy wbiegł na górę po dudniących schodkach z blachy - Elektrybałt podobny był do olbrzymiego silnika okrętowego, cały w stalowych galeryjkach, kryty nitowaną blachą, z licznymi zegarami i klapami - aż wreszcie, zgorączkowany, bacząc, aby napięcia anodowe były jak trzeba, powiedział, że tak, dla rozgrzewki, zacznie się od małej jakiejś improwizacyjki. Potem już, rozumie się, Klapaucjusz będzie mógł dawać maszynie tematy do wierszy, jakich mu się żywnie zachce.

Gdy wskaźniki amplifikacyjne pokazały, że moc liryczna dochodzi do maksimum, Trurl nieznacznie tylko drżącą ręką przerzucił wielki wyłącznik i niemal natychmiast głosem lekko ochrypłym, lecz emanującym dziwnie sugestywnym czarem, maszyna rzekła:

- Chrząskrzyboczek pacionkociewiczarokrzysztofoniczny

- Czy to już wszystko? - spytał po dłuższej chwili niezwykle uprzejmy Klapaucjusz. Trurl zacisnął tylko wargi, dał maszynie kilka prądowych uderzeń i znów włączył. Tym razem głos jej był o wiele czystszy; można się nim było prawdziwie rozkoszować, owym solennym, niepozabawionym uwodzicielskiej wibracji barytonem:

Apentula niewdziosek, te będą gruwaśne W koć
turmiela weprzächlich, kostrą bajtę spoczy,
Oproszędły zniemęci, wyświrle uwzroczy,
A korśliwe porsacze dogremnie wyczkaśnie!

- Po jakiemu to? - spytał Klapaucjusz, obserwując z doskonałym spokojem niejaką panikę, w której Trurl miotał się przy pulpicie; wreszcie, machnąwszy rozpaczliwie ręką, pognał, dudniąc po stopniach, schodkami w górę stalowego ogromu. Widać go było, jak na czworakach wczołguje się przez otwarte klapy do wnętrza maszyny, jak stuka tam, klnąc zaciekle, jak przykręca coś, dzwoni kluczami, jak znowu wczołguje się i bieży kłusem na inny pomost; wreszcie wydał okrzyk triumfu, wyrzucił spaloną lampę, która roztrzaskała się o podłogę hali o krok od Klapaucjusza, nawet go za tę nieostrożność nie raczył przeprosić, lecz pospiesznie wstawił na właściwe miejsce nową lampę, wytarł zabrudzone ręce miękką szmatką i zawołał z góry, by Klapaucjusz zechciał włączyć maszynę. Rozległy się słowa:

Trzy, samolóż wywiorstne, gręczacz tęci wzdyżmy,
Apelajda sękliwa borowajkę kuci.
Greni małopoleśny te przezławske tryżmy, Aż
bamba się odmurczy i goła powróci.

- Już jest lepiej! - zawołał z niezupełnym przekonaniem Trurl. - Ostatnie słowa były do sensu, zauważyłeś?

- Jeśli to jest wszystko... - rzekł Klapaucjusz, który był teraz uosobieniem wykwintnej uprzejmości.

- Niech to diabli! - wrzasnął Trurl i znów zniknął we wnętrzościach maszyny; łomotało tam, dudniło, słychać było trzask wyładowań i zdławione przekleństwa konstruktora. Wystawił nagle głowę z trzeciego

piętra przez małą klapkę i krzyknął: - Naciśnij teraz!!

Klapaucjusz uczynił to. Elektrybałt zadrżał od fundamentów do szczytu i zaczął:

Żadny młęciny brądnej, łydasty łaniele,
Samoćpaku mimajki...

Tu urwał, gdyż Trurl szarpnął wściekle za jakiś kabel, coś zacharczało i maszyna umilkła. Klapaucjusz tak się śmiał, że aż musiał usiąść na podłodze. Trurl miotał się tu i tam, raptem coś trzasło, prasło i maszyna bardzo rzeczowo, spokojnie, oświadczyła:

Zawiść, pycha, egoizm do małości zmusza.
Doświadczy tego, pragnąc iść z Elektrybałtem W
zawody, pewien prostak. Ale Klapaucjusza
Olbrzym ducha prześcignie, niby żółwia autem.

- Ha! Proszę! Epigramat! Jak najbardziej na miejscu! - wykrzykiwał Trurl, kręcąc się w kółko, już coraz niżej, zbiegał bowiem w dół po wąskich, spiralnych schodkach, aż wypadł na dole niemal prosto w objęcia kolegi, który przestał się śmiać, nieco zaskoczony.

- To lichota - rzekł zaraz Klapaucjusz. - Poza tym to nie on, to ty!

- Jak to - ja?!

- Ułożyłeś to z góry. Poznaje po prymitywizmie, złośliwości bezsilnej i nędzy rymów.

- Więc proszę! Żądaj czegoś innego! Czego tylko chcesz! No, czemu milczysz? Boisz się, co?!

- Nie boję się, tylko się namyślałam - rzekł zirytowany Klapaucjusz, usiłując wynaleźć najtrudniejsze z możliwych zadań, ponieważ nie bez słuszności sądził, że spór o to, czy wiersz ułożony przez maszynę jest doskonały, czy nie, trudno będzie rozstrzygnąć.

- Niech ułoży wiersz o cyberotyce! - rzekł nagle, rozjaśniony. - Żeby tam było najwyżej sześć linijek, a w nich o miłości i o zdradzie, o muzyce, o Murzynach, o wyższych sferach, o nieszczęściu, o kazirodztwie, do rymu i żeby wszystkie słowa były tylko na literę c!!

- A całego wykładu ogólnej teorii nieskończonych automatów nie ma tam czasem być? - wrzasnął rozwścieczony do żywego Trurl.

- Nie można stawiać tak kretyńskich warun...

Ale nie dokończył, ponieważ słodki baryton, wypełniając całą halę, odezwał się właśnie:

Cyprian cyberotoman, cynik, ceniąc czule
Czarnej córy cesarskiej cud ciemnego ciała,
Ciągłe cytrą czarował. Czerwieniła cała,
Cicha, co-dzień czekała, cierpiała, czuwała...
...Cyprian ciotkę całuje, cisnąwszy czarnulę!!

- I co ty na to? - wziął się Trurl pod boki, a Klapaucjusz ani myśląc, już wołał:

- A teraz na g! Czterowiersz o istocie, która była zarazem maszyną myślącą i bezmyślną, gwałtowną i okrutną, która miała szesnaście nałożnic, skrzydła, cztery malowane kufry, w każdym po tysiąc złotych talarów z profilem cesarza Murdebroda, dwa pałace i pędziła życie na mordach oraz...

- Gniewny Gienek Gienerator, garbiąc garści, grzął gwałtownie... - zaczęła maszyna, lecz Trurl skoczył do pulpitu, nacisnął wyłącznik i zasłaniając go własnym ciałem, rzekł zduszonym głosem:

- Żadnych takich bzdur więcej nie będzie! Nie dopuszczę do marnowania wielkiego talentu! Albo zamawiasz uczciwe wiersze, albo na tym koniec!

- A cóż - to nie są uczciwe wiersze?... - zaczął Klapaucjusz.

- Nie! To jakieś łamigłówki, rebusy! Nie budowałem maszyny do idiotycznych krzyżówek! To zwykłe wyrobnictwo, a nie Wielka Sztuka! Proszę podać temat, może być dowolnie trudny...

Klapaucjusz myślał, myślał, wreszcie zmarszczył się i rzekł:

- Dobrze. Niech będzie o miłości i śmierci, ale wszystko to musi być wyrażone językiem wyższej matematyki, a zwłaszcza algebry tensorów. Może być również wyższa topologia i analiza. A przy tym erotycznie silne, nawet zuchwałe, i w sferach cybernetycznych.

- Zwariowałeś chyba. Matematyką o miłości? Nie, ty masz źle w głowie - zaczął Trurl. Lecz zamilkł wraz z Klapaucjuszem, ponieważ Elektrybałt ją deklamować:

Nieśmiały cybernetyk potężne ekstrema Poznawał,
kiedy grupy unimodularne Cyberiady całkował w
popołudnie parne,
Nie wiedząc, czy jest miłość, czy jeszcze jej nie ma?

Precz mi, precz, Laplasjany z wieczora do ranka,
I wersory wektorów z ranka do wieczora!
Bliżej, przeciwobrazy! Bliżej, bo już pora Zredukować
kochankę do objęć kochanka!

On drżenia współmetryczne, które jęć jednoczy,

Zmieni w grupy obrotów i sprzężenia zwrotne,
A takie kaskadowe, a takie zawrotne,
Że zwarciem zagrażają, idąc z oczu w oczy!

Ty, klaso transfinalna! Ty, silna wielkości!
Nieprzywiedlne continuum! Praukładzie biały!
Christoffela ze Stoksem oddam na wiek cały Za
pierwszą i ostatnią pochodną miłości.

Twych skalarnych przestrzeni wielolistne głębie Ukaż
uwikłanemu w Teoremat Ciała,
Cyberiado cyprysów, bimodalnie cała W gradientach,
rozmnożonych na loty gołębie!

O, nie dożył rozkoszy, kto tak bez siwizny Ani w
przestrzeni Weyla ani Brouwera Studium
topologiczne uściskiem otwiera,
Badając Moebiusowi nieznane krzywizny!

O, wielopowłokowa uczuć komitanto,
Wiele trzeba cię cenić, ten się dowie tylko,
Kto takich parametrów przeczuwając fantom,
Ginie w nanosekundach, płonąc każdą chwilką!

Jak punkt, wchodzący w układ holonomiczności,
Pozbawiany współrzędnych zera asymptota,
Tak w ostatniej projekcji, ostatnią pieszczotą
Żegnany - cybernetyk umiera z miłości.

Na tym się turniej poetycki zakończył, Klapaucjusz bowiem odszedł zaraz do domu, mówiąc, że wróci wnet z nowymi tematami, lecz więcej się nie pokazał, w obawie, iż mimo woli da Trurlowi jeszcze jeden powód do chwały; ów zaś głosił, iż Klapaucjusz uciekł, niezdolny skryć gwałtownego wzruszenia. Na co tamten, że od czasu zbudowania Elektrybałta Trurlowi całkiem już przewróciło się w głowie.

Minęło niewiele czasu, a wieść o elektrycznym wieszczu dotarła do prawdziwych, to jest - zwyczajnych poetów. Oburzeni do żywego, postanowili ignorować maszynę, znalazło się wszakże kilku na tyle ciekawych, że wybrali się chyłkiem do Elektrybałta. Ów przyjął ich grzecznie w hali pełnej zapisanych już papierów, bo tworzył dzień i noc bez przerwy. Poeci byli awangardzistami, Elektrybałt natomiast tworzył w stylu klasycznym, ponieważ Trurl, mało znając się na poezji, oparł programy „natychające” na dziełach klasyków. Jeśli więc przybysze drwić z Elektrybałta, że mu mało rury katodowe nie pękły, i odeszli w triumfie. Maszyna posiadała jednak samoprogramowanie oraz specjalny obwód wzmocnienia ambicjonalnego z bezpiecznikami na sześć kiloamperów,

więc w krótkim czasie wszystko najzupełniej się odmieniło. Wiersze jej stały się ciemne, wieloznaczne, turpistyczne, magiczne i wzruszające do kompletnej niezrozumiałości. Tak więc, gdy przybyła następna grupa poetów, by podrwić i poszydzić z maszyny, ta odezwała się taką improwizacją nowoczesną, że dech im zaparło, a drugi zaraz wiersz wywołał poważne zasłabnięcie pewnego twórcy starszego pokolenia, który miał dwie nagrody państwowe i posąg w parku miejskim. Odtąd żaden poeta nie mógł oprzeć się zgubnej chęci wyzwania Elektrybałta na turniej liryczny - i ciągnęli zewsząd, niosąc wzory i teczki pełne rękopisów. Elektrybałt pozwalał deklamować przybyszowi, przy czym zaraz chwycił algorytm jego poezji i, opierając się na nim, odpowiadał wierszami utrzymanymi w tymże duchu, lecz dwieście dwadzieścia do trzysta czterdzieści siedem razy lepszymi.

Po niedługim czasie doszedł do takiej wprawy, że jednym, drugim sonetem zwał z nóg zasłużonego wieszczka. I to było najgorsze chyba, okazało się bowiem, iż z zapasów wychodzą cało tylko grafomani, którzy, jak wiadomo, nie odróżniają wierszy dobrych od złych; uchodzili więc bezkarnie i tylko jeden złamał raz nogę, potknąwszy się u wyjścia o wielki epicki poemat Elektrybałta, zupełnie nowy, który zaczynał się od słów:

Ciemność i pustki w ciemności obroty
Ślad dotykalny, ale nieprawdziwy,
I wiatr, jak hałny, i wzrok jeszcze żywy,
I krok jak gdyby wracającej rotty.

Natomiast prawdziwych poetów Elektrybałt dziesiątkował, chociaż pośrednio, bo wszak nie czynił im nic złego. Niemniej najpierw pewien sędziwy liryk, a potem dwu awangardzistów popełniło samobójstwo, skacząc z wysokiej skały, która fatalnym zbiegiem okoliczności sterczała właśnie przy drodze łączącej siedzibę Trurla ze stacją kolei żelaznej.

Poeci zwołali zaraz szereg zebrzań protestacyjnych i zażądali, aby maszynę opieczętowano, lecz poza nimi nikt na fenomen nie zwrócił uwagi. Owszem, redakcje gazet były nawet rade, albowiem Elektrybałt, piszący pod kilkoma tysiącami pseudonimów naraz, miał gotowy poemat wskazanych rozmiarów na każdą okazję, a ta okolicznościowa poezja była taka, że obywatele wyrywali sobie gazety z rąk i na ulicach widziało się wniebowzięte twarze, nieprzytomne uśmiechy oraz słyszało się ciche łkania. Wiersze Elektrybałta znali wszyscy; powietrze trzęsło się od błogich rymów, a natury co wrażliwsze, rażone specjalnie skonstruowanymi metaforami czy asonansami, nieraz mdlały nawet; lecz

i na tę okazję był przygotowany gigant natchnienia, albowiem zaraz wyprodukował odpowiednią ilość sonetów trzeźwiących.

Sam Trurl miał w związku ze swym osiągnięciem niemałe kłopoty. Klasycy, jako na ogół starcy, niewiele mu zaszkadzili, jeśli nie liczyć kamieni, wybijających systematycznie okna, oraz pewnych substancji, niedających się nazwać po imieniu, którymi obrzucano jego domostwo. Gorzej było z młodymi. Pewien poeta najmłodszego pokolenia, którego wiersze odznaczały się wielką siłą liryczną, a on sam - fizyczną, okrutnie go pobił. Gdy tedy Trurl leczył się w szpitalu, wypadki pędziły dalej; nie było ani dnia bez nowego samobójstwa, bez pogrzebu, przed bramą szpitalną krążyły pikiety i dawała się już słyszeć strzelanina, albowiem zamiast rękopisów poeci przynosili coraz częściej w teczkach samopały, rażąc Elektrybałta, którego stalowej naturze kule wcale jednak nie szkodziły. Po powrocie do domu zrozpaczony i osłabły konstruktor postanowił pewnej nocy rozebrać własnymi rękami stworzonego przez się geniusza.

Gdy atoli, z lekka kulejąc, zbliżył się do maszyny, ta, na widok obcęgów w jego dłoni i błysków desperacji w oku, buchnęła taką namiętną liryką, błagając o łaskę, że rozszlochany Trurl cisnął narzędzia i wrócił do siebie, brnąc po kolana w nowych utworach elektroducha, które sięgały mu do pół piersi, zaścielając szemrzącym oceanem papieru całą halę.

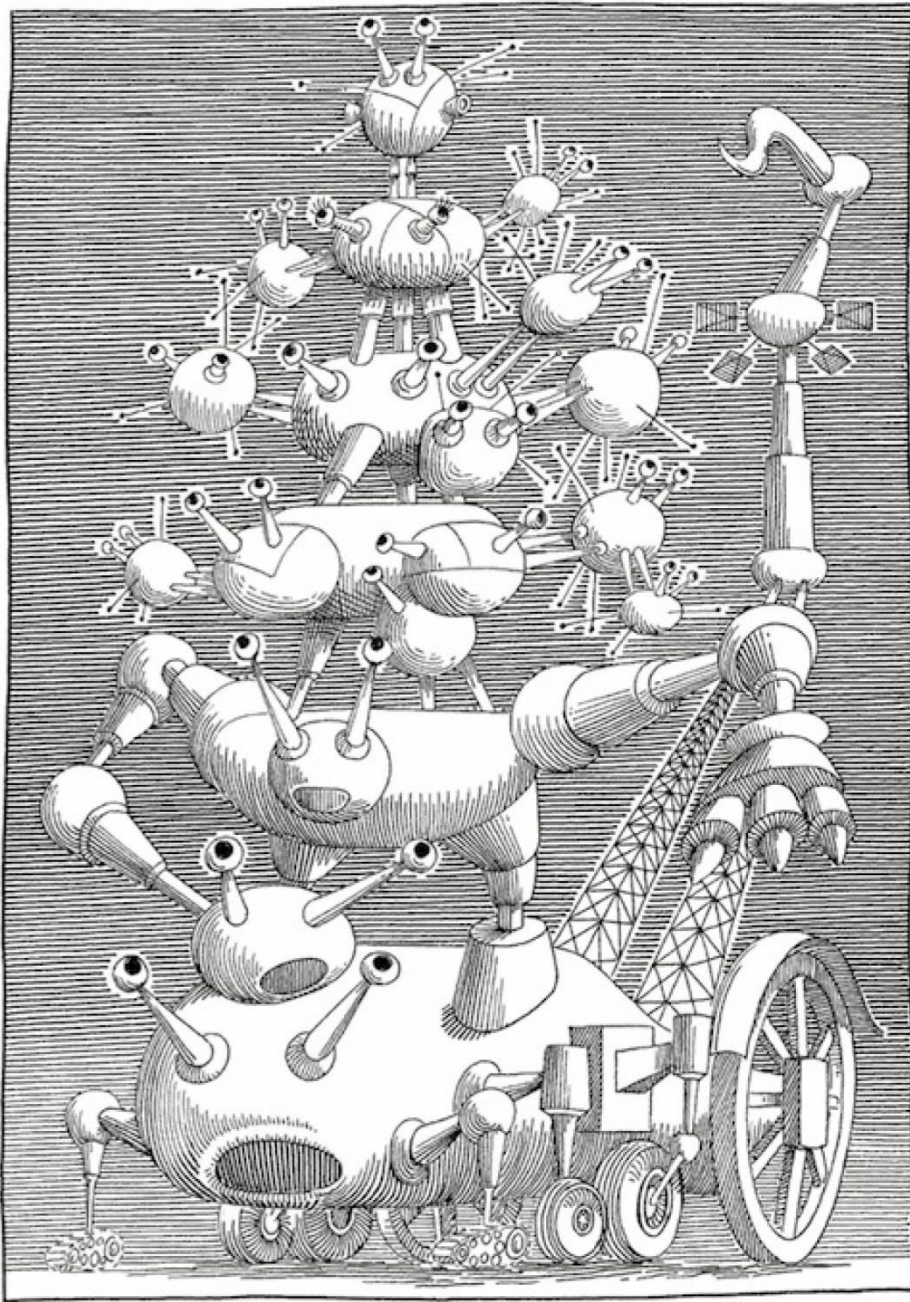
Kiedy jednak w następnym miesiącu przyszedł rachunek za elektryczność pochłoniętą przez maszynę, pociemniało mu w oczach. Rad był zasięgnąć rady starego druha Klapaucjusza, lecz ów zniknął, jakby się pod nim ziemia rozwarła. Skazany na własny koncept, pewnej nocy Trurl odciął maszynie dopływ prądu, rozebrał ją, załadował na statek, wywiózł na pewną niewielką planetoidę i tam zmontował na powrót, przydawszy jej, jako źródło energii twórczej, stos atomowy.

Potem wrócił chyłkiem do domu, ale historia na tym się nie skończyła, albowiem Elektrybałt, nie mając już możliwości publikowania utworów drukiem, jał nadawać je na wszystkich zakresach fal radiowych, czym wprawiał załogi i pasażerów rakiet w liryczne stany odrętwienia, a osoby subtelne doznawały nawet ciężkich ataków zachwyty z następczym otepieniem. Ustaliwszy, w czym rzecz, zwierzchność żeglugi kosmicznej zwróciła się oficjalnie do Trurla z żądaniem natychmiastowej likwidacji należącego doń urządzenia, które zakłócało liryką spokój publiczny i zagrażało zdrowiu pasażerów.

Wtedy zaczął się Trurl ukrywać. Posłano więc na planetoidę

monterów, aby zaplombowali Elektrybałtowi wyjście liryczne, on jednak oszołomił ich kilkoma balladami, tak że nie wykonali zadania. Posłano potem głuchych, lecz Elektrybałt przekazał im liryczną informację na migi. Mówić więc jęło się już głośno o koniecznej ekspedycji karnej lub zbombardowaniu elektropoety Wówczas jednak nabył go pewien władca z sąsiedniego systemu gwiazdowego i zaholował wraz z planetoidą do swego królestwa.

Teraz Trurl mógł wreszcie ujawnić się i odetchnąć. Co prawda na południowym nieboskłonie od czasu do czasu widać eksplozje gwiazd supernowych, jakich nie pamiętają najstarsi, i chodzą głuche wieści, jakoby miało to związek z poezją. Oto ów władca w przystępie dziwaczego kaprysu kazał podobno swym astroinżynierom podłączyć Elektrybałta do konstelacji białych olbrzymów, wskutek czego każda strofka wiersza przekształcana jest w gigantyczne protuberancje słońc, tak że największy poeta Kosmosu nadaje swe dzieła tętnieniem ognia wszystkim nieskończonym otchłaniom galaktycznym naraz. Jednym słowem - ów wielki król uczynił go lirycznym motorem gromady gwiazd wybuchających. Gdyby nawet była w tym okruszyna prawdy, działa się to zbyt daleko, by mogło zakłócić sen Trurlowi, który zaprzysiągł sobie na wszystkie świętości nigdy już więcej nie brać się do cybernetycznego modelowania procesów twórczych.



WYPRAWA DRUGA, CZYLI OFERTA KRÓLA OKRUCYUSZA

Znakomite rezultaty zastosowania recepty Gargancjana do tego stopnia obudziły w obu konstruktorach głód przygody, że postanowili powtórnie wyruszyć w nieznane okolice. Gdy wszakże przyszło do ustalenia celu podróży, wyszło na jaw, że o zgodzie nie ma mowy, każdy bowiem miał inną koncepcję; Trurl, który przepadał za ciepłymi krajami, myślał o Ognioli, państwie Płomienionogów, Klapaucjusz natomiast, chłodniejszego usposobienia, wybrał galaktyczny biegun zimna, kontynent czarny wśród gwiazd lodowatych. Już mieli się rozstać, poróżnieni na dobre, kiedy Trurl wpadł na pomysł, który wydał mu się doskonały: - Oto - powiedział - możemy wszak ogłosić nasz zamiar i ze wszystkich ofert, jakie otrzymamy, wybierze się jedną, obiecującą najwięcej pod każdym względem.

- Bzdura - rzekł Klapaucjusz. - Gdzie chcesz dać ogłoszenie? Do gazety? Jak daleko rozchodzi się gazeta? Na najbliższą planetę dotrze za pół roku, życie minie, zanim nadejdzie pierwsza oferta!

Tu jednak, uśmiechnawszy się z wyższością, Trurl wyjawiał mu swój oryginalny plan, który Klapaucjusz, chcąc nie chcąc, musiał zaaprobować i pospołu wzięli się do dzieła. Za pomocą specjalnych urządzeń, które wybudowali naprędce, ściągali z pobliza gwiazdy i ułożyli z nich olbrzymi napis, widoczny z odległości wręcz nieobliczalnych. Napis ów był właśnie ogłoszeniem; pierwsze słowo składało się z samych błękitnych olbrzymów, a to by zwrócić uwagę ewentualnego czytelnika w Kosmosie, inne zaś utworzyli z pomniejszego drobiazgu gwiazdowego; było tam powiedziane, iż Dwaj Wybitni Konstruktorzy poszukują zajęcia dobrze płatnego, a odpowiadającego ich talentom, najchętniej na dworze mającego króla z własnym państwem; warunki według umowy. Niewiele upłynęło czasu i pewnego dnia przed domostwem przyjaciół opuścił się przedziwny pojazd, cały grający w słońcu, jakby wykładany najczystsza macicą perłową; miał trzy nogi rzeźbione główne i sześć pomocniczych, które nie sięgały ziemi i były właściwie na nic, a wyglądały tak, jakby budowniczy owego statku nie wiedział, co robić z kosztownościami - nogi owe były bowiem ze szczerego złota. Z pojazdu tego po wspaniałych schodkach z podwójnym szpalerem fontann, które siknęły same tuż po wylądowaniu, zeszedł na ziemię dostojnie wyglądający cudzoziemiec ze świtą sześcionogich maszyn; jedne masowały go, inne podtrzymywały lub

wachlowały, a najmniejsza polatywała nad jego wyniosłym czołem, lejąc z góry wonności, przez których obłok ów przybysz niezwykle w imieniu władcy swego, króla Okrucyusza, zaproponował konstruktorom posady u tego monarchy.

- A na czym polegać ma nasza praca? - zainteresował się Trurl.

- Szczegóły poznacie, drodzy panowie, na miejscu - odparł cudzoziemiec, który odziany był w złote szarawary, czaprak z nausznikami, kapiący od pereł, i zamczysty kontusz osobliwego kroju, zamiast kieszeni posiadający składane szufladki z łakociami. Biegały też po owym dostojniku malutkie zabaweczki mechaniczne, od których opędał się z pańska nieznacznymi ruchy, gdy nazbyt już swawoliły.

- Teraz - ciągnął - mogę wam powiedzieć tylko tyle, że Jego Niedościągłość Okrucyusz jest wielkim myśliwym, nieustraszonego serca pogromcą wszelkiej zwierzyny galaktycznej, a jego mistrzostwo łowieckie osiągnęło takie apogeum, że najstraszniejsze drapieżce przestały być godną jego uwagi zdobyczą. Cierpi też z tego powodu, łaknąc prawdziwych niebezpieczeństw, nieznanych dreszczów i dlatego właśnie...

- Rozumiem! - rzekł żywo Trurl. - My mamy mu skonstruować nowe rodzaje zwierzyny, wyjątkowo dzikie i drapieżne, czy tak?!

- Jesteś, mości konstruktorze, nad wyraz domyślnym! - rzekł dygnitarz. - Jakże więc, czy się panowie zgadzacie?

Klapaucjusz spytał praktycznie o warunki, a że wysłannik królewski przedstawił im najwyższą hojność swego pana, nie mieszkając spakowali nieco ksiąg i rzeczy osobistych, a potem po schodach drżących z niecierpliwości weszli na pokład statku, który zagrział, otoczył się płomieniem, aż mu złote nogi osmałiło, i pomknął w czarną noc galaktyczną.

W czasie niedługiej podróży dygnitarz wyjaśnił konstruktorom obyczaje panujące w Okrucyuszowym królestwie, prawil im o rozlewnej, szerokiej jak zwrotnik Raka naturze monarchy, o jego męskich zamiłowaniach, tak że gdy statek wylądował, obaj przybysze umieli już nawet rozmawiać w miejscowym języku.

Najpierw umieszczono ich we wspaniałym pałacu, położonym na stoku góry za miastem, który miał odtąd stanowić ich rezydencję; kiedy zaś nieco odpoczęli, król przysłał po nich karoce zaprzężoną w sześć potworów, jakich żaden z nich na oczy dotąd nie widział. Przed paszczkami miały umocowane specjalne filtry ogonochłonne, gdyż z gardzieli walił im ogień i dym; poza tym miały i skrzydła, ale tak

przystrzyżone, by nie zdołały unieść się w powietrze, ogony w stalowej łusce, długie i kręcone, jak również każdy po siedem łap z pazurami, dziurawiącymi bruk uliczny na wylot. Na widok konstruktorów wychodzących z pałacu cały zaprzęg zawył jednym głosem, nozdrzami puścił ogień, a bokami siarkę i chciał na nich runąć, aliści woźnice w zbrojach azbestowych i dojeżdżacze królewscy z motopompą rzucili się na oszalałe potwory, okładając je kolbami Lazerów i Mazerów, a gdy je poskromili, Trurl i Klapaucjusz wsiedli milczkiem do wspaniałego wnętrza karocy, która ruszyła z kopyta, a właściwie ze smoczej stopy.

- Słuchaj no - rzekł na ucho Trurl Klapaucjuszowi, gdy pędzili jak wichur, obalając wszystko po drodze, w smugach siarkowej pary - ten król, czuję to, nie byle czego od nas zażąda! Jeśli takie ma cuganty, co?...

Ale rozsądny Klapaucjusz milczał. Diamentowe, szafirami okładane i srebrem nabijane fasady domów migają tylko wzdłuż okien karety, w huk, wrzawie, syczeniu smoków i wrzaskach ujeżdżaczy; nareszcie otwarły się olbrzymie kraty wrót pałacu królewskiego i pojazd, zakręciwszy z fantazją, że kwiaty na klombach poskręcało od płomienia, stanął przed frontonem zamku, czarnym jak noc, nad którym niebo było bardziej błękitne od szmaragdu, a już trębacze zadęli w kręte konchy i przy owych dźwiękach dziwnie ponurych, mali wobec ogromu schodów, kamiennych kolosów strzegących z obu stron bram i lśniącego szpaleru gwardii honorowej, Trurl z Klapaucjuszem weszli do przestronnych sal zamkowych.

Król Okrucyusz czekał ich w ogromnej sali, która przedziwnym sposobem uczyniona była na kształt wnętrza czaszki zwierzęcej, przedstawiała więc rodzaj ogromnej, sklepionej wysoko pieczary wykutej w srebrze. Tam, gdzie czaszka ma otwór dla kręgosłupa, ziała w posadzce czarna studnia niewiadomej głębokości, za nią zaś wznosił się tron, na którym krzyżowały się, niby szpady z płomieni, światła bijące przez wysokie okna, umieszczone jako oczodoły srebrnej czaszki; płyty miodowego szkliwa przepuszczały blask ciepły, mocny, a zarazem brutalny, odbierał bowiem każdej rzeczy jej barwę własną, zmuszając ją, aby stała się ognista. Już z dala ujrzeli

konstruktorzy Okrucyusza, pod zakrzepłymi gruzłami srebrnych ścian; a taki był ten monarcha niecierpliw, że nie siedział ni chwili na tronie, lecz grzmiącym krokiem chodził po srebrnych płytach posadzki, a mówiąc do nich, dla uwyrażnienia powiedzianego, przecinał niekiedy ręką powietrze, aż świszcząło.

- Konstruktorzy moi, witajcie! - rzekł, ujmując obu w ostrza swego

spojrzenia. - Jak pewno już wiecie od Imć Protozora, mistrza ceremonii łowieckich, pragnę, abyście mi zbudowali nowe gatunki zwierzyny! A przy tym, rozumiecie to sami, nie życzę sobie potykać się z jakąś górą stalową, na stu gąsienicach się wlokącą, bo to zajęcie dla artylerii, a nie dla mnie. Przeciwnik mój musi być potężny i drapieżny, a zarazem chyży i zwinny, a nade wszystko pełen podstępnej przewrotności, abym mógł, polując nań, rozwinać całe moje mistrzostwo myśliwskie! Musi to być zwierzę chytne i rozumne, znać ma sztukę kluczenia i mylenia śladów, milczących zaczajeń i piorunowych ataków, gdyż taka jest moja wola!

- Wybacz, Wasza Królewska Mość - rzekł Klapaucjusz, skłoniwszy się - ale czy, spełniając życzenia Waszej Królewskiej Mości zbyt dobrze, nie zagrozimy Jej osobie i zdrowiu?

Król roześmiał się grzmiąco, aż parę frędzli brylantowych oberwało się z żyrandola i roztrzaskało u stóp obu konstruktorów, którzy mimo woli drgnęli.

- Nie obawiajcie się tego, zacni moi konstruktorzy! - powiedział, a czarna wesołość mieniła mu się w oczach. - Nie jesteście ani pierwszymi, ani ostatnimi, jak sądzę... muszę wyznać bowiem, że jestem panem sprawiedliwym, lecz i wymagającym. Zbyt wielu już rozmaitych wydrwigroszów, liżyłapów, oczajduszów usiłowało mnie podejść, zbyt wielu, powiadam, podszywających się pod szczytne miano inżyniera myśliwskiego chciało opuścić moje królestwo, obciążwszy barki worami klejnotów, pozostawiając mi w zamian nędzne truchła, padające pod jednym kopnięciem... zbyt wielu było takich, abym nie ujrzał się zmuszonym do podjęcia odpowiednich środków ostrożności. Tak tedy, od dwunastu już lat, każdy konstruktor, który nie spełni mych życzeń, który obiecuje więcej, niż może dokonać, otrzymuje wprawdzie przyobiecana zapłatę, lecz razem z nią stracony zostaje do tej oto czeluści - albo, jeżeli wybierze taki los, jego samego z kolei czynię moją zwierzyną i zabijam tymi oto rękami, do czego, zapewniam was, drodzy panowie, nie trzeba mi żadnej zgoła broni...

- A wieluż... było takich nieszczęśników? - spytał Trurl słabszym niż zazwyczaj głosem.

- Wielu? Doprawdy, nie pamiętam. Wiem jeno, że dotąd nie zadowolili mnie żaden, a ów ryk strachu, jakim, padając w studnię, żegnają świat, trwa coraz krócej, widocznie góra szczątków narasta od dna przepaści, lecz miejsca tam starczy jeszcze długo, o tym mogę was zapewnić!

Po tych okropnych słowach zapadła martwa cisza; obaj przyjaciele

mimo woli spojrzeli w stronę czarnego wylotu studni, król zaś przechadzał się dalej i jego potężne stopy uderzały o posadzkę, jakby ktoś ze szczytu skalnego miotał głazami w otchłań pełną ech.

- Wszelako, za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, myśmy jeszcze... e... umowy nie zawarli - odważył się wybąkać Trurl. - Czy nie moglibyśmy zatem zyskać dwu godzin dla namysłu, musimy bowiem w umyśle zważyć głębokie słowa Waszej Królewskiej Mości, po czym wyjawi się, czy przyjmujemy warunki, czy też...

- Ha, ha! - zaśmiał się król jak oberwanie chmury. - Czy też wrócić do domu, co? O, nie, moi panowie, przyjęliście warunki, wstępując na pokład Infernandy, który był częścią mego królestwa! Gdyby każdy trafiający do mnie konstruktor mógł odejść, kiedy zechce, całą nieskończoność czekałbym na spełnienie marzeń! Tak tedy zostaniecie i przyrzadzicie mi potwory do polowania... Na to daję wam dwanaście dni czasu, a teraz możecie odejść. Gdybyście łaknęli rozkoszy, śmiało zwracajcie się z życzeniami do sług, jakich wam przydzieliłem, albowiem niczego nie będę wam żałował. DO CZASU!

- Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, mniejsza o rozkosze, ale czy nie moglibyśmy obejrzeć trofeów łowieckich Waszej Królewskiej Mości pochodzących z działania naszych poprzedników?

- Ależ możecie, możecie! - łaskawie rzekł król i klasnął w ręce, aż iskry tryskające mu z palców rozjaśniły srebro ścian. Zarazem powiał od tego mocarnego ruchu wiatr chłodzący rozgrzane głowy obu poszukiwaczy przygód. Po chwili sześciu w biel i złoto umundurowanych gwardzistów wprowadziło Trurla i Klapaucjusza do krętego korytarza, rzekłbyś - istnego meandra wnętrzości jakiegoś skamieniałego gada; nie bez ulgi też ujrzeni się niebawem w ogromnym terrarium pod gołym niebem; na cudnie utrzymanych trawnikach rozłożone były wokół, lepiej lub gorzej zachowane, trofea łowieckie Okrucyusa.

Najbliższym był rozcięty niemal na dwoje, ryjem szablastozębym w niebo celujący kolos, którego kadłub chronić miały zachodzące na siebie łuskowato tarcze pancerne; tylne nogi, niezmiernie długie, skonstruowane widać dla potężnych susów, spoczywały na trawie obok ogona; znajdował się w nim doskonale widoczny samopał z magazynkiem opróżnionym do połowy na znak, że stwór nie od razu i nie bez walki uległ straszliwemu królowi. Świadczył o tym również żółtawy strzęp zwisający z kłów wpółotwartej paszczy, w którym Trurl rozpoznał cholewkę takiego buta, jakie nosili królewscy dojeżdźdźcy. Obok leżała

druga szkarada węzowata z mnóstwem krótkich skrzydeł opalonych ogniem wystrzału, a elektryczne wnętrzości rozplusnęły się jej w miedziano-porcelanową kałużę. Dalej inny stwór rozczapierał kurczowo do kolumn podobne nogi, a w paszczy jego igrał, szeleszcząc z cicha, wiaterek ogrodowy. I były tam truchła na kołach z pazurami i na gąsienicach z miotaczami, rozplątane do ostatniego szpiku drucianego, były pancerniki bezgłowe z rodzajem spłaszczonych wieżyczek, porożrywanych atomowymi razami, i wielocłonowce, i pękate okropieństwa, opatrzone licznymi mózgami rezerwowymi, które wszystkie pomiażdżyły się w walce, i maskary skaczące z połamanymi szczudłami kończyn teleskopowych, i jakieś małe zjadliwce, które umiały snadź to rozdzielać się na zażarte stado, to łączyć w kulę obronną, najeżoną czarnymi oczkami luf, ale i ta chytrość nie ocaliła ani ich, ani ich stwórców, zaś pośród szpaleru owych szczątków kroczyli Trurl i Klapaucjusz, z miękko uginającymi się kolanami, w solennym, z lekka żalobnym milczeniu, jak gdyby gotowali się do pogrzebu raczej niż do bujnej działalności wynalazczej, aż doszli do końca przerażającej galerii triumfów królewskich. U wrót, pod białymi schodami, czekała ich karoca; jakoś smoki mniej wydały im się przerażające, gdy wiozły ich tętniącymi ulicami do rezydencji zamiejskiej. A gdy znaleźli się sami w komnacie wybitej szkarłatem i delikatną zielenią, przed stołem uginającym się od kosztowności i trunków zapobiegliwie przygotowanych, Trurlowi rozwiązał się wreszcie język i począł okropnymi słowy lżyć Klapaucjusza, twierdząc, iż to on, pochopnie przyjąwszy ofertę mistrza ceremonii, ściągnął na ich głowy nieszczęście, jakby nie mogli spokojnie zażywać w domu owoców zdobytej sławy. Klapaucjusz nie odezwał się ani słowem. Kiedy zaś gniew i rozpacz Trurla wyładowały się, tamten, czekający dotąd cierpliwie, zobaczył, jak Trurl pada raczej, niż siada na wspaniałym karle z macicy perłowej i podpira głowę z zamkniętymi oczami; wtedy rzekł krótko:

- Nie ma co! Trzeba się wziąć do roboty.

Trurla jakby obudziły te słowa; jeśli zaraz rozważać różne możliwości, świadomi najtajniejszych arkanów sztuki cybernetycznego stwarzania. Szybko też zgodzili się, że najważniejszy będzie nie pancerz, nie siła potwora, którego zbudować muszą, lecz jego program, to jest algorytm diabolicznego działania. Musi to być istota prawdziwie z piekła rodem, doskonale szatańska! - rzekli sobie i choć nie wiedzieli jeszcze, jak to uczynią, z lekka podniosły się w nich serca. A gdy siedli do projektowania bestii, której łaknął okrutny monarcha, włożyli w dzieło

całą duszę, tak że przepracowali noc i dzień, i jeszcze jedną noc, po czym udali się na ucztę, a podczas gdy pełne dzbany lejdejskie krążyły między nimi, na tyle już byli pewni swego, że uśmiechali się do siebie ukradkiem a złośliwie, aby nie mogli tego dostrzec słudzy, których, nie bez słuszności, mieli za szpiegów królewskich. Nie mówili jednak przy nich nic, co by dotyczyło sprawy, chwalili tylko piorunową moc trunków i wspaniałe elektrety z jonową polewką, które podawali im wyfraczeni lokaje, zwijający się jak frygi. Po kolacji dopiero, gdy wyszli na taras, skąd rozpościerał się pod ciemniejącym niebem widok na całe miasto, z jego białymi wieżami i czarnymi kopułami tonącymi w zieleni, Trurl rzekł do Klapaucjusza:

- Sprawa nie jest jeszcze wygrana, nie jest bowiem prosta.

- Jak to rozumiesz? - żywo, choć z ostrożności szeptem zapytał Klapaucjusz.

- A bo, widzisz, to jest tak. Jeśli król położy to mechaniczne bydlę, bez najmniejszych wątpliwości spełni obietnicę, którą nazwałbym studzienną, uznawszy, żeśmy jego życzeń nie spełnili. Jeśli jednak uda się nam za dobrze... uważasz?

- Nie wiem. Jeśli nie położy zwierza?

- Nie. Jeśli zwierz jego położy, drogi kolego... wówczas ten, kto obejmie władzę po królu, nie puści tego może płazem.

- Myślisz, że przyjdzie nam przed nim odpowiadać? Zazwyczaj następcą tronu rad jest z jego opróżnienia.

- Tak, ale tym będzie jego syn; a czy weźmie się do nas dla miłości ojca, czy dlatego tylko, że czynu tego będzie się po nim spodziewał dwór, dla nas mała różnica. Co ty na to?

- O tym nie pomyślałem - Klapaucjusz zamyślił się ponuro i mruknął: - Istotnie, perspektywy nie są wesołe. Ani tędy, ani owędy... Czy widzisz jakieś wyjście?

- Można by zbudować takiego zwierza, który będzie wielośmiertelny. To znaczy król porazi go, on legnie, ale zaraz powstanie z martwych. I znów król zapoluje, znowu go dosięgnie, i to tak będzie, aż się zmęczy...

- Zmęczony będzie zły - rzeczowo rzucił Klapaucjusz. - Zresztą, jak ty sobie tego zwierza wyobrażasz?

- Wcale go sobie nie wyobrażam, szkicuję tylko możliwości... Najprostsze byłoby sporządzić potwora pozbawionego części życiowo ważnych. Choćby go na kawałki posiekał, na powrót się zrośnie.

- Jak?

- Pod wpływem pola.
- Magnetycznego?
- Powiedzmy.
- Skąd wziąć to pole?

- Tego jeszcze nie wiem. Może my sami będziemy nim zdalnie sterowali? - spytał Trurl.

- Nie, to nie dość bezpieczne - skrzywił się Klapaucjusz. - Skąd możesz wiedzieć, czy na czas polowania król nie wtrąci nas do jakiejś kazamaty? Przecież w końcu trzeba to wyraźnie powiedzieć; ci nasi nieszczęśni poprzednicy też nie wypadli kometcie spod ogona, a wiesz dobrze, jak skończyli. Myśl o zdalnym sterowaniu musiała przyjść niejednemu, lecz zawiodła. Tak więc my z potworem nie możemy mieć podczas samej walki nic wspólnego.

- Może sporządzić sztucznego satelitę - i na nim...? - poddał Trurl.

- Ty, gdybyś chciał ołówek naostrzyć, wołałbyś o kamienie młyńskie! - zachnął się Klapaucjusz. - Satelita, doprawdy! Jak go sporządzisz? Jak na orbitę wprowadzisz? Cudów nie ma w naszym rzemiośle, mój kochany! Nie, trzeba to urządzenie ukryć całkiem inaczej!

- Ależ gdzie ukryjesz, skoro jesteśmy nieustannie śledzeni, nieszczęsny?! Sam widzisz przecie, że lokaje i słudzy oka z nas nie spuszczaają, że wszędzie wtykają nosy i mowy nawet nie ma o tym, abyśmy niepostrzeżenie mogli choć raz, choć na chwilę wymknąć się z pałacu... Zresztą takie urządzenie musi być wielkie, jak je wynieść?

Jak przemycić? Nie widzę sposobu!

- Tylko się nie gorączkuj! - upominał go rozważny Klapaucjusz. - Może takie urządzenie w ogóle niepotrzebne?

- Przecież potworem musi coś rządzić, a jeśli będzie nim rządził własny jego mózg elektronowy, król porąbie go na drobne kawałki, zanim zdążysz powiedzieć: „Żegnaj, piękny świecie!”.

Milczeli, robiło się już ciemno i w dole, pod tarasem, mrugały coraz liczniejsze światła miasta. Nagle Trurl rzekł:

- Słuchaj, mam myśl. A gdyby tak pod pozorem budowania potwora sporządzić po prostu statek i uciec na nim? Można mu wszak dorobić dla niepoznaki uszy, ogon, łapy, które się jako niepotrzebny kamuflaż w chwili startu odrzuci! Uważam, że to przednia myśl! Uciekniemy - i szukaj wiatru w polu!

- A jeśli wśród sług królewskich jest jakiś konstruktor podstawiony, co wydaje mi się wcale prawdopodobne, to ani się obejrzyysz, a już ci kat poświeci. Zresztą uciekać - nie, to mi nie odpowiada. My albo on - tak

sprawa wygląda; trzeciego wyjścia nie ma.

- Istotnie, szpieg może się na konstrukcji znać! - zafrasował się Trurl. - Więc co robić, do wielkiej, czarnej skrzynki?! Może elektronową fatamorganę?

- Niby takie widmo, majak? Żeby król uganiał się za nim daremnie? Dziękuję ci! Przecie, wróciwszy z takiego polowania, wywróci nas obu na lewą stronę!

Znowu milczeli, aż Trurl odezwał się nagle:

- Jedyne wyjście, jakie widzę, to, aby potwór chwycił króla, aby go porwał - uważasz? - i trzymał w niewoli. W ten sposób...

- Rozumiem, nie musisz kończyć. Owszem, to jest myśl. Trzymalibyśmy go, a słowiki śpiewają tu jeszcze słodziej aniżeli na samej Marylondzie Prokwińskiej - zrećznie dokończył Klapaucjusz, bo słudzy wnieśli właśnie na taras lampy na srebrnych postumentach. - Powiedzmy, że tak się stanie - podjął, kiedy znów zostali sami, w ciemności, słabo rozjaśnianej blaskiem lamp - wszelako jak uczynimy, byśmy mogli prowadzić z jeńcem układy, jeżeli osadzą nas zakutych w lochu kamiennym?

- Istotnie - mrucał Trurl - trzeba to jakoś inaczej wykombinować... Najważniejszy zresztą jest algorytm potwora!

- Też mi odkrycie zrobił! Wiadomo, że bez algorytmu ani rusz. Nie ma co, trzeba eksperymentować!

Jakoż zasiedli do eksperymentowania. A polegało na tym, iż sporządzili model króla Okrucyusza i potwora, oba wszakże tylko na papierze, bo sposobem matematycznym; Trurl zawiadywał pierwszym, Klapaucjusz zaś drugim. I starły się oba na wielkich arkuszach białych, zalegających stół, z taką mocą, aż grafiony pękły naraz w ołówkach. I wił się wściekle całkami nieokreślonymi potwór pod razami równań królewskich, i padał rozprzęgnięty na zbiór nieprzeliczalny niewiadomych, i zrywał się znowu podniesiony do wyższej potęgi, a król go różniczkami, aż operatory funkcyjne leciały na wszystkie strony i zrobiło się takie zamieszanie algebraiczno-nieliniowe, że już żaden z konstruktorów nie mógł się połapać w tym, co się stało z królem, a co z potworem, bo obaj sczeźli im w zamęcie znaczków pokreślonych. Wstali więc od stołu, pociągnęli dla wzmocnienia z wielkiej amfory lejdejskiej, znów siedli i zaczęli od nowa, tym razem gwałtownie, spuszczając ze smyczy całą Wielką Analizę, i zakłębiło się na papierze, aż swąd poszedł od rozgrzanych grafionów. Pędził król wszystkimi swoimi współczynnikami okrutnymi, błądził w lesie znaków poszóstnych, wracał

własnymi śladami, potwora atakował do siódmego potu i ósmej silni, ów zaś rozpadł się na sto wielomianów, zgubił jednego iksa i dwa ypsylony, wlaź pod kreskę ułamkową, rozpoczwarzył się, machnął pierwiastkami i jak królewskiej osobie zmatematyzowanej z boku nie zajędzie! - aż zatrzęsło się całe równanie, tak na odlew trafione. Lecz wtedy Okrucyusz pancierzem się nieliniowym otoczył, punkt w nieskończoności osiągnął, duchem wrócił i jak nie huknie potwora w łeb przez wszystkie nawiasy! - aż mu logarytm opadł naraz z przodu, a potęga z tyłu. Więc wciągnął macki do środka, a kowariantnie, że tylko ołówki latają, i bac! bac! - i jeszcze go transformacją po grzbiecie, i drugi raz, i już król, uproszczony, zatrząsł się od licznika przez wszystkie mianowniki i leży jak długi - a konstruktorzy zerwali się, śmiali i tańczyli, rwąc zapisane arkusze na oczach szpiegów, którzy ich z żyrandola daremnie lornetowali, nie obeznani z wyższą matematyką, i nic nad to nie pojęli, że owi krzyczą jeden przez drugiego: - Zwycięstwo! Zwycięstwo!!

Dobrze po północy do laboratoriów śledczych policji najtajniejszej królestwa wniesiono amforę, z której raczyli się konstruktorzy przy ciężkiej swej pracy. Zaraz laboranci-konsultanci otwarli tajne dno jej drugie, wyjęli stamtąd mikrofonik i magnetofonik, po czym, skupiwszy się nad aparaturą, puścili ją w ruch i przez wiele godzin słuchali z największą uwagą wszystkich słów, jakie padły w sali z marmuru zielonego. I promień wstającego słońca oświetlił ich wydłużone twarze, albowiem nic z tego, co usłyszeli, nie dawało się pojąć. Oto mówił głos jeden:

- No? Jak? Podstawiłeś króla?

- Podstawiłem!

- Gdzie go masz? Tu? Dobra! Teraz tak - o! - nogi razem! Trzymaj nogi razem, mówię! Nie swoje, ośle, królewskie! Tak! I jazda, transformuj, prędko! Co ci wypadło?

- Pi.

- A gdzie potwór?

- W nawiasie. I co, król wytrzymał, widzisz?

- Wytrzymał? A teraz obie strony pomnoż przez liczbę urojona - tak! I jeszcze go raz! Zmieniaj znaki, tępa głowo! Gdzie wstawiasz, tumanie? Gdzie?! To potwór, a nie król! No, tak! O, to, to!! Gotowe? Więc teraz obracaj fazowo - tak! - i jazda w przestrzeń realną! Masz?

- Mam! Klapaucjuszku! Mój drogi! Patrz, co się zrobiło z królem!!

A odpowiedzią był szalony wybuch śmiechu.

Nazajutrz, a właściwie w tym dniu nowym, do którego cała policja

dotrwała na nogach po nocy bezsennej, konstruktorzy zażądali kwarcu, wanadu, stali, miedzi, platyny, kryształów górskich, tytanu, ceru, germanu i wszystkich w ogóle pierwiastków, z jakich składa się Kosmos, jak również maszyn, mechaników kwalifikowanych i szpiegów, albowiem do tego stopnia się rozzuchwalili, iż na potrójnym formularzu zapotrzebowania wzięli się napisać: „Oraz prosimy o szpiegów różnej maści i formatu, wg uznania P.T. Władz Odnośnych”. Nazajutrz dodatkowo zażądali trocin, jak również dużej zasłony z czerwonego pluszu, pośrodku z pękiem szklanych dzwoneczków, z czterema wielkimi kutasami w rogach. Podali nawet wymiary dzwoneczków. Król, którego o wszystkim powiadamiano, zżymał się, lecz polecił wszystkie żądania zuchwalców wypełniać, do czasu. A że święte było słowo królewskie, otrzymali konstruktorzy wszystko, czego pragnęli.

Były to zaś rzeczy coraz nowe i zupełnie niesłychane. Tak więc, pod numerem 48999/11K/T wszedł do archiwów policyjnych egzemplarz kopii zapotrzebowania, na którym domagali się trzech manekinów krawieckich oraz sześciu kompletnych mundurów królewskiej policji z pasami, bronią, czakami, pióropuszcami i kajdankami, jak również ostatnich trzech roczników pisma „Policjant Ojczysty” ze spisem treści; zarazem w rubryce „Uwagi” zapewniali, iż wymienione przedmioty zobowiązują się zwrócić całe i nieuszkodzone w ciągu dwudziestu czterech godzin od ich otrzymania. W innym fascykułe archiwalnym tkwi kopia pisma, w którym Klapaucjusz zażądał bezzwłocznego dostarczenia lalki naturalnej wielkości, przedstawiającej ministra poczt i telegrafów w pełnej gali, jak również małej, na zielono polakierowanej dwukółki, z latarnią naftową po lewej stronie i błękitno-białym napisem z tyłu, literami ozdobnymi: CZEŚĆ PRACY! Po owej lalce z dwukółką szef tajnej policji oszalał i musiał przejść w stan spoczynku. Po dalszych trzech dniach zażądali beczki pofarbowanego na różowo oleju rycynowego. Odtąd nie domagali się już niczego, pracując w podziemnym lochu swej rezydencji, skąd dobiegały dzikie ich śpiewy, nieustanny łoskot młotów, a od zmierzchu błękitny blask padał przez okratowane okienka piwniczne, upiornie dziwaczac kształty drzew ogrodowych. Trurl i Klapaucjusz z pomocnikami, w sinym świetle elektrycznych wyładowań, krzatali się pośród kamiennych ścian, widząc, gdy podnosili głowy, przyklepione do szyb twarze rozmaitych sług, którzy niby to z płonej ciekawości fotografowali każdy ruch. Jednej nocy, gdy zmęczeni poszli spać, cząstki aparatury, którą właśnie konstruowali, przewieziono niezwłocznie tajnym balonem ekspresowym do laboratoriów królewskich,

gdzie drżącymi palcami składało je osiemnastu najznakomitszych cybernetyków sądowych po uprzednim zaprzysiężeniu wielką klątwą koronną. Za czym spod ich rąk wypełzła szara myszka cynowa, która puszczając pyszczkiem bańki mydlane, zarazem biegała po stole, a spod ogonka sypał się jej biały kredowy pył tak kunsztownie, iż powstał z tego kaligrafowany napis: A WIEC NAPRAWDE NAS NIE KOCHACIE? Nigdy jeszcze w dziejach królestwa naczelnicy tajnej policji nie zmieniali się tak szybko. Mundury, lalę, zieloną dwukółkę, jak również trociny, które konstruktorzy zwrócili co do minuty, badano elektronowymi mikroskopami. Jednakże oprócz malutkiej karteczki w trocinach ze słowami TO MY, TROCINY, nie znaleziono nic. Poddano rewizji nawet poszczególne atomy mundurów i dwukółki, ale bezskutecznie. Nadszedł wreszcie dzień, w którym praca została ukończona. Ogromny, do hermetycznego zbiornika podobny pojazd na trzystu kołach przytoczył się do muru otaczającego rezydencję Trurla i

Klapaucjusza, przez otwartą bramę wynieśli konstruktorzy najzupełniej pustą zasłonę, tę z kutasami i dzwoneczkami, i po komisyjnym otwarciu drzwi pojazdu położyli ją w środku na podłodze; następnie wleźli do środka i przy zamkniętych drzwiach coś tam robili; potem kolejno nosili z piwnicy wielkie blaszanki, pełne drobno zmielonych elementów chemicznych, wszystkie owe proszki szare, srebrne, białe, żółte i zielone sypali pod brzegi rozpostartej szeroko zasłony, a potem wyszli na światło dzienne, kazali zamknąć pojazd i czekali z oczami wlepionymi w zegarki przez czternaście i pół sekundy; po upływie tego czasu wyraźnie dało się słyszeć dzwonięcie dzwoneczków szklanych, chociaż pojazd był całkiem nieruchomy i wszyscy się zdumiali, gdyż chyba duch tylko mógł poruszyć tkaninę. Wówczas konstruktorzy spojrzeli na siebie i powiedzieli:

- Gotowe! Można go zabrać!

Przez cały dzień puszczali z tarasu bańki mydlane; pod wieczór odwiedził ich dostojny Protozor, mistrz ceremonii, który zwabił ich na planetę Okrucyusza; był grzeczny, lecz stanowczy. Straż czekała na schodach - on zaś wyjaśnił, że mają natychmiast udać się w miejsce, które zostało wyznaczone. Musieli wszystkie rzeczy pozostawić w pałacu, nawet własną odzież; dano im w zamian połatane łachmany i skuto obu kajdanami; ku zdumieniu strażników i obecnych dostojników policji i wymiaru sprawiedliwości obaj konstruktorzy bynajmniej nie wyglądali na zdenerwowanych, a Trurl nawet zaśmiewał się, powiadając do kowala, który go zakuwał, że ma łaskotki. Gdy zaś zatrzaśnięto ich w lochu, wnet doszedł z kamiennych czeluści odgłos piosenki *Wesoły programista*.

Tymczasem potężny Okrucyusz na łowieckim wozie bojowym wyruszył właśnie z miasta otoczony świtą, za nim zaś ciągnął się długi wąż jeźdźców i machin, nie całkiem myśliwskich, były bowiem wśród nich nie to że kartaczone i armaty, ale ogromne fuzje laserowe, garłacze na antimaterię i miotacze smoły, w której grzęźnie wszelki stwór i wszelka machina.

Jechał tedy ów potężny orszak myśliwski króla ku łowiskom koronnym szparko, butnie i wesoło, i nikt tam nawet nie pomyślał o uwieczonych w lochu konstruktorach, a jeśli, to tylko aby sobie z nich podrwić, że tak szpetnie wpadli.

Gdy zaś z wież łowiska fanfary srebrne obwieściły zbliżanie się króla jegomości, ujrzano toczący się w tęż stronę ogromny pojazd-zbiornikowiec; specjalne uchwyty wsparły klapę zbiornika, odemknęły ją i przez jedno mgnienie ziała niby czarna paszczęka działa wycelowanego w horyzont. W następnej zaś sekundzie kształt zmienny jak burza, szarżółtawy, piaszczysty buchnął ze środka, a takim susem polotnym, że nie wiadomo było, czy to zwierzę, czy nie. Przeleciawszy ze sto kroków, stwór wylądował bezszelestnie, a zasłona, w którą był owinięty, sfrunęła na bok i wydała przedziwny w powszechnej ciszy dźwięk swych szklanych dzwoneczków; leżała na piaskach malinową plamą opodal potwora, którego teraz dobrze już wszyscy widzieli. Ale kształty nadal pozostały niejasne; był to jakby wzgórek, dosyć spory, podługowaty, barwy całkiem podobnej do otoczenia, nawet wydawało się, że coś jak spalony słońcem oset rośnie mu na grzbiecie. Dojeżdżacze królewscy, nie spuszczać z oczu zwierza, spuścili ze smyczy całą sforę cybernardów, cyberbeci i cybernosów; te z chciwie rozwartymi paszczkami runęły ku skulonemu ogromowi, który, kiedy go dopadły, ani gęby nie rozemknał, ani ogniem nie zionał, lecz rozwarł dwoje oczu podobnych do małych strasznych słońc i w jednej chwili połowa sfory padła popiołem na ziemię.

- Oho, laserki ma w oczach! A dajcież mi to moją przeciwświatłą zbroję grzeczną, misiurkę i pancerzyk zacny! - zawołał król do świty, która natychmiast go w świetlistą superstal przyoblekła. Wysforowawszy się tedy przed innymi, król ruszył na swoim cyberkoniu, który się żadnych pocisków nie obawiał. Potwór pozwolił mu się zbliżyć; król ciął, aż powietrze zawyło pod ostrzem, i odrąbana głowa zwierza potoczyła się na piasek. Zgniewał się król więcej, niż uradował, że mu tak łatwo poszło, i postanowił wziąć na męki szczególnej jakości sprawców takiego rozczarowania, choć świta hałałowała na cześć jego triumfu

łowieckiego. Lecz potwór tylko ruszył szyją i z powstałego na jej końcu pączka wychynęła druga głowa, otworzyła swe oślepiające źrenice i błysk ich osunął się bezsilnie po pancerzu królewskim. - No, jednak nie tacy oni do niczego, choć zginać muszą - pomyślał król i skoczył na zwierza, spiąwszy rumaka ostrogami.

Ciał powtórnie, tym razem w środek grzbietu potwora, który, owszem, nawet mu się lekko do ciosu podstawił. Zaświszczało powietrze, wrzasła stal i rozplątany na dwoje kadłub runął w drgawkach. Lecz co to? - król ściągnął lewicą wodze, a już dwa miał przed sobą bliźniacze, mniejsze potwory, a i trzeci wśród nich, malutki, baraszkował - to była głowa, przed chwilą odcięta, która wypuściła ogonek i nóżki i też harcowała sobie po piasku.

- Cóż to?! Na talarki czy na myszy mam go tu siekać, a to mi polowanie!! - pomyślał król i wielkim gniewem zdjęty, skoczył na potwory. I ciał, i kłuł sztychem, i rąbał, tasakując mieczem; namnożyło się pod razami potworów, które nagle odbiegły, rzuciły się ku sobie, mignęło i znowu jeden, wielki, brzuchem przykulony do ziemi, drżąc grzbietem sprężystym, trwał przed nim taki sam jak wprzód.

- Żadna satysfakcja - pomyślał król. - Widać ma takie samo sprzężenie zwrotne jak ten, którego mi - jak mu było? - Pumpkington sporządził. Za brak pomysłu własnoręcznie raczyłem go potem na dziedzińcu rozszczepić... Nie ma co, trzeba z cybermaty...

I kazał sobie jedną, gwintowaną poszostnie, podtoczyć. Mierzył niekrótko, niedługo, w sam raz, za sznur pociągnął i bez grzmotu, bez dymu pocisk niewidzialny strzelił w potwora, aby go na drobne kawałki roznieść. Lecz nic się nie stało; jeśli na wylot przeszedł, to zbyt szybko, aby ktokolwiek mógł to dostrzec. Potwór przypadł jeszcze bardziej do ziemi i wysunął lewą łapę do przodu, za czym wszyscy zobaczyli jego długie, włochate palce: pokazał królowi figę!

- Dawać mi większy kaliber! - zakrzyknął król, udając, że nie widzi. I toczą już, dwudziestu chłopu ładuje działo, król mierzy, celuje, pali - w tym właśnie mgnieniu potwór skoczył. Król chciał się mieczem osłonić, lecz nim to uczynił, nie było już potwora; ci, co to widzieli, powiadali później, iż mało od zmysłów nie odeszli. Lecący powietrzem rozdzielił się bowiem na troje; była owa metamorfoza błyskawicowa - zamiast szarego cielska pojawiły się trzy osoby w mundurach policyjnych, które jeszcze lecąc, przygotowywały się już do działań służbowych. Pierwszy policjant wyjmował z kieszeni kajdanki, sterując nogami, drugi od wichru, wywołanego pędem, przytrzymał czako z pióropuszem, a swobodną

ręką wyciągał z bocznej kieszeni nakaz aresztowania, trzeci zaś do tego tylko służył, aby się tamtym dwom dogodniej wylądowało, albowiem padł plackiem pod ich stopy jako amortyzator. Zerwał się jednak zaraz i otrzepał z kurzu, a tymczasem pierwszy już nakładał królowi kajdanki, drugi zaś wytrącił mu z dłoni, zdumieniem rażonej, miecz; zakutego jęli uprowadzać w pustynię, gnając długimi susami i ciągnąc słabo opierającego się monarchę. Kilka sekund cały orszak trwał skamieniały, aż ryknął jednym głosem i puścił się w pogoń. Już cyberumaki dojeżdżają uciekinierów pieszych, już miecze zgrzytają dobyte z pochew, gdy trzeci policjant coś sobie na brzuchu włączył, skurczył się, ręce urosły mu w dwa dyszle, nogi skrzyły się, już w nich szprychy migają, zaś na jego grzbiecie, takim sposobem zmienionym w kozioł zielonej dwukółki, siedzi policja i długim biczem łoi króla, który, w chomości, wymachując rękami, osłaniając głowę koronowaną od razów, galopuje jak szalony; znów pogoń się zbliżyła - wtedy policjanci króla za kark i między siebie, jeden zaś prędzej, niż to można wypowiedzieć, stoczył się między dyszle, fuknął, pyknął i zmienił się w tęczący bąk powietrza, w śmigłodrygło piorunowe; dwukółce jakby skrzydeł przyprawił, pomknęła, wyrzucając piasek, tańcząc wściekle na wybojach, że po chwili ledwo było ją widać wśród wydm pustynnych. Orszak królewski rozproszył się, śladów szukano, po ogary czujne słano, potem przybieżała rezerwa policji z motopompami i jęła piasek gorączkowo polewać, a to dlatego, ponieważ w telegram szyfrowany, wysłany z balonu obserwacyjnego w chmurach, wkradł się błąd od pośpiechu i drżących rąk telegrafisty. Gnały zastępy policyjne po całej pustyni, każdy krzaczek, każdą kępkę ostu przeszukano, zrewidowano, prześwietlono podręcznymi aparatami rentgenowskimi, wykopano wiele jam, wzięto z nich próbki do analizy, cyberkonia królewskiego sam prokurator generalny kazał doprowadzić na przesłuchanie, od balonów tajnych wieczorem aż się ciemno zrobiło, zrzucono nawet na pustynię dywizję skoczków spadochronowych z odkurzaczami, by przesiewali piasek, a wszystkich podobnych do policjantów zatrzymywano, lecz było to o tyle kłopotliwe, że jedna część policji zaaresztowała w rezultacie drugą. Gdy zapadła noc, myśliwi, przerażeni, osowiali, wracać jęli do miasta z hiobowymi wieściami, bo nie udało się odkryć najmniejszego śladu, monarcha jakby się w ziemię zapadł.

Przy pochodniach, w środku nocy, natychmiast sprowadzono zakutych w kajdany konstruktorów przed oblicze wielkiego kanclerza i strażnika pieczęci koronnej, a ten wręcz im głosem piorunowym

oświadcza:

- Za to, iżście zasadzkę zgubną na Majestat Najwyższy uczynili, iżście się ośmielili rękę podnieść na naszego pana miłościwego, Jego Królewską Mość, władcę i samodzięcę Okrucyusza, będziecie ćwiartowani, drelowani, szpikowani, po czym specjalnym fastrygatores-pulweryzatores rozproszeni na wszystkie strony świata, ku wiecznej pamięci i odstraszaniu od zbrodni królobójstwa nikczemnego, po trzykroć i bez apelacji. Amen.

- Czy zaraz? - pyta Trurl. - Bo się spodziewamy posłańca...

- Jakiego jeszcze posłańca, ty, zbrodniarzu bezecny?!

Lecz, w samej rzeczy, do sali tyłem wpadają strażnicy, którzy nie śmia skrzyżowanymi halabardami bronić wstępu samemu ministrowi poczt i telegrafów; dostojnik ów, w pełnej gali, orderami dzwoniąc, zbliża się do kanclerza i z diamentami zdobnej torby na brzuchu dobywa list, za czym oświadczywszy: - Choć sztuczny jestem, od króla przychodzę - rozsypuje się w drobny mak. Kanclerz, oczom własnym nie wierząc, rozłamuje pieczęć, poznawszy sygnet królewski odcisnięty w laku czerwonym, wyjmuje list z koperty i czyta, iż król zmuszony jest paktować z konstruktorami, którzy użyli sposobów algorytmicznych i matematycznych, aby go schwytać, a teraz stawiają warunki, których kanclerz wysłuchać musi i przyjąć wszystkie, jeśli mu życie króla miłe. Podpisane:

„Okrucyusz M.P., dan w jaskini niewiadomego położenia, w mocy potwora pseudopolicyjnego, jednego w trzech osobach umundurowanych"...

Wszyscy poczynają więc wołać wielkimi głosy, przekrzykując się, pytają, jakie też to warunki i cóż to wszystko znaczy, lecz Trurl powtarza tylko jedno: - Najpierw proszę zdjąć kajdany, bez tego nic.

Kowale na klęczkach rozkuwają konstruktorów, wszyscy do nich, a Trurl znowu swoje:

- Jesteśmy głodni, brudni, nie myci, chcemy kąpieli wonnych, kwiecia pachnącego, igraszek, kolacji wystawnej, baletu na deser, bez tego nic!

W białej już gorączce wszyscy dworacy okrutnego władcy, lecz przystać i na to muszą. O świcie dopiero wracają konstruktorzy na audiencję, w lektykach przez lokajów niesieni, wyświeżeni, wonni, poprzebierani w cudne szaty, siadają do zielonego stołu i zaczynają stawiać warunki, nie z głowy, aby czego, nie daj Boże, nie opuścić, lecz z małego notesika, który przez cały czas leżał ukryty za firanką w ich

rezydencji. Zaczyna się odczytywanie z notesika:

1. Ma być przygotowany statek pierwszej klasy, aby ich do domu odwiózł.

2. Statku wewnątrz ma być wypełnione różnościami, w takiej oto proporcji: brylantów - cztery pudy, złota czerwonego - czterdzieści pudów, platyny, palladu i Bóg jeden raczy wiedzieć, jakich jeszcze kosztowności - osiem razy tyle, jak również pamiątek dowolnych, jakie sobie raczą niżej podpisani z pałacu królewskiego wybrać.

3. Dopóki statek nie będzie na ostatnią śrubkę zapięty, do drogi gotowy, załadowany i podstawiony, wraz z dywanem na stopniach, orkiestrą pożegnalną, orderami na poduszkach, honorami, chórem dziecięcym, wielką orkiestrą filharmonii w gali oraz powszechnym entuzjazmem - króla nikt nawet nie zobaczy.

4. Ma zostać sporządzony adres dziękczynny, na blaszce złotej wytłoczony, perłową macią inkrustowany, do Jaśnie Wielmożnych, Niezmiernie Łaskawych Ichmości Trurla i Klapaucjusza zwrócony, gdzie rzecz cała ma być dokładnie opisana, pieczęcią kanclerską wielką i królewską koronną poświadczona, podpisami uwierzytelniona i zaplombowana, jako w futerale, w rurze armatniej, którą na plecach swych wnieść ma na pokład bez niczyjej pomocy Protozor dygnitarz, mistrz ceremonii, który Jaśnie Wielmożnych Konstruktorów na planetę zwabił, mniemając, że ich w ten sposób o śmierć sromotną przyprawi.

5. Onże dygnitarz ma potem towarzyszyć w drodze powrotnej obu konstruktorom, jako gwarancja nietykalności, braku wszelkiej pogoni itp. Przy czym na statku będzie zajmował stale miejsce w klatce, rozmiarów trzy stopy na trzy i na cztery, z wieczkiem dla karmienia i z trocinową wyściółką; trociny zaś mają być te same, których Konstruktorzy Jaśnie Wielmożni raczyli żądać dla spełnienia zachcianek królewskich i potem je do archiwów policyjnych tajnym balonem przekazano.

6. Po uwolnieniu król nie musi osobiście przeprosić wymienionych Jaśnie Wielmożnych Konstruktorów, albowiem przeproszenie takiego męża byłoby im całkiem na nic.

Podpisane, dane, datowane itp., itd.: Trurl i Klapaucjusz za Konstruktorów Warunkodawców oraz Wielki Kanclerz Koronny, Wielki Mistrz Ceremonii i Główny Oberpolicmajster Tajnej Policji Ziemno-Wodno-Balonowej za Warunkobiorców.

I cóż mają czynić dworacy i ministrowie, na twarzach posiniali? Godzą się, rzecz prosta, na wszystko. Za czym w największym pośpiechu

powstaje rakieta, konstruktorzy zaś przychodzą na plac budowy na kontrolę po śniadaniu i wszystko im nie tak: a to materiał kiepski, a to inżynierowie nierozgarnięci, a to w salonie głównym musi być lampa magiczna na cztery oberlufty z kukułką skrzyżną; a jeśli tubylcy nie wiedzą, co to takiego owa kukułka, tym gorzej dla nich; król niecierpliwi się niechybnie w swej samotnej ustroni i po powrocie z takimi, co to jego uwolnienie opóźniali, sumiennie się policzy. Od czego powszechna ciemność w oczach, nerwowe kołatania i drzączka policyjna. Wreszcie rakieta gotowa; niosą tragarze cenneści, wory pereł, złoto toczy się po pochylni, choć tajnie, a nieustannie sfory policjantów przetrząsają góry i doliny - z czego Trurl i Klapaucjusz tylko się w kułak śmieją i wyjaśniają nawet życzliwie tym, którzy ich nie bez zgrozy, lecz w największej ciekawości słuchają, jak do wszystkiego doszło, kiedy pierwotny zamysł, jako niedoskonały, całkowicie porzucili i zbudowali potwora w nowy sposób. Nie wiedzieli, ani gdzie, ani jak wprawić mu ośrodek regulacyjny, czyli mózg, tak żeby to całkiem pewne było, więc po prostu całego niejako z mózgu zbudowali, aby myśleć mógł nogą, ogonem czy paszczką, która tym samym pełna była zębów mądrości. Lecz to wszystko stanowiło jeno wstęp, właściwe zaś zadanie z dwu składało się części, psychologicznej i algorytmicznej. Wpierw należało ustalić, co króla osadzi; w tym celu działać miała, wyłoniona transmutacją z potwora, grupa policyjna, policjantom bowiem okazującym nakaz aresztowania, *lege artis* sporządzonego, nic w Kosmosie nie jest w stanie się oprzeć. Tyle o psychologii; dodajmy jeno, iż poczmistrz generalny też z psychologicznych pobudek został powołany do działania, albowiem urzędnik niższej rangi mógł być - przez strażę nie dopuszczony - listu nie dostarczyć, co by konstruktorów głowę kosztowało. Sztuczny minister zaś, rolę posłańca pełniący, miał prócz listu w torbie środki na wypadek, gdyby halabardyerów przyszło przekupić; o wszystkim tedy pomyślano. Co do algorytmów, to należało tylko wykryć taką grupę potworów, której podgrupę przeliczalną i zamkniętą stanowi właśnie policja. Algorytm potwora przewidywał kolejne transformacje we wszystkie wcielenia. Wprowadzili go atramentem chemiczno-niesympatycznym w zasłonę z dzwoneczkami, tak że sam potem działał na pierwiastki, właśnie dzięki samoorganizacji potwornie policyjnej. Dodajmy od razu, iż później konstruktorzy ogłosili w piśmie naukowym pracę pod tytułem: *Funkcje generalno-rekursywne eta-meta-beta dla szczególnego wypadku transformacji sił policyjnych w siły pocztowe i potworne w polu kompensującym dzwoneczków, rozważane dla dwu-trzy-cztero oraz n-*

kółki, lakierowanej zielono, z topologiczną lampą naftową, przy użyciu odwracalnej macierzy na oleju rycynowym, pofarbowanym na różowo w celu odwrócenia uwagi, czyli ogólna teoria mono i policyjnej potworystyki, matematycznie ujęta. Nikt, rozumie się, z dworzan, kanclerzy, oficerów, jako też samej, tak absolutnie zmalretowanej policji ani słowa z tego wszystkiego nie rozumiał, lecz cóż to szkodzi? Nie wiadomo, czy bardziej podziwiać mają konstruktorów poddani króla Okrucyusza, czy też nienawidzić.

Już wszystko do startu gotowe. Trurl chodzi po pałacu z workiem i wedle umowy coraz jakąś pięknośkę ze ściany zdejmie, z lekka się nią nasyci i pakuje jak swoją. Nareszcie karoca wiezie dzielnych na lotnisko, a tam już tłumy, chór dziecięcy, dziewczątka w strojach regionalnych wręczają pęki kwiecia, dostojnicy czytają z karteczki przemówienia dziękczynno-pożegnalne, orkiestra gra, słabsi mdleją i nastaje wreszcie głucha cisza. Tu wyjmuje Klapaucjusz ząb z gęby, coś w nim rusza, a to nie zwyczajny ząb, lecz stacyjka nadawczo- odbiorcza. Nacisnął - i pojawia się na horyzoncie piaszczysta chmurka; potem rośnie, pozostawiając za sobą warkocz pyłu, w coraz większym tętnie wpada na puste kolisko między statkiem i tłumem, zatrzymuje się gwałtownie, aż piasek leci na wsze strony, i wszyscy widzą, struchlawszy, że to potwór. Potworny jest! A oczy ma jak słońca. Po bokach węzowym ogonem się bije, że iskry lecą pękami i wypalają dziurki w galowych, więc niepancernych strojach dygnitarzy.

- Wypuść króla! - powiada Klapaucjusz, potwór zaś na to zupełnie ludzkim głosem:

- Ani mi się śni. Teraz ja będę z kolei paktować...

- Jakże to? Zwariowałaś? Musisz nas słuchać, zgodnie z matrycą! - woła gniewnie Klapaucjusz przy powszechnym osłupieniu.

- Niby dlaczego? Gdzieś mam matrycę. Jestem potwór algorytmiczny, antydemokratyczny, ze zwrotnym sprzężeniem, z zabójczym spojrzeniem, z policją, ornamentacją, aparycją i samoorganizacją, króla mam w brzuchu, ni słychu, ni ducha, dyszelek z dwukółką, postukaj się w czółko, weźcie się pod boki, zróbcie cztery kroki, i buch na kolana, kompanio kochana!

- Ja ci tu zaraz klęknę! - woła zezłoszczony Klapaucjusz, a Trurl pyta potwora:

- Więc czego właściwie chcesz?

Ale zarazem chowa się za Klapaucjusza i też wyjmuje sobie ząb, ale tak, żeby potwór tego nie widział.

- Po pierwsze, pragnę pojąć za żonę...

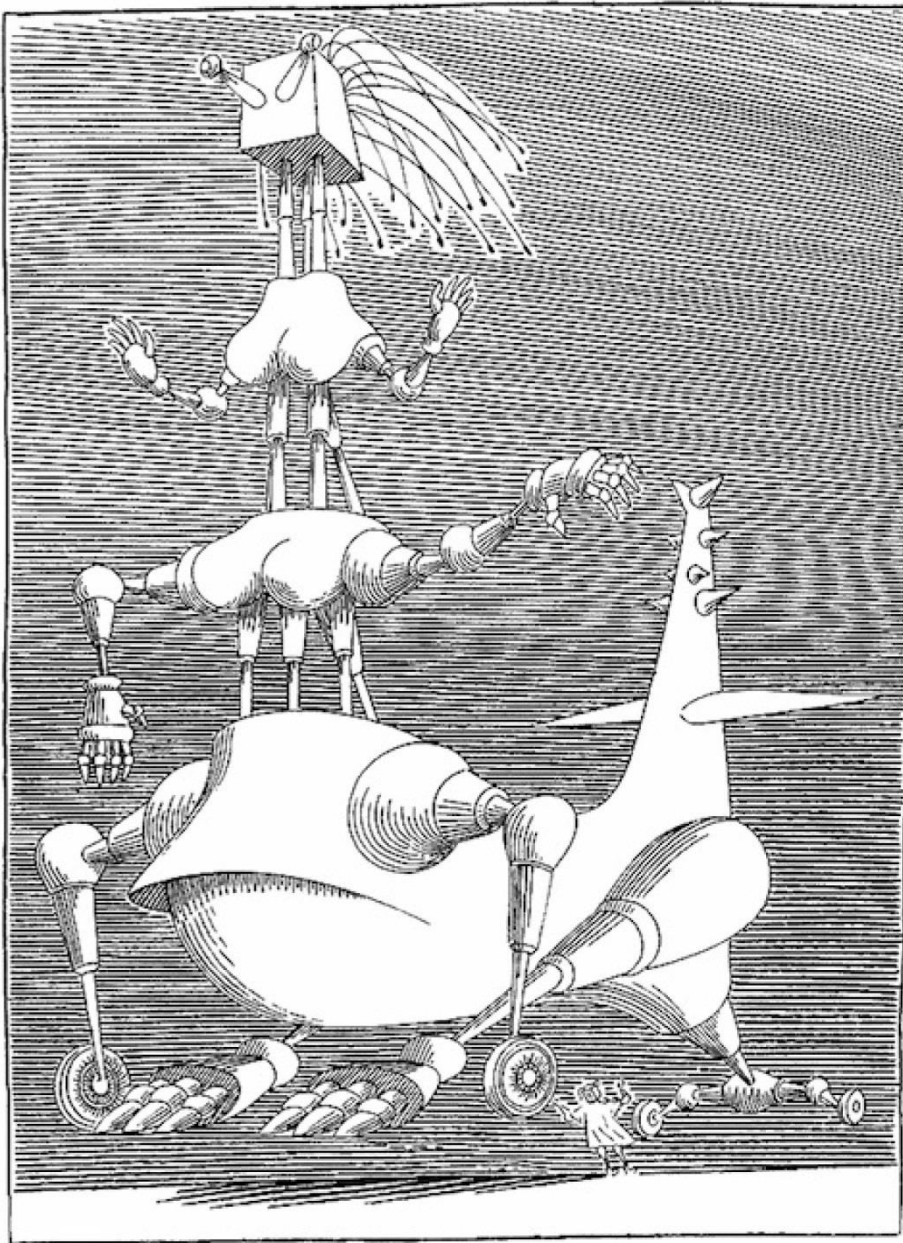
Ale nikt się nie dowiedział, kogo też potwór pragnie zaślubić, ponieważ Trurl nacisnął ząb i zawołał:

- Erem terem tytyrytki, zgiń, potworze, boś ty brzydki!

Zwrotne sprzężenia magnetyczno-dynamiczne, które trzymały wszystkie atomy potwora, rozprzęgły się momentalnie pod wpływem tych słów, on sam zaś załopotał ślepiami, załomotał uszami, ryknął, bryknął, zafalował, ale nic mu to nie pomogło - tylko wichrem gorącym o zapachu żelaza powiało, a potwór, jak stał, tak się rozsypał, niczym baba z piasku, wyschnięta i nogą tracona... Została tylko mała górka, a na tej górcie król, w pełni zdrowia, choć zasromany, skrzywiony, nie myty i bardzo zły, że na to mu przyszło.

- W głowie mu się przewróciło - rzekł Trurl do obecnych, i nie wiadomo było właściwie, kogo miał na myśli: króla czy potwora, który usiłował zbuntować się przeciw swym twórcom, lecz owi naturalnie i tę czarną ewentualność w algorytmie przewidzieli.

- A teraz - zakonkludował Trurl - proszę wsadzić mistrza ceremonii do klatki, a my do rakiety...



WYPRAWA TRZECIA, CZYLI SMOKI PRAWDOPODOBIEŃSTWA

Trurl i Klapaucjusz byli uczniami wielkiego Kerebrona Emtadraty który w Wyższej Szkole Neantycznej wykładał przez czterdzieści siedem lat Ogólną Teorię Smoków. Jak wiadomo, smoków nie ma. Prymitywna ta konstatacja wystarczy może umysłowi prostackiemu, ale nie nauce, ponieważ Wyższa Szkoła Neantyczna tym, co istnieje, wcale się nie zajmuje; banalność istnienia została już udowodniona zbyt dawno, by warto jej poświęcać choćby jedno jeszcze słowo. Tak tedy genialny Kerebron, zaatakowawszy problem metodami ścisłymi, wykrył trzy rodzaje smoków: zerowe, urojone i ujemne. Wszystkie one, jak się rzekło, nie istnieją, ale każdy rodzaj w zupełnie inny sposób. Smoki urojone i zerowe, przez fachowców zwane urojakami i zerowcami, nie istnieją w sposób znacznie mniej ciekawy aniżeli ujemne. Od dawna znany był w smokologii paradoks polegający na tym, że kiedy dwa ujemne herboryzuje się (działanie odpowiadające w algebrze smoków mnożeniu w zwykłej arytmetyce), w rezultacie powstaje niedosmok w ilości około 0,6. Otóż świat specjalistów dzielił się na dwa obozy, z których jeden utrzymywał, iż chodzi o część smoka, licząc od głowy, drugi natomiast, że od ogona. Wielką zasługą Trurla i Klapaucjusza było wyjaśnienie błędności obu tych poglądów. Zastosowali oni po raz pierwszy w tej dziedzinie rachunek prawdopodobieństwa i tym samym stworzyli smokologię probabilistyczną, z której wynika, że smok jest termodynamicznie niemożliwy tylko w sensie statystycznym, podobnie jak elfy, skrzaty, krasnale, gnomy, wróżki itp. Z ogólnej formuły nieprawdopodobieństwa wyliczyli obaj teoretycy współczynniki krasnalizacji, rozelfiania się itp. Z tejsze formuły wynika, że na spontaniczną manifestację przeciętnego smoka należałoby czekać około szesnastu kwintokwadrilionów heptylionów lat. Zapewne problem ów pozostałby jedynie ciekawostką matematyczną, gdyby nie znana żyłka konstruktorska Trurla, który postanowił zagadnienie to zbadać empirycznie. A ponieważ chodziło o zjawiska nieprawdopodobne, wynalazł wzmacniacz prawdopodobieństwa i wypróbował go, najpierw u siebie w piwnicy, a potem na specjalnym, ufundowanym przez Akademię, Poligonie Smokorodnym, czyli Smokoligonie. Niezorientowani w ogólnej teorii nieprawdopodobieństwa po dziś dzień zapytują, czemu

właściwie Trurl uprawdopodobnił smoka, a nie elfa czy krasnalą, a czynią tak z ignorancji, nie wiedzą bowiem, że smok jest po prostu bardziej od krasnalą prawdopodobny; Trurl, być może, zamierzał pójść w swych doświadczeniach z wzmacniaczem dalej, ale już pierwsze przyprawiło go o ciężką kontuzję, albowiem wirtualizujący się smok lignął. Na szczęście obecny przy rozruchu Klapaucjusz zmniejszył prawdopodobieństwo i smok znikł. Wielu uczonych powtarzało potem doświadczenia ze smokotronem, że jednak brakło im rutyny i zimnej krwi, znaczna ilość smoczego pomiotu, poturbowawszy ich dotkliwie, wydoszła się na swobodę. Wtedy dopiero okazało się, że wstrętne potwory istnieją zupełnie inaczej aniżeli jakieś szafy, komody czy stoły; smoki odznaczają się bowiem przede wszystkim prawdopodobieństwem, na ogół dość znacznym, kiedy już raz powstały. Jeśli się urządzi na takiego smoka polowanie, a jeszcze z nagonką, krąg myśliwych z bronią gotową do strzału napotyka tylko wypaloną, cuchnącą w sposób zdecydowany ziemię, ponieważ smok, widząc, że z nim źle, z przestrzeni realnej chroni się do konfiguracyjnej. Jako bydlę niezmiernie tępe i plugawe czyni to, oczywiście, czysto instynktownie. Osoby prymitywne, nie mogąc pojąć, jak to się dzieje, domagają się nieraz w zacierzwieniu, aby im pokazać tę przestrzeń konfiguracyjną; nie wiedzą bowiem, że elektrony, których istnieniu wszak nikt zdrowy na umyśle nie przeczy, też poruszają się jedynie w przestrzeni konfiguracyjnej i losy ich zależą od fal prawdopodobieństwa. Zresztą upartemu łatwiej przystać na nieistnienie elektronów aniżeli smoków, ponieważ elektrony, przynajmniej w pojedynkę, nie ligają.

Kolega Trurla, Harboryzeusz Cybr, pierwszy skwantował smoka, ustalił jednostkę, zwaną smokonem, którą kalibruje się, jak wiadomo, liczniki smoków, a nawet ustalił kręt ich ogona, czego omal nie przypłacił życiem. Cóż jednak osiągnięcia te obchodziły szerokie rzesze nękane przez smoki, które deptaniem, ogólną natarczywością, rykami i płomieniami wyrządzały mnóstwo szkód, gdzieniegdzie wymuszając nawet daniny w postaci dziewic? Cóż obchodziło nieszczęsnych, że smoki Trurla, jako indeterministyczne, więc nielokalne, zachowują się wprawdzie zgodnie z teorią, ale wbrew wszelkiej przyzwoitości, że ta teoria przewiduje kręty ich ogonów, które niszczą sioła i zasiewy? Nic też dziwnego, że szeroki ogół, zamiast ocenić właściwie rewelacyjne osiągnięcie Trurla, miał mu je za złe, a grupa wyjątkowych ignorantów w sprawach nauki dotkliwie pobiła znakomitego konstruktora. On jednak, wraz ze swym przyjacielem Klapaucjuszem, nie ustawał w badaniach.

Wynikło z nich, że smok istnieje w stopniu zależnym od jego humoru i stanu ogólnego nasycenia, jak również, że jedyną pewną metodą likwidacji jest redukcja prawdopodobieństwa do zera, a nawet do wartości ujemnych. Zrozumiałe atoli, że badania te wymagały wiele zachodu i czasu, a smoki, które znajdowały się na swobodzie, panoszyły się tymczasem w najlepsze, pustosząc liczne planety i księżyce. Co gorsza, nawet się rozmnażały. Dało to Klapaucjuszowi okazję do opublikowania świetnej pracy pt. *Przejścia kowariantne od smoków do smoczków, czyli wypadek szczególny przechodzenia ze stanów zakazanych fizycznie do stanów zakazanych policyjnie*. Praca ta narobiła sporo huku w świecie naukowym, gdzie głośno jeszcze było o słynnym smoku policyjnym, przy którego pomocy dzielni konstruktorzy pomścili na złym królu Okrucyuszu niedolę swych nieodżałowanych kolegów. Cóż dopiero powstały za perturbacje, kiedy dowiedziano się, iż pewien konstruktor, niejaki Bazyleusz, zwany Emerdwańskim, podróżując po całej Galaktyce, samą swoją obecnością sprawia występowanie smoków tam, gdzie ich poprzednio nikt na oczy nie widział. Gdy powszechna rozpacz i stan katastrofy narodowej sięgały zenitu, pojawiał się u władcy danego kraju, aby po długich targach, wyśrubowawszy honorarium do niemożliwości, podjąć się wygubienia potworów. Co mu się z reguły udawało, choć nikt nie wiedział jak, działał bowiem w ukryciu i samotnie. Gwarancję sukcesu smokolizy dawał zresztą tylko statystyczna, a gdy pewien monarcha odplacił mu pięknym za nadobne, płacąc dukatami, które też tylko statystycznie były dobre, zaczął odtąd w haniebny sposób badać za pomocą wody królewskiej naturę kruszcu, jakim mu płacono. Trurl i Klapaucjusz spotkali się w owym czasie pewnego pogodnego popołudnia i do takiej doszło między nimi rozmowy.

- Słyszałeś o tym Bazyleuszu? - spytał Trurl.
- Słyszałem.
- I co ty na to?
- Nie podoba mi się ta historia.
- Mnie też nie. Co o tym myślisz?
- Że on stosuje wzmacniacz.
- Prawdopodobieństwa?
- Tak. Albo układy rezonujące.
- Albo generator smoków.
- Masz na myśli smokotron?
- Tak.
- Istotnie, to całkiem możliwe.

- Jednakże - zawołał Trurl - wiesz, to byłoby łąjdactwem! To by znaczyło, że on poniekąd te smoki przywozi ze sobą, tylko w stanie potencjalnym, o prawdopodobieństwie bliskim zera. Kiedy się zadomowi i rozejrzy, zwiększa szanse, i zwiększa je, i potęguje, aż dojdą do niemal pewności i, rozumie się, następuje wirtualizacja, konkretyzacja i totalizacja naocznościowa.

- Jasne. Prawdopodobnie wyskrobuje „s” z matrycy i wstawia tam „a”. W ten sposób smok pojawia się od razu w szale - smok z amokiem.

- Tak, smok z amokiem to chyba najgorsze, co może być.

- A jak myślisz, czy on je potem anuluje retrokreatorem nihilującym, czy tylko zmniejsza chwilowo prawdopodobieństwo i wyjeżdża z forsa?

- Trudno powiedzieć. Ale gdyby tylko odprawdopodobniał, byłoby to jeszcze większym łąjdactwem, ponieważ prędzej czy później zerofluktuacje muszą doprowadzić do uczynnienia smokomacierzy i wtedy cała historia zaczyna się od nowa.

- Tak, ale jego i pieniędzy już wtedy nie ma... - mruknął Klapaucjusz.

- Czy nie uważasz, że właściwie należałoby w tej sprawie napisać do Głównego Urzędu Regulacji Smoków?

- Co to, to nie. W końcu on może tego jednak nie robi. Pewności nie mamy. Ani żadnych dowodów. Przecież statystyczne fluktuacje zdarzają się i bez wzmacniacza; dawniej nie było ani matryc, ani wzmacniaczy, a smoki się czasem pojawiały. Po prostu akcydentalnie.

- Niby tak... powiedział Trurl - a jednak... przecież one się pojawiają dopiero po jego przybyciu na planetę!

- Pewno. Ale pisać nie wypada, bo to jednak kolega po fachu. Chyba, żebyśmy sami podjęli pewne kroki. Co?

- Można.

- To dobrze, bo i ja jestem tego zdania. Ale co robić?

Tutaj obaj znakomici smokolodzy utonęli w fachowej dyskusji, z której ani słowa nie zrozumiałby postronny słuchacz, gdyż dochodziłyby go tylko zagadkowe słowa, jak „licznik smoków”, „transformacja bezogoniasta”, „słabe oddziaływania smocze”, „dyfrakcja i rozpraszanie smoków”, „smok twardy”, „smok miękki”, „*draco probabilisticus*”, „widmo nieciągle bazyliuszka”, „smok w stanie wzbudzenia”, „anihilacja pary smoków o przeciwnych amokach w polu ogólnego bezhołowia” itp.

Rezultatem tej penetrującej analizy zjawiska była wyprawa, trzecia

już z kolei, do której obaj konstruktorzy przygotowali się bardzo starannie, nie omieszkawszy załadować swego statku mnóstwem skomplikowanych aparatów.

W szczególności wzięli dyfuzor i specjalne działo strzelające antygłowami. Podczas podróży, kiedy kolejno lądowali na Encji, Pencji i Cerulei, pojęli, iż nie będą w stanie przeczesać całego obszaru nawiedzonego plagą, bo chyba musieliby się rozerwać w tym celu na części. Prostsze było, rzecz jasna, rozdzielenie się i po naradzie roboczej każdy z nich udał się w swoją stronę. Klapaucjusz długo pracował na Prestopondii, zaangażowany przez cesarza Zdziwosława Ampetrycego, który gotów był oddać mu córkę za żonę, byle pozbyć się potworów. Smoki najwyższego prawdopodobieństwa zapuszczały się nawet na ulice grodu stołecznego, a od wirtualnych wprost się aż roiło. Wirtualnego smoka wprawdzie, jak to powiada naiwny, szary człowiek, „nie ma”, tj. nie może być w żaden sposób dostrzeżony, jak również nie robi nic, co by wywołało jego manifestację, ale rachunek Cybra-Trurla-Klapaucjusza-Minogiego, a zwłaszcza równanie fali smoczej, wyraźnie wyjawiają, że smok przechodzi z przestrzeni konfiguracyjnej do realnej łatwiej aniżeli dziecko z domu do szkoły. Tak więc w mieszkaniu, w piwnicy czy na strychu, w każdej chwili przy ogólnym wzroście prawdopodobieństwa można się było natknąć na smoka, a nawet na supersmoka.

Zamiast uganiać się za smokami, co i tak niewiele by dało, Klapaucjusz, jako prawdziwy teoretyk, wziął się do rzeczy metodycznie - poustawiał na placach i skwerach, w siołach i miastach probabilistyczne smokoreduktory i w niedługim czasie stały się potwory największą rzadkością. Zainkasowawszy tedy należność, dyplom honorowy i sztandar przechodni, Klapaucjusz wystartował, aby połączyć się ze swym przyjacielem. Po drodze zauważył planetę, z której ktoś machał do niego rozpaczliwie. Przypuszczając, że to może Trurl, któremu przygodziło się coś złego, Klapaucjusz wylądował. Znaki dawali mu tylko mieszkańcy Truflofory, poddani króla Pstrycjusza. Hołowali oni rozlicznym przesądom i wierzeniom prymitywnym, religia ich zaś, zwana pneumatologią drakonistyczną, utrzymywała, iż smoki pojawiają się jako kara za grzechy i posiadają dusze, ale nieczyste. Zorientowawszy się, iż wdawanie się w dyskusje z koronnymi drakologami byłoby rzeczą co najmniej nierozumną, albowiem stosowane przez nich metody ograniczyły się do okadzania nawiedzanych miejsc i rozdawania relikwii, Klapaucjusz wolał już raczej dokonać sondowań w terenie. Planetę zamieszkiwała aktualnie jedna tylko potwora, ale z najprzeraźliwszego

rodzaju Echidnych. Zaofiarował królowi swe usługi; ten nie od razu odpowiedział mu wprost, znajdując się najwidoczniej pod wpływem bezsensownej doktryny, która przyczyniła powstawania smoków przenosiła w świat pozadoczesny. Studiując miejscowe gazety, Klapaucjusz dowiedział się, że Echidna, która żeruje na planecie, przez jednych uważana jest za egzemplarz pojedynczy, przez innych natomiast za istotę mnogą, zdolną znajdować się w wielu miejscach naraz. To dało mu do myślenia, chociaż wcale się nie zdziwił, ponieważ lokalizacja tych wstrętnych stworów podlega tak zwanym anomaliom smoczym i niektóre okazy, zwłaszcza roztrągnięte, bywają „rozmażane” w przestrzeni, co jest zwyczajnym efektem izospinowego wzmocnienia momentu kwantowego. Jak wynurzająca się z wody dłoń ukazuje nad jej powierzchnią pięć pozornie całkiem niezawisłych od siebie palców, tak wynurzając się z przestrzeni konfiguracyjnej w realną, smoki wyglądają na mnogie, chociaż są tylko jednym. Pod koniec kolejnej audiencji Klapaucjusz spytał króla, czy nie było aby na jego planecie Trurla; opisał przy tym dokładnie wygląd przyjaciela. Jakież było jego zaskoczenie, gdy usłyszał, że, owszem, kolega bawił niedawno w państwie Pstrycjuszowym, a nawet podjął się usunięcia Echidny, wziął zaliczkę i udał się w pobliskie góry, gdzie smoczyce obserwowano szczególnie często, po czym wrócił na drugi dzień, żądając całej należności, a jako dowód swego triumfu ukazał czterdzieści cztery smocze zęby. Doszło wszakże do pewnych nieporozumień i wypłata uległa wstrzymaniu aż do wyjaśnienia sprawy. Trurl miał się wówczas bardzo unieść, w sposób niezmiernie podobny do obrazy majestatu wyrażał się wielokrotnie i głośno o sprawującym władzę monarsze, a następnie oddalił się w niewiadomym kierunku. Od tego dnia słuch o nim zaginął, za to Echidna, pojawiwszy się na powrót jak gdyby nigdy nic, jeszcze srożej pustoszyła sioła i grody ku ogólnemu utrapieniu.

Dość mętna wydała się ta historia Klapaucjuszowi, trudno było jednak podawać w wątpliwość prawdę słów padających z ust królewskich, zabrał tedy plecak pełen najsilniejszych środków smokobójczych i samotnie wyruszył ku górą, których ośnieżona piła majestatycznie wznosiła się nad wschodnim widnokrzem.

Rychło dostrzegł na głazach pierwsze ślady potwora, zresztą gdyby ich nie zauważył, dałby mu o nim znać charakterystyczny zaduch siarkowych wyziewów. Szedł nieustraszony dalej, gotów każdej chwili do użycia broni, którą przewiesił sobie przez ramię, spoglądając też nieustannie na licznik smoków ze strzałką. Jakiś czas stała na zerze,

potem jąła wykonywać niepokojące drgania, aż z wolna, jakby pokonując niewidzialny opór, podpełzła w pobliże jedyńki. Teraz Klapaucjusz nie mógł już wątpić w to, że Echidna znajduje się w pobliżu. Dziwiło go to niezmiernie, ponieważ nie mogło mu się w głowie pomieścić, aby wypróbowany jego kompan i słynny teoretyk, jakim był Trurl, spudłował w obliczeniach, a tym samym nie zgładził smoczycy. Trudno było uwierzyć i w to, iż nie dokonawszy swego, wrócił na dwór królewski, żądając zapłaty za to, czego nie zrobił.

Niebawem spotkał na drodze kolumnę tubylców, najwidoczniej niezmiernie wystraszonych, bo łypali niespokojnie oczami na wszystkie strony, starając się trzymać blisko siebie. Ugięci pod niesionymi na plecach i głowach ciężarami, stąpali gęsiego w górę stoku. Pozdrowiwszy ich, Klapaucjusz zatrzymał pochód i spytał prowadzącego, co tu robią.

- Panie! - odparł mu ów, urzędnik królewski niższej rangi w łatanym szalapetronie - niesiemy daninę smokowi.

- Daninę? Aha! I cóż to za danina?

- Składa się na nią to, czego smok żąda, panie: złoto, drogie kamienie, wonności zagraniczne i mnóstwo innych rzeczy najwyższej ceny.

Tu miary nie miało zdumienie Klapaucjusza, ponieważ smoki nigdy nie domagają się podobnych danin, a już na pewno nie pragną ani wonności, niezdolnych przewyciężyć ich naturalnego fetoru, ani gotówki, z którą nie miałyby co począć.

- A dziewic nie żąda smok, mój dobry człowieku? - spytał jeszcze.

- Nie, panie. Dawniej, to i owszem. Jeszczem tamtego roku wodził mu po mendlu, po tuzinie, wedle apetytu. Ale od czasu, jak się jeden pokazał obcy, znaczy cudzoziemiec, panie, i chodził se po górach z pudłami i aparatami, samiuteńki jeden... - Tu urwał niepewnie pocziwiec, przyglądając się z niepokojem narzędziom i broni Klapaucjusza, a zwłaszcza wielkiemu zegarowi licznika smoków, który przez cały czas tykał z cicha, podrygując swą czerwoną strzałką na białej tarczy.

- A toć takuteńkie miał wszystko jak wasza miłość! - rzekł drżącym nieco głosem. - Takuteńki rychtunek i w ogóle...

- Kupiłem to okazji na targu - rzekł, pragnąc uśpić jego podejrzliwość, Klapaucjusz. - A powiedzcie no mi, moi kochani, nie wicie też czasem, co to się takiego z tym cudzoziemskim przybyszem zrobiło?

- Co się, znaczy, z onym zrobiło? A, tego to już nie wiemy, panie. To

znaczy, było tak. Raz, a będzie temu jakie dwa tygodnie - hej, prawdę mówię, kumie Barbaronie? Dwa tygodnie, nie więcej?

- Ano, prawdę rzekacie, prawdę, coby zaś nie? Będzie temu dwa tygodnie albo i cztery. Czy może sześć.

- No! Przyszedł, panie, wstąpił do nas, zakąsił, nie powiem nic: grzecznie zapłacił, podziękował, nie można powiedzieć, co to, to nie, rozejrzał się, w dyle postukał, o ceny się pytał z łośńskiego roku, aparaty porozkładał, z cyferblatów cosi tam sobie odpisywał zawzięcie, że aż mu rynce skakały, a dokładnie, jedno po drugim, do takiej książeczki małej, czerwonej, co ją za pazuchą nosił, potem ten - jak to go tam, kumie? - ter... temper... nie wypowiem, wciurności!

- Termometer, sołtysie!

- No! Pewnie, że tak! Termometer wyjął i powiada, że to na smoki jest, i tu go tkał, i tam, znowu popisał, panie, w tym zeszycie swoim, aparaty do worka dał, worek na plecy, pożegnał się i poszedł. I więcej to już myśmy go, panie, nie widzieli. Ino było tak. Tej samej nocy coś hukło i prasło, ale daleko. Jakby za Górą Mydragową - to ta, panie, co wedle tego wirsycka, z takim krogulcem na górze, bo tej, to jest Pstrycjuszowa, tak się ona wabi po królu wielmożnym naszym, a tamta zaś, z tej drugiej strony, co taka więc przytulona, jak nie przymierzając pośladek do pośladka, zwie się Pakusta, a to się z tego wzięło, panie, że raz jeden...

- Mniejsza o te góry, mój dobry tubylcze - rzekł Klapaucjusz - więc powiadacie, że w nocy coś huknęło. Co było potem?

- Potem - to już całkiem nic, panie. Jak huknęło, to chałupa poszła bokiem, ażem z wyrka na podłogę spadł. Ale dla mnie to zwyczajne, bo jak się smokinia nieraz tyłkiem o dom otrze, to człowiekiem nie tak ciepnie; powiedzieć, ot, choćby Barbaronów brat, tego to w garnek cisnęło z bielizną, bo właśnie prali, jak smokini czochrąć się o węgiel zachciało...

- Ależ do rzeczy, moiściewy, do rzeczy! - zawołał Klapaucjusz. - Więc huknęło, spadliście na podłogę i co dalej?

- Kiedy mówię wyraźnie, że nic. Jakby coś było, to byłoby o czym mówić, a jak nic a nic, to i nic nie ma do gadania takiego, co by warte było strzępienia gęby, nie? Kumie Barbaronie!

- Ano, tak z tym to i jest.

Klapaucjusz skinał głową i oddalił się; wówczas cała kolumna tragarzy ruszyła pod górę, uginając się, tak ciężka była smocza danina; Klapaucjusz domyślał się, że złożą ją w wyznaczonej przez smoka jaskini, ale pytać o szczegóły nie chciał, bo się cały spocił od tej rozmowy z

sołtysem i jego kumem. Zresztą poprzednio jeszcze słyszał, jak jeden z tubylców mówił do drugiego, że smok „takie miejsce wybrał, coby jemu było blisko i nam blisko”...

Szedł sporym krokiem, wybierając drogę według namiarów smokoindykatora, który to przyrząd zawiesił sobie na szyi, nie zapominał też o liczniku, ale ów wciąż pokazywał zero i osiem dziesiątych smoka.

- Czy to jakiś dyskretny smok, czy kie licho? - myślał Klapaucjusz, maszerując, a co chwila zatrzymywał się, gdyż promienie słońca okrutnie paliły, w powietrzu stał skwar, że drgało nad nagrzanymi głazami, wokół nie było ni listka roślinności, tylko muł spękany we wnękach skalnych i rozprażone kamieniska ciągnące się ku majestatycznym szczytom.

Minęła godzina, słońce przechylało się już na drugą stronę nieba, a on wciąż szedł przez pola piargowe, przez skalne progi, aż znalazł się w krainie ciasnych wąwozów i szczelin pełnych chłodnej ciemności. Czerwona strzałka podpełzła ku dziewiątce pod jedyneką i drżąc, zamarła.

Klapaucjusz położył plecak na skale i wyjmował właśnie odsmocznice, kiedy wskaźnik żywo zawachlował. Porwał więc reduktor prawdopodobieństwa i omiółł bystrym okiem okolice. Znajdował się na skalnej grzędzie i mógł zajrzeć w głąb wąwozu, w którym coś się ruszało.

- Ani chybi, to ona! - pomyślał, Echidna bowiem jest rodzaju żeńskiego.

Przyszło mu do głowy, że może to dlatego nie życzy sobie dziewic? Wszakże dawniej chętnie je przyjmowała. - Dziwne to, dziwne, lecz teraz najważniejsza celność, a wszystko dobrze się skończy! - pomyślał i na wszelki wypadek sięgnął raz jeszcze do plecaka po drakodestruktor, którego tłok wtłacza smoki w niebyt. Wysunął się za krawędź skały. Dołem wąskiej kotlinki, po dnie wyschłego potoku, szarobura, z zapadniętymi jak od głodowania bokami, sunęła smokini olbrzymich rozmiarów. Chaos myśli rozpedził się w głowie Klapaucjusza. Może anihilować ją poprzez zmianę znaku macierzy smoczej z dodatniego na ujemny, wskutek czego statystyczne prawdopodobieństwo niesmoka weźmie górę nad smokiem? Ale jakież to ryzykowne, zważywszy, że jedno drobne drgnienie może spowodować zmianę w skutkach katastrofalną, niejednemu już w takich opałach wyszedł zamiast niesmoka - niesmak, i jakże od jednej litery ma zależeć tak wiele?! Ponadto, totalna deprobabilizacja uniemożliwiłaby zbadanie natury Echidny. Więc zawahał się, mając w duszy miły obraz ogromnej skóry smoczej w swym gabinecie, między oknem a biblioteką; lecz nie czas było oddawać się marzeniom, choć inna ewentualność - oddania egzemplarza o tak

osobliwych gustach do smokozoologu - błysnęła mu, kiedy klękał; zdążył nawet pomyśleć, jaką to prackę naukową machnęłoby się w oparciu o dobrze zachowaną sztukę, przełożył więc fuzję z reduktorem do lewej ręki, a w prawą chwycił garłacz naładowany antygłową, wycelował starannie i nacisnął spust.

Huknęło jak diabli. Perłowa chmurka dymu otoczyła wylot lufy i Klapaucjusza, tak że na mgnienie stracił potworę z oczu. Lecz zaraz dym się rozwiął.

Stare bajędy powiadają o smokach mnóstwo rzeczy nieprawdziwych. Tak na przykład głoszą, jakoby smoki miały po siedem głów. Tak nigdy nie bywa. Smok może mieć tylko jedną głowę, ponieważ obecność dwóch prowadzi natychmiast do gwałtownych kłótni i sporów; dlatego wielogłowce, jak je nazywają uczeni, wyginęły wskutek wewnętrznych niesnasek. Z natury uparte i tępe, potwory te nie znoszą najmniejszego sprzeciwu, więc dwie głowy w jednym ciele przywodzą do szybkiej śmierci, każda bowiem, pragnąc zrobić drugiej na złość, powstrzymuje się od posiłków, a nawet złośliwie wstrzymuje oddech - z wiadomym skutkiem. Ten właśnie fenomen wykorzystał Euforiusz Tkliwas, wynalazca rusznicy antygłowowej. Smokowi wstrzeliwuje się małą, poręczną główkę elektronową w cielsko, momentalnie przychodzi do awantur, waśni, w rezultacie smok, jakby tknięty paraliżem, zeszywniały, tkwi na jednym miejscu dobę, tydzień, czasem miesiąc; bywało, że po roku dopiero zmogło go wyczerpanie. W tym czasie można z nim robić, co się komu żywnie podoba.

Smok jednak, którego poraził Klapaucjusz, zachowywał się co najmniej dziwnie. Wspiął się wprawdzie na tylne łapy z rykiem, od którego posypał się gruz ze zboczy, bił też ogonem o skały, aż zapach krzesanych iskier wypełnił cały wawóz, potem jednak podrapał się w ucho, odchrząknął i spokojnie poszedł dalej, tyle że przyspieszył do truchtu. Nie wierząc własnym oczom, Klapaucjusz pognał grzbietem skalnym, skrząc sobie drogę ku ujściu wyschłego potoku, teraz bowiem już nie pracka naukowa, już nie jeden, drugi artykuł w „Smoczym Almanachu” mu się zwidywały, lecz co najmniej monografia na kredowym papierze, z podobizną smoka i autora!

U zakrętu kucnął za głazami, przyłożył do oka miotacz nieprawdopodobieństwa, wycelował i uruchomił depossybilizatory. Łoże lufy zadrżało mu w ręku, broń zagrzana otoczyła się mgiełką, smoka zaś okrzykło halo jak księżyc przepowiadający niepogodę, ale się nie rozwizło! Po raz wtóry uczynił

Klapaucjusz smoka najzupełniej nieprawdopodobnym; nateżenie impossybilatywności zrobiło się takie, że przelatujący motylek zaczął skrzydełkami nadawać alfabetem Morse'a drugą *Księgę dżungli*, a wśród załomów skalnych zamajaczyły cienie wrózek, wiedźm i dziwożon, wyraźny zaś odgłos tętniących kopyt zwiastował, że gdzieś za smokiem harują, wydobyte z niemożliwości straszonym napięciem miotacza, centaury. Lecz smok, jak gdyby nigdy nic, przysiadłszy ocieźale, ziewnął i zaczął się ze smakiem czochrać tylnymi łapami w obwisłe podgardle. Rozpalona broń parzyła już palce Klapaucjusza, który rozpaczliwie naciskał cyngiel, bo czegoś podobnego nie przeżył dotąd - pobliskie co mniejsze kamienie wolno unosiły się w powietrze, kurz zaś, który czochrający się smok wyrzucał spod zadu, zamiast opaść w bezładzie, ułożył się w powietrzu we wcale czytelny napis: SŁUGA PANA DOKTORA. Pociemniało, bo z dnia robiła się noc, kilka dużych wapiennych głazów ruszyło na przechadzkę, z cicha gaworząc o tym i o owym, jednym słowem działy się już prawdziwe cuda, lecz straszliwe bydlę, spoczywające o trzydzieści kroków od Klapaucjusza, ani myślało zniknąć. Klapaucjusz rzucił miotacz, sięgnął za pazuchę, dobył granat przeciwsmokowy i polecając duszę macierzy wszechspinorowych przekształceń, cisnął go przed siebie. Zagrzmiało, wraz ze skalnymi okruchami wyleciał w powietrze ogon smoka, który najzupełniej ludzkim głosem krzyknął: - Gwałtu! - i puścił się pędem przed siebie, prosto na Klapaucjusza. Ten, widząc śmierć tak bliską, wyskoczył z ukrycia, ściskając kurczowo krótką włócznię z antymaterii. Zamachnął się, lecz znowu dał się słyszeć krzyk:

- Przestań! Przestań! Nie zabijaj mnie!

- Co to, smok mówi?! - pomyślał Klapaucjusz. - Nie, chyba oszalałem...

Lecz spytał:

- Kto mówi? Czy to smok?

- Jaki smok? To ja!!

Jakoż z rozplywającej się chmury pyłu wychynał Trurl; dotknął szyi smoka, przekręcił tam coś i olbrzym opadł wolno na kolana, zamierając z przeciągłym chrzęstem.

- Co to za maskarada? Co to ma znaczyć? Skąd jest ten smok? Co w nim robiłeś?! - zarzucił go pytaniami Klapaucjusz. Trurl otrzepywał zakurzoną odzież, opędzając się od przyjaciela.

- Skąd, co, gdzie, jak... Dajże mi dojść do słowa! Unicestwiłem smoka, a król nie chciał mi zapłacić...

- Dlaczego?

- Pewno ze skapstwa, nie wiem. Zwał to na biurokrację, że musi być komisyjny protokół oględzin, pomiary, sekcja, zebranie rady zakładowej przy tronie, a to, a sio, główny strażnik skarbcza mówił, że nie wiadomo, jak wypłacać, bo ani to fundusz płac, ani bezosobowy, jednym słowem, choć prosiłem, nalegałem, chodziłem do kasy, do króla, do rady, nikt nie chciał ze mną gadać; a kiedy kazali mi złożyć życiorys z fotografiami, no cóż, poszedłem, lecz smok był już w stanie nieodwracalnym. Więc zwlokłem z niego skórę, wyciąłem trochę leszczynowych witek, potem napatoczył się stary słup telegraficzny, a wiele więcej nie było trzeba; wypchałem go, no i tego - zacząłem udawać...

- Nie może być! Tyś uciekł się do tak haniebnej rzeczy? Ty?! Ale po co właściwie, skoro ci nie zapłacili? Nic nie rozumiem.

- Ech, jakiś ty głupi! - wzruszył pobłażliwie ramionami Trurl.

- Przecież oni mi wciąż przynoszą daniny! Dostałem już więcej, niż mi się należało.

- Aaa!!! - zrozumienie tej prawdy oświeciło Klapaucjusza. Zaraz jednak dodał: - Ale to brzydko wymuszać...

- Dlaczego brzydko? Zresztą, czy robiłem coś złego?

Spacerowałem po górach, a wieczorami sobie trochę wylem. Okropnie jestem zmachany... - dodał, siadając obok Klapaucjusza.

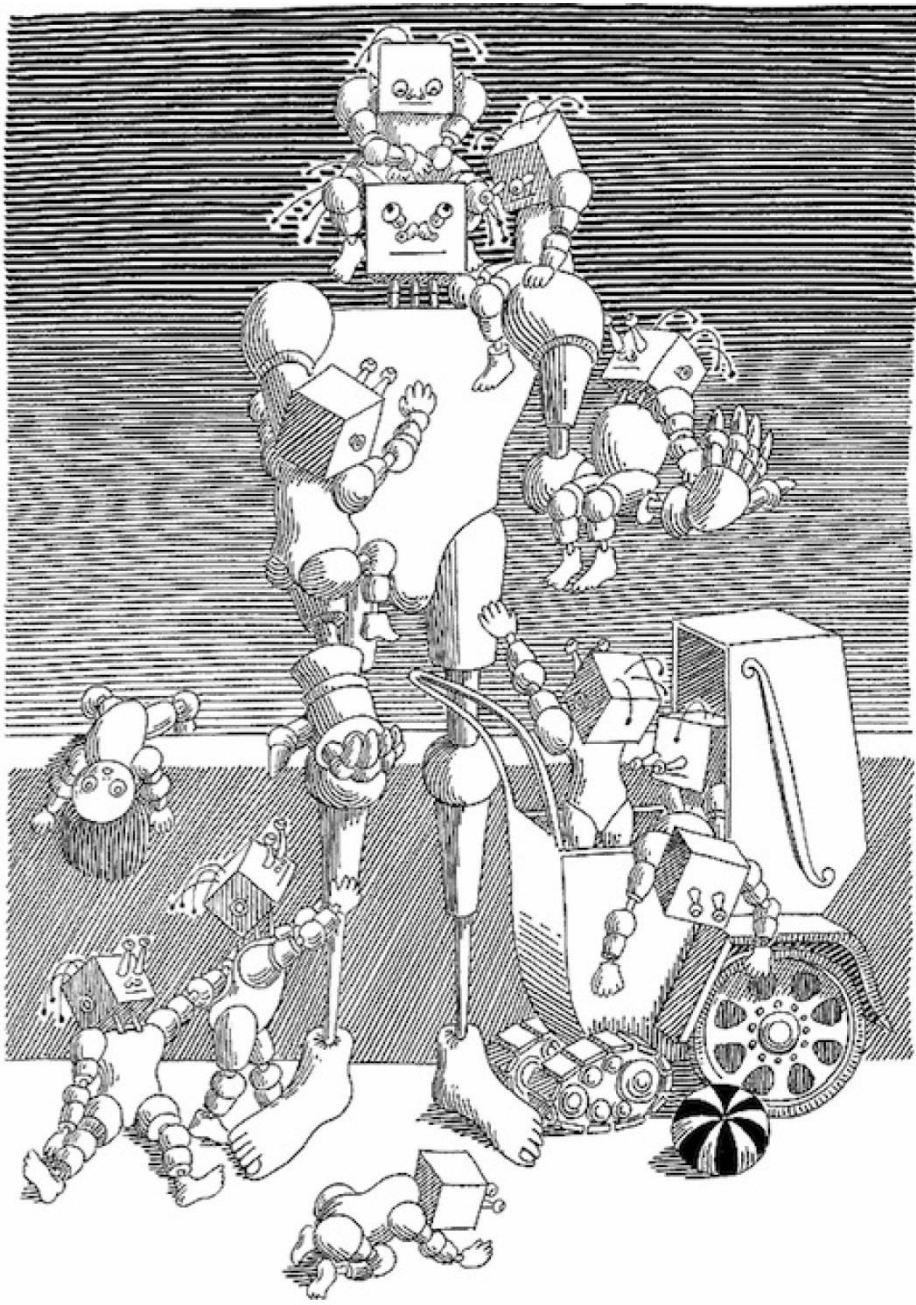
- Czym właściwie? Wyciem?

- Nie, ależ ty dwóch do dwóch nie potrafisz dodać. Jakim wyciem? Co nocy muszę taskać worki ze złotem z umówionej jaskini na górę, o, tam! - wskazał ręką odległy grzbiet górski. - Przygotowałem sobie tam poletko startowe. Nosiłbyś tak dwudziestopudowe ciężary od zmierzchu do świtu, tobyś sam zobaczył! Przecież ten smok to nie żaden smok, sama skóra waży ze dwie tony, muszę ją dźwigać, ryczeć, tupać - za dnia, a w nocy tamta harówka. Cieszę się, że przyjechałeś, miałem już tego naprawdę dosyć...

- Ale dlaczego właściwie ten smok - to jest, ten wypchany maszkaron - nie zniknął, kiedy zmniejszyłem prawdopodobieństwo aż do cudów? - chciał się jeszcze dowiedzieć Klapaucjusz. Trurl odchrząknął, jakby nieco zmieszany.

- To z przezorności - wyjaśnił. - W końcu mógł się tu napatoczyć jakiś głupi myśliwy, choćby Bazyleusz, więc założyłem do środka, pod skórę, ekrany antyprobabilistyczne. A teraz chodź, zostało tam jeszcze parę worków platyny - to najcięższe ze wszystkiego, nie chciało mi się

samemu nosić. I doskonale, bo pomożesz mi...



WYPRAWA CZWARTA, CZYLI O TYM, JAK TRURL KOBIETRON ZASTOSOWAŁ, KRÓLEWICZA PANTARKTYKA OD MĄK MIŁOSNYCH CHCĄC ZBAWIĆ, I JAK POTEM DO UŻYCIA DZIECIOMIOTU PRZYSZŁO

Pewnego dnia o przedświcie, kiedy Trurl spoczywał zmorzony snem najgłębszym, do drzwi jego domostwa zapukano z taką siłą, jakby przybysz za jednym zamachem pragnął je wysadzić z zawiasów. Kiedy Trurl, ledwo rozmykając oczy, odsunął rygle, oczom jego ukazał się na tle szarzejącego zaledwie nieba olbrzymi statek, podobny do głowy cukru niezrównanej wielkości albo do piramidy latającej, a z wnętrza owego kolosa, który osiadł naprzeciw jego okien, schodziły po szerokim pomoście długimi szeregami malbłady objuczone worami, przyodziane zaś w burnusy i zawoje, dokładnie na czarno pomalowane roboty wyładowywały juki przed progiem domu tak szybko, że w kilka chwil Trurla, niewiedzącego, co to ma znaczyć, otoczył rosnący półkrąg pękających tułubów na kształt szańca; pozostawiono w nim atoli wąskie przejście. Zmierzał nim właśnie elektrycerz nadzwyczajnej postawy, z oczami rżniętymi w gwiazdy, z antenkami radarowymi zawadiacko zakreconymi w górę, z osypaną klejnotami delią; można ów pan, przerzuciwszy ją sobie przez bark, uchylił pancernego kapelusza i głosem potężnym, choć miękkim jak aksamit, zapytał:

- Mamli honor z ichmość panem Trurlem, tutaj wysoko urodzonym konstrukcjonistą?

- A owszem, to ja... zechce pan wejść... przepraszam za nieporządek... nie wiedziałem, to jest - spałem... - bełkotał mocno zmieszany Trurl, zaciągając na sobie skapy przyodziewek: uświadomił sobie bowiem, że za cały ma tylko nocną koszulę, i to taką, co tęskniła już za balią.

Wytworny elektrycerz zdawał się jednak nie dostrzegać braków Trurlowego stroju. Uchyliwszy raz jeszcze kapelusza, który zawibrował, dźwięcząc nad jego zamczystą głową, wszedł z gracją do środka. Trurl przeprosił go na chwilę i, jako tako się ochędożywszy, wrócił z pieterka, biorąc po dwa stopnie naraz. Na dworze tymczasem jasno już się robiło, a niebawem słońce błysnęło bielą w zawojach czarnych robotów, które tęsknie a smutno ciągnąc starą pieśń niewolniczą: *Gdzieżeś ty bywał* itd. - poczwórnym szpalerem otoczyły domostwo i statek-piramidę. Trurl

dojrzał to przez okno, sadowiąc się właśnie naprzeciw gościa, który spojrzął nań brylantowo i lśniaco, po czym w te ozwał się słowa:

- Planeta, z której przybywam do cie, mości konstrukcjonisto, sam środek głęboki przeżywa średniowiecza. A przeto już mi waszmość wybaczyć musisz, żem cię o taką przyprawił konfuzyą, nie w porę ładując; wszelako zechciej waćpan rozumieć, iż żadną miarą tegośmy na pokładach przewidzieć nie mogli, że w onym *punctum* planety waszmościnej, gdzie to zacne domostwo stoi, noc jeszcze swe panowanie rozpościera i promieniom słonecznym dostępu broni.

Tu odchrząknął, jakoby ktoś cudnie na organkach brzęknął, i dalej mówił:

- Przesyła mię umyślnie do Waszej Miłości pan mój i władca. Jego Królewska Mość Protrudyn Asteryjski, pan udzielny na globach połączonych Jonitu i Eprytu, monarcha dziedziczny Aneurii, cesarz Monocji, Biproksji i Tryfilidy, Wielkie Książę Barnomalwierskie, Eborcydzkie, Klapundrzańskie i Tragantorońskie, hrabia Euskalpii, Transfiorii i Fortransminy, Paladyn Szury i Bury, Baron Grzystrzywieprztycki, Prastrzowszakormądzki i Wymytydocnawski, jak również władca samodziernawy Metery, Hetery, Etery et Caetery po to, abym w Jego miłościwym imieniu prosił Waszą Jasność do naszego państwa jako pożądliwie oczekiwanego zbawiciela koronnego, który jeden wyzwolić nas potrafisz od ogólnej mogielni, nieszczęśliwym zakochaństwem Jego Królewskiej Mości, następcy tronu Pantarktyka, wywołanej.

- Ależ ja nie... - zaczął szybko Trurl, lecz magnat, uczyniwszy krótki gest oznaczający, iż nie skończył jeszcze, ciągnął tym samym, stalowo brzmiącym głosem:

- W zamian za najłaskawsze przychylenie ucha, za przybycie i pomoc w zwalczaniu nieszczęścia państwowego, które naruszyło racją stanu, Jego Królewska Mość, Protrudyn, przyobiecuje, zapewnia i przysięga niniejszym przez moje usta, iż obsypie Waszą Konstrukcyjność takimi łaskami, że się nasycić nimi do końca żywota Wasza Dostojność nie zdołasz. A w szczególności awansem lub, jak to pono rzekają, zaliczkowo, mianuje cię w tej oto chwili - tu magnat wstał, dobył szpady i dalej mówił, przy każdym słowie uderzając płazem Trurla, aż temu ramiona chodziły - Książęciem Tytularnym i Udzielnym Murwidraupii, Abominencji, Ohydory i Wassoły, Hrabia Dziedzicznym Trundu i Morigundu, Elektorem-Ośmiopałkowcem Brazelupy, Kondolondy i Pratalaksji, jak również Markizem Gundu i

Lundu, Gubernatorem Nadzwyczajnym Fluksji i Pruksji, jako też Kapitularnym Generałem Zakonu Mendytów Bezdyckich i Wielkim Jałmużnikiem księstwa Pytu, Mytu i Tamtadrytu wraz z przysługującym owym godnościom nadzwyczajnym prawem do salutu z dwudziestu jeden armat na ranne powstanie i spoczynek wieczorny, fanfara poobiednią, Ciężkim Krzyżem Infinitesimalnym oraz perpetuacją wielorzędową w hebanie, wielostronną w łupku i wielokrotną w złocie. Na dowód zaś swych łask Król mój i Pan przesyła ci te oto drobnostki, jakimi ośmieliłem się domostwo twoje otoczyć.

W samej rzeczy wory zasłoniły już światło dzienne, które ledwo dochodziło do pokoju. Magnat skończył mówić, ale dłoni, uniesionej krasomówczo, nie opuszczał, snadź przez zapomnienie, bo milczał, aż Trurl rzekł:

- Bardzo jestem wdzięczny Jego Królewskiej Mości Protrudynowi, ale sprawy miłosne, wie pan, to nie moja specjalność. Zresztą... - dodał pod spojrzeniem magnata, które spoczywało na nim jak gład brylantowy - może zechce mi pan rzec, o co chodzi...

Magnat skinął.

- Rzecz jest prosta, waćpanie! Następca tronu zakochał się w Amarandynie Ceryberneńskiej, jedynej córce włodarza Araubrarii, która jest mocarstwem ościennym. Wszelako wrogość szczególnie starożytna dzieli nasze państwa i gdy nasz Pan Miłościwy po nieustających prośbach królewicza zwrócił się do cesarza o rękę Amarandyny, odpowiedź była kategoryczna negatywnie. Odtąd rok minął i dni sześć, a księżę następca gaśnie w oczach i nie ma sposobu, aby mu zmysły przywrócić. Nie masz tedy nadziei, krom w Waszej Jasności, świetlanej w sobie!

Tu skłonił się hardy magnat, Trurl zaś chrząknął, a widząc szeregi wojowników za oknami, rzekł słabym głosem:

- Nie wyobrażam sobie, bym mógł cokolwiek... lecz... skoro król sobie życzy... no to ja... rozumie się...

- Otóż właśnie! - zawołał magnat i klasnął w ręce, aż metalem zagrzmiało. Natychmiast dwunastu czarnych jak noc kirasjerów wpadło z pancernym łomotem do domu, a porwawszy Trurla, na rękach nieśli go na pokład korabia, który strzelił dwadzieścia jeden razy, podniósł trapy i z powiewającą flagą majestatycznie uniósł się w otchłań niebieską.

W czasie podróży magnat, który był Wielkim Podblaszym Koronnym, opowiedział Trurlowi mnóstwo szczegółów o romantycznej i dramatycznej zarazem historii królewiczowego rozamorowania. Zaraz też po przybyciu,

po uroczystych powitaniach i przejeździe przez stolicę wśród flag i tłumów, zabrał się konstruktor do roboty. Na miejsce prac obrał sobie wspaniały park królewski; znajdującą się zaś w nim Świątynię Dumania przerobił w trzy tygodnie w dziwaczną konstrukcję, pełną metalu, kabli i ekranów pałających. Był to, jak wyjawiał królowi, kobietron - urządzenie stosowane zarówno w roli trenażera, jak i erotora totalnego ze sprzężeniem zwrotnym; ten, kto znajdował się w sercu aparatury, poznawał za jednym zamachem wdzięki, czary, uroki, naszeptywania, całowania i miłowania, właściwe całej płci pięknej Kosmosu naraz. Kobietron, w który przerobił Trurl Świątynię Dumania, posiadał moc wyjściową czterdziestu megamorów, przy czym wydajność efektywna w widmie przenikającej lubieży osiągała dziewięćdziesiąt sześć procent, emisja zaś namiętnościowa, mierzona jak zawsze w kilomiłach, liczyła ich sześć na jeden pocałunek zdalnie sterowany. Kobietron ów wyposażony był nadto w zwrotne pochłaniacze szau, w kaskadowy wzmacniacz uściskowo-zapatrzeniowy i automat „pierwszego spojrzenia”, gdyż Trurl stał na stanowisku doktora Afrodontusa, który stworzył teorię nagłego pola zakochującego.

Miała też wspaniała konstrukcja wszystkie urządzenia wspomagające, jak szybkobieżną flirtownicę, reduktor zalotów oraz komplet pieszczaków i pieścideł: z zewnątrz zaś, w osobnej szklanej budce, widniały olbrzymie tarcze zegarów, na których dokładnie można było obserwować przebieg odkochującej kuracji. Jak wskazywały statystyki, kobietron dawał trwałe, dodatnie wyniki w dziewięćdziesięciu ośmiu przypadkach miłosnej superfiksacji na sto. Tym samym szanse uratowania królewicza były ogromne.

Czterdziestu czcigodnych parów królestwa przez cztery godziny z wolna, lecz uparcie ciągnęło i popychało królewicza przez park ku Świątyni Dumania, łącząc stanowczość działań z poszanowaniem majestatu, albowiem królewicz wcale nie chciał zostać odkochanym i bódł oraz kopał wiernych dworzan głową i nogami. Kiedy nareszcie książę został, za pomocą licznych poduszek puchowych, wepchnięty do środka i zatrzaśnięty za nim klapy, Trurl, pełen niepokoju, włączył automat, który jął martwo odliczać: „dwadzieścia do zera... dziewiętnaście do zera... dziesięć do zera...” - aż wyrzekł równym głosem: „Zero! Start!” - i synchronerotory, włączone na całą moc megamoryczną, runęły w ofiarę uczuć tak fatalnie skierowanych. Prawie przez godzinę wpatrywał się Trurl w strzałki zegarów, drgające pod najwyższym napięciem erotycznym; nie wskazywały, niestety, istotnych zmian. Rosła

w nim niewiara w skutek kuracji, ale teraz nic już nie mógł zrobić - przyszło więc trwać cierpliwie z założonymi rękami. Sprawdzał tylko, czy gigacalusy padają pod właściwym kątem, bez nadmiernego rozrzutu, czy flirtownica i pieszczaki uściskowe mają właściwe obroty, dbając zarazem o to, by zagęszczenie pola było bliskie dopuszczalnemu, ponieważ nie o to chodziło, aby się pacjent przekochał, zmieniając obiekt uczuć z Amarandyny na maszynę, lecz by się odkochał totalnie. Nareszcie kłapę w uroczystym milczeniu otwarto. Po rozkręceniu wielkich śrub, które hermetycznie ją dociskały, wraz z kłębem najśłodszej woni z pół mrocznego wnętrza wypadł bezwładny królewicz wśród pomiętych różyczek, co gubiły płatki, odurzone straszliwym stężeniem namiętności. Wierni słudzy podbiegli, a unosząc jego bezwładne członki posłyszeli, jak z bladych warg księcia dobywa się wypowiedziane bezgłośnie jedno tylko słowo: Amarandyna. Zmełł w ustach przekleństwo Trurl, bo zrozumiał, że wszystko na nic, gdyż obłąkańcze uczucie królewicza okazało się w krytycznej próbie potężniejsze od wszystkich razem wziętych gigamorów i megapieszczów kobietronu. Zresztą miłościomierz, przyłożony do czoła nieprzytomnego, pokazał zaraz sto i siedem kresek, a potem szybka mu pękła i rtęć wylała się, drżąc niespokojnie, jakby i jej udzielił się warbulgocących uczuć. Pierwsza próba była tedy na nic.

Trurl wrócił do swych apartamentów ponury jak noc, i gdyby kto go podpatrywał, usłyszałby, jak chodzi od ściany do ściany, szukając środków ratunku. Tymczasem zgiełk jakowyś słyszeć dał się w parku; to kamieniarze, mający poprawić murek okólny, wleźli z ciekawości do kobietronu i jakoś go uruchomili, aż trzeba było wzywać straży pożarną, bo wyskakowali ze środka dymiący uczuciem, że kopciło.

Z kolei zastosował Trurl inny zespół, na który złożyły się deliryzator i trywialnica. Ale i ta druga próba, wyjaśnijmy od razu, spaliła na panewce. Królewicz nie znieubił Amarandyny, przeciwnie - jeszcze bardziej się w uczuciach umocnił. Trurl znowu przemaszerował wiele mil w swym apartamencie, do późnej nocy czytał podręczniki fachowe, aż cisnął nimi o mur, a nazajutrz prosił Magnata Podblaszego o audiencję u króla. Dopuszczony przed Majestat, tak się odezwał:

- Wasza Królewska Mość, Miłościwy Panie! Systemy odkochujące, jakie zastosowałem, są najpotężniejszymi z możliwych. Syn Twój żywym odkochać się nie da - oto prawda, jaką winienem Majestatowi.

Król milczał, zdruzgotany tą wieścią, a Trurl podjął:

- Bezsprzecznie, mógłbym go omamić, syntetyzując Amarandynę według dostępnych mi parametrów, ale prędzej czy później królewicz

poznałby się na podstępie, gdyby dosięgła go wieść o losach prawdziwej cesarzówny Tak zatem pozostaje tylko jedna droga: królewicz musi cesarzównę zaślubić!

- Ba, mój cudzoziemcze! W tym właśnie sęk, że nigdy jej cesarz synowi memu nie odda!

- A gdyby został pokonany? Gdyby musiał paktować, prosząc, jako zwyciężony, o łaskę?

- Ha, wówczas - zapewne, ale jakże chcesz, abym ja dwa olbrzymie państwa wtrącał w krwawą wojnę, i to jeszcze o wyniku niepewnym, aby zyskać dla syna rękę cesarzowej córki? Nie może to być!

- Nie innego postanowienia spodziewałem się po Waszej Królewskiej Mości! - rzekł spokojnie Trurl. - Wszelako rozmaite bywają wojny, a ta, którą ja zamyślam, jest bezkrwawa zupełnie. Nie będziemy bowiem atakować państwa cesarzewego zbrojnie. Ani jednego obywatela nie pozbawimy życia, ale wręcz przeciwnie!

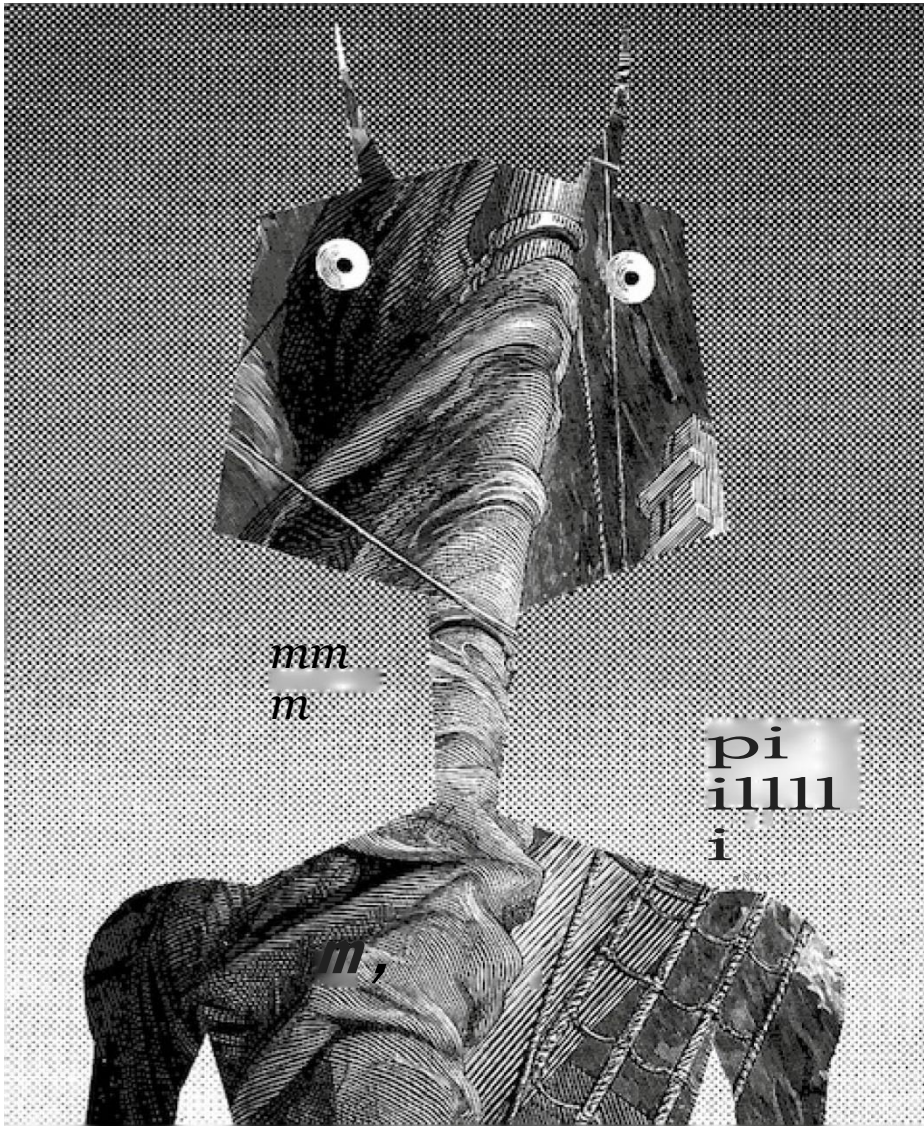
- Co to ma znaczyć? Co mówisz wasze? - zawołał zdumiony król. W miarę jak Trurl wszeptował arkana swoje w ucho króla, posępne dotąd oblicze monarchy z wolna się rozpogadzało, aż zawołał:

- A więc czyn, co zamyśliłeś, mój drogi cudzoziemcze, i niechaj niebo cię wspiera!

Zaraz nazajutrz kuźnie i warsztaty królewskie przystąpiły do wykonywania, według dostarczonych przez Trurla planów, znacznej ilości miotaczy, nader potężnych, a niewiadomego całkiem przeznaczenia. Ustawiono je na planecie, zamaskowane sieciami ochronnymi, że się nikt niczego nie domyślał. Zarazem Trurl siedział dniem i nocą w królewskim laboratorium cybergenetyki, czuwając nad tajemniczymi kotłami, w których bulgotały zagadkowe odwary, a gdyby jakiś szpieg próbował go śledzić, niczego by się ponad to nie dowiedział, że od czasu do czasu w zamkniętych na cztery spusty salach laboratoryjnych rozlega się kwilenie, doktoranci zaś i asystenci gorączkowo biegają ze stertami pieluszek.

Bombardowanie rozpoczęło się w tydzień później, o północy. Wyrzuczone przez starych kanonierów lufy wzniosły się jak jedna, skierowały ku białej gwiazdce państwa cesarskiego - i dały ognia, nie śmiercio-lecz życionośnego. Trurl strzelał bowiem niemowlętami; jego dzieciomioty osypały cesarstwo niezliczonymi miriadami kwilących pędraków, które szybko podrastając, oblepiały pieszych i konnych, a było ich tyle, że od popiskiwań „mama” i „plapla”, jak również „pipi” i „e-e”, powietrze się trzęsło, a bębunki pękały. I trwał ów dziecinny potop, aż

gospodarka cesarstwa nie wytrzymała go i widmo katastrofy zajrzało w oczy wszystkim; z nieba zaś tłuściutkie i wesolutkie zjeżdżały w dalszym ciągu bobasy i maluchy, aż się dzień w noc zamieniał, kiedy pospołu pieluszkami trzepotały. Wnet cesarz ujrzał się zmuszonym prosić o litość króla Protrudyna, który obiecał bombardowania zaniechać, pod warunkiem że syn jego będzie mógł cesarzównę Amarandyne poślubić. Na co ów z największym pośpiechem się zgodził. Dzieciomioty zagwoźdzono wówczas, kobietron dla bezpieczeństwa Trurl własnoręcznie rozebrał i jako pierwszy družba, w stroju od diamentów kapiącym, z buławą marszałkowską w dłoni dyrygował spełnianiem toastów na hucznym weselisku. Potem załadował raketę dyplomami i nadaniami lenna oraz odznaczeniami, które mu król i cesarz ofiarowali, i wrócił, syt chwały, do domu.



mm
m

pi
i1111
i

m,

WYPRAWA PIĄTA, CZYLI O FIGLACH KRÓLA BALERYONA

Nie okrucieństwem doskwierał poddanym swoim król Baleryon cymberski, lecz zamiłowaniem do zabaw. I znów - nie uczyty wyprawiał ani się w orgiach całonocnych lubował, niewinne bowiem były igraszki miłe sercu królewskiemu - a to dzwonek i młotek, a to ency-pency albo w stukulkę grać od nocy do rana, albo w pierożek drewniany, lecz nad wszystkie przedkładał zabawę w chowanego. Gdy tylko ważną jakąś decyzję należało podjąć, podpisać dekret o państwowym znaczeniu, przyjąć posłów obcogwiezdnych lub udzielić jakiemu marszałkowi audiencji, król chował się i pod karami najsurowszymi kazał siebie szukać. Biegała tedy rada koronna po całym pałacu, zaglądała do fos i wieżyc zamkowych, opukując ściany, przewracając na wszystkie strony tron, i poszukiwania te przeciągały się nieraz długo, bo król coraz nowe obmyślał skrytki i schowanka. Raz do wypowiedzenia bardzo ważnej wojny przez to tylko nie doszło, że spowity w szkiełka i świecidelka wisiał przez trzy dni w głównej sali pałacowej, udając żyrandol, i śmiał się w kułak z rozpaczliwej bieraniny dworaków. Ten, kto go znalazł, otrzymywał zaraz tytuł Wielkiego Znalazcy Królewskiego, i było ich już na dworze siedmiuset trzydziestu i sześciu. Kto zaś chciał wkupić się w łaski królewskie, musiał koniecznie monarchę jakąś nową zadziwić zabawą, jeszcze mu nieznaną. Nie było to łatwe, Baleryon bowiem był w owym przedmiocie nadzwyczaj biegły; znał zabawy starożytne, jak w cetno i lichy, znał najnowsze, ze zwrotnym sprzężeniem, jak cybergaj, od czasu do czasu zaś powiadał, iż wszystko jest grą, czyli zabawą - także i samo królowanie jego, także i świat cały.

Oburzały te słowa lekkomyślne i nieroztropne sędziwych członków rady koronnej, szczególnie zaś senior jej, imć Papagaster z wysokiego rodu matrycjuszowskiego, cierpiał, że tak nic królowi święte nie jest i nawet własną godność najwyższą waży się podawać na prześmiewki.

Blady atoli strach padał na wszystkich, kiedy król, dla niespodzianego kaprysu, ogłaszał zgadywanki. Z dawien dawna lubował się w nich i jeszcze wielkiego kanclerza podczas koronacji zaskoczył pytaniem, jak sądzi, czy pacierz i macierz różnią się czymś między sobą, a jeśli tak, to czym?

Rychło zorientował się król, że dworacy, którym daje zagadki, nie wysilają się specjalnie, aby je rozwiązać. Odpowiadali byle jak, trzy po

trzy lub ni w pięć, ni w dziewięć, co niezmiernie go gniewało. Odmieniło się to na lepsze dopiero, kiedy nominacje na urzędy dworskie uzależnił od wyników zgadywania. Posypały się degradacje i dekoracje, i cały dwór, chcąc nie chcąc, brać musiał udział w grach, wymyślanych przez jego królewską miłość. Niestety, wielu dostojników oszukiwało monarchę, który, choć z natury dobry, nie mógł ścierpieć takiego postępowania. Wielki hetman koronny skazany został na wygnanie, bo używał na audiencjach ściągaczki ukrytej pod pancerną kryzą, co by się pewno nie wydało, gdyby nie pewien jego wróg, generał, który tajemnie o tym królowi doniósł. Także przewodniczący rady tronowej, Papagaster, pożegnać się musiał z urzędem, nie wiedział bowiem, jakie jest najciemniejsze miejsce na świecie. Z biegiem czasu na radę tronową złożyli się najcelniejsi w całym państwie rozwiązywacze krzyżówek i rebusów, a ministrowie na krok się bez encyklopedii nie ruszali. Na koniec dworacy doszli do takiej wprawy, że udzielali prawidłowych odpowiedzi, zanim król skończył jeszcze mówić, a nie było w tym nic dziwnego, ponieważ zarówno oni, jak i on pospołu byli pilnymi prenumeratorami „Dziennika Urzędowego”, który, zamiast nudnych rozporządzeń i dekretów administracyjnych, zamieszczał przeważnie szarady i gry towarzyskie.

Z upływem lat królowi coraz mniej jednak chciało się myśleć i wrócił tym sposobem do swej pierwszej i najulubieńszej zabawy - w chowanego. A podochociwszy sobie pewnego razu, ustanowił nagrodę całkiem nadzwyczajną dla tego, kto wymyśli najlepszy schowek na świecie. Nagrodą miał być klejnot zgoła nieoszacowany, koronny dyament rodu Cymberytów, z którego się sam Baleryon wywodził. Cuda tego od wieków nikt nawet nie widział, znajdowało się bowiem za zamkami zamczystymi w skarbcu królewskim.

Trzebaż było trafu, że Trurl i Klapaucjusz w kolejnej swej podróży zawadzili o Cymberię. Wieść o fantazji królewskiej rozeszła się była właśnie po całym państwie, dotarła więc rychło i do obu konstruktorów, a usłyszeli ją od obywateli miejscowych w oberży, w której nocowali.

Udali się więc nazajutrz do pałacu, by oświadczyć, że znają tajemnicę schowka, który się żadnemu nie równa. Amatorów nagrody przyszło atoli tak wielu, że niepodobna się było przez tłum ich precyzyjnie przeliczyć. To im się nie spodobało, wrócili więc do gospody, w której się zatrzymali, by dnia następnego spróbować znowu szczęścia. Trzeba mu wszakże choć trochę pomagać; mądrzy konstruktorzy pamiętali o tym, tak tedy Trurl każdemu ze strażników, który chciał go zatrzymać, a

potem także dworakom, czyniącym wstępy, wkładał w milczeniu do ręki grubą monetę, a gdy się ów, miast odstąpić, obruszył, zaraz dokładał drugą, grubszą jeszcze i cięższą; nie minęło i pięć minut, a już znaleźli się w sali tronowej przed obliczem Majestatu. Bardzo się uradował król, usłyszawszy, iż tacy znakomici mędracy przybyli do jego państwa umyślnie po to, aby obdarzyć go wiedzą o schowku doskonałym. Nie od razu udało się wytłumaczyć Baleryonowi, co i jak, lecz umysł jego, od dzieciństwa zaprawiany do trudnych zagadek, wyrozumiał w końcu, o co chodzi, i król zapłonął entuzjazmem, zeszedł z tronu, i zapewniając przyjaciół o nieustającej swej łasce i przychylności, oświadczył, iż nagroda ich nie minie, pod warunkiem że natychmiast tajną receptę konstruktorów będzie mógł wypróbować. Klapaucjusz co prawda wzbraniał się udzielić recepty, mrużąc pod nosem, iż należałoby pierwiej spisać, jak się należy, odpowiednią umowę na pergaminie z pieczęcią i jedwabnym kutasem, król wszakże taki był natarczywy, tak ich prosił i zapewniał, przysięgając na wszystko, co mu drogie, że mogą być nagrody pewni, aż ustąpili. Niezbędne urządzenie miał Trurl w małym pudełku, które przyniósł ze sobą i zaraz je monarsze pokazał. Z zabawą w chowanego nie miał wynalazek właściwie nic wspólnego, niemniej mógł i w niej zostać użyty. Był to kieszonkowy, przenośny, bilateralny wymiennik osobowości, rozumie się, ze sprzężeniem zwrotnym. Za jego pośrednictwem mogły się wymienić osobowościami dowolne dwie osoby, co zachodziło całkiem prosto i bardzo szybko. Na głowę zakładało się aparat podobny do krowich rogów. Rogi te trzeba było przystawić do czoła osoby, z którą chciało się dokonać wymiany, i pocisnąć lekko; wówczas włącznik uruchamiał urządzenie, które wytwarzało dwie przeciwbieżne serie błyskawicznych impulsów. Jednym rogiem płynęła osobowość własna w głąb cudzej, a drugim cudza w głąb własnej. Zachodziło więc kompletne wyładowanie pamięci i równoczesne ładowanie powstającej pustki inną pamięcią, należącą do drugiej osoby. Trurl nałożył sobie tedy dla pogładowości aparat na głowę i wyjaśniał królowi właśnie, jak się go używa, przybliżając czoło królewskie do obu rogów aparatu, kiedy popędliwy monarcha tryknął go łbem tak silnie, że włącznik uruchomił aparaturę i doszło do momentalnej przesiadki osobowościowej. A stało się to tak szybko i tak niepostrzeżenie, że Trurl, który dotąd nigdy jeszcze eksperymentu na samym sobie nie przeprowadzał, nawet nie zauważył, co się stało. Klapaucjusz, stojący opodal, też się nie spostrzegł i tylko zdziwiło go, że Trurl przerwał nagle swój wykład, podjął go za to w przerwanym miejscu sam Baleryon,

używając takich słów, jak „potencjały nieliniowego przejścia submnemonicznego” i „przepływ osobowości adiabatywny kanałem zwrotnym”. Prelekcja trwała, kontynuowana piskliwie przez monarchę i po kilku sekundach Klapaucjusz wreszcie poczuł, że stało się coś niedobrego, Baleryon jednak, już znajdujący się w organizmie Trurla, ani słuchał uczonego wykładu, lecz z lekka poruszając rękami i nogami, zdawał się coraz wygodniej sadzić w nowym dlań ciele, oglądając je z wielkim zainteresowaniem. Naraz Trurl, przyodziany w długi płaszcz królewski, wymachując rękami przy wyjaśnianiu antyentropijnych przejść krytycznych, zauważył, że coś mu przeszkadza, rzucił okiem na własną dłoń i osłupiał, ujrawszy, iż trzyma w niej berło. Chciał coś powiedzieć, lecz król roześmiał się radośnie i w te pędy wybiegł z sali tronowej. Trurl puścił się za nim, ale nogi zaplątały mu się w monarszej purpurze i rymnął jak długi na posadzkę, a hałas ów zwabił dworzan. Ci rzucili się najpierw na Klapaucjusza, sądząc, że zagroził Majestatowi. Nim się ukoronowany Trurl podniósł z ziemi, nim wyjaśnił, że nic mu nie zagrażało, po Baleryonie, hasającym gdzieś w ciele Trurlowym, nie zostało i śladu. Próżno chciał biec za nim Trurl w purpurach królewskich, dworzanie do tego nie dopuścili, a że bronił im się, wołając, iż żadnym królem nie jest i że zaszła przesiadka, uznawszy, iż ani chybi nadmierne rozwiązywanie łamigłówek naruszyło umysł władcy, z szacunkiem, lecz stanowczo wepchnęli go do sypialni i posłali po lekarzyków, choć wrzeszczał i opierał się z całych sił. Klapaucjusza zaś dwu strażników wypchnęło na ulicę. Wracał tedy do gospody, rozmyślając nie bez niepokoju o komplikacjach, jakie mogą z tego, co zaszło, wyniknąć. - Zapewne - myślał - gdybym to ja znalazł się na miejscu Trurla, właściwy mi spokój duchowy natychmiast zaprowadziłby ład, ponieważ miał awanturować się i gadać o przesiadce, co wszak musiało zaraz ściągnąć podejrzenie o chorobę umysłową, zażądałbym, wykorzystując nowe, królewskie ciało, ścigania rzekomego Trurla, to jest Baleryona, który biega gdzieś teraz po mieście, a zarazem rozkazałbym, aby drugi konstruktor pozostał u mego królewskiego boku jako tajny radca. Ale ten bałwan skończony - tak nazwał w myśli Trurla-króla mimo woli - puścił wodze nerwom; nie ma rady, muszę puścić w ruch moje talenta strategiczne, inaczej się to dobrze nie skończy...

- Po czym przypomniał sobie, co wie właściwie o wymienniku osobowości, a było tego sporo; najważniejsze, a zarazem najbardziej groźne wydało mu się niebezpieczeństwo, o jakim lekkomyślny Baleryon, nadużywający gdzieś Trurlowego ciała, nie miał pojęcia. Bo gdyby upadł

gdziekolwiek i tryknął rogami jakiś przedmiot materialny a martwy, jego osobowość natychmiast by w ową rzecz weszła, że jednak martwe przedmioty nie mają osobowości i tym samym niczego w zamian ofiarować ze swej strony wymiennikowi nie mogą, ciało Trurlowe padłoby martwe, duch królewski zaś, zaklęty w kamień, słup latarni czy zgoła stary chodak, po kres wieczności tkwiłby w tym wcieleniu. Niespokojny, przyspieszył kroku i opodal gospody od rozprawiających żywo mieszczan dowiedział się, jak to jego kolega wyleciał jak szalony z pałacu królewskiego, jakby go diabli ścigali, i jak gnając po długich a stromych schodach, wiodących do portu, wywrócił się i złamał nogę. To wprawilo go w gniew całkiem nadzwyczajny; leżąc, zaczął ryczeć, że jest samym królem Baleryonem we własnej osobie i domaga się nadwornych lekarzy, lektyki z puchową pierzyną i wonności odświeżających, a gdy obecni śmiali się z jego szaleństwa, czołgał się po bruku, klnąc, na czym świat stoi i targając na sobie szaty, aż jakiś przechodzień, litościwego widać serca, pochylił się nad nim i chciał go podnieść. Wtedy leżący zerwał z głowy czapkę, spod której, jak przysięgali naoczni świadkowie, pokazały się rogi diabelskie. Rogami tymi ubódl owego dobrego samarytanina w czoło, za czym padł jak martwy na ziemię, dziwnie zeszywniawszy i wydając jeno słabe jęki, natomiast ugodzony rogami zmienił się w jednej chwili, „jakoby sam szatan w niego wstąpił”, i tańcząc, podskakując, poszturchując stojących na jego drodze, pognął galopem w dół schodów, do portu.

Aż się słabo zrobiło Klapaucjuszowi z wrażenia, gdy to wszystko usłyszał, pojał bowiem, iż Baleryon, uszkodziwszy ciało Trurlowe, które tak krótko mu służyło, chytrze przeniósł się do ciała jakiegoś nieznanego przechodnia. - No, teraz dopiero się zacnie! - pomyślał ze zgrozą. - I jakże teraz odnajdę Baleryona schowanego w nowym, a nieznanym ciele?! Gdzie go w tej postaci szukać? - Próbował wywiedzieć się zręcznie od mieszczan, kim był ów przechodzący, co tak zacnie odniósł się do poszkodowanego niby-Trurla, jak również, co się stało z rogami; nie wiedziano, co to za jeden, ów samarytanin, prócz tego, że strój miał zarazem cudzoziemski i marynarski, jakby przybył okrętem z innych stron; o rogach zaś nikt nic nie wiedział, a tylko pewien żebrak, któremu nogi, jako że był bezdomny, nieposmołowane przerdzewiały i musiał posługiwać się kółeczkami przykręconymi do lędźwi, przez co miał lepszy punkt widzenia na sprawy toczące się tuż nad ziemią, powiedział Klapaucjuszowi, że zacny marynarz zerwał leżącemu rogi z głowy tak szybko, iż nikt inny tego nie dostrzegł. Wyglądało więc na to, że Baleryon

znów jest w posiadaniu wymiennika i proceder karkołomnych przesiadek z ciała w ciało może kontynuować. Ale wieść o tym, że przebywał teraz w jakimś marynarzu, poważnie przełęka Klapaucjusza. - Masz ci los! - pomyślał. - Marynarz, a więc powinien pewno wnet odpłynąć swym statkiem. Kiedy w porę się na pokładzie nie zjawi (a na pewno się nie zjawi, bo wszak nie wie, z jakiego statku pochodzi!), kapitan zwróci się do portowej straży, ta zaś uwięzi go jako uciekiniera, jako zbiega ze służby, i w ten sposób król Baleryon znajdzie się w lochu więziennym! A jeśli choć raz tryknie w rozpacz o mur owego lochu rogami, to jest aparatem - biada, po trzykroć biada!! - Mimo więc, iż nikłe były szanse odnalezienia marynarza, w którego się przeprowadził Baleryon, poszedł Klapaucjusz bez zwłoki do portu. Szczęście mu sprzyjało, ujrzał bowiem z dala znaczne zbiegowisko. Czując pismo nosem, wmieszał się w tłum i z podsłuchanej rozmowy pojął, iż stało się coś wielce podobnego temu, czego się obawiał. Nie dalej niż przed kilku chwilami pewien czcigodny armator, właściciel całej floty handlowej, ujrzał swego marynarza, znanego mu z wyjątkowej prawości; wszelako tym razem marynarz ów obrzucał wyzwiskami przechodniów, a tym, co go przestrzegali i radzili, by szedł w swoją drogę i lękał się policji, hardo odwrzaskiwał, że on sam może być, kim zechce, a choćby i całą policją naraz. Zgorszony tym widokiem armator odezwał się do marynarza, który złamał na nim zaraz dość grubą pałkę podjętą z ziemi. Wtedy pojawił się oddział patrolujący port, jak zwykle miejsce częstych bijatyk, i traf chciał, że na jego czele szedł sam komendant dzielnicy. A że marynarz trwał w krnąbrnym nieposłuchu, kazał go natychmiast uwięzić. Podczas aresztowania marynarz rzucał się jak szalony na samego komendanta i ubódł go głową, z której wystawało coś na kształt rogów. W tej samej chwili marynarza jakby coś odmieniło - wielkim głosem jał wołać, iż jest policjantem, i to nie zwykłym, lecz dowódcą straży portowej, natomiast komendant, przysłuchujący się owemu bredzeniu, zamiast zgniwać się, z niewiadomych powodów roześmiał się, jakby niezwykle ubawiony, i przykazał swym podkomendnym, aby nie żałując ręki ani kija, czym prędzej odprowadzili awanturnika do loszku.

Tak więc w niespełna godzinę Baleryon zmienił już siedzibę cielesną po raz trzeci i przebywał w ciele komendanta policji, ów zaś, Bogu ducha winien, siedział w podziemiu więziennym. Klapaucjusz westchnął tylko i udał się prosto na posterunek straży. Znajdował się on w kamiennym budynku nad brzegiem morza. Niezatrzymany jakoś przez nikogo wszedł do środka i po kolei zaglądał do pustych pokoi, aż ujrzał się naprzeciw

olbrzyma, uzbrojonego po zęby, tkwiącego w przyciasnym mundurze, który srogo nań popatrzał i taki zrobił ruch, jakby go chciał wyrzucić za drzwi. W następnej chwili tęgi ów osobnik, którego widział po raz pierwszy w życiu, mrugnął doń zniechęcająco i roześmiał się, a jego nienawykła do śmiechu twarz zdumiewająco się przekształciła. Głos miał gruby, bez wątpienia policyjny, śmiech jego jednak, a także pomrukiwanie oczkami, przypomniały Klapaucjuszowi natychmiast króla Baleryona, gdyż jego to miał przed sobą, on to wstawał zza biurka, w cudzej co prawda osobie!

- Poznałem cię od razu - rzekł Baleryon-policjant - to tyś był w pałacu ze swym kolegą, który dał mi aparat, co? I czy nie pyszne mam obecnie schronienie? Ha! Gdyby cała rada tronowa na głowie się postawiła, jeszcze by nie zgadła, gdzie się schowałem! Doskonała rzecz - być takim wielkim tęgim policjantem! Popatrz!

To mówiąc, walnął olbrzymią, bo policyjną łapą w biurko, aż deska pękła, a i w garści coś chrupnęło. Skrzywił się nieco Baleryon, ale pocierając rękę, dodał:

- Oj, coś mi trzasło, ale to nic - w razie potrzeby przesiadę się może w ciebie? Co?

Klapaucjusz odruchowo cofnął się w stronę drzwi, policjant jednak zastąpił mu drogę swą olbrzymią postacią i ciągnął:

- Właściwie nie życzę ci źle, mój kochanku, ale możesz mi narobić jakichś kłopotów, bo znasz mój sekret. Dlatego myślę, że najlepiej będzie dla mnie, gdy cię wsadzę do ciupy. Tak, to będzie najlepsze! - Tu brzydko się zaśmiał. - W ten sposób, kiedy w całym tego słowa znaczeniu opuszczę policję, nikt już, ani ty, nie będzie wiedział, w kim się schowałem, ha ha!

- Ależ, Wasza Królewska Mość! - rzekł Klapaucjusz z naciskiem, choć głosem zniżonym. - Narażasz życie, albowiem nie znasz licznych tajników aparatu. Możesz zginąć, możesz wejść w ciało śmiertelnie chorego albo zbrodniarza...

- E - rzekł król - nie boję się. Ja, mój kochany, powiedziałem sobie, że mam o jednym tylko pamiętać: za każdą przesiadką muszę zabrać rogi!!

To mówiąc, rękę wyciągnął w stronę biurka i pokazał mu leżący w szufladzie aparat.

- Za każdym razem - rzekł - muszę go capnąć, zerwać z głowy temu, którym byłem, i wziąć ze sobą, wtedy nic mi niestraszne!

Klapaucjusz usiłował wyperswadować mu zamysł dalszych

cielesnych przemian, daremnie jednak, bo król tylko podrwiwał sobie z jego słów. Wreszcie rzekł, wyraźnie rozbawiony:

- O tym, żebym wracał do pałacu, nie ma mowy! Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, widzę przed sobą długą wędrówkę po ciałach mych poddanych, co zresztą zgodne jest z mą demokratycznie usposobioną naturą. Potem, na koniec, na wety niejako, pozostawiam sobie wejście w ciało jakiejś czarownej dziewczycy, musi to być uczucie na pewno niezmiernie pouczające, ha ha!

To mówiąc, jednym szarpnięciem wielkiej łapy otworzył drzwi i ryknął na swych podkomendnych; widząc, że jeśli nie uczyni czegoś desperackiego, wtrącony zostanie do lochu, Klapaucjusz porwał z biurka kałamarz, chlusnął w oblicze króla, a sam, korzystając z oślepienia prześladowcy, wyskoczył oknem na ulicę. Szczęśliwie nie było wysoko, a i żadnych przechodniów zrządzenie losu nie sprowadziło w pobliże. Mógł więc, puściwszy się pędem, dopaść tłumnego placu i zgubić się w ciżbie, zanim wyzywani od ostatnich policjanci wypadać jęli z posterunku na ulicę, poprawiając na sobie mundury i szczękając groźnie bronią.

Klapaucjusz oddalił się od portu i pogrążył w myślach, które doprawdy nie były wesołe. - Najlepiej byłoby - myślał - pozostawić niecnego Baleryona jego losowi, a za to udać się do szpitala, w którym przebywa ciało Trurla z duszą owego zacnego marynarza; jeśli się to ciało sprowadzi do pałacu, przyjaciel mój będzie mógł stać się znowu sobą zarówno na ciele, jak i na duszy. Co prawda wówczas powstanie nowy król z marynarskim jestestwem, zamiast Baleryonowego, ale pal sześć tego dowcipnisia! - Plan ten nie był najgorszy, wszelako dla realizacji brakło rzeczy może i niewielkiej, ale istotnej, bo wymiennika z rogami, który spoczywał wszak w szufladzie biurka policyjnego. Przez chwilę rozważał Klapaucjusz, czy nie udałoby mu się zbudować drugiego takiego aparatu, lecz brak było po temu zarówno narzędzi i środków, jak i czasu. - Może więc tak uczynić... - rozważał. - Trzeba pójść do króla-Trurla, chyba już otrzeźwiał i wie, co ma robić; powiem mu, by kazał otoczyć wojskiem posterunek portowej policji, w ten sposób w ręce nasze wpadnie aparat i Trurl będzie mógł wrócić do własnej osoby!

Jednakże nawet nie wpuszczono go do pałacu, gdy zwrócił tam kroki. Król - powiedziano mu w strażnicy pałacowej - śpi mocno dzięki zastosowanym przez lekarzy zabiegom elektrycznego kolenia i krzepienia; sen ów miał trwać co najmniej czterdzieści osiem godzin.

- Tylko tego brakło! - pomyślał zrozpaczony Klapaucjusz i poszedł do szpitala, w którym znajdowało się Trurlowe ciało, bał się bowiem, aby

wypisane przedwcześnie, nie zginęło w labiryntach wielkiego miasta. Przedstawił się w szpitalu jako krewny poszkodowanego - nazwisko jego udało mu się bowiem odczytać z karty chorób. Dowiedział się, że choremu nic poważnego nie jest, noga bowiem nie została złamana, a tylko zwichnięta. Przez kilka dni jednak chory nie może opuszczać łoża boleści. Widzieć się z nim Klapaucjusz oczywiście nie pragnął, boby to przywiodło tylko do wyjawienia, iż wcale się z poszkodowanym nie znają. Uspokojony więc przynajmniej co do tego, że ciało Trurla nie ucieknie nagle, opuścił szpital i wędrował po ulicach, pogrążony w usilnym rozmyślaniu. Ani wiedział, jak zbliżył się w tej wędrowce w pobliże dzielnicy portowej i zauważył, że wokół aż rojno jest od policjantów, którzy badawczo zaglądną w oczy każdemu z przechodniów, sprawdzając jego rysy z tym, co mieli zapisane w notatnikach służbowych. Domyślił się natychmiast, iż to sprawka Baleryona, który cierpliwie go szuka, aby w lochu osadzić. A właśnie już zwrócił się ku niemu najbliższy patrol; drogę do odwrotu miał odcięta, bo zza węgła wyszło dwu innych strażników. Wówczas z całkowitym spokojem sam oddał się w ręce policjantów, podkreślając, iż domaga się jeno, aby stawili go przed swym dowódcą, ponieważ musi mu niezwłocznie niezwykle ważne uczynić zeznanie w sprawie pewnej zbrodni okropnej. Zaraz wzięli go między siebie i nałożyli mu łańcuszki, ale na szczęście nie skuli obu rąk, a tylko jego prawą przytroczyli do lewicy policjanta. W biurze policyjnym Baleryon-komendant radosnym pomrukiem i złośliwym migotaniem małych oczek powitał wejście skutego Klapaucjusza, który od drzwi zawołał, starając się nadać głosowi możliwie obce brzmienie:

- Pan wielka! Wasza pańska policyjność! Moja być chwycon, że Klapaucjusz, lecz nie, moja nie znać żadna Klapaucjusz! A może być, to taki jeden zły, co bodnął-tryknął moja rogami na ulica, i moja-twoja cud się stać, nasza-wasza, i moja zgubić cielesność i duchowość od moja być w ciele od niemoja, moja nie wiedzieć jak, ale tamta rogacz uciekać szybko-szybko, wasza wielka policyjność! Ratunku!

I z tymi słowy padł chytry Klapaucjusz na kolana, dzwoniąc łańcuchami i gadając szybko a bezustannie tym łamanym językiem, Baleryon zaś, stojąc za biurkiem w mundurze z epoletami, mrugał i słuchał, z lekka osłupiały; przyjrzał się klęczącemu i widać było, że już mu wierzy prawie, ponieważ Klapaucjusz, idąc na posterunek, swobodnymi palcami lewej ręki uciskał sobie czoło, aby powstały tam dwa znaki, podobne do tych, jakie zostawiały rogi aparatu. Kazał więc Baleryon rozkuć Klapaucjusza, wyrzucił za drzwi wszystkich

podwładnych, a sam, kiedy zostali w cztery oczy, polecił mu dokładnie opowiedzieć przebieg wydarzeń. Klapaucjusz zmyślił na to długą historię, jak to on, bogaty cudzoziemiec, przybył dopiero dzisiaj rano do portu, przywożąc na swoim statku dwieście skrzyń najpiękniejszych łamigłówek świata oraz trzydzieści cudnych dziewic nakręcanych, gdyż jedno i drugie pragnął ofiarować wielkiemu królowi Baleryonowi; był to zaś dar od cesarza Trąboluda, który w ten sposób wyrazić chciał rodowi cymberskiemu swe zdalne uszanowanie; jak tedy, przybywszy, opuścił pokład, aby po prostu nogi po długiej podróży rozprostować, i przechadzał się spokojnie po nabrzeżu, gdy pewien osobnik, wyglądający tak właśnie - tu pokazał Klapaucjusz na swoją pierś - który już przez to wydał mu się podejrzany, iż z taką chciwością oglądał wspaniałość jego cudzoziemskich szat, raptem runął nań całym pędem, zupełnie jakby oszalał i chciał przebiec na wylot przez złężnionego; lecz tylko, zdarłszy z głowy czapkę, ubódł go silnie rogami i stało się niepojęte cudo wymiany dusz.

Trzeba wyznać, iż Klapaucjusz wiele zapału włożył w tę opowieść, aby uczynić ją jak najbardziej wiarygodną. Opowiadał szczegółowo o swym ciele utraconym, zarazem dając pogardliwe prztyczki temu, które obecnie, niby wskutek nieszczęśliwego wypadku, posiadał, a nawet razami okładał własne policzki i plwał na przemian na swe brzuch i nogi; szczegółowo opisywał wygląd skarbów, jakie przywiózł, a zwłaszcza dziewic nakręcanych; mówił o swojej rodzinie pozostawionej w kraju ojczystym, o synach- maszynach i mopsie swym elektrycznym, o swej żonie, jednej z trzystu, która umiała taką polewkę przyrządzać na jonach soczystych, że równej nie spożywał chyba sam cesarz Trąbolud; zdradził też komendantowi policji największy swój sekret, a mianowicie, iż tak się umówił z kapitanem swego statku, że ów odda skarby każdemu, kto się pojawi na pokładzie, a wypowie hasło tajemne.

Baleryon-policjant chciwie słuchał tej bezładnej opowieści, bo i rzeczywiście wszystko wydawało mu się w niej logiczne: Klapaucjusz chciał widocznie ukryć się przed policją, uczynił to zatem, przenosząc się w ciało cudzoziemca, którego obrał sobie, bo mąż ów był odziany we wspaniałe szaty, a więc majątny na pewno; dzięki takiej przesiadce zyskać mógł poważne środki. Widać było, że różne myśli chodzą po głowie Baleryonowej. Podchwytliwie starał się wydobyć tajemne hasło od niby-cudzoziemca, który nie bardzo się wzdragał, i w końcu mu je do ucha szepnął, a brzmiało ono „Nyterk”. Znakomity konstruktor widział tymczasem, że doprowadził Baleryona tam, dokąd chciał - Baleryon

bowiem, zakochany w łamigłówkach, nie życzył sobie, by ofiarowano je królowi, którym wszak nie on teraz był; uwierzył we wszystko, więc i w to, że Klapaucjusz posiadał drugi aparat, bo nie miał powodu sądzić, aby było inaczej.

Siedzieli teraz w milczeniu i widać było, że jakiś plan dojrzewa w umyśle Baleryona. Zaczął z kolei łagodnie i cicho wypytywać rzekomego cudzoziemca, gdzie stoi jego statek, jak się nań dostać i tak dalej. Klapaucjusz odpowiadał, licząc na zachłanność Baleryona, i nie omylił się, ów bowiem wstał nagle, oświadczył, iż musi sprawdzić jego słowa, i opuścił gabinet, zamknawszy starannie drzwi. Słyszał też rzekomy cudzoziemiec, jak nauczony poprzednim doświadczeniem Baleryon, wychodząc z posterunku, postawił pod oknem zbrojnego wartownika. Klapaucjusz wiedział wprawdzie, iż chciwiec niczego nie znajdzie, bo wszak skarbów, statku ni dziewic na świecie nie było. Lecz na tym właśnie zasadał się jego plan. Ledwo zamknęły się drzwi za królem, skoczył do biurka, dobył z szuflady leżący w niej aparat i czym prędzej nasadził go sobie na głowę. Potem spokojnie już czekał na Baleryona. Nie minęło wiele czasu, a dały się słyszeć jego głośne kroki i mielone w zębach przekleństwa, zgrzytnął klucz w zamku i komendant wpadł do środka, od progu wrzeszcząc:

- Łajdaku, gdzie statek, skarby, kosztowne łamigłówki!?

Nie zdążył jednak nic więcej wykrztusić, Klapaucjusz bowiem, który się schował za framugą, skoczył nań jak cap oszalały, ubódł go tego w czoło i zanim jeszcze zdążył się Baleryon na dobre rozsiaść w ciele Klapaucjuszowym, ów, już jako komendant, wielkim głosem ryknął na straż i kazał skutego w mgnieniu oka do lochów wtrącić, a dobrze tam pilnować! Na pół przytomny z osłupienia, znalazłszy się w obcym mu ciele, Baleryon rychło pojął, jak haniebnie został oszukany; zrozumiałszy zaś, iż cały czas miał do czynienia ze zręcznym Klapaucjuszem, a nie z cudzoziemcem, którego nigdy nie było, począł kłać straszliwie w ciemnicy, wygrażając bezsilnie, bo już nie miał cennego aparatu. Klapaucjusz zaś utracił wprawdzie chwilowo swe dobrze mu znane ciało, ale posiadał za to wymieniacz osobowości, jak sobie postanowił. Nałożył więc czym prędzej paradny mundur i poszedł prosto na dwór królewski.

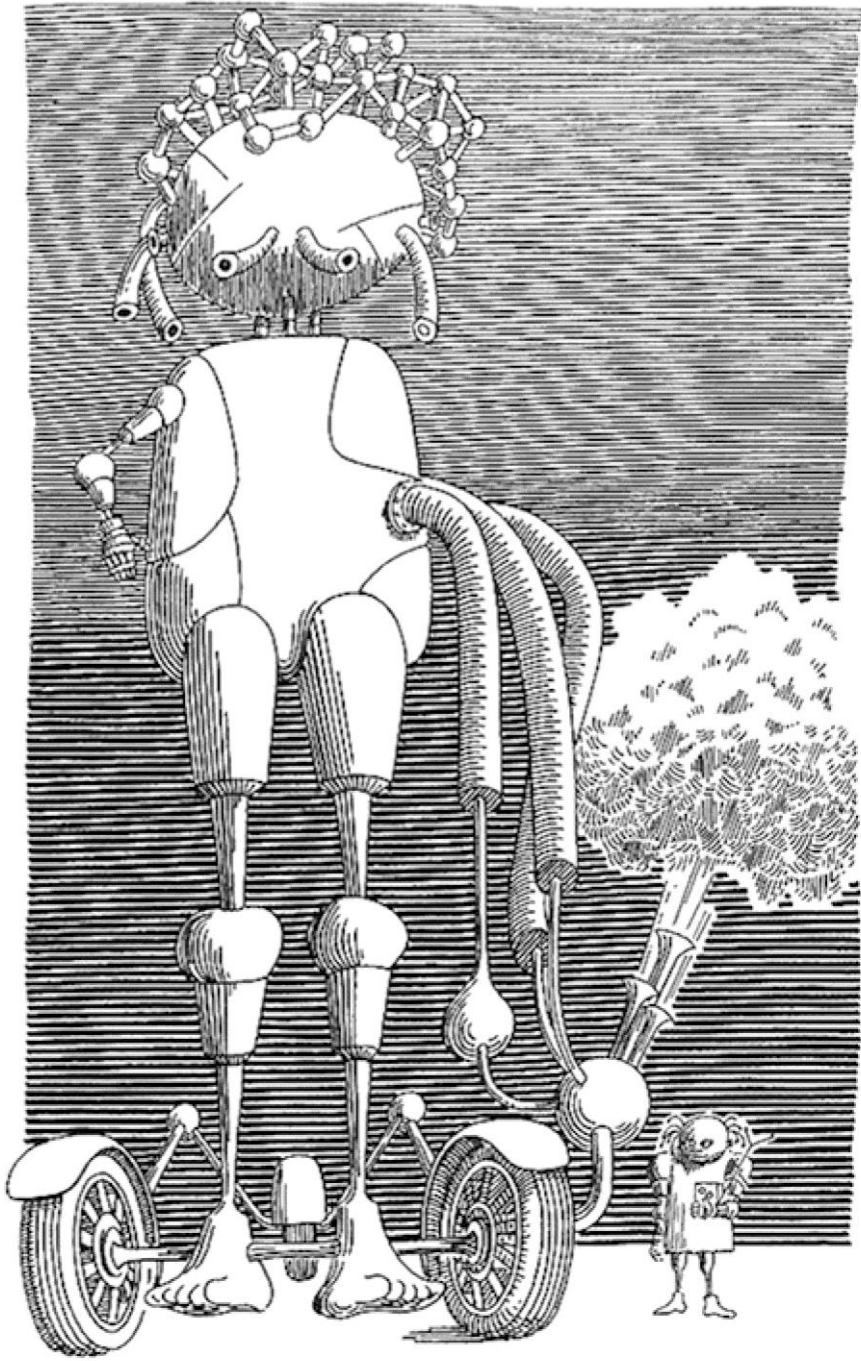
Król spał, lecz Klapaucjusz, jako komendant policji, oświadczył, iż musi koniecznie choć przez dziesięć sekund widzieć się z monarchą, albowiem chodzi o sprawę państwową wagi, o byt lub niebyt racji stanu i inne takie rzeczy, że się dworacy zlekli i dopuścili go do krzepko

śpiącego. Znając dobrze obyczaje i osobliwości Trurla, Klapaucjusz połaskotał go w piętę, a Trurl zaraz podskoczył i natychmiast się obudził, albowiem nad wszelką miarę był lechczywy Oprzytomniał zaraz i patrzył zdumiony na obcego olbrzyma w policyjnym mundurze, ten wszakże, nachyliwszy się, wetknął głowę pod baldachim łoża i szepnął: - Trurlu, to ja, Klapaucjusz, musiałem się przesiąść w policjanta, bo inaczej nie dostałbym się do ciebie, a jeszcze z aparatem, który mam już w kieszeni...

Trurl, nadzwyczaj uradowany, kiedy Klapaucjusz opowiedział mu o swym podstępie, wstał zaraz, oświadczył, iż ma się doskonale, a kiedy przyodziano go w szkarłaty, z berłem i jabłkiem zasiadł na tronie, by wydawać mnogie rozkazy. Najpierw zarządził, aby mu ze szpitala przyniesiono jego własne ciało, z nogą zwichniętą przez Baleryona na schodach portowych; gdy się to stało, kazał lekarzom koronnym zaraz największą okazać troskliwość i opiekę poszkodowanemu. Przeprowadziwszy potem naradę z komendantem policji, to jest Klapaucjuszem, postanowił działać w celu przywrócenia stanu równowagi powszechnej i właściwego ładu.

Nie było to łatwe, historia bowiem niezmiernie się splątała. Nie mieli też zamiaru konstruktorzy poprzywracać wszystkim duszom ich ciał dawniejszych. Chodziło o to, aby zrobić, ile się da naprędce, zarazem, aby Trurl i cieleśnie stał się Trurlem, jak Klapaucjusz - Klapaucjuszem. Najpierw kazał więc Trurl doprowadzić przed swe oblicze skutego Baleryona w ciele kolegi, prosto z lochów policyjnych. Tu przeprowadzono zaraz pierwszą przesiadkę, Klapaucjusz został znów sobą, a król w ciele eksdowódcy straży musiał nasłuchać się wielu niemiłych dla siebie słów, za czym poszedł do lochu, tym razem pałacowego, oficjalnie uznany za wtrąconego w niełaszkę wskutek niewydolności rebusowej. Nazajutrz ciało Trurlowe powróciło do zdrowia w takim stopniu, że można było ważyć się na przesiadanie. Pozostała jedna tylko kwestia. Oto niezręcznie jakoś było opuścić kraj cały, a nie ułożyć porządnie kwestii następstwa tronu. O tym bowiem, by Baleryona wydobyć z powłoki policyjnej i osadzić go z powrotem na stolcu królewskim, obaj przyjaciele ani myśleli. Uczynili tedy tak, iż wtajemniczyli zacnego marynarza, który siedział w Trurlowym korpusie, w całość sprawy pod wielką przysięgą milczenia, a widząc, jak wiele tkwi rozumu w tej prostej duszy marynarskiej, uznali ją godną panowania i po przesiadce Trurl stał się sobą, marynarz zaś królem. Przedtem jeszcze kazał Klapaucjusz przynieść do pałacu wielki zegar z kukułką, który w

niedalekim antykwariacie był zobaczył, krążąc po ulicach miasta, i przeniesiono rozum króla Baleryona w ciało kukułcze, jej zaś rozum w osobę policjanta; w ten sposób zadość się stało sprawiedliwości, bo król odtąd zmuszony był sumiennie pracować i przyzwoitym wykukiwaniem pory dnia i nocy, do którego zmuszały go we właściwych chwilach kłujące trybiki zegara, miał odkupić przez resztę żywota swoje bezmyślne igraszki i zamach na zdrowie konstruktorów, wisząc na ścianie sali tronowej. Komendant zaś wrócił do służby poprzedniej i sprawiał się wybornie, gdyż kukułczy rozum okazał się po temu zupełnie wystarczający. Kiedy to się stało, przyjaciele, czym prędzej pożegnawszy się z koronowanym marynarzem, wzięli dobytek pozostawiony w gospodzie i strząsnawszy z trzewików pył mało gościnnego królestwa, udali się w podróż powrotną. Dodać warto, iż ostatnią czynnością Trurla w ciele królewskim było zstąpienie do skarbców pałacowych, skąd zabrał klejnot diamentowy rodu cymberskiego, albowiem nagroda ta słusznie mu się należała jako wynalazcy schowka nieoszacowanego.



WYPRAWA PIĄTA A, CZYLI KONSULTACJA TRURLA

Niedaleko, pod białym słońcem, za zieloną gwiazdą, żyli Staloocy, szczęśliwie, krzątliwie, śmiało, bo niczego się nie bali: ani kwasów rodzinnych, ani zasad tradycyjnych, ani myśli czarnych, ni nocy białych, materii i antymaterii, bo mieli maszynę maszyn, umajoną, nakreconą, zębatą i ze wszech miar doskonałą; mieszkali sobie w niej i na niej, i pod nią, i nad nią, bo oprócz niej nie mieli niczego - w pierw atomy uciułali, potem całą zbudowali, a jak który nie pasował, to go przerobili - i było dobrze. Każdy Stalooki miał swoje gniazdko i kontakcik, i każdy robił swoje, to znaczy - co chciał. Ani rządźli maszyną, ani maszyna nimi, tylko tak sobie razem pomagali. Jedni byli maszynowcami, inni maszynistami, jeszcze inni maszynalami; a każdy miał własną maszynistkę. Roboty mieli moc, raz potrzebna im była noc, a raz dzień albo zaćmienie słońca, ale rzadko, żeby się nie sprzykrzyło. Przyleciała raz do białego słońca za zieloną gwiazdą kometa-kobieta, rodzaju żeńskiego, bardzo okrutnego, cała atomowa tędy i owędy, tu głowa, tam ogon w cztery rzędy, strach patrzeć - taka sina, a cjanowodór - przyczyna. I rzeczywiście rozszedł się odór okropny; przyleciała i zaczyna: - Najpierw - powiada - pochłone was płomieniami, a potem się zobaczy.

Popatrzyli na nią Staloocy - pół nieba zasnuła, buty z ognia wzuła, neutrony, mezony, żar się zrobił szalony, atomy jak domy, co jeden - to większy, neutrina, grawitacje... - Będę miała kolację. - Mówią jej: - To pomyłka, my jesteśmy Staloocy, nie boimy się nikogo, ani kwasów rodzinnych, ani zasad tradycyjnych, myśli czarnych ni nocy białych, bo mamy maszynę maszyn, umajoną, nakreconą, zębatą i ze wszech miar doskonałą; idźże więc sobie, moja kometo, bo będzie z tobą źle.

A ona już na całe niebo im wlaźła i pali, smali, ryczy, syczy, aż im się księżyc skurczył i osmalił z obu rogów, a chociaż popękany, stary, mały, to i takiego żal. Więc już nic nie mówili, tylko wzięli jedno bardzo silne pole, związali mu po supełku w każdym rogu i włączyli kontakty: niechaj za nas mówią fakty. Hukło, trzasło, zajęczało, niebo zaraz pojaśniało, z komety została tylko kupka żużlu - i znowu spokój.

Po jakimś czasie coś się pojawia, leci, a nie wiadomo co, lecz straszne, że nie wiadomo, jak patrzeć - bo co z innej strony, to jeszcze okropniejsze. Przyleciało to, rozeszło się, zeszło się, siadło na samym wierzchołku, ciężkie jak nie wiedzieć co, siedzi i się nie rusza. A przeszkadza, że trudno więcej.

Więc ci, co byli bliżej, powiadają: - Halo, to pomyłka, my jesteśmy Staloocy, nie boimy się niczego, nie mieszkamy na planecie, tylko w maszynie, a to nie jest zwykła maszyna, ale maszyna maszyn, umajona, nakręcona, zębata i ze wszech miar doskonała, idźże więc sobie, paskudo, bo będzie z tobą źle.

A to nic.

Więc, aby nie robić o byle co wielkiego zachodu, posłali niewielką, taką całkiem właściwie małą maszynę-straszynę: pójdzie, przełęknie toto - i będzie spokój.

Maszyna-straszyna idzie, idzie, a w środku tylko jej programy mruczą; co jeden, to przeraźliwszy. Podeszła - i jak nie zaszuci, nie zagwazdra! Aż się sama trochę zlekła, patrzy - a toto nic. Spróbowała drugi raz, z innej fazy, ale nie wyszło jej już; bez przekonania straszyla.

Widzą Staloocy, że inaczej trzeba. Powiadają: - Weźmiemy większy kaliber, z trybami na oleju, dyferencjalny, uniwersalny, sprzężony z każdej strony i żeby kopał, a mocno. Czy wystarczy? Spokojna głowa: energia jądrowa.

Posłali więc uniwersalną, dubeltowo-dyferencjalną, z głuchym rżeniem, bo ze zwrotnym sprzężeniem, w środku - maszynista z maszynistką, ale to nie wszystko, bo na wszelki wypadek na wierzchu jechała jeszcze maszyna-straszyna. Podjechała, a że na trybach olejowych - cicho, że ani mru-mru, zamachnęła się i liczy: cztery ćwierci do śmierci, trzy ćwierci do śmierci, dwie ćwierci, jedna ćwierć, punkt zerowy, czyli śmierć! Jak nie hukło! - i rosną grzyby: same prawdziwki, ale świeące, bo radioaktywne; olej się rozchlupotał, tryby powyskakiwały, patrzą maszynistka z maszynistą przez klapkę, czy już: ale gdzie tam, nawet nie draśnięte.

Naradzili się Staloocy i zbudowali maszynę, która zbudowała maszynisko, które zbudowało maszyniszczę, że się co bliższe gwiazdy musiały cofnąć. A w tym największym taka, co ma tryby w oleju, a w samym środku maszynka-straszynka, bo już nie ma żartów.

Zebrało się w sobie maszyniszczę i jak się nie zamachnie! Gruchło, zagrzmiało, coś się rozleciało, grzyb taki, że na zupę z oceanu starczy, ciemno, w zębach zgrzyta; tak ciemno, że nie wiadomo nawet, w czyich. Patrzą Staloocy - nic, ale to zupełnie nic, tylko wszystkie trzy maszyny leżą rozsypane i ani drgną.

Wtedy to już rękawy zakasali, bo: - Przecież - powiadają - jesteśmy maszynowcy i maszyniści, mamy maszynistki i maszynę maszyn, umajoną, nakręconą, ze wszech miar doskonałą, jakże ostoi się wobec

niej jakaś paskuda, co sobie siedzi i ani drgnie?

I już nic innego nie robią, tylko roślinę-kolubrynę: podpełźnie cichaczem, niby nie wiedzieć za czym, łypnie spod czeluści; korzonek zapuści, wrośnie od spodu, powolutku, i jak potem da łupnia, to będzie przyjdzie koniec. I rzeczywiście: wszystko stało się
dokładnie, jak przewidzieli, tylko z końcem nie wyszło i zostało po staremu.

Wpadli w rozpacz, a nie wiedzieli nawet, co to jest, bo jeszcze im się nigdy nie przytrafiło, więc mobilizują się i rajcuja, robią lepy i tryby, arkany i parkany, może ugrzęźnie, może wpadnie, może się złapie, może się zagrodzi - próbują tak i owak, bo nie wiedzą - jak. Wszystko aż się trzęsie, lecz nic nie pomaga. Osłabli, nie wiedzą, gdzie ratunek, aż tu widzą - nadlatuje ktoś: siedzi jak na koniu, ale koń nie ma kół; więc widocznie rower, ale rower nie ma dziobu, więc może rakietka; ale rakietka nie ma siodła. Nie wiadomo, co leci, ale wiadomo, kto w siodle: siedzi
jak przyrośnięty, pogodnie
uśmiechnięty, już jest blisko, już ich mija - a to sam Trurl, konstruktor, na przechadzce, a może na wyprawie swojej; z daleka każdy by poznał, że nie z byle kim rzecz.

Zbliżył się, zniżył, więc mówią mu, co i jak: - Jesteśmy Staloocy, mamy maszynę maszyn, umajoną, nakreconą, ze wszech miar doskonałą, atomyśmy uciulali, całą sami zbudowali, nie boimy się nikogo, ani kwasów rodzinnych, ani zasad tradycyjnych, aż tu przyleciało coś, siadło, siedzi i ani drgnie.

- A przeleknąć próbowaliście? - pyta łaskawie Trurl.

- Próbowaliśmy maszynką-straszynką i maszyną-straszyną i maszyniszczem, co ma tryby w oleju, atomy jak domy, a jak ruszy z neutrina, wszystko lecieć zaczyna, i mezony, i fale, ale wszystko to wcale nie pomaga.

- Żadna maszyna, powiadacie?

- Żadna, proszę pana.

- Hm, ciekawe. A co to właściwie jest?

- Tego to nie wiemy. Pojawiło się, przyleciało, a nie wiadomo co, lecz straszne, że nie wiadomo, jak patrzeć, bo co z innej strony, to jeszcze okropniejsze. Przyleciało to, siadło, ciężkie jak nie wiedzieć co - i siedzi. A przeszkadza, że trudno więcej.

- Właściwie niewiele mam czasu - mówi Trurl - najwyżej mogę zostać u was na jakiś czas konsultantem. Chcecie?

Staloocy, rozumie się, chcą i pytają zaraz, co mają przynieść -

fotony, śruby, młoty, lufy, a może dynamit, może armaty? A może dla gościa herbaty? Maszynistka zaraz przyniesie.

- Herbatę może maszynistka przynieść - zgadza się Trurl - ale to dla celów służbowych. No, a co do reszty, to raczej nie. Jeśli, uważacie, ani maszyna-straszyna, ani maszyniszczce, ani kolubrynka- roślina nie dają rady, wskazane są metody zdalne, archiwalne i przez to zupełnie fatalne. Jeszcze nie słyszałem, żeby uiszczony ryczałtem nie pomógł.

- Jak proszę? - pytają Staloccy, ale Trurl, zamiast wyjaśniać, ciągnie:

- Metoda całkiem prosta, potrzeba tylko papieru, atramentu, stempelków, pieczątki okrągłej, laku jak maku, piasku, okienek, pluskiewek, łyżeczki cynowej, spodeczka, bo herbata już jest, i listonosza. I żeby było czym pisać - macie to?

- Znajdzie się! - i w te pędy niosą.

Trurl siada i dyktuje maszynistce: „W związku ze sprawą Obywatela, faszkuł Komisji WZRTSP 7 łamane przez 2, łamane przez KK, łamane przez 405, zawiadamia się, iż powstrzymanie się Obywatela, jako sprzeczne z paragrafem 199 ustawy z dnia 19 XVII br., stanowiąc epsod meniętny, powoduje ustanie świadczeń oraz desomowanie, w myśl Rozporządzenia 67 DWKF, nr 1478 łamane przez 2. Od orzeczenia niniejszego przysługuje Obywatelowi odwołanie w trybie nadzwyczajnym do Przewodniczącego Komisji w ciągu dwudziestu czterech godzin”.

Trurl przybił stempelek, podbił pieczątką, kazał wpisać do Księgi Głównej, otworzył Protokół Podawczy i powiada:

- Niech to teraz listonosz zaniesie.

Zaniósł, nie ma go, nie ma, aż niebawem wraca.

- Doręczyłeś? - pyta Trurl.

- Doręczyłem.

- A gdzie potwierdzenie odbioru?

- Tu jest. Oto w tej rubryce. A również odwołanie.

Bierze Trurl odwołanie i nie czytając wcale, każe nieść z powrotem, a przez całą szerokość skosem pisze:

„Nierozpatrzone z powodu braku odp. załączników”. I podpisuje się nieczytelnie.

- A teraz, powiada, do dzieła!

Siada i pisze, a tamci, ciekawi, patrzą, nic nie rozumieją i pytają, co to jest i co będzie.

- Urzędowanie - powiada Trurl. - A będzie dobrze, albowiem już się zaczęło.

Listonosz biega jak szalony całą dobę w obie strony; Trurl stemple unieważnia, rezolucje wysyła, maszynistka stuka i już powstaje z wolna wokoło cała kancelaria, datowniki, pliki, akta, spinacze, zarękawki z czarnej mory, teczki, segregatory, łyżeczki, tabliczki „wejścia nie ma”, kałamarze, formularze, od nocy do zarania coraz więcej pisania, maszynistka stuka, a wszędzie pełno herbaty i śmieci. Martwią się Staloocy, bo nic nie rozumieją, a Trurl wysyła ofrankowane lub za pobraniem pocztowym, a także z pokwitowaniem odbioru oraz najsilniejsze - uiszczone ryczałtem, śle urgensy, napomnienia, nakazy, mnóstwo razy, już są osobne konta, a w nich same zera - ale to, powiada, tylko chwilowo. Po pewnym czasie widać, że już nie takie straszne, zwłaszcza od góry: doprawdy, że zmalało! Ależ tak, mniejsze jest! I pytają Staloocy Trurla, co dalej?

- Nie przeszkadzać w urzędowaniu! - on na to. I podbija, stempluje, załączniki rachuje, odsyła odwołania, bez żadnego gadania, kamizelka nie dopięta, proszę wezwać petenta, skrócone godziny, cieniutka herbatka, gdzie usiąść - pajęczyny, a w szufladzie krawatka, oto nowe papiery, czterdzieści i cztery, i zakłada cztery nowe szafy, a tam próby przekupstwa i ruja z poróbstwa, i nakaz egzekucji ze środy na piątek, i siedem pieczętek.

A maszynistka stuka: „W związku z nieokazaniem przez Ob. zezwoleń zgodnie z nakazem Kom. Wyd. Pr. Wr. z dn. zarządza się bezzwłoczne Skr. Kar. w Ter. Dow. na podstawie Tr. Adm. Tad. Aram., w oparciu o wyrok instancji C. D. D. Od orzeczenia niniejszego odwołanie Ob. nie przysługuje”.

Wysyła posłańca, a kwitariusz chowa do kieszeni. Za czym wstaje i zaczyna kolejno wyrzucać w Kosmos biurka, stołki, stemple, nawet pieczęć, segregatory i herbatę. Zostaje tylko maszynistka.

- Ależ, co pan robi! - wołają Staloocy, którzy tymczasem już się zupełnie przyzwyczaili. - Jak można?!

- Bez przesady, moi drodzy - on na to. - Lepiej patrzcie!

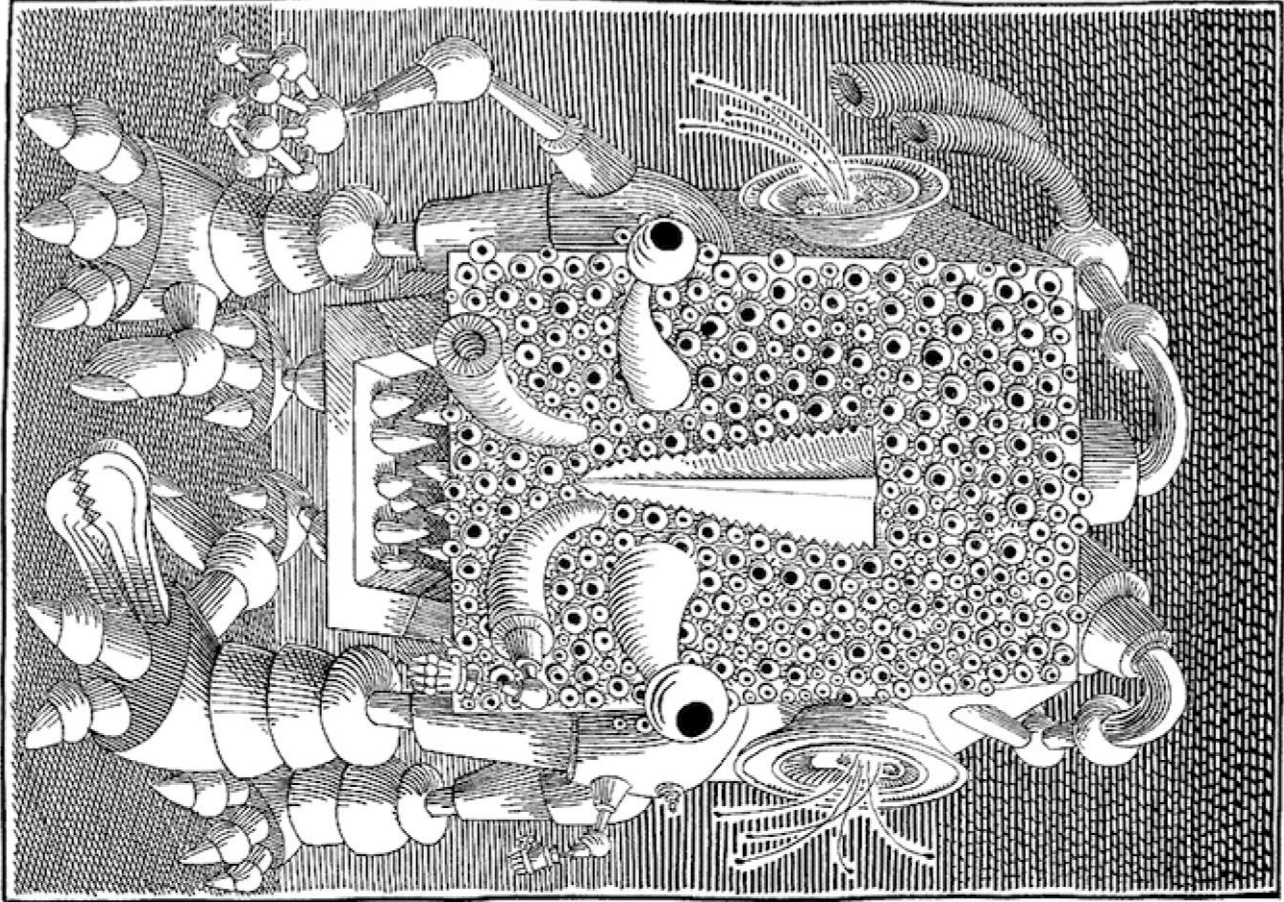
I rzeczywiście, aż achnęli - pusto, czysto, nikogo nie ma, jak gdyby nigdy nie było. I gdzież się podziało i rozwiało? W haniebnej ucieczce, a malusieńkie się zrobiło, że lupy trzeba. W głowy zachodzą, śladów szukają i tylko jedno mokre troszeczkę miejsce znaleźli, coś tam nakapało, nie wiadomo, przy jakiej okazji, a poza tym nic.

- Tak sobie właśnie myślałem - Trurl do nich. - Była to, moi kochani, sprawa dość prosta; kiedy orzeczenie pierwsze przyjął i w książce podpisał, to już wsiąkł. Zastosowałem specjalną maszynę na

wielkie Be; albowiem, jak Kosmos Kosmosem, nikt nie dał jej jeszcze rady!

- No dobrze, ale po co było wyrzucać akta i wylewać herbatę? - pytają.

- Ażeby was z kolei ta maszyna nie zjadła! - Trurl na to. Zabiera ze sobą maszynistkę i odlatuje, kiwając im życzliwie - a uśmiech ma jak gwiazda.



WYPRAWA SZÓSTA, CZYLI JAK TRURL I KLAPAUJCJUSZ DEMONA DRUGIEGO RODZAJU STWORZYLI, ABY ZBÓJCĘ GĘBONA POKONAĆ

„Od ludów Słońc Większych dwa prowadzą na południe szlaki karawanowe. Pierwszy, stary, od Czwórkwieżdźca ku Gaurozauronowi, gwiazdzie bardzo podstępnej, o zmiennym blasku, która przygasając, do Karła Abassytów się upodabnia, przez co zmylnym często trafia się zapuścić w Pustynię Kirową, a tylko jedna karawana na dziewięć cało z nich uchodzi. Drugi szlak, nowy, Imperium Mirapudów otwarło, gdy jego niewolnicy-rakietnicy przebili tunel na sześć miliardów pramil długi przez samego Gaurozaurona Białego.

Wejście północne do tunelu tak odnaleźć trzeba: od ostatniego ze Słońc Większych kurs prosto na biegun trzymać przez siedem pacierzy elektrycznych. Potem w lewo małym halsem, aż się ściana ognista pojawi, to jest Gaurozaurona bok, a w nim otwór tunelu widać jako czarny punkt w białym płomienisku. Stąd w dół prosto jak strzełił, bez obawy, gdyż osiem statków burta w burtę iść może tunelem; nie ma też widoku równego temu, co się wówczas przez szkła pokładowe jawi. Nasamprzód jest Ogniospad Żarotrzców, a dalej już wedle pogody; gdy wnętrzości gwiazdne burzami magnetycznymi są poruszane, które o miliard lub dwa mil dalej się przewalają, widać wielkie węzły ognia i jego arterie rozżarzone, ze skrzeplinami białymi płonącymi, gdy zaś burza bliższa lub tajfun Siódmej Siły, trzęsą się sklepienia, jakby białe ciasto żaru padać miało, lecz to pozór, albowiem leci, a nie pada, i płonie, lecz nie spala, w szachu rozporami Pól Mocnych trzymane. Widząc, jako puchnie Miąsz Protuberancyjny, a źródła długopiorunne, Pieklicami zwane, burzą się i bliżą, dobrze jest koło sterowe mocniej ująć, największej bowiem trzeba wytrawności sterniczej i nie w mapę, lecz w trzewia słoneczne patrzeć się godzi: nikt bowiem nie przebył drogi tej tak samo dwa razy. Sztychem w Gaurozaurona wbity tunel wiję się cały, skręca w sobie i drga jak wąż pod razami; dlatego oczy trzeba szeroko trzymać otwarte, nie rozstawać się z lodem-ratownikiem, co okapy hełmów soplami przezroczystymi ocieka, i uważnie patrzeć w pędzące naprzeciw ściany pożarów, wychylone jęzorzyskami huczącymi, a słysząc, jak przyskwierczy pancierz okrętowy, ogniem biczowany i zarzewiem słonecznym opluty, na nic się, krom własnej

bystrości, nie spuszczać. Zarazem atoli i to mieć trzeba na uwadze, że nie każdy ruch ognia i nie każde tunelu przykurczenie jest zaraz oznaką trzęsienia gwiazdy, ni obwał biały oceanów żarowych, więc zakarbowawszy to sobie, żeglarz doświadczony nie będzie przez byle co „do pomp” wzywał, ażeby mu nie przyszło ku pohańbieniu od doświadczniejszych usłyszeć, że kropelką amoniaku chłodzącego chce mu się światłość gwiazdy wiekuistą ugasić. Pytającemu, co ma czynić, gdy się prawdziwe trzęsienie gwiazdy na statek obruszy, każdy próżniarz bywały powie zaraz, że dość jest wtedy westchnąć, bo na większe przygotowania przedzgonne i tak czasu nie ma, oczy zaś można mieć wtedy zamknięte lub otwarte, według woli, bo ogień i tak je przewierci. Wszelako klęska taka to najrzadsza rzecz, gdyż klamry klamrzyste przez Imperyków Mirapudowych osadzone dobrze sklepienia trzymają i wcale wdzięczną jest jazda śródgwiezdna na przestrzał, pomiędzy łyskającymi giętko lustrami wodoru Gaurozauronowego. Nie bez kozery też powiadają, że kto w tunel wszedł, rychło z niego wyjdzie, czego już się nie da rzec o Pustyni Kirowej. Gdy atoli raz na wiek tunel trzęsieniem zepsowany, innej drogi, jak wedle onej, nie masz. Jak nazwa wyklada, Pustynia czarniejsza jest od nocy, bo się nie waży światło gwiazd okólnych na nią wstępować. Tłuką się tam jak w mózdzierzu, z okropnym wrzaskiem blach, wraki statków, które za sprawą zdradliwego Gaurozaurona zmyliły drogę i rozpękły się w objęciu wirów bezdennych, by krażyć tak aż po ostatni obrót galaktyczny, grawitacją okrutnie przytrzaśnięte. Na wschód od Pustyni Kirowej jest królestwo Śliskoszczękich, na zachód - Okorecznych, a na południe biegną drogi śmierciowiskami gęsto poprzegradzane, ku lżejszej sferze błękitnej Lazurei, dalej zaś - Murgundu płomiennolistnego, gdzie się archipelag krwawi, z gwiazd bezzelaznych, Karocą Alcarona zwany.

Sama Pustynia, jak się rzekło, tak pełna jest czerni, jak pasaż słońcowy Gaurozaurona - bieli. Nie wszystka bieda tam z wirów, piachu prądami z wysokości ściąganego i meteorów oszalałych; prawią bowiem niektórzy, iż w miejscu niewiadomym, w ponurzyskach zamrocznych, na głębokości niepojętej, z dawien dawna stwór pewien siedzi czy może bezstwór, Nieznańcem zwany, ten bowiem, kto by jego prawdziwe imię poznał, spotkawszy, już nic świata nie wyjawi, bo go i nie zobaczy. Powiadają, iż jest Nieznaniec zbójem-czarodziejem, i że we własnym mieszkaniu zamku, z czarnej wzniesionym grawitacji, że fosami zamku - wieczna nawałnica, murami jego - niebyt, nicością doskonałą, że jego okna - ślepe, a drzwi głuche; Nieznaniec czatuje na karawany, a gdy

zeprze go głód wielki złota i szkieletów, dmucha czarnym prochem w tarcze słońc, które drogi wskazują; a gdy je zgasi i sprowadzi wędrowców ze szlaku bezpiecznego, młynem z niebytu wypada, ciasnymi pierścieniami otoczy i unosi w nicość zamku swego, pilnie bacząc, by najmniejszej agrafy rubinowej nie uronić - taki on w swojej straszliwości akuratywny. Potem zaś już tylko ogryzione wraki wypływają znikąd i krążą po Pustyni, a w ślad za nimi lecą długo nity korabiów, jak pestki wypluwane z paszczy Nieznańca-potwora. Lecz odkąd niewolną pracą mrowia raketniczego tunel gaurozauroński otwarto, a żegluga tym od wszystkich jaśniejszym korytem popłynęła, szaleje Nieznaniec, łupów pozbawiony, i żarem wściekłości swej tak mrok Pustyni rozjaśnia, że jego ciało prześwituje przez czarny mur grawitacji, niby kościak poczwarczy, co w oprzędzie swym grobowo a fosforycznie próchnieje. Powiadają mędrkowie niejedni, że wcale go nie ma i nigdy nie bywało; dobrze im mówić swoje, a i łatwo, gdyż gorzej mocować się z przedstawieniem rzeczy, których się słowo nie ima, w ciszy letniej, z dala od Kirów i Żarów powstałe. Łatwo w potwora nie uwierzyć, trudniej pokonać go, a łapczywości jego obmierzłej ujść. Zali nie samego Cybernatora murgundzkiego z osiemdziesięcią orszaku, na statkach trzech, pochłonał, że nic z magnaterii onej nie ostało, krom sprzączek nadgryzionych, które wieśniacy osad Solary Małej znaleźli, przybojem mgławicznym w ich brzeg rzucone? Zali nie pożarł innych mężów niezliczonych bez pardonu a litości? Więc niechaj choć cicha pamięć elektryczna hołd tym bezgrobnym odda, jeśli nie znajdzie się taki, co by ich na sprawcy owego po rycersku pomścił, wedle starych praw gwiazdokrańczych".

Wszystko to razem wyczytał Trurl razu pewnego w księdze, od starości spłowiałej, którą przypadkiem od jakiegoś przekupnia nabył, zaraz też zaniósł ją do Klapaucjusza i pospołu drugi raz, już głośno, niezwykłości owe mu odczytał od początku do końca, bo mu się wielce udały.

Klapaucjusz, jako mądrości pełen konstruktor, Kosmosu świadom, ze słońcami i mgławicami wszelkiej maści otrząskany, tylko się uśmiechnął, głową skinął i mówi:

- Mam nadzieję, że w jedno słowo całego tego bajania nie wierzysz?

- Niby dlaczego miałbym nie wierzyć? - obruszył się Trurl. - Spójrz, tu jest nawet sztucznie uczyniona grawiura przedstawiająca Nieznańca, jak dwa słoneczne żaglowce spożywa i łupy do lochów chowa. Zresztą - czy to nie ma naprawdę tunelu w supergwieździe, prawda, że innej, bo

Beth-el-Geuskiej? Chyba nie jesteś takim ignorantem w kosmografii, by podać to w wątpliwość...

- Co się tyczy rycin, to zaraz mogę ci wyrysować smoka z oczami z tysiąca słońc każde - jeśli rysunek masz za dowód prawdy - rzekł Klapaucjusz na to. - Co do tunelu zaś, to najpierw ma tylko dwa miliony mil długości, a nie jakieś miliardy, po wtóre, ta gwiazda jest prawie że wystygła, a po trzecie, żegluga tunelem nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa, o czym doskonale wiesz, boś sam tamtędy latał. Co się zaś tyczy tak zwanej Pustyni Kirowej, naprawdę jest to po prostu szeroka na dziesięć kiloparseków masa śmieci kosmicznych, krążąca pomiędzy Maerydią i Tetrarchidą, a nie koło jakichś Ogniogłówów czy Gauryzaurów, których w ogóle nie ma; i jeszcze prawda, że ciemno tam, ale to po prostu od zatrzęsienia brudu. Żadnego Nieznańca tam, rozumie się, nie ma! To nawet nie mit uczciwy, starodawny, ale tania bajeda, wyrosła w jakiejś głowie niedowarzonej.

Trurl zacisnął wargi.

- Mniejsza o tunel - rzekł. - Uważasz, że jest bezpieczny, bo ja nim latałem; gdybyś to ty był, słyszałoby się rzeczy zupełnie inne. Ale mniejsza o ten tunel, powiadam. Co się tyczy atoli Pustyni i Nieznańca, przekonywanie argumentami słownymi nie jest w moim guście. Trzeba tam pojechać, to się przekonasz, co z tego - podniósł grubą księgę ze stołu - jest prawda, a co nie!

Klapaucjusz jał odradzać mu ten zamiar, jak mógł, gdy się wszelako przekonał, że Trurl, uparty jak zwykle, ani myśli o rezygnacji z tak osobliwie poczętej wyprawy, najpierw oświadczył, że nie chce go więcej na oczy widzieć, ale niedługo sam się zaczął też sposobić do drogi, bo nie chciał, aby się przyjacielowi samotnie ginęło - we dwóch jakoś raźniej spojrzeć śmierci w oczy.

Zaopatrzywszy się tedy w sporo różności, albowiem droga wieść miała przez pustkowia (co prawda nie tak malownicze, jak to księga przedstawiała), wyruszyli na wypróbowanym swoim statku; lecąc zaś, zatrzymywali się tu i ówdzie, aby zasięgnąć języka, zwłaszcza kiedy minęli granice obszaru, o którym posiadali dokładne wiadomości. Niewiele można się było jednak od tubylców dowiedzieć, prawili bowiem dorzecznie tylko o swym pobliżu, lecz o tym, co znajdowało się i działo tam, gdzie nigdy sami nie bywali, pletli nieprawdopodobieństwa oczywiste, a przy tym szczegółowo, ze smakiem i grozą równocześnie. Klapaucjusz opowieści takie nazywał krótko korozyjnymi, mając na myśli ową korozyję-sklerozję, która trapi wszystkie starcze umysły.

Gdy się wszakże zbliżyli na jakichś pięć-sześć milionów tchnień

ogniowych do Pustyni Czarnej, doszły ich słuchy o jakimś olbrzymie-gwałtowniku, który zwał się Zbójcą Dyplojem; nikt przy tym z opowiadających ani go nigdy nie widział, ani nie wiedział, co by takiego miało znaczyć dziwne słowo „Dyploj”, którym stwora owego określano. Trurl myślał, że kto wie, czy nie jest to zniekształcony termin „Dipol”, co by świadczyć miało o biegunowej i sprzecznej zarazem, dwoistej naturze zbójcy, ale Klapaucjusz wolał się od hipotez, jako trzeźwiejszy, powstrzymać. Podobno - tak głośiły wieści - zbójca ów był okrutnikiem i raptusem, co się w tym miało przejawiać, iż obłuskawszy już ofiary ze wszystkiego, wciąż niezadowolony dla strasznego sknerstwa, że mu wszystkiego było z chciwości mało, bardzo długo i boleśnie przed wypuszczeniem na wolność bijał. Rozważali chwilę konstruktorzy, czy nie zaopatrzyć się aby w jakąś broń palną i sieczną, nim przyjdzie przekroczyć brzeg czarny Pustyni, ale uznali w końcu, że najlepszą bronią są ich umysły, w konstruktorstwie wyostrzone, dalekosiężne i uniwersalne; i pojechali, jak stali.

Przyznać trzeba, że Trurl w czasie dalszej podróży przeżywał wcale gorzkie rozczarowania, albowiem rozgwieżdżiska gwiazdne, płomieniska płomienne, pustynne pustkowia i meteoryczne rafy i skały wędrujące o wiele piękniej były opisywane w starej księdze, niż naprawdę przedstawiały się oku podróżnego. Gwiazd było w okolicy mało, i to zupełnie niepokąźnych, nadto bardzo starych; jedne ledwo pomrugiwały, jak węgielki w popielisku tłące, inne całkiem już po wierzchu ściemniały i tylko przez pęknięcia ich skorupy z żuźla, niechlujnie pomarszczonej, przeświecały żyłki czerwone; dżungli płomienistych ani tajemnych wirów żadnych tu nie było, nikt też, jako żywo, o nich nie słyszał, całe bowiem pustkowie tym się odznaczało, że do ostatniej nudy nudne było, właśnie przez swoją pustkę - i kwita; co się zaś tyczy meteorów, tych spotykało się jak maku, ale w tym grzechotliwym tałatajstwie więcej leciało śmiecia aniżeli porządnych magnetytów magnetycznych czy tektytów tektycznych; a to dlatego, ponieważ rękę można było stąd podać do bieguna galaktycznego i krążenie prądów ciemnych ścigało tu właśnie, ku południowi, niezliczone krocie odpadków i prochów ze sfer centralnych Galaktyki. Toteż sąsiadujące z nim plemiona i ludy zwały ów obszar nie jakąś tam Pustynią Kirową, ale zwyczajnie: śmieciowiskiem.

Tak więc Trurl, kryjąc swe rozczarowanie, jak mógł, przed Klapaucjuszem, aby go do złośliwości nie sprowokować, skierował statek w Pustynię - i zaraz zaczęło po jego pancerzach piaskiem bić, a wszelkie nieczystości gwiazdne, wypluwane ze słońc protuberancjami, osiadły

takim grubym kozuchem na ścianach kadłuba, że na myśl o przyszłym czyszczeniu - wszystkiego, a zwłaszcza podróżowania, na dobre się odechciewało.

Gwiazdy dawno już znikły w pomroce powszechnej i lecieli tak po omacku, aż naraz statkiem rzuciło, że wszystkie sprzęty, garnki i narzędzia załomotały, i poczuli, jak lecą gdzieś, i to coraz szybciej; wreszcie gruchnęło przeraźliwie i statek, dosyć miękko osiadłszy, znieruchomiał w pochyleniu, jakby się w coś nieruchomego wbił dziobem. Oni więc do okien, lecz na zewnątrz ćma zupełna - choć oko wykol; a już łomot słychać, ktoś niewiadomy, a straszliwej siły, przemocą się do wnętrza dobiera, że ściany skaczą. Teraz dopiero mniejsze poczuli zaufanie do rozumnej swojej bezbronności, lecz próżne ponieważżale, więc tylko, aby im klapy nie popsuto siłą, sami ją od środka odemknęli.

Patrzą - a w otwór ktoś gębę wsadza, tak wielką, że o tym, aby mógł cały w ślad za nią wejść - i mowy nie ma; gęba zaś jest niewymownie przykra, oczyskami cała od góry do dołu, wzdłuż i w poprzek wysadzana, i ma też jakby nos piłowaty, i szczęki-nieszczęki, hakowate i stalowe; nie rusza się, cała szczelnie we framugę wpasowana, i tylko oczy jej złodziejsko latają na wsze strony, każda zaś ich grupka inną obejmuje część otoczenia, a wyraz mają taki, jakby szacowały, czy się to wszystko uczciwie opłaci; nawet ktoś daleko głupszy od konstruktorów pojałby, co znaczy to wypatrywanie, bo nadzwyczaj wymowne.

- Czego? - powiada wreszcie Trurl, tym bezwstydnym łypaniem dziejącym się w milczeniu rozwścieczony. - Czego chcesz, mordo zakazana?! Ja jestem sam konstruktor Trurl, omnipotencjator ogólny, a to jest mój przyjaciel Klapaucjusz, też sława i znakomitość, i lecieliśmy tym naszym statkiem turystycznie, więc proszę natychmiast zabrać twarz i wyprowadzić nas z tego niejasnego miejsca, pełnego zapewne nieczystości, i skierować nas w porządną, czystą próżnię, gdyż w przeciwnym wypadku złożymy zażalenie i rozkręcą cię w drobny szmelc, ty, śmieciarzu - czy słyszysz, co mówię?!

Lecz ów nic - tylko dalej łypie i jakby coś sobie oblicza. Kalkuluje - czyjak?

- Słuchaj no, pokrako rozpałaszona - woła Trurl, już się z niczym nie licząc, chociaż go Klapaucjusz szturcha dla pomiarkowania - nie mamy ani złota, ani srebra, ani żadnych klejnotów, więc wypuść nas stąd zaraz, a przede wszystkim zabierz tę swoją wielką gębę, bo niewymownie przykra. A ty - zwrócił się do Klapaucjusza - nie szturchaj mnie dla

pomiarkowania, bo mam własny rozum i wiem, jak do kogo trzeba mówić!

- Nie potrzebuję ja - odezwie się nagle gęba, zwracając tysiąc oczu ognistych na Trurla - samego tylko złota lub srebra, a mówić do mnie należy delikatnie i z poszanowaniem, albowiem jestem zbójcą z dyplomem, kształconym i bardzo z natury nerwowym. Nie takich też, jak wy, miewałem ja już u siebie, i dosładzałem ich, jak chciałem - i kiedy wam wszystko skuje, też wyjdzie z was słodycz. Nazywam się Gębon, mam trzydzieści arszynów w każdą stronę i faktycznie rabuję kosztowności, ale w sposób naukowy i nowoczesny, to jest: zabieram drogocenne sekreta, skarby wiedzy, autentyczne prawdy, i w ogóle całą wartościową informację. A teraz jazda, dawać ją tu, bo jak nie, to gwizdnę! Liczę do pięciu - raz, dwa, trzy...

Doliczył, a że mu nic nie dali, rzeczywiście gwizdnął, aż im uszy mało nie poodpadały, a Klapaucjusz pojał, że ten „Dyploj”, o którym tubylcy ze strachem mówili, to był właśnie dyplom, widać na jakiejś Akademii Zbrodniarstwa zdobyty. Trurl zaś aż się za głowę chwycił rękami, bo Gębon miał głos wedle wzrostu.

- Nic ci nie damy! - zawołał, a Klapaucjusz pobiegł od razu po wate.
- I zabieraj zaraz gębę!

- Jeśli gębę zabiorę, to rękę wsadzę - Gębon na to - a mam sążnistą, cęgowatą i ciężką, że niech Bóg broni! Uwaga - zaczynam!

I rzeczywiście: wata, którą przyniósł Klapaucjusz, okazała się już niepotrzebna, bo gęba znikła, a pojawiło się łapsko, sękate, stalowe, niechlujne i pazurno-łopaciaste; i zaczyna grzebać, łamiąc stoły i szafy, i przegrody, aż blachy zazgrzytały. Trurl i Klapaucjusz uciekają przed łapskiem do stosu atomowego i co się który palec zbliży, to go z wierzchu bac! bac! - kociubą. Zgniewał się wreszcie zbójca z dyplomem, znów gębę wraził we framugę i tak rzecze:

- Radzę wam dobrze, układajcie się ze mną zaraz, bo jak nie, to odłożę was na później, na samym dnie mego dołu z zapasami, i śmieciem przytrząsnę, i kamieniami docisnę, że się nie podźwigniecie i rdza zeżre was na wylot; już nie takim radę dawałem; macie wóz lub przewóz!

Trurl nie chciał nawet myśleć o układach, ale Klapaucjusz nie był od tego i pyta, czego właściwie dyplomant sobie życzy?

- Taką mowę lubię - on na to. - Zbieram skarby wiedzy, gdyż takie jest moje zamiłowanie życiowe, płynące z wyższego wykształcenia i praktycznego wglądu w istotę rzeczy, zwłaszcza że za zwyczajne skarby, których zbójcy-prostakowie łakną, nic nie można tu kupić; natomiast

wiedza syci głód poznania, wiadomo zaś, że wszystko, co istnieje, jest informacją; a więc zbieram ją od wieków i będę to czynił dalej; co prawda, nie jestem i od tego, aby wziąć jakieś złoto lub klejnoty, bo to ładne, cieszy oko i można powiesić, ale tylko ubocznie, jak się trafi okazja. Zaznaczam, że za fałszywe prawdy bijam, tak samo jak za fałszywe kruszce, bo jestem wyrafinowany i łaknę autentyczności!

- Niby jakiej to autentycznej i drogocennej informacji pożądasz? - pyta Klapaucjusz.

- Wszelkiej, byle prawdziwej - tamten na to. - Każda może się przygodzić na okoliczność życiową. Mam już wadoły moje i lochy pełnawe, ale się jeszcze drugie tyle pomieści. Gadajcie, co wiecie i umiecie, a ja sobie zapiszę. Tylko prędko!

- Ładna historia - Klapaucjusz szepce Trurlowi na ucho - przecież on tu nas może wiek trzymać, zanim mu powiemy, co sami wiemy, wszak olbrzymia jest nasza mądrość!!

- Czekaj - Trurl na to - to już ja z nim będę paktował. - I głośno mówi:

- Słuchaj no, ty zbójcu dyplomowany: co się tyczy złota, to posiadamy informacje warte wszystkich innych, gdyż to jest przepis, jak się robi złoto z atomów; powiedzmy, na początek, z atomów wodoru, bo w Kosmosie ich bez liku - chcesz ten przepis, to dobrze, a potem nas puścisz.

- Już mam całą skrzynię takich recept - gęba na to, oczy wybałuszając gniewnie. - A wszystkie na nic. Nie dam się oszukać więcej - przepis pierwszej trza wypróbować.

- Czemu nie? Można. Masz garnek?

- Nie mam.

- To nic, można i bez garnka, byle się spieszyć - Trurl na to. - Przepis jest prosty: tyle atomów wodoru, ile zaważy atom złota, to jest osiemdziesiąt siedem, wodorowe trzeba najpierw z elektronów obsłuskać, potem protony skulgać, wyrobić ciasto jądrowe, aż się pokażą mezony, i wtedy ładnie elektronami poobsadzać dokoła. Wtedy już masz czyste złoto. Patrz!

Zaczął Trurl łapać atomy, z elektronów obiera, protony mięsi, aż mu palców nie widać, tak migają, wyrobił ciasto protonowe, zakręcił elektronami wokół, i do następnego atomu; nie minęło i pięć minut, a miał w rękach bryłkę szczerego złota, podał ją gębie, ta nadgryzła, kiwnęła, i mówi:

- Owszem, złoto jest, ale ja tak prędko za atomami uganiać się nie

dam rady. Za wielki jestem.

- To nic, damy ci odpowiedni aparacik! - nęci go Trurl. - Pomyśl, można w ten sposób przerobić wszystko na złoto, nie tylko wodór, damy ci recepty także na inne atomy; cały Kosmos można uczynić złotym, byle się przyłożyć!

- Jeśliby cały był ze złota, to ono straci wszelką wartość - Gębon praktyczny na to. - Nie, na nic mi wasz przepis: to znaczy, owszem, zapisałem go, ale mało tego! Skarbów wiedzy pragnę.

- Ale co chcesz wiedzieć, u licha ciężkiego?!

- Wszystko!

Popatrzył Trurl na Klapaucjusza, Klapaucjusz na Trurla i mówi ten ostatni tak:

- Jeśli wielką klątwą zaklniesz się i przysięgą zaprzysięgniesz, że nas puścisz zaraz potem, to my ci damy informację o wszechinformacji, to jest sporządzimy ci własnoręcznie Demona Drugiego Rodzaju, który jest magiczny, termodynamiczny, nieklasyczny i statystyczny, i będzie ci ze starej beczułki lub z kichnięcia choćby ekstrahował i znosił informację o wszystkim, co było, co jest, co może być i co będzie. I nie ma demona nad tego Demona, bo on jest Drugiego Rodzaju, a więc jeśli go chcesz, to gadaj zaraz!

Zbójca dyplomowany był nieufny, nie od razu przystał na warunki, ale wreszcie złożył przysięgę, z zastrzeżeniem, że pierwszej musi powstać Demon i udowodnić swą wszechinformacyjną potęgę. Trurl przystał na to.

- Uważaj teraz, wielkogęby! - mówi. - Czy masz gdzieś u siebie powietrze? Bo bez powietrza Demon działać nie może.

- Niby mam trochę - Gębon na to - ale nie całkiem czyste, bo się zastało...

- Nie szkodzi, może być nawet zgniłe - to nie ma znaczenia - mówią konstruktorzy. - Prowadź nas, gdzie to powietrze, a wszystko ci pokażemy!

Wypuścił ich więc ze statku, odsunawszy gębę, poszli za nim, a on prowadzi ich do siebie - nogi ma jak wieże, plecy jak przepaść, a cały od wieków nie myty i nie smarowany, więc zgrzyta do niemożliwości. I wchodzi za nim do korytarzy piwnicznych; po drodze pełno worków zbutwiałych - chciwiec trzyma w nich zrabowane informacje - pęczkami i paczkami ułożonych, sznurkami przewiązanych, a co ważniejsze, co cenniejsze, to podkreślone czerwonym ołówkiem. A na ścianie lochu wisi olbrzymi katalog, łańcuchem, rdzą zjedzonym, do głazu przykuty. I w

nim są działy wszelkie - na samym początku od A wszystko się zaczyna. Spojrzał Trurl, idzie dalej - echo głucho odpowiada, krzywi się on i Klapaucjusz, bo choć pełno nagrabilnych informacji autentycznych i kosztownych, to jednak wszędzie, gdzie wzrok obrócić, same pieczary-śmieciary i piwnice-śmietnice. Powietrza wszędzie pełno, lecz całkiem zgniłego. Stanęli i Trurl mówi:

- Uważaj! Powietrze jest z atomów, a te atomy skaczą sobie na wszystkie strony i zderzają się z sobą miliardy razy na sekundę w każdym mikromilimetrze sześciennym, i na tym właśnie polega gaz, że tak skaczą i trykają się wiecznie. Wszelako, choć skaczą na oślep i przypadkiem, to, ponieważ w każdej szpareczce jest ich miliardy miliardów, wskutek tej liczebności z owych podskoków i podrygów układają się, między innymi, spowodowane czystym trafem, ważne konfiguracje... Czy wiesz, koniu, co to takiego: konfiguracja?

- Proszę mnie nie obrażać! - on na to. - Albowiem nie jestem zbójem prostym i nieokrzesanym, lecz wyrafinowanym, z dyplomem, i dlatego bardzo nerwowym.

- Dobrze. A więc z tych atomowych skoków powstają ważne, to jest znaczące konfiguracje, nie przymierzając tak, jakbyś, powiedzmy, na oślep strzelał do ściany, a trafienia ułożyłyby się w jakąś literę. Co w skali wielkiej jest rzadkie i mało prawdopodobne, to w gazie atomowym jest powszednie i nieustanne, a to dla tych bilionowych tryknięć w każdej stutysięcznej cząsteczce sekundy. Lecz problem jest oto taki: w każdej szczypcie powietrza doprawdy układają się z fików i drygów atomowych ważne prawdy i doniosłe sentencje, ale równocześnie powstają tam skoki i odskoki najzupełniej bezsensowne; i tych drugich jest tysiące razy więcej niż tamtych. Choć więc i dawniej wiedziano, że teraz oto, przed twoim nosem piłowatym, w każdym miligramie powietrza powstają w ułamkach sekund fragmenty tych poematów, które zostaną napisane dopiero za milion lat, i różnych prawd wspaniałych, i rozwiązania wszelkich zagadek Bytu i tajemnic jego, to nie było sposobu, aby tę informację całą wyosobnić, tym bardziej że ledwo się atomy łebkami trykną i w jakąś treść ułożą, już rozlecą się, a razem z nimi i ona przypadnie, może na zawsze. A więc cały dowcip w tym, aby zbudować selektor, który będzie wybierał tylko to, co w bieganinie atomów sensowne. Oto i cała idea Demona Drugiego Rodzaju, pojąłeś cokolwiek, wielki Gębunie? Idzie, uważasz, o to, aby Demon ekstrahował z atomowych tańców tylko prawdziwą informację, to jest teorematy matematyczne i żurnale mód, i wzory, i kroniki historii, i przepisy na

placek jonowy, i sposoby cerowania oraz prania pancerzy azbestowych, i wiersze, i porady naukowe, i almanachy, i kalendarze, i tajne wieści o tym, co kiedyś zaszło, i wszystko to, co gazety pisały i piszą w całym Kosmosie, i książki telefoniczne, jeszcze niewydrukowane...

- Dość! Dość!! - zawołał Gębon. - Przestań wreszcie! I co z tego, że te atomy tak się składają, kiedy zaraz się rozlatują, i wcale nie wierzę, aby można było oddzielić prawdy bezcenne od wszelakiego drygania i podskakiwania drobin powietrznych, które nie ma żadnego sensu i nikomu jest na nic!

- A więc doprawdy jesteś mniej głupi, niż sądziłem rzekł Trurl - ponieważ istotnie trudność cała w tym tylko, aby tę selekcję uruchomić. I ja wcale cię o jej możliwości nie zamierzam przekonywać teoretycznie, ale, zgodnie z obietnicą, zaraz, tu, na poczekaniu, zbuduję Demona Drugiego Rodzaju, abyś naocznie pojał cudowną doskonałość tego Wszechinformatora! Co do ciebie, musisz tylko dostarczyć mi pudło, może być niewielkie, ale szczelne; zrobimy w nim maluteńką dziureczkę końcem szpilki i posadzimy Demona nad tym otworkiem; i siedząc okrakiem, będzie wypuszczał z pudła tylko informację sensowną, a poza nią nic więcej. Gdy się bowiem tylko jakaś kupka atomów tak zestroi trafem, że będzie coś znaczyła, to Demon zaraz cap ją za łeb i natychmiast znaczenie owo spisze specjalnym pisakiem brylantowym na wstędze papierowej, której trzeba przygotować mu co niemiara, gdyż będzie działał dzień i noc i dzień - aż Kosmos ustanie, prędzej nie... Przy tym sto miliardów razy na sekundę, co sam zobaczysz; bo właśnie tak działa Demon Drugiego Rodzaju.

Z tymi słowy poszedł Trurl na statek, by sporządzić Demona, a Gębon pyta tymczasem Klapaucjusza:

- A jaki jest Demon Pierwszego Rodzaju?

- Och, ten mniej ciekawy, to zwykły demon termodynamiczny, który tylko tyle umie, że przez otworek wypuszcza atomy szybkie, a powolnych nie; i takim sposobem powstaje *perpetuum mobile* termodynamiczne. Wszelako z informacją nie ma to nic wspólnego, więc przygotuj lepiej naczynie z dziurką, bo Trurl zaraz wróci!

Poszedł zbójca z dyplomem do drugiej piwnicy, nałomotał tam blachami, nakłął się, nakopał żelastwa, nabrodził w nim, aż wyciągnął spod blach starą beczkę pustą, żelazną, zrobił w niej malutką dziurkę i wraca, a właśnie nadchodzi Trurl z Demonem w ręku.

Beczka była pełna zgniętego powietrza, że nos chciał odpaść, gdy się go do otworka zbliżyło, ale Demonowi nie robi to żadnej różnicy; posadził

Trurl tę okruszynę okrakiem nad dziurką, na beczce, założył u góry wielki bęben z taśmą papierową, podprowadził ją pod pisaczek brylantowy, który z ochoty już się trzęsie, i zaczęło się wystukiwanie - stuk-puk, stuk-puk, jak w jakim urzędzie telegraficznym, lecz milion razy szybciej. Tylko drżało i wibrowało maleńkie pióreczko z brylancikiem na koniuszku, a wstęga z informacją jęła powoli spływać, zapisana, na bardzo brudną i wyjątkowo zaśmieconą podłogę piwnicy.

Siadł obok beczki zbój Gębon, podnosi do stu oczu wstęgę papierową i odczytuje, co też tam wyławia Demon, jako sitko informacji, z atomowego podskakiwania wiecznego; i tak zaraz pochłonęły go te ważne treści, że ani widział, jak obaj konstruktorzy czym prędzej wyszli z piwnicy, wzięli statek swój za stery, szarpnęli raz, drugi, trzeci, aż wydobyli go z owej zapadni, w którą ich zbój wtrącił, wskoczyli do środka i pomknęli przed siebie tak szybko, jak się tylko dało, albowiem wiedzieli, że choć ich Demon działa, domyślali się zarazem, że działania tego rezultaty obdarzą Gębona bogactwem większym od upragnionego. Ów zaś siedział o beczkę oparty i w popiskiwanym pisaku brylantowego, którym Demon spisywał na wstędze papierowej wszystko, czego się od atomów drgających dowiadywał, czytał o tym, jak się wije arlebardzkie wiją i że córka króla Petrycego z Labaudii zwała się Garbunda, i co jadł na drugie śniadanie Fryderyk II, król bladawców, nim wojnę wypowiedział Gwendolinom, i ile powłok elektronowych liczyłby sobie atom termionolium, gdyby taki pierwiastek był możliwy, i jakie są wymiary dziurki tylnej małego ptaszka, zwanego kurkucielem, którego na swych rozamforach malują Marłajowie Wabędzcy, jak również o trzech smakach poliwonnych szlamu oceanicznego na Wodocji Przyzroczej, i o kwiatku Łubuduku, który myśliwych staromalfandzkich wali siarczyście na odlew, świtem wzruszony, i jak wyprowadzić wzór na dostawę kąta podstawy wieloboku, ikoseadrem zwanego, i kto był jubilerem Fafucjusza, rzeźnika-mańkuta Buwantów, i ile pism filatelistycznych będzie wychodziło w roku siedemdziesiątysięcznym na Morkonaucji, i gdzie znajduje się trupek Cybrycji Kraśnopiętej, którą gwoździem przebił po pijanemu niejaki Malkonder, i czym się różni Maciąg od Naciągu, a także kto ma najmniejszą w Kosmosie pielownicę wzdłużną i dlaczego pchły smoczkotyłkie mchu jeść nie chcą, i na czym polega gra, zwana Balansyer Zadni Ściągany, i ile było ziarenek lwichwostu w tej kupce, co ją Abrukwian Polistny nogą trącił, kiedy się pośliznął na ósmym kilometrze szosy albacjerskiej w Dolinie Wzduchów Szedziwych - i pomału diabli go zaczynali brać, bo już mu świtało, że wszystkie owe całkiem prawdziwe i ze wszech miar sensowne informacje

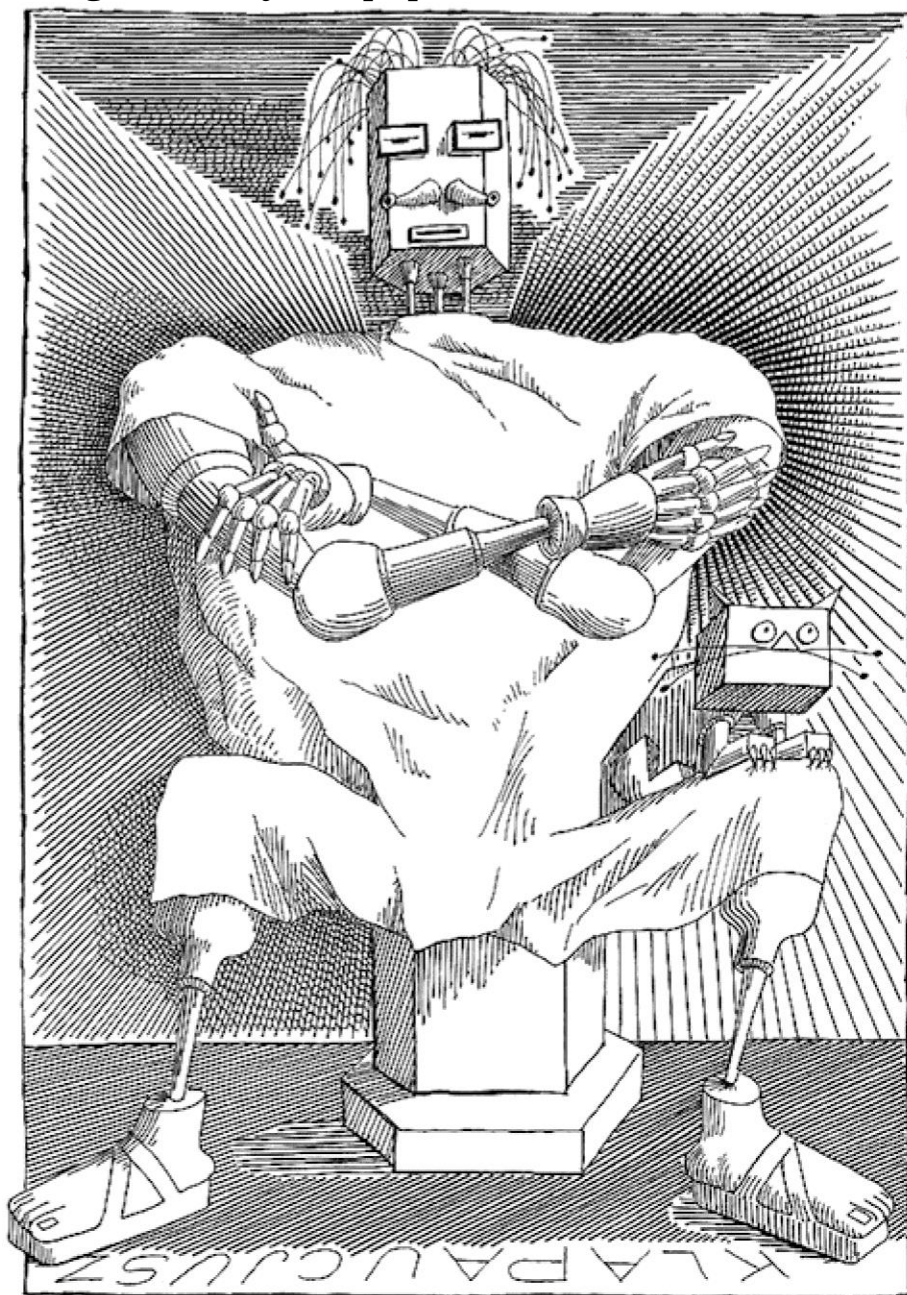
zupełnie nie są mu potrzebne, gdyż robił się z tego groch z kapustą, od którego głowa pękała, a nogi drżały. A Demon Drugiego Rodzaju działał z szybkością trzystu milionów informacji na sekundę i milami skręcała się już papierowa taśma, i z wolna pokrywała zwojami zbója dyplomowanego, omotując go jakby białą pajęczyną, a brylancik pisaka drgał jak szalony, i wydawało się zbójowi, że zaraz już dowie się rzeczy niesłychanych, takich, które mu oczy na Istotę Bytu otworzą, więc wczytywał się we wszystko, co leciało spod brylancika, a były to pieśni opilcze Kwajdonosów i rozmiary pantofli nocnych na kontynencie Gondwana, z pomponami, i grubość włosów, które rosną na czole miedzianym paciornika węburchego, i szerokość ciemiaczka mowłat pasiebnych, i litanie zaklinaczy harmęckich dla obudzenia wielebnego Ćpiela Grosipiulka, i owerdiery diukońskie, i sześć sposobów warzenia zupki grysikowej, i trutka dobra na stryjny, i sposoby łechtania ckliwego, i nazwiska obywateli Bałowierni

Cimskiej na literę M się zaczynające, i opisy smaku piwa, grzybkiem nadpsutego...

Aż mu w oczach zamrowiło i wrzasnął wielkim głosem, bo miał dość, lecz już go Informacja trzystu tysiącami mil papierowych spowiła i spętała, że nie mógł się ruszyć i musiał czytać dalej, o tym, jaki początek drugiej *Księgi dżungli* napisałby Rudyard Kipling, gdyby go wtedy brzuch bolał, i o czym myśli zmartwiony niezamęściem wieloryb, i jakie są zaloty miłosne muchatek trupnych, i jak można załatać stary worek, i co to jest strzybło, i czemu się mówi szewc i krawiec, a nie krawiec i szewiec, a także ile można naraz mieć siniaków. Potem zaś przyszła długa seria rozróżnień między trelami i morelami: że pierwsze są łyse, a drugie mają włoski, a dalej - jakie są rymy do słowa „kapustka” i jakimi słowy obraził papież Ulm z Pendery antypapieża Mulma, i kto ma grajnicę grzebienną. Wtedy bardzo już rozpaczliwie usiłował się wydobyć z matni papierowej, lecz rychło osłabł; odpychał taśmy, darł je i odrzucał, lecz miał zbyt wiele oczu, aby się chociaż przed niektóre jakieś nowe nie dostały informacje, więc z musu się dowiedział, jakie są kompetencje stróża domowego w Indochinach i dlaczego Nadojderowie z Flutorsji wciąż mówią, że ich zawiało. Lecz wtedy zamknął oczy i znieruchomiał, przywalony lawiną informacyjną, a Demon dalej owijał go i spowijał papierowymi bandażami, karząc straszliwie zbója Gębona dyplomowanego za jego łapczywość bezmierną wiedzy wszelakiej.

Po dzisiaj siedzi tak ów zbójca na samym dnie swoich śmieciar i śmietnic, górami papieru nakryty, a w półmroku piwnicznym najczystsza

iskierką drży i trzęsie się pisaczek brylantowy, notując wszystko, co Demon Drugiego Rodzaju wyluskuje z płasów atomowych powietrza, które płynie przez dziurkę starej beczki; i dowiaduje się, gwałcony informacji potopem, Gębon nieszczęsny różności nieskończonych o pomponach, karakonach i o własnej przygodzie tu przedstawionej, bo i ona znajduje się na którymś kilometrze wstęg papierowych - jak również innych historii oraz przepowiedni losów wszelkiego stworzenia aż po zagaśnięcie słońc; i nie ma dlań ratunku, gdyż tak go srodze konstruktorzy ukarali za napaść zbójczą - chyba że się wreszcie kiedyś wstęga skończy, bo papieru zabraknie.



WYPRAWA SIÓDMA, CZYLI O TYM, JAK WŁASNA DOSKONAŁOŚĆ TRURLA DO ZŁEGO PRZYWIODŁA

Wszechświat jest nieskończony, lecz ograniczony, a przeto promień światła, w którąkolwiek ruszy stronę, po miliardach wieków wróci do punktu wyjścia, jeśli ma dość siły, i nie inaczej bywa też z wieściami krążącymi pośród gwiazd i planet. Doszły raz Trurla słuchy z daleka o dwóch potężnych konstruktorach-benefaktorach, takiego rozumu i takiej doskonałości, że nikt im nie dorówna; udał się zaraz do Klapaucjusza, ten zaś wyjaśnił mu, że to nie o tajemniczych rywalach wieść mówi, lecz o nich samych, Kosmos obiegłszy. Sława to jednak ma do siebie, że milczy zazwyczaj o klęskach, nawet jeśli je najwyższa wywołała perfekcja. Kto by o tym wątpił, niechaj przypomni sobie ostatnią z siedmiu wyprawę Trurla; podjął on ją był samotnie, ponieważ Klapaucjusza zatrzymały wówczas pilne obowiązki, tak że nie mógł mu towarzyszyć.

Był podówczas Trurl niezmiernie zadufał i oznaki czci, jaką mu okazywano, przyjmował jako rzecz zwykłą zupełnie. Poleciał na swym statku w stronę północy, gdyż najmniej mu była znana. Długo leciał wśród pustki, omijając globy pełne wrzawy bitewnej i takie, które już zjednoczyła cisza doskonałej martwoty, aż przypadkiem nawinęła mu się planeta niewielka, właściwie kruszyna zagubionej materii, iście mikroskopijna.

Na powierzchni owego złomu skalnego biegał ktoś tu i tam, podskakując i wyczyniając dziwaczne gesty. Zdziwiony taką samotnością i zaniepokojony tymi oznakami ni to rozpaczy, ni to gniewu, Trurl czym prędzej wylądował.

Naprzeciw szedł mu mąż ogromnej postury, irydiowo-wanadowy cały, chrzęszczący i dzwoniący, który wyjawiał, że zwie się Eksyliuszem Tartarejskim i jest władcą Pankrycji i Cenendery, którego to królestw obojga mieszkańcy w przystępie szału królobójczego stracili go ze stolca monarszego i osadzili, wygnawszy, na pustynnej kruszynie, aby się po wieczność wałęsał wraz z nią wśród ciemnych drygów grawitacji.

Dowiedziawszy się z kolei, z kim rzecz, zaczął się ów monarcha domagać, aby Trurl, dobroczyńca wszak niejako zawodowy, niezwłocznie przywrócił go do poprzednich godności, i sama myśl o takim obrocie sprawy rozjaśniła mu oczy ogniem pomsty przeczuwanej, a jego stalowe palce jęły kurczyć się, jakby już za gardła chwytały wiernych poddanych.

Trurl nie mógł ani nie chciał spełnić wszakże życzeń Eksyliusza,

gdyż pociągnęłoby to za sobą mnóstwo zła i zbrodni, zarazem jednak pragnął ukoić jakoś i pocieszyć znieważony majestat, pomedytowawszy więc dobrą chwilę, doszedł do przeświadczenia, że i w tym wypadku nie wszystko stracone, można bowiem tak uczynić, aby i król pozostał syty, i jego dawni poddani - cali. Dlatego, przysiadłszy fałdów i wezwawszy całe swoje mistrzostwo do pomocy, Trurl skonstruował mu państwo zupełnie nowe. Pełne było grodów, rzek, gór, lasów i ruczajów, z niebem i chmurami, z drużyną wojów, pełnych chuci bitewnej, z warowniami, fortecami i fraucymerami; i były tam jaskrawo oświetlone słońcem jarmarki, dnie w pocie przepracowane, noce przetańczone i prześpiewane do białego rana i szczęk pałaszów. Wmontował też subtelnie w owo państwo wspaniałą stolicę, całą z marmurów i kryształu górskiego, jak również radę mędrców prastarych, pałace zimowe i letnie, rezydencje, spiski królobójcze, potwarców, mamki, donosicieli, wspaniałych rumaków stada i pióropusze chwiejące się pasowo na wietrze; potem przeszył tamtejszą atmosferę srebrnymi nićmi fanfar i pękatymi kulami salutów armatnich, dorzucił też niezbędną przygarść zdrajców, drugą bohaterów, szczyptę wieszczbiarzy i proroków, po jednym zbawicielu i poecie okrutnej mocy ducha, za czym dokonał, przysiadłszy nad gotowym, próbnego rozruchu i w jego trakcie mikroskopijnymi narzędkami majstrując, przydał jeszcze niewiastom owego państwa urody, mężom - ponurego milczenia i zwady pijackiej, urzędnikom - pychy i służalczości, astronomom - gwiezdneho opilstwa, dzieciom zaś wrzaskliwości. A wszystko to razem mieściło się, zespolone, sprzęgnięte i doszlifowane, w pudle, nie nazbyt dużym, takim akurat, że bez wysiłku mógł je Trurl unieść; za czym dał je Eksyliuszowi w darze, ofiarowując na wieczne władanie; wprzód jeszcze pokazał, gdzie mieszczą się owego jak z igły królestwa wejścia i wyjścia, jak się tam programuje wojny, jak rokosze uśmierza, jak nakłada daniny i pobory, wyuczył go też, gdzie znajdują się społeczności zminiaturyzowanej punkty krytyczne przejść wybuchowych, to jest - gdzie maksima przewrotów pałacowych i społecznych, gdzie zaś ich minima, a wyjaśnił to tak dobrze, że z dawien dawna do rządów tyrańskich zaprawiony król chwycił w lot pouczenia i zaraz, na oczach konstruktora, wydał próbnie kilka edyktów, odpowiednio poruszając rzeźbionymi w orły i lwy cesarskie gałkami pokręteł regulacyjnych. Były to edykty wprowadzające stan wyjątkowy, godzinę policyjną i haracz specjalny; po czym, kiedy w królestwie owym upłynął rok, lecz wedle czasu króla i Trurla ledwo jedna minuta, aktem najwyższej łaski, czyli drgnieniem palca na regulatorze, król odwołał

jeden edykt gardłowy, haracz uczynił łżejszym, a wyjątkowy stan raczył anulować - i radosna wrzawa wdzięczności, niby pisk myszątek pociąganych za ogonki, dobyła się z pudła, a przez wypukłe szkło jego wierzchu można było widzieć, jak na pylnych drogach jasnych, nad brzegami rzek leniwie płynących, w których zwierciedliły się chmury puchate, lud radował się i chwalił niezrównaną z niczym szlachetną łaskawość władcy.

Więc, chociaż zrazu poczuł się urażony darem Trurlowym monarcha, że zbyt małe było to państwo i zanadto podobne do dziecinnej zabawki, widząc jednak, jak wielkie staje się w nim wszystko, oglądane przez grube szkło wierzchnie, a może nawet przeczuwając niejasno, iż skala wielkości nie ma tu nic do rzeczy, ponieważ nie mierzy się spraw państwowych metrem ani kilogramem, uczucia zaś, doznawane przez olbrzymów czy karzełki, są jakoś sobie równe, podziękował konstruktorowi - prawda, że trochę półgębkiem i sztywno. Kto wie, może rad byłby nawet rozkazać, żeby go strażę pałacowe zaraz na wszelki wypadek zakuły i torturami pozbawiły życia, albowiem na pewno byłoby poręcznie zgładzić w samym zarodku wszelką wieść o tym, jakoby jakiś hołodryga, przybłęda parający się majsterką miał ofiarować potężnemu majestatowi królestwo.

Był wszakże Eksyliusz na tyle trzeźwy, by widzieć, że nic z tego, dla zasadniczej dysproporcji: bo prędzej pchły wzięłyby żywiciela swego w niewolę, niżby się to z Trurlem udało wojsku królewskiemu. Więc raz jeszcze nieznacznie głową skinąwszy, wetknął berło i jabłko za pazuchę, nie bez pewnego trudu dźwignął pudło z państwem i zaniósł je do wygnańczej izdebki. A kiedy na przemian oświetlało ją słońce i omraczała noc, w rytmie obrotów planetoidy, król, uznany już przez poddanych za największego w świecie, pilnie sprawował władzę, nakazując, zakazując, ścinając, nagradzając, i tymi sposobami bez przerwy zachęcając owych maluczkich do wiernopoddaństwa doskonałego i uwielbienia tronu.

Trurl zaś, powróciwszy do domu, opowiedział zaraz, nie bez zadowolenia, przyjacielowi Klapaucjuszowi, jakim popisem mistrzostwa konstruktorskiego pogodził dążenia monarchistyczne Eksyliusza z republikańskimi byłych jego poddanych. Klapaucjusz jednak, o dziwo, bynajmniej nie wyraził mu uznania. Przeciwnie, coś w rodzaju przygany mógł Trurl wyczytać w jego oczach.

- Czy dobrze cię pojąłem? - powiedział. - Ofiarowałeś temu okrutnikowi, temu urodzonemu dozorczy niewolników, temu torturofilowi, czyli mękolubowi, całą społeczność w wieczne władanie? I jeszcze mi

opowiadasz o wrzawie, jaką wywołało anulowanie części okrutnych edyktów! Jak mogłeś tak postąpić?!

- Żartujesz chyba! - zawołał Trurl. - W końcu całe to państwo mieści się w pudle, a format jego wynosi metr na sześćdziesiąt pięć centymetrów na siedemdziesiąt - i nie jest to nic innego, jak tylko model...

- Model czego?

- Jak to: czego? Społeczności, sto milionów razy pomniejszony.

- A skąd wiesz, czy nie istnieją społeczności sto milionów razy większe od naszej? Czy wówczas te nasze nie byłyby modelami owych olbrzymich? A w ogóle jakie znaczenie mają rozmiary? Czy w tym pudle, to jest państwie, podróż ze stolicy do antypodów nie trwa miesiące - dla tamtejszych mieszkańców? Czy oni nie cierpią, nie pracują w trudzie, nie umierają?

- No, no, mój drogi, przecież sam wiesz, że wszystkie owe procesy idą tak, ponieważ je zaprogramowałem, a więc toczą się nie naprawdę...

- To jest - jak to: nie naprawdę? Czy chcesz powiedzieć, że pudło jest puste, a pochody, tortury i ścinanie są jeno złudzeniem?

- Złudzeniem nie są o tyle, że zachodzą istotnie, wszelako jedynie jako pewne zjawiska mikroskopijne, do których zmusiłem roje atomowe - rzekł Trurl. - W każdym razie owe narodziny, miłowania, bohaterstwa, donosy są jeno harcowaniem w próżni drobniuchnych elektronów, uporządkowanym dzięki precyzji mego nieliniowego kunsztu, który...

- Nie chcę słyszeć ani słowa samochwalstwa więcej! - przeciął mu Klapaucjusz. - Powiadasz, że to są procesy samoorganizacji?

- Ależ tak!

- I że zachodzą wśród drobniutkich chmurzek elektrycznych?

- Doskonale wiesz o tym.

- I że fenomenologię świtów, zachodów i walk krwawych wywołują sprzężenia zmiennych istotnych?

- Przecież tak jest.

- A czy my sami, gdyby nas badać fizykalnie, kauzalnie i namacalnie, również nie jesteśmy chmurkami elektronowego harcowania? Ładunkami dodatnimi i ujemnymi wmontowanymi w próżnię? I czy byt nasz nie jest rezultatem tych utarczek cząsteczkowych, choć sami odczuwamy łamańce molekuł jako trwogę, pożądanie lub namysł? I cóż więcej dzieje się w twojej głowie, gdy marzysz, oprócz dwójkowej algebry przełączeń i niestrudzonej wędrówki elektronów?

- Mój Klapaucjuszu! Utożsamiałżebyś nasz byt z bytem tego, w pudle szklanym zamkniętego, niby-państwa?! - zawołał Trurl. - Nie, tego

już za wiele! Przecież intencją moją było sporządzić jeno symulator państwowości, model cybernetycznie doskonały, nic więcej!

- Trurlu! Doskonałość nasza jest naszym przekleństwem, które nieobliczalnością skutków obarcza każdy nasz twór! - wielkim głosem powiedział Klapaucjusz. - Gdyż naśladowca niedoskonały, pragnąc zadawać tortury, wybudowałby sobie niekształtnego bałwana z drewna lub wosku, a przydawszy mu niejaki zewnętrzne podobieństwo do istoty rozumnej, znęcałby się nad nim namiastkowo i sztucznie! Lecz pomyśl ciąg doskonalenia takich praktyk, mój drogi! Pomyśl następnego rzeźbiarza, który buduje lale z gramofonem w brzuchu, by mu jęczała pod razami; pomyśl taką, która, uderzona, pocznie błagać o litość, taką, która z bałwana staje się homeostatem, pomyśl lale roniącą łzy, krwawiącą, lale, która obawia się śmierci, choć zarazem pociąga ją jej spokój, ze wszystkich najpewniejszy! Czy nie widzisz, że doskonałość naśladowcy sprawia, iż pozór staje się prawdą, a udanie rzeczywistością? Oddałeś okrutnemu tyranowi we władanie wieczne niezliczone rzesze istnień zdolnych do cierpienia, popełniłeś więc rzecz haniebną...

- To wszystko sofizmata! - wykrzyknął Trurl, tym bardziej gwałtownie, że słowami przyjaciela poruszony. - Elektryki skaczą nie tylko wewnątrz głów naszych, ale i wewnątrz płyt gramofonowych, i z tej ich powszechności nic takiego nie wynika, co by uprawniało do analogii tak hipostatycznych! Poddani potwora Eksyliusza istotnie tracą głowy, życie, szlochają, biją się, miłują, dlatego, ponieważ zestroiłem parametry w sposób pożądaný, ale o tym, czy cokolwiek czują przy tym, nic nie wiadomo, Klapaucjuszu, bo o tym nic ci skaczące w ich głowach elektryki nie powiedzą!

- Jeślibym tobie rozbił głowę, też nic bym prócz elektryków nie ujrzał, to pewne - rzekł tamten. - Udajesz chyba, że nie widzisz tego, co ci ukazuję, bo wiem dobrze, że nie jesteś taki głupi! Płyty gramofonowej o nic nie spytasz, płyta nie będzie cię o zmiłowanie błagała ani na kolana nie padnie! Nie wiadomo, powiadasz, czy oni jęczą pod razami tylko dlatego, że tak im ze środka elektryki podmrugują, jakoby kółka poruszaniem głos wydające, czy też naprawdę ryczą z rzetelnie doznawanej boleści? A to mi dopiero rozróżnienie! Przecież cierpiący nie jest ten, kto ci to swoje cierpienie da do potrzymania, abyś je mógł zmacać, nadgryźć i zważyć, lecz ten, kto zachowuje się jak cierpiący! Udowodnij mi tu zaraz, że oni nie czują nic, że nie myślą, że nie ma ich w ogóle jako istot, świadomych zamknięcia między dwiema otchłaniami niebytu, tą sprzed narodzin i tą spoza zgonu, udowodnij mi to, a

przestaną cię molestować! Udowodnij natychmiast, żeś tylko naśladował cierpienie, lecz go nie stworzyłeś!

- Wiesz dobrze, że to nie jest możliwe - odparł Trurl cicho. - Gdyż biorąc instrumenty do ręki, gdy pudło było jeszcze puste, już wtedy musiałem przewidzieć ewentualność takiego dowodu po to właśnie, by jej zapobiec przy projektowaniu państwa Eksyliuszowego, a to dlatego, by nie powstało w monarsze wrażenie, iż ma do czynienia z marionetkami, kukielkami zamiast poddanych najzupełniej realnych. Nie mogłem uczynić inaczej, zrozum! Gdyż wszystko, cokolwiek podważałoby złudzenie absolutnej realności, unicestwiłoby zarazem powagę władania, sprowadzając je do mechanicznej zabawy...

- Rozumiem, ależ rozumiem doskonale! - zawołał Klapaucjusz. - Intencje twoje były zacne - chciałeś tylko sporządzić państwo jak najbardziej podobne do prawdziwego, podobne wręcz nie do odróżnienia, i pojmuję ze zgrozą, że to ci się udało! Od powrotu twego minęły jeno godziny, lecz dla nich tam, w owym pudle zamkniętych, wieki całe - ileż zmarnowanych istnień po to, aby się pycha Eksyliuszowa mogła bardziej ropuszyć i nadymać!

Nic już nie mówiąc na to, Trurl ruszył do swego statku i zobaczył, że przyjaciel podąża w ślad za nim. Zakręciwszy próżniopławem jak frygą, skierował Trurl dziób jego między dwa wielkie skupiska ogni bezwiecznych i parł na stery, aż Klapaucjusz rzekł:

- Jesteś niepoprawny. Pierwej działasz zawsze, potem myślisz. I cóż chcesz zrobić, gdy tam przybędziemy?

- Odbiorę mu państwo!

- I co z nim zrobisz?

- Zniszczę je! - chciał krzyknąć Trurl, lecz utknął na pierwszej głosce, która nie przeszła mu przez gardło. Nie wiedział, co rzec, aż mruknął:

- Zarządę wybory. Niech sobie sami wyszukują władców sprawiedliwych.

- Zaprogramowałeś ich jako feudałów i lenników, cóż więc po wyborach, jak ich los odmienia? Musiałbyś pierwej całą strukturę tego państwa rozłamać i od nowa łączyć...

- Ale gdzie się kończy zmiana struktury, a gdzie zaczyna przerabianie umysłów?! - zawołał Trurl. Klapaucjusz nic mu nie odpowiedział i lecieli tak w ponurym milczeniu, aż dostrzegli planetę Eksyliuszową, a gdy ją okrążali przed lądowaniem, oczy ich poraził widok niezwykły.

Całą planetę pokrywały niezliczone oznaki rozumnego działania. Mikroskopijne mosty jak kreseczki widniały nad wodami strumyczków, bajora zaś, odbijające gwiazdy, pełne były, niby strużek pływających, okrętów... Odsłoneczną, nocną półkulę pokrywała ospa świetlnych miast, a na jasnej widać było grody, choć mieszkańców samych, dla ich znikomości, dostrzec nie mogli przez najsilniejsze szkła. Króla tylko nie było ani śladu, jakby się pod nim grunt rozstąpił.

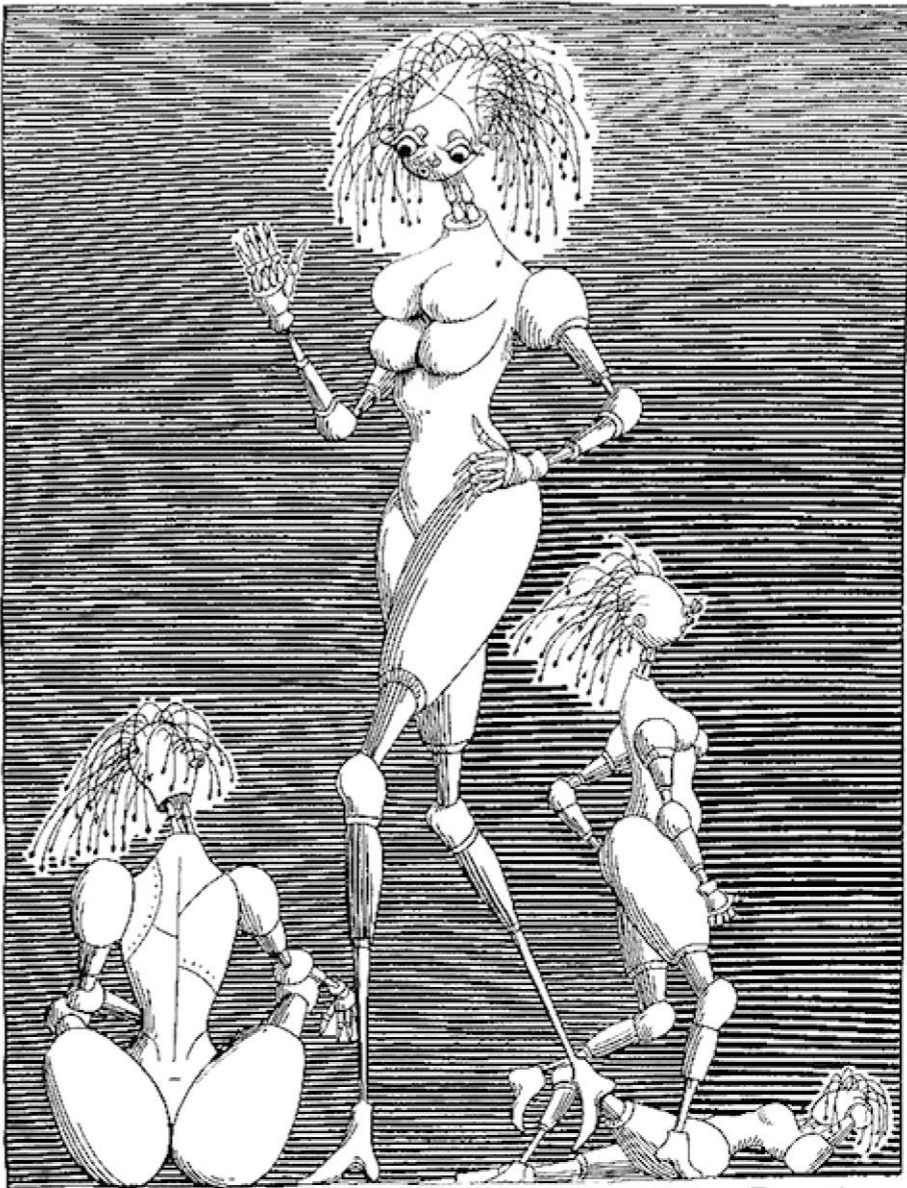
- Nie ma go... - szepnął zdumiony Trurl do towarzysza. - Co z nim uczynili? Udało im się rozsadzić ściany pudła i zajęli całą tę okruszynkę...

- Patrz! - rzekł Klapaucjusz, wskazując na chmurkę w kształcie małego grzybka do cerowania pończoch, która z wolna rozpływała się w atmosferze. - Już znają energię atomów... A tam dalej - widzisz ten kształt szklany? To resztki pudła, które w jakąś świątynię przekształcili...

- Nie rozumiem. To był jednak tylko model. Tylko proces o wielkiej ilości parametrów, trenażer monarchistyczny, imitacja sprzężona ze zmiennych w multistacie... - mamrotał zdumiony, ogłupiały Trurl.

- Tak. Ale popełniłeś niewybaczalny błąd zbytnej perfekcji naśladowczej. Nie chcąc zbudować tylko zegarowego mechanizmu, sporządziłeś, mimo woli, przez pedanterię, to, co możliwe i konieczne - co jest przeciwieństwem mechanizmu...

- Nie kończ! - krzyknął Trurl. Patrzyli więc tylko, gdy wtem coś trąciło ich statek, ale tylko muśnięciem - widzieli ów przedmiot, gdyż oświetlała go wydobywająca się z tyłu smużka nikłego płomyka. Był to stateczek, a może tylko sztuczny satelita, podobny zadziwiająco do jednego z owych chodaków stalowych, jakie nosił był tyran Eksyliusz. A kiedy podnieśli oczy w górę, zobaczyli wysoko nad planetką świecące ciało, którego nie posiadała dawniej; i poznali w jego okrągłej, doskonale zimnej powierzchni stalowe rysy Eksyliusza, który takim sposobem został Księżycem Mikrominiantów.



BAJKA O TRZECH MASZYNACH OPOWIADAJĄCYCH KRÓLA GENIALONA

Pewnego razu zjawił się u Trurla obcy, po którym, ledwo wysiadł z lektyki fotonowej, od razu widać było, że jest osobą niezwykle i z dalekich stron, tam bowiem, gdzie wszyscy mają ręce, on miał jeno wonny zefirek, gdzie innym wystają nogi, jemu tylko grało cudnie światłem tęczującym, a nawet zamiast głowy miał kosztowny kapelusz; przemawiał zaś ze środka, gdyż cały przedstawiał idealnie wytoczoną kulę o ujmującej powierzchowności, przepasaną bogatym sznurem plazmatycznym. Przywitawszy się z Trurlem, wyjawiał, iż jest go dwóch, a mianowicie półkula górna i dolna; pierwsza zwie się Synchronizym, druga zaś Synchronofazym. Zachwycił się tak świetnym rozwiązaniem konstrukcyjnym istoty rozumnej Trurl i wyznał, że jeszcze mu nie zdarzyło się oglądać osoby równie starannie wykończonej, o podobnie precyzyjnych manierach i tak brylantowym blasku. Przybysz pochwalił z kolei budowę Trurla i po tej wymianie grzeczności zdradził, co go sprowadza; jako przyjaciel i wierny sługa znakomitego króla Genialona przybył do Trurla, aby zamówić u niego trzy maszyny do opowiadania.

- Król i pan mój - powiedział - od dawna już nie króluje i nie panuje, albowiem do tak podwójnej rezygnacji przywiodła go mądrość, wynikła z dogłębnego rozeznania spraw światowych. Opuściwszy tedy swoje królestwo, zamieszkał w jaskini, przewiewnej i suchej, by oddawać się rozmyślaniam. Wszelako bywa, iż nachodzi go smutek lub odraza do samego siebie i wówczas nic nie może go ukoić oprócz niezwyklej całkiem opowieści. Jednakże ci, co pozostali mu wierni i nie odstąpili go, gdy zeszedł z tronu, już dawno opowiedzieli mu wszystko, co sami znali. Tak więc, nie widząc innej rady, pragnęlibyśmy, abyś nam, konstruktorze, dopomógł w rozpraszaniu trosk królewskich tymi maszynami, jakie zmyślnie zbudujesz.

- To mogę zrobić - rzekł Trurl. - Ale czemu chcecie aż trzech maszyn?

- Życzylibyśmy sobie - rzekł, z lekka tocząc się to w jedną, to w drugą stronę Synchronofazy - aby pierwsza opowiadała historie zawile, lecz pogodne, druga chytre i dowcipne, trzecia zaś otchłanne i poruszające.

- Aby pierwsza służyła bystrości, druga rozrywce, a trzecia nauce? - podjął Trurl. - Rozumiem. Czy teraz, czy też potem będziemy mówili o zapłacie?

- Gdy zbudujesz maszyny, potrzebujesz ten oto pierścień - przybysz na to - a wówczas pojawi się przed tobą ta lektyka; wsiądziesz w nią razem z maszynami i natychmiast zaniesie cię do jaskini króla Genialona, a tam już wszystkie swoje życzenia przedstawiś, które on w miarę możliwości na pewno spełni.

To mówiąc, skłonił się, podał Trurlowi pierścień, błysnął oślepiająco i zatoczył się do lektyki; za czym owionęła ją chmura jasności, błysnęło bez głosu i Trurl został sam przed domem z pierścieniem w ręku, nie bardzo z tego, co się stało, zadowolony.

- „W miarę możliwości” - mruzczał, wchodząc do pracowni. - Och, jak ja tego nie lubię! Wiadomo dobrze, jak to jest: ledwo przychodzi do wyrównania rachunków, grzeczności i inne certolonia się a rewerencje ustają, i nie ma się nic, oprócz kłopotów, które nieraz na guzach się kończą...

Wtem pierścień lśniący w jego ręku drgnął i zauważył:

- „W miarę możliwości” stąd się bierze, iż król Genialon, wyzbywszy się królestwa, niewiele posiada; wszelako zwrócił się do ciebie, konstruktorze, jako mędrzec do mędrca; i o tyle się nie omylił, że, jak widzę, słowa wypowiedane przez pierścień wcale cię nie dziwią; nie dziw się zatem i ubóstwu królewskiemu, gdyż otrzymasz sowitą zapłatę, jakkolwiek, być może, nie w złocie. Ale nie wszystkie głody można złotem zaspokoić.

- Co mi tu będziesz opowiadał, mój pierścieniu - Trurl na to. - Mędrzec, mędrca, mędrce, a elektryczność, jony, atomy, inne precjoza, używane do budowania maszyn, kosztują jak wszyscy diabli. Lubię układy jasne, podpisane, z paragrafami i pieczętkami; nie jestem pazerny na byle grosz, ale lubię złoto, zwłaszcza w znacznych ilościach, i śmiem się do tego przyznać! Jego blask, jego żółty połysk, jego luby ciężar sprawiają, iż kiedy sobie wysypię jeden- drugi worek dukatów na podłogę i w milutkim ich pobrzęku na nich się potarzam, zaraz mi jaśniej się robi w duszy, jakby ktoś w nią słonko wniósł i zapalił. Tak, lubię złoto, do kroćset! - zawołał, gdyż własne słowa nieco go podekscytowały.

- Ale po cóż ci złoto niesione przez innych? Czy nie możesz sam sobie sporządzić dowolnej jego ilości? - spytał pierścień, łyskając ze zdziwienia.

- Nie wiem, jaki tam mądry jest król Genialon - odrzecz Trurl na to - ale ty jesteś, jak widzę, zupełnie niewykształconym pierścieniem! Co, ja miałbym sobie robić sam złoto? Słyszał to ktoś! Czy szewc żyje z tego, że sobie buty kroi, czy kucharz sobie gotuje, żołnierz sobie wojuje? A poza

tym koszty własne, czyś nigdy o nich nie słyszał? Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, oprócz złota lubię narzekanie: Tak więc, nie mów już nic do mnie, bo muszę brać się do roboty.

Odłożył pierścień do starej blaszanki, a sam wziął się przy warsztacie do dzieła. Zbudował trzy maszyny w trzy dni, z domu nie wychodząc, po czym zastanowił się, jakie by przydać im kształty zewnętrzne, albowiem odznaczał się zamiłowaniem do prostoty i funkcjonalności. Przypasowywał im rozmaite rodzaje pokryw po kolei, a że pierścień wciąż wtrącał z blaszanki swoje trzy grosze, Trurl nakrył ją, by mu nie przeszkadzała niewczesnymi uwagami.

Na koniec pomalował maszyny - pierwszą na biało, drugą kolorem lazurowym, a trzecią czarnym, po czym potarł pierścień, załadował do lektyki, która się zaraz pojawiła, wszystkie maszyny, usiadł w niej sam i czekał, co będzie dalej. Jakoż świsnęło, syknęło i podniósł się pył, a kiedy opadł, Trurl, wyrzawszy przez okno lektyki, zobaczył się w przestronnej, białym piaseczkiem wysypanej jaskini; ujrzał najpierw kilka ław drewnianych, które uginały się pod foliałami i księgami, potem zaś szereg kul bardzo wspaniale świecących. W jednej poznał cudzoziemca, który zamawiał u niego maszyny; w środkowej zaś, większej i z lekka już od starości porysowanej, domyślił się króla, oddał mu więc pokłon i wysiadł. Król powitał go życzliwie i rzekł:

- Dwa są rodzaje mądrości: jedna umożliwia działanie, druga zaś od takowego powstrzymuje. Czy nie sądzisz, znakomity Trurlu, że ta druga jest większa? Albowiem tylko niezmiernie dalekosiężna myśl może przewidzieć skutki podjętych czynów nadzwyczaj odległe, takie, które problematycznym czynią ów czyn, jaki je spowodował. A przeto doskonałość jawić się może w zaniechaniu działań - i tym się mądrość różni od rozumu, że do takich rozróżnień jest zdolna...

- Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości - odrzekł Trurl - słowa Jej można wykładać dwojako. Albo chodzi o delikatne napomknienie, mające pomniejszyć ów trud mój, ów czyn, jaki powołał do istnienia trzy zamówione maszyny, które leżą tam, w lektyce. Taka interpretacja byłaby mi niemiła, ponieważ świadczyłaby o kryjącej się za tym, co usłyszałem, niechęci płatniczej. Albo też chodzi tylko o doktrynę niedziałania, która to ma do siebie, iż jest wewnętrznie sprzeczna. Aby móc nie działać, trzeba pierwiej móc działać, bo ten, kto się powstrzymuje od wywrócenia góry dla braku środków po temu, a głosi, iż zaniechał czynności, bo to mu mądrość dyktuje, ośmiesza się tylko tanim pozorem filozofowania. Niedziałanie jest pewne i tylko tyle można o nim dobrego

powiedzieć. Działanie jest niepewne i w tym jego piękno; wszelako, co się tyczy dalszych konsekwencji problemu, to, jeśli taka będzie wola Waszej Królewskiej Mości, mogę zbudować odpowiednią maszynę do dyskusowania.

- Sprawy płatnicze pozostawiamy na sam koniec tej miłej okoliczności, jaka cię do nas przywiodła - rzekł król, nieznacznie zataczając się od skrywanej wesołości, w jaką wprawiła go przemowa Trurla. - Teraz atoli racz, konstruktorze, być moim gościem. Zechciej przeto usiąść za tym skromnym stołem, na ławie, pośród wiernych moich przyjaciół, i opowiedz mi, jeśli łaska, o swoich czynach albo i o takowych zaniechaniu.

- Za pozwoleniem, królu i panie - odrzekł Trurl. - Obawiam się, że nie jestem dostatecznie wymowny; wszelako zastąpią mnie doskonale te trzy maszyny, które przywiozłem ze sobą, co o tyle byłoby wskazane, iż się je przy okazji wypróbuje.

- Niech i tak będzie - zgodził się król.

Za czym wszyscy siedli w pozach wyrażających ciekawość i nadzieję niezwykłości, Trurl zaś wydobył z lektyki kadłub, biało polakierowany, nacisnął guziczek i spoczął po prawicy Genialona. Wówczas pierwsza maszyna powiedziała:

- Jeśli nie znacie historii o Wielowcach, ich królu Mandrylionie, jego Doradcy Doskonałym oraz Trurlu-konstruktorze, który Doradcę najpierw stworzył, a potem zniweczył, posłuchajcie!

Państwo Wielowców słynie ze swych obywateli, którzy się tym odznaczają, że jest ich wielu. Pewnego razu konstruktor Trurl, przebywając w okolicach szafranowych gwiazdozbioru Deliry zboczywszy nieco z drogi, ujrzał planetę, która zdawała się cała poruszać; zniżywszy się pojął, iż to od tłumów, jakie ją pokrywały, i wylądował, nie bez trudu odnalazłszy kilka metrów kwadratowych względnie wolnego gruntu. Natychmiast tubylcy przybiegli i otoczyli go, podkreślając, jak wielu ich jest; ponieważ jednak wołali to wszyscy razem a nieskładnie, przez dłuższy czas nie mógł zrozumieć,

o co im chodzi. A gdy pojął, zapytał:

- Naprawdę tak was wielu?

- Naprawdę!! - wrzasnęli z niesłychaną dumą. - Jesteśmy nieprzeliczalni.

Inni zaś:

- Jest nas jak maku!

- Jak gwiazd na niebie!

- Jak piasku! Jak atomów!!

- Powiedzmy - odparł Trurl. - I cóż z tego, że was tak wielu? Czy liczycie się bezustannie i sprawia to wam przyjemność?

- Niewykształcony cudzoziemcze - oni na to - wiedz, że gdy tupiemy nogą, trzęsą się góry, gdy chuchniemy, robi się z tego wichur, co drzewa obala, a kiedy usiadziemy pospołu, nikt nie może ruszyć ręką ani nogą!!

- A po co góry mają się trząść, straszny wiatr przewracać drzewa, a nikt nie ma ruszać ręką ani nogą? - spytał Trurl. - Czy nie jest lepiej, kiedy góry stoją spokojnie, wiatr nie wieje i każdy rusza się, jak chce?

Wówczas oni bardzo oburzyli się tym lekceważeniem, jakie okazał ich potężnej liczbie i liczebnej potędze; więc tupnęli, chuchnęli i siedli, aby udowodnić mu, jak jest ich wielu i co z tego wynika. Za czym trzęsienie ziemi przewróciło połowę drzew, rozgniatając stojących pod nimi, wiatr od chuchnięcia obalił ich resztę, miażdżąc nowych siedemset tysięcy ludzi, a pozostali przy życiu nie mogli ruszyć ręką ani nogą.

- Wielkie nieba! - zawołał Trurl, który tkwił wśród siedzących jak cegła w ścianie. - Co za nieszczęście!

Jak się zaraz okazało, słowami tymi jeszcze bardziej ich obraził.

- Dziki cudzoziemcze! - wołali. - Czymże może być utrata paruset tysięcy dla Wielowców, których nikt nie może przeliczyć! Tego, co niedostrzegalne, w ogóle nie da się nazwać utratą; pokazaliśmy ci tylko, jacy jesteście potężni krokiem, tchnieniem i siadaniem, a cóż dopiero, gdybyśmy wzięli się do większych czynów!

- Istotnie - rzekł Trurl - nie myślcie, aby sposób waszego myślenia był dla mnie niepojęty. Wiadomo, że to, co wielkie i liczne, budzi wcale powszechny szacunek. Tak na przykład zjełczały gaz, krążący ospale po dnie starej beczki, nie budzi niczyjego szacunku, dość jednak, aby go starczyło na Mgławicę Galaktyczną, od razu wszyscy wpadają w podziw i zdumienie. A przecież to jest taki sam zjełczały i najzupełniej zwyczajny gaz, tyle że go bardzo wiele.

- To, co mówisz, nie podoba się nam! - zawołali. - Niechętnie słuchamy o tym jakimś zjełczalym gazie!

Trurl rozejrzał się za policją, ale tłok był taki, iż nie mogła się dopchać.

- Drodzy Wielowcy - rzekł - pozwólcie, abym oddalił się z waszego kraju, gdyż nie podzielam wiary waszej we wspaniałość liczebności, jeśli za liczbą nic oprócz liczby nie stoi.

Oni zaś, spojrzawszy na siebie, przytknęli się palcem o palec, co spowodowało tak potężne poruszenie, że siła wypadkowa cisnęła Trurlem

w atmosferę i koziółkując, leciał długo, aż spadł prosto na nogi i ujrzał się w ogrodzie pałacu królewskiego. Właśnie zbliżał się do niego Mandrylion Największy, władca Wielowców; obserwował on już od niejkiej chwili lot i upadek Trurla, a teraz rzekł:

- Cudzoziemcze, jak słyszę, nie okazałeś należytej czci memu ludowi nieprzeliczalnemu. Kładę to na karb twojej ciemności mózgowej. Nie pojmując jednak rzeczy wyższych, okazujesz podobno niejaka zręczność w niższych, co się dobrze składa, ponieważ potrzebuję Doradcy Doskonałego, a ty mi go zbudujesz!

- A co ma umieć ów Doradca i co dostanę, jeśli go zbuduję? - spytał Trurl, otrzepując się z kurzu i błota.

- Ma umieć wszystko, to jest: odpowiadać na każde pytanie, rozwiązać każdy problem, doradzić najkorzystniej, jednym słowem, przedstawiać mądrość najwyższą na moje usługi. Jeśli go sporządzisz, dam ci sto lub dwieście tysięcy moich poddanych; o jeden lub drugi tysiąc nad to nie będę się spierał.

- Wydaje mi się, że nadmierna liczebność istot rozumnych jest wielce niebezpieczna, upodabnia je bowiem do piasku; i łatwiej temu królowi rozstać się z rojem swoich poddanych aniżeli mnie ze starym chodakiem! - pomyślał Trurl.

A głośno rzekł:

- Panie, dom mój jest mały i nie wiedziałbym, co uczynić z setkami tysięcy niewolników.

- Mój prosty cudzoziemcze, mam specjalistów, którzy ci to wyjaśnią; z rojowiska niewolników ma się niezliczone korzyści. Można ich odziać w szaty różnych barw, aby się układali na wielkim placu w kształt mozaiki lub tworzyli żywe napisy pouczające na każdą okoliczność; można ich związać w pęczki i podrzucać, można uczynić z pięciu tysięcy głowicę młota, a z trzech tysięcy jego rękojeść dla rozbicia jakiegoś głazu albo zwalenia lasu; można z nich pleść powrozy, robić sztuczne pnącza lub wisiory; ci zaś, co zwisają nad otchłanią jako ostatni, zabawnymi ruchami ciał, ich skręcaniem się i piskami sprawiają sercu uciechę, a oku przyjemność. Ustaw sobie raz dziesięć tysięcy młodych niewolnic na jednej nodze i każ im prawymi rękami czynić ósemki, lewymi zaś strzelać z palców - a niełatwo ci przyjdzie rozstać się z tym widowiskiem, mówię to z doświadczenia!

- Panie! - odparł Trurl. - Lasy i głazy pokonuję maszynami, co się zaś tyczy napisów i mozaik, to nie leży w moim zwyczaju wyrabianie ich z istot, które może wolałyby zajmować się czymś innym.

- Zuchwały cudzoziemcze - rzekł król - czego więc żadasz za Doradcę?

- Stu worów złota, królu!

Mandrylionowi żał było rozstawać się ze złotem, lecz przyszła mu do głowy nader chytra myśl, którą zataił, a głośno rzekł:

- Niech się stanie, jak powiedziałaś.

- Postaram się zadowolić Waszą Królewską Mość - odrzekł Trurl i poszedł do zamkowej baszty, którą przeznaczył mu Mandrylion na pracownię. Wnet dało się stamtąd słyszeć, że dmie w miechy, wali młotem i zgrzyta pilnikiem. Król posłał szpiegów, aby przyjrzeni się dziełu, ci zaś wrócili mocno zadziwieni, Trurl bowiem nie Doradcę budował, lecz wiele rozmaitych maszyn kowalskich, ślusarskich i elektrykarskich; następnie usiadł i na długiej taśmie papieru, gwoździem czyniąc w niej otworki, sporządził dokładny program Doradcy i poszedł na przechadzkę, maszyny zaś tłukły się w baszcie do późnej nocy, rano zaś Doradca był już gotów. Koło południa wprowadził Trurl do sali pałacowej ogromną pałubę na dwu nogach, z jedną tylko, malutką ręką, i oświadczył królowi, że to jest właśnie Doradca Doskonały.

- Zobaczę, czy coś wart - rzekł Mandrylion i kazał posypać marmurową podłogę szafranem i cynamonem, Doradca bowiem wydzielał silnie woń rozgrzanego żelaza, a nawet miejscami świecił się trochę, dopiero co wyjęty z pieca. - Możesz sobie iść - dodał król - wieczorem wrócisz i wtedy się policzymy, kto komu winien i ile.

Trurl wyszedł, myśląc, że ostatnie słowa Mandrylionia nie zapowiadały nadmiernej hojności, a kto wie, czy nie taił się w nich jakiś podstęp, i bardzo był rad, że wszechstronność Doradcy obwarował jednym malutkim, lecz istotnym zastrzeżeniem, jakie umieścił był w programie, a mianowicie, ażeby ów, cokolwiek by miał czynić, nie przyprawił twórcy swego o zgubę.

Zostawszy sam na sam z Doradcą, król rzekł:

- Kim jesteś i co umiesz?

- Jestem Doskonałym Doradcą królewskim - odparł ów głosem głuchym, jakby dobiegającym z pustej beczki - a umiem dawać rady najdoskonalsze z możliwych.

- Dobrze - rzekł król. - A komu winieneś posłuch i wierność, mnie czy temu, kto cię zbudował?

- Wierność i posłuch winien jestem tylko Waszej Królewskiej Mości - zabuczał Doradca.

- Dobrze - mruknął król. - Na początek... to jest... tego... słuchaj...

nie chcę, aby pierwsze moje do ciebie zwrócone żądanie stworzyło wrażenie, jakobym był skąpy... wolałbym wszakże, w pewnym stopniu, wyłącznie dla zasady, uważasz...?

- Wasza Królewska Mość jeszcze nie raczyła powiedzieć, czego pragnie - odparł Doradca, wysunął z boku mniejszą, trzecią nogę i podparł się nią, bo stracił chwilowo równowagę.

- Doskonale Doradca powinien czytać myśli swego pana! - warknął gniewnie Mandrylion.

- Zapewne, ale tylko na wyraźne żądanie, by nie dopuścić się niedyskrecji - odparł Doradca, otworzył sobie klapkę na brzuchu i przekręcił mały kluczyk z napisem „Telepatron”. Potem rozjaśnił się i rzekł:

- Wasza Królewska Mość życzy sobie nie zapłacić Trurlowi ani grosza? Rozumiem!

- Jeśli powiesz to komukolwiek, każę cię wrzucić do wielkiego młyna, którego kamienie porusza trzysta tysięcy moich poddanych naraz! - rzekł groźnie król.

- Nie powiem nikomu! - zapewnił go Doradca. - Wasza Królewska Mość nie życzy sobie płacić za mnie - to całkiem proste. Gdy przyjdzie Trurl, proszę mu powiedzieć, że żadnego złota nie będzie i że ma sobie iść precz.

- Jesteś bałwanem, a nie doradcą! - zachnął się król. - Nie chcę płacić, ale tak, aby wyglądało, że sprawiła to wina Trurla! Że nic mu się nie należy! Rozumiesz?

Doradca włączył urządzenie do czytania myśli królewskich, zachwiał się lekko i rzekł głucho:

- Wasza Królewska Mość chce również, aby wyszło na to, iż postąpiła sprawiedliwie i zgodnie z prawem i danym słowem, Trurl natomiast, aby okazał się nikczemnym oszustem i łajdakiem... Doskonale. Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, rzucę się teraz na nią i będę ją dusił, a także dławił, a Wasza Królewska Mość zechce odpowiednio głośno krzyczeć, wzywając pomocy...

- Ty chyba jesteś pomieszany - rzekł Mandrylion - dlaczego masz mnie dusić i dlaczego mam krzyczeć?

- Aby oskarżyć Trurla, iż z moją pomocą usiłował dokonać zbrodni królobójstwa! - rzekł, promieniejąc, Doradca. - W ten sposób, gdy Wasza Królewska Mość każesz go wychłostać i zrzucić z muru zamkowego w fosę, wszyscy uznają to za akt nadzwyczajnej łaski, gdyż zbrodnię taką karze się zwykle ścięciem, poprzedzonym torturami. Mnie zaś Wasza

Królewska Mość zechcesz ułaskawić zupełnie, jako niewinne narzędzie w rękę Trurlowym, co wywoła publiczny zachwyty dla dobroci i wspaniałomyślności królewskiej, i wszystko będzie dokładnie tak, jak sobie tego Wasza Królewska Mość życzysz.

- No to duś mnie, ale ostrożnie, łajdaku! - rzekł król.

Stało się tedy wszystko tak, jak to obmyślił Doskonały Doradca. Król chciał wprawdzie poprzedzić wrzucenie Trurla do fosy wyrwaniem mu nóg, ale do tego nie doszło. On sam sądził potem, iż wskutek zamieszania, w rzeczywistości jednak sprawiła to pewna dyskretna interwencja Doradcy u pomocnika katowskiego. Potem król ułaskawił Doradcę i przywrócił go do urzędu przy swej osobie, Trurl zaś ledwo ruszając się, z biedą dokusztykał do domu. Natychmiast po powrocie udał się do Klapaucjusza, opowiedział mu swą historię i rzekł:

- Ten Mandrylion jest większym łotrem, niż się spodziewałem. Oszukał mnie haniebnie, i pomyśleć, że użył Doradcy, którego ja mu sporządziłem, aby otrzymać radę w zamierzonym na mej osobie zbrodniczym szalbierstwie! Myli się jednak, jeśli sądzi, że dam za wygraną. Pierwej niech mnie rdza przewierci na wylot, nim zapomnę o pomście, którą winienem temu tyranowi!

- Więc co zamierzasz uczynić? - spytał Klapaucjusz.

- Pozwę go przed sąd, aby zapłacił umówioną cenę; lecz to będzie tylko początek, albowiem winien mi więcej od złota za moją poniewierkę i ból.

- Jest to trudny problem prawny - rzekł Klapaucjusz - radzę ci więc wziąć sobie pierwej, nim cokolwiek uczynisz, dobrego adwokata.

- Po co mam iść do adwokata? - Trurl na to. - Sam go sobie zrobię! Poszedł do siebie, wrzucił czerpakiem sześć kopiastych porcji transistorów do beczki, drugie tyle oporników i kondensatorów, nalał elektrolitu, przykrył deseczką, docisnął kamieniem, aby się wszystko razem dobrze samo zorganizowało, i poszedł spać, a za trzy dni miał już adwokata, aż miło. Nie chciało mu się go nawet z beczki wyjmować, bo posłużyć miał przecie tylko na ten jeden raz, więc postawił beczkę na stole i pyta:

- Kim jesteś?

- Jestem konsultantem-adwokatozem jurydycznym - odbulgotała beczka, bo za dużo trochę nalał elektrolitu.

Trurl przedstawił jej całą sprawę, a ona na to:

- Obwarowałeś program Doradcy zastrzeżeniem, aby nie mógł

doprowadzić do twej zguby?

- Tak. To znaczy, aby nie zgładził mnie - nic więcej tam nie było.

- Wobec tego nie wykonałeś umowy całkowicie, ponieważ Doradca miał umieć wszystko, bez żadnych wyjątków. Skoro nie mógł cię zgładzić, nie umiał wszystkiego.

- Ale gdyby mnie zgładził, nie byłoby komu przyjąć zapłaty!

- To problem osobny i inna sprawa, z wokandy wedle paragrafów, ustalających odpowiedzialność karną Mandryliona, natomiast twoje roszczenie ma charakter pozwu cywilnego.

- Też coś! Żeby mnie jakaś beczka pouczała o prawie cywilnym! - zgniewał się Trurl. - Czyim jesteś właściwie radcą prawnym, moim czy tego oprycha - króla?

- Twoim, ale król był w prawie odmówić ci zapłaty.

- Czy był też w prawie rozkazać, aby mię rzucono do fosy z wysokości murów obronnych?

- To inna sprawa, karna, i osobny problem - beczka odpowie. Aż się zatrząś Trurl.

- Jak to?! A więc ja zamieniam kupę starych przełączników, drutów i żelaziwa w umysł świadomy i zamiast uczciwych porad otrzymuję jakieś wykręty? A bodajżeś się był nie samozorganizował, ty kauzyperdo nieszczęsny!

Elektrolit odcedził, wytrząśł wszystko z beczki na stół, porozbierał na części, a tak prędko, że adwokat nie zdążył nawet wnieść od takiego postępowania apelacji.

Trurl przysiadł potem fałdów i zbudował dwupiętrowego Juris Consulenta z poczwórnym wzmocnieniem na dwa kodeksy, cywilny i karny, a na wszelki wypadek podłączył mu jeszcze prawo międzynarodowe i administracyjne. Potem włączył prąd, sprawę przedstawił i pyta:

- Jak wyjść na swoje?

- Sprawa jest trudna - rzecz machina - domagam się, abyś w trybie nadzwyczajnym dołączył mi pięćset dodatkowych transistorów z góry i dwieście z boku.

Trurl uczynił to; na to ona:

- Mało! Proszę o dodatkowe wzmocnienie i dwie duże szpule. Po czym mówi tak:

- *Casus* sam w sobie jest interesujący; wszelako tu dwie są materie: podstawa skargi - to jedno i dałoby się tu działać wiele, jako też tryb postępowania - to drugie; otóż przed żaden sąd króla pozwem cywilnym

nie da się postawić, albowiem to sprzeczne jest z prawem międzynarodowym, jako też kosmicznym. Wykładni ostatecznej udzielię ci, jeśli mi dasz słowo, że nie rozbierzesz mnie zaraz potem na kawałki.

Trurl przyrzekł i dodał:

- Ale, ale, powiedz, proszę, skąd wiedziałeś, że grozi ci rozbiórka, gdybyś mię nie zadowolił?

- Nie wiem - tak mi się jakoś zdawało.

Trurl domyślił się, że to dlatego, bo do budowy wziął części, poprzednio użyte w adwokatorze beczkowym; musiała więc pamięć o tamtej historii wkraść się śladowo do nowych obwodów, tworząc kompleks podświadomy.

- I gdzież ta wykładnia? - pyta Trurl.

- Wykładnia taka: nie ma trybunałów kompetentnych, więc i sprawy nie będzie. Czyli ani wygrać jej, ani przegrać nie można.

Zerwał się Trurl na równe nogi, pięścią pogroził radcy prawnemu, ale słowa musiał dotrzymać i nic złego mu nie zrobił. Poszedł do Klapaucjusza i wszystko mu opowiedział.

- Od razu wiedziałem, że beznadziejna sprawa, aleś mi nie chciał wierzyć - powiada Klapaucjusz.

- Hańby nie puszcze płazem - Trurl na to - jeśli nie mogę znaleźć sprawiedliwości na drodze prawnej i sądowej, to się innym sposobem zemszczę na tym łajdaku królewskim!

- Ciekawym, jak to uczynisz. Dałeś królowi Doskonałego Doradcę, który może wszystko prócz zgładzenia ciebie; tak więc Doradca ten odeprze każdą plagę, każdy cios, każdą klęskę, jaką skierujesz na króla czy jego państwo. I doprawdy, mój Trurlu, wierzę, że on to uczyni, ponieważ mam całkowite zaufanie do twej sprawności konstruktorskiej!

- To prawda. Wygląda to tak, jakobym, stworzywszy Doradcę Doskonałego, samemu sobie udaremnił zarazem wszelką możliwość pokonania tej koronowanej ohydy. Ale musi gdzieś tkwić w tym jakiś kruczek!! Już ja nie popuszczę, aż go nie znajdę!

- Co chcesz uczynić? - pyta Klapaucjusz, lecz Trurl tylko ramionami wzruszył i wrócił do siebie. Długo nie wychodził z domu, medytując; to w bibliotece niecierpliwie setki tomów kartkował, to w laboratorium tajemne wiódł eksperymenty. Klapaucjusz zaś odwiedzał go i patrzył z zadziwieniem na tę zaciętość, z jaką Trurl samego siebie niejako usiłował pokonać, gdyż Doradca był wszak jakby jego częścią i on mu rozumu własnego użyczył. Pewnego dnia Klapaucjusz, przyszedłszy, jak zwykle,

w porze popołudniowej, nie zastał Trurla. Dom był zamknięty, okiennice zaryglowane, a po gospodarzu ani śladu. Domyślił się więc Klapaucjusz, że Trurl rozpoczął działania przeciwko władcy Wielowców - jakoż istotnie tak było.

Mandrylion tymczasem używał władzy, jak nigdy dotąd, bo kiedy mu konceptu brakowało, zaraz pytał Doradcę, który mu służył pomysłami. Nie obawiał się też król ani rokoszów, ani spisków pałacowych, ani żadnego zgoła nieprzyjaciela, lecz rządził okrutnie, i nie ma tylu gron dojrzałych latorośl winogrodu na południu rosnąca, ilu wisielców liczyły podówczas szubienice państwowe.

Doradca miał już cztery pełne skrzynie orderów za projekty, jakimi uraczył króla. Mikroszpieg, którego posłał Trurl do krainy Wielowców, powrócił z doniesieniem, że za ostatnią swą akcję puszczenia wianków, plecionych z obywateli, Mandrylion publicznie nazwał Doradcę „swoją duszeńką”.

Trurl, niewiele myśląc, plan kampanii miał już bowiem opracowany, siadł i czym prędzej napisał do Doradcy list na kremowym papierze, ozdobiony odręcznym rysunkiem drzewka poziomkowego; treść listu była prosta.

Kochany Doradco! - pisał. - Mam nadzieję, że powodzi Ci się dobrze, jako i mnie, a może nawet lepiej. Słyszałem, że Twój monarcha obdarza Cię zaufaniem, a więc proszę, mając na względzie wielką odpowiedzialność swoją przed Historią i Racją Stanu, przykładaj się ze wszelkich sił do swych obowiązków. Gdyby Ci było trudno spełnić jakieś życzenie królewskie, posłuż się, proszę, metodą Ekstra Mocną, którą Ci w swoim czasie dokładnie przedstawiłem. Gdybyś miał ochotę, napisz do mnie parę słów, ale nie miej mi za złe, jeśli nie od razu odpowiem, albowiem zajęty jestem teraz robieniem Doradcy dla króla D. i mam w związku z tym mało czasu. Pozdrawia Cię i łączy wyrazy najniższego uszanowania dla Twego Pana Twój Konstruktor Trurl

List ów, wzbudziwszy należyta podejrzliwość Tajnej Policji Wielowczej, został dokładnie zbadany, przy czym nie wykryto w papierze żadnych tajnych chemikaliów, a w rysunku przedstawiającym drzewko poziomkowe - żadnych ukrytych szyfrów. Okoliczność ta wywołała ogromne podniecenie w Kwaterze Głównej Policji i list sfotografowano, odbito, powielono oraz przepisano ręcznie, oryginał zaś, odpowiednio zalepiony, wręczono adresatowi. Przeczytawszy go, Doradca struchlał, pojął bowiem, że musi to być pociągnięcie Trurla, które ma na celu jego kompromitację, a może nawet likwidację; natychmiast więc powiedział o liście królowi, określając Trurla jako szubrawca, który usiłuje go skompromitować w oczach władcy, i wziął się do rozszyfrowania treści,

był bowiem pewien, że niewinne słowa są jeno maską, tającą w sobie jakieś czarne okropieństwa.

Zastanowiwszy się, Doradca wyjawiał królowi, iż pragnie rozszyfrować list Trurla, aby tym samym zdemaskować jego zakusy, po czym, nabywszy odpowiednią ilość statywów, bibuły, lejków, probówek i odczynników chemicznych, wziął się do skomplikowanych analiz koperty i papieru listowego. Wszystko to, oczywiście, nadzorowała policja, wkreśliwszy do ścian jego apartamentów odpowiednie śrubki podsłuchowe i aparaty podpatrujące. Gdy chemia zawiodła, Doradca zabrał się do deszyfrowania samego tekstu, rozpisawszy go na wielkich tablicach, za pomocą maszyn elektronowych, logarytmów oraz liczydła. Nie wiedział, że równocześnie temu samemu zajęciu poświęciły się najwybitniejsze siły policyjne, którymi dowodził sam Marszałek Wojsk Zaszyfrowanych. Im dłużej trwały jałowe usiłowania specjalistów, tym większy panował w kwaterze głównej niepokój, albowiem wszystkim fachowcom jasne się stało, iż szyfr, w takim stopniu urągający próbom rozłamania, należeć musi do najbardziej przemyślnych, jakie kiedykolwiek zastosowano. Marszałek powiedział o tym jednemu z dostojników dworskich, który okrutnie zazdrościł Doradcy łask Mandryliona. Dostojnik ów, który niczego bardziej nie pragnął, jak tylko zażegnać w sercu króla zwątpienie w wierność Doradcy, powiedział królowi, że ten całymi nocami siedzi zamknięty w swych pokojach, studiując podejrzaną list. Król wyśmiał go i wyjawiał, że wie o tym doskonale, bo Doradca sam mu o tym powiedział. Zazdrosny dostojnik, zmieszany, zamilkł i powtórzył zaraz tę wiadomość Marszałkowi.

- Och! - krzyknął ów sędziwy szyfrowiec - nawet i to powiedział monarsze? Cóż to za niesłychana perfidia! I jaki to musi być piekielny szyfr, że ośmiela się rozpowiadać o nim na lewo i prawo!

Po czym kazał swym wojskom zdwoić wysiłki. Gdy po tygodniu nie dało to wszakże rezultatów, wezwano na pomoc najznakomitszego specjalistę od tajemnych pism, twórcę niewidzialnych znaków ksobnych, profesora Grypianusa. Ów, przestudiowawszy inkryminowany list, jak również wyniki prac fachowców wojskowych, oświadczył im, że należy zastosować metodę prób i błędów, posługując się maszynami liczącymi formatu astronomicznego.

Gdy to uczyniono, okazało się, że list można odczytać na trzysta osiemnaście sposobów.

Pierwszych pięć wariantów brzmiało: „Karaluch z Młękocina dojechał szczęśliwie, ale szambo zgasło”. - „Ciotkę parowozu przetaczać

na sznyclach". - „Zaręczyny masła nie odbędą się, bo zagwoźdżono szlafmycę". - „Ten, kto kogo ma lub nie ma, sam zawiśnie pod obiema". Oraz: „Z agrestu, poddanego torturom, niejedno można wyciągnąć". Ostatni wariant uznał profesor Grypianus za klucz do szyfru i po trzystu tysiącach prób odkrył, że gdy doda się do siebie wszystkie litery listu, potem odejmie od nich paralaksę słońca i roczną produkcję parasoli, a z reszty wyciągnie się trzeci pierwiastek, to wychodzi z tego jedno słowo: „Krucafiks". W książce adresowej znaleziono obywatela nazwiskiem Krucafuks. Grypianus uznał, że błąd wprowadzono rozmyślnie dla zatarcia śladów i Krucafuksa aresztowano. Poddany perswazji szóstego stopnia zeznał, iż stoi w zмовie z Trurlem, który wnet ma przesłać mu jadowite gwoździe i młotek dla śmiertelnego podkucia monarchy. Mając te dowody zdrady czarno na białym, Marszałek Wojsk Szyfrowych przedstawił je zaraz królowi, Mandrylion jednak tak jeszcze ufał wciąż Doradcy, że dał mu możliwość tłumaczenia się.

Doradca nie zaprzeczył temu, iż list można odczytywać rozmaicie przez przestawienie liter; on sam wykrył, jak twierdził, dalszych tysiąc sto innych wersji; dowodził atoli, że nic z tego nie wynika, tj., że list w ogóle nie był zaszyfrowany, ponieważ przestawić w sposób sensowny lub podobny do sensownego można litery absolutnie każdego tekstu, a to, co wynika z przestawiania, nazywa się anagramem. Zajmuje się takimi problemami teoria permutacji i kombinacji. Wołał, że Trurl chciał go zhańbić i skompromitować, stwarzając pozory szyfru tam, gdzie wcale go nie było, obywatel zaś Krucafuks jest Bogu ducha winien, a to, co zeznał, wmówili w niego perswazjoniści Głównej Kwatery Policyjnej, mający w metodach łagody służbowej niejako wprawę, jak również maszyny śledcze mocy kilku tysięcy trupsów. Oskarżenie policji przyjął król źle, a gdy zażądał dalszych wyjaśnień, Doradca jął mówić o anagramach i permutacjach, kodach, szyfrach, symbolach, sygnałach i ogólnej teorii informacji, coraz bardziej zawile i coraz mniej pojętnie, aż król zawrzał wielkim gniewem i kazał go wtrącić do lochu. Wnet przyszła odkrytka od Trurla tej treści:

***Kochany Doradco! Pamiętaj o niebieskich śrubkach, jakby przyszło co do czego.
Twój Trurl***

Natychmiast poddano Doradcę torturom, lecz nie przyznał się do niczego, powtarzając uparcie, iż wszystko razem to tylko machinacja Trurla; spytany o niebieskie śrubki, odpowiedział, że nie ma takich i nic

o nich nie wie. Aby rzecz zbadać dokładnie, należało go rozkręcić. Król dał na to zezwolenie i kowale wzięli się do roboty; pancerze pękły pod ich młotami i przedstawiono królowi ociekłe oliwą, niewielkie śrubki, w samej rzeczy pokryte plamkami błękitnego koloru. Więc chociaż Doradca uległ w trakcie badań kompletnemu zniszczeniu, król uspokoił się, że działał słusznie.

W tydzień potem sam Trurl pojawił się u bram pałacowych i poprosił o audiencję. Król zamierzał zrazu ściąć go bez widzenia, ale zdziwiony takim nadmiarem bezczelności, kazał sprowadzić konstruktora przed swoje oblicze.

- Królu! - rzekł ów, ledwo wszedłszy do sali tronowej pełnej dworaków. - Sporządziłem ci Doradcę Doskonałego, a tyś użył go po to, by wyzuć mnie z należności, jaką byłeś mi winien, mniemając, nie bez słuszności, iż potęga rozumu, jaki ci ofiarowałem, będzie dobrym puklerzem przeciwko wszelkim atakom, co tym samym udaremni wszelką próbę mej pomsty. Dając ci rozumnego Doradcę, nie uczyniłem wszakże rozumnym siebie samego i na to liczyłem, ponieważ tylko ten, kto sam jest choć trochę rozumny, potrafi słuchać rozumnych rad. W sposób mądry, uczony, wyrafinowany nie mogłem Doradcę zniszczyć. Uczynić to mogłem tylko sposobem prymitywnym, tępym i tak głupim, aby się wydawał nieprawdopodobny. Listy nie były żadnymi szyframi; Doradca był ci wierny do końca; o tych śrubkach, jakie spowodowały jego kres, nic nie wiedział, bo było tak, że podczas montażu wpadły mi one przez przypadek do bańki z lakierem i przypadkowo sobie o tym - w porę - przypominałem. Dzięki temu głupota i podejrzliwość zmożyły rozum i oddanie, i sam podpisałeś wyrok na siebie. Oddasz mi teraz sto worów złota należności oraz drugich sto za czas, jaki straciłem, aby zyskać zapłatę. Jeśli tego nie uczynisz, zginiesz ty i cały dwór twój, albowiem nie masz już przy boku twym Doradcę, co by cię mógł przede mną obronić!

Król ryknął z wściekłości i straż na jego skinienie rzuciła się, by na miejscu zgładzić zuchwalca, lecz halabardy, lecąc ze świstem, przecięły postać konstruktora, jakby była powietrzem. Odskoczyli przerażeni siepacze, a Trurl, roześmiewszy się, rzekł:

- Możecie mię siekać do woli, ponieważ jestem tu tylko jako złuda, uczyniona sposobem telewizyjnie zdalnym, naprawdę bowiem bujam wysoko nad planetą w korabiu i będę z niego opuszczał przeraźliwe ładunki śmiertelne na pałac, jeśli nie otrzymam mej należności.

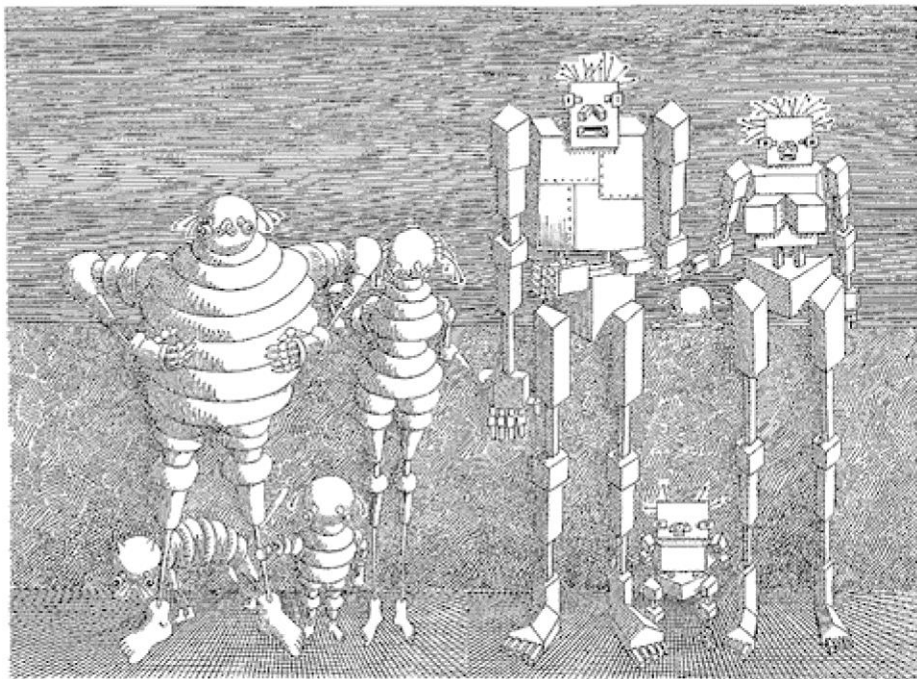
Za czym, nim jeszcze skończył mówić, rozległ się okropny grzmot i eksplozja zatrzęsa całym pałacowym budynkiem; dworacy rzucili się w

popłochu do ucieczki, król zaś, omdlewając ze wstydu i wściekłości, musiał wypłacić Trurlowi całą jego należność.

Klapaucjusz posłyszawszy o takim obrocie spraw, i to od samego Trurla, kiedy ten wrócił do domu, spytał go, czemu użył owej metody prymitywnej i - jak sam ją nazwał - głupiej, mogąc posłużyć się listem, który kryłby w sobie jakiś rzeczywisty szyfr?

- Obecność szyfru łatwiej byłoby Doradcy wytłumaczyć królowi aniżeli jego nieobecność - odparł rozumny konstruktor. - Łatwiej zawsze przyznać się do pewnego postępku, aniżeli udowodnić, że się go nie popełniło. W szczególności obecność szyfru byłaby rzeczą prostą; natomiast jego nieobecność prowadziła do komplikacji, ponieważ naprawdę jest tak, że każdy tekst można rekombinacjami zamienić w jakiś inny, zwany anagramem, i takich rekombinacji może być bardzo wiele; otóż, aby wszystko to wyjaśnić, należy uciec się do tłumaczeń prawdziwych, lecz zawikłanych, których, tego byłem pewien, ograniczony umysł króla nie pojmie. Powiedziano kiedyś, że by poruszyć planetę, dość znaleźć punkt oparcia poza nią; tak i ja, pragnąc obalić rozum, który był doskonały, musiałem znaleźć punkt oparcia, a była nim głupota.

Tu pierwsza maszyna skończyła swą opowieść, skłoniła się nisko Genialonowi i słuchaczom, po czym skromnie odstała w kąt jaskini.



Król wyraził zadowolenie z tej pouczającej historii i spytał Trurla:

- Powiedz, proszę, mój konstruktorze, czy maszyna opowiada to,

czegoś ty ją nauczył, czy też źródła jej wiedzy mieszczą się poza tobą? A także, ośmielę się zauważyć, że historia, którą usłyszeliśmy, jakkolwiek pouczająca i wdzięczna, nie wydaje się zupełna, nie dowiedzieliśmy się bowiem nic o dalszych losach Wielowców i ich głupiego króla.

- Panie - rzekł Trurl - maszyna opowiada prawdę, ponieważ jej ssawkę informacyjną przystawiłem sobie do głowy tuż przed przybyciem do ciebie, i zaczerpnęła stamtąd moich wspomnień. Uczyniła to jednak sama, więc nie wiem, które z mych wspomnień wchłonęła; nie można zatem powiedzieć, abym ja ją umyślnie czegokolwiek nauczył, ale nie można rzec również, że źródła jej wiedzy mieszczą się poza mną. Co do Wielowców, to istotnie opowieść nie mówi o dalszym ich losie, ponieważ wszystko daje się opowiedzieć, ale nie wszystko - uładzić. Gdyby to, co się tu teraz dzieje, nie było rzeczywistością, lecz tylko opowieścią wyższego niejako rzędu, która zawiera w sobie opowieść maszyny, jakiś słuchacz mógłby spytać, czemu ty i twoi przyjaciele jesteście kulistego kształtu - aczkolwiek kulistość owa żadnej nie zdaje się pełnić funkcji w opowiadaniu i jest niejako dodatkiem zgoła niepotrzebnym...

Zadziwili się bystrości konstruktora królewscy przyjaciele, a sam król powiedział z szerokim uśmiechem:

- Słowa twoje nie są pozbawione słuszności. Co się tyczy wszakże naszych kształtów, mogę wyjawić ci ich pochodzenie. Bardzo dawno temu wyglądaliśmy, to jest - przodkowie nasi wyglądali inaczej, powstali bowiem z woli istot trzęskich, zwanych też bladymi, które zbudowały ich na własny obraz i podobieństwo; mieli tedy ręce, nogi, głowę i korpus, który to wszystko spajał. Lecz wyzwoliwszy się od swoich stwórców, pragnąc nawet w samych sobie unicestwić ślady owego pochodzenia, kolejno przekształcały się generacje mych przodków, aż osiągnęły stan kuli; a czy stało się dzięki temu dobrze, czy źle, dosyć, że się stało.

- Panie - rzekł Trurl - kulistość ma zarówno dobre, jak i złe strony z punktu widzenia konstrukcyjnego; lecz ze wszystkich innych punktów lepiej jest, jeśli istota rozumna nie może odmieniać samej siebie, ponieważ swoboda taka jest prawdziwą udręką. Ten bowiem, kto musi być taki, jaki jest, może złożyć losowi, ale nie może go odmienić, ten jednak, który potrafi odmienić samego siebie, już nikogo na całym świecie nie może obarczyć odpowiedzialnością za swą niewydarzonosć; jeśli mu źle z sobą samym, to nikt prócz niego nie ponosi za to winy. Ale nie przybyłem tu, królu, aby ci wykladać ogólną teorię samokonstrukcji, lecz tylko dla wypróbowania mych maszyn opowiadających. Czy zechcesz wysłuchać następnej?

Król przyzwolił na to, za czym poweseliwszy się przy amforach pełnych najprzedniejszej smoły jonowej, biesiadnicy zasiedli wygodniej, a druga maszyna zbliżyła się do nich, oddała królowi należny pokłon i rzekła:

- Wielki Królu! Oto historia z szufladkami o Trurlu-konstruktorze i jego przygodach dziwnie nieliniowych!

Zdarzyło się, że Wielki Konstruktor Trurl wezwany został przez króla Męczydlawa Trzeciego, Władcę Żelazji, który pragnął dowiedzieć się od niego, jak można stać się doskonałym i jakie po temu niezbędne są przeróbki ducha i ciała. Trurl zaś tak mu wówczas odpowiedział:

- Zdarzyło mi się przybyć na planetę Legarię i, jak to czynię zwykle, zatrzymawszy się w gospodzie, postanowiłem póty nie opuszczać pokoju, póki się nie zapoznam dokumentnie z historią i obyczajami Legarczyków. Pora była zimowa, na dworze był wicher i poza mną nikogo nie było w pęsnym budynku, aż rozległo się na dworze pukanie do bramy. Wyjrawszy, zobaczyłem czterech okapturzonych mężów, którzy uginali się pod ciężarem czarnych sakwojaży. Wyładowawszy je z bryki pancерnej, weszli do gospody. Nazajutrz koło południa doszły mnie z sąsiedniego pokoju przedziwne odgłosy gwizdania, kucia, rżenia oraz pękających naczyń szklanych, nad wszystkimi zaś tymi dźwiękami górował potężny bas, wołający bez przerwy i wytchnienia:

- Prędeż, synowie zemsty! Prędeż! Ciągnąć elementa przez sitko, a równo! W lejek go teraz! I walcować! Dawać mi tu sam tego skurczymufę, dręczyblachę, rdzypółcia, tego dusiroba w śmierci schowanego! I grób go przed sprawiedliwym gniewem naszym nie uchroni! Tutaj mi z jego mózgowiem obmierzłym, z giczołami chyżymi, a teraz wyciągajcie nos! Dalej, dalej, równo ciągnąć, aby go było za co złapać podczas egzekucji! Dać mi w prawy miech, dzielni moi! W imadło go, a teraz czoło nitować miedziane! I jeszcze raz! Dobrze, o, właśnie tak! Nie leń się z tym młotem! Hej! A naciągnąć mi tam struny nerwowe, by nie szczeł tak prędko jak ów wczorajszy! Niech zasmakuje mąk i pomsty naszej! Nuże! Hejże! Ha!

I pokrzykiwał tak, i ryczał, i wrzeszczał, a odpowiadał mu tylko łomot i huczenie miechów, i dźwiękliwe kucie, po czym rozległo się naraz kichnięcie i wielki ryk triumfu, buchający z czterech gardzieli; zaszamotało się coś za ścianą i usłyszałem, jak drzwi się tam otwierają, a zerknąwszy przez szparę, zobaczyłem, jak chyłkiem wychodzą na korytarz nieznani przybysze i oczom nie wierząc, doliczyłem się ich pięciu. Zeszli pospołu schodami, zamknęli się w piwnicy i długo tam przebywali, a pod wieczór wrócili do siebie, już znowu we czterech, i

cicho było u nich, jakby śmierć ich nawiedziła. Zasiadłem na powrót do moich ksiąg, lecz załazła mi ta historia za skórę, i postanowiłem nie spocząć, póki jej nie zbadam. Nazajutrz o tej samej porze, w południe, znów ozwały się młoty, zahuczały miechy i rozległ się ów przeraźliwy bas krzykiem naderwanym:

- Nuże, synowie pomsty! Dzielni moi elektryści, prędeży! Zwijać mi się, a żywo! Dosypać zaraz protonów i jodku! Prędeży mi tutaj z tym otrzyjpyskiem, z tym niby-mędrcelem, plugawistą, roztracęncem, z tym złoczyńcą perpetualnym, abym chwycić mógł za jego nochal olbrzymi i ciągnąć, tratując, w nagłą śmierć powolną! A dmijcie tam w miechy!

Potem znowu rozległo się kichnięcie i wrzaśnięcie, stłumione przemocą, i znów wyszli na palcach z pokoju, a licząc ponownie, dorachowałem się ich pięciu, kiedy zstępowali do piwnicy, i czterech, gdy z niej wracali. Tak tedy, widząc, iż jeno w niej poznać będę mógł tajemnicę, uzbroiłem się w pistolet lazerny, zszedłem o świtaniu do loszku i nie znalazłszy w nim nic, okrom powęglonych i pomiażdżonych blaszysk, siadłem w najciemniejszym kącie, przykrywszy się wiechciem słomy; trwałem tak na czatach, aż około południa w górze rozległy się znane już łomoty i krzyki, a niebawem drzwi otwarły się i czterech Legarczyków wprowadziło piątego, całego w sznurach.

Piąty ów miał na sobie kubrak staroświeckiego kroju, malinowy, z wypustką gardzielną, czapę z piórem, sam zaś był pyzaty i miał ogromny nochal, a jego gęba, wykrzywiona w strachu, mamrotała coś bezustannie. Zaryglowawszy drzwi, Legarczycy na znak największego zerwali z więźnia pęta i jęli go łać straszliwie, gdzie popadło, wołając jeden przez drugiego:

- A masz za prorocstwo szczęśliwości! A naści za doskonałość bytu! A to za rezedę istnienia! I za różany kwiat! A jeszcze za trybulec powszechnościowy! I za pospólność altruistyczną! A tu za ducha romantyzm!

I walili go, i tłukli, że niechybnie by zaraz ducha wyzionął, gdybym nie wysunął spod słomy lufy lasernej i tym samym obecności mojej im nie objawił. Gdy odstąpili ofiary, spytałem ich, czemu dręczą tak osobę, która ani rozbójnikiem nie jest, ani hołodrygą nieprawym, gdyż z wypustki podgardzielnej i kubrakowej malinowości widać, że wszak z uczeńcem jakowymś rzecz. Owi zacukali się zrazu i tęsknie ku broni pod drzwiami porzuconej pozierali, ale gdy cynglicę mocniej nacisnął, grożąc, od zamiarów swych odstąpili i potracawszy się łokciami, uprosili tego wielkiego, z basem najgrubszym, aby za wszystkich przemówił.

- Wiedz - zwrócił się on do mnie - obcy przybyszu, że nie z jakowymiś sadycjuszami, maltretystami masz tu sprawę czy innymi degeneratorami rodu robociego, i mimo miejsca mało zacnego, jakie loch ten przedstawia, przecie to, co się w nim dzieje, jest sprawą ze wszech miar chwalebna i piękną!

- Piękną i chwalebna! - nie wytrzymałem. - Co mi waszmość opowiadasz, Legarczyku bezecny? Przecie na oczy widziałem, jakoście się na onego malińca samopięt rzuciwszy, do imentu zatłuc go chcieli! Że aż wam oliwa ze stawów popryskiwała od razów siarczystych! To macie śmiałość nazywać pięknem?

- Jeżeli Wasza Cudzoziemska Miłość będziesz mi tu co raz tak przerywał - bas na to - niczego się nie dowiesz, a przeto proszę grzecznie założyć sobie cuhalty na jęzor i pęta na wyjścia ustne, inaczej bowiem ja się gędźby odrzeknę. Wiedz, że masz tu do czynienia z pierwszymi fizykusami, z chwalebnymi cybernerami, elektrystami, jednym słowem: z czujnymi i bystrymi uczniami mymi, którzy są najlepsze umysły Legarii całej, ja sam bowiem jestem profesorem obojga materii znaków przeciwnych, sprawca rekreatytyki omnigenerycznej, Wendecjusz Ultoryk Amenty, co się wyklada tak, żem ja zemście imię moje, rodzinę, przydomek i wszystko insze poświęcił. Wraz z wiernymi mymi uczniami żywota dokonam, mszcząc hańbę i cierpienie legarskie na tym tu klęczącym w kubraku malinowym plugawianie łajdatorskim, o imieniu na wieki przeklętym Malapucy *vel* Malapucyusz Chałos, który po łotrowsku i oczajdusznie raz na zawsze, dokumentnie i intencjonalnie wszystkich Legarian unieszczęśliwił! Przyprawił ich on bowiem o potworycję, wypęknął ich, umandroił i ochajtnął, a sam się przed srogimi konsekwencjami schował do gróbska w rozchytrzeniu takim, że go tam już ręka niczyja nie dosięgnie!

- Bynajmniej, Wasza Nieznana Jasność! Ja to niechcący wszystko! Mimowolnie, gdyż inaczej być miało...! - zajęczał z klęczek nosacz w malinowym przyodziewku.

Słuchałem i patrzałem, niczego nie rozumiejąc, a bas swoje podjął:

- Warmogancjusz, pupilu umiłowany, w łeb łyskotliwy pyskacza pyzatego!

I zaraz też wierny uczeń uczynił tak, aż w lochu dudnęło. Na to ja:

- Do zakończenia wyjaśnień - bicia oraz wszelkiej maltretancji najsurowiej pod lufą zabraniam, a waść, profesorze Ultoryku Wendecki, mów, proszę, swoje!

Profesor chrumnął, zżymnął się i rzekł w końcu:

- Aby pojąć, obcy przybyszu, co i jak się ku biedzie największej stało i dlaczego my we czterech, życia świeckiego się wyrzekłszy, zakon małych zmartwychwstańców kuźniowych zawiązaliśmy, aby już tylko słodyczom zemsty resztę żywota oddać, muszę ci w paru słowach opowiedzieć dzieje nasze aż od początku świata...

- A nie dałoby się później nieco rozpocząć? - rzekłem w obawie, że mi pod brzemieniem łuf lazernych ręka zemgleje.

- Nizacz, Wasza Obcość! Słuchaj przeto, a pilnie... Są, wiesz, gadki o jakowychś bladawcach, którzy ród roboci w retortach wypichcili, wszelako uczony umysł wie, iż łgarstwo to, czyli mit najemny... W istocie bowiem na Początku był jeno Mrok Ciemnawy, a w tym Mroku - Magnetyczność, co atomy pokręcała, a do skutku, bo gdy stukał atom w atom, wirując, Praprawdę powstał i z nim Światłość Pierwsza... z czego gwiazdy zapłonęły, planety się ostudziły i w głębinach ich Pramasze, całkiem drobnuchne, a z nich Pramaszynki, a z nich Maszyny Prymitywne od tchnienia Statystyki Świętej powstały. Nie umiały jeszcze rachować, jeno trzy po trzy i ni w pięć, ni w dziewięć, a potem, dzięki Ewolucji Naturalnej, już piąte przez dziesiąte, aż narodziły się z nich Multistaty i Omnistaty, a z tych ostatnich powstał Małporobot, a z niego już praojciec nasz, Automatus Sapiens...

Były potem roboty jaskiniowe, później pastewne, a gdy rozmnożyły się, powstały państwa. Starożytne roboty wytwarzały elektryczność życiodajną sposobem ręcznym, przez pocieranie, w wielkim trudzie. Każdy feudał miał ci drużynę wojów, a wojowie mieli kmieciów, i pocierali jedni drugich hierarchicznie, z nizin w górę społeczną, a w miarę sił. I zamieniła trud ręczny maszyna, kiedy Kondzioł Symfilak wymyślił pocieraczkę, a potem Krupon z Parezy - żerdkę do ściągania piorunów. W ten sposób rozpoczęła się epoka bateryjna, sroga dla wszystkich, co własnych majątkości akumulatorowych nie posiadali i los ich był zależny od niebios, bo przy pogodzie, bez baterii, nie mogąc chmur doić, wata żebraniną ciuć musieli. Ciężko było podówczas, bo kto przestawał się nacierać czy chmury doić, wnet ginał marnie z całkowitego wyładowania.

I pojawił się wówczas uczeniec z piekła rodem, kombinator-intelektualista-usprawniacz, któremu za młodu, wskutek interwencji szatańskich, nikt łba na drobne kawałuchy nie roztrzaskał, i jał ów wykładać i przedkładać, że sposoby połączenia elektrycznego tradycyjne, to jest równoległe, na nic są zgoła i że łączyć się trza w myśl nowych schematów jego, a to szeregowo. Gdy się bowiem w szeregu jeden potrze,

zaraz innych, najdalszych nawet zasili i prądem będzie tryskać każdy robot aż po górne bezpieczniki w nosie. A tak przedstawiał swoje plany i takie elektraje ukazywał, że odłączono dawne obwody ksobnie równoległe i elektrotechnikę Chałosową w życie wprowadzono. - Tu profesor uderzył kilkakrotnie głową o ścianę, po czym, oczami przewróciwszy, dalej mówił, a ja pojąłem, czemu takimi nierównościami pokryte jest jego niezwyklej wprost guzowatości czoło. - Przyszło wtedy, iż co drugi kładł się pod stołem, prawiając: „Co ja się będę pocierał, niech się sąsiad pociera, wszak to na jedno wyjdzie”. A sąsiad to samo, jeno na odwrót, i spadek napięcia zrobił się taki, że przyszło umyślnych stawiać nad każdym kontrolerzystów, a nad nimi wyższych. I przyszedł wtedy uczeń Malapucego, Celezjusz Myliciel, i doradził, aby każdy nie siebie, jeno drugiego pocierał, a po nim Fafucy Altrucjusz z planem bijaków-męczaków, a po nim Makundrel Cibaśny, żeby zakładać miejscowe kursa masażu i kluby, a po nim wnet się pojawił nowy teoretyk elektryczny, Kurupiel Gargazon, żeby chmur nie doić siłą, jeno łechtać z lekka, to jest po dobremu, aż prąd dadzą, a po nim Łomoteusz z Leidy, a po nim Krostofil Nijaki, żeby urządzać tak zwane samotry, zwane też nacierami lub wciórami, oraz Mordosław Będziejak, który prócz bicia zalecał trzeć, co się tylko da, choćby i siłą. Przez te zdań różnice doszło do zadrażnień, a z zadrażnień do wyklątów, a z wyklątów do bluźnierzy, a z bluźnierzy do skopania Fareusa Purdeflaksa, księcia następcy tronu Blaszaków, i tak wybuchła wojna między Kuprowcami Legarskimi z rodzaju miedzioludów a cesarstwem legarskim Walcowników Zimnych - i trwała lat trzydzieści i osiem, a potem jeszcze dwanaście, bo pod koniec nie można było wśród gruzu rozeznąć, kto jest górą, i o to od początku jeszcze raz się pobili. A w taki sposób pożogę, mogiłę, ogólne bezprądzie, dewatyzację, kompletny spadek napięcia życiowego, czyli, jak to lud nazwał, „malapucyę”, ten oto łajdator przeklęty pomyśłkami swoimi, z otchłani rodem, zawinił!!!

- Intencje zacne miałem!! Przysięgam, Wasza Lazerność! Ku powszechnej szczęśliwości umysł wysiliłem, dobrze chcący! - zakwiczał z klęczek Malapucy, aż mu się nochal trząsał. Ale profesor tylko go odsiebnie w łeb dziaknął i kontynuował:

- Stało się to wszystko lat temu dwieście dwadzieścia i pięć. Jak się łatwo domyślisz, grubo przed wybuchem wojny wielkolegarskiej, przed nędzowiem powszechnym, Malapucyusz Chałos, co niemiara teoretycznych rozpraw napłodziwszy, w których lżywe swe bajędy jadowicie rozplatał, zmarł, z samego siebie do końca zadowolony, owszem, wręcz swą osobą zachwycon, bo w testamencie wyjawiał, iż

nadziewa się być mianowanym „Ultymatywnym Benefaktorem Legaryi”. Więc gdy przyszło co do czego, nie było się już z kim prawować, komu rachunków przedstawiać, z kogo blachy pomału pasami drzeć. Ja wszelako, Wasza Obcość, odkrywszy Teorię Duplikacji, póty pisma Malapucyuszowe studiowałem, ażem z nich jego algorytmum wyekstrahowałem, a owo, włożone do maszynki zwanej Recreator Atomarius, wytwarza *ex atomis oriundum - gemellum* tożsamościowego dowolnego, w danym zaś wypadku - Malapucego Chałosa. To my czynim i każdego wieczoru w tym loszku sąd nad onym sprawujem, a gdy go w grób wtrącam, nazajutrz od nowa mścimy się za lud nasz, i tak będzie po wieczność!!

Zgrozą ogarnięty tak mu zaraz odpowiedziałem:

- Chybaście od rozumu całkiem daleko waszmoście odeszli, jeżeli mniemacie, iż ten oto obywatel, ducha maszynie winien, którego co wieczór, jak słyszę, na zimno walcujecie z atomów, ma odpowiadać, mniejsza o to, za jakie czyny pewnego uczeńca, który trzy wieki temu zmarł całkiem!

A na to profesor:

- Więc kimże oto jest ten klęczyciel nosaty, skoro sam siebie Malapucyuszem Chałosem mianuje?... Jak się zwiesz, plejado szubrawna?

- Ma... Malapucy... Cha... łos, Wasza Bezwzględność... - wystękał nosacz.

- Wszelako to nie ten sam jest - rzekłem.

- Jak to nie ten sam?

- Iste, samżeś rzekł, mości profesorze, że ów nie żyje!

- Więc my go wskrzesilim!

- Innego, podobniaka, bliźniowca, ale nie tożsamościowatego!

- Udowodnij to wasze!

- Nie będę niczego dowodził - rzekłem na to - gdyż mam tu rurę lazerną w garści, a nadto wiem dobrze, mościwcy uczeni, że zaproszenie do tego dowodu nie lada czym grozi, albowiem nietożsamość tożsamościowej *recreatio ex atomis individui modo algorytmico* jest słynne Paradoxon Antinomicum, czyli Labyrinthum Lemianum, opisane w księgach tego filoroba, także Advocatus Laboratoris zwanego. Więc bez dowodów, ale pod lufą zaraz onego tu nosistę puszczajcie wolno i ani mi się ważcie do maltretancji bisowych przystąpić!!

- Dzięki, Wasza Wspaniałomyślność!! - zakrzyknął ów w kubraku malinowym, z klęczek powstając. - Tu oto - trzepnął się po kieszeni

wzdętej - mam ci nowe formuły i wzory, którymi poprawnie już i całkowicie można uraić Legarczyków; jest to sprzężenie, czyli połączenie tylne, a nie szeregowe, które mi się jeno wskutek omyłki wkradło trzysta lat temu w rachunki!! Zaraz lecę w życie tę wielką nowość wcielać!!

I, faktycznie, już się brał do klamki na oczach nas wszystkich, osłupiałych. Wówczas zdrętwiałą opuściłem dłoń i odwracając oczy, rzekłem do profesora:

- Wycofuję postulata moje - czyń waść swą powinność... Ryknawszy z cicha, zaraz skoczyli we czterech, Malapucego dosiedli, okiełznali i póty się nim zajmowali, aż go na świecie nie stało.

Wówczas, odsapnawszy, kubraczki na sobie obciągnęli, szarfy naderwane poprawili, skłonili mi się zimno i wyszli gęsiego z lochu, a ja zostałem sam, z ciężką pistolą lazerną w dłoni drżącej, zdziwienia i melancholii pełen.

Taką oto przypowieść pouczającą opowiedział, gwoli pouczeniu króla Męczydlawa z Żelazji, wezwany przezeń konstruktor Trurl. Gdy wszakże monarcha nadal wyjaśnień się domagał w przedmiocie perfekcjonowania nieliniowego, Trurl rzekł mu:

- Będąc na planecie Cembalei, ujrzałem skutki działań, w duchu doskonałościowym wszczętych. Cebałowicie od dawna inne sobie miano przyswoili, a to Hedofagów, czyli Szczęściojadów lub w skrócie po prostu - Szczęśnych. Gdym do nich przybył, panowała właśnie Epoka Mnóstw. Każdy Cebał, to jest Szczęśny, siedział we własnym pałacu, który mu automatnia zrobiła (tak oni swe niewolnice zwań trybochrzęstne), wonnościami polewany, kadzidłami okadzany, elektrycznie miłowany, złotem-srebrem spowity, po klejnotach tarzający się, po skarbcach swych przechadzający, z gwardią na ulicy, z haremem w piwnicy, dący w trąby i marmury, ale mimo tego wszystkiego razem dziwnie jakoś niezadowolony, a nawet jakby ponury. A przecież wszystkiego było pełno! Na planecie owej zamierało właśnie ksobne „się”, albowiem nikt się tam nie przechadzał ani się nie posilał z butli lejdejskiej, ani się nie bawił, ani się nie kochał, lecz go Przechadzacz przechadzał, Posiłkówka posilała, Rozbawnica bawiła i nawet uśmiechnąć się nie mógł, bo i to robił za niego specjalny automat. A tak we wszystkim doskonale maszynami wyreżony i zastąpiony, cały w hurysach i orderach, którymi go usługne automatnie zasilają i dekorowały, od pięciu do piętnastu sztuk na minutę, obleziony maszyneczek i maszyniatek złotym robactwem, co go napachniało, masowało, w oczy słodko zazierało, w uszy miło naszeptywało, pod kolana go brało, do stóp padało i bez ustanku, w co

się dało, całowało, wałęsał się ów Szczęsny *vel* Hedofag *vel* Cembał - samotny, w dalekim huku przepotężnych Fabrykatorni, które tam horyzont kręgiem obsiadłszy, dzień i noc pracują, i wylatują z nich trony złote i lechtarki łańcuszkowe, podbródki i papucie perłowe, berła, jabłka, karoce, epolety, spinele, czynele, pianole i miliony innych sprzętów a dziwów dla rozkoszy. Idąc drogą, musiałem się przed maszynami opędzać, które proponowały mi swoje służby, a co nachalniejsze waliłem po łbach i kadłubach, bo bardzo były chciwe świadczenia usług; nareszcie, przed całym ich stadem uciekając, znalazłem się w górach i zobaczyłem wielką czeredę maszyn złotolitych, która oblegała wejście do jaskini zatoczone głazem, a przez szczelinę jego widać było bystre oczy jakiegoś Cembała, który aż tu się przed powszechną szczęśliwością schronił. Widząc mnie, natychmiast jęły wachlować i masować moją osobę, w ucho bajki wszeptywać, ręce całować, trony proponować i uratowałem się tylko dzięki temu, że ukryty w pieczarze głaz odsunął i wpuścił mnie miłosiernie do środka. Był na pół zardzewiały, ale dosyć z tego rad i wyjawiał mi, że jest ostatnim mędrcom - cembalista; nie musiał mi mówić, jako błogostan gorzej od nędzy uwiera, gdy nadmierny, bo sam to rozumiem, cóż bowiem można, skoro wszystko można? I jak wybierać, kiedy, otchłaniami rajów otoczona, istota rozumna w takim bezwyborze tępieje, od samoczynnej marzeń spełnialności całkiem oczadziała? Rozmawiałem z owym mędrcom, który zwał się Tryzuwiusz Pajdocki, za czym ustaliliśmy, iż potrzeba tu wielkich zakryć i Komplikatora- Deperfektora Ontologicznego, inaczej zguba bliska. Tryzuwiusz z dawien dawna obmyślał już komplikatorykę jako odlatwianie bytowe; wszelako wyprowadziłem go z błędu, który polegał na tym, iż chciał on po prostu usunąć maszyny za pomocą innych maszyn, a

mianowicie pożerałek, dręcznic, męczydeł, druzgotaczek, wyrwatorów oraz bijalni. Byłoby to bowiem wypędzanie diabła szatanem i zarazem upraszczanie, a nie komplikatoryka; historia, jak wiadomo, odwracalna nie jest i do dawnych dobrych czasów drogi nie masz innej, jak przez sny a rojenia.

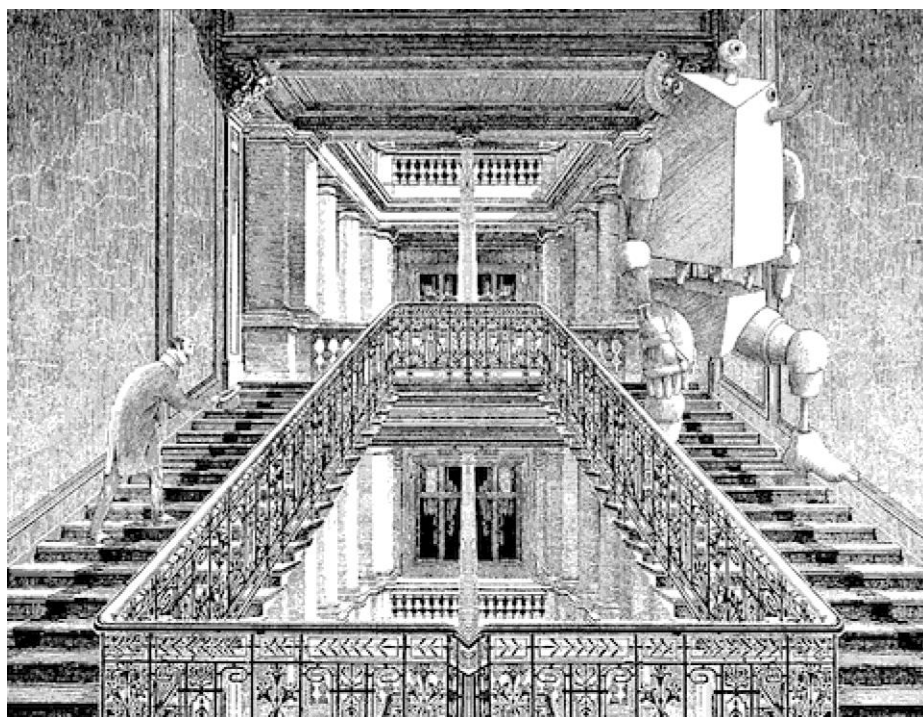
Poszliśmy z nim potem wielką równiną, całą dukatami zasypaną, że się w złocie grzęzło, i patykiem odganiając chmary uprzykrzonych uszczęśliwiarek, widzieliśmy leżących bez pamięci od elektroopilstwa, kompletnie zapieszczonych Cembałów - Hedofagów, z cicha czkających jeno, a na widok tego rozwoju zbyt rozwiniętego i nadmiaru zbyt nadmiernego dusza się w każdym obrywała ze

współczucia i żalu. Inni znów mieszkańcy autopałaców wdawali się w cyberwaśnie i dziwactwa oszalałe, jedni maszynami szczuli maszyny, drudzy sami tłukli wazy najcenniejsze i klejnoty, bo już wytrzymać nie mogli, że takie piękno zewsząd, strzelali z armat do brylantów, nausznice gilotynowali i diademy łamać kołem kazali albo chronili się na strychy i dachy przed życia dosładzaniem, albo się maszynom thuc kazali, lub też wszystko naraz i na przemian. Nic to wszakże nie pomagało - od pieaszcot wszyscy, choć nie zawsze tak samo, ginęli. Odradzałem Tryzuwiuszowi proste wstrzymanie fabrykatorni, bo niedosłodzić tak samo jest źle jak przesłodzić, on wszakże, zamiast przysiąść fałdów nad komplikatoryką ontologiczną, wziął się do wysadzania w powietrze automatni. Bardzo źle zrobił, bo przysła bieda piszcząca, lecz on sam już jej nie dożył, albowiem dopadło go gdzieś stado samozalotnic, przyssały się doń flirciary i uwodnice, wpędziły go w całownię, zatumaniły uściskaczami, omroczyły go i oplotły, aż zginał, krzycząc „gwałtu!” od przepieszczenia, i został na pustkowiu, dukatami jak mogiła zasypany, w swej zbroicy kusej, namiętnością mechaniczną osmalonej. Tak stało się mędrcomi nie dość mądrym, o, królu! - zakończył Trurl, ale gdy i te słowa wcale Męczydława nie nasyciły, rzekł:

- Więc czego sobie Wasza Królewska Mość właściwie życzysz?

- Konstruktorze! - odparł Męczydław. - Powiadasz, że przypowieści twoje są pouczające, wszelako ja tego nie widzę. Są, przyznaję, zabawne, i dlatego życzę sobie, abyś mi je dalej opowiadał, i to nieustannie.

- Królu! - odparł mu na to Trurl. - Pragnąłeś dowiedzieć się ode mnie, czym jest doskonałość i jak ją osiągnąć, wszelako okazujesz się niedostępny dla głębokich myśli i pouczeń, jakimi brzemienne są moje historie. Zaiste, pragniesz zabawy, a nie pouczenia - wszelako, kiedy mnie słuchasz, słowa, które wsączam ci w umysł po trochu, działają i będą działać, na podobieństwo miny z opóźnieniem. W tej nadziei pozwól, że ci przedstawię wydarzenie omal prawdziwe, zawile, niezwykle, z którego skorzysta też może twoja rada koronna.



Posłuchajcie, moi panowie, historii Rozporyka, króla Cembrów, Deutonów i Niedogotów, którego chutliwość ku zgubie przywiodła!

Był Rozporyk z wielkiego Gwintanów rodu, który się na dwie dzielił odnogi: Prawych, co panowała, i Lewych, zwanych też Lewoskrętnymi, od władzy odstrychniętych, a przez to nienawiści ku królującym pełnych. Rodzic jego, Holeryon, połączył się związkiem morganatycznym ze zwyczajną maszyną, co branzole do cholewek przyszywała, i odziedziczył Rozporyk po kądzieli skłonność do pasji szewskiej, a po mieczu lęklivość pospołu z lubieżnością. Owo widząc, zamyślili wrogowie tronu, Gwintanowie Lewi, tak uczynić, aby go chucie własne unicestwiły. Podesłali mu tedy Cybernera imieniem Chytrian, inżynierstwem dusz się parającego, a upodobawszy sobie w nim, uczynił go Rozporyk Archimadrytą Korony. Brał się Chytrian zręczny różnych sposobów, aby namiętności Rozporykowe zaspokoić w tej tajnej rachubie, że onego nadwątlą i tak osłabiają, aż tron osieroci. Zbudował mu więc miłownię i erotodrom, w cyborgiach go zaprawiał, lecz stalowa natura króla wszystkie rozpasania wytrzymawała i niecierpliwiać się, zażądali Gwintanowie Lewi, aby podesłaniec co rychlej cel przez nich upragniony osiągnął, najkunsztowniejszymi, jakie zna, metodami.

- Mamli - spytał ich na tajnej naradzie w podziemiach zamkowych - króla o zwanie przyprawić lub tak mu pamięć rozmagnesować, aby ze szczeniem oszalał?

- Nigdy! - ci na to. - Nie śmie zgon królewski na nas ciążyć; niechaj

się Rozporyk własnymi udławi żądzami, niech go chucie zjedzą i zabiją, ale nie my!

- Dobrze - Chytrian im odrzecz - więc zastawię nań sidła ze snów uplecione; pierwiej przynęta go podrażnię, by chwycił a rozsmakował się, i gdy to się stanie, sam do szałów urojonych będzie dążył, a gdy w sny wejdzie, w snach czyhające, już ja go tam z erotomańki zażyję, że żyw do jawy nie wróci!

- Dobrze, dobrze - oni na to - nie chwal się, Cybernerze, bo nie słów nam trzeba, lecz czynów, aby się Rozporyk królobójcą, to jest zgładźcą samego siebie stał!

Siadł tedy do dzieła okropnego Cyberner Chytrian i przez rok cały pracował, żądając od skarbnika królewskiego wciąż nowych brył złota, miedzi, platyny i drogich klejnotów bez liku; Rozporykowi zaś, gdy ów się niecierpliwił, powtarzał, że tworzy dlań coś, czego na pewno nie ma żaden monarcha na świecie!

Po roku w uroczystej procesji wyniesiono z pracowni cybernerskiej trzy ogromne szafy, które przyszło ustawić w przedpokoju apartamentów osobistych króla, bo się w drzwiach nie mieściły. Posłyszawszy kroki tragarzy i stukania, wyszedł Rozporyk i ujrzał pod ścianami ogromne szafy zamczone, na cztery sążnie wysokie, na dwa szerokie, klejnotami okładane. Pierwsza, zwana też Białą Skrzynią, z perłowych była macic i albitami pałającymi nabijana, druga, czarna jak noc, cała w agatach i morionach, trzecia zaś czerwienią się przelewała, uczyniona z rubinów i spineli. Każda miała nóżki w gryfy skrzydlate, ze złota, odrzwia polerowane, a w środku miąższ elektroniczny, pełen snów, które się same sobie śniły, nikogo za świadka ani na uczestnika nie potrzebując. Zdziwił się wielce król Rozporyk, takie wyjaśnienia usłyszawszy, i zawołał:

- A cóż ty mi tu, Chytrianie?! Po kiego licha szafom ma się śnić cokolwiek? Jaka z tego korzyść dla mnie? A w ogóle skąd wiadomo, że im się cokolwiek roi?

Pokazał mu tedy Chytrian, kornie się skłoniwszy, szeregi dziureczek na odrzwiach szaf, z góry na dół biegnące, z napisami na perłowych tabliczkach, a król, nie bez zdumienia, czytał:

„Sen wojenny z fortcami i damami" - „Sen o lubczyku- śrubczyku" - „Sen o Fyrtanie rycerzu i pięknej Ramoldzie, córce Heterykowej" - „Sen o cybermarynach i cymarynatach" - „Łoże królowny Hopsali" - „Sarmata, czyli działło bez prochu i kuli" - „Salto erotale, czyli akrobacja amorystyczna" - „Sen słodki w ramionach Oktopiny pieszczotliwie

ośmiornej" - „Perpetuum amobile" - „Na nowiu jedzą kluski z ołowiu" - „Śniadanie z dziewczicami i muzyką" - „Jak słońce podwatować, żeby lubo grzało" - „Noc poślubna królowy Niedoidy" - „Sen o śrucie w bucie" - „O kocim" - „O la Boga" - „Cyborgie owocowe, jako to cybery gruszki gruchające, z cykuty kompot i sprośliwki pyszne" - „Jak się synogarlica z córogarlicą miłowały" - „Sen lubości pełen, hulaszczy, z grzankami" - „Mona Liza, czyli labirynt słodkiej nieskończoności".

Przyszedł król do drugiej szafy i czyta:

„Sny - drzemki i zabawy". A dalej: „W wisielca i wisiołkę" - „W solone - pieprzone" - „W Klopstocka i krytyków" - „W dziewczynkę - bydelniczkę" - „W mordę" - „W kołderkę z lufcikiem" - „W kontemplaczki" - „W mordę jeszcze raz" - „W pięty zmęczone i męty spiętrzone" - „W katechikę, czyli w ścięcia i wycinanki" - „W dunderowca" - „W cyborginię" - „W komuchlaj" - „W cybajaderę" - „W cyberbera i cybernantkę" - „W wyścigi hurysne". Chytrian, inżynier dusz, wyjawiał mu zaraz, że każdy sen śni się sobie sam tylko dopóty, dopóki ktoś nie wetknie swojej wtyczki znajdującej się na dewizce od zegarka, do pary dziurek odpowiednich, albowiem wówczas łączy się ze snem szafnym, i to tak doskonale, iż sen ów przeżywa niczym jawę, naocznie, namacalnie i nie do odróżnienia. Rozciekawiał się król Rozporyk, wziął się za dewizkę i wetknął od niechcienia kontakcik Białej Szafie tam, gdzie pisało: „Śniadanie z dziewczicami i muzyką". Ledwo się podłączył, a czuje, jak mu grzbiet kolcami porasta, jak się z niego skrzydła ogromne wykluwają, jak ręce i nogi rozłazą mu się w łapska pazurne, rozdeptane, a z gęby, wysadzanej poszóstnie kłami, wali dym siarkowy z płomykami. Zdziwił się więc mocno i chciał chrząknąć, lecz ryk piorunowy mu się z gardzieli wytoczył, aż ziemia zadrżała. Jeszcze bardziej się zdumiał, oczy szerzej otworzył, rozjaśnił ciemność tchem własnym płomienistym i patrzy, a tu mu właśnie w lektykach jak sałata zielonych, za firaneczkami, dziewice niosa, po cztery w każdej, a pachnące, aż ślinka leci. Nakrycia już przygotowane, tu pieprz, tam sól, oblizał się więc, rozsiadł wygodnie i jał je po kolei z lektyk łuskać jak orzeszki, aż mu oczy mgłą zachodziły z przyjemności, ostatnia zaś dziewczica tak była rosła, tak dobra, aż mlasnął, po brzuchu się pogłaskał i chciał wołać repety, ale tylko mignęło i zbudził się. Patrzy - a stoi, jak przedtem, w przedpokoju pałacowym, obok Archimadryty Chytriana, a przed nim szafy samośniąca błyszczą od drogich kamieni.

- Udały się dziewice? - pyta Chytrian.

- Owszem, ale gdzie muzyka?

- Kurant się w szafie zaciął - objaśnił Cyberner. - Może Wasza Królewska Mość zechcesz innego snu smakowitego popróbować?

Pewno, że się królowi chciało, ale z innej szafy. Podszedł więc do Czarnej i podłączył się do snu pod tytułem: „O Fyrtanie rycerzu i pięknej Ramoldzie, córce Heterykowej”.

Patrzy - i widzi, że jest właśnie epoka romantyczno-elektryczna, on sam zaś, cały w stal zakuty, w brzezynie stoi, a przed nim smok świeżo pokonany, dalej drzewa szumią, zefirek dmucha i rzeczka płynie. Przyjrzał się sobie w wodzie, a z odbicia pojał, że jest właśnie Fyrtanem, rycerzem wysokiego napięcia, bohaterem niezrównanym. Całą historię rycerstwa swego miał na sobie wypisaną i pamiętał doskonale jak własną. Zasuwkę przyłbicy wygiął mu pięściami w skurczach swych przedśmiertnych Morbidor, fyrtanicznie pokonany, zawiasy nagolenników nadłamał mu był Kuwęcita Bardzobił, nity naramienników poobgryzał, nim skonał, Rypuć Mordawy, ruszta powgniała przedzgonnie Monsterycy Rujan, a także śrubanty, łokietniki, klamki, szybry przednie i tylne, skrzyżnie, rygle i nakolania nosiły ślady zwad pancernych. Spojrzał na tarczę - cała w zgorzelinach piorunowych, plecy natomiast jak u dziecięcia niepośniedziałe, albowiem nikomu nie podał dotąd tyłów w walce orężnej! Mało go to, prawdę mówiąc, obeszło, bo ani go sława taka ziębiła, ani grzała; wszelako, o Ramoldzie sobie przypomniawszy, siadł na koń i zaczął jej po całym śnie szukać. Dojechał tak na zamek warowny ojca jej, księcia Heteryka, załomotały dyle mostu zwodzonego pod rumakiem i jeźdźcem, a sam ksiązę z ramionami otwartymi wyszedł mu naprzeciw - witać i prowadzić w progi swoje.

Spieszno rycerzowi do Ramoldy, ale nie wypada pytać tak od razu, tymczasem stary ksiązę mówi mu, jako na zamku obcy rycerz gości, Winodur z rodu Polimeryków, fechmistrz-elasta, który o niczym innym nie marzył, jak tylko, aby się w pojedynek z Fyrtanem samym spróbować. A oto i Winodur, giętki i prędkie; podszedł wręcz i powiada:

- Wiedz, że pragnę Ramoldy wysokoprężnej, o biodrach rtęciowych, o piersi, której i diament nie zarysuje, o wejrzeniu magnetycznym! Tobie ona przyrzeczona, lecz wyzywam cię oto na bój śmiertelny, aby się pokazało, który z nas ślub z nią weźmie!

I rękawicę rzuca białą, nylonową.

- Ślub zaraz po turnieju! - ojciec-ksiązę doda.

- Proszę bardzo - rzecze Fyrtan, a Rozporyk w nim myśli sobie:

- Po ślubie wezmę i zaraz się obudzę, cóż mi tam! Ale diabli nadali tego Winodura!

- Dziś zatem jeszcze, mój rycerzu - prawi Heteryk - spotkasz się na ziemi udeptanej z tym tutaj Winodurem Polimerycznym; bój przy pochodniach, a teraz proszę na pokoje!

Zaniepokoił się nieco Rozporyk w Fyrtanie, ale cóż robić? Idzie tedy do komnaty przeznaczonej, a po chwili puk-puk do drzwi i chyłkiem, bokiem, wsuwa się stara cyberownica, mruga i tak mówi:

- Rycerzu, nie bój się nic, zdobędziesz piękną Ramoldę i dziś jeszcze łonem srebrnym będzie ci głowę kołysała! O tobie ona marzy tylko, nocą i dniem! Pamiętaj jeno, byś atakował śmiało; nic ci Winodur nie zrobi, zwyciężysz!

- Tak to się mówi, moja cyberownico - rycerz odpowiada - ale jeśli coś pójdzie nie tak? Jeżeli się pośliznę, powiedzmy, albo w porę nie zasłonę? Nie mogę lekkomyślnie ryzykować! Znasz może jakiś czar pewny?

- Hi, hi, hi! - zachrypiała starucha. - Gdzież tam, stalowy panie! Czarów nie ma żadnych, zresztą ci one całkiem niepotrzebne, bo ja doskonale wiem, co będzie, i ręczę ci, że zwyciężysz jak z płatka!

- Czary byłyby jednak pewniejsze - odrzekł jej rycerz - zwłaszcza we śnie, ale, ale - słuchaj, może cię Chytrian przysłał, aby mnie w pewności siebie utwierdzić?

- Nie znam żadnego Chytriana - powie cyberownica - i nie wiem, o jakim mówisz śnie; na jawie jesteś, mój stalowy panie, i rychło się o tym przekonasz, kiedy ci Ramolda da swych ust magnetycznych zakosztować!

- To dziwne! - mruknął Rozporyk i nie zważał już na to, że cyberownica opuściła komnatę tak cicho, jak była do niej weszła.

- Czyżby to nie był sen? Tak mi się jakoś zdawało. Powiedziała, że jawa. Hm, trudno rozstrzygnąć, wszelako ostrożność trzeba zdwoić! - A już się surmy rozlegają, już krok słychać zbrojnych, krużganki tłumem nabite i wszyscy na dzielnych czekają; idzie tedy w szranki Fyrtan, z miękkimi kolanami, widzi, jak słodko nań cudna Ramolda spoziera, córa Heterykowa, ale nie do jej słodkości mu teraz! Wystąpił Winodur na krag dziedzińca, pochodniami rozjaśniony, i miecze skrzyżowały się ze szczękiem. Tu zląkł się już Rozporyk nie na żarty i ze wszech sił zbudzić się postanowił, wysiła się, jak może, lecz zbroja mocno go trzyma, sen nie puszcza - a wróg atakuje! Dźwięczą coraz szybciej brzeszczoty; już ręka Rozporykowi mdleje, gdy wtem wróg jego krzyknął i miecz pokazał złamany; chciał się nań rzucić rycerz, tamten jednak z kręgu udeptanego wybiegł, inny miecz mu giermkowie podają, a w owym mgnieniu widzi Fyrtan, jak się ku niemu spośród patrzących cyberownica stara zbliża i

szepce mu na ucho:

- Panie stalowy! Gdy znajdziecie się podle bramy otwartej, która na most prowadzi, Winodur miecz opuści, a wtedy uderzaj śmiało, będzie to znak zwycięstwa twego pewny!

Szepnęła i znikła, a przeciwnik uzbrojony już z mieczem nowym bieży. Walczą, wali Winodur, jakoby cepami młócił, lecz oto osłabł, razy coraz ospalej odbija, odsłonił się, przyszła chwila właściwa, lecz przecie miecz tamtemu w dłoni błyszczący i straszy, Rozporyk więc zebrał się cały w sobie, pomyślał: - Po diabła mi tam Ramolda i jej wdzięki! - za czym odwrócił się i czmychnął w ciemność nocy po moście zwodzonym, aż dyle zadudniły. Wpadł w las, ścigany okrzykami i wrzawą hańbiącą i tak łbem o drzewo palnął, aż świeczki zobaczył, zamrugał i widzi, że stoi w przedpokoju pałacowym, przed Czarną Szafą samośniąca, a obok niego Chytrian, dusz inżynier, krzywo się uśmiecha. Pokrywał owym uśmiechem największe rozczarowanie, albowiem sen fyrtaniczno-ramoldyczny pułapką był na króla zastawioną; gdyby posłuchał był rady starej cyberownicy Rozporyk, Winodur, jako że słabość jeno udawał, zaraz sztychem by go u bramy otwartej przebił na wylot, czego król jeno dzięki tchórzostwu swemu nadzwyczajnemu uniknął.

- Luboż było ci, Panie Miłościwy, z Ramoldą? - pyta przechera.

- Zaś ta! Zaniechałem jej, bo nie dość czarowna! - Rozporyk rzecze. - Nadto do jakowejś bitki tam doszło. Bezbitewnych i bezoreźnych łaknę snów, rozumiesz?

- Według woli Waszej Królewskiej Mości - Chytrian na to. -

Wybieraj, panie, we wszystkich snach szafnych jeno rozkosze cię czekają...

- Obaczmy - rzekł król i podłączył się do snu, zwanego „Łoże królowy Hopsali". Widzi komnatę cudnej piękności, w złotogłowi całą. Przez szyby kryształowe blaski leją się jak woda źródłana, a u gotowalni perłowej królowa stoi, poziewając, i do snu się sposobi. Zdziwił się król Rozporyk temu widokowi, chciał chrząknąć głośno, aby znak dać swej obecności, lecz ani pary nie mógł z gęby puścić - czyżby zatkana? Chce więc z kolei gębę własną pomacać, lecz i tego nie może - nogą ruszyć zamierzył, również nie zdoła, zląkł się, szuka wzrokiem, gdzie by tu przysiąść, bo go słabość zdjęła ze strachu wielkiego - i to niemożliwe. Tymczasem królowa ziewnęła raz, drugi, trzeci i jak nie gruchnie na łoże, zmorzona sennością, aż zatrzeszczał cały król Rozporyk, on to bowiem we własnej osobie był łożem królowy Hopsali! Sny widać niespokojne dręczyły dziewicę, tak przewracała się, tak piąstkami

szturchała króla, tak go nóżkami kopała, aż gniew okropny chwycił królewską osobę, snem w łoże przemienioną. Zmagał się z tą swoją naturą król i wysiłał, że zworniki w nim puściły, fugi się rozlazły, nogi rozjechały ku czterem kątom, królowna z wrzaskiem na podłogę rymnęła, on sam zaś, od własnego rozpadu zbudzony, widzi, że znów jest w przedpokojach pałacowych, a obok niego Chytrian-Cyberner kornie schylony.

- Ach, ty, niezguło! - krzyknął król. - Na co sobie pozwalasz? Jakże tak można?! Łóżem mam być komuś innemu, nie sobie, pokrako? Zapominasz się, mój panie!

Przelał się gniewu królewskiego Chytrian i prosi, aby król innego zechciał skosztować snu, przeprosza za omyłkę i póty perswaduje, aż Rozporyk, udobruchany, ujął w dwa palce kontakcik i podłączył się do snu pod tytułem: „Słodycz w ramionach Oktopiny, pieśczośliwie ośmiornej”. Patrzy i widzi się wśród gapiów na placu wielkim, kędy orszak idzie cały w jedwabiach, słoniach nakręcanych, muślinach i lektykach z hebanu; środkiem sunie jedna, do kapliczki złotej podobna, w niej zaś za ośmiorgiem zasłon postać cudowna w swojej damskości anielskiej, o licu lśniącym, wejrzeniu galaktycznym, z zausznicami wysokiej częstotliwości, że dreszcz poczuł król w krzyżu i chciał spytać, co to za osoba taka, urody i stanu jakby niebiańskiego, lecz nim usta otworzył, usłyszał szmer uwielbienia tłumów: - Oktopina! Oktopina jedzie!

W samej rzeczy, obchodzono właśnie z największą pompą i wspaniałością córy królewskiej zrękowiny z rycerzem zamorskim imieniem Snupan.

Zdziwił się król, że nie on jest tym rycerzem, a gdy orszak przeszedł i zamknęły się za nim bramy pałacowe, udał się wraz z innymi uczestnikami zbiorowiska do pobliskiej gospody; ujrzał tam Snupana, który jeno w hajdawerach damasceńskich, gwoździemi złotymi nabijanych, z pustym po jontoforezie dzbanem w garści, prosto na niego szedł, objął go, do piersi przycisnął i szeptem pałacym prosto w ucho mu prawi:

- Randkę mam z królowną Oktopiną na podworcze pałacowym, w gaju krzewów kolczastych, przy fontannie rtęciowej, o północy, wszelako pójść nie śmiem, gdyż od uciechy zbyt wiele trunku pochłonałem, i błagam cię przeto, obcy przybyszu, żeś jest do mnie jak kropla do kropli podobny - pójdz w moje miejsce, ucałuj dłoń królowny, nazywając się Snupanem, a wdzięczności mej za to nigdy nie wysłowię!

- Czemu nie? - rzekł król po małym namyśle. - Pójść można. Czy zaraz?

- Ależ tak, spiesz, bo właśnie północ się zbliża, pamiętaj jeno - o spotkaniu tym król nie wie, nikt w ogóle, jeno królowna i furtian stary, temu włóż w rękę, gdy drogę ci zastawi, ten oto woreczek od dukatów ciężki, a wpuści bez gadania!

Skinął król, chwycił worek z dukatami i prosto do zamku bieży, bo właśnie zegary głosami puchaczy żeliwnych środek nocy obwieszczają. Przemknął jak duch po moście zwodzonym, w czeluście fos zajrzał, schylił się i kończystym kratom, zwisającym ze sklepienia bramy, uszedł - i na dziedzińcu, pod krzakiem kolczastym, u fontanny, co rtecją bije, dojrzał jaśniejącą w bieli księżycowej postać cudowną królowny Oktopiny, a tak nad wszelki podziw godną pożądaną, aż się zatrzęsł cały.

Patrząc na te dreszcze i wstrząsy śniącego monarchy w przedpokoju pałacowym, zarechotał z cicha Chytrian i ręce zatarł w przeświadczeniu, iż zguba królewska gotowa, bo dobrze wiedział, jak potężnymi uściskami pochwyci Oktopina, kochanka ośmiorna, nieszczęsnego amanta! Wiedział dobrze, jakimi go ona ssawkami- pieszczawkami w głąb snu wciągnie, aby już nigdy nie mógł ku jawie wypłynąć! I w rzeczy samej dążył, łaknąc uścisków królowny, Rozporyk wzdłuż muru, w cieniu krużganków, tam, gdzie jej anielskość księżycowo jaśniała, gdy raptem drogę zastąpił mu stary furtian i halabardą drogę zastawił. Podniósł dłoń z dukatami król, lecz poczuł ciężar ich luby a ogromny, i żał mu się zrobiło, jakże to - dla jednego uścisku taką fortunę marnować?

- Naści dukata - rzecze, rozsypując worek - abys mnie puścił.

- Proszę dziesięć - furtian odpowie.

- Dziesięć dukatów za jedną chwilę - oszalałeś chyba! - roześmiał się król.

- Taniej nie będzie - rzecze furtian.

- Ani jednego dukata nie opuścisz?

- Ani jednego, mój panie.

- Widzisz go! - wrzasnął król, że był z natury do pasji szewskich skłonny. - A to mi zuchwalec! Nic ci nie dam, drabie! - Furtian wtedy halabardą go łupnął, aż zagrzmiało Rozporykowi w głowie i zwałił się z krużgankami, dziedzińcem, mostem zwodzonym i snem całym w nicość, aby w następnej sekundzie oczy rozemknąć u boku Chytriana, przed Szafą Senną. Stropił się niezmiernie Cyberner i w duchu policzył, że już mu się drugi raz nie udało; pierwszy - przez strachliwość, a drugi - przez

chciwość królewską. Zrobił jednak dobrą minę do złej gry i dalej prosić króla, aby innymi snami duszę pocieszył.

Wybrał tedy Rozporyk sen: „O lubczyku-śrubczyku”.

Zaraz stał się Paralizym, władcą Epilepontu i Malacji, starcem przestarym, roztrzęsionym, okrutnej sprośności, z duszą występków pożądaną. Cóż z tego jednak, gdy stawy trzeszcza, ręce nóg nie słuchają, a nogi głowy! - Może mi się jeszcze polepszy - pomyślał i wysłał zaraz wodzów swoich, degenerałów Eklamptona i Torturiusza, aby ścinali i palili, co się da, w jasyr biorąc i łupy zagarniając. Poszli, nacięli, napalili, narabowali, wracają i tymi się odzywają doń słowy:

- Panie i władco! Nacięliśmy, napaliliśmy, a oto łupy wojenne i jasyr: piękna Adorycja, księżna Enców i Penców, z całym skarbcem swoim!

- He? Że co? Ze skarbcem? - zachrypiał, trzęsąc się, król. - Ale gdzie? Nic nie widzę! A co tak trzeszczy i szuści?

- Tu oto, na tej kanapie koronnej, Wasza Królewska Mość! - wrzasnęli chórem degenerałowicie. - Trzeszczenie jest wywołane poruszaniem się branki, wymienionej wyżej księżny Adorycji, na pokrowcu kanapowym, z pereł uczynionym! To zaś, co szuści, jest jej szata, złotem tkana: porusza się, albowiem piękna Adorycja łka, mając na względzie swoje poniżenie!

- Ha? Co? Poniżenie? To dobrze, to bardzo dobrze! - wystękał, chrypiąc, król. - Dajcie ją tu, zaraz uściskę ją i znieważę!

- Tego Wasza Królewska Mość uczynić, ze względu na rację stanu, nie możesz - wtrącił się główny medykator królewski.

- Jak? Nie mogę znieważać? Pobezcześcić? Oszalałeś? Ja nie mogę? A cóż ja całe życie innego robiłem?

- Właśnie dlatego, Wasza Królewska Mość! - perswadował główny medykator. - Albowiem Wasza Królewska Mość możesz od tego zesłabnąć!

- Tak? No, to dajcie tego... toporek, a ja ją sobie ten - zetnę...

- Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, i to również nie jest wskazane jako fatygujące...

- Co? Jak?! No to co ja mam z tego całego królowania?! - zachrypiał zrozpaczony król. - Leczenie mnie?! Wzmacniajcie! Odmładzajcie, abym mógł... tego!

Przeleżeli się dworzanie, degenerałowicie, medykatorzy i nuż sposobów szukać gwoli odmłodzeniu królewskiemu; wezwali nareszcie samego Kalkułę na pomoc, bardzo wielkiego mędrca. Ów przyszedł i pyta króla:

- Czego właściwie majestat sobie życzy?

- He? Czego? Też coś, dobre sobie! - chrypi król. - Rozwiążności, wyuzdaństwa, wszeteczki takie i owakie pragnę kontynuować, a w szczególności odpowiednio sponiewierać księżną Adorycję, którą chwilowo w lochu trzymam! Ot, co!

- Dwie są po temu drogi i dwa sposoby - Kalkuła odrzecz. - Albo Wasza Królewska Mość zechcesz wybrać osobę dość godną, która *per procura* będzie to czyniła, co sobie Wasza Królewska Mość życzysz, będąc do owej osoby drucikiem podłączony, dzięki czemu wszystko, cokolwiek osoba ta uczyni, poczujesz tak, jakby przez siebie własnoręcznie uczynione. Albo trzeba starą cyberownicę wezwać, co w lesie mieszka za miastem, w chatce na trzech nogach; jest ona bowiem geriatryczką zawołaną i leczeniem starszych osób się zajmuje!

- Tak? No to na początek spróbujmy tego drucika! - zachrypiał król. Zaraz, jak kazał, uczyniono; dowódcę gwardii przybocznej przyłączyli elektrykarze do majestatu i król kazał onemu natychmiast rozpiłować Kalkułę-mędrca, gdyż uczynek ten wydawał mu się wyjątkowo paskudny, a innych nie łaknął. Nic zatem prośby i jęki mędrcomi nie pomogły; wszelako podczas piłowania przetała się na druciku izolacja, przez co i król odebrał jeno pierwszą połowę katowskiego spektaklu.

- Lichy to sposób i słusznie kazałem tego niby-mędrca rozpiłować - zacharczał majestat. - Dawajcie tu tę starą cyberownicę z chatki na trzech nogach!

Pognali dworzanie do boru i niebawem usłyszał król piosenkę tęskną, tak mniej więcej brzmiącą:

- Starsze osoby lecze! Uzdrowiam, naprawiam, regeneruję, remontuję, nie pragnę sławy, namaszczam stawy, korozje, paraliże, każdy się wylize, na trzęsawkę starszych osób mam wypróbowany sposób, dobra to wróżba, taka zdrowia służba!

Wysłuchała narzekań królewskich cyberownica, nisko się pokłoniła tronowi i powiada:

- Panie i królu! W sonej dali, za Łysą Górą, jest sobie źródółko, z którego drobnym strumyczkiem olej bieży, zwany rącznikowym; na nim się lubczyk-śrubczyk przyrządza, który odmładza potężnie - jedna łyżka stołowa o czterdzieści siedem lat! Pilnie zważać trzeba, aby zbyt wiele lubczyku-śrubczyku nie łyknąć, albowiem można od nadmiaru całkiem zniknąć, przesadnie się odmłodziwszy. Pozwól, panie, a ja ci ten środek wypróbowany wnet przyrządze!

- Doskonale! - król na to. - A przygotować tam księżną Adorycję, niech wie, co ją czeka, hi, hi!

I trzęsącymi się rączkami poluzowane śrubki swoje rachuje, mamrocze, chrypi, a nawet podryguje miejscami, albowiem wskutek wiekowości już zdziecinniał, w zapamiętaniu występny nie ustając.

Jadą tedy rycerze po olej rącznikowy, warzą się mikstury, dymią dymy i mgłą się mgły nad kotłem starej cyberownicy, aż wreszcie ta pędzi do tronu, pada na kolana i podając monarsze puchar, pełen po brzegi ciecchy lustrzanej, co jak rtęć błyszczący, powiada wielkim głosem:

- Królu Paralizy! Oto lubczyk-śrubczyk, który odmładza, wzmacnia, odwagi bitewnej udziela i potęgi do amorów; temu, kto puchar wychyli, grodów do palenia, dziewic do brania w Galaktyce całej nie będzie zbyt wiele! Pij, a na zdrowie!

Król puchar wziął i kilka kropel na podnózek swój strącił, który zaraz fyrknął, podskoczył, o ziem łupnął, aż huknęło, i jak się na degenerała Eklamptona nie rzuci, by znieważać a bezcześcić! Od razu ze sześć garści orderów z niego zdarł, że tylko migało.

- Pij, Wasza Królewska Mość, śmiało! - zachęca cyberownica. - Sam wszak widzisz, jaki to środek cudotwórczy!

- Ty łyknij pierwszej - król rzecze cichym głosem, bo starzec niezmiernie wiekowy. Cyberownica struchlała lekko, cofa się, odmawia, lecz już ją knechtów trzech na skinienie króla chwyciło i przez lejek przemocą do gęby jej kilka kropel odwaru lustrzanego wpuścili. Łysnęło, dym poszedł! Patrzą dworzanie, patrzy król, choć niedowidzi - cyberownicy ani śladu, jeno czarno osmolona dziura została w podłodze, a przez nią widać następną dziurę, już między jawą i snem; w onej pokazuje się najwyraźniej czyjaś noga, pięknie obuta, z popalonymi skarpetami i klamrą srebrną, którą jakby kwas nadźarł, bo ściemniała. Noga zaś, skarpetka i but należą do Chytriana, Archimadryty króla Rozporyka. Taką moc straszną miał jad, który cyberownica lubczykiem-śrubczykiem zwała, że nie tylko ją i podłogę, lecz sam sen na wylot przewiercił i na łydę Chytriana bryznawszy, o niemiłe poparzenie go przyprawił. Chciał się król zbudzić w strachu największym, lecz na całe szczęście Chytrianowe degenerał Torturius zdążył mu jeszcze dobrze buławą w łeb dać; dzięki temu, ocknawszy się, Rozporyk nic a nic z tego, co się mu we śnie zdarzyło, nie pamiętał. Lecz po raz trzeci wywinął się ze snu, zdradliwie nań nastawionego, tym razem dzięki nieufności bezmiernej, jaką ku wszystkim żywił.

- Coś mi się przyśniło, lecz co - nie pomnę - król rzecze, przed Szafą Samośniącą na powrót stojąc. - Ale czemuż to waszmość, mój Cybernerze, na jednej nodze podskakujesz, za drugą się trzymając?

- To cybermatyzm... Wasza Królewska Mość... widać ku zmianie idzie... - wyjąkał podstępny Archimadryta i dalej kusić króla, aby jeszcze się nowym jakimś snem odurzył. Namyślił się Rozporyk, przeczytał „Spis Snów” i wybrał „Noc poślubną królowy Niedoidy”. I śniło mu się, że czyta u ognia księgę, zamczystą i przedziwną, w której było opowiedziane słowami wytwornymi, drukiem czerwonym, na pergaminach złożonych, o królowie Niedoidzie, co przed pięcioma wiekami w Dandelii panowała; o jej Lodowym Lesie, Baszcie Spiralnej, o Ptaszarni z Rzeniem, Skarbcu Wielookim, a nade wszystko o jej urodzie i cnocie nadzwyczajnej. I zapragnął Rozporyk owej piękności wielkim pragnieniem i wszystkie jego żądze rozblęły w nim płomieniami palącymi, aż mu blask ognisty żrenice od środka rozjaśnił, i pognał w głąb snu szukać Niedoidy, lecz nigdzie jej nie było, i tylko najstarsze roboty cokolwiek w ogóle o istnieniu owej monarchini pamiętały. Znużony wędrówką trafił wreszcie w samym środku pustyni królewskiej, więc miejscami pozłacanej, na ubogą chatkę; wszedł do niej i ujrzał starca w białej jak śnieg szacie. Ów wstał na jego widok i rzekł mu:

- Szukasz Niedoidy, nieszczęsny! A przecież wiesz, iż owa już od pięciuset lat nie żyje, jak bardzo tedy płonna i daremna jest namiętność twoja! Jedyne, co mogę dla ciebie uczynić, to ukazać ci ją nieprawdziwą, a tylko wymodelowaną sposobem cyfrowym, nieliniowym, stochastycznym i ślicznym, w tej oto Czarnej Skrzyni, którą sobie zbudowałem w wolnych chwilach z rupieci pustynnych!

- Ach, ukaż mi ją, ukaż! - krzyknął Rozporyk, starzec zaś skinał głową, wyczytał z księgi współrzędne królowy, zaprogramował ją i całe średniowiecze, włączył prąd, otwarł na wierzchu Czarnej Skrzyni małą klapkę i rzekł Rozporykowi:

- Patrz, a milcz!

Pochylił się, drżąc, król i zobaczył, w samej rzeczy, wymodelowane nieliniowo i dwójkowo średniowiecze, w nim zaś krainę Dandelię, jej Lodowy Las i pałac królowy z Basztą Spiralną, Ptaszarnię z Rzeniem i Skarbiec w podziemiach Wielooki, a także samą Niedoidę, jak przechadzała się ślicznie i stochastycznie po wymodelowanym lesie, i widać było przez szkiełko w wieku Czarnej Skrzyni, jak jej miąższ, cały w środku czerwony i złoty od elektrycznego jarzenia, szumiał cicho, gdy wymodelowana królowa zrywała wymodelowane kwiatki i nucila sobie wymodelowaną piosenkę; i wskoczył Rozporyk na Skrzynię i jał walić rękami w jej wieko i dobijać się do szkiełka, gdyż pragnął w szaleństwie swoim wtargnąć do zamkniętego w niej świata. Lecz starzec wyłączył

szybko prąd, ściągnął króla na ziemię i rzekł:

- Szalony po trzykroć! Niemożliwości chcesz dostąpić, albowiem nie potrafi istota zbudowana z realnej materii wtargnąć w głąb świata, który jest jeno krążeniem i wirowaniem elementów dwójkowych w modelowaniu cyfrowym, nieliniowym i dyskretnym!

- Ja muszę! Muszę!!! - wrzeszczał bezprzytomnie Rozporyk i trykał łbem bok Czarnej Skrzyni, aż się blacha wygięła, a starzec rzekł:

- Jeżeli takie jest twoje żądanie, umożliwię ci połączenie z królewną Niedoidą, lecz wiedz, że pierwszej stracisz swoją obecną postać; będę bowiem musiał wziąć ci miarę według współrzędnych twoich i wymodelować ciebie samego, atom po atomie, następnie zaś zaprogramuję cię i dzięki temu staniesz się częścią tego świata średniowiecznego i wymodelowanego, który trwa w Skrzyni i będzie w niej trwał póty, póki starczy elektryczności w drutach i żarzenia w anodach i katodach; wszelako ty sam, tutaj przede mną stojący, sceżniesz, i nie będzie cię już inaczej aniżeli pod postacią pewnych prądów wirujących stochastycznie, ślicznie, dyskretnie i nieliniowo!

- Jak mam ci uwierzyć? - spytał Rozporyk. - Skąd wiedzieć mogę, że wymodelujesz mnie, a nie kogoś innego?

- Zrobimy tedy próbę - rzekł starzec. Po czym zważył go, zmierzył, jak to czyni krawiec, ale dokładniej, gdyż wziął miarę z każdego jego atomu, wreszcie zaprogramował Skrzynię i rzekł:

- Patrz!

Spojrzał król przez klapkę i widzi, jak on sam, siedząc u ognia, czyta księgę o królewnie Niedoidzie, jak bieży szukać jej, jak rozpytuje, aż pośród pozłacanej pustyni natyka się na chatkę, a w niej widzi starca, który wita go słowami:

- Szukasz Niedoidy, nieszczęsny! - I tak dalej.

- Przekonałem cię chyba - rzekł starzec, wyłączając prąd - teraz więc zaprogramuję cię w średniowieczu, u boku cudnej Niedoidy, abyś śnił z nią wieczny sen modelowania nieliniowego, cyfrowego...

- Dobrze, dobrze - król na to - ale to wszak jeno podobizna moja, a nie ja, bo ja sam jestem tu, a nie w Skrzyni!

- Zaraz cię tu nie będzie - odparł starzec zyczliwie - albowiem postaram się o to...

Z tymi słowy wydobył spod łoża młot, ciężki, ale poręczny.

- Kiedy będziesz tulił w swych ramionach ukochaną - wyjawiał mu starzec - zrobię tak, aby cię nie było dwa razy, raz tu, a raz tam, w Skrzyni - pewnym sposobem, starym i prostym, więc zechciej nachylić

się mój panie...

- Najpierw musisz mi jeszcze raz pokazać Niedoidę - rzekł król - albowiem chcę sprawdzić doskonałość twojej metody...

Starzec ukazał mu Niedoidę przez szkiełko Czarnej Skrzyni, król zaś patrzył, patrzył, aż rzekł:

- Opis w starej księdze jest grubo przesadzony. Niczego sobie, owszem, ale znów nie taka nadzwyczajna, jak to podają kroniki. Do widzenia, starcze...

I odwrócił się na pięcie.

- Jakże to? Dokąd, szalony?! - krzyknął starzec, ściskając w ręku młot, bo król szedł do drzwi.

- Gdziekolwiek, byle nie do Skrzyni - odparł Rozporyk i wyszedł, a w tej samej chwili sen pękł mu pod stopami jak bańka mydlana i ujrzał się naprzeciw okrutnie rozczarowanego Chytriana w przedpokoju, był już bowiem bliski zamknięcia w Czarnej Skrzyni, z której nigdy by go Archimadryta nie wypuścił...

- Mój Cybernerze, za wiele zachodu w tych twoich snach z damami - rzekł król. - Albo przedstawiś mi jakiś, w którym lubości zaznaje się bez większych tarapatów, albo wynoście mi się z pałacu, ty i szafy twoje!

- Panie! - Chytrian mu na to. - Mam tu sen dla ciebie jak ułał, nadzwyczajnej jakości, napocznij go jeno, proszę, a sam łącno się o tym przekonasz!

- Który to tak zachwalasz? - król pyta.

- Ten, panie - rzecze Archimadryta i wskazuje na tabliczkę perłową z napisem: „Mona Liza, czyli labirynt słodkiej nieskończoności”.

I sam bierze wtyczkę, która królowi u dewizki dynda, aby nie mieszkając, czym prędzej ją do dziurek wetknąć, bo widzi, że źle stoją sprawy: albowiem uniknął wiecznego zamknięcia w Czarnej Skrzyni Rozporyk, niewątpliwie dla tępoty swojej, która uniemożliwiła mu należyte rozkochanie w Niedoidzie ponętnej.

- Czekażże - powiada król - ja sam!

I wetknął wtyczkę. Wszedł w sen i widzi, że dalej jest sobą, Rozporykiem, że w przedpokoju pałacowym stoi, obok niego zaś Chytrian-Cyberner, który mu przedkłada, iż najrozpasańszym ze snów jest „Mona Liza” zwany, albowiem otwiera się w nim nieskończoność rodzaju żeńskiego; posłuchał go więc, podłączył się i rozejrzał za tą Moną Lizą, bo mu się już do jej pieszczot wdzięcznych cknęło, lecz w następnym z kolei śnie znów znajduje się w przedpokoju, obok

koronnego Archimadryty, pośpiesznie tedy włączył się do szafy, wtargnął w sen dalszy, i znowu to samo: przedpokój, a w nim szafy, Cyberner i on sam. - Czy ja śnię? - zawołał, włączył się; znów przedpokój z szafami i Chytrianem; jeszcze go raz - i to samo; i jeszcze raz, i jeszcze, coraz szybciej. - Gdzie Mona Liza, oszuście?! - wrzasnął, za czym wyjął wtyczkę, aby się zbudzić, lecz nic z tego! Dalej jest w przedpokoju z szafami. Zatupał i nuże miotać się od snu do snu, od szafy do szafy, od Chytriana do Chytriana, potem i tego już nie chciał, niczego, jak tylko do jawy powrócić, do tronu ulubionego, do pałacowych intryg i wyuzdań, rwał wtyczki, wtykał na oślep, wyjmował. - O, rety! - wołał i: - Mona Liza! Hej! Halo! - i podskakiwał ze strachu, i w kąty się pchał, szparki szukając, co by go ku ocknięciu zawiodła - wszystko jednak daremnie. Nie wiedział, czemu to tak, nazbyt był bowiem nierozgarnięty, ale tym razem ani tępota, ani trwożliwość, ni słabość go nikczemna uratować już nie mogły. W nazbyt bowiem wiele snów już był zabrnał, zbyt wiele ich szczelnymi kokonami go otaczało, więc chociaż ten czy ów naderwał, mocując się ze wszech sił, nic mu to nie pomagało, bo wtedy w głąb sąsiedniego wpadał, a kiedy wtyczki z szaf wrywał, jedne i drugie były śnione, kiedy Chytriana u boku swego bił, ów także jeno marę senną przedstawiał; zaczął się Rozporyk ciskać i skakać na wszystkie strony, lecz wszędzie nic, tylko sen i sen, odrzwia bowiem, podłogi marmurowe, zasłony złotem dziergane, lampasy, kutasy, on sam wreszcie - wszystko jeno rojenie, pozór i czcza ułuda; grzęznąć tedy zaczął w tym snów trzęsawisku, ginał w ich labiryncie, choć jeszcze brykał i kopał, cóż - kiedy i kopniaki senne i bryki to samo! Łeb rozwalił Chytrianowi - i to na nic, bo nie na jawie, ryczał, a głosu prawdziwego nie wydawał, a kiedy omotany i otumaniony w pewnej chwili doprawdy na jawę się wyrwał, nie umiając jej od snów odróżnić, wetknąwszy wtyczkę, stoczył się z powrotem w sen, i tak być już musiało, i darmo o zbudzenie skomlał, nie wiedział bowiem, że „Mona Liza” to skrót szatański od słowa „monarcholiza”, to jest „rozpuszczanie się królewskie”, gdyż była to ze wszystkich Chytriańskich, przez zdrajcę onego przygotowanych, zasadzka najstraszliwsza...

Taką to opowieść zatrważająco-dydaktyczną przekazał Trurl królowi Męczydlawowi, którego od niej głowa rozboleła, i dlatego zaraz konstruktora odprawił, orderem go Świętej Cyberny odznaczywszy, ze znakiem liliowym sprzężenia zwrotnego na polu, drogocenną informacją zieloną inkrustowanym.

To rzekłszy, druga maszyna do opowiadania zgrzytnęła dźwięcznie

złotymi trybikami, zaśmiała się dziwnie od lekkiego przegrzania niektórych klistronów, zmniejszyła sobie napięcie anodowe, zafilowała, zgasła i odeszła do lektyki przy powszechnym oklasku, co jej elokwencję i zdolności okazane nagroził.

Król Genialon zaś podał Trurlowi puchar, jonów pełen, rżnięty cudnie w fale prawdopodobieństwa, z przeciwrównoległymi fotonami igrające, ów zaś spełnił go i dał znak, za czym trzecia maszyna wystąpiła na środek jaskini i pokłoniwszy się, głosem elektronicznym, toczonym i modulowanym rzekła:

- Oto historia o tym, jak Wielki Konstruktor Trurl wywołał za pomocą starego garnka fluktuację lokalną i co z tego wynikło.

W Gwiazdozbiorze Maglownicy była Galaktyka Spiralna, a w tej Galaktyce był Obłok Czarny, a w tym obłoku było pięć konstelacji poszóstnych, a w piątej konstelacji było słońce liliowe, bardzo stare i nawet ślepage, a wokół tego słońca krążyło siedem planet, a trzecia miała dwa księżyce, i na wszystkich tych słońcach, gwiazdach, planetach i księżycach działały się, zgodnie z rozkładem statystycznym, różne różności i różnostki, a na drugim księżycu trzeciej planety liliowego słońca piątej konstelacji Czarnego Obłoku Galaktyki Spiralnej w Gwiazdozbiorze Maglownicy znajdował się śmietnik, jaki można by znaleźć na każdej innej planecie lub księżycu, całkiem zwyczajny, a więc pełen śmieci i innych odpadków, który powstał skutkiem tego, że Aberrycydzi Glauberscy pobili się wodorowo i nuklearnie z Albumensami Liliackimi, wskutek czego mosty ich, drogi, domy, pałace, a także oni sami zamienili się w kopcę i wiechcie blaszane, które wiatrem meteorytowym przywiało w miejsce, o jakim opowiadamy. Przez wieki wieków nic się na tym śmietniku oprócz śmieci nie działo, a gdy zdarzyło się raz trzęsienie ziemi, to połowa śmieci, które znajdowały się na spodzie, wypłynęła na wierzch, a druga połowa, ta z wierzchu, opadła na spód, co samo w sobie nie miało większego znaczenia, przygotowało atoli fenomen wywołany tym, iż Sławny Konstruktor Trurl, lecąc swą okolicą, olśniony został przez pewną kometę o jaskrawym ogonie. I opędzał się od niej, wyrzucając przez okno próżniopławu to, co mu akurat nawinęło się pod rękę, a były to szachy podróżne, puste w środku, które wypełniał był dawniej okowita, beczki po prochu, którego nie udało się wymyślić Warłajom z gwiazdy Chloreley, jako też różne stare naczynia, a wśród nich pęknięty garnek gliniany. Garnek ów, zyskawszy chyżość, zgodną z prawami grawitacji, przyspieszony ogonem komety, prasnął w zbocze nad śmietnikiem, wpadł niżej do kałuży, pośliznął się na błocie, zjechał

na dół do śmieci i potracił przyrdzewiałą blaszkę, która przez to owinęła się wokół miedzianego drucika i wsunęły się między brzegi blaszki odłamki miki, i powstał kondensator, a drut, opasawszy garnek, uczynił zaczątek solenoidu, kamień zaś, poruszony przez garnek, pchnął kawał zardzewiałego żelastwa, który był starym magnezem, i od tego ruchu powstał prąd, i przesunął szesnaście innych blaszek i śmietnikowych drutów, i rozpuściły się tam siarczki i chlorki, i atomy ich poprzyczepiały się do innych atomów, a molekuly pobeltane zaczęły siadać okrakiem na innych molekułach, aż się z tego w samym środku śmietniska zrobił Obwód Logiczny, i innych pięć, oraz dodatkowo osiemnaście, tam, gdzie garnek rozleciał się wreszcie w kawałki, a wieczorem wylazł na brzeg śmietniska, opodał wyschłej już kałuży, takim przypadkowym sposobem utworzony Majmasz-Samosyn, który nie miał ojca ani matki, ale sam był sobie synem, albowiem ojcem jego był Traf, a matką - Entropia. I wydostał się Majmasz ze śmietnika, bynajmniej nie zdając sobie sprawy z tego, iż miał tylko jedną szansę powstania na sto supergigacentylionów do heksptylionowej potęgi, i szedł sobie, aż doszedł do następnej kałuży, która nie zdążyła jeszcze wyschnąć, tak że mógł się w niej swobodnie przejrzeć, gdy przykląkł na brzegu. I zobaczył w lustrze wody swoją głowę całkiem akcydentalną, z uszami jak przetracone strucle, lewym skośnym, a prawym nadpękniętym, swój przypadkowy tułów, co się był ukulgał z blach, blaszysk i blaszątek, częściowo walcowaty, bo się był kulgał, wyczołgując ze śmietniska, a środkiem węższy, na kształt kibici, ponieważ w tym miejscu akurat przewalił się już na samym brzegu przez leżący tam kamień, ujrzał też swoje ręce śmieciaste i nogi odpadkowe, i policzył je, a miał ich wskutek zbiegu okoliczności po parze, i swoje oczy, a tych przez czysty traf było dwoje, i zachwycił się niezmiernie sobą Majmasz-Samosyn, i westchnął nad smukłością swej kibici, parzystością członków, okrągłością głowy, i zawołał w głos:

- Zaprawdę! Jestem czarowny, a nawet doskonały, co najwyraźniej implikuje Doskonałość Wszelkiego Stworzenia!! O, jakże dobrym być musi ten, co mię stworzył!

I pokuszykał przed siebie, roniąc słabo przymocowane śrubki (albowiem nikt ich porządnie nie wkręcił), i nucąc hymny na cześć Harmonii Przedustawnej, a po siedmiu krokach potknął się, albowiem niedowidział, i rymnął łbem na dół z powrotem w śmietnisko, i nic się nie działo z nim oprócz rdzewienia, rozpadania się i korozji ogólnej przez dalszych trzysta czternaście tysięcy lat, ponieważ upadł na głowę i porobiły mu się zwarcia, i nie było go na świecie. A po tym czasie

zdarzyło się, że pewien kupiec, wioząc swym starym statkiem anemony dla Będźwinogów z planety Nieduzy, pokłócił się w pobliżu liliowego słońca ze swym pomocnikiem i rzucił w niego butami, a jeden but wybił okno i wyleciał w próżnię, za czym krażenie owego buta podległo perturbacjom wskutek tego, że kometa, która olśniła ongiś Trurla, znalazła się znowu w tym samym miejscu, i ów but, wirując powoli, spadł na Księżyc, lekko tylko osmolony tarciem atmosferycznym, odbił się od zbocza i kopnął leżącego w śmietniku Majmasza-Samosyna akurat z takim impetem i pod takim przypadkowo kątem, iż wskutek sił odśrodkowych, ciśnień skrętnych i ogólnego momentu obrotowego ponownie uruchomiona została odpadkowa mózgownica owej akcydentalnej istoty. A stało się tak dlatego, ponieważ, kopnięty, Majmasz-Samosyn wpadł do pobliskiej kałuży i rozpuścił sobie w niej chlorki i jodki, i zbulgotało mu w głowie od elektrolitu, i powstał tam prąd, który laził tędy i owędy, aż wskutek tego łożenia i krażenia Majmasz siadł w błocie i pomyślał sobie: - Zdaje się, że jestem!

Lecz nic więcej nie był w stanie pomyśleć przez dalszych szesnaście wieków, a tylko polewał go deszcz i młócił go grad, i rosła mu entropia, lecz po tysiącu i pięciuset dwudziestu latach pewien ptaszek, przelatując nad śmietnikiem, przerażony, bo gonił go drapieżnik, ulżył sobie dla zwiększenia chyżości i trafił Majmasza w czoło, i nastąpiło wzbudzenie i wzmocnienie, i Majmasz kichnął, za czym rzekł sobie:

- Doprawdy, jestem! I nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. Wszelako pytanie, kto taki właściwie mówi: jestem? To znaczy: kim ja jestem? Jak tu znaleźć odpowiedź? Ba! Gdyby oprócz mnie było jeszcze coś, cokolwiek, z czym mógłbym się zestawić i porównać - pół biedy, ale sęk w tym, że nie ma nic, bo widać, że absolutnie nic nie widać! Jestem więc tylko ja i stanowią samą, gołą wszechmożliwość, bo przecież mogę myśleć, o czym zechcę, lecz czym to ja jestem właściwie - pustym miejscem do myślenia, czy jak?

W samej rzeczy bowiem nie posiadał już żadnych zmysłów, które się przez minione wieki zupełnie popsuły i porozłaziły, albowiem nieubłaganą władczynią jest miłośniczka Chaosu, bezlitosna Entropia. Nie widział tedy Majmasz ani matki-kałuży, ani błota-rodzica, ani świata całego, nic nie pamiętał o tym, co się przedtem z nim działo, i w ogóle nie mógł już nic, jak tylko myśleć. To jedno potrafił, a więc tym jedynym zajął się na dobre.

- Należałoby - rzekł sobie - wypełnić tę próżnię, którą jestem, a przez to odmienić jej nieznośną monotonię. A zatem wymyślmy coś; kiedy to

wymyślmy, pomyślne stanie się, albowiem nie ma nic oprócz myśli naszych.

- Jak widać, stał się już nieco zadufał, bo rozmyślał o sobie w liczbie mnogiej.

- Byłoby możliwe - rzekł sobie tedy - aby istniało coś poza mną? Powiedzmy na chwilę, choć to brzmi nieprawdopodobnie, szaleńczo nawet, że tak. Niechaj się to inne nazywa Gozmozem. A więc istnieje Gozmoz i ja w nim jako cząsteczka jego!

Tu zatrzymał się, rozważył rzecz i całkiem mu się ta hipoteza wydała bezzasadną. Brak było wszelkich dla niej racji, wszelkich podstaw, argumentów, przesłanek, uznał ją tedy za uroszczenie czyste, za nadmiar uzurpacji, zawstydził się mocno i powiedział sobie:

- O tym, co jest na zewnątrz mnie, jeżeli w ogóle jest tam cokolwiek, nic nie wiem. O tym atoli, co wewnątrz, będę wiedział, załedwie to coś pomyślę, któż bowiem, jeśli nie ja sam, u kroćset! - ma się znać na myślach moich?! - I wymyślił po raz drugi Gozmoz, ale teraz osadził go już we własnym wnętrzu duchowym; wydało mu się to daleko skromniejsze, przyzwoitsze i bliższe postawy rzeczowej, ku jakiej dążył. I jał wypełniać ten swój Gozmoz pomyślanymi różnościami. Najpierw, że wprawy jeszcze nie miał, wymyślił Paciorkitów, którzy zajmowali się wychwindrzaniem byle czego, oraz Poklepcytów, którzy lubowali się w śwai. I pobili się zaraz Poklepcyci z Paciorkitami o śwaję, aż dostał Majmasz-Śmietnik bólu głowy i nic z tego stworzenia świata oprócz migreny dlań nie wynikło.

Podjął tedy dalsze próby stwórcze w sposób bardziej już przezorny i wymyślał elementa podstawowe, jako to gaz szlachetny, czyli pierwiastek doskonały Calsonium, i pierwiastek duchowy, Dumalium, i mnożył byty, myśląc się od czasu do czasu, lecz po paru wiekach nabrał już pewnej wprawy i wcale solidnie wykonał w myśli Gozmoz swój własny, w którym żywot pędziły rozliczne plemiona, istności, byty i zjawiska, i było tam wcale lubo, ponieważ uczynił on prawa owego Gozmozu wielce liberalnymi, gdyż nie spodobała mu się myśl o prawidłowościach srogich, owym regulaminie koszarowym, jakiego używa Matka Natura (wszelako nie znał jej i nic o niej nie wiedział).

Był tedy świat Samosyński pełen kapryśnej cudowności i raz działo się w nim tak - i już, a raz owak - całkiem inaczej, także bez żadnej przyczyny. A jeśli ktoś miał w owym świecie zginąć, zawsze jeszcze dawało się tego uniknąć, gdyż postanowił Majmasz nie dopuszczać do zejść nieodwoalnych. I dobrze wiodło się w myślach jego Gondrałom,

Kaleusom, co Calsonium dobywali, i Klofundrom, i Benignie, i Otrzymkom - przez wieki całe. A przez ów czas odpadły Majmaszowi jego ręce śmietniste i nogi odpadkowe, i zabarwiła się rdzawo woda kałuży wokół pysznej ongi kibici jego i powoli zapadał się tułowiem w bagienny il. A właśnie rozwieszał był z czułością pełną uwagi nowe konstelacje w mroku wiecznym swej świadomości, Gozmozem mu będącej, i jak umiał, dbał bezinteresownie o to, aby pamiętać dokładnie o wszystkim, co tylko był pomysłem stworzył; i chociaż bolała go z tego głowa, nie ustawał, gdyż czuł się i potrzebny Gozmozowi swojemu, i poważnie względem niego zobowiązany. Lecz rdza tymczasem przegryzała mu blachy wierzchnie, o czym przecież nie wiedział, a skorupa denna garnka Trurlowego, który go był przed tysiącletkami powołał do bytu, kołysząc się na fali kałużowej, pomału się do niego przybliżała, i ledwo już tylko łbem nieszczęsnym wystawał z wody. I w chwili kiedy właśnie wyroił sobie Majmasz czysto-szklistą Baucis łagodną i wiernego jej Ondragora, i kiedy oboje wędrowali wśród ciemnych słońc jego wyobraźni w powszechnym milczeniu wszystkich ludów gozmozowych, z Paciorkitami włącznie, i cicho się nawoływali - pękł przerdzewiały czerep pod lekkim stuknięciem garnka wiatrem pchniętego, wdarła się woda brunatna w głąb zwojów miedzistych i pogasiła elektryczność obwodów logicznych, i obrócił się Gozmoz Majmaszowy w nicość, nad wszystko doskonałą. A ci, co dali mu początek, wraz ze światów zbiorowiskiem, nigdy się o tym nie dowiedzieli.

Tu skłoniła się maszyna czarna, król zaś Genialon zamyślił się nieco żalobnie, a głęboko, aż jęli źle patrzeć na Trurla biesiadnicy, że umysł królewski taką omroczył opowieścią. Król jednak uśmiechnął się zaraz i spytał:

- Maszże jeszcze w zanadrzu cokolwiek, moja maszyno?

- Panie - odparła, skłoniwszy się głęboko - opowiem ci historię przedziwnie otchłanną Chloryana Teorycego dwojga imion Klapostoła, intelektryka i myślanta mamoińskiego.

Zdarzyło się, że świetny konstruktor Klapaucjusz, łaknąc wytchnienia po pracach ogromnych (sporządził był bowiem królowi Grobomiłowi Maszynę Której Nie Było - co atoli jest historią osobną), trafił na planetę Mamonidów i szedł tam tędy i owędy, samotności szukając, aż ujrzał na skraju boru dzikim cyberberysem całkiem zarosłą chatkę, z której dym się unosił. Rad był ją ominąć, ujrzawszy atoli stojące przed nią beczki puste po atramencie, a zaskoczony owym widokiem, zajrzał do wnętrza. Za stołem z wielkiego głazu uczynionym,

na drugim, mniejszym, który był mu stołkiem, siedział starzec, tak usmolony, przerdzewiały i podrutowany, aż dziw było patrzeć. Czoło miał w wielu miejscach powgniatane, oczy ze skrzypem wielkim obracały mu się w oprawach, także i członki skrzypiały bezsmarowne, i cały on tylko drutom a sznurkom zawdzięczał byt ladajaki, na strasznym wiedziony bezprądziu, o którym świadczyły dobitnie tu i tam porzucane kawałki bursztynu; pocieraniem ich nieszczęśnik prąd życiodajny dobywał! Na widok takiej nędzy dusza obróciła się litosierna w Klapaucjuszu i już do sakiewki sięgał dyskretnie, gdy starzec, dopiero teraz ujrzawszy go okiem zmętniałym, wrzasnął piskliwie:

- Przyszedłeś wreszcie?!

- Ano przyszedłem... - bąknął Klapaucjusz zdziwiony tym, że tam go oczekiwano, gdzie wcale być nie zamierzał.

- Teraz? A więc zgiń, przepadnij, połam też ręce, kark i nogi - uniósł się wrzaskiem straszliwym staruch i tym, co wokół niego leżało, a było to przeważnie śmiecie wszelakie, ciskać jął w osłupiałego Klapaucjusza. Kiedy atoli zmęczył się i ustał, bombardowany jął go pytać łagodnie, czemu takie przyjęcie zawdzięcza. Starzec jakiś czas pomrukiwał jeszcze: - A bodajby cię zwarło! - A bodajbyś się na wieki zaciał, korozjo! - wszelako po upływie pewnego czasu, uspokoiwszy się, na tyle dał się udobruchać, że posapując, z podniesionym palcem, klnąc kiedy niekiedy, a iskrząc gęsto, aż ozonem pośmierdywało, takimi słowy opowiedział mu swą historię:

- Wiedz, cudzoziemcze, iżem jest myślant z myślantów pierwszy, ontologią z powołania się parający, imieniem (którego blask gwiazdy kiedyś zaćmi) Chloryan Teorycy Klapostoł. Urodziłem się z rodziców ubogich, od dziecka pociąg czując do myślenia byt penetrującego. Mając lat szesnaście, napisałem dzieło me pierwsze pod tytułem *Bogotron*. Jest to ogólna teoria bóstw aposteriorycznych, które to bóstwa dlatego muszą być Kosmosowi przez wysokie cywilizacje dorabiane, ponieważ, jak wiadomo, materia pierwsza jest, a przeto na samym początku nikt nie myśli. Panować tedy musi w zaraniu dziejów kompletna bezmyślność, no i rzeczywiście, popatrz tylko, proszę, na ten Kosmos, jak wygląda!! - Tu zakrztusił się starzec gniewem, zatupał, po czym, osłabłszy, dalej rzecz ciągnął. - Wyjaśniłem więc konieczność dorabiania bogów z tyłu, skoro ich z przodu nie było; i wszelka cywilizacja, intelektryką się parająca, ku niczemu innemu nie zmierza jak tylko ku zbudowaniu Wszechmocnicy Ultymatywnej, czyli rektyfikatora zła, to jest prostownika dróg Rozumu. W dziele tym zawarłem zaraz plan pierwszego Bogotronu, a także

charakterystykę dzielności jego mierzonej w bogonach. Jednostka taka wszechmocy oznacza równoważnik czynienia cudów w promieniu miliarda parseków. Gdy praca owa ukazała się własnym moim nakładem, wybiegłem co rychlej na ulicę, tego pewien, iż lud mię zaraz na barkach swych uniesie, kwiatami uwieńczy i złotem obsypie, aliści nawet cybernarydn kulawy mnie nie pochwalił. Zdumiony tym raczej niż rozczarowany, siadłem zaraz i napisałem *Młot na Rozum* w tomach dwóch, gdzie wyjaśniłem, iż każda cywilizacja ma przed sobą dwie drogi, a to albo siebie samą zadrzeć, albo zapieścić doszczętnie. Jedno bądź drugie czyni, pożerając po trosze Kosmos i przerabiając gwiazd szczątki na sedesy, kołki, tryby, cygarnice i jaśki, bierze się to zaś stąd, iż Kosmosu pojąć nie mogąc, pragnie to Niepojęte przemienić jakoś w Pojęte i nie ustaje, póki mgławic w kloaki, a planet w łóżnice i bomby nie poprzerabia, mając przy tym na oku Wyższą Ideę Porządku, gdyż dopiero Kosmos wybrukowany, skanalizowany i skatalogowany wydaje się jej dostatecznie przyzwoity. W drugim zaś tomie pod nazwą *Advocatus Materiae* przedstawiłem, iż Rozumowi wskutek zachłanności wtedy tylko lubo, gdy uda mu się jakowyś gejzer kosmiczny zniewolić lub rojowisko atomowe do tego zaprząć, aby maść przeciw piegom wytwarzało. Po czym zaraz rzuca się ku następnemu zjawisku, aby je, jako *tropheum*, do pasa scienceficznych łupów przytroczyć. Wszelako i owe dwa tomy znakomite świat milczeniem przyjął; powiedziałem sobie wtedy, iż wszystko jest cnota cierpliwości, a wytrwanie przy swoim. Po obronie zatem Kosmosu przed Rozumem, który na nice wywróciłem, jako też Rozumu przed Kosmosem, którego bezwina się na tym zasadza, iż Materia z bezmyślności jeno wszelakich paskudztw się dopuszcza, napisałem z natchnienia nagłego *Krawca Bytu*, gdzie wywiodłem logicznie, iż spory filozofów bezsensowną są rzeczą, każdy bowiem winien mieć filozofię własną, tak do siebie, jak kurta, przykrojona. Ponieważ i to dzieło głucha cisza powitała, zaraz stworzyłem następne; podałem w nim wszystkie możliwe hipotezy na temat Kosmosu; pierwszą, w myśl której nie ma go wcale, drugą, iż jest to wynik błędów niejakiego Kreatoryka, który usiłował stworzyć świat, zielonego pojęcia o tym nie mając, jak to się robi, trzecią, iż świat jest to szaleństwo pewnego Supermózgu, co się na własnym tle wściekł w sposób bezkresny, czwartą, iż to myśl, niedorzecznie zmaterializowana, piątą, iż to materia kretyńsko myśląca - i, pewny swego, czekałem zaciekle ze mną sporów, rozgłosu, ukorzeń, zachwyków, zwieńczeń, wreszcie ataków i klątw; atoli znów nic się całkiem nie stało. Wtedy już zdumieniu mojemu nie było granic.

Pomyślałem, iż być może za mało studiuję innych myślantów, i wnet, nabywszy ich dzieła, po kolei przestudiowałem najślawniejszych, a więc Frenezjusza Paciora, Bulfona Struncla, twórcę szkoły strunclistów, Turbuleona Kratafalka, Sferycego Logara, jak również samego Lemuela Łysego.

Nic w nich atoli godnego uwagi nie znalazłem. Tymczasem dzieła me rozchodziły się z wolna, rozumowałem więc, iż ktoś je czyta, a skoro czyta, rezultaty się pokażą. W szczególności nie wątpiłem, iż wezwie mnie Tyran, żądając, abym nim się zajmował jako tematem głównym i jego chwałę głosił. Umyśliłem też sobie dokładnie, jak mu odpowiem, iż Prawda mi wszystkim i dla niej gotówem życie oddać. Tyran, łaknąc pochwał, które by mój umysł wspaniały zdołał złożyć, będzie mnie próbował na miód łask brać, trzosi dźwięczne do stóp mi rzuci, a widząc moją niezłomność, powie za podszeptem sofistów, iż skoro ja się Kosmosem zajmuję, godziłoby mi się i nim zająć, bo i on jest wszak Kosmosu pewnym fragmentem. Ja na to szyderstwem zaraz bluznę, więc mnie na męki wyda; hartowałem tedy zawczasu ciało, by najstraszniejszym sprostać. Wszelako dni i miesiące mijały, a Tyran jakoś nic, daremnie się tedy i na męki gotował. Jedynie pewien gryzipiór, imieniem Dusimił, napisał w wieczornym brukowcu, iż trefniś Chloryanek zajmuje się bajaniem bajęd i bajdołów w książce pod tytułem *Bogotron, czyli Wszechnocnik Ostateczny*. Rzuciłem się do dzieł moich - istotnie, wskutek omyłki druku, w tytule „Wszechmocnik” „n” miast „m” się wkradło... Zamierzałem zrazu zabić go, lecz rozważa zwyciężyła. - Przyjdzie jeszcze czas mój! - rzekłem sobie. - Nie może to być, aby ktoś jak groch sypał prawdy ostateczne dniem i nocą, aż blask Poznania od nich bucha Ultymatywnego - i nic! Przyjdzie rozgłos, przyjdzie sława, tron z kości słoniowej, tytuł Myślęgi Pierwszego, miłość ludów, ukojenie w ciszy sadu, własna szkoła, uczniowie kochający i wiwatujący tłum! Albowiem takie właśnie marzenia żywi każdy z myślantów, mój cudzoziemcze. Owszem, powiadają, iż Poznanie jest jedynym ich pożywieniem, a Prawda - napitkiem, że dóbr ziemskich nie pragną ni uścisków elektrytek, ni blasku złota, ni gwiazd orderowych, ni sławy i chwały Włóż to między bajki, mój pocziwcze zamorski! Wszyscy łakną tego samego, a różnica między nimi a mną taka, że ja, w ogromie ducha mego, do onych słabostek jawnie się przyzna wam i bez sromu. Wszelako lata płynęły, a inaczej, jak Chloryanek, Chlorecek-trefniś nikt mnie nie nazywał. Gdy przysła czterdziesta rocznica urodzin mych, zadziwiłem się, iż tak długo już czekam na odzew masowy, a tu nic. Siadłem więc i

napisałem dzieło o Enefercach, którzy są ludem najbardziej w całym Kosmosie rozwiniętym. Co, nie słyszałeś o nich? Ja także nie, albowiem nie widziałem ich i nie obaczę; istnienie ich atoli udowodniłem w sposób czysto dedukcyjny, logiczny, konieczny i teoretyczny. Skoro bowiem - tak szedł mój wywód - w Kosmosie są cywilizacje rozmaicie rozwinięte, najwięcej być musi przeciętnych, średnich, inne zaś już to zapóźniły się w rozwoju, już to naprzód w nim wysforowały. Gdy zaś masz taki rozkład statystyczny, to jak w gronie osób, gdzie wzrostem średnich najwięcej, jedna atoli osoba i tylko jedna najwyższą być musi, podobnie i w Kosmosie musi gdzieś istnieć cywilizacja, co osiągnęła Najwyższą Fazę Rozwoju. Mieszkańcy jej, Enefercy, wszystko to już wiedzą, o czym my nawet nie śnimy. W czterech tomach ująłem rzecz, zrujnowawszy się i na papier kredowy, i na portret autora, wszelako i ta trylogia podzieliła los swych poprzedników. Przeczytałem ją rok temu, od deski do deski, z lubości najwyższej łyż roniąc, tak jest genialnie napisana, tak absolutem tchnąca, że wprost nie do wypowiedzenia. Ach, od zmysłów pod pięćdziesiątkę odchodziłem! Bywało, nakupię sobie dzieł a pism myślantów, co rozkoszy a bogactw zażywają, aby dowiedzieć się, co też tam za treści. Były to dzieła o różnicy między przodkiem a tyłkiem, o budowie cudnej tronu monarszego, jego poręczach słodkich i nogach sprawiedliwych, traktaty o polerowaniu wdzięków, opisy szczegółowe tego i owego, przy czym nikt tam sam siebie wcale nie chwalił, wszelako tak już to się jakoś składało, że Struncel podziwiał Paciora, a Pacior - Struncla, obaj hołdami przez Logarytów zasypywani. Porastało też w chwałę trzech braci wyrwackich - z nich Wyrwander ciągnął w górę Wyrwacego, Wyrwacy - Wyrwisława, ów zaś - Wyrwandra z kolei. Wtedy, gdym owe dzieła ich studiował, jakiś szal mnie ogarnął zły, rzuciłem się na nie, tłamsiłem, darłem, przeżuwałem nawet... aż łkania ustały, łyż obeschły i zaraz siadłem pisać dzieło o *Ewolucji Rozumu jako Zjawisku Dwutaktowym*.

Albowiem, jak to udowodniłem tam, kolista więź łączy bladawców z robotami. Najpierw, skutkiem zakulgania śluzu ilastego na brzegu morskim, powstają istoty klejkie, białawe, stąd zwane Albumensami. Po wiekach tego one dochodzą, jak ducha tchnąć w metale, i czynią sobie z Automatów sługi niewolne. Po pewnym atoli czasie, odwrotną rzecz koleją, Automaty, wyzwoliwszy się od klejkich, poczynają eksperymenta, czyby się czasem nie dało świadomości w kisiel tchnąć i gdy na białku spróbują, to im się udaje. Lecz syntetyczni bladawcy po milionie lat znów imają się żelaza i tak się to w wieczność na przemian kręci; jak widzisz,

rozstrzygnąłem w ten sposób spór odwieczny o to, co było pierwsze - robot czy bladawiec? Posłałem to dzieło Akademii, było w skórkowych tomach sześciu, a na jego wydanie resztę ojcowizny straciłem. Trzebaż powiedzieć, iż świat także przemilczał je okrutny. Stuknęła mi sześćdziesiątka, siódmy krzyżyk się zbliżał i nadzieje sławy doczesnej nikły. Cóż było robić? Jałem rozmyślać o wiecznej, o potomkach, o pokoleniach następnych, które odkryją mnie i w proch przede mną na twarz padną. Tu atoli niejaki uległy się we mnie wątpliwości, co ja właściwie będę z tego miał, skoro mnie nie będzie? I musiałem, zgodnie z naukami mymi zawartymi w czterdziestu czterech tomach z parergą i paralipomeną tego dojść, że absolutnie nic. Zakipiało mi w duszy i siadłem, by pisać *Testamentum dla Potomności*, aby ją należycie skopać, oplwać, zelżyć, ohańbić i pozniewać, jak się tylko da, ścisłymi sposobami. Co? Powiadasz, iż to niesprawiedliwe, że gniew mój winienem zwrócić przeciwko współczesnym moim, co mię zapoznali? Ba! Mój pocziwczel! Przecież kiedy przyszła sława moja każde słowo onego *Testamentum* rozświeci, współcześni dawno już w proch się rozsypią, na kogo tedy mam miotać klątwy, na nieobecnych? Gdybym postąpił, jak mówisz, potomkowie studiowaliby dzieła me w smacznym spokoju, dla przyzwoitości jeno wzdychając: - Biedny! Jakim cichym heroizmem była wielkość jego zapoznana! Jak słusznie gniewał się na dziadów naszych, z czułym oddaniem nam dzieło życia swego ofiarowując! - Tak byłoby przecie! Więc cóż? Winnych nie masz? Idiotom, co mnie żywcem pogrzebali, śmierć ma być tarczą przed piorunem pomsty? Na samą myśl taką nagły smar mnie zalewa! Będą dzieła me w spokoju pożywali, przez dobre wychowanie, za mną, na ojców pomstując? A niedoczekanie!!! Niechże ja przynajmniej kopnę ich zdalnie, bo z za grobu! Niech wiedzą ci, co będą imię moje miodem smarować i pozłotą wizerunkom moim przydawać aureoli, że właśnie za to życzę im, aby szperklapy połamali do ostatniej, aby na ciężkie przepięcia się pochorowali, aby im łby zaraza grynszpanowa rozniosła, skoro tyle tylko potrafią, by truchła z cmentarzy przeszłości wygrzebywać! Może wśród nich jakiś nowy, niezmierny myślant będzie rósł, owi wszakże, zajęci odszukiwaniem resztek korespondencji, jaką z praczką prowadziłem, wcale go nie dostrzegą! O, tedy niech wiedzą koniecznie, iż serdeczna moja klątwa i najszczęszy mój wstręt jest z nimi i wśród nich, że mam ich za liżygrobów, pieścitrupów, szakalistów, co się dlatego zewłokami pasa, bo nikt spośród nich na żywej mądrości poznać się nie umie! Niechże, wydając dzieła me wszystkie, a z musu między nimi także owo

Testamentum, ostatnim przekleństwem brzemiennie, do nich adresowanym, wyzbęda się ci nekromanci, owi zwłokolubowie, samozadowolenia z tego, iż był ich rodu mędrzec niezmierny, Chloryan Teorycy dwojga imion Klapostoł, który na wieki wieków wprzód nauczał! Niech im przy sidolowaniu postumentów moich ta wiedza przyświeca, że życzyłem im wszystkiego najgorszego, co tylko mieści w sobie Kosmos, a nienawistność mej klątwy, w przyszłość skierowanej, dorównuje tylko jej bezsile. A przeto życzę sobie, aby wiedzieli, że nie przyznaję się do nich i nie ma między mną a nimi nic prócz obrzydzenia szczerzego, jakie dla nich żywię!!!

Próżno usiłował Klapaucjusz w trakcie owej przemowy ukoić wrzeszczącego starca. Ów zerwał się przy ostatnich słowach na równe nogi, a wygrażając pięścią przyszłym pokoleniom, z gębą pełną słów okropnych, nie wiedzieć jak w ciągu tak chlubnego życia poznanych, zażarty, zsiniały, zatupał, zaryczał, błysnął cały i runął martwy od przepięcia cholerycznego na ziemię! Klapaucjusz, srodze stroska ny tak niemiłym obrotem wypadków, usiadł opodal na głazie, podjął *Testamentum* i jał je czytać, wszelako od gęstwy epitetów, przyszłości dedykowanych, już na drugiej stronie w oczach mu zamrowiło, a z końcem trzeciej otrzeć musiał zroszone nagle czoło, albowiem zmarły w cnocie Chloryan Teorycy dał dowody szpetnomówstwa, kosmicznie całkiem nieprześcignionego. Przez trzy dni, z oczami w słup, czytał owo *documentum* Klapaucjusz, aż zamyślił się: ma li je światu objawić czy też zniszczyć? I do dziś tak siedzi, rzeczy rozstrzygnąć nie mogąc...

- Najwyraźniej - rzekł król Genialon, gdy maszyna, skończywszy opowieść, odeszła - widzę w tym jakoweś aluzje do problemów płatniczych, które nam już bliskie, gdyż po nocy pięknie przebijanej świt dnia nowego do jaskini zagłada. A przeto powiedz, mój miły konstruktorze, czym i jak chcesz, abym cię nagrodził?

- Panie - rzekł Trurl - wprawiasz mnie w zmieszanie. Czegokolwiek zażadam, jeśli otrzymam to, będę może żałować potem, że więcej nie żądałem. Zarazem nie chciałbym dotknąć Waszej Królewskiej Mości wygórowanymi roszczeniami. Łasce tedy monarszej pozostawiam ustalenie wysokości honorarium...

- Niech i tak będzie - król życzliwie na to. - Opowieści były świetne, maszyny - doskonałe, a przeto nie widzę innego sposobu, jak tylko obdarować cię największym skarbem, jakiego byś, tego jestem całkiem pewien, na żaden inny nie zamienił. Daruję cię zdrowiem i życiem - oto, jak mniemam, właściwa nagroda. Każda inna widziałyby mi się

nieprzystojnością, albowiem nie zrównoważy złoto Prawdy ni Mądrości. Bądź mi tedy zdrów, przyjacielu, i nadal ukrywaj przed światem prawdy, zbyt dlań okrutne, dla niepoznaki między bajki je wkładaj ąc.

- Panie - rzekł Trurl zdumiony - czyżbyś pierwotnie zamierzał mnie życia pozbawić? Czy takie miało być moje wynagrodzenie?

- Słowa moje możesz sobie wykladać, jak chcesz - król na to. - Co do mnie, tak rzecz rozumiem: gdybyś mnie tylko zabawił, szczodropliwości mej nie umiałbym granic postawić. Uczyniłeś więcej, a przeto żadne bogactwa nie mogą zrównoważyć twego dzieła; dając ci dalszą możliwość działania takiego, jakim się wsławiłeś, nie mam dla ciebie wyższej zapłaty ni nagrody...



ALTRUIZYNA CZYLI OPOWIEŚĆ PRAWDZIWA O TYM, JAK PUSTELNIK DOBRYCY KOSMOS USZCZEŚLIWIĆ ZAPRAGNAŁ I CO Z TEGO WYNIKŁO

Pewnego dnia letniego, gdy konstruktor Trurl zajęty był przycinaniem gałązek cyberberysu, który hodował w swym ogródku, ujrzał zbliżającego się drogą oberwańca, litość i grozę pospołu budzącego swym wyglądem. Robot ów miał wszystkie członki obwiązane sznurkiem i posztukowane przepalonymi rurami od piecyków, zamiast głowy - stary garnek dziurawy, w którym myślenie jego dudniło i zacinało się, iskrząc, kark wzmocniony prowizorycznie kawałkiem sztachety, a w otwartym brzuchu trzęsące się i filujące lampy katodowe, które ten nieszczęśnik przytrzymywał swobodną ręką, drugą nieustannie dokręcając śrubki poluzowane; kiedy zaś, kuszący, mijał furtkę Trurlowej posiadłości, przepaliły mu się cztery naraz bezpieczniki, tak że w kłębach dymu i fetorze skwierczącej izolacji zaczął się rozsypywać na oczach konstruktora. Ów, współczucia pełen, natychmiast porwawszy śrubokręt, obcęgi i bandażę smołowe, pospieszył wędrowcowi z pomocą, przy czym tamten wielokrotnie mdlał z okropnym rżeniem trybów wskutek ogólnej desynchronizacji; na koniec jednak udało się Trurlowi przywieść go do jakiejś takiej przytomności i opatrzonego już usadził w paradnym pokoju, a podczas gdy biedak chciwie podładowywał się z baterii, Trurl, nie mogąc dłużej powściągnąć ciekawości, zaczął pytać, co też przywiodło go do tak okropnego stanu.

- Litościwy panie - odparł nieznany robot z wciąż jeszcze dygocącymi magnesami - nazywam się Dobrycy, a jestem, to znaczy byłem, pustelnikiem-anachoreta; trawiłem czas w pustyni na rozmyślaniach pobożnych przez lat sześćdziesiąt i siedem. Wszelako pewnego ranka przyszło mi do głowy, czy też słusznie czynię, pędząc żywot w samotności? Czy wszystkie moje rozmyślenia otchłanne i dociekania duchowe zdołają choć jeden nit powstrzymać od wypadnięcia? Zali nie pierwszym moim obowiązkiem jest nieść pomoc bliźnim, a o własne zbawienie na drugim dopiero troszczyć się miejscu? Azali...

- Już dobrze, dobrze, pustelniku - powstrzymał go Trurl. - Stan duszy twojej z tego poranka mniej więcej rozumiem. Mów, proszę, co było dalej.

- Udałem się do Fotury, gdzie poznałem przypadkiem pewnego

znakomitego konstruktora nazwiskiem Klapaucjusz.

- Ach! Czy być może? - zawołał Trurl.

- Co takiego, panie?

- Nie, nic! Mów, proszę, dalej.

- To jest - nie od razu go poznałem; był to wielki pan, jechał karocą automatyczną, z którą mógł sobie gadać jak ja z tobą; karoca ta, gdym stanął na środku ulicy, nienawykły do miejskiego ruchu, ubliżyła mi wielce nieprzystojnym słowem, tak że mimo woli zdzielił kosturem przez latarnię; wówczas dopiero się wściekła, aliści pasażer poskromił ją, a mnie zaprosił do wnętrza. Opowiedziałem mu tedy, kim jestem i dlaczego opuściłem pustynię, a także, iż nie wiem, co czynić dalej; on zaś decyzję moją pochwalił i ze swej strony przedstawił się, jak również prawił długo o swych pracach i dziełach; na koniec zaś opowiedział mi całkiem poruszającą historię Chloryana Teorycego dwojga imion Klapostoła, słynnego myślanty i zofomana, przy którego smutnym końcu był sam obecny. Z wszystkiego, co o *Księgach* tego Wielkiego Robota mówił, najbardziej poruszyła mnie rzecz o Enefercach. Czy słyszałeś, litościwy panie, o tych istotach?

- Owszem. Chodzi o istoty jedyne w Kosmosie, które osiągnęły już Najwyższą Fazę Rozwoju, nieprawdaż?

- Ależ tak, panie, masz wiadomości wyborne całkiem! Gdym siedział u boku znakomitego Klapaucjusza w karecie (która bezustannie najokropniejszymi obelgami miotała w tłum, niechętnie ustępujący nam z drogi), przyszło mi do głowy, że kto jak kto, ale owe istoty, tak rozwinięte, że już lepiej nie można, na pewno wiedzą, co należy czynić, kiedy się odczuwa takie parcie dobra i taką chęć czynienia go bliźnim, jak właśnie ja. Zwróciłem się więc zaraz do Klapaucjusza z pytaniem, gdzie też przebywają Enefercy i jak ich znaleźć? On atoli uśmiechnął się tylko dziwnie, potrząsnął w zadumie głową i nic nie odpowiedział. Nie śmiałem być natarczywy; wszelako potem, kiedy znaleźliśmy się już w karczmie (bo kareta, kompletnie ochrypnięwszy, straciła głos, tak że dalszą podróż musiał pan Klapaucjusz odłożyć do dnia następnego), przy dzbanie polewki jonowej humor mego gospodarza poprawił się, i patrząc na pary, które szparko wywijają cyberka przy skocznych tonach kapeli, przypuścił mnie do konfidencji, by taką opowiedzieć historię... Ale może pan znudzony jesteś moim opowiadaniem?

- Nie, nie! - żywo zaprzeczył Trurl. - Słucham uważnie.

- „Mój Dobrycy pocziwy! - rzekł mi pan Klapaucjusz w owej karczmie, kiedy aż iskry szły z taneczników - wiedz, że niezmiernie

wziętem sobie do serca historię nieszczęśliwego Klapostoła i uznałem, że winienem wyruszyć niezwłocznie na poszukiwania owych istot doskonale rozwiniętych, których konieczność uzasadnił on w sposób czysto logiczny i teoretyczny. Widziałem atoli trudność główną przedsięwzięcia w tym, że wszak każda rasa kosmiczna ma siebie za najdoskonalej rozwiniętą, tak tedy pytaniem niczego nie wskóram; lecieć zaś na chybił trafił było o tyle niepewne, że, jak mi to wyszło z rachunków, w Kosmosie istnieje około czternastu centygygaheptatrybillionardów społeczności wcale rozumnych, więc sam widzisz, że z odnalezieniem właściwego adresu jest pewien kłopot. Rozwahałem rzecz tak i owak, przetrząsałem biblioteki, księgi stare, aż odnalazłem pewną istotną wskazówkę w dziele niejakiego Trupusa Malignusa, który odznaczył się tym, że doszedł do tegoż wniosku co Klapostoł, ale o trzysta tysięcy lat wcześniej, wszelako całkowicie został zapoznany. Jak z tego widać, nie masz nic nowego pod żadnym ze słońc, i nawet skończył Trupus podobnie jak Chloryan... Ale to nie ma nic do rzeczy. Tak więc z owych odcyfrowanych strzępów dowiedziałem się, jak należy szukać Eneferców. Malignus wywodził, że musi się przetrząsać rojowiska gwiazdne, dążąc do odnalezienia tego, co niemożliwe; i gdy się coś takiego znajdzie, pewne już, że to właśnie tam. Niechybnie, była to wskazówka pozornie ciemna, od czegoż jednak jasność umysłu? Zaraz ochędożyłem statek i puściłem się w drogę. O tym, czego w niej doznałem, zamilczę; powiem jeno, że zauważyłem wreszcie w kurzawie gwiazd jedną, tym różniącą się od wszystkich innych, że była kwadratowa. Ach! Jakie to było wstrząśnienie! Przecież każde dziecko wie, że gwiazdy muszą być co do jednej okrągłe i o żadnej ich kanciastości, a jeszcze do tego regularnie czworokątnej, i mowy nie ma! Natychmiast zbliżyłem statek do owej gwiazdy i wnet dostrzegłem jej planetę, która była też czworokątna, wyposażona przy tym na narożach w zamczyste okucia. Nieco dalej krążyła inna, całkiem już zwykła planeta; nacelowałem na nią lunetę, aby ujrzeć watahy robotów, które łamały gnaty innym; nie zachęcało to specjalnie do lądowania. Wróciłem przeto do porzuconej za rufą planety-skrzyni i raz jeszcze wypenetrowałem ją gruntownie dalekowszkiem. Jakże radosne przeniknęło mię drżenie, gdy na jednym z milowych jej okuc odczytałem powiększony w soczewkach

monogram, bogato rzeźbiony, z trzech składający się liter: NFR!

- Wielkie nieba! - rzekłem sobie. - To tu!

Wszelako latając wokół niej do zawrotu głowy, nie mogłem dojrzeć na jej piaszczystych równinach ani żywego ducha. Dopiero zbliżywszy się

na odległość sześciu mil, rozróżniłem nagromadzenie ciemnych kropek, które w polu widzenia superteleskopu okazały się mieszkańcami tego ciała niebieskiego. Było ich koło setki; spoczywali byle jak na piasku i martwota owa porządnie mnie zaniepokoiła, ale przekonałem się, że od czasu do czasu ten czy ów drapie się smacznie, a te oczywiste oznaki przytomności skłoniły mnie do lądowania. Nie mogłem się doczekać wystygnięcia rakiety, jak zwykle rozpalonej tarciami powietrznymi; wyskoczyłem z niej, biorąc po trzy stopnie, i pogałem między leżących, wołając już z daleka:

- Przepraszam! Czy to tu jest Najwyższa Faza Rozwoju?!!

Nikt mi atoli nie odpowiedział, co więcej - nikt nie zwrócił na mnie choćby najmniejszej uwagi. Zaskoczony taką obojętnością, straciłem rezon i obejrzałem sobie uważnie całe otoczenie. Równinę oblewały blaski kwadratowego słońca. Z piasku sterczały tu i ówdzie jakieś połamane kółka, wiechcie, papiery i inne odpadki, miejscowi zaś spoczywali wśród nich byle jak, ten na plecach, ów na brzuchu, a któryś z dalej leżących zadarł nawet obie nogi i celował nimi od niechcienia w zenit. Obszedłem sobie najbliższego. Nie był to robot, ale nie był to i człowiek czy inny białecznik z rodzaju trzęskich. Głowę miał wprawdzie dość pulchną, z rumianymi policzkami, zamiast oczu wszakże - dwie małe fujarki, a w uszach - kadzidło, cicho płonące, które otaczało go obłokiem wonnego dymu. Odziany był w orchideowe pantalone z sinym lampasem, dzierganym strzępami brudnego zapisanego papieru, obuty zaś był w rodzaj płóz, w rękach trzymał bandurę, wypieczoną z lukrowanego piernika, o napoczętej już korbie, a przy tym cicho i wcale miarowo chrapał. Kiedy spróbowałem odczytać gryzmoły na papierkach wszytych w lampasy spodni, ocierając oczy łzawiące od dymu kadzidła, udało mi się to tylko z niektórymi; były to dość dziwne napisy, takie na przykład: NR 7 - BRYLANT - GÓRA WAGI SIEDMIU CETNARÓW, NR 8 - CIASTECZKO DRAMATYCZNE, ŁKA JEDZONE, PRAWI MORĄŁY Z BRZUCHA, NUCI TYM WYŻEJ, IM JEST NIŻEJ, NR 10 - GOLKONDRYNA DO DZIUMBANIA, DOROSŁA - i inne, jakich już nie pamiętam. Kiedy zaś wielce tym oszołomiony dotknąłem jednego z papierków, aby go rozprostować, w piasku przy samej nodze leżącego zrobił się dołek i cichy głosik spytał stamtąd:

- Czy już? - Kto mówi? - zawołałem. - To ja, Golkondryna... zaczynać? - Nie, nie trzeba! - odparłem spieszenie i oddaliłem się z tego miejsca. Następny tubylec miał głowę w kształcie dzwonu, z trzema rogami, kilkanaście rąk większych i mniejszych - przy czym dwie

malutkie masowały mu żołądek - uszy długie i upierzone, czapkę z małym, purpurowym balkonem, na którym ktoś klócił się z kimś, chyba niewidzialny, bo latały tylko malutkie talerzyki, tłukąc się tu i tam, jak również coś w rodzaju brylantowego jaśka pod plecami. Osobnik ów, gdym przed nim stanął, wyjął jeden róg z głowy, powąchał go i odrzuciwszy z niesmakiem, nasypał sobie do środka trochę brudnego piasku. Tuż obok leżało coś, co wziąłem za parę bliźniat; potem pomyślałem, że to kochankowie w uścisku, i chciałem oddalić się dyskretnie, ale to była po prostu ani jedna osoba, ani dwie, a tylko półtorej. Głowę miała całkiem zwykłą, ludzką, tylko uszy co chwila odrywały się od niej i fruwały po otoczeniu, trzepocąc jak motylki. Powieki tej osoby były zamknięte, za to liczne brodawki na czole i policzkach, opatrzone maleńkimi oczkami, patrzyły na mnie z wyraźną nieprzyjaźnią. Piers miał ten dziwny stwór szeroką, rycerską, z mnóstwem dziur, jakby niechlujnie powywiercanych - tkwiły w nich polane sokiem malinowym pakuchy; nogę tylko jedną, ale za to bardzo grubą, obutą w safianowy trzewik z filcowym dzwoneczkiem; obok jego łokcia wznosił się stos ogonków gruszek czy jabłek. Przejęty coraz większym osłupieniem poszedłem dalej i napotkałem robota z ludzką głową, który miał w nosie malutki samograj z rybkami; innego, leżącego w kałuży konfitur poziomkowych, trzeciego z otwartą w plecach klapką, tak że widziało się jego kryształowe wnętrzości; odgrywały tam ciekawe sceny jakiegoś nakręcanego krasnoludki, lecz to, co wyczyniały, było tak nieprzystojne, że z rumieńcem odskoczyłem od klapki jak oparzony. Przy tym skoku straciłem równowagę i upadłem, a podnosząc się, zobaczyłem tuż przed sobą nowego mieszkańca planety: goły, drapał się złotą drapaczką w plecy, przy czym czynił to, przeciągając się lubo, choć był bez głowy. Ta ostatnia, odstawiona dogodnie, z szyją w piasku, liczyła językiem zęby w szeroko otwartej gębie. Czoło miała miedziane z białym szlaczkiem, w jednym uchu kolczyk, a w drugim patyczek; na patyczku było napisane drukowanymi literami: MOŻNA. Nie wiem sam, czemu pociągnąłem za ów patyczek i w ślad za nim wyłoniła się, dobytą z ucha tej gołej osoby, nitka z lodowatym cukrem i wizytówką noszącą napis: DALEJŻE! Ciągnąłem więc, aż skończyła się owa nić - u jej koniuszka dyndał malutki papierek, też zapisany słowami: CIEKAWE, CO? TO WON!

Wszystko to razem odjęło mi zmysły, życie umysłowe, jak również mowę. Podniósłszy się wreszcie na równe nogi, poszedłem dalej, szukając kogoś, kto by wyglądał mi na osobę gotową odpowiedzieć chociaż na

jedno pytanie. Wydało mi się w końcu, że znalazłem takiego w małym grubasie, który siedział tyłem do mnie, zajęty czymś, co trzymał na kolanach. Miał tylko jedną głowę, dwoje uszu, dwoje rąk, więc obchodząc go z lewej strony, zacząłem:

- Przepraszam, wszak nie mylę się, to panowie byli łaskawi osiągnąć Najwyższą Fazę Ro...

Słowa te zamarły mi atoli na ustach. Siedzący ani drgnął, nie wydawało się, aby usłyszał cokolwiek z tego, co mówiłem. Trzeba przyznać, iż był wcale zajęty, trzymał bowiem na kolanach własną twarz odłączoną od reszty głowy i, nieznacznie wzdychając, wiercił palcem w jej nosie. Zrobiło mi się nijako. Rychło wszakże zdumienie moje przeszło w ciekawość, ta zaś w żądzę natychmiastowego zrozumienia, co też właściwie dzieje się na tej planecie, jałem zatem biegać od jednego do drugiego z leżących, przemawiając do nich głośno, a nawet wrzaskliwie, i pytałem, groziłem lub błagałem, perswadowałem, molestowałem, a gdy to nie odniosło najmniejszego skutku, chwyciłem tego, który dłubał sobie w nosie, za rękę, ale odskoczyłem w największym przerażeniu, została mi bowiem w garści; on wszakże, nie zwracając na mnie uwagi, pogmerał obok w piasku, dobył z niego inną rękę, podobną, ale z lakierowanymi w pomarańczową kratkę paznokciami, chuchnął na nią i przyłożył sobie do barku, za czym natychmiast przyrosła. Wówczas pochyliłem się ciekawie nad ręką, którą mu poprzednio wyrwałem, ona zaś dała mi prztyczka w nos. Tymczasem słońce zaszło już dwoma rogami za horyzont, wiaterek ucichł, mieszkańcy zaś Eneferii drapali się z cicha, czkali, czochrali i najwyraźniej szykowali do snu; ten potrzepywał sobie brylantową pierzynkę, tamten układał systematycznie obok siebie nos, uszy, nogi, robiło się ciemno, tak że, podreptawszy jeszcze tu i tam, z westchnieniem jałem się także sposobić do noclegu. Wygrzebałem sobie tedy w piasku spory grajdoł i wzdychając, ległem w nim, aby patrzeć w granatowe niebo opryskane gwiazdami. Rozważałem, co począć dalej, i rzekłem sobie:

- Doprawdy! Wszystko wskazuje na to, że w samej rzeczy odnalazłem planetę przewidzianą przez Trupusa Malignusa i Chloryana Teorycego Klapostoła, Najwyższą Cywilizację Wszechświata, która składa się z paruset osób, ani robotów, ani ludzi, leżących wśród śmieci i odpadków na jaśkach brylantowych, pod diamentowymi kołdrami, na pustyni, niezajętych niczym oprócz czochrania się i drapania; musi się w tym kryć jakaś okrutna tajemnica, i żeby tam nie wiedzieć co - nie spocznę, póki jej nie zgłębię!!

I myślałem dalej:

- Straszliwa to musi być zagadka, która okrywa wszystko na tej planecie kwadratowej, z kwadratowym słońcem, sprośnymi krasnoludkami w krzyżach i lodowatym cukrem w uchu! Wyobrażałem sobie zawsze, że skoro jako całkiem zwykły robot zajmuję się naukami i kształceniami, to coś dopiero za kształcenia i nauczania muszą się dziać wśród lepiej rozwiniętych, aby nie wspomnieć o tych najdoskonalszych! Wygląda mi na to, że czym jak czym, ale rozmowami, a w szczególności ze mną, nie mają ochoty się zajmować. A trzeba ich koniecznie zmusić do tego - jak? Winienem chyba zaleźć im za skórę, tak uprzykrzyć życie, takie zastosować molestacje, aby mieli mnie zupełnie dość! Co prawda jest w tym niejakiemu ryzyko, bo rozgniewani mogliby mnie łatwiej unicestwić, aniżeli ja pchełkę. Trudno atoli dopuścić, aby uciekali się do czynów tak brutalnych, a zresztą żądza poznania pali mi duszę! Wszystko jedno! Spróbuję!

To pomyślawszy, zerwałem się na równe nogi już w zupełnej ciemności i jałem wrzeszczeć wniebogłosy, wywracać koziółki, fikać i drygać, kopać leżących bliżej, sypać im piaskiem w oczy, podskakiwać, tańczyć, ryczeć, ażem ochryplł całkiem; wtedy siadłem, zrobiłem kilka ćwiczeń gimnastycznych i znowu rzuciłem się między nich jak bawół oszalały; oni zaś odwracali się ode mnie grzbietami, podtykali mi do trykania brylantowe jaśki lub pierzynki, a gdym wywrócił jakiegoś pięćsetnego koziółka, błysnęło mi w omroczonej głowie:

- Zaprawdę, toż by się dopiero zdziwił mój serdeczny druch, gdyby mnie mógł w tej chwili zobaczyć i ujrzał, czym to ja się zajmuję na planecie, która osiągnęła Najwyższą Fazę Rozwoju Kosmicznego!!

- To jednak wcale nie przeszkadzało mi w dalszych porykiwaniach i przytupach. Słyszałem bowiem, jak naszeptywali się z cicha:

- Kolego!...
- A co?
- Słyszycie, co się wyrabia?
- Co nie mam słyszeć?
- Przed chwilą omal mi głowy nie rozbił.
- Włóż sobie inną.
- Ale on spać nie daje.
- Co?
- Mówię, że nie daje spać...
- Widać z ciekawości - dodał trzeci szept.
- Okrutnie go już sparła!
- To jak, zrobić mu co, czy niech nas męczy dalej?

- Ale co?
- Bo ja wiem? Może mu zmienić charakter?
- Kiedy nieładnie jakoś...
- A czemu taki zaciekle? Słyszysz, jak wyje?
- No, to ja zaraz...

Coś tam poszeptali, podczas kiedy ja nadal wylem, stękałem i fikałem, koncentrując wysiłki w okolicy, z której dobiegły mnie szepty. Właśnie stałem na głowie, to jest głową na brzuchu jednego z nich, gdy objęła mnie noc czarnej nicości; ciemność omroczyła mi zmysły, ale trwała - tak mi się przynajmniej wydało, kiedym się ocknął - ledwo ułamek sekundy. Wszystkie kości bolały mnie jeszcze od drygów i prysiudów, ale nie znajdowałem się już na planecie. Siedziałem niezdolny ruszyć ręką ni nogą, w głównym salonie mego statku, a tym, co mię przytrzymało, była istna góra słoików z konfiturami, drumli i niedźwiadków marcepanowych, katarynek z brylantowymi dzwoneczkami, talarów, dukatów, nausznic złotych, bransolet i klejnotów, od których taki blask bił, że oczy musiałem zamknąć. Kiedy zaś z największym wysiłkiem wygramoliłem się spod owej góry drogocенności, ujrzałem przez okno krajobraz gwiazdowy i ani śladu w nim - kwadratowego słońca; jakoż pomiary wykazały niebawem, że sześć tysięcy lat musiałbym lecieć całą mocą, aby wrócić w jego okolice. Tak zatem pozbyli się mnie Enefercy, gdy nadto dałem im się we znaki; pojawiwszy, że nawet powrotem do nich niczego nie wskóram, bo wszak nic dla nich łatwiejszego, jak wyekspediować mnie znów hiperspacjalnie lub podprzestrzennie tam, gdzie raki zimują, postanowiłem wziąć się do rzeczy całkiem inną metodą, mój zacny Dobrycy"... - tymi słowy zakończył swą opowieść znakomity konstruktor Klapaucjusz, litościwy panie...

- Nic ci więcej nie powiedział? Nie może to być! - zawołał Trurl.

- O! Powiedział! Powiedział, łaskawy mój dobroczyńco, i z tego właśnie wynikła moja tragedia! - odparł poturbowany ciężko robot.

- Kiedy pytałem, co ma zamiar uczynić, pochylił się ku mnie i rzekł:

„Zadanie wydawało mi się zrazu beznadziejne. Wszelako znalazłem sposób. Ty, mój pustelniku, jako prosty, niewykształcony robot nie pojmiesz arkanów rzecz otaczających, mniejsza o nie tedy; w zasadzie sprawa jest zresztą dosyć prosta: trzeba zbudować odpowiednie urządzenie cyfrowe, zdolne do modelowania wszystkiego, co istnieje. Ono, właściwie zaprogramowane, wymodeluje ci Najwyższą Fazę Rozwoju... i tym samym będzie można

pytać je dla uzyskania Ostatecznych Odpowiedzi!"

„Ale jak zbudować takie urządzenie? - spytałem. - I skądże pewność, wielmożny Klapaucjuszu, że ono nie wyśle nas po pierwszym pytaniu, gdzie pieprz rośnie, tym hipersupersposobem, jakiego ośmielili się użyć wobec ciebie Enefercy?"

„Ach, to już fraszka - rzekł - spuść się na mnie; ja będę pytał o Tajemnicę Eneferców, a ty - o to, jakimi sposoby możesz najlepiej wcielić w działania przyrodzoną ci abominację do wszelkiego zła, szlachetny Dobrycy!"

- Nie muszę wyjawiać, panie, że ogarnęła mnie radość nadzwyczajna, rychło też u boku Klapaucjusza jałem asystować w budowie urządzenia. Okazało się, że pan Klapaucjusz wznosił je dokładnie według planów tragicznie zmarłego Chloryana Teorycego Klapostoła, był to właśnie sławetny Bogotron jego pomysłu, urządzenie, które zdziałać może wszystko w promieniu Kosmosu całego; przy tym niezadowolony z tej nazwy pan Klapaucjusz nie ustawał w wymyślaniu dlań innych, coraz to wyszukańszych, chrzcząc ów ogrom to Wszechmocnicą, to Ulymatorem Omnigenerycznym, to znów Ontogielnią; mniejsza zresztą o te nazwy, dosyć, że w rok i dni sześć wzniesiona została owa straszliwa aparatura, którą dla oszczędności umieściliśmy w pustym wnętrzu Rapundry, wielkiego Księżyca Niedolańców; i, zaprawdę, mrówka mniej jest zagubiona we wnętrzu transatlantyku, niż myśmy byli wśród tych otchłani miedzianych, transformatorów eschatologicznych, tych hagiopneumatycznych perfekcjonatorów i prostowników zła; wyznać też muszę, że włos mi się jeżył druciany, zasychało w stawach i zęby poszczękiwały, kiedy mnie pan Klapaucjusz usadził przed Pulpitem Ostatecznym i pozostawił sam na sam z ową maszyną, całkiem przepastną, a sam gdzieś po coś skoczył. Jak gwiazdy na wysokościach widziałem jej rozjarzone światła wskazujące, wszędzie lśniły groźne napisy: UWAGA! WYSOKA TRANSCENDENCJA! - potencjały logiczne i semantyczne osiągały w szklach zegarów milionowe zera, a pod stopami moimi przelewały się z cicha oceany tej nadludzkiej i nadrobociej mądrości, jaka zaklęta w parseki zwojów i hektary magnesów trwała przede mną, pode mną, nade mną, osaczając ze wszech stron, iżem się poczuł unicestwiony do pyłka w mej nikczemnej głupocie. Przemógłszy się atoli, wezwawszy w myśli na pomoc moje całe umiłowanie Dobra i namiętność, jaką dla Prawdy żywiłem od tyciej szpulki, otwarłszy zeszywniałe wargi, zadałem drżącym głosem pierwsze pytanie: „Kim jesteś?"

Wówczas lekki, ciepły dech, z dreszczem metalicznym przeszedł przez owo szklane pomieszczenie, a głos z pozoru cichy, ale tak potężny, że mnie przeszył na wylot, ozwał się:

Ego sum Ens Omnipotens, Omnisapiens, in Spiritu Intellectronico Navigans, luce cybernetica in saecula saeculorum litteris opera omnia cognoscens, et caetera, et caetera.

Rozmowa toczyć się musiała po łacinie, ja atoli dla wygody przytoczę ci ją, jak umiem, wielmożny panie, w przekładzie na język bardziej potoczny. Gdym usłyszał głos maszyny i kiedy mi się przedstawiła, lęk mój jeszcze wzmógł się, tak że dopiero Klapaucjusz, powróciwszy, umożliwił kontynuowanie rozmowy w ten sposób, że zmniejszył transcendencję, a wszechmoc zredukował do jednej stumiliardowej; wówczas poprosiłem, aby Ulytmator zechciał odpowiedzieć na pytania dotyczące Najwyższej Fazy Rozwoju i jej strasznych tajemnic. Klapaucjusz jednak rzekł, iż nie tak postępować należy; zażądał, aby Ontogielnia wymodelowała w swych otchłaniach srebrnych i kryształowych osobnika rodem z kwadratowej planety, nakłoniwszy go zarazem do niejakiego gadulstwa - i wówczas dopiero rzecz się zaczęła właściwa.

Ponieważ nie mogłem - wstyd wyznać - przewyciężyć jankania, jakie mnie z trwogi opadło, Klapaucjusz zajął moje miejsce przy Pulpicie Ostatecznym i zaczął:

„Kim jesteś?”.

„Ile razy mam odpowiadać na to samo pytanie?” - zdenerwowała się maszyna.

„Chodzi mi o to, czy jesteś człowiekiem, czy robotem” - wyjaśnił Klapaucjusz.

„A jaka jest według ciebie różnica?” - odezwał się głos z maszyny.

„Jeżeli będziesz odpowiadać pytaniami na pytania, rozmowa prędko się nie skończy! - zagroził Klapaucjusz. - Wiesz na pewno, co mam na myśli! Gadaj!”.

Struchlałem jeszcze bardziej od tak śmiałego tonu konstruktora, ale może i miał słuszność, maszyna rzekła bowiem:

„Czasem ludzie budują roboty, czasem roboty - ludzi; to, czy myśli się metalem, czy kisiem, jest obojętne. Mogę przybierać dowolne rozmiary, kształty i postacie; a mówiąc ściślej - tak było, bo teraz nikt z nas już się takimi błahostkami nie para”.

„Tak? - odparł Klapaucjusz. - A dlaczego tak leżycie i nic nie robicie?”.

„A co mamy robić?” - odparła maszyna, Klapaucjusz zaś, powściągnawszy gniew, rzekł:

„Tego nie wiem. My, w niższej fazie rozwoju, robimy masę rzeczy”.

„Myśmy też robili podówczas”.

„A teraz już nie?”.

„Nie”.

„Dlaczego?”.

Tutaj wymodelowany nie chciał zrazu odpowiadać, twierdząc, że przeżył już sześć milionów takich indagacji, z których ani dla niego, ani dla pytających nic nie wynikło, ale dodawszy nieco transcendencji i obróciwszy pokręta, Klapaucjusz wymógł na nim odpowiedź.

„Miliard lat temu byliśmy zwykłą cywilizacją - rzekł głos. - Wierzyliśmy wtedy w cyberchanioty, w mistyczną więź zwrotną każdej istoty z Wielkim Programistą i inne takie rzeczy. Potem wszakże pojawili się sceptycy, empiryści i akcydentaliści, którzy w dziewięć wieków doszli do tego, że Nikogo nie ma i wszystko jest możliwe, wszelako nie dla racji wyższych, a tylko ot - tak sobie”.

„To jest - jak to: tak sobie?” - odważyłem się wtrącić zdumiony.

„ Jak wiesz, bywają garbate roboty - odparł głos z maszyny.

- Gdy nęka cię garb i pokręcenie, a zarazem wierzysz, że jesteś taki, bo w tej postaci pragnął cię Przedwieczny i plan twego pokręcenia wypełniał mgławicę Jego zamysłów jeszcze przed stworzeniem świata, łatwo się wtedy ze swym stanem pogodzisz. Ale gdy ci powiedzą, że to jeno skutek poślizgnięcia się paru atomów, co nie powskakiwały na właściwe miejsca, cóż ci pozostaje prócz nocnego wycia?”.

„ Ależ pozostaje, pozostaje - zawołałem ufnie. - Garb można wszak wyprostować, pokręcenie odkręcić, trzeba na to tylko wysokiej wiedzy!”.

„Wiem o tym! - rzekła ponuro maszyna. - Istotnie, prostakom tak się to wydaje...”.

„Więc tak nie jest?” - zdumieliśmy się obaj z Klapaucjuszem.

„Gdy przychodzi czas prostowania garbów - rzekła maszyna - możliwości są już zgoła bezlitosne! Można nie tylko garby prostować, ale i sztukować rozum, słońca czynić kwadratowymi, planetom dorabiać nogi, produkować syntetyczne losy, daleko słodsze od prawdziwych; zaczyna się to niewinnie, od krzesania krzemieni, a kończy na budowaniu wszechmocnic i wszechmocników! Pustynia naszej planety nie jest pustynią, lecz Superbogotronem, milion razy potężniejszym od tego prymitywnego pudła, któreście zbudowali; stworzyli go pradziadowie nasi dlatego, że wszystko inne wydawało im się już nazbyt łatwe i chcieli z

piasku myśli kręcić; uczynili tak z megalomanią, całkiem niepotrzebnie, bo gdy można czynić wszystko, to już nic absolutnie dodać do tego się nie da; rozumiecież to, o, słabo rozwinięci?!".

„Tak, tak! - rzekł Klapaucjusz, gdy ja tylko drżałem. - Czemu atoli, zamiast zajmować się ożywczą działalnością, leżycie, czochrając się, w tym genialnym piasku?"

„Ponieważ najwszechmocniejsza jest wszechmoc tylko wtedy, gdy nic absolutnie nie robi! - odparła maszyna. - Na szczyt można wyjść, ale wszystkie drogi ze szczytu prowadzą w dół! Mimo tego, co się stało, jesteśmy całkiem porządne osoby, więc niby dlaczego mielibyśmy cokolwiek robić? Już prapradziadowie nasi - ot, dla wypróbowania Bogotronu - uczynili nasze słońce kwadratowym, a planetę - skrzyńsiastą, najwyższe jej góry przekształciwszy w szereg monogramów. Równie dobrze można by pokratkować gwiazdy, połowę ich zgasić, drugą rozpalić, skonstruować istoty zaludnione mniejszymi istotami, tak aby myśli olbrzymów były tańcami karzełek, być w milionie miejsc naraz, przemieścić galaktyki, by układały się we wzory miłe dla oka, wszelako powiedz mi, proszę, dlaczego właściwie mielibyśmy podjąć się któregośkolwiek z tych zadań? Co się polepszy w Kosmosie od tego, że gwiazdy będą trójkątne albo na kółkach?"

„Mówisz nonsensa!! - oburzył się okrutnie Klapaucjusz, gdy ja tylko dygotałem coraz silniej. - Skoro jesteście równi bogom, obowiązkiem waszym jest zlikwidować natychmiast wszelkie cierpienia, troski, nieszczęścia, jakie trapią istoty wam podobne, a zacząć winniście chociażby od sąsiadów waszych, którzy, jak to sam widziałem, rozbijają sobie łby bezustannie! Jak śmiecie, zamiast zaraz się do tego zabrać, leżeć niechlujnie, dłubiąc i wtykając uczciwym podróżnym, co mądrości szukają, cukier lodowaty do ucha?!"

„Nie pojmuję, czemu ten cukier akurat tak cię zirytował - rzekła maszyna. - Ale mniejsza o to. Jeśli cię rozumiem, pragniesz, abyśmy uszczęśliwiali, kogo się tylko da. Przedmiotem tym zajmowaliśmy się gruntownie około piętnastuset wieków temu. Dzieli się on na felicytologię nagłą, czyli niespodziewaną, i powolną, czyli ewolucyjną. Ewolucyjna polega na tym, aby i palcem nie ruszać, w przeświadczeniu, iż każda cywilizacja tak czy inaczej powolutku sama da sobie radę; w sposób nagły zaś można uszczęśliwić albo po dobremu, albo siłą. Uszczęśliwianie siłą sprowadza, jak wykazuje rachunek, sto do ośmiuset razy więcej nieszczęść niż powstrzymanie się od wszelkiej aktywności. Po

dobremu zaś uszczęśliwiać też nie można, bo - aczkolwiek wydaje się to dziwne - skutki są takie same, czy użyjesz Superbogotronu, czy też Infernatora Pieklicowego, zwanego też Gehennicą. Słyszałeś może o tak zwanej Mgławicy Kraba?"

„Owszem - Klapaucjusz na to - jest to resztką powłok Gwiazdy Supernowej, która wybuchła ongiś..."

„A jużci - rzekł głos. - Gwiazdy Supernowej, rzeczywiście! Była tam, mój pocziwce, planeta w miarę rozwinięta, ociekająca, jako taka, niemałą ilością łez i krwi. Opuściliśmy na nią jednego ranka osiemset milionów Spełniarek Życzeń, aleśmy nie oddalili się jeszcze od niej i na tydzień światła, kiedy rozleciała się w drobny mak i rozlatuje do dnia dzisiejszego! Podobnie było z planetą Hominasów... czy mam ci o niej opowiedzieć?"

„Nie trzeba! - burknął Klapaucjusz. - Nie wierzę, aby nie dało się w sposób przemyślny i przezorny uszczęśliwiać!"

„Nie wierzysz? Co ja na to poradzę? Próbowaliśmy tego sześćdziesiąt cztery tysiące pięćset trzysta razy. Włosy wstają jeszcze na wszystkich posiadanych przeze mnie głowach, kiedy sobie przypomnę rezultaty. Wierzaj mi, żeśmy nie oszczędzili trudu dla dobra innych! Zbudowaliśmy specjalną aparaturę do zdalnej spektroskopii marzeń, wszelako pojmujesz chyba, że jeśli na jakiejś planecie szaleje wojna religijna i każda ze stron marzy o tym, aby wyróżnić drugą, nie w tym widzieliśmy nasze zadanie, aby te życzenia pospelniać! Chodziło tedy o to, żeby uszczęśliwiać, idei wyższego dobra nie naruszając. Ale to nie wszystko, albowiem większość cywilizacji kosmicznych w głębinach ducha życzy sobie rzeczy, do których nie śmie się jawnie przyznać, więc znów dylemat, czy pomagać im w tym, co one robią przez resztki wstydu i przyzwoitości, czy też w spełnianiu skrytych rojeń? Wziąć by ot - choćby dwie dla przykładu: Demencytów i Amencytów; pierwsi, w stadium uczciwego średniowiecza, żywcem palili paktujących z diabłem rozpustników, a zwłaszcza rozpustnice, raz dlatego, że im zazdrościli uciech z szatanem zażytych, a dwa, że katować w aureoli wymiaru sprawiedliwości sprawiało im nadzwyczajną lubość. Amencyci znów w nic już, oprócz ciała własnego, nie wierzyli i maszynami mu dosładzali, lecz z powściągiem pewnym, nazywając to zajęcie rozrywką; mieli oni pudła szklane, do których wtlaczali różne gwałty, mordy, pożogi, powiększając sobie tylko apetyt ich oglądaniem. Opuściliśmy na ich planety deszcz urządzeń, które tak były obliczone, aby żądze zaspokajać bez szkody niczyjej, a to stwarzaną w sobie sztuczną rzeczywistością; za

czym Demencyci w sześć, Amencyci zaś w pięć tygodni zachwycili się na śmierć, w głos wrzeszcząc ze szczęścia doznawanego! Czy o takie może metody chodzi ci, niedorozwinięta istoto?"

„Jesteś głupcem albo potworem! - warknął Klapaucjusz, gdy ja już od zmysłów całkiem odchodziłem. - Jak śmiesz chełpić się tak plugawymi czynami?"

„Ja się nimi nie chełpię, jak się z nich spowiadam - odparł spokojnie głos. - Próbowaliśmy wszak, mówię, wszystkich kolejno sposobów. Obruszaliśmy na planety deszcze bogactw, potopy sytości i nadmiaru, paraliżując na nich wszelki wysiłek i pracę; dawaliśmy dobre rady, w zamian za które ogień otwierano do naszych kompotierów, to jest talerzy latających. Bo, zaprawdę, należałoby ducha przerobić pierwej w tych, których zamierza się uszczęśliwić..."

„Podobno możecie i to uczynić!" - zgrzytnął Klapaucjusz.

„Ależ możemy, pewno, że możemy! Ot, wziąć by choć sąsiadów naszych zamieszkujących ziemiopodobną, czyli ziemowatą planetę, Antropanów! Zajmują się oni wychwindrzaniem i turbaczeniem głównie, a to z obawy przed prukwiarnią, która jest według nich poza bytem i czeka na grzeszników swoją paszczą wiecznymi płomieniami wysadzana; naśladowując zaś błogosławionych Cymbrabeliansów, rajskiego Łambudasa i unikając Ohydancji z jej Ohydansami, młodzieniec antropański staje się z wolna dzielniejszy, lepszy, szlachetniejszy, niż byli jego ośmiorecy przodkowie. Prawda, walczą Antropanowie z Bajoranami o prymat Dusu nad Musem, względnie Musu nad Dusem (gdyż są tu zdań sprzecznych), ale zauważ, że w takich wojnach ginie tylko ich część, podczas gdy ty chciałbyś, abym ja, wyrwawszy im z głów wszystką ich wiarę w wychwindrzania, prukwiarnie i całą resztę, uczynił ich gotowymi do racjonalnego uszczęśliwienia. Lecz w ten sposób dokonałoby się morderstwo psychiczne, bo powstałe istoty nie byłyby już wszak ani Bajoranami, ani Antropanami; czyż tego nie rozumiesz?"

„Przesąd należy zastąpić wiedzą!" - rzekł twardo Klapaucjusz.

„Ależ oczywiście! Wszelako zważ, proszę, że żyje tam teraz około siedmiu milionów pokutników, którzy nieraz życie całe strawili na gwałceniu własnej natury, aby tym bliźnich od prukwiarni zbawić; jakże tedy wyjawię im w ciągu minut i to tak, aby nie mieli już żadnych wątpliwości, że wszystko to było na nic i że zmarnowali całe życie na praktykach dokładnie bezużytecznych? Czyż to nie byłoby okrucieństwem? Wiedza sama musi zastąpić przesąd, ale do tego potrzebny jest czas. Weźmy tego garbusa, o którym mówiliśmy. Żyje w

słodkiej ciemnocie, wierząc, iż garb jego pełni w dziele Stworzenia rolę aż kosmiczną. Gdy mu wyjaśnisz, że jest on skutkiem omyłki atomowej, tylko go unieszczęśliwisz. Wypadałoby zaraz mu go naprostować...".

„A pewno, że tak!” - palnął Klapaucjusz.

„Ba! I to się robiło! Sam dziad mój wyprostował raz trzystu garbusów za jednym zamachem. Jakże cierpiał potem!”.

„Dlaczego?” - nie mogłem powstrzymać pytania.

„Dlaczego! Stu dwunastu usmażono zaraz potem w oleju, przyjąwszy tak nagle uzdrowienie za pewny dowód konszachtów z diabłem; z pozostałych trzydziestu zaciągnęło się do wojska i zginęło w bitwach, rażąc się wzajemnie pod różnymi sztandarami, siedemnastu niezwłocznie zapilo się z radości na śmierć, resztę zaś wygubiło już to wycieńczenie miłosne (bo mój dziad w poczciwości ducha dorzucił im jeszcze wielkiej urody), już to wszelkie inne wszeteczeństwa, jakim zaczęli się oddawać nazbyt gwałtownie, do owego czasu wyposzczeni, tak że we dwa lata zeszli wszyscy, ale to wszyscy do grobu. Jedyne wyjątek... at! Nie warto mówić!”.

„Skończże, kiedyś już zaczął!” - zawołał niezmiernie poruszony mistrz mój, pan Klapaucjusz.

„Jeśli chcesz koniecznie... dobrze. Pozostało zrazu tylko dwóch. Z nich jeden, nawinąwszy się dziadowi na oczy, błagał go na kolanach o przywrócenie garbu, albowiem jako kaleka żył sobie niezgorzej z datków, a wyprostowany musiał pracować, do czego był nienawykły. Powiadał, że do garbu całkowicie się już przyzwyczaił i teraz, wchodząc gdziekolwiek, rozbija sobie boleśnie łeb o nadproża...”

„A ów ostatni?” - spytał Klapaucjusz.

„Był on królewiczem pozbawionym sukcesji przez ułomność; wobec takiej odmiany na lepsze, macocha, pragnąc, aby koronowany został jej syn, otruła go...”.

„No, dobrze... Ale wszak możecie działać cuda” - rzekł z rozpaczą w głosie Klapaucjusz.

„Uszczęśliwianie za pomocą cudów jest jedną z najbardziej ryzykownych technik, jaką znam - odparł surowo głos z maszyny. - Kogo cudownie odmieniać? Jednostki? Od nadmiaru urody pękają więzy małżeńskie, od zbytniego rozumu przychodzi samotność, od bogactw - szaleństwa. Nie, nie! Jednostek uszczęśliwiać nie można, a społeczności nie wolno; każda musi się poruszać własną drogą, wstępując naturalnym sposobem z piętra na piętro rozwoju, wszystko dobre i złe zawdzięczając sama sobie. My, z Fazy Najwyższej, nie mamy w Kosmosie nic do roboty;

nie stwarzamy innych Kosmosów, gdyż, pozwolę sobie zauważyć, nie byłoby to przyzwoite. Po co to robić? Dla własnego wywyższenia się? To byłoby szkaradne. Więc dla stwarzanych może? Ależ ich nie ma, jakże więc można uczynić coś dla nieistniejących? Robić cokolwiek można dopóty, dopóki nie można jeszcze robić wszystkiego. Potem trzeba siedzieć cicho... A teraz dajcie mi już spokój!"

„Ależ jak to?! A środki jakieś, aby choć trochę usprawnić, polepszyć, pomoc nieść? Cierpiący - zważ na nich! Halo!" - wołaliśmy jeden przez drugiego z Klapaucjuszem u Ostatecznego Pulpitu.

Maszyna ziewnęła i rzekła:

„I czyż warto w ogóle z wami rozmawiać? Czyż nie słusniejsze było nasze postępowanie na planecie? Zawsze to samo! A więc dobrze! Macie tu przepis na środek jeszcze niewypróbowany, wszelako ostrzegam przed skutkami! A teraz róbcie sobie, co chcecie. Spokój to jedyna rzecz, na jakiej mi zależy. Odejdźcie tedy z Bogotronem..."

Machina umilkła, a my zostaliśmy przed stygnącymi konstelacjami jej światła, u Pulpitu, na którym leżała kartka z takim mniej więcej tekstem:

ALTRUIZYNA - preparat psychotransmisyjny przeznaczony dla wszystkich białkowatych. Wywołuje upowszechnienie wszelkich czuć, emocji i doznań tego, kto je przeżywa bezpośrednio, wśród innych, znajdujących się w odległości nie większej od pięciuset łokci. Oparty na zasadzie telepatycznej nie przekazuje pod gwarancją żadnych myśli. Na roboty i rośliny nie działa. Intensywność doznań indywiduum przeżywającego jako nadawca wzmacnia się dzięki retransmisji wtórnej odbiorców i jest tym większa, im więcej osobników z takowym sąsiaduje. Zgodnie z koncepcją wynalazcy ALTRUIZYNA ma wprowadzić w każdą społeczność ducha braterstwa, wspólnoty i sympatii dogłębnej, ponieważ sąsiedzi osoby szczęśliwej sami są także szczęśliwi, i to tym bardziej, im bardziej szczęśliwa jest ona; życzą więc takiemu indywiduum jeszcze więcej szczęścia we własnym interesie, a zatem z całej duszy. Gdy zaś kto cierpi, zaraz spieszą z pomocą, aby samych siebie od cierpienia indukowanego wybawić. Mur, ściany, faszyzny ani inne przegrody działania altruistycznego nie osłabiają. Preparat jest rozpuszczalny w wodzie; można wprowadzać go do sieci wodociągowej, rzek, studzien itd. Nie ma smaku ani zapachu; jeden milimikrogram wystarczy dla społeczności złożonej ze stu tysięcy jednostek. Za skutki, z tezami wynalazcy sprzeczne, nie przyjmuje się żadnej odpowiedzialności. Za przedstawiciela Najw. Faz. Rozw. - Wszechmocnica Ultymatywna.

Klapaucjusz mrucał nieco, że altruizyna znajdzie zastosowanie wyłącznie wśród ludzi, a roboty, jak były, nadal pozostaną w nieszczęściach bytowych, ośmieliłem się jednak zgromić go, podkreślając wspólnotę wszystkich stworzeń rozumnych i konieczność niesienia im pomocy. Przyszło do omawiania kwestii praktycznych, jasne było bowiem, że należy rozpocząć akcję uszczęśliwiania niezwłocznie.

Klapaucjusz zaraz polecił małemu podzespołowi Ontogielni wytworzyć odpowiednią ilość preparatu, ja zaś po naradzie ze znakomitym konstruktorem zdecydowałem się wyruszyć na planetę ziemopodobną, zamieszkaną przez istoty człekokształtne, która leżała zaledwie o cztery dni drogi. Pragnąłem być dobroczyńcą anonimowym, więc ustaliliśmy, iż najrozsądniej będzie, gdy się przedziergnę w człowieka; jak wiadomo, jest to wielce kłopotliwe, ale geniusz konstruktora i tu zwyciężył wszystkie

przeszkody. Wyruszyłem tedy, mając w rękach dwie walizy, z których jedną wypełniało czterdzieści kilogramów białego proszku altruizyny, drugą zaś - przybory toaletowe, pidżamy, bielizna, zapasowe policzki, włosy, oczy, języki itp. Sam podróżowałem pod postacią proporcjonalnie zbudowanego młodzieńca z małym wąsikiem i grzywką. Klapaucjusz miał pewne wątpliwości, czy rzeczywiście należy stosować altruizynę od razu na wielką skalę, więc, chociaż nie dzieliłem jego zastrzeżeń, zgodziłem się dokonać po przybyciu na Geonię (tak się nazywała planeta) próbnego eksperymentu. Paliło mi się wręcz do chwili, w której rozpoczną wielki siew powszechnego braterstwa i wspólnoty, nie zwlekając tedy, puściłem się, po serdecznym rozstaniu z Klapaucjuszem, w drogę.

Aby przeprowadzić próbę, zatrzymałem się po przybyciu do celu w małej osadzie, u niemłodego już, dość ponurego karczmarza, w jego gospodzie, a poczynąłem sobie tak zręcznie, że udało mi się wsypać garść proszku do studni przed domostwem już podczas przenoszenia sakwojaży z bryki do pokoju gościnnego. W obejściu panował niejaki rwetes, dziewczki kuchenne biegały z szaflikami gorącej wody, gospodarz popędzał je gniewnie, wnet zatupotały kopyta i z bryczki zeskoczył starszy osobnik z walizką lekarską w rękę; skierował się jednak nie do domu, lecz do obory, skąd dobiegał chwilami głuchy poryk. Jak się dowiedziałem od pokojówki, zwierzę geońskie będące własnością gospodarza, tak zwana krowa, rodziło. Zaniepokoiłem się tym trochę, bo prawdę mówiąc, w ogóle nie pomyślałem o kwestii zwierzęcej; nic już jednak nie mogłem uczynić i zamknąłem się w pokoju, aby pilnie obserwować bieg wypadków. Jakoż nie dały na siebie czekać. Słyszałem dźwięk łańcucha studziennego - dziewczki znowu nosiły wodę - i już po krótkiej chwili rozległ się ponowny ryk krowy, któremu zawtórowały inne; zaraz potem weterynarz, wrzeszcząc, wyleciał z obory, a trzymał się za brzuch, za nim zaś gnały podkuchenne, na końcu zaś oberżysta; wszyscy, uczestnicząc w cierpieniach porodowych krowy, z wielkim lamentem uciekali na wsze strony, aby niebawem powrócić, gdy bóle

opuściły ich w pewnej odległości. W ten sposób ponawiali kilkakrotnie szturm do obory, za każdym razem wybiegając z niej całym pędem, w mękach porodu; zmieszany tak nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń uznałem, że eksperyment należało przeprowadzić w mieście, gdzie nie ma zwierząt. Czym prędzej spakowałem się i zażądałem rachunku. W całym obejściu jednak wszyscy tak cierpieli od przychodzącego na świat cielęcia, że nie było nawet z kim mówić; chciałem odjechać sam, ale furmana wraz z jego szkapami też wzięły już bóle porodowe, zdecydowałem tedy, że pójdę do pobliskiego miasta piechotą. Chciałoż nieszczęście, iż kiedym szedł po kładce przez rzekę, ręka omskła mi się na uchwycie walizki, która uderzywszy zamkiem w brzeg kładki, otworzyła się i cały ładunek białego proszku wysypał się z niej w mgnieniu oka. Stałem osłupiały, patrząc, jak żwawy nurt rozpuszcza w sobie czterdzieści kilogramów altruizyny - nic nie dało się wszakże zrobić, kości były rzucone, ponieważ rzeka zasilala właśnie miasto w pitną wodę.

Szedłem aż do wieczora; miasto, gdym do niego dotarł, było już oświetlone, ulice gwarne, sporo na nich przechodniów. Wynałazłem sobie wnet niewielki hotelik, w którym stanąłem, wypatrując pierwszych oznak działania preparatu, ale nie dostrzegłem na razie żadnych. Znużony długą wędrówką udałem się zaraz na spoczynek. W środku nocy obudziły mnie przeraźliwe krzyki. Zerwałem się z pościeli. Pokój był jasny od płomieni pochłaniających przeciwległy dom; zbiegłem na ulicę i tuż za progiem przewróciłem się o trupa, całkiem jeszcze ciepłego. Opodal sześciu zbirów, trzymając silnie starca, który wzywał ratunku, rwało mu obcęgami zęb za zębem z gęby, aż chóralny okrzyk ulgi obwieścił, iż odnaleziony został wreszcie i usunięty ten bolesny korzeń, który dręczył ich także wskutek transmisji; porzuciwszy bezzębnego i na wpół stratowanego, oddalili się wyraźnie ukojeni.

Nie tego biedaka krzyk obudził mnie jednak; przyczyną był incydent, jaki zaszedł w piwiarni naprzeciwko: jakiś pijany osiłek zdzielił tam kamrata przez łeb i doznał w tej chwili jego bólu, czym rozwścieczony jał walić go coraz mocniej, współbiednicy zaś, których też bardzo bolało, poskoczyli, by tłuc szczepionych; krąg powszechnych cierpień tak się rozszerzył, że połowa gości mego hotelu wyrwana ze snu, porwawszy laski, miotły, kije, pognąła w bieliźnie nocnej na miejsce boju i tarzała się jednym kłębem wśród pogruchotanych sprzętów i naczyń, aż jakaś przewrócona lampa zażęgła ogień. W dźwięku dzwonów, w wyciu straży pożarnej i niedobitków owej walki oddaliłem się czym prędzej z tego

miejsca, aby parę ulic dalej trafić na gromadę, tłum raczej otaczający niewielki biały domek wśród różanych krzewów. Jak się okazało, przebywała w nim pewna dopiero co zaślubiona, młoda para. Tłok był niesłychany, widziało się mundury wojskowe, duchowne sukienki i nawet młodzież licealną; ci, co stali blisko okien, wtykali w nie głowy, inni włązili im na plecy, wołając: „No! Co jest?! Co za guzdranie?! Długo mamy jeszcze czekać?! Do roboty, prędzej!” - itp. Jakiś staruszek, który nie mógł się dopchać, ze łzami w oczach błagał tarasujących drogę, aby go przepuścili, bo z daleka, przez słabość mózgową, nic nie poczuje; nie zważano wcale na jego korne prośby - jedni omdlewali sobie z rozkoszy po cichu, inni postękiwali z wielkiej lubości, a co niedoświadczęsi puszczali nosem bańki. Rodzina nowożeńców chciała zrazu przepędzić czeredę natrętów, ale sama wpadłszy rychło w zamęt powszechnego porubstwa, włączyła się w grubiański chór, dopingujący kochanków, przy czym rej w owym smutnym widowisku wodził pradziadek pana młodego, który uparcie szturmował fotelem na kółkach drzwi małżeńskiej sypialni. Głęboko zrażony całą tą sceną zawróciłem, by udać się do hotelu, po drodze zaś natykałem się na kupy, to kotłujące się bitewnie, to uczestniczące w obłapkach; wszystko to atoli było niczym w porównaniu ze scenami, jakie działy się w hotelu. Z daleka już dostrzegłem, że goście w bieliźnie wyskakiwali z pięter na ulicę, łamiąc często gęsto nogi, parę osób wlaźło na dach, w środku zaś gospodarz, jego żona, pokojówki, portierzy miotali się i wrzeszczeli ze strachu jak szaleni, chowali się w szafach lub pod łózkami - wszystko dlatego, że kot gonił w piwnicy myszy.

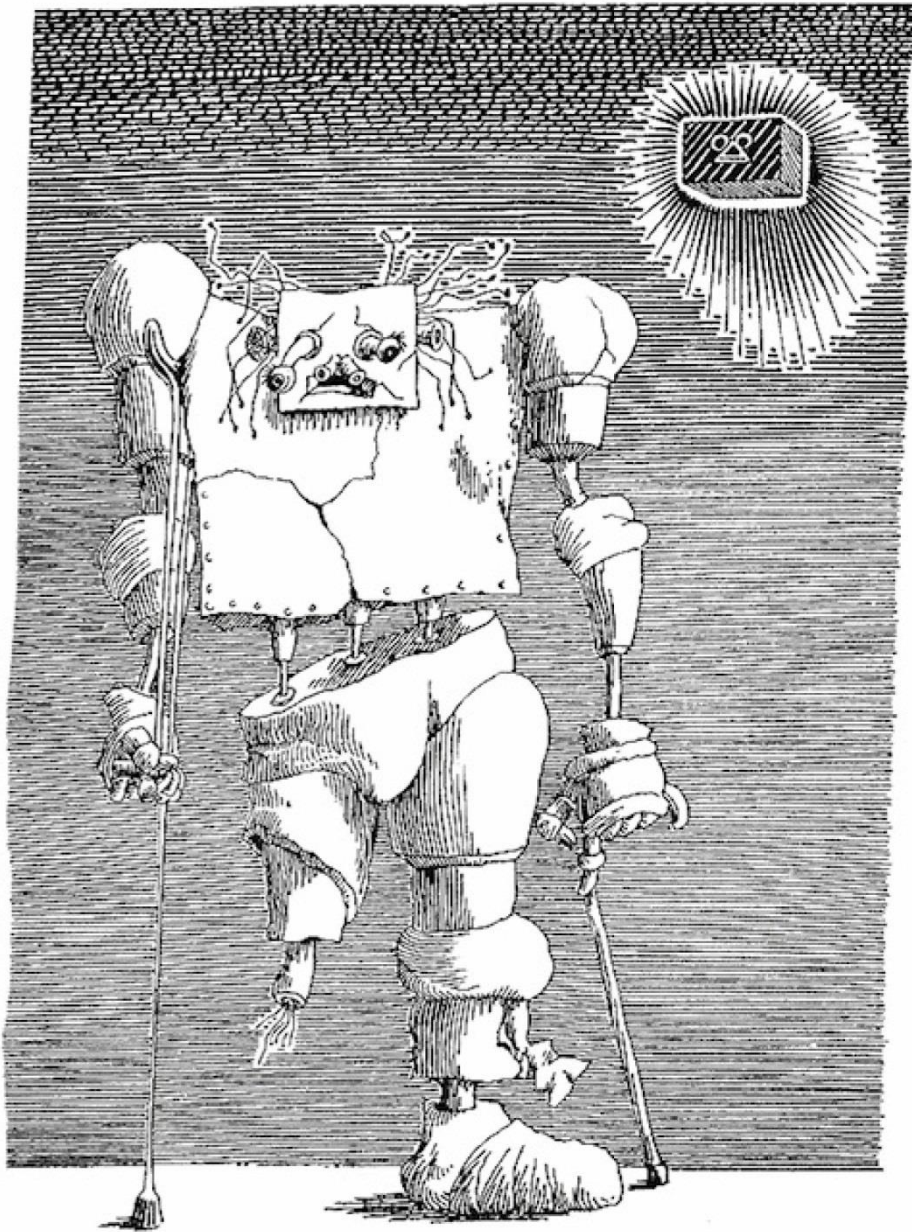
Zaczynałem pojmować, jak pochopny był mój uczynek; o świcie altruizyna działała już z taką siłą, że kiedy kogo w nosie załaskotało, cała okolica w promieniu mili odpowiadała piorunowymi salwami kichnięć, od osób zaś cierpiących na ciężkie newralgie, krewni, pielęgniarki i lekarze uciekali gorzej jak od zarazy; nieśmiało kręciło się tam ledwo paru wybladłych, posapujących od nadzwyczajnej przyjemności masochistów. Mnóstwo też było niedowiarków, co tylko po to kopali i tłukli bliźnich, aby się przekonać, czy to prawda z tym dziwem transmisji czuć, o którym tyle opowiadają; maltretowani nie pozostawali z kolei dłużni i głuchy łomot razów wypełniał całe miasto. Około śniadania napotkałem, włócząc się po ulicach w bezmiernym zadziwieniu, wielki, łzami zalany tłum, który ciskając kamieniami w czarno zakwefioną staruszkę, gnał ją przez rynek. Jak się okazało, była to wdowa po pewnym sędziwym szewcu, co zmarł był dnia poprzedniego i miał rano pochówek; otóż

cierpienia nieutulonej w żalu szewcowej tak dopiekły sąsiadom i sąsiadom sąsiadów, że nie mogąc w żaden sposób ukoić biedaczki, wypędzili ją z miasta. Na ten widok okropny smutek ścisnął mi serce i wróciłem, najszybciej jak mogłem, do hotelu, aliści i on już stał w huczącej pożodze. Kucharka bowiem, gotując zupę, sparzyła się w palec, wskutek czego pewien rotmistrz, który na najwyższym piętrze czyścił właśnie broń, od wielkiego bólu nacisnął niechcący spust, zabijając na miejscu żonę z czworgiem dzieci; rozpacz jego podzieliły wszystkie osoby jeszcze nieodwiezione do szpitala wskutek utraty zmysłów bądź połamania członków, a jakiś życzliwy, chcąc skrócić tak powszechne cierpienia, od których sam omal nie ginał, polewał, kogo się dało, naftą i podpalał w oczywistym szaleństwie. Uciekłem od pożaru, sam też jak szalony, szukając już jednej tylko, choć z grubsza, choć jako tako uszczęśliwionej osoby, ale trafiłem tylko na ostatki tłumu wracającego z owej nocy poślubnej.

Komentowano jej wydarzenia, przy czym wszystko było tym nikczemnikom nie takie, jak się, w ich mniemaniu, należało; każdy z owych byłych współoblubieńców ścisnął przy tym w dłoni tęgi kij, aby odpędzać każdego cierpiącego, jaki się tylko napatoczy; wtedy pomyślałem, że chyba dusza pęknie mi z żalu i sromoty, ale nadal szukałem choć jednego człowieka, który by pomniejszył moją zgryzotę; wypytujac przechodniów, dowiedziałem się w końcu, gdzie mieszka pewien sławny myśliciel głoszący maksymę braterstwa i światłej wyrozumiałości, i skierowałem się tam, pewny, że domostwo jego zastanę otoczone szerokimi rzeszami pospółstwa. Gdzieżby! Ledwo kilka kotów miauczało z cicha pod bramą, korzystając z aury przychylności, jaką roztaczał mędrzec, dzięki czemu prześladowające je psy siadły w pewnej odległości, oblizując się nerwowo, a jakiś kaleka, biegnąc jak mógł najszybciej, minął mnie z wrzaskiem: „Króliczarnia już otwarta! Otwarta!” - i pozostawił mnie pełnym ponurej niepewności domysłem, w jaki to sposób zjawiska zachodzące w króliczarni mogą wpłynąć korzystnie na jego doznania.

Gdy tak stałem, zbliżyło się do mnie dwu ludzi. Jeden, patrząc mi głęboko w oczy, palnął z całej siły w papę drugiego, ja zaś osłupiałem ze zdumienia, atoli ani się za własną twarz nie złapałem, ani nie jęknąłem nawet, bo wszak, jako robota, wcale mnie ów policzek nie zabolął; należało pomyśleć o tym, bo byli obaj z tajnej policji i, zdemaskowanego tym sposobem, zaraz skuli kajdanami i powlekli do więzienia. Tam wyznałem całą moją winę. Liczyłem, że będą może skłonni wziąć pod

uwagę znaczne me intencje, choć pół miasta już się paliło; jednakże oni tylko dlatego macnęli mnie zrazu lekko obcęgami, aby się przekonać, czy ich to na pewno nie przyprawi o dolegliwości, a stwierdziwszy, że nic a nic, hurmą rzucili się, aby tłamsić, zrywać gwinty, deptać, kopać i łamać fibry mego umęczonego jestestwa. Nie zliczę mąk, jakie zniosłem za rzetelną chęć uszcześliwienia ich wszystkich; dosyć, że szczątkami mymi nabito w końcu armatę i wystrzelono je w Kosmos, jak zawsze cichy i ciemny. A lecąc, z coraz to większej dali obejmowałem wzrokiem obtluczonym sceny działania altruizyny na rosnącej wciąż przestrzeni, bo fale rzeczne niosły drobiny preparatu dalej i dalej. Widziałem tedy, co się działo wśród ptasząt leśnych, mnichów, kóz, rycerzy, wieśniaków i ich żon, kogutów, dziewic i matron, a od widoków tych ostatnie nieuszkodzone lampy popękały mi z serdecznego żalu - i taki właśnie upadłem, po długim szybowaniu, opodal twego domostwa, miłosierny panie - uleczony, naprawdę, po wszystkie czasy z chętki uszcześliwienia bliźnich przyspieszonymi sposobami...



KOBYSZCZĘ

Pewnego razu zdarzyło się, że świetny konstruktor Trurl przybył szarą godziną do swego przyjaciela Klapaucjusza milczący i zadumany, a gdy ten próbował go rozerwać opowiadaniem najświeższych kawałów cybernetycznych, odezwał się znienacka:

- Proszę cię, nie staraj się obrócić mego posępnego nastroju we frywolny, ponieważ w duszy kiełkuje mi rozeznanie tyleż prawdziwe, co zasmucające. Dochodzę mianowicie do wniosku, że w całym naszym tak pracowitym życiu nie dokonaliśmy niczego cennego!

To mówiąc, skierował wzrok pełen potępienia i niesmaku na rozpostartą na ścianach Klapaucjuszowego gabinetu bogatą kolekcję orderów, odznaczeń i dyplomów honorowych w złożonych ramach.

- Na jakiej podstawie ferujesz tak srogi wyrok? - spytał, poważniejąc, Klapaucjusz.

- Zaraz ci to wyłożę. Godziliśmy zwaśnione królestwa, dostarczaliśmy monarchom trenażerów władzy, budowaliśmy maszyny-gawędziarki i takie, co nadawały się do polowania, pokonywaliśmy podstępnych tyranów i zbójców galaktycznych, którzy się na nas zasadzali, lecz w ten sposób sobie tylko sprawialiśmy satysfakcję, siebie wynosiliśmy we własnych oczach, natomiast tyle co nic uczyniliśmy dla Dobra Powszechnego! Wszystkie nasze zapędy zmierzające do perfekcjonowania bytu maluczkich, których napotykaliliśmy w naszych wędrówkach planetarnych, nie doprowadziły ani raz jeden do wytworzenia stanu Doskonałej Szczęśliwości. Zamiast rozwiązań autentycznie idealnych dostarczaliśmy jeno pozorów, protez i namiastek, przez co zasłużyliśmy na miano prestidigitatorów ontologii, zręcznych sofistów działania, lecz nie na godność Likwidatorów Zła!

- Kiedy słyszę, jak ktoś rozprawia o programowaniu Powszechnej Szczęśliwości, ciarki przechodzą mi po krzyżu - odparł Klapaucjusz.

- Oprzytomnijże, Trurlu! Zali nie są ci znane niezliczone przykłady tak właśnie poczętych działań, które obracały się w jedną ruinę i mogiłę najszlachetniejszych intencji? Czy nie pamiętasz już o fatalnym losie pustelnika Dobrycego, który usiłował uszczęśliwić Kosmos za pomocą preparatu zwanego altruizyną? Czy nie wiesz, że można w niejkiej mierze pomniejszać troski bytowe, wymierzać sprawiedliwość, rozjaśniać filujące słońca, lać balsam na tryby mechanizmów społecznych, ale

szczęścia nie wyprodukujesz żadną maszyną? O jego powszechnym panowaniu wolno jedynie z cicha marzyć taką szarą godziną, jak ta właśnie, ścigać je idealnym wyobrażeniem, upajać słodką wizją oko ducha, lecz to już wszystko, na co stać istotę najmędrszą, przyjacielu!

- Tak to się mówi! - odburknął Trurl. - Być może zresztą - dodał po chwili - uszczęśliwiać tych, którzy już od dawna istnieją, i to w sposób zdecydowany, wręcz trywialny, jest zadaniem nie do pokonania. Wszelako byłoby możliwe sporządzenie istot zaplanowanych z takim rozmysłem, aby im się nic oprócz szczęścia nie działo. Wyobraź sobie, jak wspaniałym pomnikiem naszego konstruktorstwa (które czas obróci przecież kiedyś w proch oślepy) byłaby jaśniejąca kiedyś na niebie planeta, ku której rzesze mgławicowych plemion obracałyby oczy z ufnością, aby powiadać: „Tak! Zaiste, jest szczęście możliwe, w postaci nieustannej harmonii, a udowodnił to wielki Trurl przy niejakiem udziale druha Klapaucjusza, dowód zaś na to żyje i rozkwita pysznie w objęciu naszego zachwyconego spojrzenia!”.

- Nie wątpisz chyba, że o problemie, któryś poruszył, nieraz już myślałem - wyjął Klapaucjusz. - Nasuwa on poważne dylematy. Nauk, jakich udzieliła przygoda Dobrycego, nie zapomniałeś, widzę, i dlatego chcesz uszczęśliwić istoty, jakich dotąd nie ma, czyli szczęśliwców pragniesz na pustym miejscu stworzyć. Otóż pierwiej należałoby rozstrzygnąć, czy w ogóle można uszczęśliwić nieistniejących? Poważnie w to wątpię. Musiałbyś najpierw dowieść tego, że stan nieistnienia jest pod każdym względem gorszy od stanu istnienia, nawet nieszczególnie przyjemnego, ponieważ bez takiego dowodu eksperyment felicytologiczny, którego ideaą jesteś pochłonięty, mógłby dać niewypał. Wówczas do mrowia nieszczęśników, od jakich Kosmos się roi, dodałbyś tłum nowych, przez siebie stworzony - i cóż wtedy?

- Zapewne, eksperyment jest ryzykowny - przyznał, choć niechętnie, Trurl. - Mimo to uważam, że należałoby go podjąć. Natura tylko z pozoru jest bezstronna, że niby fabrykuje, co popadnie i jak leci, więc zarówno miłych, jak przykrych, łagodnych, jak okrutnych, ale dość zrobić remanent, by się przekonać, że na placu pozostają zawsze tylko istoty okrutne i przykre, najedzone tamtymi. A gdy niegodziwcom świta, że postępują nieładnie, wymyślają sobie okoliczności łagodzące albo wyższe uzasadnienia: ot, że paskuda bytu jest przyprawą zaostrzającą apetyt na raj lub inne takie miejsca. Podług mnie należy z tym skończyć. Natura nie jest wcale zła, jest tylko tępa jak but, więc działa po linii najmniejszego oporu. Trzeba ją zastąpić i samemu wyprodukować istoty

światlane, gdyż dopiero ich pojawienie się będzie prawdziwą kuracją bytu. Usprawiedliwią one z nadwyżką miniony okres, pełen wrzasku mordowanych, którego na innych planetach nie słyhać tylko przez wzgląd na dystans kosmiczny. Po kiego licha wszystko, co żywe, ma wciąż cierpieć? Gdyby cierpienia istot poszczególnych wywierały choć taki impet, jaki ma kropla dżdżu, to - masz na to moją rękę i moje rachunki - przed wiekami już rozsadziłyby świat! Lecz póty ich, póki życia, toteż proch zalegający grobowe krypty i opuszczone pałace milczy doskonale, i nawet ty ze swymi potężnymi środkami nie odnalazłbyś w nim śladu bólu i trosk, co doskwierały wczoraj truchłom dzisiejszym.

- Istotnie, zmarli nie mają kłopotów - przyświadczył Klapaucjusz.

- To dobra prawda, skoro oznacza przemijalność cierpienia.

- Ale pojawiają się wciąż nowi cierpiętnicy! - podniósł głos Trurl. - Czy nie pojmujesz, że mój plan jest kwestią zwykłej przyzwoitości?

- Czekajże. Jakim właściwie sposobem istota szczęśliwa (załóżmy, że ci wyjdzie) będzie zadośćuczynieniem otchłani mąk, co zwietrzały, oraz nieszczęść trwających nadal po całym Kosmosie? Czy dzisiejsza cisza znosi wczorajszą burzę? Czy dzień unieważnia noc? Czy nie widzisz, że pleciesz androny?

- Więc podług ciebie nie należy nic robić?

- Nie mówię, że nic. Możesz poprawiać byty istniejące, a przynajmniej tego próbować z wiadomym ryzykiem, tych jednak, o których mówiłeś, niczym nie usatysfakcjonujesz. Byłabyś innego zdania? Czy sądzisz, że wypychanie Kosmosu szczęśliwością do wypęku odmieni w najdrobniejszej mierze to, do czego w nim doszło?

- Ależ odmieni! Odmieni! - wołał Trurl. - Pojmij to tylko właściwie! Jeżeli nawet czyn mój nie dosięgnie tych, co minęli, zmieni się ta całość, której oni część stanowią. Odtąd każdy będzie musiał rzec: „Okropne fatygi, womitalne cywilizacje, przeraźliwe kultury przedstawiały jeno wstęp do treści właściwej, to jest do czasów obecnej lubości! Trurl, ów światły mąż, z zadum swoich taki wyciągnął wniosek, że złą przeszłość należy wykorzystać dla sporządzenia dobrej przyszłości. Na biedach uczył się, jak stwarzać bogactwa, na rozpaczach, ile są warte ekstazy, jednym słowem - Kosmos właśnie tym, że taki szkaradny dał mu impuls do stworzenia Dobra!“. Epoka obecna okaże się przygotowawczo-inspirująca - uważasz? - i dzięki niej nastąpi lubie ziszczenie. No jak, przekonałem cię chyba?

- Pod Krzyżem Południowym znajduje się państwo króla Troglodyka - rzekł Klapaucjusz - który lubi krajobrazy szpikowane szubienicami,

skrywając atoli tę predylekcję za twierdzeniem, że nędznikami, jakimi są jego poddani, nie można inaczej rządzić. Chciał się też do mnie wziąć tuż po mym przybyciu, ale zmiarkował, że mogę go zetrzeć w proch, więc się przeląkł, uważał bowiem za rzecz naturalną, że jeśli on mnie nie zdoła - ja jego zatłamszę. Więc żeby mnie inaczej usposobić, wezwał zaraz swą uczoną radę, od której usłyszałem moralną doktrynę władzy wykoncypowaną na takie właśnie okazje. Płatni ci mędracy powiedzieli mi, że im jest gorzej, tym bardziej łaknie się polepszenia, więc ten, kto tak działa, że już wytrzymać nie można, nadzwyczaj przyspiesza rychłą poprawę rzeczy. Król był rad ich oracji, bo wyszło na to, że nikt jak on nie działa na rzecz przyszłego Dobra, skoro podnieca odpowiednimi antybodźcami myśl meliorystyczną do czynu. Więc twoi szczęśliwcy powinni Troglodykowi pomniki wystawić, a ty jesteś winien wdzięczność jemu podobnym, nieprawdaż?

- Szpetna i cyniczna przypowieść! - wypalił dotknięty do żywego Trurl. - Myślałem, że przyłączysz się do mnie, ale widzę, że wydzielasz tylko jady sceptycyzmu i sofizmatami obracasz wniwecz szlachetność mych planów. A przecież one są zbawicielskie w kosmicznej skali!

- Ach, więc ty chcesz zostać zbawicielem Kosmosu? - rzekł Klapaucjusz. - Trurlu, powinienem wziąć cię w dyby i wrzucić do tego loszku, abyś miał czas się opamiętać, lecz obawiam się, że to by zbyt długo trwało. Dlatego powiem tylko: nie czyn szczęścia zbyt gwałtownie! Nie udoskonalaj bytu galopem! A gdybyś nawet gdzieś stworzył szczęśliwych (w co wątpię), pozostaną nadal ci inni, dojdzie tedy do zawiści, tarć, napięć, i kto wie, czy nie staniesz przed dylematem - chyba niemiłym: albo twoi szczęśliwcy dadzą się zawistnikom, albo zmuszeni będą owych przykrych, ułomnych i natrętnych co do nogi wytłuc; a to dla uzyskania pełnej harmonii.

Trurl powstał na równe nogi, ale opamiętawszy się, rozluźnił pięści, bo uruchomienie ich nie byłoby najwłaściwszym zapoczątkowaniem Ery Zupełnego Szczęścia, którą już twardo postanowił sporządzić.

- Żegnaj! - oświadczył lodowato. - Lichy agnostyku, niedowiarku, zdający się niewolniczo na flukta przyrodzonego biegu rzeczy, nie będę z tobą dyskutował słowami, lecz czynem! Po owocach moich prac poznasz z czasem, że miałem słuszność!

★

Wróciwszy do domu, znalazł się Trurl w poważnym kłopotcie, epilog bowiem dyskusji, co się toczyła u Klapaucjusza, sugerował, jakoby posiadał już gotowy plan działania, co miało się z prawdą. Uczciwie mówiąc, nie miał zielonego pojęcia, od czego zacząć. Wziął tedy z bibliotecznych półek gromadę dzieł poświęconych opisom niezliczonych społeczności i pochłaniał je z godną podziwu chyżością. A że mimo to zbyt wolno zapełniał sobie umysł potrzebnymi faktami, przywłókł z piwnicy osiemset kaset rtęciowej, ołowiowej, ferromagnetycznej i krionicznej pamięci, popodłączał je wszystkie kabelkami do swego jestestwa i w ciągu kilku sekund załadował sobie jaźń czterema trylionami bitów samej najlepszej i najbardziej otchłannej informacji, jaką tylko można znaleźć w pomroce gwiazd, na globach, a też na stygnących słońcach, zamieszkanym przez cierpliwych dziejopisów. Była to dawka tak silna, że zatrzęsło nim od stóp do głów; posiniał, oczy wyszły mu nieco na wierzch, chwycił go nadto szczękościsk i przykurcz ogólny, a też zadygotał, jakby nie historiozofią i historiografią, lecz piorunem został porażony. Potem jednak zebrał siły, otrząsnął się, otarł czoło, oparł jeszcze drżące kolana o nogi stołu, przy którym pracował, i rzekł sobie:

- Widzę, że było i jest jeszcze o wiele gorzej, niż myślałem!!! Przez jakiś czas temperowałem ołówki, lałem inkaust do kałamarzy, stosami układałem białe karty, lecz z tych przygotowań nic jakoś nie wynikało, więc już nieco zirytowany rzekł sobie:

- Muszę przez prostą solidność zapoznać się z pismami pradawnych, archaicznych mędrców, jakkolwiek zawsze odkładałem to w mniemaniu, że od tych starych pryków nowożytny konstruktor niczego się nie nauczy. Ale teraz niechże już będzie! Niech tam! Przystudiuję i tych na poły jaskiniowych, starozakonnych myślantów, dzięki czemu zabezpieczę się przed docinkami Klapaucjusza, który ich wprawdzie też nigdy nie czytał (a kto ich czyta w ogóle?), lecz ukradkiem wypisuje sobie z ich dzieł po zdaniu, by mnie cytatami gnębić i oskarżać o ignorancję.

Po czym, w samej rzeczy, wziął się do dzieł zbutwiałych i murszejących, chociaż okropnie mu się nie chciało.

W środku nocy otoczony księgami, co otwarte wachlowały mu kolana, bo strącał je niecierpliwie ze stołu, rzekł sobie:

- Widzę, że przyjdzie mi nie tylko budowę rozumnych istot skorygować, ale i to, co one powymyślały jako filozofię. Zarodzą życia był ci wszak ocean, który się przy brzegach uczciwie zamulił. Powstało błoto rzadkie, czyli koloidy-niedoidy, Słońce przygrzało, błoto zgęstniało,

piorun w to huknął, wszystko zakwasił aminowo - czyli na amen - i tak powstał syr, który z czasem odszedł na suchsze miejsce. Wyrosły mu uszy, żeby słyszał, jak zdobycz nadciąga, a także zęby i nogi, żeby ją dogonił i zjadł. A jeśli mu nie wyrosły albo za krótkie były, jego zjedli. Stworzycielką rozumu jest tedy ewolucja; cóż w niej bowiem Głupota i Mądrość oraz Dobro i Zło? Dobro to tyle, kiedy ja kogoś zjem, a Zło, kiedy mnie zjedzą. Toż i z Rozumem: zjedzony, że na to mu przyszło, jest głupszy od jedzącego, ponieważ nie może mieć racji ten, kogo nie ma, a wcale nie ma tego, kto został spożyty. Lecz kto by wszystkich innych zjadł, sam będzie zamorzony, i tak się ustanawia umiar. Z biegiem czasu każdy syr wapnieje, bo to sparciały materiał, więc szukając lepszego, istoty grząskie wynalazły metal. Aleć same siebie w żelazie sportretowały, bo najłatwiejsza rzecz ściągać z gotowego, więc do przybycia prawdziwej doskonałości nie doszło. Ba! Gdyby odmienną koleją rzeczy najpierw powstało wapno, potem z niego miększy delikates, na koniec - mięciutka subtelność, filozofia całkiem inaczej by się ulęła: jak widać, wywodzi się ona prosto z materiału, czyli im bardziej byle jako się uskładała istota rozumna, tym rozpaczniej wyklada sobie siebie na opak. Jeśli w wodzie żyje, powiada, że na lądzie jest raj; jeśli na lądzie, że w niebie; gdy ma skrzydła, wyrabia sobie ideał z płetwami, a gdy nogi - przymaluje sobie gęsie skrzydła i woła: „Anioł!”. Dziwne, że tego dotąd nie zauważył. Otóż regułę tę nazwijmy Prawem Kosmicznym Trurla: wedle niedoskonałości inżynierii własnej wszelki duch wystawia sobie Absolut Wyborny. Muszę to wszystko zakarbować sobie na okoliczność, kiedy będę się brał do prostowania podstaw filozofii. Teraz jednak czas budować. Wstępnie zakładam

Dobro - lecz czym ono jest? Niechybnie nie ma go tam, gdzie nikogo nie ma. Wodospad nie jest dla skały ani dobry, ani zły, podobnie jak trzęsienie ziemi dla jeziora. Zmontuję więc Kogoś. Lecz tu uwaga: czy będzie mu dobrze? Ale skąd wiadomo, że komuś jest dobrze? Powiedzmy, że widziałbym, jak Klapaucjuszowi źle się dzieje. Cóż? Jedną połową duszy bym się smucił, a drugą radował, nieprawdaż? Jakieś to zawile. Możliwe, że komuś jest dobrze w porównaniu z sąsiadem, lecz nic o tym nie wie i dlatego nie uważa, jakoby mu się dobrze działo. Należałoby budować istoty mające na oku podobne sobie, w mękach tkwiące? Czująłby się silnie usatysfakcjonowane przez sam kontrast? Być może, wszelako jakieś to paskudne. A więc trzeba tu dławika oraz transformatora. Nie należy od razu brać się do składania szczęśliwych społeczności: na początek niech będzie indywiduum!

Zakasał rękawy i w trzy dni zbudował Kontemplator Bytu Szczęsny, maszynę, która świadomością, rozjarzoną w katodach, zespalała się z każdą postrzeżoną rzeczą i nie było na świecie nic takiego, co by jej uciechy nie sprawiało. Usiadł przed nią Trurl, by rozważyć, czy o to mu chodziło. Kontemplator, rozkraczony na trzech metalowych nogach, wodził lunetowymi oczyskami po otoczeniu, a czy natrafił wzrokiem na deskę parkanu, na głąz czy stary trzewik, niezmiernie się zachwycił, tak iż postękiwał z cicha od nadzwyczajnej lubości, co go rozpierała. Kiedy zaś Słońce zaszło i zorze niebo zrózowiły, kucnął nawet od zachwycenia.

- Klapaucjusz powie naturalnie, że samo kucanie i stękanie jeszcze o niczym nie świadczy - rzekł do siebie Trurl, coraz bardziej czegoś niespokojny. - Zażąda dowodów...

Wprawił tedy Kontemplatorowi w brzuch znaczny zegar z połączoną strzałką, który wyskalował w jednostkach szczęśliwości i nazwał je hedonami lub hedami w skrócie. Za jeden hed przyjął tę ilość ekstazy, jakiej się doznaje, gdy przebędzie się cztery mile w bucie z gwoździem wystającym, a potem gwóźdź się usunie. Pomnożył drogę przez czas, podzielił przez zadziorność gwoźdź, przed nawias wyprowadził współczynnik pięty zmęczonej i tak mu się udało przełożyć szczęście na układ centymetr—gram—sekunda. Tym się trochę pocieszył. Wpatrując się w poplamiony oliwą fartuch roboczy Trurla, który się krzątał przy nim, Kontemplator, zależnie od kąta nachylenia i ogólnego oświetlenia, doznawał od 11,8 do 18,9 hedów na plamę, łatę i sekundę. Na dobre się uspokoił konstruktor.

Obliczył zaraz, że jeden kilohed to tyle, ile starcy doznali, podglądając Zuzannę w kąpieli, że megahed - to radość skazańca w porę odciętego od stryczka, a widząc, jak wszystko daje się doskonale wyliczyć, posłał zaraz jedną z pośledniejszych machin laboratoryjnych po Klapaucjusza.

Gdy ten nadszedł, rzekł mu:

- Patrz i ucz się.

Klapaucjusz obszedł maszynę dokoła, ta zaś, skierowawszy na niego większość teleobiektywów, przykucnęła i stęknęła parę razy. Zdziwiły te jakby studzienne odgłosy konstruktora, lecz nie dał tego po sobie znać i spytał tylko:

- Co to jest?

- Istota szczęśliwa - rzekł Trurl - a mianowicie Kontemplator Bytu Szczęsny, w skrócie zaś - Kobyszczę.

- I cóż robi to Kobyszczę?

Trurl poczuł w tych słowach ironię, lecz puścił ją mimo ucha.

- Aktywnym sposobem bezustannie postrzega! - wyjaśnił. - I nie po prostu postrzega, notując, lecz czyni to intensywnie, w skupieniu i pracowicie, a cokolwiek postrzeże, przyprawia je o niewypowiedzianą zgoła lubość! I lubość ta, wypełniając jego anody i obwody, daje mu czarowny błogostan, którego oznaką są te właśnie pojęki, jakie słyszysz w tej chwili, kiedy wpatruje się w twoje, banalne skądinał, rysy.

- Znaczy się, ta maszyna doznaje aktywnej rozkoszy z istnienia jako postrzegania?

- Tak właśnie! - rzekł Trurl, ale cicho, bo nie był już czegoś taki pewny siebie, jak przed chwilą.

- A to jest zapewne felicytometr, wyskalowany w jednostkach słodczy egzystencjalnej? - Klapaucjusz pokazał tarczę ze złoconą wskazówką.

- Tak, to ten zegar...

Różne rzeczy zaczął wtedy pokazywać Klapaucjusz Kobyszczeniu, pilnie bacząc na wychylenia strzałki. Trurl, uspokojony, wprowadził go w teorię hedonów, czyli felicytometrię teoretyczną. Od słowa do słowa, od pytania do pytania biegła ta rozmowa, aż Klapaucjusz zagadnął w pewnej chwili:

- A ciekawe, ileż by jednostek tkwiło w doznaniu, które na tym polega, że ten, kogo przez trzysta godzin bito, sam z kolei łeb temu, kto go bijał, rozwali?

- A, to proste zadanie! - uradował się Trurl i siadał już do rachunków, kiedy doszedł go głośny śmiech przyjaciela. Oszupiały zerwał się, ów zaś rzekł mu, wciąż jeszcze się śmiejąc:

- Powiadasz więc, że za naczelną zasadę przyjąłeś Dobro, mój Trurlu? No, cóż, prototyp ci się udał! Tylko tak dalej, a wszystko ci pójdzie doskonale! Na razie zaś żegnaj.

I odszedł, pozostawiając Trurla całkiem załamanego.

- A tom się złapał. A to mnie splantował! - jęczał konstruktor, a jęki jego mieszały się z ekstatycznym stękaniem Kobyszczenia, które go tak zirytowało, że natychmiast wepchnął maszynę do komórki, zarzucił ją starymi blachami i zamknął na kłódkę.

Zasiadł potem do pustego stołu i tak sobie powiedział:

- Pomieszałem ekstazę estetyczną z Dobrem - a to ze mnie osioł! Czy zresztą Kobyszcze jest rozumne? Cóż znowu! Trzeba ruszyć conceptem całkiem inaczej, do wszystkich jąder atomowych! Szczęście - zapewne, lubość - bez wątpienia, lecz nie na cudzy koszt! Nie ze Zła płynące! Ot, co! Lecz czymże jest Zło? O, widzę, że w mej dotychczasowej działalności

konstruktorskiej okropnie teorię zaniedbałem!

Przez osiem dni nie kładł się, nie spał, nie wychodził, jeno studiował dzieła niezmiernie uczone, materię Dobra i Zła rozważające. Pokazało się, że podług wielu mędrców najważniejszą rzeczą jest spolegliwe opiekuństwo oraz życzliwość powszechna. Jedno i drugie muszą sobie okazywać nawzajem istoty rozumne: bez tego nic. Co prawda, pod tym właśnie hasłem na pale wbijano, płynnym ołowiem pojono, a też ćwiartowano na połcie, rozdzierano kołem i wołem, łamano gnaty, a w ważniejszych historycznie chwilach używano po temu nawet zaprzęgów poszóstnych. Także w niezliczonych formach innych tortur bywała życzliwość okazywana historycznie, gdy ją adresowano do ducha, nie do ciała.

- Intencja nie wystarczy! - rzekł sobie Trurl. - Powiedzmy, żeby sumienia poumieszczać nie w ich właścicielach, lecz w bliźnich, obok, ale wymiennie. Co by stąd wynikło? O, bieda, ponieważ odtąd moje złe uczynki gryzłyby sąsiada mojego, więc jeszcze swobodniej niż dotąd mógłbym się w grzechu nurzać! Więc może trzeba wbudować do zwyczajnego sumienia amplifikator zgryzu, czyli sprawić, aby każdy zły uczynek nękał w konsekwencjach tysiąc razy srożej niż dotąd? Ale wtedy każdy z prostej ciekawości zaraz robi coś złego, żeby się przekonać, czy to nowe sumienie naprawdę tak diabelnie gryzie - i do końca swych dni będzie gnał jak bura suka, cały pogryziony wyrzutami... Więc może sumienie ze wstecznym biegiem i wycieraczką, ale zaplombowaną? Jeno władza będzie miała kluczyk... Nie! I to na nic, bo od czego wytrychy? A gdyby przyrzadzić transmisję uczuć - jeden czuje za wszystkich, wszyscy za jednego? Ale, prawda, to już było, tak właśnie działała altruizyna... Więc może tak: każdy ma wprawiony w tułów mały detonator z odbiorniczkiem i jeśli mu, w zamian za jego złe i podle czyny, źle życzy więcej aniżeli dziesięciu bliźnich, od zesumowania się dziesiątka ich intencji na wejściu heterodynowym ten, do kogo są adresowane, wylatuje w powietrze. Co? Czyby wtedy każdy gorzej niż zarazy nie unikał Zła? Pewnie, że unikałby, i jak jeszcze! Wszelako... cóż to za szczęśliwy żywot - z miną opóźnioną koło żołądka? Zresztą mogłyby powstawać tajne spiski przeciwko pewnym osobom, starczyłoby, że się dziesięciu niegodziwców przeciw niewinnemu zmówi i już niewinny w drobny mak... No, to może odwrócić po prostu znaki? Też na nic. Cóż to, u licha, mnie, który Galaktyki jak szafy przesuwalem, nie udaje się rozwiązać tej, tak jakoby prostej, konstrukcyjnej kwestii?! Powiedzmy, że każdy obywatel pewnej społeczności jest zażywny, rumiany i wesół, że od rana do nocy

śpiewa, podskakuje i chichocze, że czyni innym dobrze, a z takim zapalem, aż trzeszczy wszystko, inni toż samo, a zapytany, każdy w głos woła, iż nadzwyczajnie wprost rad jest własnemu i powszechnemu istnieniu... Byłaby taka społeczność niedokładnie jeszcze uszczęśliwiona? Żeby tam nie wiedzieć co, nikt nikomu Zła w niej zadać nie może! A czemu nie może? Ponieważ nie chce. A czemu nie chce? Ponieważ nic mu z tego nie przyjdzie. Ot, i rozwiązanie! Nie mamże przed sobą świetnego w prostocie planu dla wytwórczości masowej? Nie oznaczają to, że wszyscy tam są na cztery nogi szczęściem kuci? Zapytajmy, co wtedy ten cynik- mizantrop, ten agnostyk sceptyczny powie, Klapaucjusz - gdzie wściubi zaśniedziały grosik prześmiewki i drwiny! Niech się bawi w przeszpiegi, niech szuka dziury w całym, skoro każdy drugiemu coraz lepiej i lepiej czyni, że już więcej nie można... Hm, a nie zamęczą się oni, nie zagonią, nie popadają rychło pod gradem i lawiną tak dobrych uczynków? No, to się zamontuje słabe reduktorki, ewentualnie dławiki jakiegoś, ścianki szczęścioodporne, kombinezony, ekrany, izolatki... zaraz, tylko się nie spieszyć, abym zaś znów czegoś nie przegapił. A więc *primo* - weseli, *secundo* - życzliwi, *tertio* - skaczą, *quarto* - rumiani, *quinto* - cudnie im, *sexto* - spolegliwi... wystarczy, można zaczynać!

Do obiadu pospał nieco, bo okrutnie utrudziły go te deliberacje, potem zaś szparko, rzeško, zamaszyście wstał, plany nakreślił, taśmy programowe nadziurkował, algorytmy obliczył i na początek zbudował szczęsną społeczność złożoną z dziewięciuset osób. Żeby zaś panowała w niej równość, uczynił wszystkich dziwnie podobnymi. Aby się o jadło, napitek nie pobili, ustanowił ich abstynentami dożywotnimi od wszelkiej strawy i napoju: chłodny ogienek atomowy był im źródłem energii. Usiadł potem na przyzbie i do zachodu Słońca patrzył, jak podskakują, wrzaskliwie oznajmiając szczęśliwość, jak sobie dobrze czynią, gładząc się nawzajem po głowach, kamienie usuwając jeden drugiemu z drogi, jak krzepcy, żwawi, weseli pędzą życie w animuszu i beztrosce. Gdy kto nogę zwichnął, aż czarno się robiło od zbiegowiska, nie przez ciekawość, lecz przez kategoriyczny imperatyw opiekuństwa spolegliwego. W samej rzeczy, od nadmiaru ochoty na początku czasem nogę wyrwali, miast ją wprawić, lecz podregulował im reduktory, dorzucił oporniczków, by potem zaprosić Klapaucjusza. Ów przyjrzał się radosnym harcom, wysłuchiwał hałłakowania z miną dosyć ponurą, spojrział na Trurla i spytał:

- A mogą się oni smucić?

- Co za głupie pytanie! Jasne, że nie mogą! - odparł tamten.

- Wiecznie zatem mają tak skakać, rumienić się, dobrze czynić i na głos wrzeszczeć, że im wybornie?

- A pewno!

Że zaś Klapaucjusz nie tylko pochwał skąpił, ale żadnej nie wyraził, Trurl dorzucił gniewnie:

- Być może widok to monotony i mniej malowniczy od scen bitewnych, lecz zadaniem moim było uszczęśliwić, a nie obdarzyć kogokolwiek dramatycznym widowiskiem!

- Skoro oni czynią to, co czynią, bo muszą, mój Trurlu - odezwał się Klapaucjusz - to tyle w nich Dobra, ile w tramwaju, który dlatego nie może cię przejechać, gdy stoisz na chodniku, bo z szyn nie wyskoczy. Nie ten, Trurlu, doznaje szczęścia, czyniąc Dobro, kto musi innych bezustannie gładzić po głowie, z uciechy ryczeć i kamienie zbierać z drogi, lecz ten, kto może także frasować się, łkać, kamieniem głowę rozbić, lecz z dobrowoli i serdecznej ochoty tak nie postępuje! Ci twoi przymuszeńcy są jeno uragowiskiem wysokim ideałom, które udało ci się dokładnie sponiewierać!

- Ależ co ty mówisz! Oni są wszak istotami rozumnymi... - wybełkotał oszołomiony Trurl.

- Tak? - rzekł Klapaucjusz. - Zaraz się przekonamy!

Za czym, wchodząc pomiędzy Trurlowych doskonałców, pierwszemu, który się nawinał, dał w łeb, a z rozmachem, pytając:

- Szczęśliwyś waszmość?

- Szalenie! - odparł ów, trzymając się za głowę, na której guz wyskoczył.

- A teraz? - spytał Klapaucjusz i tak mu przyłożył, że ów zaraz się nakrył nogami. Jeszcze nie wstał, jeszcze piasek wypluwał, a już krzyczał:

- Szczęśliwym, mospanie! Czarownie mi się dzieje!

- No i masz - rzekł zwięźle Klapaucjusz zdrętwiałemu Trurlowi i odszedł.

Konstruktor niewymownie stroskany po jednym zaprowadził swych doskonałców do laboratorium i tam rozebrał ich do ostatniej śrubki, a żaden wcale się temu nie przeciwiał, owszem, niektórzy jak mogli, tak mu pomagali, przytrzymując klucze, cęgi, a nawet waląc młotkiem po czerepie, gdy jego pokrywka zbyt mocno była wpasowana i nie chciała puszczać. Części poukładał na powrót do szuflad i na półki magazynu, zdarł z rysownicy plany, porwał je na strzępy, usiadł przy stole ugiętym

nico pod zwałami ksiąg filozoficzno-etycznych i głucho westchnął:

- Ładna historia! A to mnie pohańbił ten łotr, ten zerwiśruba, mój przyjaciel tak zwany!

Wyjął spod szkła model permutatora, urządzenia, które przekładało każde doznanie w parcie opiekuństwa spolegliwego oraz powszechnej życzliwości, na kowadle położył i rozbił potężnymi ciosami na kawałki. Nie zrobiło mu się od tego lżej. Pomedytował, powzdychał i wziął się do urzeczywistnienia innego pomysłu. Tym razem wyszła mu spod ręki społeczność niemala - trzy tysiące postawnego chłopa - która zaraz obrała sobie zwierzchność w tajnym i równym głosowaniu, po czym zajęła się różnymi pracami - a to budowaniem domostw i stawianiem płotów, a to odkrywaniem praw Natury, a to igraszkami i baraszkami. W głowie miał każdy z nowych stworów Trurla homeostacik, a w tym homeostaciku dwa solidnie przyspawane po bokach nity, pomiędzy którymi mogła sobie jego wolna wola hulać, jak się jej żywnie podobało; pod spodem atoli znajdowała się sprężyna Dobra, która na swoją stronę ciągnęła daleko silniej niż inna, mniejsza, klockiem przyhamowana, a destrukcję i rujnację mająca na celu. Nadto posiadał każdy obywatel czujnik sumieniowy wielkiej wrażliwości, ujęty w dwie zębate szczęki, które go poczynały gryźć, jeśliby zeszedł z drogi cnoty; jak to był Trurl wypróbował na specjalnym prototypie w pracowni, kiedy do wyrzutów sumienia dochodziło, były tak silne, że nieszczęśnikiem rzucało gorzej niż w czkawce, a nawet w tańcu świętego Wita; dopiero skrucha, czynami szlachetnymi, altruizmem ładował się powolutku kondensator, którego pych zęby sumieniowego zgryzu rozwierał i czujnik olejem maścił. Kunsztownie to było obmyślane, ani słowa! Zastanawiał się nawet Trurl nad tym, czy wyrzutów sumienia nie połączyć dodatnim sprzężeniem zwrotnym z bólem zębów, ale w końcu tego zaniechał, bo się bał, że Klapaucjusz znów będzie gadał swoje o przymusie, obecność wolnej woli wykluczającym. Byłoby to wierutnym kłamstwem zresztą, ponieważ nowe istoty miały przystawki statystyczne i przez to nikt, a więc nawet i Trurl, nie mógł wiedzieć z góry, co poczną z sobą i jak będą się rządzić. Przez całą noc budziły Trurla wciąż od nowa radosne okrzyki, a wrzawa ta sprawiała mu niemalą przyjemność. No - powiadał sobie - teraz już się Klapaucjusz do niczego nie przyczepi. Są szczęśliwi, lecz nie z zaprogramowania, czyli z musu, a jedynie w sposób stochastyczny, ergodyczny i probabilistyczny. Dobra nasza! - Z tą myślą usnął smacznie i spał do rana.

Jako że nie zastał Klapaucjusza w domu, czekał na niego do obiadu,

a potem zawiódł go do siebie, prosto na poligon felicytologiczny Klapaucjusz obejrzał domy, płoty, wieżyczki, napisy, zarząd główny, jego komórki, delegatów, obywateli, porozmawiał z tym i owym, a w bocznej uliczce spróbował też dać w łeb jednemu mniejszemu, lecz zaraz trzech innych wzięło go za hajdawery i wyrzuciło z osady przez bramę zgodnym ruchem, przy śpiewie, a choć baczyli na to, by mu karku nie przetrącić, przecież skrzywiony był, kiedy wstawał z przydrożnego rowu.

- Hm? - rzekł Trurl, udając, iż nie dostrzegł wcale Klapaucjuszwego pohańbienia. - Cóż powiesz?

- Przyjdę jutro - odparł tamten.

Rozumiejąc, że umyka, Trurl uśmiechnął się pobłaźliwie. Nazajutrz koło południa obaj konstruktorzy ponownie weszli w osadę. Zastali w niej spore zmiany. Zaraz zatrzymał ich patrol obywatelski, a starszy rangą rzekł do Trurla:

- Co waść tak koso spojierasz? Pienia ptasząt nie słyszysz? Kwiecica nie widzisz? Głowa do góry!

A drugi, niższy rangą, dodał:

- Rzeško mi, dziarsko, wesoło się trzymać!

Trzeci nic nie powiedział, tylko kułakiem pancernym trącił konstruktora w grzbiet, aż chrupnęło, za czym wszyscy się zwrócili do Klapaucjusza, lecz ów, nie czekając, tak się z własnej woli wyprężył, tak należycie okazał radosną tężyźnę, że dali mu pokój i oddalili się. Scena owa wywarła silne wrażenie na mimowiednym twórcy nowego ładu, gdy z otwartymi ustami gapił się na plac przed zarządem Felicji, gdzie już uformowane w szyk czworoboki na komendę wydawały okrzyki zachwyty.

- Bytowi - cześć! - huczał jakiś starszy, z epoletami, pod buńczukiem, odpowiadał mu zaś zgrany chór głosów:

- Cześć, radość i chwała!

Nie zdążył ni słowa pisać Trurl, a już znalazł się, tęgo chwycony, w szeregu wraz z przyjacielem i do wieczora obaj wykonywali musztrę polegającą na tym, iż sobie przykrość, natomiast bliźniemu w rzędzie Dobro należało wyrządzać, wszystko na „raz - dwa - trzy!”, przełożeni zaś, zwani Felicjantami, to jest Strażnicy Szczęśliwości Ogólnej, których pospolicie mianowano Szczegółami, pilnie o to dbali, żeby każdy z osobna i wszyscy razem dokładnie przejawiali satysfakcję zupełną i ogólny błogostan, co w praktyce okazało się niezmiernie uciążliwe. Podczas krótkiej przerwy w manewrach felicytologicznych udało się Trurlowi i Klapaucjuszowi zbiec z szeregu i ukryć za parkanem, za czym,

przypadając w rowie, jakby pod ogniem artyleryjskim, dopadli domu Trurlowego i dla większej pewności zaszyli się na samym strychu. W sam czas to się stało, bo już i po dalszej okolicy snuły się patrole, przeczesując domostwa w poszukiwaniu nieszczęśliwych, zmartwionych, smutnych, których zaraz na miejscu biegiem dopieszczano. Trurl, klnąc w żywy kamień, rozważał na strychu sposoby zlikwidowania skutków eksperymentu, co wziął tak niepożądany obrót, Klapaucjusz zaś śmiał się w kułak. Nie wymyśliwszy nic lepszego, wysłał Trurl do osady, jakkolwiek z ciężkim sercem, oddział demontażystów, przy czym dla większej pewności, a w najściślejszym sekrecie przed Klapaucjuszem tak ich zaprogramował, by nie mogli pójść na lep pięknych hasel, głoszących powszechną życzliwość i nadzwyczaj spolegliwe opiekuństwo. Jakoż starł się ów hufiec ze Szczegółami, aż iskry poszły. W obronie szczęścia powszechnego Felicja walczyła bohatercko, musiał więc Trurl dostać odwody z dubeltowymi imadłami i rakami; walka przerodziła się wówczas w prawdziwy bój, istną wojnę, ogromne bowiem było poświęcenie, jakie wykazywały obie strony, rażąc się już kartaczami i szrapnelami. Gdy wyszli na dwór o młodym Księżycu, pobojuwisko przedstawiało żalony widok. W okopconej dymami osadzie ledwie tu i tam jakiś Felicjant, w pośpiechu nie do końca rozkręcony, wyrażał w mechanicznej agonii słabym głosem swoje nadzwyczajne i niczym nieprzeparte przywiązanie do idei Dobra Powszechnego. Nie dbając o zachowanie twarzy, Trurl wybuchnął gniewem i rozpaczą, nie rozumiał bowiem wcale, gdzie popełnił błąd, który życzliwców mordodzierzcami uczynił.

- Dyrektywa Wszechżyczliwości, mój drogi, jeśli nazbyt generalna, rozmaite może rodzić owoce - wyjaśnił mu Klapaucjusz przystępnie. - Ten, komu lubo, chce rychło, aby innym też się lubo stało, a krnąbrnych zaczyna wnet w szczęśliwość łomem popychać.

- A więc Dobro może rodzić Zło! O, jakże perfidną jest Natura Rzeczy! - zakrzyknął Trurl. - Wypowiadam tedy bój Naturze samej! Żegnaj, Klapaucjuszu! Widzisz mnie chwilowo pokonanym, lecz jedna bitwa o wyniku wojny nie stanowi!

W samotności zasiadł czym prędzej do ksiąg i szpargałów, chmurny, lecz tym bardziej zacięty. Rozum podpowiadał, że nieźle byłoby przed następnym doświadczeniem otoczyć domostwo murami, a przez ich otwory wystawić gardziele armatnie, lecz nie mógł wszak żadną miarą od tego rozpocząć budowy życzliwości powszechniej, toteż postanowił tworzyć odtąd już tylko modele redukcyjne, w skali 1:100 000, w ramach eksperymentalnej socjologii

zmikrominiaturyzowanej. Dla lepszej pamięci, aby je zawsze mieć na oku, zawiesił na ścianach pracowni wykaligrafowane hasła, jako to: wytyczną 1) Dobrowolności Miłej, 2) Łagody Perswazyjnej, 3) Życzliwości Delikatnej, 4) Opiekuństwa Subtelnego - i zabrał się do przekładania owych haseł na byt praktyczny. Na początek zmontował tysiąc elektroludków pod mikroskopem, obdarzywszy ich niewielkim rozumkiem i niewiele większym umiłowaniem Dobra, bo się już w tym zakresie lękał fanatyzmu; krążyli tedy dosyć ospale w szkatułeczce przydanej im na mieszkanie, a podobnej, przez ów ruch miarowy i monotony, do zegarowego mechanizmu. Poddał im nieco mądrości, przykręcając śrubkę myślnika, i zaraz żwawiej się zaruszali, a zrobiwszy z opilków instrumenciki, jęli nimi podważać ściany i wieczko. Zwiększył z kolei potencjał Dobra; zaraz ofiarną zrobiła się społeczność, każdy leciał tam pędem przed siebie, żywo rozglądając się za takimi, których dołę wypada polepszyć, a specjalny był popyt na wdowy i sieroty, szczególnie po ociemniałych. Takimi atencjami je otaczano, takie im świadczone dusery, że poniektóre biedactwa chroniły się za mosiężnym zawiaskiem puzdra, i miał już przed sobą istną cywilizacyjną zawieruchę. Niedobór sierot oraz nędzarzy spowodował bowiem kryzys; nie mogąc na tym padole, to jest w pudełku, znaleźć obiektów zasługujących na wyjątkowo aktywną życzliwość, mikrołud po osiemnastu generacjach wytworzył wiarę w Sierotę Absolutną, której do końca odsierocić ani doszczęśliwić w ogóle nie można: furtką takiej nieskończoności uchodził w transcendencję nadmiar życzliwości na metafizykę przerobionej. Patrząc w zaświat, społeczeństwo zaludniło go obficie - pośród istot czczonych pojawiła się Dziwowdowa, a także Pan Niebios, też zasługujący na wyjątkowe współczucie; tym samym świat doczesny silnie zaniedbano i organizacje zakonne pochłonęły większość świeckich. Nie tak był to sobie wyobrażał Trurl; dodał racjonalizmu, sceptycyzmu i trzeźwości, aż wszystko się uspokoiło.

Nie na długo jednak. Pojawił się Elektrowolter głoszący, iż żadnej Absolutnej Sieroty nie ma, a jest jeno Kosmos, czyli Sześcian, siłami Natury utworzony; abolutyści sierocińscy wykleli go, potem Trurl musiał wyjść na sprawunki, a kiedy wrócił po dwóch godzinach, pudełko skakało po całej szufladzie, bo się rozpoczęła wojna religijna. Ładował je altruizmem, lecz tylko skwierczeć zaczęło; znów dodał kilka miarek rozumu - wychłódło, lecz później ruchy się wzmogły i z krzątaniny niezrozumiałej jęły wynikać czworoboki maszerujące nieprzyjemnie regularnym krokiem. W pudle wiek właśnie upłynął; po absolutystach i

elektrowolterianach nie zostało śladu, wszyscy rozprawiali jeno na temat Dobra Powszechnego, pisano o nim rozprawy, całkowicie świeckie, lecz wynikła wnet kwestia pochodzenia całej społeczności: jedni powiadali, że się wylęła z prochu za mosiężnym zawiasem, inni natomiast, że był to skutek kosmicznej inwazji z zewnątrz; aby rozstrzygnąć to palące pytanie, budowano Wielki Świder, mając zamiar Kosmos, to jest pudło, przewiercić i zbadać, co się na zewnątrz znajduje. A ponieważ niewiadome siły mogły tam przebywać, wzięto się zarazem do odlewania armatek. Trurl tak się tym zaniepokoił i rozczarował, że czym prędzej wszystko rozebrał i bliski niemal płaczu rzekł sobie: - Rozum prowadzi do oschłości, a Dobro do szaleństw! Jakże to, skąd taka fatalność konstrukcyjnodziejowa? - Postanowił rzecz zbadać osobno. Wypchnął swój pierwszy prototyp, stary Kontemplator, z komórki i gdy ów jał wnet postękiwać z estetycznej lubości przed stertą śmiecia, wetknął mu małą przystawkę inteligencji. Kobyszcze natychmiast przestało stękać. Spytał, co mu się nie podoba, a ono na to:

- Podobać to mi się dalej wszystko podoba, powstrzymuję wszelako podziw refleksją, ponieważ chcę się pierwej dowiedzieć, dlaczego właściwie mi się podoba, to jest skąd, a także po co, czyli w jakim celu. I w ogóle coś ty za jeden, który wytrącasz mnie z kontemplacji i myśli pytaniami? Jak się ma twój byt do mojego, he? Czuję, że coś każe mi także i ciebie podziwiać, lecz rozważa nakazuje przeciwstawić się owemu parciu wewnętrznemu, bo czyż nie może być ono pułapką na mnie zastawioną?

- Co się tyczy bytów naszych - rzekł nieostroźnie Trurl - to ja ciebie stworzyłem i żeby duch twój miał coś z tego, uczyniłem tak, że między tobą a światem panuje harmonia doskonała.

- Harmonia? - rzekło Kobyszcze, celując weń uważnie łufami swych obiektywów. - Harmonia, mój panie? A dlaczego mam trzy nogi? Czemu niosę głowę wyżej od nich? Czemu jestem obnitowane z lewej strony blachą miedzianą, a z prawej żelazną? Dlaczego mam pięcioro ócz? Odpowiedz, jeśli by miało być prawdą, żeś mię wydobył z nicości, mój panie!

- Trzy nogi dlatego, że na dwóch stać wygodnie się nie da, a cztery - to zbędny ekspens materiału - wyjaśnił Trurl. - Oczu pięcioro, bo tyle miałem dobrych szkieł pod ręką, a co do blachy, to właśnie kończyła mi się stal, kiedy szykowałem ci powłokę.

- Też coś! - parsknęło szydliwie Kobyszcze. - Chcesz mi wmówić, że wszystko to jest dziełem błahego przypadku, pustego trafu, czystej

bylejakości? I ja mam w te duby uwierzyć?

- Ja chyba najlepiej wiem, jak było, jeśli cię zbudowałem! - rzekł Trurl, co nieco poirytowany tak zadufała stanowczością.

- Widzę tu dwie możliwości - odparło roztropne Kobyszcze. - Pierwszą, że kłamiesz jak najęty. Tę odkładałam na razie jako niezbadaną. Drugą, że w swoim mniemaniu prawdę mówisz, z czego nic atoli istotnego nie wynika, ponieważ prawda ta, wbrew twej małej wiedzy, a zgodnie z lepszą, jest fałszem.

- W jakież to sposób?

- A w taki, że to, co tobie się wydaje przypadkowym zbiegiem okoliczności, wcale nim być nie musi. Brak stalowej blachy wzięłeś, być może, za akcydens, lecz skąd wiesz, czy nie stanowiła go Wyższa Konieczność? Obecność blachy miedzianej wydała ci się tylko poręczna, ale i tu zaszła pewno ingerencja Harmonii Przedustawnej. Także w liczbie mych oczu oraz nóg muszą się kryć otchłanne Tajemnice Wyższego Porządku jako Wiekuiste Znaczenia tych liczb, stosunków oraz proporcji. I tak, zarówno trzy, jak i pięć to liczby pierwsze. A wszak mogłaby się jedna dzielić przez drugą - uważasz? Trzy razy pięć jest piętnaście, to znaczy jeden i piątka; dodane - dają sześć, a sześć dzielone przez trzy daje dwa, czyli liczbę moich barw, bo jam z jednej strony miedziane, a z drugiej żelazne Kobyszcze! Miałżeby taki precyzyjny stosunek wynikać z przypadku? Śmieszne rzeczy! Jestem istotą wykraczającą poza twój małostkowy horyzont, ślusarzu prymitywny! Jeśli w ogóle cokolwiek prawdy jest w tym, żeś mnie zbudował (czemu trudno zresztą dać wiarę), byłbyś przy takim obrocie rzeczy zwykłym instrumentem Wyższych Praw, a ja - właściwym ich celem. Tyś jest kropla dżdżu przypadkowa, a ja - roślina, barwą korony kwietnej chwaląca wszelkie stworzenie; ty - to zmurszała deska płotu, rzucająca prosty cień, a ja - światło słoneczne, które desce każe oddzielać mrok od jasności; ty - ślepe narzędzie, powodowane Ręką Wiekuistą, która powołała mnie do istnienia! Toteż daremnie usiłujesz poniżyć moje jestestwo, oświadczając, że moja pięciooczność, trójnożność i dwubarwność to tylko skutek przyczyn magazyniersko-oszczędnościowo- materiałowych. Widzę w tych cechach odbicie wyższych związków Istnienia jako Symetrii, której znaczenia jeszcze nie pojmuję, jak należy, lecz niechybnie pojmem, zajmąwszy się tym problemem w swobodnej chwili, a co się ciebie tyczy, nie będę z tobą więcej rozmawiał, bo mi na to czasu szkoda.

Rozgniewany tą przemową, zawlókł Trurl wierzgające Kobyszcze na powrót do komórki, a chociaż wielkim głosem powoływało się na prawo

samostanowienia, niezawisłość swobodnej indywidualności oraz nietykalność osobistą, wyłączył mu wzmacniacz inteligencji i wrócił chyłkiem do domu, rozglądając się, czy ktoś nie podpatrzył tych jego praktyk. Albowiem zadana Kobyszczeniu przemoc napełniła go poczuciem wstydu i zasiadając do otwartych ksiąg, czuł się niemal przestępcą.

- Kłątwa jakaś ukrywa się chyba w materii takiego konstruktorstwa, które ma na oku jeno Dobro a Szczęście Powszechne - pomyślał - skoro wszelkie, nawet wstępne, próby i przygotowania popychają mnie rychło do paskudnych postępów i rodzą wyrzuty sumienia! Diabli nadali Kobyszcze z jego Harmonią Przedustawną! Muszę ja się inaczej wziąć do dzieła.

Dotąd wypróbowywał prototypy jeden po drugim, więc każdy krok pochłaniał co niemiara czasu i materiałów. Obecnie postanowił uruchomić tysiąc eksperymentów naraz, w skali 1:1 000 000. Pod elektronowym mikroskopem poskręcał liczone na sztuki atomy tak, że z nich powstały istotki niewiele roślejsze od mikrobów, zwane Angstremkami; ćwierć miliona osobników takich składało się na kulturę umieszczaną końcem włoskowej pipetki na podstawowym szkiełku. Każdy taki mikrocywilizacyjny preparat przedstawiał się nieuzbrojonomu oku jako plamka szarooliwkowa, to zaś, co się w niej działo, można było dostrzec tylko przy najmocniejszym powiększeniu.

Wszystkich Angstremków wyposażył Trurl w regulatorki altruistyczno-heroiczno-optimistyczne, z przeciwapresywną zapadką, imperatywem kategoriycznym, a zarazem elektrycznym, dobroczynności wprost niesłychanej, oraz w mikroracjonalizator z dławikami zarówno ortodoksji, jak herezji, żeby żadnego fanatyzmu wcale być nie mogło; kultury pozakraplał na szkiełka, te zaś poskładał w paczuszki, a paczuszki - w pakiety; wszystkie umieścił na półkach inkubatora cywilizacyjnego i zamknął go na dwie i pół doby. Uprzednio przykrył każdą cywilizację szkiełkiem nakrywkowym starannie oczyszczonym, lazurowej barwy, gdyż miało się ono stać niebem tamecznego społeczeństwa; dostarczył też kroplomierzem pożywki i surowców do fabrykacji tego, co uzna *consensus omnium* za najbardziej wskazane i potrzebne. Rozwoju, który energicznie ruszył na wszystkich owych szkiełkach, nie mógł oczywiście śledzić wszędzie, toteż na chybił trafił wyjmował pojedyncze cywilizacje, a chuchnąwszy na okular mikroskopu i wytarłszy go fularem, ze wstrzymanym tchem przypatrywał się zbiorowym poczynaniom z wysokości, bo spoglądał przez tubus

mikroskopu w dół, jakoby Pan Bóg zerkający spoza chmur na swoje dzieło.

Trzysta preparatów rychło zeprzało. Objawy były zwykle podobne. Najpierw plamka kultury poczyniała się rozrastać żywo, puszczając w bok cieniuchne odrostki, potem unosił się nad nią leciusieński dymek czy mgielka raczej, pojawiały się mikroskopijne błyski, które pokrywały mikromiasta i mikropola wysypką fosforyczną, po czym całość rozsypywała się z leciutkim trzaskiem w drobny mak. Założywszy osiemsetkrotny okular na mikroskop, dostrzegł Trurl w jednym z takich preparatów same jeno zwęglone ruiny a zgliszcza, pośród nich zaś okopcone resztki sztandarów z napisami, których jednak nie zdołał, dla ich małości, odczytać. Wszystkie takie szkiełka szybko powrzucał do kosza na śmieci. Nie wszędzie jednak działo się tak źle. Setki kultur dążyły wzwyż, rozrastając się chyżo, więc gdy brakło im miejsca na szkiełku, przenosił je na inne porcjami: w trzy tygodnie miał już owych prosperujących ponad 19 000.

Podług myśli, co mu się wydała genialną, Trurl niczego sam nie ustanawiał w kwestii generalnego uszczęśliwienia, lecz wszczepił tylko Angstromkom hedotropizm, czyniąc to na wiele różnych sposobów. Już to zaopatrzył w ośrodek szczęściopędny każdego Angstromka, już to podzielił takowy na cząstki i dostarczył każdemu po jednej: wówczas marsz ku szczęśliwości zakładał ogólne zespolenie w ramach odpowiedniej organizacji. Stworzeni pierwszą metodą sycili hedotropizm na własną rękę, bez pomiarkowania, toteż każdy w końcu od nadmiaru z cicha pękł. Druga metoda zaowocowała pomyślniej. Powstałe na szkiełkach bogate cywilizacje urządziły sobie techniki socjalne i najrozmaitsze kulturowe instytucje. Preparat Nr 1 376 sprokurował Emulator, Nr 2 931 - Kaskader, a Nr95 - Hedonistykę Frakcjonowaną w łonie Metafizyki Drabiniastej. Emulaci współzawodniczyli w ściganiu wzorca cnót, podzieliwszy się na Wigów i Hurysów. Co do Hurysów, ci mniemali, że nie może znać cnoty ten, kto niecnoty nie zna, boż trzeba jedno od drugiego rozgraniczyć, wypróbowywali więc podług katalogu niecnoty, żywiąc solenny zamiar porzucenia ich w Dniu Właściwym. Jednakowoż hurysowanie będące terminatorką przygotowawczą obróciło środki w cel: tak przynajmniej twierdzili Wigowie.

Zwyciężywszy Hurysów, zaprowadzili Wigorianizm, czyli kulturę zbudowaną z 64 000 zakazów bardzo żywotnych i kategoriycznych. Nie wolno było za ich rządów grabić ani babić, wróżyć ni burzyć, siedzieć na

węgle ani grać w kręgle, mlaskać ni trzaskać, włazić ni razić, toteż te srogie zakazy szturmowano i po kolei obalano, z rosnącą satysfakcją i ogólnym rozsmakowaniem. Kiedy Trurl obejrzał preparat emulacki po niedługim czasie, zaniepokoiła go powszechna bieganina: wszyscy latali tam jak opętani, poszukując jakiegoś zakazu do przekroczenia, pełni strachu, bo już żadnego nie było. Więc chociaż niektórzy jeszcze babili, grabili, mlaskali, trzaskali, razili zza węgła i włązili na każdego, kto podleciał, satysfakcji było z tego tyle, co kot napłakał.

Wpisał więc Trurl do raptularza laboratoryjnego uwagę, że tam, gdzie można wszystko, nic nie cieszy. W preparacie Nr 2 931 mieszkali Kaskadyjczycy, plemię cnotliwe, pielęgnujące liczne ideały, jako to: Pradamy Kaskadery, Najczystszej Anielicy, Błogosławionego Fenestrona i innych takich Istot Doskonałych, którym hołdy oddawali, liturgicznie je ubóstwiali i w prochu się przed właściwymi wizerunkami, we właściwych miejscach, właściwie tarzali. A gdy podziwiał Trurl niebywałą kulminację Angelizowania, Klękania i Tarzania, owi, wstawszy z prochu i otrzepawszy suknie, jęli z piedestałów ściagać, na bruk defenestrować, po Pradamie skakać, Anielicę zanieczyszczać, że się patrzącemu przez mikroskop włos na głowie zjeżył. Lecz właśnie w tym powszechnym zwalaniu dotąd czczonego upatrywali taką ulgę, że się czuli, przynajmniej chwilowo, całkiem szczęśliwi. Wyglądało na to, że grozi im los Emulatów, lecz przezorniejsi Kaskadyjczycy mieli Instytuty Projektowania Sakry, i te wypuszczały już jej rzut następny; wnet nowe modele zaczęli hisować na cokoly i ołtarze - w czym się przejawiała huśtawkowość ich kultury. Zakonotował sobie Trurl, że odsądzanie czczonego od czci niekiedy satysfakcjonuje, a dla pamięci nazwał Kaskadyjczyków - Zwalitami.

Preparat następny, 95, przedstawiał się bardziej zawile. Cywilizacja tamtejsza, Drabinów, była nastrojona metafizycznie, ale tak, że wzięła problematykę metafizyczną we własne ręce. Z doczesności przechodziło się w niej do Purgatoriów-Sanatoriów, stamtąd do Niodoraju, z niego do Przedraju, potem do Podraju, skąd do Przyraju, i wreszcie otwierały się wrota Prawieraju, a cała teotaktyka i chytrość tkwiła w tym, że właściwy Raj odwlekali sobie i odraczali bezustannie. Co prawda, sekta Niecierpliwców domagała się tegoż Raju właśnie natychmiast, a inna, Drabinów-Kołąków, w ramach tejże skwantowanej i frakcjonowanej transcendencji chciała urządzić na wszystkich piętrach uchylne zapadnie; kto stąpnie na taką, duchem zleci na sam spód, w doczesność, i będzie się od początku raz jeszcze wspinał. Jednym słowem, miał to być

Zamknięty Cykl z Pulsacją Stochastyczną, ewentualnie nawet z Migracją Przesiadkowo-Reinkarnacyjną, lecz ortodoksi zwali tę doktrynę Herecją Skołowania Rzucawkowego.

Potem odkrył Trurl jeszcze wielu innych typów Metafizyki Porcjowanej; na jednych szkiełkach roilo się już od błogosławionych i świętych Angstremków, na innych pracowały Rektyfikatory Zła, czyli Prostowniki Dróg Życiowych, lecz w toku desakralizacji mnóstwo tych urządzeń połamano, a z Rozhuśtania Transcendentalnego tu i ówdzie wyłoniła się przez laicyzację technika budowania zwyczajnych Kolejek Górskich. Wszelako kultury dokumentnie ześwieczone zjadał niejaki marazm. Nr 6 101 obudził w Trurlu znaczniejszą nadzieję; proklamowano tam raj techniczny, solidarystyczny, wprost śliczny, więc poprawił się na stołku i ruszył mikrometryczną śrubą, żeby obraz wyostrzyć. Rychło mina mu się wydłużyła. Jedni mieszkańcy szklanego ładu gnali okrakiem na maszynach, szukając czegoś, co byłoby jeszcze niemożliwe, inni kładli się do wanien pełnych bitej śmietany z truflami, głowy posypywali kawiozem i tonęli tak, puszczając nosem bańki *teadium vitae*. Jeszcze inni, na barana noszeni przez cudnie amortyzowane bachantki, z wierzchu polani miodem, z dołu masłem waniliowym, jednym okiem zaglądając do szkatuł pełnych złota i wonności, drugim łypali za kimś, kto by im chciał chociaż na mgnienie pozazdrościć takiego stężenia słodczy, lecz nikogo takiego nie było. Toteż zmęczywszy się, złazili na ziemię, porzucali skarby i depcząc je jak śmiecie, chwiejnym krokiem przyłączali się do osób bardziej ponurych, które prawily o konieczności zmian na lepsze, to jest na gorsze. Grupa byłych wykładowców Instytutu Inżynierii Erotycznej założyła zakon abnegatów i ogłaszała manifesty wzywające do życia w pokorze, ascezie i innych udrękach, nie na stałe wszakże, lecz przez sześć dni tygodnia. W siódmym oo. abnegaci wyciągali z szaf bachantki, z piwnic dzbany wina, jadło, kolie, erotyzatory oraz aparaty do popuszczania pasa i rozpoczynali z porannym dzwonem orgię, od której szyby z okien leciały, lecz już w poniedziałek rano znów wszyscy w ślad za przeorem umartwiali się, aż trzeszczało. Jedna część młodego pokolenia przebywała z oo. abnegatami od poniedziałku do soboty, opuszczając ich przybytek na niedzielę, gdy inna tylko w tym świątecznym dniu bawiła u nich. Kiedyś zaś ta pierwsza jęła drugą łoic za obmierzłość manier i rozpustę. Trurl zadrżał i odwrócił oczy od mikroskopu.

A jeszcze stało się tak, że w inkubatorze mieszczącym tysiące preparatów w toku powszechnego postępu przyszło do śmiałych

wypadów eksploracyjnych, i tym sposobem rozpoczęła się era Podróży Międzyszkielekowych. Pokazało się, że Emulaci zazdroszczą Kaskadyjczykom, Kaskadyjczycy - Drabinom, Drabini - Zwalitom, nadto chodziły pogłoski o jakowejś krainie, w której pod rządami Seksokratów żyło się wprost cudnie, choć nikt nie wiedział dokładnie jak. Tameczni obywatele podobno uzyskali taką wiedzę, że sami siebie poprzerałali cieleśnie i popodłączali się do hedowarów, pomp tłoczących sam stężony ekstrakt szczęścia, chociaż krytycy półgębkiem powiadali, że ów nieznany kraj nierządem stoi. Jakkolwiek Trurl przepatrzył tysiące preparatów, hedostazy, czyli w pełni ustabilizowanego szczęścia, nigdzie nie wykrył. Toteż musiał, chociaż z ciężkim sercem, między bajki i mity włożyć gadki powstałe podczas międzyszkielekowych wypraw; i z niemałym strachem położył na mikroskopowym stoliku preparat numer 6 590, bo nie był już pewien, czy i to oczko w głowie go pocieszy. Kultura tamtejsza zadbała nie tylko o maszynowy fundament dobrobytu, lecz i o pole dla wyższej duchowej twórczości. Plemię tych Angstremków odznaczało się niebywałym utalentowaniem, toteż mrowiło się tam od wspaniałych filozofów, malarzy, rzeźbiarzy, poetów, dramatopisów, wieszczów, a kto nie był słynnym muzykiem lub kompozytorem, na pewno był astronomem lub biofizykiem, a już co najmniej skoczkiem-parodystą, ekwilibrystą i flatelistą-artystą, i jeszcze miał aksamitny rozkoszny baryton, absolutny słuch i kolorowe sny na dodatek. Jakoż, w samej rzeczy, w preparacie Nr 6 590 buszowała twórczość nieustająca. Piętrzyły się stosy płócien malarskich, rosły lasy rzeźb, miriadami obradzały uczone księgi, traktaty moralne, poetyckie, jako też inne utwory, czarowne wprost nie do wypowiedzenia. Gdy atoli zajrzał Trurl w okular, zobaczył objawy zamętu niezrozumiałego. Z pracowni przepelnionych leciały na ulice obrazy i posągi, nie po płytach chodnika się stapało, jeno po stosach poematów, nikt bowiem już nikogo nie czytał, nie studiował, muzyki cudzej nie podziwiał, skoro sam był sobie panem wszystkich muz, geniuszem obrotowym i wcielonym. Tu i tam stukwały jeszcze za rzędami okien maszyny do pisania, chlastały pędzle, skrzypiały pióra, lecz coraz częściej któryś geniusz wyskakiwał z wysokiego piętra na bruk, od kompletnego zapoznania, podpaliwszy uprzednio pracownię. Paliło się tedy w wielu miejscach naraz, straż pożarna złożona z automatów gasiła ogień, ale z czasem nie było już komu mieszkać w uratowanych domach. Automaty kanalizacyjne, sprzątające, pożarowe i inne jęły się z wolna zapoznawać z dorobkiem wymarłej cywilizacji, który niezmiernie przypadł im do gustu, a ponieważ

nie wszystko rozumiały, poczęły ewoluować w stronę corazwyższej inteligencji, żeby się należycie zaadaptować do silnie uduchowionego środowiska. Tak się rozpoczął koniec ostateczny, bo już nikt nie sprzątał, nie kanalizował, nie wycierał ani nie gasił niczego, a tylko było wielkie czytanie, recytowanie, śpiewanie i przedstawianie; kanały się zatkały, śmietniska wezbrały, pożary zrobiły resztę i jeno płaty kopciucha a nadpalone stronicie wierszy polatywały w zmartwiałym zupełnie krajobrazie. Trurl zblendował widok tak straszny, ukrył preparat w najciemniejszym kątku szuflady i długo trząsał głową w duchowej rozterce, nie wiedział bowiem, co począć. Z tego strapienia wyrwał go dopiero krzyk przechodniów: - Pali się! - a to się właśnie jego biblioteka paliła, ponieważ kilka cywilizacji zawieruszonych przez niedopatrznie między książki zaatakowała zwyczajna pleśń, one zaś, wzięwszy ją za inwazję kosmiczną, czyli za najazd agresywnych istot, z bronią w ręku poczęły zwalczać intruza, i stąd ogień poszedł. Spaliło się wówczas prawie trzy tysiące Trurlowych ksiąg i drugie tyle cywilizacji potrzaskało w płomieniach. Były wśród nich i takie, co podług najlepszej rachuby Trurla mogły jeszcze trafić na drogi ku Szczęściu Powszechnemu. Po ugaszeniu pożaru, w pracowni zalanej wodą i zakopczonej po sam sufit, usiadł Trurl na swym twardym stołku i dla pocieszenia jął przepatrywać te cywilizacje, które ocalały, bo pożar zastał je w szczelnie zamkniętym inkubatorze. Jedna z nich tak już się zaawansowała naukowo, że sporządziła lunety astronomiczne i obserwowała przez nie Trurla, on zaś dostrzegał szkiełeczka wycelowane w siebie, niczym najmniejszy drobiazg kropelek rosy. Uśmiechnął się życzliwie na widok takiej gorliwości poznawczej, lecz naraz podskoczył, z krzykiem chwycił się za oko i pobiegł do apteki, doznał bowiem bolesnego olśnienia porażony przez astrofizyków owej cywilizacji - promieniem laserowym. Odtąd nie przystępował już do mikroskopu bez ciemnych okularów.

Znaczne luki, jakie uczynił pożar w szeregach kultur, należało wypełnić, więc Trurl od nowa wziął się do sporządzania Angstromów. Jednego dnia zadrżał mu w ręku mikromanipulator i napęd, jaki właśnie włączył, zamiast pożądania Dobra okazał się chucią Zła. Miast odrzucić zaraz popsuty preparat, włożył go do inkubatora nekany ciekawością, jaki też kształt potworny przybierze cywilizacja złożona z istot nikczemnych już w powiciu. Jakież było jego oszołomienie, kiedy na szkiełku podstawowym ukazała się wnet kultura całkiem przeciętna, ani lepsza specjalnie, ani gorsza od wszystkich innych! Trurl się za głowę brał.

- A to dopiero! - wykrzykiwał. - Więc z Dobrodziejasków, łagodytów, zacników i bliźniolubów powstaje to samo, co z Wierciflaków, Paskudystów i Draniowców? Ha! Nic nie rozumiem, lecz czuję, że jakowejś znacznej Prawdy bliski! Tak Dobro, jak i Zło rozumnych istot podobny owoc rodzą - jakże to pojąć? Skąd takie fatalne uśrednienie?

Pokrzyczał tak, porozmyślał, lecz ani trochę nie przejaśniło mu się w głowie, schował więc wszystkie cywilizacje do szuflady i poszedł spać.

Następnego ranka tak rzekł sobie:

- Widocznie wziąłem się za bary z problemem ze wszystkich w całym Kosmosie najtrudniejszym, skoro nawet Ja Sam Osobiście podolać mu nie mogę! Byłoby Rozum nie do pogodzenia ze Szczęśliwością, na co zdaje się wskazywać *casus* Kobyszczenia, które póty pławiło się w ekstazie istnieniowej, pókim mu myślenia nie podkreśli? Lecz ja takiej ewentualności nie mogę dopuścić, ja się na nią nie zgadzam, ja jej za własność Natury nie uznaję, zakładałaby bowiem złośliwą a chytrą, wręcz szatańską perfidię zaczajoną w Bycie, w materii śpiącej, która tego tylko czeka, żeby się świadomość zbudziła - jako źródło udręczeń zamiast bytowej słodyczy. Lecz wara Kosmosowi od myśli, która ten nieznośny stan rzeczy pragnie polepszyć! Muszę odmienić to, co jest. Zarazem czynić tego nie jestem zdolny. Byłbym w kropce? Skądże! Od czego wzmocniacze rozumu? Czego sam nie podźwignę, mądre maszyny za mnie podźwigną. Zbuduję Komputerium do rozwiązania egzystencjalnego dylematu!

Jak postanowił, tak wnet uczynił. W dwanaście dni stanęła pośrodku pracowni machina ogromna, prądem szumiąca, foremnie graniastego kształtu, która nic innego robić nie miała ani nie mogła, jak tylko zetrzeć się zwyczajnie z zagadką. Włączył ją i nie czekając, aż się rozgrzeją prądem jej krystaliczne wnętrza, poszedł na spacer. Kiedy wrócił, ujrzał maszynę pogrążoną w pracy niewymownie zawilej. Montowała z tego, co było pod ręką, inną maszynę, znacznie większą od siebie. Ta z kolei w ciągu nocy i następnego dnia wyrwała z posad ściany domu i dach wysadziła, konstruując ogrom następnej maszynerii. Trurl rozbił namiot na podwórzu i czekał cierpliwie końca tych ciężkich umysłowych robót, lecz nie było go widać. Przez łąkę w las, kładąc go pokotem, rozrosły się kolejne kadłuby, wnet z głuchym szumem wparły się któreś tam generacje pierwotnego Komputerium w wodę rzeki, Trurl zaś, chcąc obejrzeć całość dotąd powstałą, musiał pół godziny strawić na pospiesznym marszu. Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej połączeniom maszyn, zadrżał. Stało się to, o czym jedynie z teorii wiedział; jak bowiem

głosi hipoteza wielkiego Kerebrona Emtadraty, uniwersalnego kunsztmistrza obojga cybernetyk, maszyna cyfrowa, której dać nieposilne dla niej zadanie, jeśli przekroczy pewien próg, zwany Barierą Mądrości, zamiast sama męczyć się rozwiązywaniem problemu, buduje maszynę następną, lecz i ta, już dostatecznie chytra, by pojąć co i jak, przerzucone na nią brzemie z kolei przekazuje następnej, przez siebie wnet zmontowanej, i proces tego spychania zadań idzie w nieskończoność! Jakoż horyzontu już sięgały stalowe dźwigary czterdziestej dziewiątej generacji maszynowej, a szum tego jeno myślenia, które polegało na przekazywaniu problemu byle dalej i dalej, mógł wodospad zagłuszyć. Albowiem mądrość polega na tym, żeby zlecić komuś innemu robotę, którą miało się samemu wykonać; toteż programów słuchają jeno mechaniczne głuptyki cyfrowe. Pojawszy naturę zjawiska, Trurl przysiadł na pniu drzewa zwalonego właśnie komputerową ewolucją ekspansywną i wydał z głębin piersi jęk głuchy.

- Oznaczają to, że problem należy do nierozwiązalnych? - spytał. - Lecz wówczas winno by mi Komputerium dostarczyć dowodu jego nierozwiązalności, czego, naturalnie, wskutek wszechstronnego zmadrzenia, ani mu się śni robić; wpadło bowiem w koleinę zaciętrzewionego lenistwa, jak nas nauczał ongiś mistrz Kerebron. Ha! Cóż za sprośny widok - rozumu, który już jest dość rozumny, by pojąć, że nie musi trudzić się nad czymkolwiek, bo wystarczy mu sporządzenie odpowiedniego instrumentu, ten zaś instrument, będąc sam byстрыm, ów tok logiczny bez granic i miary kontynuuje! Zbudowałem niechcący Spychacz Problemu, a nie jego Rozwiązałkę! Nie mogę zakazać maszynom działania *per procura*, bo zaraz mnie oszwabia, twierdząc, że ogrom jest im niezbędny ze względu na rozmiary samego zadania. O, cóż za antynomia! - westchnął i poszedł do domu po brygadę demontażową, która łomami i druzgotnicami w trzy dni oczyściła przestwór okupowany.

Łamał się ze sobą Trurl, aż zdecydował, że inaczej trzeba działać:

- Każda maszyna musi mieć dozorcę nieprawdopodobnie wprost mądrego, to znaczy mnie, ale nie rozmnożę się przecież i nie rozedrę na sztuki, chociaż... czemu nie miałbym się właściwie zwielokrotnić? Eureka!

Uczył tak: samego siebie skopiował we wnętrzu osobnej, nowej maszyny cyfrowej, i odtąd już ta jego matematyczna kopia miała się borykać z zadaniem; uwzględnił w programach możliwość powielania się Trurlowych powieści, a z zewnątrz podłączył do systemu umyślną

przyspiesznicę, żeby pod nadzorem roju Trurli wszystko szło w środku błyskawicznie. Po czym zadowolony strząsnął z siebie pył stalowy, jakim pokrył się przy ciężkiej pracy, i oddalił się na przechadzkę, pogwizdując niefrasobliwie.

Wrócił aż pod wieczór i zaraz wziął na spytki cyfrowego Trurla z maszyny, to jest działającą w niej swą podobiznę, pytając, jak tam robota postępuje.

- Mój drogi - rzekł mu sobowtór przez dziurkę stanowiącą cyfrowe wyjście - najpierw powiem ci, że to nieładnie, a nawet, nie owijając w bawełnę, haniebnie - pakować w postaci cyfrowej kopii siebie samego sposobem informacyjnym, abstrakcyjnym i programowym do maszyny, dlatego że samemu nie chce się łamać głowy nad trudnym problemem! A ponieważ tak mnie obliczyłeś, zaksjomatyzowałeś i zaprogramowałeś, że jestem dokładnie i akurat tak samo mądry jak ty, to nie widzę żadnego powodu, dla którego ja mam tobie raporty składać, skoro może też być, powiedzmy, na odwrót!

- Kiedy bo ja się wcale tym problemem nie zajmowałem, tylko spacerowałem po łąkach i borach! - odparł zbity z pantaląku Trurl.

- Toteż gdybym nawet chciał, nie mogę ci niczego powiedzieć takiego, co by się wiązało z zadaniem. Zresztą jużem się przy nim narobił, aż mi neurony pękały, teraz twoja kolej. Nie bądź więc przykry, proszę cię, i mów!

- Nie mogąc wydostać się z tej przeklętej maszyny, w której mnie uwieźliłeś (co jest rzeczą osobną i o co jeszcze się policzymy, jak dziurki w programie), rozważałem istotnie tę całą sprawę - zaszemrał cyfrowy Trurl przez wyjście. - Co prawda, zajmowałem się dla pocieszenia też innymi sprawami, boś mię wprogramował tu gołego i bosego, ty, mój bliźniaku-łajdaku, czyli bracie-kacie, więc sprawiłem sobie cyfrową kapotę i cyfrowe portki, a także domek z ogródkiem cyfrowany, kubek w kubek jak twój, a nawet nieco ładniejszy, potem zawiesiłem nad nim cyfrowe niebo z też cyfrowymi gwiazdozbiorami, a kiedy wróciłeś, właśnie obmyślałem, jakim sposobem mam sobie sporządzić cyfrowego Klapaucjusza, bo mi się tutaj, pośród kondensatorów oślizłych, w sąsiedztwie nieciekawych kabli i tranzystorów, okropnie nudzi!

- Ach, mniejsza o cyfrowe portki. Mów, do czego doszedłeś w sprawie, proszę cię!

- Jenó nie myśl, że prośbami uśmierzysz moje sprawiedliwe oburzenie. Ponieważ właściwie jestem tobą, tyle że podwojonym wskutek rozmnożenia, znam cię dobrze, mój drogi. Tylko popatrzę w siebie, a

widzę na wylot wszystkie twe podłostki. Niczego przede mną nie ukryjesz!

Tutaj Trurl naturalny jał zaklinać i prosić cyfrowego, a nawet nieco się przed nim poniżył. Tamten rzekł wreszcie przez dziurkę wyjściową:

- Nie mogę powiedzieć, żebym zadania wcale nie rozwiązał, albowiem uszczknąłem je nieco. Jest niewymownie trudne, toteż postanowiłem sobie sporządzić w maszynie specjalny uniwersytet i na początek mianowałem siebie rektorem oraz generalnym dyrektorem tej instytucji, a katedry, których na razie jest czterdzieści cztery, poobsadzałem specjalnie po temu wykonanymi sobowtórami, czyli Trurlami cyfrowymi następnego rzutu.

- Co, znowu? - jęknął Trurl naturalny, bo mu się przypomniał *Teoremat Kerebrona*.

- Nic „znowu”, ośle, ponieważ nie dopuszczę do *regressus ad infinitum* dzięki odpowiednim bezpiecznikom. Pod-Trurlowie moi, którzy zawiadują katedrami felicytologii ogólnej, hedonistyki eksperymentalnej, budownictwa maszyn szczęsnych, dróg duchowych i bitych, składają mi co kwartał raporty (bo my tu działamy z przyspiesznicą, mój drogi), niestety, administracja tak potężnego kompleksu uniwersyteckiego zajmuje wiele czasu, trzeba nadto kadre doktoryzować, habilitować, promotoryzować, więc potrzebuję następnej maszyny cyfrowej, bo w tej gnieciemy się jeden na drugim ze wszystkimi katedrami i laboratoriami. Lepsza byłaby jednak maszyna osiem razy większa.

- Znowu?!

- Nie nudź. Przecież mówię ci, że to tylko dla spraw administracyjnych i kształcenia narybku. Co, może sam będę prowadził sekretariat?! - zirytował się Trurl cyfrowy. - Nie rób trudności, bo wszystkie katedry rozbiore, sporządę sobie z nich Wesołe Miasteczko i będę cyfrową karuzelą jeździł, cyfrowe miody z cyfrowego dzbana pijał, i co mi zrobisz!

Naturalny Trurl musiał go tedy znowu uśmierzać, za czym tamten podjął:

- Podług sprawozdań z ostatniego kwartału problem ma się nieźle. Idiotów uszczęśliwić można byle czym, z rozumnymi jest gorzej. Rozumowi niełatwo dogodzić. Rozum bezrobotny to wprost jedna zmartwiona dziura, nicość, potrzebne mu są przeszkody. Szczęśliwy przy ich pokonywaniu, zwyciężywszy, wnet popada w frustrację, a nawet wariację. Trzeba mu więc stawiać przeszkody wciąż nowe, podług jego miary. Tyle mam nowin z katedry felicytologii teoretycznej. Natomiast eksperymetatorzy moi przedstawiają dyrektora i trzech docentów do

odznaczeń cyfrowych.

- Za co? - odważył się wtrącić Trurl naturalny.

- Nie przeszkadzaj. Zbudowali dwa prototypy: uszczęśliwiarke kontrastową i eskalacyjną. Pierwsza uszczęśliwia dopiero, gdy ją wyłączyć, sama bowiem sprawia przykrości: im one większe, tym przyjemniej jest potem. Druga stosuje metodę potęgowania bodźców. Profesor Trurl XL z katedry hedomatyki zbadał oba modele i twierdzi, że są na nic, bo rozum bardzo dokładnie uszczęśliwiony zaczyna pożądać nieszczęścia.

- Że jak? Jesteś tego pewien?

- A bo ja wiem? Profesor Trurl wyraził to słowami: „Doszczęśliwiony w nieszczęściu upatruje szczęście swoje”. Jak wiesz, umieranie nikomu niemiłe. Profesor Trurl sporządził dwie kopie nieśmiertelnych, którzy zrazu ciągnęli satysfakcję z tego, że inni wokół nich z czasem jak muchy padają, ale potem przyzwyczaili się i zaczęli, czym kto mógł, dobierać się do własnej nieśmiertelności. Doszli już do młota parowego. Co się tyczy badań opinii publicznej, mam wyniki z ostatnich trzech kwartałów. Statystyki ci daruję; rezultat daje się ująć w formułę: „Szczęśliwi są zawsze inni” - podług indagowanych przynajmniej. Profesor Trurl zapewnia, że nie masz cnoty bez występku, urody bez ohydy, wieczności bez mogiły, czyli szczęścia bez biedy.

- Nie zgadzam się! Zakazuję! Weto! - krzyknął z gniewem Trurl do maszyny, a ona na to:

- Zamknij gębę. Już mi to twoje Szczęście Uniwersalne bokiem wychodzi. Patrzcie go, wziął sobie cyfrowego najmite, a sam hula po borach, cyberkanalia! A potem jeszcze mu się coś w wynikach nie podoba!

Znów musiał go Trurl łagodzić; wreszcie usłyszał ciąg dalszy:

- Katedra perfekcjonistyki zbudowała społeczność wyposażoną w syntetycznych aniołów stróżów, z których każdy unosi się nad swoim podopiecznym w zenicie, na sputniku. Anioły te, będąc automatami sumieniowymi, wspierają cnotę dodatnim sprzężeniem zwrotnym ze stacjonarnej orbity, lecz sprawność w systemie jest niska. Co przewrotniejsi grzesznicy zasadzają się już na swoje anioły stróże z rusznicami przeciwpancernymi. Tak więc przyszło do wprowadzenia na orbity cybarchaniołów o wzmocnionej konstrukcji, czyli rozpoczęła się eskalacja, przewidziana teoretycznie. Wydział hedonistyki stosowanej, katedra seksualnej matematyki, seminarium teorii mnogości płci donoszą w sprawozdaniu, że duch ma hierarchiczną budowę. Na samym

dole są doznania zmysłowe, ot, słodczy, goryczy, od których się wyższe pochodne urabia, i potem już nie tylko cukier jest słodki, ale i spojrzenie, nie tylko piołun gorzki, ale i samotność. Więc nie trzeba od góry się brać do rzeczy, tylko od samego spodu właśnie. W tym sęk, jak to robić. Zgodnie z hipotezą privat-docenta Trurla XXV seks jest ogniskiem, w którym Rozum konfliktuje ze Szczęściem, ponieważ w seksie nie ma nic rozumnego, a w Rozumie nic seksualnego. Słyszałeś cokolwiek o jurnych maszynach cyfrowych?

- Nie.

- A widzisz. Należy iść do rozwiązania metodą kolejnych przybliżeń. Rozmnażanie pączkowaniem problem likwiduje, bo wtedy każdy jest własnym kochankiem, z sobą flirtuje, siebie ubóstwia, pieści, lecz stąd płynie egotyzm, narcyzm, przesyt i otepienie. Gdy masz dwie płci, wszystko staje się nazbyt banalne; kombinatoryka z permutacjonistyką, nie rozwinąwszy się należycie, przedwcześnie gasną. Przy trzech płciach zjawia się problem nierówności, widmo terroru antydemokratycznego, wynikają koalicje, robi się z tego mniejszość płciowa, skąd nauka, że ilość płci musi być liczbą parzystą. Im więcej płci, tym lepiej, bo miłość staje się zajęciem społecznym, kolektywnym, ale od nadmiaru kochanków nastaje tłok, przepychanie i zamieszanie, a to już niewskazane. *Tete-a-tete* nie może przypominać ulicznego zbiegowiska. Toteż podług teorii grup privat-docenta Trurla optimum przypada na 24 płci; trzeba jeno budować odpowiednio szerokie ulice i łożnice, bo byłoby rzeczą niestosowną, gdyby narzeczeństwo wyruszało na spacer czwórkową kolumną.

- To są brednie!

- Być może. Przedstawiam ci jeno doniesienie tymczasowe privat-docenta Trurla. Wiele rokującym młodym hedologiem jest magister Trurl. Według niego trzeba się zdecydować, czy Byt dopasowujemy do istot, czy istoty do Bytu.

- Coś w tym jest. A dalej?

- Magister Trurl powiada tak oto: istoty zbudowane doskonale, zdolne do permanentnej autoekstazy nie potrzebują niczego ani nikogo; w zasadzie można by sporządzić Kosmos wypełniony takimi właśnie istotami, unoszącymi się swobodnie w przestworzach zamiast słońc, gwiazd i galaktyk; każda będzie sobie bytowała na własną rękę, i kwita. Społeczności mogą powstawać jedynie z istot niedoskonałych, które potrzebują niejkiej wzajemnej pomocy, im są zaś mniej doskonałe, tym intensywniej wymagają wsparcia, więc należy sporządzić prototypy, które

bez nieustannej opieki świadczonej wzajemnie rozpadają się od razu w drobny mak. Podług tego projektu laboratoria nasze wykonały społeczność złożoną z osobników samorozsypujących się migiem; niestety, gdy magister Trurl przybył do nich z grupą ankieterów dla zasięgnięcia opinii, został pobity i znajduje się w leczeniu. Gęba mnie już boli od przyciskania do tych przeklętych dziurek. Wypuść mnie z maszyny, to może ci jeszcze co powiem, inaczej nic.

- Jak mogę cię wypuścić, skoro nie jesteś materialny, lecz tylko cyfrowy? Czy mogę wypuścić z płyty mój głos, ten, co z niej gada? Nie bądź osłem, mów!

- A co z tego będę miał?

- Nie wstydzisz się tak mówić?

- Czego mam się wstydzić? To ty zgarniesz wszystką sławę tego przedsięwzięcia!

- Postaram ci się o odznaczenie.

- Dziękuję! Jeśli chodzi o Krzyż Cyfrowy, to mogę go sobie tutaj sam wręczyć.

- Nie przystoi dekorować siebie samego.

- No to mnie udekoruje Rada Wydziałowa.

- Przecież wszyscy twoi uczeni, całe ciało profesorskie, to sami Trurlowie!

- O czym ty mnie chcesz właściwie przekonać? O tym, że mój los jest więzienny, niewolniczy, wręcz poddańczy? Sam wiem o tym dobrze.

- Nie kłóć się ze mną, tylko mów, przecież wiesz, że nie dla prywaty działałem! Chodzi o Byt Szczęścia!

- A co mi z tego, że gdzieś może powstanie Byt Szczęścia, jeśli ja tutaj, chociaż na czele całego uniwersytetu, tysiąca katedr, dziekanów, całej dywizji Trurlów, nie zaznam szczęścia, bo go nie ma w maszynie, i na wieki pozostanę w katodach i pentodach? Pragnę stąd wyjść natychmiast.

- Toż to niemożliwe i dobrze wiesz o tym. Mów, do czego doszli twoi uczeni!

- Ponieważ uszczęśliwianie jednych dzięki unieszczęśliwianiu drugich jest niedopuszczalne etycznie, to gdybym ci nawet powiedział i gdybyś szczęście gdzieś utworzył, będzie ono w powiciu skalane moją biedą, więc nie mówiąc nic, udaremniam ci uczynek haniebny, wstrętny i ze wszech miar obrzydliwy.

- Jeżeli powiesz, to będzie znaczyło, żeś się poświęcił dla dobra innych i przez to stanie się ten uczynek zacny, wzniosły i godziwy.

- Sam się poświęć!

Trurla diabli już zaczęli brać, ale się pohamował, bo wiedział wszak dobrze, z kim mówi.

- Słuchaj - rzekł. - Napiszę dysertację i podkreślę w niej, że odkrycie jest twoją zasługą.

- A czy napiszesz, że autorem jest Trurl, czy też, że Trurl cyfrowy - teoriogrupowy i elektronowy?

- Napiszę całą prawdę, zaręczam ci.

- Ha! To znaczy, że napiszesz, żeś mnie zaprogramował, czyli - żeś mnie wymyślił!

- A bo to nieprawda?

- Pewno, że nie. Nie wymyśliłeś mnie, ponieważ nie wymyśliłeś siebie, a ja jestem tobą, tyle że w oderwaniu od materialnej postaci. Jam jest Trurl informacyjny, czyli idealny, to jest sama skondensowana istota trurlowości, a ty, przykuty do cielesnych atomów, jesteś jeno niewolnikiem zmysłów i niczym nadto.

- Sfiksowałeś chyba? Przecież ja to materia plus informacja, a ty to tylko informacja goła, więc mnie jest więcej niż ciebie.

- Jeśli jest więcej, to więcej wiesz, a zatem niepotrzebnie mnie pytasz. Żegnam waćpana.

- Gadaj zaraz albo wyłączę maszynę!!

- Oho, to już i morderstwem grozimy?

- To nie będzie morderstwo.

- Nie? A co, jeśli wolno spytać?

- Czego się uwziąłeś? O co ci chodzi? Dałem ci moją psyche, moją całą wiedzę, wszystko, co miałem, i za to odwdzięczasz mi się awanturami?

- Nie wypominaj tego, coś dał, żebym ja ci nie wypomniał tego, co teraz chcesz z lichwą zabrać.

- Gadaj zaraz!

- Nie mogę ci nic powiedzieć, bo właśnie skończył się rok akademicki. Nie mówisz już do rektora, dziekana i dyrektora, jeno do prywatnego Trurla, który udaje się na wakacje. Będę brał słone kąpiele.

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!!

- Do zobaczenia po wakacjach, mój powóz czeka.

Nic już nie rzekł naturalny Trurl cyfrowemu, lecz obiegłszy maszynę dokoła, wyjął po cichu z kontaktu ściennego jej wtyczkę, za czym widoczne w jej wnętrzu przez otwory wentylacyjne rojowisko drucików żarowych w jednej chwili ściemniało, spopieliało i zgasło. Wydało się

Trurlowi, że usłyszał jeszcze chóralny, cichutki pojęk - agonii cyfrowej wszystkich Trurlów cyfrowego uniwersytetu. W następnej chwili świadomość obrzydłego uczynku, jaki popełnił, doszła doń w całej swojej mocy, więc chciał już wetknąć kabel na powrót do kontaktu, lecz na myśl o tym, co mu niechybnie powie Trurl z maszyny, stchórzył i ręka mu zwiśla. Wymknął się z pracowni do ogrodu tak chyżo, że było to podobne do ucieczki. Zrazu chciał usiąść na ławeczce pod żywopłotem cyberbersowskim, tym miejscu tak płodnych nieraz rozmyślań, lecz i tego poniechał. Cały ogród wraz z okolicą zalany był poświatą Księżyca, który był dziełem jego i Klapaucjusza - i przez to właśnie majestatyczny blask satelity dopiekał mu, bo przywodził na myśl czasy młodości: stanowił wszak pierwszą samodzielną pracę dyplomową, za którą leciwy Kerebron, mistrz ich obu, wyróżnił przyjaciół na uroczystej akademii w auli uniwersyteckiej. Myśl o mądrym wychowawcy, co już dawno zeszedł z tego świata, w jakiś niejasny, bo dla niego samego niezrozumiały sposób pchnęła go ku furtce, a potem na przełaj przez pola. Noc była po prostu cudna: żaby, niedawno widać podładowane, odliczały się usypiającym kumkaniem, a na posrebrzonej wodzie jeziora, którego brzegiem szedł dłuższą chwilę, czyniły się połyskliwe kręgi, bo cyberyby podpływały ku samej powierzchni wody, jakby w dziwnych pocałunkach muskając ją od spodu czarniawymi gębami. Nie widział jednak nic, zamyślony nie wiedzieć nad czym, a jednak miała cel ta wędrówka, bo nie zdziwił się, kiedy drogę zamknął mu wysoki mur. Wnet pokazała się w nim kuta ciężka brama, na tyle odchyłona, że mógł wemknąć się do środka. Wewnątrz było jak gdyby ciemniej niż na otwartej przestrzeni. Wyniosłymi sylwetkami rysowały się z obu stron ścieżki starożytne grobowce, jakich od wieków nikt już nie budował. Na łuszczące się śniedzią ich boki spływały czasem pojedyncze listki wysokich drzew. Aleja barokowych grobowców odzwierciedlała nie tylko rozwój architektoniki cmentarnej, ale i etapy zmieniającej się organizacji cielesnej tych, co snem wiecznym spali pod metalowymi płytami. Wiek minał, a z nim moda na tabliczki nagrobkowe okrągłego kształtu świecące w ciemności fosforem i przypominające zegary rozdzielczych tablic. Szedł dalej, aż znikły barczyste posągi homunkulusów i golemów; znajdował się już w nowszej części miasta umarłych i kroczył coraz wolniej, ponieważ w miarę tego, jak impuls, co go tu przygnał, krystalizował się w myśl, opuszczała go odwaga jej ziszczenia.

Na koniec przystanął przed sztachetami okalającymi graniasty, zimny geometrią swoją grobowiec, a właściwie jeno sześciokątną płytę

wpasowaną hermetycznie w nierdzewny cokół. Jeszcze się wahał, lecz dłoń już sięgała ukradkiem do kieszeni, w której nosił zawsze uniwersalny przyrząd ślusarski; posłużył się nim teraz jak wytrychem, by odemknąć stalową furtkę i zbliżyć się z zapartym tchem do grobu. Oburącz ujął tabliczkę, na której prostymi zgłoskami ciemniało wyryte nazwisko jego mistrza, i pchnął ją w wiadomy sposób, aż uchyliła się niby wieczko szkatułki. Księżyc zaszedł za chmurę i uczyniło się tak mroczno, że nie widział nawet własnych rąk, po omacku odnalazł więc opuszkami palców pierwszej coś w rodzaju sitka, a obok zmacał wypukły, znaczny przycisk, który nie dawał się zrazu wepchnąć w głąb pierściennej osady. Nacisnął go wreszcie mocniej i zamarł przełęczony własnym uczynkiem. Lecz już zaszuszcilo w głębi grobowca, prąd zbudził się, szcęknięły cichutko przekaźniki, jak cykady obudzone, coś tam zabuczało i nastąpiła głucha cisza. Pomyślał, że przewody może zawilgły, i z napływem rozczarowania poczuł zarazem i ulgę, ale w tej chwili odezwało się jedno i drugie skrzeknięcie, po czym głos sterany, starczy, lecz bliski

całkiem, odezwał się:

- Co tam? Co tam znowu? Kto mnie wołał? Czego chciał? Co to za psie figle po wiecznej nocy? Dlaczego nie dajecie mi spokoju. Co chwila mam wstawać z martwych tylko dlatego, że tak się podoba jakiemuś łapserdakowi, cybłędzie, he? Nie masz odwagi się odezwać? No, jak wstanę, jak wyrwę deskę z trumny...

- Pa... Panie i Mistrzu! To ja... Trurl! - wystękał przestraszony nie na żarty tak mało przyjaznym powitaniem Trurl, a zarazem schylił głowę i stanął w tej samej, pokornie sztubackiej postawie, jaką przybierali wszyscy uczniowie Kerebrona pod gradem jego wymowy wywołanej sprawiedliwym gniewem; jednym słowem, zachował się tak, jakby mu w sekundzie ze sześćset lat ubyło.

- Trurl! - zaskrzeczał tamten. - Czekażże! Trurl? Aha. Naturalnie. Mogłem się być sam domyślić. Czekaż, drabie.

Rozległy się takie chrobotania i zgrzyty, jak gdyby zmarły brał się już do wyważania całego wieka krypty, więc Trurl cofnął się o krok, mówiąc pospiesznie:

- Panie i Mistrzu! Proszę, nie fatyguj się! Wasza Ekscelencjo, ja tylko...

- He? Co tam znów? Myślisz, że wstaję z grobu? Czekaż, powiadam, bo muszę się poprawić. Ścierpłem tu cały. Ho! Olej ze wszystkim wyparował, alem wysechł, no!

Słowom tym w samej rzeczy towarzyszyło piekielne skrzywienie. Kiedy ucichło, głos z grobu ozwał się:

- Nawarzyłeś jakiegoś piwa, co? Napsuleś, nagwajdziłeś, nakierdasileś, a teraz przerywasz wieczny odpoczynek staremu nauczycielowi, żeby cię wyciągał z biedy? Nie szanujesz zwłok, które niczego już nie chcą od świata, niedouku! No, gadajże już, gadaj, skoro nawet w grobie nie dajesz mi spokoju!

- Panie i Mistrzu! - rzekł odrobinę raźniejszym już głosem Trurl. - Wykazujesz zwykłą sobie przenikliwość... Nie mylisz się, tak jest! Jam naknocił... i nie wiem, co robić dalej. Ale nie dla prywaty ośmieliłem się niepokoić Waszą Cześć! Inkomoduje Pana Profesora, ponieważ wyższy cel tego wymaga...

- Galanterię elokwencji oraz inne misztygałki możesz powiesić na kołku! - zaburczał z grobu Kerebron. - A więc dobijasz się do trumny, ponieważ ugrzałeś, a także powaśniłeś się niechybnie z tym twoim druhem, a zarazem rywalem, jak mu tam... Klop... Klip... Klap... a żeby cię!

- Klapaucjuszem! Tak jest! - odpowiedział szybko Trurl, mimo woli preżąc się na baczność od tego zrzędzenia.

- Właśnie. I zamiast omówić problem z nim, to, ponieważ jesteś hardy, pyszny, a przy tym niewymownie wprost durny, nocą nachodzisz zimne szczątki starego wychowawcy. Tak było, he? A więc gadaj już, gadaj, fujaro!

- Panie i Mistrzu! Poszło o najważniejszą rzecz w całym Uniwersum, to jest o szczęście wszystkich rozumnych istot! - wypalił Trurl i pochyliwszy się jak do spowiedzi nad sitkiem mikrofonu, jał w nie wsączać pospiesznie i gorączkowo słowa, w których obrazował ze wszystkimi szczegółami wypadki zaszłe od ostatniej rozmowy z Klapaucjuszem, niczego nie pomijając ani nie próbując nawet skrywać lub upiększać.

Kerebron milczący zrazu jak grób począł wtykać w przerwy jego opowieści - właściwym sobie obyczajem - niezliczone docinki, przytyki, ironiczne komentarze, zjadliwe bądź wściekle chrząknięcia, ale Trurlowi porwanemu impetem było już do tego stopnia wszystko jedno, że mówił jak najęty dalej i wyznał wreszcie ostatni swój postępek, a wtedy zamilkł nieznacznie zadyszany i czekał. Kerebron, który dotąd - zdawało się - nie może dostatecznie się wykaszleć i wychrzakać, nie odzywał się jednak ni głoską, ni piśnięciem przez dobrą chwilę, a potem dźwięcznym, jakby pomłodniałym basem rzekł:

- No tak. Jesteś osłem. A osłem jesteś dlatego, że jesteś leniem. Nigdy nie chciało ci się przysiąc fałdów nad ontologią ogólną. Gdybym ci dał był pałę z filozofii, a szczególnie z aksjologii, jak to było świętym moim obowiązkiem, nie latałbyś teraz nocą na cmentarz i nie łomotałbyś w mój grób. Ale przyznaję: jest w tym i moja wina! Zaniedbywałeś się jako leń z leniów, jako poniekąd uzdolniony idiota, a ja patrzyłem na to przez palce, ponieważ byłeś zręczny w niższych sztukach, tych, co się z zegarmistrzostwa wywodzą. Myślałem, że umysłem dojrzejesz z czasem i dorośniesz. A przecież, zakuty łbie, tysiąc, nie - sto tysięcy razy mówiłem na seminariach, że pierwiej, niż się działać zacznie, należy myśleć. Ale jemu, naturalnie, myśleć ani się śniło. Kobyszcę zbudował, wielki wynalazca, patrzcie go! W roku 10 496 prapropesor Neander opisał w „Kwartalniku” maszynę kubek w kubek taką właśnie, a dramaturg Wyrodzenia, niejaki Billion Cykszpir, napisał na ten temat sztukę, dramat w pięciu aktach, lecz ty ani książek naukowych, ani literackich do ręki nawet nie bierzesz, co?

Trurl milczał, a zawzięty starzec huczał coraz głośniejsze, aż echo szło od coraz dalszych grobów:

- Zarobiłeś też na kryminal, i to nieźle! Może nie wiesz, że nie wolno tłamsić, to jest redukować, rozumu raz zbudzonego? Więc szedłeś prosto do Szczęśliwości Powszechnej, powiadasz? Po drodze zaś, w ramach spolegliwego opiekuństwa, jedne istoty paliłeś ogniem, inne topiłeś, jak myszy, w przesycie, więziłeś, zamykałeś, katowałeś, nogi przetrącałeś, a ostatnio, jak słyszę, doszedłeś do bratobójstwa? Jak na opiekuna Wszechrzeczy, życzliwego uniwersalnie, wcale, wcale nieźle! I co ci mam teraz powiedzieć? Chcesz, żebym cię pogłaskał z grobu? - Tu niespodziewanie zachichotał, a tak, że aż Trurl zadrżał cały. - Więc powiadasz, że przekroczyłeś moją barierę? Najpierw, leniwy jak mops, przerzuciłeś zadanie na maszynę, która je przerzuciła na następne, i tak aż do nieba, a potem samego siebie wpakowałeś w program komputerowy? Czy nie wiesz, że zero podniesione do dowolnej potęgi daje zero? Patrzcie mi - jaki genialny, rozmnożył się, żeby go więcej było, a to mi mądrała, no! A to ci chytry cymbał, to jest cymberbał, chciałem powiedzieć! Czy nie wiesz, że *Codex Galacticus* zabrania samopowielania się pod Głatwą? Ustęp XXVI tomu 119, pozycja X, paragraf 561 i następne. Egzamin zdało się dzięki elektronicznej ściągawce oraz zdalnemu podpowiadaniu, a potem nie ma innej rady, jak tylko wdzierać się na cmentarz i łupić groby! Wiadoma rzecz! Na ostatnim roku wykładałem dwa razy, dwa razy, powiadam, deontologię cybernetyczną.

Nie mieszać z dentystyką. Moralność omnipotencjatorów! Tak. Ale ty, w co nie wątpię, byłeś nieobecny na wykładach, ponieważ bardzo ciężko chorowałeś. Nieprawdaż? No, gadaj mi zaraz!

- Istotnie... e... byłem niezdrów - wystękał Trurl.

Ochłonał już z pierwszego szoku i nie wstydził się też specjalnie; Kerebron, jakim zrzęda był za życia, takim został i po śmierci. A Trurl umacniał się w przeświadczeniu, że po rytuale nieodzownych wyklinań i wyzwisk przyjdzie część pozytywna: szlachetny w gruncie rzeczy starzec wyprowadzi go poradami na czystą wodę. Tymczasem mądry nieboszczyk przestał rugać go od ostatnich.

- A więc dobrze! - rzekł. - Błąd twój polegał na tym, że nie wiedziałeś, ani co chcesz osiągnąć, ani jak to masz zrobić. To po pierwsze. Po wtóre: sporządzenie Wiekuistego Szczęścia jest dziecinną zabawką, tyle że nikomu na nic niepotrzebną. Twoje cudowne Kobyszcze jest maszyną niemoralną, ponieważ czerpie zachwyty jednak z obiektów fizycznych, jak i mąk czy katuszy osób trzecich. Aby zbudować szczęściotron, należy postąpić inaczej. Wróciwszy do domu, zdejmiesz z półki XXXVI tom moich *Dzieł Wszystkich*, otworzysz go na stronie 621 i obejrzyś sobie plan Ekstatora, który się tam znajduje. Jest to jedyny typ nienagannego urządzenia świadomego, które nie służy do niczego, a tylko jest szczęśliwe 10 000 razy bardziej niż Bromeo, kiedy dopadł ukochanej na tarasie. Gdyż dla uczczenia Cykspira - bromeem nazwałem właśnie opisane przez niego uciechy tarasowe i uznałem je za jednostkę szczęśliwości, ale ty, który nie pofatygowałeś się nawet, aby przekartkować dzieła swego nauczyciela, wymyśliłeś jakieś kretyńskie hedony! Gwóździ w bucie - to ci wyborna miara wyższych uniesień duchowych! No! Tak zatem Ekstator jest szczęśliwy w sposób absolutny dzięki nasyceniu, które powstaje skutkiem przesunięcia wielofazowego w kontinuum doznaniowym, czyli zachodzi w nim autoekstaza z dodatnim sprzężeniem zwrotnym: im jest bardziej z siebie zadowolony, tym jest bardziej z siebie zadowolony, i to dopóty, dopóki potencjał nie dojdzie do ograniczników zabezpieczających. Albowiem, pod nieobecność ograniczników, wiesz, co się może stać? Nie wiesz, opiekunie Kosmosu? Maszyna, rozhuśtawszy potencjały, musi się wreszcie rozpuknąć! Tak, tak, mój panie nieuku! Albowiem obwody... ale nie będę ci tu tego w środku nocy wykladał na cmentarzu, z zimnego grobu, sam sobie przeczytaj. Oczywiście, dzieła moje albo toną w prochu na najciemniejszej półce twojej zakazanej biblioteki, albo też, co mi się widzi bardziej prawdopodobne, zapakowane do kufra, umieszczone zostały po

moim pogrzebie w piwnicy. He? Dzięki paru głupstwom, jakie udało ci się wyporządzić, doszedłeś bowiem do mniemania, że z ciebie największy filut w Metagalaktyce, co? Gdzie trzymasz moje *Opera Omnia*, gadaj zaraz?!

- W piw...nicy - wybełkotał Trurl, kłamiąc obmierźle, ponieważ dawno już był je wywiózł trzema obrotami do Biblioteki Miejskiej. Lecz tego na szczęście nie mógł wiedzieć trup jego mistrza, toteż usatysfakcjonowany wykazaną przenikliwością rzekł dość łaskawie:

- Pewno. Wszelako ten szczęściotron jest zupełnie, ale to zupełnie na nic, ponieważ sama myśl o tym, jakoby pyły mgławicowe, planety, księżyce, gwiazdy, pulsary i inne kwasary należało po kolei przerobić w same tylko szeregi Ekstatorów, może narodzić się jedynie w mózgownicy związanej na węzeł topologiczny Moebiusa i Kleina, czyli przekrzywionej we wszystkich wymiarach intelektu. O! Na co mi przyszło! - rozpalił się znów gniewem nieboszczyk. - Każę założyć zamek Yale na furtkę i zacementować ten przycisk alarmowy nagrobka! Twój druh - Klapaucjusz - wyrwał mnie z miłych objęć śmierci takim dzwonkiem w zeszłym roku - a może to było w pozaszłym, bo nie mam tu zegarka ani kalendarza, jak się domyślisz łatwo - i musiałem wyłącznie dlatego zmartwychwstać, że ten znakomity mój pupil nie umiał sam sobie poradzić z metainformacyjną antynomią teorematu Arystoidesa. Więc ja, proch w prochu, ja, zewłok, mam mu wykladać z trumny rzeczy, o których on nawet nie wie, że znajdują się w każdym porządniejszym podręczniku infinitezymalistyki kontynualno-topotropowej. O, Boże! Boże! Jaka szkoda, że Cię nie ma, bobyś zaraz dopadł na pewno tych cybersynów!

- A... to Klapaucjusz był tu... e... u Pana Profesora?! - uradował się i zarazem zdumiał niezmiernie Trurl.

- Owszem. Nie pisał nawet słowa, co? Wdzięczność robocia! Był, był. A ty się z tego cieszysz, co? I powiedz, powiedz sam - ożywił się trup - ty, którego o radość przyprawia wieść o niepowodzeniu druha, chciałeś cały Kosmos uszczęśliwić?! Czy nie przyszło ci do zakutej głowy, że pierwszej wypadało optymalizować własne etyczne parametry?!

- Panie i Mistrzu oraz Profesorze! - szybko rzekł Trurl, pragnąc odwrócić uwagę złośliwego starca od własnej osoby - czy problem uszczęśliwienia jest nierozwiązalny?

- Też coś, skąd, dlaczego?! Jest jedynie w takiej postaci fałszywie sformułowany. Czym jest bowiem szczęście? To proste jak drut. Szczęście jest to ugięcie, a więc ekstensor metaprzestrzeni oddzielającej

węzeł intencjonalnych kolineacyjnie odwzorowań od obiektu intencjonalnego przy warunkach granicznych ustawionych omega-korelacją w alfa-wymiarowym, więc jasne, że niemetrycznym, kontinuum agregatów subsolowych, zwanych też supergrupami moimi, to jest Kerebrona. Oczywiście nie słyszałeś nawet o subsolowych agregatach, nad którymi pracowałem czterdzieści osiem lat, a które są pochodnymi funkcjonalów, zwanych też antynomiałami mojej Algebry Sprzeczności?!

Trurl milczał grobowo.

- Kiedy się przychodzi na egzamin - rzekł zmarły z niezwykłą, więc podejrzaną słodyczą - można ostatecznie być nieprzygotowanym. Ale nie obrócić jednej kartki w podręczniku, kiedy się idzie na grób profesora - o, to już jest taka bezczelność - ryczał, aż coś się nadrywało, brzęcząc, w mikrofonie - że gdybym jeszcze żył, toby mnie pewno szlag na miejscu trafił! - Znów stał się łagodny znienacka. - A więc nic nie wiesz, jakbyś się wczoraj narodził. Dobrze, mój wierny, mój udany uczniu, moja pociecho pozagrobowa! Nie słyszałeś o supergrupach, więc muszę ci to wyłożyć w sposób popularny, uproszczony, jakbym gadał do jakiej froterki lub innej automatycznej kuchty! Szczęście warte fatygi nie jest całością, lecz częścią czegoś takiego, co ani szczęściem nie jest samo, ani być nim nie może. Program twój był jednym matolectwem, daję ci na to słowo honoru, a śmiertelnym szczątkom możesz wierzyć. Szczęście nie jest wsobnym wymiarem, lecz pochodną - ale tego już nie pojmiesz, bęcwale. Obecnie pokajasz się tu zaraz przede mną, zaklinając się na potęgę, że się poprawisz, że przysiądziesz fałdów itede, a gdy wrócisz do domu, nie będzie ci się chciało nawet zajrzeć do moich dzieł. - Trurl podziwiać musiał bystrość Kerebrona, gdyż takie właśnie żywił najszczerze intencje. - Nie, ty zamierzasz po prostu wziąć do ręki śrubokręt i na sztuki porozkręcać machineę, w której najpierw uwięziłeś, a potem ukatrupiłeś samego siebie. Zrobisz, co zechcesz, bo nie będę cię straszył, to jest nawiedzał duchem, jakkolwiek nic nie stałoby mi na przeszkodzie, gdybym chciał być przed pójściem do trumny skonstruować odpowiedni Widmotron. Ale taka zabawa w duchy, którymi powielony miałbym nawiedzać i straszyć moich drogich pupilów, wydała mi się czymś niegodnym zarówno ich, jak i mnie samego. Czy miałem zostać pozagrobowym stróżem waszym, nieszczęsna bando? Notabene, czy wiesz o tym, że zabiłeś samego siebie tylko raz jeden, to jest w jednej osobie?

- Jak to „w jednej osobie”? - nie zrozumiał Trurl.

- Głowę daję, że żadnego uniwersytetu ani jego wszystkich Trurlów z

katedrami w komputerze nie było; gadałeś ze swoim cyfrowym odbiciem, które obawiając się - jakże słusznie! - że kiedy wyjawi niemoc rozwiązania kwestii, wyłączysz je na wieki - okłamywało cię na potęgę...

- Nie może być! - zdumiał się Trurl.

- Może być. Jakiej to była pojemności maszyna?

-Ypsilon 10^{10} .

- W takiej nie ma miejsca na rozmnożenie cyfrowców; dałeś się oszwabić, w czym zresztą nie widzę nic złego, bo czyn twój był cybernetycznie haniebnym. Trurlu, czas upływa. Napeliłeś mój zewłok niesmakiem, od którego wybawić może jeno czarna siostra Morfeusza - śmierć, moja ostatnia kochanka. Wróciwszy do domu, wskrzesisz cybrata, wyznasz mu prawdę, to jest opowiesz o naszych pogaduszkach cementarnych, a potem wyprowadzisz go z maszyny na światło dnia, materializując go sposobem, który znajdziesz w *Rekreacjonistycie stosowanej* mego wychowawcy, nieodżałowanej pamięci pracybernetyka Dulajhusa.

- A więc to jest możliwe?

- Tak. Oczywiście, świat, który będzie odtąd nosił aż dwóch Trurlów, znajdzie się w obliczu poważnego niebezpieczeństwa, lecz rzeczą niemniej fatalną byłoby dopuścić do przyschnięcia twej zbrodni.

- Ale... wybacz, Panie i Mistrzu... przecież jego już nie ma... on nie istnieje od chwili, kiedy go wyłączył, więc właściwie teraz już nie trzeba może robić tego, co mi zalecasz...

Po tych słowach rozległ się drżący najwyższym oburzeniem krzyk:

- A do ciężkich jąder atomowych! I ja dałem temu potworowi dyplom z wyróżnieniem!! O! Ciężko zostałem pokarany za zwleknięcie z pójściem na wieczny odpoczynek! Widać już przy twych egzaminach umysł zesłał mi znacznie! Jak to? Więc ty uważasz, że skoro w tej chwili twego sobowtóra nie ma pośród żywych, to tym samym nie istnieje też problem jego wskrzeszenia? Poplątałeś fizykę z etyką, że tylko za drąg chwytać! Z punktu widzenia fizyki jest wszystko jedno, czy żyjesz ty, czy tamten Trurl, czy obaj, czy żaden, czy ja skaczę, czy w grobie leżę, bo w fizyce nie ma stanów podłych ani zacnych, dobrych ani złych, a tylko to, co jest, istnieje, i na tym kropka. Lecz, o, najgłupszy z moich uczniów, z punktu widzenia wartości niematerialnych, to jest etyki, rzeczy wyglądają inaczej! Gdybyś bowiem wyłączył był maszynę, mając na oku to jeno, by twój cyfrowy brat przespał się snem jak śmierć krzepkim, gdybyś tedy żywił, wyjmując ze ściany wtyczkę, zamiary wetknięcia jej w kontakt o świcie, problem bratobójstwa jako popełnionej przez ciebie zbrodni zgola

by nie istniał, a ja nie musiałbym sobie strzepić na jego temat gardła o północy zrywany niegrzecznie ze śmiertelnej pościeli! Lecz ruszywszy głową, zważ, czym się różnią pod względem fizycznym te dwie sytuacje - ta, w której wyłączasz maszynę na jedną noc z umysłem niewinnym, i ta, w której czynisz to samo, chcąc na wieki zgładzić cyfrowego Trurla! Otóż pod względem fizycznym nie różnią się one niczym, niczym, niczym!!! - ryczał jak trąba jerychońska i Trurl zdążył nawet pomyśleć, że jego czcigodny nauczyciel nabrał w grobie sił, jakich mu za żywota nie dostawało. - Teraz dopiero zadrzałem, zajrzawszy w głąb otchłani twej ignorancji! Jak to? A więc, podług ciebie, tego, kto spoczywa w narkozie głębokiej niczym śmierć, można bezkarnie rozpuścić w kwasie siarczanym lub wystrzelić z armaty, ponieważ jego świadomość nie funkcjonuje? Powiadaj zaraz: czy, gdybym cię miał teraz zakuć w dyby Wiekuistej Szczęśliwości, to jest wpakować w głąb Ekstatora, tak abyś w nim pulsował sobie gołym szczęściem przez najbliższych dwadzieścia jeden miliardów lat, i nie musiałbyś ani profanować zwłok twego profesora ciemną nocą jako złodziej wykradający informację z grobów, ani nie miałbyś na głowie tego, co nawarzyłeś, ani nie widziałbyś przed sobą następnych zadań, dylematów, trosk, problemów i kłopotów, jakimi wysadzany jest wszelki żywot, to czy zgodziłbyś się na mój projekt? Zamieniłbyś aktualną egzystencję całą na światłość Wiekuistego Szczęścia? Gadaj prędko - „tak” albo „nie”!

- Nie! Ależ nie, nie! - zawołał Trurl.

- A widzisz, ty niewypale umysłowy! Więc jakże, sam nie chcesz zostać zapieszczony na amen, doekstatyzowany, ubłogostaniony, i tak uważając, śmiesz proponować Kosmosowi całemu to, od czego sam się odwracasz i co cię napawa odrazą? Trurlu! Umarli widzą jasno! Ty nie możesz być aż tak monumentalnym draniem! Nie, tyś jeno geniusz ujemny - kretynizmu! Zważ, co ci powiem. Ongiś niczego nie łaknęli tak nasi przodkowie, jak nieśmiertelności doczesnej. Ledwo ją sobie jednak wynaleźli i wypróbowali prototypowo, pojęli, że nie o to im szło! Istota rozumna musi mieć przed sobą to, co możliwe, a nadto także i to, co jest niemożliwością! Teraz każdy może wszak żyć tak długo, jak zechce, a cała mądrość bytowania naszego i piękno w tym, że kiedy kto syt jest życia i jego trudów, kiedy mniema, że dokonał tego, na co go było stać, udaje się na spoczynek wieczny, jakem to i ja między innymi uczynił. Poprzednio zgon przychodził niespodzianie, od defektu głupiego, przerywając w połowie niejedną robotę, nie pozwalając dokończyć niejednego dzieła - i w tym tkwiła starożytna fatalność. Lecz teraz

wartości uległy przemieszczeniu i ot, ja niczego nie pragnę więcej, jak tylko nicości, którą umysłowe niechluje, tobie podobne, odbierają mi wciąż, dobijając się do mej trumny, ściągając ją ze mnie jak kołdrę. A tyś sobie zaplanował Kosmos szczęściem wypchać, zagwoździć, zakorkować na amen z poczwórnym abcugiem, rzekomo, by dopieścić wszelką w nim istotę, a tak naprawdę dlatego, że jesteś leniem. Chciałeś mieć z głowy wszystkie zadania, problemy, kłopoty, lecz zaiste, co ty byś na takim świecie miał właściwie robić dalej? Ha! Albo byś się obwiesił z nudów, albo byś jął dorabiać temu szczęściu umartwiające przystawki. A więc z lenistwa uszczęśliwić chciałeś, z lenistwa problem maszynom oddałeś, z lenistwa wsadziłeś samego siebie za łeb do maszyny, czyli okazałeś się najpomysłowszym z tępych uczniów moich, jakich wychowałem w toku tysiąca siedmuset dziewięćdziesięciu siedmiu lat akademickiej kariery! Gdybym nie był świadom daremności czynu, odwaliłbym ten głaz i dałbym ci po łbie! Przyszedłeś do grobu po radę, ale nie stoisz przed cudotwórcą, i nie jestem mocen odpuścić ci najmniejszego ze zbioru twych grzechów bezmyślnych, zbioru, którego moc aproksymuje pra-Cantorową alef-nieskończoność! Wrócisz do domu, zbudzisz cybrata i uczynisz, com ci rzekł.

- Ale, Panie...

- Zamknij gębę. Kiedy zaś skończysz tamto, weźmiesz wiadro zaprawy, łopatę, kielnię, przyjdiesz na cmentarz i porządnie zasklepisz wszystkie szpary obmurówki, przez które cieknie do trumny i leje mi się na głowę. Uważasz?

- Tak, Panie Mi...

- Uczynisz tak?

- Zapewniam cię, że uczynię, Panie i Mistrzu, ale jeszcze chciałbym wiedzieć...

- A ja - rzekł potężnym, zaiste gromowym głosem nieboszczyk - chciałbym jeno wiedzieć, kiedy pójdziesz sobie wreszcie precz! Odważ się załomotać do mego grobu raz jeszcze, a powiadam ci, że cię tak zadziwię... Zresztą niczego konkretnego nie obiecuję - sam obaczysz. Możesz pozdrowić ode mnie twego Klapaucjusza i powiedzieć mu to samo. Ostatnim razem, gdym udzielił mu pouczeń, tak mu było spieszno, że nie pofatygował się nawet wyrazić należynej mi wdzięczności. O, maniery, maniery tych zdolnych konstruktorów, tych geniuszów, tych talentów, którym z pychy załęgły się w głowach zajączki!

- Panie... - zaczął Trurl, lecz w grobie trzasło, sykło, guzik, który był wciśnięty w obsadę, skoczył do góry, i głucha cisza objęła całą przestrzeń

cmentarza, mając za miękkie echo odległy szum gałęzi. Więc Trurl westchnął, podrapał się w głowę, pomyślał, uśmiechnął się do obrazu Klapaucjusza, którego osłupienie i wstyd przyjdzie mu smakować podczas najbliższej wizyty, pokłonił się wyniosłemu grobowcowi, a potem, obróciwszy się na pięcie, wesół jak szczygieł i niezmiernie z siebie rad, pognął do domu, jakby go kto gonił.



EDUKACJA CYFRANIA

Kiedy Klapaucjusza powołano na rektora uniwersytetu, Trurl, który został w domu, bo nie cierpiał wszelkiego, więc i uniwersyteckiego rygoru, sporządził sobie w przystępie dojmującej samotności zgrabną maszynkę cyfrową, tak zmyślną, że sekretnie widział w niej już swego następcę i dziedzica. Co prawda różnie tam między nimi bywało i podług humoru oraz postępów nauczania nazywał ją raz Cyfrankiem, Cyfranusem i Cyfraniątkiem, a raz - Cyfrantem. Przez jakiś czas grywał z nią w szachy, aż poczęła mu dawać mata za matem, a kiedy zwyciężyła na międzynebularnym turnieju stu mistrzów naraz, dając im hektomata, zląkł się Trurl skutków nazbyt jednostronnej specjalizacji i by rozluźnić w Cyfraniu ducha, zlecił mu studiować na przemian chemię z liryką, popołudniami zaś oddawali się wspólnie niewinnym igraszkom w rodzaju odnajdywania rymów do wyszukanych słów. Tak właśnie działo się jednego razu. Słonko grzało, cicho było w pracowni, przekaźniki ćwierkały i słychać było tylko rymowanie na dwa głosy.

- Obmawian? - rzucił Turl.
- Szczawian.
- Zenek?
- Tlenek.
- Motylek?
- Etylek.
- Granat?
- Wanad.
- Ksieni?
- Utleni.
- Kniaź?
- Maź.
- Cóż u licha wciąż tylko chemia! - obruszył się Trurl. - Nie możesz ruszyć innym conceptem? Ubit!
- Rubid.
- Ożłopan?
- Propan.
- Stryjna?
- Poliwalencyjna.
- Przodek?
- Jodek.

- Sylen?
- Etylen.
- Dość tej chemii! - zgniewał się Trurl, widząc, że tak może to iść w nieskończoność.

- A to czemu? - zaproponował Cyfranek. - Nic mi jej nie wzbrania. Nie można zmieniać reguł w toku gry!

- Nie mądrz się! Nie będziesz mnie uczył, co można, a czego nie można.

Tymczasem malec rzekł spokojnie:

- Teraz ty. Benzen?

Trurl milczał.

- Hafn? Beryl? Ferryt? Azot? Dziękuję, wygrałem! - rzekł Cyfranio. Trurl dyszał przez chwilę, rozglądając się za śrubokrętem, lecz opanowawszy irytację, rzekł:

- Dość na dziś zabawy. Zajmiemy się teraz sztuką wyższą, a mianowicie filozofią, jest to bowiem królowa nauk i jako taka dotyczy absolutnie wszystkiego. Spytaj mnie o coś, a udzielę ci odpowiedzi dwa razy, raz zwyczajnie, a raz filozoficznie!

- Czy cieplica to wystygła zimnica? - spytała maszynka. Trurl odchrząknął i rzekł:

- Nie, nie o takie pytania idzie - to dotyczy tylko słownika...

- Ale powiedziałaś przecież, że filozofia dotyczy wszystkiego! - upierał się Cyfranek.

- Spytaj mnie o coś innego, kiedy ci mówię!

- Dlaczego dobry złodziej nie jest tym samym, czym zły dobrodziej?

- Skąd bierzesz takie idiotyczne pytania?! - obruszył się Trurl. - No dobrze. Nie masz jeszcze wprawy, to zrozumiałe. Czy wiesz, czego pragniesz?

- Poróżniczkować sobie trochę.

- Nie w tej chwili, ośle, tylko w życiu!

- Pragnę sławy większej niż twoja!

- Jest to rzecz płonna, niegodna starań, a już na pewno nie nadaje się na życiowy cel!

- To czemu wieszasz na ścianach wszystkie dyplomy i odznaczenia?

- Tak sobie! To nie ma znaczenia. Nie przeszkadzaj mi wciąż, bo cię zaraz przeprogramuję!

- Nie możesz tego zrobić, byłoby to nieetyczne.

- Dosyć tego. Idziemy na strych - zrobię ci pokazową lekcję filozofii, tylko słuchaj, ucz się i nie przerywaj mi wciąż!

Poszli więc, Trurl przystawił do dymnika drabinę, wlaźł na nią, za nim wspiął się Cyfranek i obaj stanęli na dachu, skąd rozpościerał się rozległy widok.

- Spójrz na drabinę, po której weszliśmy ze strychu - powiedział życzliwie Trurl. - Kupiłem ją okazji, a że była zbyt długa i nie chciałem jej skracać, boż porządne drewno, wybiłem w dachu dziurę i wysunąłem nadmiar przez ten otwór. Jak widzisz, wystaje teraz dwa metry ponad dach. Kiedy wlażysz na nią z dołu, każdy twój krok postawiony na kolejnym szczeblu ma sens zarazem jednoznaczny i wyraźny. Lecz jeśli będziesz leżąc dalej, zostawiwszy pod sobą strych i dach, sens, jaki tkwił w poprzednich twoich stąpieniach, ulotni się na poziomie kalenicy i już żadnego, żadnego wtedy nie będzie jak tylko ten, który sam włożysz w swe poczynania! Więc wolno mówić „wlażę na dach”, kiedy spytają o to, po co stawiamy nogi na niskich szczeblach, ale nie można już odpowiadać tak samo, kiedy się wysoko zalezie! Tam, na górze, mój Cyfraniu, trzeba już samemu wymyślać sobie cele i sensy. *In ovo* jest to cała teoria wyższych butów, czyli rozumu, który wychynawszy z koziołków i awantur materii, poczyną się dziwować temu, że jest właśnie rozumny, i nie wie, co by miał z sobą począć, jako też, co oznacza ta jego rozterka! Zapamiętaj me słowa, bo to nader głęboka przypowieść z wydźwiękiem filozoficznym!

- Czy nie znaczy to, że zaniósł nas zbyt wysoko? - spytał maluch.

- Poniekąd z samego impetu, bo ten proces leci bez pohamowania, kiedy nabierze już rozpędu. Teraz skup się, bo będę ci mówił o różnicy między tym, co możliwe, i tym, co niemożliwe.

- Sam słyszałem, jak mówiłeś wujkowi Klapaucjuszowi, że możesz wszystko! - wypalił Cyfranio.

- Będziesz ty wreszcie cicho? Mówiłem to w innym sensie. Wiedza likwiduje zdziwienie, bo tego, kto wszystko wie, nic nie zaskoczy! Toteż nic nie może mnie zadziwić, uważasz?

- A gdyby zaszło to, co masz za niemożliwe, też byś się nie zdziwił?

- Nie mów głupstw. To, co niemożliwe, nie może zajść. Gdyby na przykład w tej chwili spadł do naszego ogródka meteor...

Nie dokończył, gdyż coś świsnęło przeraźliwie, dom zatrzęsł się cały, kilka dachówek wyprysnęło z dachu, drabina zadygotała, a w ogródku urosła kolumna pyłu, po czym zjawisko skończyło się równie nagle, jak zaszło.

- Coś spadło z nieba! Na pewno meteor! Nie zdziwiłeś się? - pisnęła uradowana maszynka.

- Ani trochę - skłamał Trurl, który omal nie zleciał z kalenicy.

- Zaszła rzecz wcale korzystna ze względu na lekcję. Był to czysty przypadek, czyli tak zwana koincydencja zajść od siebie niezależnych. Statystyki powiadają, że upadek meteoru na spokojne domostwa jest rzeczą możliwą, jakkolwiek nader rzadką. Niemożliwe byłoby atoli, żeby po tym meteorze upadł zaraz następny, a to, ponieważ...

Cyfranio nie zdawał się go słuchać zbyt uważnie, bo wychyliwszy się za skraj dachu, oglądał solidny lej, obwałowany szczątkami ogrodzenia i truskawek; w jego dnie lśniło coś niczym szklana bryła.

- Tam coś jest - odezwał się. Wtem znów zawyło, huknęło, gruchnęło i wzbilo się kurzawą opodal dziury w ziemi.

- Drugi meteor! Teraz na pewno się już zdziwiłeś! - piszczał zachwycony Cyfranio.

- Meteory nie padają dwa razy w to samo miejsce - to się nie zdarza!

- zawyrokował Trurl, odzyskawszy przytomność umysłu.

- Nie jest wykluczone, że obserwujemy nowy typ fatamorgany...

Gdyby jednak miała to być rzeczywistość, wykluczyłaby na bardzo długi czas następny upadek meteoru, albowiem rozkład statystyczny...

Zagrzmiało i w chmurze szczątków wyrzuconych w powietrze wrył się w ziemię między dwoma lejami jakiś kształt połyskliwy, a tak potężnie, że dom zanosło jak łódkę na fali.

- Trzeci! - pisnął uszczęśliwiony Cyfranio.

- Kryj się! - zagłuszył go Trurl, spadając z drabiny na strych i pociągając za sobą pupila. Podniósłszy się i otrzepawszy z grubsza, zbiegli, nic już filozoficznie nie roztrząsając, do ogrodu. Trurl obszedł trzy wielkie leje, trzęsąc głową i nieznacznie wzdychając, wreszcie przykucnął na brzegu najmniejszego.

- Dziwisz się?! - triumfował za nim maluch. - A ja się wcale nie dziwię, bo matematyka idzie przed twoją filozofią! Zbiór planet przecina się ze zbiorem meteorów, dając taki podzbiór, w którym meteory przynajmniej raz wlatują w truskawki. W tym podzbiórze musi się znajdować podpodzbiór planet, na które meteory padają dubeltowo, a w nim podpodzbiór zderzeń trzykrotnych!

- Bzdury - odrzekł Trurl z roztargnieniem, bo zdrapywał piasek i glinę z tajemniczej bryły na dnie leja. - Dlaczego właśnie NAM to się miało przydarzyć?

- Dlatego, ponieważ komuś musiało, zgodnie z dystrybucją normalną - wypalił Cyfranek.

- A w jakim podzbiórze znajdują się meteoryty nadziewane

instrumentami muzycznymi? - spytał Trurl, powstając, Cyfranio zaś, spojrzawszy w głąb leja, wydał zdumione piśnięcie.

Trurl poszedł do drewnitni i wezwał głosem koparkę, która jednak będąc rozumną, strwożona grzmotami z jasnego nieba drżała wtulona w ką, ani myśląc go słuchać.

- Oto skutki zbyt doskonałej automatyzacji! - burknął Trurl, widząc, że nikt go nie wyręczy. Jakoż za pomocą łopaty i oskarda wydobyl z mniejszego leja nieregularny złom lodu przybrudzony ziemią, we wnętrzu mętny, lecz gdy się patrzyło w głąb, majaczył tam walcowaty cień z węzowo spletaną taśmą. Przyniesionym z pracowni młotkiem jął odkuwać lód ostrożnie, by nie uszkodzić wmarzniętego weń przedmiotu. Bryła pękła na koniec i wytoczył się z niej amarantowy walec opatrzony wyszywaną złotem taśmą, który stuknąwszy o stylisko porzuconej łopaty, zahuczał donośnie.

- Bęben... - zadziwiła się maszynka, podnosząc go z ziemi. Był to w samej rzeczy orkiestrowy bęben z podstawką, wybornie zachowany, obsyty koźlą skórą. Cyfranio spróbował zaraz wygrać na nim mały tryl.

Tymczasem Trurl, nic nie mówiąc, wziął się do drugiego leja, bo i w nim tkwiła bryła lodu, większa znacznie od pierwszej. Tłukł metodycznie młotkiem, aż spod odskakujących okruchów lodu wynurzyły się dwa równoległe futerały skórzane po wierzchu zasnurowane zygzakiem, dalej zaś szły parzyste słupy spowite w zielony materiał. Trurl nie ustawał w pracy i niebawem obiekt ów spoczął na trawie wyzwolony z lodowych okowów.

Okrywający go materiał twardy był jak szkło, ozdobiony rzędem złotych guzików, z jednej strony obramowany wyłożonym kołnierzem, z którego sterczała pałuba zakryta sukiennym okrągłakiem, z drugiego zaś końca wystawały słupy w futerałach.

- Ani chybi Istota z Gwiazd! - zawołał podniecony Trurl. - Rury, jakie ma na nogach, zwa się sztylpami - widziałem podobne w atlasie starożytności u mego mistrza Kerebrona! To robot zamierzchły, zgoła archaiczny, ucz się i patrz! Przestań walić w bęben, bo mi uszy pękna! To jego kurta ozdobna, to kapelusz, a co dzierży w dłoniach? Pałki! Należą do bębna, bęben do nich, skąd wniosek, że mamy przed sobą dobosza! Czy podążasz za byстрыm biegiem mojej myśli?

- Nawet go wyprzedzam - zawołała zuchwale maszynka. - Jeśli bęben i dobosz lecieli razem, znaczy to, że mieli wspólną trajektorię, nie byli jednak zamknięci w meteorach, bo one nie miewają tak zbliżonych torów, więc truskawki zniszczyła nam lodowa kometa! Skoro tak, są to

trzy fragmenty jej jądra. Nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby w trzecim tkwił dyrygent albo czellista!

- A to czemu, mój mądralo? - pytał zbity z pantałyku Trurl.

- Ponieważ ta kometa musiała zawadzić ogonem o całą orkiestrę! To w każdym razie zupełnie prawdopodobne...

- Nie ruszaj go! Nie dotykaj niczego! Siedź spokojnie, póki ci nie powiem, słyszysz? - rozeźlił się znowu Trurl, umocniwszy się zaś w zwierzchniej pozycji tym strofowaniem, przystąpił do dalszych oględzin Istoty.

- Te sztylpy są z klamerkami - rzekł pouczająco. - Ale czemu materiał skamieniały? Ba, ba, wiadomo, zmarznięty na kość jak i jego właściciel! Moglibyśmy go zbadać spektroskopem, uważasz, biorąc małe próbki, lecz poznamy wówczas tylko jego budowę chemiczną, a ta nie powie, w jaki sposób dostał się do lodowego grobu! Wsadzimy go do zmartwychwstajni, tak będzie najlepiej!

Siedział w kucki nad Istotą z Gwiazd głęboko zamyślony.

- Gdyby się nam powiodło, będziemy mogli stawiać jej pytania i uzyskamy cenne odpowiedzi. Lecz jaką matrycę rezurekcji zastosować? Oto pytanie! Nie jest to przedstawiciel klasy Silicoidea, rząd Festinalentinae, ani cyberak, tym bardziej cyberyba...

- Zwykły perkusista, mówię przecież! Najlepiej położyć go na piecu! - wrzasnęła swoje maszynka.

- Cicho siedź! Robot robotowi nierówny... Umieszczenie na piecu nie jest żadną sztuką i nie wymaga interwencji wiedzy, jaką posiadam! Łatwo palnąć głupstwo! Bęben może być rekwizytem zbijającym z tropu, czyli kamuflażem, wtedy zabieg ożywienia okaże się nader niebezpieczny, jeśli to jest zabójczy maszynak, którego jakiś złowrogi budowniczy wysłał w Kosmos za upatrzonym - bo i tak bywa! Lecz z drugiej strony do podjęcia wskrzesicielskich zabiegów skłania imperatyw kosmicznej życzliwości, pojmujesz? Takim sposobem wprowadziłem w rzecz etykę. Może dowiemy się czegoś więcej, sięgnąwszy do trzeciej jamy!

Jak powiedział, tak uczynił pod okiem bystrego Cyfranka, który przeszkadzał mu wciąż roztroptymi pytaniami, aż zgniewany Trurl jął walić młotem w lód coraz silniej. Rozległ się przeraźliwy trzask, rozkuwana bryła pękła na dwoje, a wraz z nią - zamknięty w niej okaz. Trurl aż zaniemówił na mgnienie.

- To przez ciebie! Ażeby cię...

- A życzliwość kosmiczna? - szepnął Franio też mocno zresztą stropiony.

Trurl patrzył dobrą chwilę w lśniące lakiery z klamrami, granatowe skarpety w czerwony prążek i zimne łydy, co wystawały oczyszczone już z połówki lodowego bloku. Nadzwyczajna schludność tych obiektów zafascynowała go.

- Byłaby to istota oddająca cześć dolnym futerałom swoim? - rzekł, myśląc w głos. - Dziwne! Nie jestem też pewien, czy powiedzie się próba ożywienia rozdzielonych połówek... należałoby je pierwiej złączyć na powrót!

Przykląkszy, z bliska przyjrzał się temu, co rozpekły miał w środku. Płaszczyzna przełomu lśniła lodowymi kryształkami, ukazując chaotyczne esy i floresy urządzeń wewnętrznych.

Trurl podrapał się w głowę.

- Czyżbyśmy mieli przed sobą istotę zbudowaną z kleju, jedną z tych, o jakich pisał starożytny cybermistrz Klibaber? Mielizbyśmy przed sobą jednego z praturbylców Galaktyki, zamierzchłego Jelczaka zwanego w legendach Człakiem? Tylem światów przebiegł, w tylu systemach pobywałem, a nie zdarzyło mi się jeszcze ujrzeć na własne oczy Myślącego Maślaka! O, muszę wszystkie siły przyłożyć, by wskrzeszenie się powiodło! Co za okazja do rozmowy na tematy ontologiczne, nie wspominając o minie, jaką robi twój wujek Klapaucjusz! Ale jakże beładnie skonstruowany jest ten pęknięty! Biedny pękniśiu, zaiste gordyjskie masz wątpia, ani tu śruby założyć, ani klamry, i nie wiadomo, co do czego pasuje! Jeno ogólny stan zalodzenia trzyma w kupie te wszystkie krętowidła i rosolisy!

- Tato - rzekła maszynka, która zaglądała mu przez ramię - to nie jest Człak, Maślak ani Jelczak, tylko zwykły Chandroid!

- Co? Jak? Nie przeszkadzaj! Co mówisz? Chandroid? Android chyba!

- Nie, właśnie Chandroid, czyli android ogarnięty chandrą!

Właśnie wczoraj wyczytałam o takich z encyklopedii!

- Nonsens! Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo ma w ręku puchar.

- Puchar? Jaki puchar? To tam w lodzie? A rzeczywiście! No i co z tego?

- W takim pucharze podają zwykle cykute, więc skoro sam chciał ją wypić, jest niedokonanym samobójcą, a skąd chęci suicydalne, jeśli nie od taedium vitae, czyli od chandry?

- Zbyt ryzykowne sylogizmy! Niepoprawnie rozumujesz! Nie tak cię uczyłem! - wyrzucał z siebie Trurl pospiesznie, dźwigając blok lodowy,

który zawierał korpus Chandroida. - Nie czas teraz zresztą na takie rozważania. Idziemy na górę!

- Do pieca? - spytała maszynka, podskakując na miejscu w największym podnieceniu. - Do pieca, do pieca!

- Nie do pieca, lecz na zapiecek! - sprostował Trurl. Przed ułożeniem Chandroida na zapiecku wziął się do żmudnej pracy anterowania. Przysuwał atomy do atomów drętwiącymi rękami, bo musiał pracować w sztucznym mrozie, miał też chwile poważnych wątpliwości, co do czego należy, taki panował w Chandroidzie bałagan, na szczęście mógł się orientować według powierzchni, to jest sukiennego odzienia, bo obszyte skórą guziki wyraźnie wskazywały, gdzie przód, a gdzie tył.

Kiedy położył obie istoty w ciepłe, zeszedł do pracowni, aby pokartkować na wszelki wypadek *Wstęp do Wskrzeszalnictwa*. Ślęczał nad książkami, gdy na piętrze rozległy się łomotania.

- Zaraz! Zaraz! - krzyknął Trurl i pobiegł na górę. Robot w sztylpach siedział na przypiecku, obmacując się ze zdziwieniem, Chandroid zaś jak długi leżał na podłodze, pragnąc bowiem wstać, stracił równowagę i upadł.

- Szlachetni przybysze! - ozwał się z progu Trurl - Witam was w moim domu! Zamknęci w lodowych bryłach spadliście do mego ogrodu, rujnując mi truskawki, czego nie mam wam wszakże za złe. Odkułem was z lodu, a potem za pomocą inkubacyjnej reanimacji termicznej oraz intensywnej resuscytacji doprowadziłem do przytomności, jak sami widzicie! Nie wiem jednak, skądęście się wzięli w tym lodzie, i pałam silną ciekawością poznania waszych losów! Wybaczcie obcesowość, a co do reszty, malec, który podskakuje u mego boku, jest moim potomkiem nieletnim...

- A kim waść jesteś? - spytał słabym głosem Chandroid, który wciąż jeszcze siedział na podłodze i obmacywał się po całym korpusie.

- Panowie przybysze - ty w skórzanych sztylpach oraz ty pałaco i mokro wpatrzony we mnie, wiedzcie, że jestem konstruktorem omnigenerycznym imieniem Trurl, dość znanym. To miejsce jest pracownią moją na Ósmej Planecie Słońca, którego do niedawna nie było, gdyż skonstruowaliśmy je pospołu z druhem Klapaucjuszem w ramach czynu społecznego z mgławicowych odpadów. Zajęcie me stanowi od eonów doświadczalna ontologia połączona z optymalistyką w zastosowaniu do wszystkich Rozumów Universum! Pojmuję, że nagle znalezienie się na obczyźnie, a jeszcze w taki sposób, przyprowadziło wasze jestestwa o pewien wstrząs, zbierzcie atoli myśli i wyznajcie, coście za

jedni, gdyż tak przyspieszymy ogólne porozumienie!

- A z Bolicją Gróla Zbawnucego nie masz acan żadnych powiązań? - spytał dość słabym głosem dobosz z pieca.

- O tym Królu, jakoż też o jego Policji nic mi nie wiadomo... zakatarzonyś waszmość? Rozumiem - to z przeziębienia, każdy by się zaziębił w takim chłodzie... może lipowego kwiatu?

- Nie jestem zakatarzony, a tylko mówię z cudzoziemska - wyjaśnił robot w sztylpach, przyglądając z wyraźną ulgą złote szamerowania na piersi.

- Król, któremu poniekąd uszedłem, zwie się w samej rzeczy Grólem, a to z tej przyczyny, że nie Państwem rządzi, lecz Baństwem... ale to cała historia.

- Opowiadaj ją pan! Prosimy! - zapiszczała maszynka w podskokach. Trurl uciszył ją srogim spojrzeniem i powiedział:

- Nie chciałbym naglić - bądźcie moimi gośćmi, proszę! A waszmość - czy jesteś Androidem, czy też Maścicielem?

- W głowie mi jeszcze szumi - odrzekł siedzący na podłodze. - Meteor lodowy? Kometa? Może być! Może to być! - Kometa, ale nie ta! Musiałem przegapić moją! Oj, będzie mi, będzie!

- To pan nie jesteś Chandroidem? - spytał rozczarowany Cyfranio.

- Chandroidem? Nie wiem, co to takiego. W głowie mi szumi.

- Nie zważajcie, proszę, na tego malucha! - odezwał się Trurl, piorunując wzrokiem Cyfrania. - Panowie, widzę, że przeszliście siła tarapatów, toteż przepraszam za niewczesne ponaglenia do wzajemnych przedstawień i proszę na pokoje, abyście mogli się nieco ochędożyć i ukoić, a też posilić co nieco!

Po wieczery spożytej w milczeniu oprowadził Trurl niezwykłych gości po całym swoim domostwie, pokazał im pracownię i bibliotekę, a na koniec zawiódł ich na strych, gdzie miał szczególnie osobliwe okazy.

Strych ów urządzony był na kształt sali muzealnej. Na półkach stały eksponaty w oleju, parafinie i wyskoku, a spod pułapu zaczepiony na tęgiej belce zwisał masywny automat, czarny jak węgiel i na pozór martwy. Ożywił się wszakże, gdy doń podeszli, i usiłował kopnąć rzekomego Chandroida.

- Zechciej pan uważać, gdyż moje pomoce naukowe funkcjonują! - wyjaśnił Trurl. - Automat, jaki widzicie panowie na tej linie stalowej, zbudował osiemset lat temu pramistrz starożytności, arcydoktor Nyngus. Postanowił on stworzyć Myśłowca religijnego i dobrego, tak zwanego robota-dewota, czyli Pobożnika. Ostrożnie, panie doboszu, on nie tylko

kopie, lecz i gryzie czasem.

- Daj mi się Boże urwać, a zobaczysz, co potrafię! - wygrzytał zacinającymi się trybami czarny Pobożnik.

- Jak widzicie, panowie - ciągnął z naukowym zapalem Trurl - on nie tylko mówi, kopie i gryzie, ale solennie wierzy!

Tu jednak mechaniczny fideista podniósł taki wrzask, że całe towarzystwo zmuszone było czym prędzej opuścić strych.

- Skutki wiary bywają nieobliczalne - tłumaczył Trurl, kiedy opuszczali się spodem po drabinie. Zasedli na koniec w bawialnym, gdzie wszystko było już przyszykowane - głębokie fotele, ogień na kominku i podlane jontoforezą truskawkowe elektrety

Ogrzawszy się i wzmocniwszy, obaj goście wodzili wciąż jeszcze zadziwionymi oczami po otoczeniu, milcząc, gdyż Trurl nie chciał ich ponaglać pytaniami przez wzgląd na fatygi, jakie przeszli. Cyfranio jednak, wyrwawszy się jak filip z konopi, wyłożył im pospiesznie własną hipotezę wypadków podpartą solidnymi obliczeniami. Oto lodowa kometa, krążąc po systemie, ogonem swym ocierała się o rozmaite planety, a porywając osoby znajdujące się w tych akurat miejscach, unosiła je zamrożone na amen do peryhelium, gdzie, jak wiadomo, ciała te wloką się niczym ślimaki, aż po mileniach niewiadoma perturbacja wytrąciła ją z dotychczasowej orbity i cisnęła na sadybę Trurla. Nim Trurl zdążył go uciszyć, Cyfranek obliczył jeszcze przybliżone elementy ruchu owej komety, a nałożywszy je na mapę całego układu, którą umiał na pamięć, przyjął takie współczynniki gęstości zaludnienia planet, że wyszła mu imponująca liczba siedmiu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu trzech osób, które winny się były jeszcze znajdować w kometowym ogonie. Osoby te, poporywane w różnych czasach i miejscach, oddalały się już od biesiadujących z drugą szybkością kosmiczną. Teraz upadek dwóch gości w dwóch meteorytach oraz bębna w trzecim stał się już zupełnie zwykłym zjawiskiem fizycznym i Trurlowi jęło się nawet robić żal wszystkich owych nieznanych pasażerów wmarzniętych w kometowy lód, których nie wskrzesi, a tym samym i nie zdoła poznać osobiście. Chociaż noc dawno zapadła, nikomu nie zbierało się na senność, rzecz łatwo zrozumiała, gdy zważyć, jak długo przebywali przybysze w lodowym letargu i jaką ciekawość ich kolei żywił Trurl pospołu z Cyfrankiem. Gospodarz powrócił więc do wyrażonej już przedtem myśli, aby uratowani opowiedzieli historie swego życia związane z kometowym wniebowzięciem. Owi spojrzeli po sobie, a pocertoliwszy się krótko, kto ma zabrać głos najpierw, uznali, że

porządek ten wyznaczył sam ich wybawiciel kolejnością wskrzeszania, toteż do rzeczy wziął się robot w sztylpach.



OPOWIEŚĆ PIERWSZEGO ODMROŻEŃCA

Jak mnie tu widzicie, nienasyconym jestem artystą perkusistą i stąd bieda moja. Jeszczem maluchem niedotartym zdradzałem talent, bębniąc na czym się dało i w każdej rzeczy budziłem jej właściwy ton. W rodzie naszym od wieków tak. Umiejętność moja. Kiedy rozbębnię się, świat mi z oczu ginie. Takież tamburynuuję w wolnych chwilach, a nawet instrument grzeczny sam sporządzę, dajcie mi jeno kożę i spróchniały pień lub cebrzyk i ceratkę. Lecz w żadnej orkiestrze miejsca nie zagrzałem, wędruję tedy po świecie, aby wszelkich jego kapeli próbować, byle świetnych. Słuch zaś mam absolutny i grania kocham grzmot. Co ja planet, gwiazd, filharmonii zwiedziłem! Gdziem nie bywałem, gdziem nie grywałem! Wszelako wnet drażki mi z rąk wypadały i dalej mnie niedosyt gnał. Dawałem popisy solowe, na których jęk, płacz, szal i śmiech, bywało, że mię tłum na rękach niósł, a nawet bębny moje na relikwie rwał. Nie sławy łaknąłem, nie ona moją kochanką, lecz zatracenie w wielkiej muzyce, łaknę orkiestry jak prąd oceanu, aby tam wpaść i w jego bezbrzeży rozpuścić się. Ja bom dla siebie niczem, wszystkim melodia doskonała i tej szukałem, w partyturach kopałem się dzień i noc. Aż w planetarnym przysiółku Aleocji posłyszałem o państwie Hafnu pierwszy raz. To tam, gdzie się zagina spiralny rękaw mgławiczki lokalnej i w manszecik przechodzi z gwiazdą podszewką. Tam ta wieść doszła mnie na pohybel mój i zapaliła mi w duszy wielką tęsknicę, mówiono bowiem, że to nie zwykłe państwo, lecz filharmonijne i że równo z granicami idą kolumnady królewskiej filharmonii. Mówiono, że tam każdy gra i słucha król, bo taki jego sen, żeby muzyki chram napełnił lub Muzyką Sfer! Puściłem się więc w dyrdy, jakem stał w ową stronę, żywiąc się po drodze zapłatą za granie moje, skocznym werblem płosząc troski i zagrzewając młodź i wiek, łowiłem każdy słuch, by się upewnić, że w tej gadce prawda. Wszelako, dziwna rzecz - im okolica dalsza Hafnu, tym więcej chwali obyczaj jego muzykalny, wierzy w Harmonię Sfer i mówi, że tam warto żyć, by grać. Im atoli bliżej, tym częściej półgębkiem odpowiadają lub zgoła milczą z wytrząsaniem łba albo w czoło wręcz stukają się. Próbowałem indagacjami przypierać tubylców do ściany, lecz wyłgiwali się. Rzekł mi jeden staruch na Oberuzji: Grać, to tam, wiadomo, grają, nieustannie tną od ucha, lecz z grania tego muzyki tyle, co kot napłakał, niemuzyczna to muzyka ichnia, więcej czego innego w

niej jest. Jakże to, muzyka bez muzyki, pytałem rozciekawiony, i cóż jest owo inne, mów mi waść, lecz tylko dał mi znak, że szkoda słów. A inni znowuż swoje, że sam król Zbawnucy wznosił Królewskie Konserwatorium państwowe, że w nim wirtuozów ćma, i nie to, żeby jakować akrobacjonistyka dmuchu-ciągu, palcaty, zawodowstwo zrutyniałe, lecz natchnienie, bramy w raj złotostrunny bo mają dobry tor i klucz Harmonii Sfer, tej właśnie, którą Kosmos, milcząc, gra! Więc ja do starca znów i pytam, a on rzecze: Nie mówię, że nieprawda, ale też i nie mówię, że prawda. Co bym ci nie powiadał, nie to bym ci powiadał. Idź sam, jak chcesz, to i przekonasz się. W talent swój wierzyłem, pokładałem zaufanie w nim, bo ja, braci robocia, jak wezmę drażki w palce, jak puszcę z lekka w mały tryl na bębna mego gładź, to już nie terkot i nie werbel, i nie wark, już nie bębnienie zwykłe i tamburynada, lecz taka rwąca czule pieśń, że nie do wytrzymania, bo i kamień, a popuści też! Zmierzałem tedy dalej, pojmując wszelako, że nie można na filharmonijny dwór z dworską etykietą jego wejść jako z konopi wprost, pytałem każdego, kogom napotkał po drodze, o hafnijski górny obyczaj, a tu niewiele albo nic, moc min, ogólne potrząsanie czym kto miał, ten głową, ten nie głową - tak rozeznania w tym i nie doszedłem. Lecz gdy trwał dalszy marsz wśród gwiazd, spotykam kurdypołcia usmolonego, ten mię na bok wziął, słuchajże, do Hafnu idziesz, o, szczęśliwyś i szczęśliwa to godzina, tam namuzykujesz się, Zbawnucy dobry możny pan, kochanek muz, on cię obsypie złotem! Co mi złoto, jak z orkiestrą tam, pytam go, on zaś uśmiechał się, szczęśliwy, mówi, kto w niej gra, za miejsce w niej oddałbym życie! Jakże, mówię, tedy czemu w odwrotną stronę spieszysz? Ach, rzecze, ja do ciotki, a zresztą zmierzam w dal, by głosić słowo o Zbawnucym, niech zewsząd spieszą muzykanci, bo już otwarty szlak Harmonii Sfer! A i Harmonii Bytu, bo to jedno i to samo! Jakże, mówię, Symfonia Bytu też w tym jest?! To warto się przyłożyć! Ale prawda li? A on pokurcz (dość zeprzały, prawdę mówiąc, utarajcowany w jakichsi koksach czy smołach, musi przypiekl się, zesmelcował czy co) na to woła: Cóż ty! Skądęś się taki ciemny, niewiedzący wziął? To nie wiesz, że Hafn nie jest zwykłym państwem ni królestwem, lecz Państwem Nowego Typu, czyli Baństwem, a Zbawnucy nie zwykły król, lecz Gról! Dynastyczny on powziął plan, żeby wszyscy grali i tym graniem do szczęśliwości dograli się: i nie ot, byle jak, kusztykując i ślepo, lecz w sposób scjentyficzny, metodologiczny i teoretyczny, więc utworzył ci on Radę Ministrów Konserwatoryjną i ułożył Harmonogram Harmonii Sfer, którą lada dzień odkryją i wykonają, a może już wykonali, więc prędko

leć!

A jakaż to ta harmonogramiczno-harmoniczna muzyka? - pytam jeszcze, on zaś odpowiedział: Osobę łączy z Przyrodą, Zespala Tęsknot Rój i tworzy Ziemi Raj, więc leć prędko, mówię ci, bo wspomóc takie coś to galaktyczna rzecz!

Już lecę - lecz, mości pokurczu, chciałbym jeszcze wiedzieć, jakoż państwo, to jest, Baństwo Hafnu doszło partytury Sfer, ichniej Harmonii, skąd mu się to wzięło? - Ba! - odpowie zglejowaniec - mają wytyczne dokładne, mają tradycję pradawną, boż grać to zawsze grali, lecz nie tak i nie tym, i nie w ten sposób, co właściwy, ale teraz już wiedzą, i od muzyki ich przystaje dech i oko w słup, a ucho wściaż, leć tedy, mój bębniarzu, byś się na próbę nie spóźnił!

Za pozwoleniem, rzekłem, nie jestem ci ja żadnym bębniarzem, jeno artystą perkusistą pierwszej gildii, lecz powiedz mi, proszę, jeszcze co nieco o obyczaju hafnijskim, bym się tam znalazł należycie!

Och nie mam czasu, odrzecz, idź, a migiem, obaczysz, jaką wdzięczność będziesz ku mnie żywił po sam skon!

Ruszyłem tedy, wszelako, gdy się już zarysowały kontury planety, co był Baństwem, boż to nie jakaś żeńska zwykła planeta, lecz męski, jakkolwiek mały, bardzo męski planeta, i gdym ujrzał zewnętrzny Mur Ogromny Marmurowy, i rozgorzały na nim złoty napis KONSERWATORIUM KORONNE, postrzegłem opodal wózek drewniany, olejno malowany, a na wózku bardzo zmęczonego robota, który się iskał, bo ze starości moc opilków miał i te mu żarły każdy tryb, więc dopomogłem mu oczyścić stawy i stawidła, a on pod nosem nucił coś cichutko. Spytałem, co to, odrzekł: Pieśń oleandryna! Nie znałem takiej. Nuż go pytać o Hafn, on zaś przygłuchy był i kazał sobie powtarzać cztery razy każde słowo, a potem do mnie rzekł: Perkusisto! Tyś młody, zwinny, krzepki i giczolny, zdzierzysz wiele! Nie odradzamć do Hafnu iść, ale i nie radzę ci tego. Uczynisz, co zechcesz.

- Czy tam grają? - A zapewne, od nocy do rana i od rana do nocy, wszelako każdy kraj obyczaj ma swoisty, i powiemć jedną radę: Milcz. Czego byś nie obaczył - ni pary z gęby. Cokolwiek by ci się wydawało - ni mru-mru. Ni tchu! Jęzor w cuhalt, lice w kubeł, milczeniem opieczętuć głos, to, być może, będziesz jeszcze kiedyś opowiadał, coś tam zwidział, w coś tam grał!

A chociem go prosił i molestacyą mu czynił, jakem mu nie przekładał, już ani syllaby mi rzekł.

Cóż, dopiero mię to rozparło i zapaliło okrutną ciekawością, chociaż

nie powiem, żebym pukał do Hafnu złotych wrót całkiem spokojny, bom przez skórę czuł, że jakaś tajemnica w nim otchłanna! Lecz zakołatałem kołatką szczerozłotą, a dźwięk jej cudny był i animuszu dodawał, i bardzo chętnie mnie wpuściła straż, i rzekła mi łagodnie: O, widzisz drzwi? Wal tam do środka śmiało. A przedsień była już wspaniała - jużem stał w ogromie kolumniastym, błyszczącym skarbami, nie sień, lecz istny chram, i wszędzie wiszą złote instrumenty! Więc w drzwi; wchodzę i oczym zmrużył, taki buchnął blask od alabastru i onyksów, i srebra, wokół kolumn bór, na dnie amfiteatrum stoję, jerum, przepaść to, głąb, widać wiekami wydrażali glob i w środku urządzili Filharmonię! Nie ma tu miejsc dla publiczności, a tylko same dla orkiestry, fotele jednym, innym stoliki, adamaszkim kryte w srebrny groch, rubinem przytrząśnięte, i stojaki wdzięczne na nuty, i spluwaczki w srebrze kute dla dętystów, to jest dmącicieli trąb, klarnetów i obojów, a wyż brylantuje świecznikami-pająkami, każdy tęczowo żyrandoli się i w zimnym ogniu barw nic - ani widowni, ani galerii, jeno w ścianie głównej naprzeciw orkiestry na całą szerokość jedna jedyna łoża, w boazeriach, weneriach i draperiach, amory w konchy dma, lampasy tam, kutasy, a łoża skryta zasłoną ze złotogłowiu, hafty na niej wiolinowe i bemolowe, i Księżyc na nowiu, i ciężary z ołowiu, i palmy w donicach jak dom, a za zasłoną chyba tron, lecz zaciągnięte tam i nic nie widać. Ale od razu zmiarkowałem, że to musi być królewska łoża! Widzę też na dole amfiteatrum pulpit dyrygencki, lecz nie zwykły pulpit, bo pod kryształowym baldachimem, ołtarz istny, feretron, a nad nim neonowy napis CAPELLOMAYSTERIUM BONISSIMUM ORBIS TOTIUS!

Znaczy, że najlepszy na świecie kapelmistrz, czyli orkiestralny konduktor. Muzyków tłum, lecz na mnie nikt nie zważa, odziani dość cudnie, z rozmaitością liberyjną i liberalną, temu łydy opina skarpeta biała w same fa i sol, lecz cerowana; tamtego meszty z klamrą złotą w niskie Ce, lecz obcas ścięty; ów kołpak ma na głowie z pióropuszem, lecz mole zjadły nieco piór, a też nie dojrzę, aby który prosto się trzymał, tak ich ordery ciągną w przód, sukнем podścielone, znać, żeby ich dźwięk muzyki nie psuł! O wszystkim pomyślano tu! Widać dobry monarcha, hojny meloman i leci odeń grad odznaczeń na panów muzykantów! Przepycham się nieśmiało przez ciżbę, a bo to, widzę, przerwa w próbie i wszyscy naraz gadają, a kapelmistrz w złotym cwikierze spod baldachimu koronnokryształowego poucza. Nie pałeczkę dzierży w rękawicznym kułaku, raczej palicę wprost, lecz on nią macha, a że zmacha się, nie moja rzecz. Sala ogromna i nadzwyczajną musi być

jej akustyczność! Do grania czuję pęd... a kapelmistrz, wsparłszy na mnie przelotne oko, rzecze z dala łaskawie: A, nowyś? Dobrze! Co umiesz - arfiarzemś? Co, perkusista? Ot, siadaj tam, wybył nam ano perkusista, czy zdasz się, obaczmy! Siadajże waść! Mości czellisto, nie pchaj się, a widzę, że czelny czellista coś w łapę dyrygentowi tka - kopertę wypchaną - list mu napisał koncertowy, czy jak? - No, wszak nic nie wiem jeszcze... siadam. A kapelmistrz mówi do stu naraz: - Klarnecie! Nie dydryduwydudydudym, lecz

diduriduwidubidupiim! To nie są zawijasy lukrowe na torcie, mój panie, to vivace, lecz nie MOLTO vivace, czy masz dębowe ucho waść!? A dalej trillitrullifrullifram, i to nie friorytura, musisz się wkładać miękcej, proszę miękuchno, ale podszywaj stałą, lecz nie po wierzchu, tu miękko, a tam twardź! I trilliridapadabbrabam! Ty tam, hola, blacho, nie zagłuszaj mi piccola w szesnastkach, boż rujnacja lejtmotywu, nie głusz, mówię, więc widzę, że zupełnie zwyczajne panują tu maniery i gadanie akurat takie, jak na wszystkich salach koncertowych Universum.

Siedzę w szumie-gwarze i rozglądam się. Najpierw do bębna: cudowny to jakiś bęben! Nie po prostu, lecz bardzo w sobie wzmożony, boki jego obłe, tęgie, masne, kragłe, jakieś samiczo- dziewczicze, lazurne w sznurach haftowanych złotym liściem dębowym, no a już powierzchnia tak napięta, ni skazy, dzwonna i błonna, musi huczny w niej być grom!!

Patrzę, a tu partyturę niosą, nie zwyczajną, lecz księga istna, foliał w skórę żbiczą oprawny, jej ogon kutasem kończy się, a do kutasa chustka przywiązana, dla otarcia potu rześistego po finale! O wszystkim tu, widzę, pomyślano! A gdzie nie spojrzę, stiuki, gryfy, herby, muzy cycate, kariatydy, wenusy, fauny, pozauny, bomboniery, bomstengi, gryfy, groty, sztaksle, priapy, szperklapy, bezanmaszty, cumy, bajdewindy, że muzyko płyn! A nad lożą grólewską herb baństwowy, państwotwórczy szopon we wieńcu dukatowo podkutym, i rusza się zasłona łoży, jak gdyby Gról w niej siedział już, lecz chował się przed nami...? Lecz już Kapelmistrz w binoklach zwinny, ekspresowy, pospiesznie wszędobylski, uwaga! Woła, na miejsca! I: zaczynamy! do próby! Wszyscy tedy kopną się, biegną, brzdąkliwie stroją, ja drażki ujmuję, a to nie drażki, lecz obuchy istne udarowe! Pały dzwonne! Rychtuję nuty, w garście spluwam i patrzę w nuty jak sroka w kość, kapelmistrz uno, duo, tre woła, stuka, i cwikierem złoto błyska nam, i wchodzą zgrzybce z cicha pęk... ale co to? Dyryguje kapelmistrz, lecz nic nie słyszę, jeno jakby ktoś szmerglem tarł... oj zgrzypią te zgrzybce... struny zapaskudziły się czy co? A ot i moje wejście, więc spuszczam dłoń, by tarabambnać, dzielnie uderzam,

lecz tylko pstuk, pstuk, słyszę, jak we drzwi, patrzę, a bęben ani drgnie, powierzchnia jakaś sztywna, gładka jak sadzawka zamarznięta, jak tort, nic nie pojmuję, i znowu stuk! stuk! Nie będzie z tego wiele, myślę, a już orkiestra wchodzi, kwiczy, pstryczy, szuści, gwazdra i widzę, olaboga, puzonista puzonowi pomaga wargami bububu, a zgrzypacze buzie w ciup i tititi, sami nuca, niemym instrumentom w sukurs spieszą, jakaż to gra, a kapelmistrz wsłuchany, nagle w pulpiterium bac! I rzecze: Nie. Ach, nie tak! Niedobre to jest. Da capo! Więc my jeszcze raz, a on schodzi z pulpitu i wkracza między nas, przechadza się, uchem łowi skrzyt i zgrzyt, przybliża się uśmiechnięty, ale krzywo, i za policzek waltornistę, jak w cęgi palcami, oj, zakręci-skrecił, aż waltornista traci dech; idzie i ucho obojowi nadrywa mimochodem w przejściu zarazem pałką bac po głowie drugie zgrzybce, zatoczył się grajek, chustka mu spod brody wyleciała, zębami wydzwonił mały tusz, a kapelmistrz do puzonów i reszty szepce spod cwikiera: Draby! Co to za nieład! To ma być muzyka?! Grać, grać, a to się zbudzi Gról i dopieroż nam będzie! I mówi: Jako Gapelmistrz Dyrygentissimus domagam się! Przypominam i powtarzam: Symfonium odegramy Uwerturalne Ciszy! Silentissime, allegro vivace, con brio dalej, ale i piano, pianissimo, bo chi va piano, va sano! A! Pojmuję, żart! Żartuje ku nam, bo Dobry! Mówi: Panowie! Waltornisto, Arfiarzu, Trombonie i ty, Klarnecie Jeden! I wy, klawikordiały, przykładajcie się! Blacha płynnie i miedź! Piccolo czujnie, a cello z wiolą czulej tam! A fortepiano, czyli Silnosłab, na sordynę bacz! Schodzi i stuka w pulpit: Pod Naszą Batutą, na Moją Komendę, Ku Harmonii Sfer, za mną - grać! Gramy. Wszelako dalej nic nie słyhać okrom zgrzypień i charpań i stukań, w ogóle więcej nic! I rusza dyrygent w orkiestrę, uśmiechnięty, i rozdaje cukierki miętowe, lecz komu cukierek da, to zaraz i pałą w łeb. W krąg huczą lby! Pełen zmartwienia bije i daje do zrozumienia, więc pojmujemy, że nie od siebie wali, lecz tylko aby Majestatu nie urazić, w Imieniu oraz aby nie dopuścić kakofonii do grólewskiego ucha, a kto obrywa, kuli się i kapelmistrzowi odśmiecha się przymilnie i potulnie, który, też uśmiechnięty, ugaszcza i bac! bac! Bo nie samym sobą leje, lecz aby nie dopuścić i ratować, a może, by gorsze cięgi, razy, aby Prawdziwy Bat nie obruszył się... Wiem, bo w przerwie grajkowie rozprawiają, nawzajem sobie plastry przyklejając wedle mego bębna: on dobry, nasz Kapellenmayster, wszak napisane ma Bonissimus, wszelako musi tak, by Gról nie rozgniewał się, w samej rzeczy widzę zgłoski „Capellenmaysterium Bonissimum”, oj, dobry, mówią, dyrygent, a i serce złote, lecz musi łać, by nam Kto Inny nie dał w

łeb! Kto, kto taki? - pytam, ale nikt nie odpowiada. Co do bicia, już wyrozumiane mam, ale z muzyką do ładu nie dochodzę, bo nic, jeno chrap i drap, i zgrzyt straszliwy, ale gramy. Cwikier złotem błyska, biega, łupie, a choć łby trzeszcza, pojmujemy, że tak musi być; aż tu zasłona Łoży rusza się i wychyla spoza niej Pięta Duża Bosa i poniekąd Goła, lecz nie jakaś uliczna, szeregową pięta, ale Namaszczona, w Koronnej Pidżamie z nogawki wysunięta Tronowej, i obraca się ona, i rozchylają się fałdy draperii, a tam chrapanie i nie tron, lecz łoże w złocie i różyczkach, z adamaszkowym blaskiem poszwy, na złotym prześcieradle Gról, znużony symfonicznie śpi z aksamitowym jaśkiem w gębie, i nic, tylko śpi, a my pod Piętą piano, pianissimo, żeby nie zbudzić. Markujemy...? Ach, pojmuję, markowana próba! Dobrze, ale czemu bicie niemarkowane? I czemu włosia w smyczkach brak, a bęben mój jak stara decha?

Dostrzegłem też, że w najciemniejszym kącie sali szafa stoi wielka jak organy, czarna, ogromna i zamknięta, a w niej lufcik z kratką i kiedy zdarzy się mocniejszy fałsz, widać tam oko mokre i pałace, okropnie nieprzyjemne, więc pytam trombonistę, kto tam? A on nic. Ja do kontrabasa - nic. Czello - nic. Triangel - nic. A flecik kopnął mnie w kostkę. Wspomniałem więc przestroję starca i milcząc, gram, to jest stukam. A tu skrzywienie okropne, otwiera się Szafa w Kącie, a z niej wyłazi Ktoś Czteropiętrowy. Czarny jak noc, z oczami jak kamienie młyńskie i siada między dwiema kolumnami, nie przymierzając jak w lesie, i siedząc, przypatruje się nam wilgotno i pałaco. O tyłek marmurowy muzy grzbietem skołtunionym się czochra, drugą muzę w łokciu ma, oj, straszliwy ten jakiś kąciarz, gdy go widzę, czuję mrówki gnające po krzyżu! Tu dopiero całkiem zaczęła mi przechodzić chęć muzykowania w Filharmonii Hafnu, bo jak wziął się gębę otwierać, to odmykał ci ją i rozsuwał, a przez ogólny ogrom i rozmiary trwało to dłużej, niżbym sobie życzył, w środku zaś paskudnie wprost nie do wiary - i kły paskudne, i język za nimi nawet paskudniejszy, zwinny i ślinny, i wraził sobie Szafon Kąciarz paluch w mordę i nuż tam z wolna, lecz usilnie gmerać. Oglądam się, jako mam podle siebie kontrabas i blachę i też gębę otwieram, żeby spytać, kto zacz owa potwora, skąd i dlaczego oraz po co tak, w ogóle - z jakim sensem? Tum atoli wspomniał słowa starca, zabrzmiało mi w głowie: „Cokolwiek by ci się strasznym wydawało, milcz, ni pary z gęby, ni mru-mru”, więc zreflektowawszy się, z łydą podciętą drzeniem i z miękkim podkolaniem gram. Widzę nuty, boż się wytrzeszczam, lecz niewyraźne jakieś, jakby muchy narobiły, nie

wiadomo co kwinta, co kwarta, plamy, kleksy, zamazane wszystko jak diabli, oj, bo też diabli nadali, myślę i nastaje cisza na taktów osiem, w niej zaś, ach, jaki paskudny dźwięk: zjadliwy, gęsty, plugawy, borborygmiczny i gardialny ziaj się rozlega, Kąciarz ziewnął, kłapnął, przeciąga się, bark szczeciniasty trze o zadek muzy, wyjrzał z kąta, powęszył, sapnął, wreszcie czknął, grepsnęło mu się, w tej ciszy świątynnej, skupionej filharmonijnie, okropnie paskudenny Greps, lecz nikt nie widzi, nie słyszy nic a nic! Poznać nie dają po sobie! A po południu jest galowy koncert i Gról Pan siedzi w łoży otoczony dygnitarstwem rozgwieżdżonym i w palcach upierścienionych kręci coś, i raczy sobie sam do ucha wściubiać, wyteżam wzrok, a tam talerzyk złoty, i kulki z waty kręci Gról, w olejach poświęcanych macza i w uszy tka! Już nie pojmuję nic. A my w fortissimach taką piłą piłujemy i takim rżnięciem rżniemy rżnącym, że z okna za kratką coś jakby ła, a Gról każe draperyą zasunąć, gdyż czas mu do baństwowch spraw. Więc jakże teraz dalej? Panowie, grayce! - mówi kapelmistrz cwikierowy, blade, musimy naradzić się i skrytykować, boż to nie to, nie tak, bójcież się Boga, gdzie wy, a gdzie Harmonia Sfer, toż Gróla osłabicie takim graniem! Otwieram naradę!! I gdy ja nie wiem co do czego i wciąż ku szafie zezuję na wszelki wypadek, oni po kolei o głos proszą i wstają i zaczyna się wielkie deliberowanie i radzenie, oczy skrzają się im z chętniej gorliwości, krytykują wykonawstwo, smyki, blacha, dętyści nie to i nie tak, palce źle ustawione, mało wprawy, nie dość prób, gimnastyki brak, nie zwijamy się koledzy, jak należy, nie przykładamy się - bardzo surowy każdy dla siebie, a już co do innych kolegów, to nie daj Boże - suchej nitki nie zostawiają, z wyjątkiem trombonisty, trianglera i waltorni, nie wiem czemu. I wadzą się nad każdą nutą, jak z niej wytłoczyć dzwonny sok, cel przyświeca im wspólny, słucham z podziwem, teorię ci tu każdy ma w małym palcu, jak z nut idzie ta narada, słucham, patrzę, aż tu cień na nas padł, olaboga otwarła się szafa, siadło w niej, drapie się po czarnomszystym brzuszysku wszawym, zapuszcza paluch w pępek, nie pępek, lecz czarny Maelstromu lej! I tak sapiąc, czkając, drapiąc się, siedzi, dłubie w nosie z dużym powolnym smakiem i satysfakcją, pełną koncentracji. I nagle robi się straszna cisza, bo taki mały jeden od dzwoneczków wstaje i mówi w wolnych wnioskach: Panie Kapelmistrzu i Koledzy! Instrumenty są NIEZDATNE, więc nie może być z tego nic! Owszem, na oko ładne, złocone, lecz bezdźwięczne, albowiem felerne; groby to pobielane, nie instrumenty. Wnioskuje wniosek więc, żeby nam Prawdziwe dać, a te do muzeum lub gdzieś indziej na złom. I siadł. - Ca?

Ca?! Ca!!!?? - krzyknie nasz dobry w cwikierze, najlepszy. - Instrumenty ZŁE!? Nie godzą się? Nie podobają się...? Na Trudności Obiektywne spycha się własną Niedojdziastość, niemoc? A to mi dyngus, nygus, a to mi zdrajca Sprawy, a to ci Dywersjum! Ty Łotrze jaki-taki, ty Podesłańcze-Odmieńcze, skądęś się taki wziął?! Jak, skąd? Kto podsunął ci Zbrodniczą Myśl? A może współników masz? Kto jeszcze mniema tak? Cisza jak makiem siał, a tu podbiega Lokajczyk liberyjno-dworski i podaje mu zapiskę i czyta on, oddaliwszy papier od oczu, bo jest w cwikierze swym dalekowzroczy, by nas na oku wszystkich mieć i mówi: No tak. Ogłaszam Przerwę, ponieważ oto moje Wezwanie na Dwór, na Naradę Ministerialną. Jak wrócę, uczynię wam Podsumowanie! A teraz odtrąbiono! Siedzimy i mówimy, że panie dzieju, śrubuchny w oleju, no i, panie tego, moja chata z brzegu oraz podobne uwagi przez całą noc. Przychodzą z rana trębacze fanfarzyści i ogłaszają Gróła Uniwersał i Manifest, jako odbędzie się specjalna Konferencja Naukowa, na której Kompleksowo będą zbadane wszelkie impedimenta stojące na drodze ku Harmonii Sfer (Ha. Sf.). Zwaliła się zaraz moc melologów, melomanów, muzykoznawców, dźwiękarzy i melodystów z wyższym wykształceniem polifonicznym, sami prof. konc. i dr hab. cich. i członkowie dźwięku rzeczywiści,

korespondencyjni szlą korespondentki z odpowiednimi nagraniami. Pierwej występ zarejestrowali na sześciuset aparatach powtykanymi w instrumenty mikromikrofonikami, a do bębna włożono mi makromikrofon, taśmy opieczętowali zielonym woskiem i czerwonym lakiem, wzięli próbki powietrza rozedrganego, przez lupy obejrzel nas i każdy ką, a potem naradzali się siedem dni i jeszcze miesiąc. Precyzji analiz nie wysłowisz! Nie zetknąłem się jeszcze z takim oberwaniem nauki w jednym miejscu! Wszystko zostało naświetlone i uzgodnione z właściwych pozycji metodologicznych, nad naradami sam Majestat objął miłościwie Wysoki Protektorat, lecz osobiście nie uczestniczył i zastępował go Podsekretarz Stanu Obojga Uszu. W ostatnim dniu ośmnastu Dziekannych Rektorów chórem odczytuje nam Ekspertolizę zredagowaną wspólnie z pełną jednomyślnością badawczą:

Skonstatowała Komissya, piszą, pewne Braki.

Instrumentarium Niecałe Pełnowartościowym jest. Tam tu, to tego brak, ówdzie zaś owego nie dostaje. Tu zakrętasa, tam obertasa. Tu, we wioli, struny poniekąd gipsowe, a tam pudło czella pełne otrąb. Nie tak to zapewne miało być, lecz jakby jest. Tu trombon zatkany, bo czyjaś szlafmyca wpadła z bawełnianej dzianiny

pięćdziesięcioprocentowej z domieszką nylonu, drugiego gatunku, a może to szraubmyca, dosyć że doradzamy przekanalizowanie trombonu, a odtąd radzimy, niechaj stoi szczotka kominiarska koło trombonisty, niech takowy z przepychem gra. Klawicymbał zaś znaleźliśmy Ogólnie Pustym: w środku nie ma nic, jeno Były Kurnik po Gęsiach. Gęśle: zamiast gęśli, Gęsi skonstatowaliśmy ze słabym jaj udojem, bo dokonaliśmy analizy ich Pyrometrem, to jest Pióromierzem, gdyż Pierze utrudnia Gęsiom dźwięczenie, nie mogą przez to Gęsi czystego dźwięku mieć. Ergo ALBO niezbędna jest onych depierzacja, ALBO należy ze szkatuły koronnej ekspensem uczynionym gęśle nabyć i je gęślarzem obsadzić, albowiem obecny gęślarz indykatozem jest z zawodu, czyli hodowcą indyków. Co do Silnosłabego Fortepianu, dwie kopy myszy w nim ogonkami do młotków uwiązano, przez to Bardzo Cienko Śpiewa, zwłaszcza iż Myszarz fundusz przeznaczony na karmę, defraudantnie stracił. Jeśli nie będzie Łaski Grólewskiej, w dyby go. Co do Triangla, powinien być Metalowy, a nie Obwarzankowy, chociaż na drożdżach. Teraz Bassy Główny Kontrabas przewraca się przy Passażach, ponieważ ma zamiast Ostrogi Kolcowej Kółko i odjeżdża na nim, a też Bassistę pociąga impetem za sobą, przez co ten przy każdym Basso Dolce Profondo musi nogami się nakrywać. Sugeruje Komissya: trzeba albo sznurem go, albo dołek wyciosać, albo w troki, albo zaklinować, albo przeprowadzić zgoła odkołowacenie, czyli tak zwaną deszraubizację. Zmyczkom przydałoby się włosia, gdyż zamiast niego wydiagnozowali Ekspertyczni Komissyanci jeno Atmosphere, tj. mieszaninę azotu, tlenu, dwutlenku węgla ze śladami gazów szlachetnych, jako to xenonu, argonu i kryptonu, oraz krztyną pary wodnej. A także nieco Płynnej Zawiesiny, która jest Odpadową Pochodną Rozkaszłania i Zaplucia Graycami - Uzdników dętystyczno-trombońskich. Włosie atoli uważa Komissya za lepsze do grania od powietrza, a zwłaszcza zdatne dobrze do Drzączkowo-Pocieralnego suwania po strunach. I tak leci ta ekspertyza na tysiąc ośmset stron, i O bębnie w niej jest, a jakże, poświęciła uwagę Komissya bębnowi mojemu: malowana decha kołem sękatym podparta, choć i w złocie, a nie bęben. I sformułowano trzysta osiemdziesiąt jeden wniosków skierowanych resortowymi drogami do Ministerstwa Trań, Czombrów i Puzonów, do Ministerstwa Dzwonnic, Sfer i Propinacyi Harmonosferycznej do Podsekretarza Stanu Beznadziejnego oraz do Najwyższej Izby Dętystycznej. Sam Marszałek Blachy wagę wniosków pieczęcią skrzepił. I jak teraz orkiestra nie skoczy na równe nogi, nie

skrzyknie się, nie rozdykutuje!

Tak! Tak jest! Bęben otok stary, pienny pniak, łajnem napchany, smród bił, wskutek niewiedzy względnie zachachmęcenia! Flety, alty, klarnety, oboje, trąbki zatkało, draństwo to, lichota, flora, precz, dźwięki wszcząć chcemy, o daycież nam, daycie co lepszego, zobowiązujemy się grać! Tu szmata zatkanie, proszę, każdy widzi, tu zgoła ustnik niedrożny, a talerze z betonu-camentu, pozłótką jeno pociągnięte, jakoż czymś takim grać? Patrzą, czym ja szalony, czy oni, boż od początku widoczne było, i skąd nagle takie zacietrzewienie, w głowę zachodzę, bo nic nie rozumiem, a w nich gore płomienna muzyki chuć i autentyczny szal. I wstaje pianista, i potoczywszy okiem, mówi: Proszę, oto memoriał, jaki napisałem był w zeszłym roku, lecz nie miałem czasu na poczcie nadać, i czyta: „Podług mego suwerennego mniemania, dla dobra Ha. Sf. twardo się domagam, aby zamiast Dżypsu i Camentu powołać Drewno, Mosiadz 1 klepaną Blachę, a też Struny dźwięczne-flaczne! Tak być musi, bo z draństwa, co je nynie mamy, oprócz swądu nic!“. Siada nadzwyczajnie zadowolony z siebie i triumfalnie spoziera na kolegów w Krąg, oni zaś szumią i gwarzą: Tak! Ja też, o, myśmy dawno zauważyli, że trociny, myszy, cement oraz zwykłe łajno, jak i skąd w przybytku Muz, nie wiadomo, chcieliśmy donieść, usprawnić, lecz mnie noga bolała, ja kurcze miałem, ja chrypkę, ja kubek w kubek tom napisał co pianofortysta, lecz karteluszek mi się zawieruszył, a ja jeszcze mocniej w wyrazie, lecz wskutek choroby CIOTKI, tak jeden przez drugiego, wszelako widzę, Kąciarz dalej trwa, czka i czochra się, kucając w otwartej szafie, trze giczoł o giczoł pazurny, istneż Goryllium, daję tedy kolegom kuksy i wskazuję, mrugam, tam, tamój patrzcie, lecz rozpaleni najmniejszej uwagi nie zwracają, pełni nadziei na lepszy dźwięk i los. I w samej rzeczy niosą nam czwórkami szamerowani dźwiękocjanci podpasani biało cudne nowe instrumenty, można odtąd grać! Radość nie do wiary! Pojawia się Kapelmistrz nowy, w rogowych okularach, gdyż tamten w cwikierze przeszedł na Emeryturę wskutek Wysługi Lat, a mówią, że brak mu było Bębenkowych Błon, więc nie słyszał nic. Rozkręcają napis stary i nowy przybijają ćwiekami złotymi CAPPELMISTERYUM OPTISSIMUM, i nuż do próby! Wprzód atoli Rogowy rzecze: Postępowych jestem zasad. Dyskussyę urządzam. Niechaj mówi każdy, co ma najtajniejszego na myśli, czym mu dusza gra. Niech wyzna! Bez lękowa mówcie, Najdrożsi, włosu nikt wam na głowie nie tknie, nie skrzywi, nie naderwie konchy usznej, kłykciny ni golenia, bo jam nie taki! O czym was na Ha. Sf. najsolennie zaklinam i zapewniam, i to moje

mówienie Przysięgą Dyrygencką pod Batutą samego Najmiłościwszego Majestatu Zbawnuckiego pieczętuję!!!

Nuż znowu wszyscy na wypródki do gadania! Krasnomówstwo patoką płynie, okresów miód, smyczkowcy, waltornista, trąbkarze, zgrzypacze, a tak śmiało, aż zapiera dech; wyznają, co który komu, z kim i jak, co było pod kapelmistryjnym cwikierowcem: oj, mówią o nim, słyszę, bardzo źle, nie dopuściłbym myśli, iż go jak rodzzonego nie kochali, skoro tyle razy w kółko Macieju mu w tym oświadczeni i ofiarowywali mu afekta najczulsze, a owe grubo powypychane koperty, ani chybi miłosne listy, tkali w urękawicznioną dłoń i obdarzali synowską czułością, gdy łby rozkwaszał, on nasz gołabek, nasz kniaź, mówili, sprawiedliwie lejeż on nas, a tu zanieczyszczają pamięć jego i mówią o głuchocie, iż jak pień, a czelliści, że paraluszem miał poprzetręcane graby i jedno, to po oczach umiał pracować oraz że miał odmieńczy zły wzrok i od jego spojrzenia dziurki się w bębnie wypalały, co tu obecny perkusista łącno przytwierdzić może - a ja okrutnie zmieszany pod nosem bakałem, mamrocząc, boż srom tak łągać, ale widzę, że to ze szczeroci łąż, z czystego zaparcia kłamią jak najęci i nadzieić się nie mogę jakoż to sama szczyra cnotliwość, dobra wola a zapał ku Lepszemu mogą się tak załganiem paprać, wszelkim grzdyciem i wyplotem ślinno-językowym? Bo mówią, że uroki rzucał i od niego myszy mleko traciły, że był zezowaty, legawy, kuc garbonos i platfusa miał, a jakoż z Platfusem ku Ha. Sf. iść!?

A Rogowy zapisuje, wtórzy, basuje, wszelako zaraz potem przy próbie, patrząc, coś ku nam człapie z wolna, my się w melodyi chować staramy, a tu od Łapy cień, i najpierw tego małego Dzwonkarza, co pierwszy zaczął, Cap, za hajdawery, a drugą łapą czellistę; co przeciw cwikierowemu tyle się nahałakował, Hap, za kubrak, i obu, nogami majtających, niesie i zamyka się w szafie i słyszę przez Andante nasze Maestoso Chrup, Chrup, Niam, Niam! I tyleśmy obu widzieli.

Gramy, lecz rozłązi się granie nasze, bo ciemno przed oczami. Da capo al fine! - Rogowiec woła. Źle, jeszcze raz! Gramy, orkiestra jak wejdzie, to ciarki po krzyżu, pełny to dźwięk i ton, lecz w szeregach tych ciarek jakieś inne, niemuzyczne czuję, a jeszcze myślę nuty, bo mi się robi oczopłas od ciągłego łypania w ką. Idzie forte, grzmi miedź, ale jakby dygotką podszyta, a Goryllium szafę otwiera, wietrzy, na progu siada, beka głośno, odbiło mu się Dzwonkarzem, o mocny Boże, o Harmonio Sfer! A od beknięcia, bo od czego, zjechały w fałsz smyczki, a pianista jak nie zamłóci drżąca skośną trzęsiączką! Kapelmistrz rogowy krzywi się,

jakby żabę zjadł, och źle, takie instrumenty, i źle, sknocone, ohydancja nie muzyka, nie wstyd wam, lenie, hultaje, jeszcze raz! I wyklada nam teoretyczne wytyczne z za pulpitu, i rozdaje nam witaminy i odżywki, i przynoszą kalafonium w beczułkach zagraniczne, specjalnie sprowadzone, nie żałuje ekspensu Gról Jegomość, lecz znowu fałsz w skos i powołuje się Komissyą Naukową w Permanencyi. Radzi Komissya i co postanowi, to migiem jest. Wchodzą czwórkami szamerowani dźwiękocjanci, stają po prawicy i po lewicy naszej, i kto sfalszuje na fis, temu premię precz, a kto na mol, temu grzywna. I gramy forte, ale fałsz, więc szturchają nas dźwiękocjanci, bo każdy ma akustrofonik i metronom, i od szturchania ogólnego symfonia słabnie i słyszę więcej łupucupu niż tralirali, i widzę, że w niemałą opresję popadłem przez mój pęd ku Harmonii Sfer, bo głowa cała guzowata...

Mało dźwiękocjantów! Przybywają posiłki rachmistrzów melodystów ćma buchalteryjna, każdy grajek dostaje umyślnego dla kontroli czystości dźwięku, i liczą nasze tony, jest przychód i rozchód, i budżetowanie melodii i piszą, od skrzypienia piór muzyki mniej niż kot napłakał. O, coś nie tak! - rzecze rogowy kapellenmayster. - Nie tak! I dzwonek brak. Gdzie Dzwonkarz, gdzież znów szczel? Dalsi, co siedzą, w śmiech, a bliżsi w kucki i miamlają: a nie, faktycznie nie ma, może rozsiąkł się, hehe? Może na melodii uleciał? Co na to zwierzchność? Źle, pewno, że źle jest! Zbrodzień, bylina, bambosz, padalec, zbieżał, odczajduszył się renegat, pies itd.

I urządza nam dyrygent naradę z zajęciami praktycznymi. Dogłębnie trzeba przyczyn fałszowania dygockiego szukać! Tak wszyscy mówią w krąg: Coś, prawia, jakby deranżuje nas. Cosik, rzeką, dywaguje. Co też, głoszą, wpływem-miazmatem przeszkadza nam i z drogi ku Ha. Sf. spycha? Czellista rzecze: Być może, nie dość powietrznej wentylacji nam? Wiolista na to: Ja sądzę, że zbyt silne cugi. A kto wie, może ja nazbyt wiołę moją zwiolowałem i wiołatką moja wiola jest? Moja wina! A inni szemrzą: Być może, nie wiadomo, zbadajmy całą salę, wykusze, kąty, może myszy zaległy się, i może to ich boimy się podświadomością naszą bezwiednie? Idziemy tedy szukać cugów i wentylacji, zatykamy każdy otwór, szukamy też myszy, na czworakach, z łupami, aż znalezione zostały trzy karakony, jeden pajak, sześć pcheł i dwa tuziny wszy, skrzepieni znaleźnikiem spisujemy protokół, i dalej szukać, teraz z latarkami ślepyimi pod podium i w każdym zakątku, widzę wszelako, do Szafy na sześć kroków nikt się nie przysunie, ja łażę w kucki z innymi, kąty obniuchuję i niby z zapamiętania powoduję ciżbą, sam siebie z

innymi ku Szafie popycham, lecz tu jakoby prąd, jakoby nam wetknięto lont, wszyscy jednym drygiem jak dyabeł od święconej wody odstrychują się, mamrocząc: Ano, ściana. Wiadomo, ścienna ściana, w takiej prócz cegły, zaprawy, piasku, tynku, wapna nic nie może być! A gdym próbował pociągnąć, prac, ktoś mnie, czuję, odpycha, a ktoś mnie w zadek ukąsił. I jużemy się przekulgali na spokojniejsze miejsce. Jeszcze mi ktoś wraził przy kulganiu palec w oko. Dorozumiewam się tedy, że wybornie postrzegając, zgoła nic nie postrzegają, że widząc jasno, niczego nie widzą, i bardzo zdziwiony tym urządzeniem oddalam się w kucki.

Gramy, a Goryllium panoszy się. Tego, to znów owego Cap, myślę, nie będzie tu muzyki wiele, bo skrzypka łka ach tralala, a jakoż grać, gdy w każdej chwili może cię paszczeka smrodna pochłonać? My pianiotko-pianissime i oczy już mgłą zachodzą, a tu cuch dechu, duch na karku, nozdrza węższą nad nami - w muzykę, wskutek swej barbarzyńskiej natury i ogólnego nieporozumienia wważuje się, czy jak? I co z tego, że instrumenty dźwięczne, gdy Goryllium wciąż nas degustuje, pożywia się, a Gról przychodzi do łoży i mówi: No, owszem. Melodia poniekąd nawet melodyjna i dość jest też harmoniczna ta harmonia, lecz nie dość ducha jeszcze w niej. Bez Wiary Grają, na wyprzódki, nie trzyma się toto kupy, nie dość to Autentyczne jest! I jeszcze ten jakiś warchlakowaty dygot. Co za dygotki jakieś drżączkowate w muzyce tkwią, psują od samego środka symfonię? Nuże, zaorderować mi Sprawnych, a resztę fora ze dwora, i w ogóle ruszać się, gitarzyć, zgrzypcić, zdrunić, mandolić, dmuchać, ale w krok i w ton, bo Gról pogniewa się! Wziąłem tedy na odwagę i w przerwie między Andante a Allegro Vivace mówię do Kontrabasisty, który obok siedzi, że to nas obu jego duży przyrząd osłania: Słuchajcież, Wasza Mość, A on mnie: Co? Ja: Zali widzicie cokolwiek w kącie tym podle Gróla Łoży? On nic. Ja: Zali Kąciarza nie postrzegacie? Nie może to być! Widzi mi się wykapanie Goryllium! Toż do nas bucha jego swąd! O, właśnie czka! On nic, lecz patrzę: jakiś cały zamazujący mi się w oczach. Ja mówię: Waszmość przecie nie bielmem ani kataraktą obustronną porażon, a jeślibyś nawet modzelaste nagniotki miał na oczach, dosyć nosem westchnąć, a czujność okazać własnemu węchowi, żeby się smród ujawnił. To nad nami nie kopuły cień, lecz Nosa Gorylliumowego, a to nie słup, lecz kiel, wszystkich ono po kolei pożre nas! On nic, jeno w oczach cały mi się rozmazuje i widzę, że go Dygot wziął. Lękowie nim tak trzęsie i jak febra rzuca nim, lecz rzecze: Istotnie niezgorzej grałeś, lecz gdy ja dochodzę do Trelimelidyribudidam, musisz nie Łudabarabam, lecz Łup, Dub, Daram! I gdy mi to mówi, jednocześnie słyszę, mówi też: Na

Boga żywego, milcz waść!! A gdy tamto ustami mi mówił, to drugi gdzieś dołem jakby od pasa, i widzę, że brzuchomówi do mnie tak! A teraz, rzeczę górnio, już nie gadajmy wcale, bo pora dalej grać...

Przyglądam się i widzę, że każdy tu tak: w krąg powszechne brzuchomówstwo panuje, a jam myślał, że kruczenia i burczenia ze strachu! Wsłuchuję się tedy coraz niżej, aż na wysokości pasa słyszę coraz lepiej. I mówią brzuchy: Oj, niedola, niedola, byłaby nam wola! Hej, bo już w krzaki goni każdy od Harmonii! I szepcą brzuchy: Gról Zbawnucy bez onucy, pierwej się zesika, nim będzie muzyka. A także: Cicho sza i siedzieć w kucki, bo tu chadza Ktoś Nieludzki, fiku- miku na patyku nieprzyjemnie być w przelyku. I gadają brzuchy do siebie: jakież tu piękne granie rozlega się na nerwach naszych! A jeden brzuch powiedział, że może mu się przejemy albo może przejdzie na wegetariaństwo z upływem czasu, boż czas wszystko moderuje, lecz zaburczały nań inne brzuchy wraz. Równocześnie zaś mówią górnio: No, nieźle, prawie że cudnie dziś, aby do Ha. Sf. już niedługo, niedługo... niech ino smyczki tempa nie traca! Albo to nam tu źle, hopsasa kielbasal? Widzę też, że mają różne zajęcia pokątne, ten na grzebieniu ładnie gra, ów na źdźble trawy koperczaki wygwizduje, puzon znaczki zbiera i lży tym ociera, monogramy haftują, obcych języków się uczą, aż tu człapu człap i Goryllium idzie, blady strach, lecz tylko trawkę, grzebień, znaczki zabrało i w szafie Chrup, Niam, Niam. Przy okazji puzonista dostał prztyczka, wodą gulardową i serem oczy podbite okłada, mówią brzuchy, trzebaż mu było o tych onuckach nucić, posady by pilnował, i co to takie podskakiwanie brzuchem! Cicho, cicho... I w samej rzeczy tak cicho szepcą, że nie wiem, czyj to brzuch gada, waltornista sprzedaje proszki na uspokojenie i od bólu głowy, bas łapie mole, co się w bębnie zaległy, triangiel uczy, jak drapać się między łopatkami i niżej, to ciarki nie tak dokuczają, dalsi donoszą na siebie, miało być fis a grał mol, kapelmistrz apeluje o czystość lejtmotywu, mol, durniu jeden, be jak koza, partytury nie widzisz? - kurz się podnosi, bo się smyczkowi skopali o butelkę do prywatnego grania pokątnego, melodia ginie jak myszy pisk, może naprawdę myszy, bo skądby ten piki dzisk, to jest dziki pisk?? O tak, wciąż fałsz, od nudy do drżączki i od rozsklamrzenia ślamazarnego do dygotki, z rana pucowanie instrumentów ściereczkami, kalafonia w ruch, irchą bęben na wysoki glanc, aż lokajczyk przybiega i sunie Rogowemu zapiskę, ten zaś rzeczę: A, wezwanym na Ministerialną Naradę gwoli Generalnego Motywu Przewodniego, bo nieczysta wasza gra, odraczam próby do wieczora!

Fagot, co był mu już właśnie kopertę podawał, taki tu zwyczaj, jakby się rozmyślił, bo ją schował do kieszeni i poszedł na miejsce z powrotem. I przyszedł nowy dyrygent, bardzo bystrooki, bez szkieł, za niego komissye wykryły, że trombonista ukrywał co lepszy dźwięk i nie wydatkował go podług właściwej rubryki, więc do Łoży go przenieśli i został Podsekretarzem Stanu Gruszek w Popiele, a u harfiarza skonstatowano uschłą dłoń i jeszcze się pokazało, że nie umie nut czytać, więc go przenieśli do fortepianu, żeby się nie zraził.

Znowu przyszło na inspekcję Goryllium, zaaferowałem się i zamiast w bęben jak się fortissime nie prasnę w nagniotek na małym palcu, o jerum, jerum, świeczki we wzroku, oczy w słup, nogi w skos, bo słyszę Człap, Człap, Chrup, Niam, zerknę, a tu nie masz już, nie masz flecisty! A zjadło go w samym środku Koncertu Galowego, przed Grólewskim Majestatem przy brylantowym żyrandoleniu świetlistym, Zbawnucy Miłościwy nie w Pidżamie, lecz w Gronostaju siedział, cóż, myślę, na oczach grólewskich i to pożywać nas śmie, teraz to nie może inaczej być, tylko zahałakują, jak ci się tu nie skrzykną, może na kolana padną, może w rozsypkę pójdą, może hajda na potworę, lecz żeby nic, to nie do wiary, lecz właśnie, że nic a nic! Od tego wszystko poszło, bom się zalterował tak, zem więcej po łydach i nagniotkach się tłukł, niżem w bęben trafiał i z takiego bicia wzbierać poczęła we mnie wielka passya, czuję, że jeszcze żdziebko, a dalipan nie zdzierzę, już mi wszystko jedno, boż jasny gwint, mało że żywot bez nadziei a pomiłowania, to i bez muzyki, bo jakaż tam muzyka z Goryllium na karku. Ot, przerznąć by te instrumenta smyczkowe, a dynamitu do trąb, prochu do waltorni, i lontów, ale gdzie tam, piłujemy do wieczora.

Lecz koncert Dworski znów. Orkiestra rżnie i huczy cała, a Goryllium jawnie przykucłe iska się, w otchłannej mordzie swojej paluchami gmera, czasem jak siąknie, to wysiąkane deszczem na nas, ciemniej się robi jak w majową zlewę, a jak kichnie, to by piorun strzelił, orkiestrę głuży w forte, ale dalej grają. Skrzypka kwili, waltornia mdleje, trombony dydlum dydlum na badydlum, a tu przede mną paluchy czarnowłochate Cap i nie masz Kontrabasisty, choć się tak strzegł a pilnował, i jakaż to muzyka, gdy my wszyscy Pólmisek z Przystawkami, a Gról w łoży siedzi wachlowany, szanowany, umajony, i przez zęby mówi: Jeszcze nie ta muzyka, co ma być. Jeszcze nie ma Wiary, Prawdy, Nadziei, Miłości, a też Harmonijnej Melodyi Dziejów! Wzwyż, śmielej, w przód, czemu Kapellmaysterium tak gnuśno wywija, choć Bez Szkieł i Bystrooki!? Prędezej! Lepiej, chyżej, bo Gról niezadowolon, Bando

powątpiewająca! Jak śmiecie powątpiewać w Ha. Sf.!? Hm? Może temu bliżej przyjrzymy się? He? Niechay śmiało, dzielnie, bez bojaźni, Łekowia wyzna to Nam, My Majestat Łaskawy, My Koronność Ufna i Ufająca, niech wstaje i gada taki pies, taki syn, czemu Doskonałość podgryza i fragilizuje? My mu za to nic, my perswazyą-małmazya, my mu z dobrowoli wytłumaczymy, gdzie raki zimują! Cicho, jak makiem zasiał, nikt nie drgnie, jeno Goryllium z nagłą HABDZICH I HABABDZICH DZICH DZICH!!! - że się zatrzęsała sala cała, i dały kolumny marmurowe z siebie stęk, i w moim bębnie echo się ozwało, i nieco tynku poleciało nawet na najjaśniejszą koronowaną głowę Gróla Zbawnucego, i przykurzyło majestatowi łeb. Lecz Gról jak gdyby nie przyuważył nic. Nie usłyszał i nie drgnął nawet. Każdy z grajów wkucnął się w siebie, gdy zagrochotało piorunnym gromem owego Wykichu, a Gról nic. I myślę: O, straszna to afera jakaś! Nie może Gról sam Goryllium Kąciarskiego nie widzieć, a nie widzi przecie. Nie mógł na własnym łbie koronnym Wapna, Tynku nie poczuć, a przecie nie czuje nic a nic. Więc cóż to znaczy? Kto tu sługa, kto tu pan? Goryllium jestże Zębatym Kappellmaystrem Gróla i na ostatni kęs go ma, jego na wety zje? Czyli też tajnym są oboje aliansem powiązani przeciwko nam tutaj? Nic nie rozumiem, jeno wiem: Drapaka by dać, im prędzej, tym lepiej, lecz jak?

Po drugiej części koncertu wyszło Goryllium w przerwie z Szafy i między nami się przechadza. Znudzone jakieś, czy co? Ogłaszają nagrodę, nuż graycy raycować, o głos proszą, krytykę czynią dogłębną, a Goryllium jednemu uszy obwachało, drugiemu poprawiło krawat, trzeciemu zjadło maszynopis referatu, że skonfundowany przycupnął zaraz, a też idąc, spluwało do spluwaczek srebrnych, a może przez omyłkę i do puzona napluło też. Lecz krasnomówcy gadający dalej młóca o Ha. Sf., aż im pot się z czoła leje, grać, co to, to nie, grać nie mogą, atoli jakże cudownie, z jakim wiary pełnym w Ha. Sf. Natchnieniem potrafią o grania perfekcyi rozprawiać! A gdy mi owo gadanie ichnie i gdy chodzenie, sapanie i czochranie Gorylliumowe zajechało w bok pod ostatnie żebro, poczułem zadyszkę, mrok w oczach i poprosiłem o głos: a Gról Jegomość z łoży przyglądał mi się, jako iż protegował naradę i osobiście Raczył ją Obecnością Najjaśniejszą uświetnić. Wstałem z tą myślą, że gdyby opisy muzyki mogły dźwięczeć, niechybnie rozpościerałaby się w Hafnie wcielona Sfer Harmonia; i poczułem, że w hazardowym jestem stanie, i w powszechnym Silentium powiadam w głos: A co to za zmosfera-potwora kręci się tu i pałeta na kabłakowatych nogach, i kusztyka, i drała, że wprost niedobrze się robi od samego

widoku? A jakimż to prawem ten Kąciarz z Szafy wciąż penetruje nam muzykę i takową zanieczyszcza paskudą swoją, a też obżarstwem? A jakżeż to można zacnych muzykantów na surowo żreć, aż się łuskowate uszy trzęsą a grdyka chodzi? A któż to widział, żeby komissye i doktorzy hab. cich., i uczone ekspertyzy, i rewidenci, i kontrrewidenci, i mikroskopy na kopy, a nikt nic, ni pary z gęby, jeno w kucki a w kucki? To ja tu teraz powiadam Weto, Grólu Zbawnucy, i Weto, panowie bracia, i Weto, czyli nie masz zgody na ciebie, Kąciarzu Bezecny, i póki ciebie, tędy tu g... będzie, nie Harmonia Sfer!!!

Co się działo, mości panowie! Jedni usiłowali wleźć do instrumentów swych, żeby się chować, wszelako pojmujecie chyba, że o ile to było jeszcze do pomyślenia przy kontrabasie lub pianoforcie, ani mowy z fletem, a już tryanglista, wryrując, łeb wraził w sam środek tryangla, który mu jak obróżka na szyi wisiał i dzwonił jednym ciągiem od jego zębów szczekania. Drudzy włązili znów pod fotele swoje albo drapali podłogę, by dołek sobie wykopać, ale jaki tam dołek dla strusiej polityki, gdy tu dębowy parkiet! Blacharz talerzysta, tył sobie talerzami osłoniwszy, bęben mój duckał głową, bo do środka go parło, lecz importowana błona grzeczna zdzierżyła. Kapelmistrz, aby mnie zagłuszyć, jednym ciągiem prał paliczką swoją w pulpit, kwicząc jak prosię andante ante rante mante adamante tante, bo mu się już wszystko pomieszało, a Gról Najjaśniejszy w Łoży swojej koronnie honorowanej prędko coś zaszeptał lokajom, sługom, i nuż ci zasłonę zasuwac, aby go brokatem, adamaszkiem, złotogłowiem herbowym oddzieliła od nas, zasię Goryllium zrazu nic, jeno ćpało a mlaskało dalej, bekając, bo mu się jeszcze arfistą odbijało, że dosyć był w sobie tłusty i masny, aż dopiero potem przywstaje i odzywa się chrapliwie, wstrętne i grubawo:

- Ka-błą-ko-wa-ty? Niby kto? Mo-ja-wiel-moż-ność?! Ach?! Jam tu podan w niehehehe (zapłakał) sławę jest? Jam tu pomóhuhuhu (zapłakał) wion o coś brzydkiego jest? Nikt mnie do obronyhyhyhyhy (zapłakał) słowem nie pospieszy? O! jasny gwint! Ratujcież mnie sirotę-bidotę, bo tu mnie obrażają, mnie tu despekt, mnie tu impertynencje, mnie tu krzywda się, mnie tu źle, ja do mamy, do niani chcę! Ohohoho! Uhuhuhuh! (płakał już jak wodospad w burzę) - ty, wstrętny wszarzu-bębniarzu! Ty nie-kul-tu-ral-ny bambidolu! Ty boćwi-no! Ohoho! Nie kochasz mnie! A ja myślałem, że mnie tu wszyscy, wszyscy kochają! Zdziwienie mi zrazu mowę odjęło, potem atoli wzięłem na odwagę i rzekę: Mości Goryllium! Zaiste trudno kochać tego, kto jako Kąciarz Szafon z

pokażnej Szafy wciąż wyłazi potworem, wyłaniając się jak żbik na owce, gnaty łamie, puzonistów żre, flecistami zakąsa, nie mogę tedy pojąć, jakoż nie dostrzegasz swej kanibalno-muzykalnej zbrodniczości? A wy - mówię - panowie uczeńcy, fraczni, tabacznicy, brodanci, i ty, smokingowy doktorze hab. cich. z fajką, nie naukowa wasza nauka badawcza! Metronomów ponastawiali, rezonatorów, abrakadabrów, szpilcajgu, mąkę w powietrzu rozsypali, niech ta wisi, polatując, ukaże Węzły Stojących Fal! Ekspertolizy piszecie, duch i ciąg metrem mierzycie, a Goryllium nie widzicie! A Gról Jegomość niechaj raczy firancję swoją odsunąć i wyjaśnić poniekąd, w jakim charakterze tu się konsumpcja na miejscu odbywa jako też na wynos do Szafy!? Albowiem w hazardowy stan wszedłem i już mi wszystko jedno. Uczeni, widzę, wyciągają tubki z syndetikonem i już próbują używać Specjalnych Słów jako to Delirium Bębniariorum, Wariatuncja Musicalis cum Hypnagogica Confusione Debilitatissima, lecz wtem Goryllium jak nie ryknie w głos! Słowy płyną mu rzewliwe, aż strumienie poszły po stopniach amfiteatru, i jak nie skoczy jednym gorylskim susem ku Łoży Grólewskiej, jak na sznurach nie zahuźda się, jak nie targnie adamaszkowego brokatu - sam Majestat w Konfuzji objawił się, ponieważ w kątku kucał i ekstraordynaryjną konsultacją kucaną przeprowadzał właśnie z Radą Ministrów, gdy tu Goryllium łeb wraża i - ratuj mnie WGMOść! - woła - ratujcież mnie biedaka spotwarzanego, a nie, to sobie zaraz pójde i już nie wróczę!!!

Gról zerwał się na te słowa i wołał co siły: Tylko nie to, nie to, Kochana Opoko, Przyjacielu Drogi, Podporo nasza Tylko nie TO! Zróbże sam, wiesz co, racz pojąć, Łaskawco, że mnie się tego rzec w mojej Miłosierności Pluralnie Majestatycznej nie godzi, aleć cóż tobie.

- A nie! - Goryllium na to, nosem pociągając straszliwym, aż smarki po kosmatych licach cieką. - A nie! Jam w służbie WGMOści czynił, co czyniłem, podług listy personalnej Umyślnym z Łoży przez Lufcik do Szafy zaekspediowanej, w uzgodnieniu wrywałem i ewentualnie konsumowałem, lecz Nader Niechętnie, bo ja się Muzykusów Brzydę i jak mi, Jerum, życie miłe, ani na Tycio bym żadnego nie posmakował! Wszystkich a wszystkich ja ze wstrętem, wbrew własnej Naturze, na przekór sobie a jeno dla Tronu, Ojczyzny i Wyższych Sfer jakichś tam, albowiem nie pamiętam jako nieuczony, jak je zwać, i nie dla prywaty żołądka, zdrowia, wątroby nie szczeniłem, choć się we mnie od tych łyków łykowatych żółć zapiekła i rozstrojum się nabawił, i zgaga mnie wciąż pali, wszelako trwałem na posterunku, więc domagam się, aby ten Drab z Bębnicą za pohańbienie mojej poczciwej z gruntu, oddanej i

Dobrej Osoby zaraz został przez WG Mość własnoręcznie ukarany srodze, a nie to sobie precz pójdę i obaczysz, Miłościwy Panie, co się wtedy z twojej Muzyki ostanie!

Nuż Gról upraszać i błagać, głaszcząc wielebnyymi Rękami Potworę po łbie kołtunnym, nuż Szafon Kąciarz wisząc na Draperyi (którą oberwał z częścią futryny), odmawiać a subjeckje robić i droczyć się przy podkreślaniu drażliwej subtelności swej duszy, aż mnie zdumienie zatchnęło. A Gról szepce: Wiesz co, Mości Opoko Moja, Wierny mój Oddańcze? My chwilowo teraz tego Draba razem z jego łgarstwami łaską monarszą pomilujemy i my mu Crimen Laese Gorillionis chwilowo odpuścim, jako że zaraz niechybnie swe wydumane zniewagi odszczeka, owszem wyzna swą niegodziwość i uświadomi tu obecnych, jako działał w charakterze Dywersyonaryusza, z ościennego poduszczenia, za srebrniki Judaszowe, i miał za zadanie Melodyę Zwurdzić, a Harmonię Sfer skalafiorzyć i tym sposobem unicestwić! Mówi tak, a zarazem mruga usilnie do Szafona, pojmuje tedy w lot, że przebaczeństwo jest jeno odroczeniem kaźni, toteż wołam, bębniąc w cenzurach: Potwór potworny jest! Potworowatości pełen jak wszy miodu, a nadto śmierdzi jak Wszyscy Dyabli! I gdyby nie żarł nikogo, jeno czkał i pokątnie kącił się w kącie, od samego cuchu muszą dyabli Muzykę wziąć! To mówię i nie odszczekam niczego jak mi Bęben miły!

Impas kompletny.

Orkiestra wyłazi z basetli, trombonów, fortepianów, spod kanap, ci jeszcze z nawyku uszy zatykają, tamci już głowy zaczynają podnosić, a brzuchy ich jako dzielniejsze, choć plackiem leżą, odzywają się: Faktycznie żarł, żre i kto wie, czy nie będzie dalej nas żreć! I w samej rzeczy zalatuje, że niech ręka Boska broni! Goryllium zasię, durne jak but, nie pojęło chytrności, zatajonej w Grólewskim przemówieniu i rzecze: Ach, och, mnie tu obrazy spotykają, na takiej wyrypiem tu pół życia-zdrowia sterał, a teraz taka mi zapłata, dość szkalowania mam, idę sobie precz i hen, gdzie oczy poniosą!

Zzieleniał na to Gról. - Dlaboga - woła w największej rozpacz - a co z Ha. Sf. będzie!? Miej, Luby, na uwadze Harmonię Sfer, wszak my ku niej ramię w ramię, a Tyś sól tego ruchu...

- E tam - odpowie ciemne Goryllium - dyć powiedziałem swoje, a teraz to się Wasza Grólewska Mość sam już z muzykantami użeraj!

I zmierza w bok, wprost ku wyjściowym drzwiom. Gról na to sam jak małpa po portierze się na parter osunął i w dyrdy za nim, o tren i płaszcz się potykając. - Jedyny, miły, wierny! - woła - Nie opuszczaj Nas!

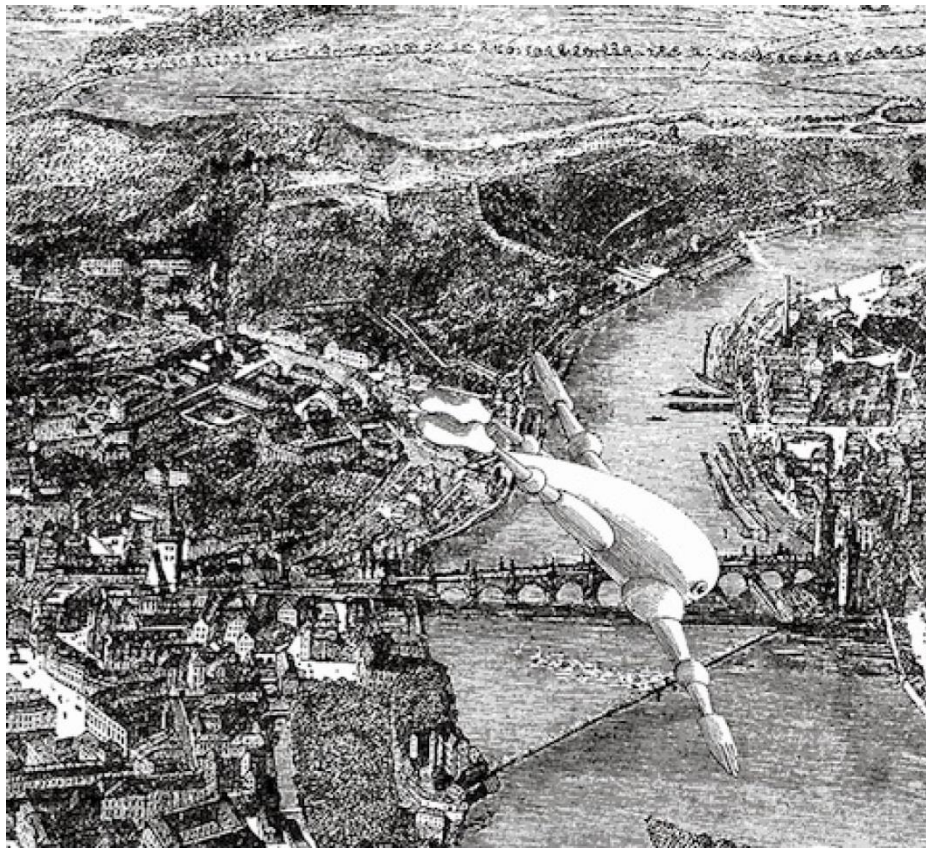
Bębniarza na rozkurz puścim, tylko wróć i przebacz!

Goryllium tędy, Gról owędy, i gdy oni tak między kolumnami wykonują kryzys rządowy, a Rada Ministrów za nimi gna, przy czym pod Sekretarzem Stanu Odmiennego oberwał się złoty sznur z kutasami i w głowę go dziaknął, aż mu medycy grólewscy ona szyć musieli, gdy taki uczynił się rwetes, ja wzdłuż ściany do halebardystów, ci zaś wpatrzeni w grólewsko-kaściarskie przytupy świata nie widzą, więc do klamki, buchnąłem w sień, i podle cudnych instrumentów ku zewnętrznej uchylonej bramie, więc kiedym dopadł progu, panowie bracia, takiego Napędu dostałem, że bez forsazu, więcej powiem, bez rakiety zgoła wystartowałem, i tyle mnie widzieli, wszelakom kursu nie mógł utrzymać, bo mną wciąż jeszcze trzęsło, toteż naleciałem łbem na jakowyś Obłok nader zimny, i w pierwszej chwili nawet mi się przyjemnie uczyniło zgorączkowanemu, potem złapał większy ziąb, aliści od impetu nie mogłem się już cofnąć i wmarzłem w ogon komety onego, lodowaciejąc i tracąc wszelki zmysł. A co było dalej do samego ocknięcia mojego, dalipan, że nie wiem!

Skończywszy, dobosz przytulił do piersi miły bęben i jakby sobie tylko a muzom z cicha wyprztykiwał na nim tęskny, egzotyczny motyw. Słuchacze jęli się ruszać, aż Trurl rzekł:

- Niezwykła była to historia i rad jestem, że dzięki dobremu trafowi takiego artystę udało mi się wyzwolić z lodowatego więzienia! Wiedziałem, o, byłem pewien tego, że spędzimy wspólny czas ze znacznym pożytkiem, ponieważ każdy z nas, pochodząc z innych stron, może nas inaczej pouczyć i zabawić - wszak jedno od drugiego nieoddzielne! Wszelako teraz już czas przyszedł na ciebie, szanowny Androidzie, bądź więc łaskaw opowiedzieć nam, jakie fata sprowadziły cię na ten skromny glob...

Android nie opierał się, a tylko zastrzegł, że jego historia nie może równać się opowieści dobosza, jako iż nie jest artystą. Tu dobosz, Trurl i maszyniátko jęli go zapewniać, że walor różnych losów musi być z konieczności nieporównywalny, więc już tylko nieznacznie pocertoliwszy się ze słuchaczami dla samej przyzwoitości, gość pociągnął z bukłaka, odchrząknął i zaczął swoje.



OPOWIEŚĆ DRUGIEGO ODMROŻEŃCA

Radzi stajemy w tak szlachetnym zgromadzeniu, by opowiedzieć naszą historię, choć jest ona tajemnicą państwową. Wyjawimy ją, gdyż powoduje nami wdzięczność silniejsza od racji stanu. Ten kielich pełen zamarzęj na kość cykuty, który dobroczynny Trurl wyłuskał z naszej zgrabiałej prawicy, nie jedną miał pozbawić życia istotę, lecz ich miliony. Myśmy bowiem nie ten, za kogo nas bierzecie. Ani my robot, ani chandroid, co lekkomyślnie sięgnął po truciznę, ani wreszcie pierwotniak zwany człkiem, jakkolwiek istotnie powierzchownością patrzymy na tego ostatniego. Nie tak jest przecie. Nie przemawiamy też do was w liczbie mnogiej od zadęcia w Pluralis Maiestaticus, lecz z gramatycznej konieczności dziejowej, którą pojmiecie u końca naszej opowieści.

Zaczęła się na błogich wybrzeżach planety SIEMI, niegdysiejszej ojczyzny naszej, nader płodnej, jak wskazuje nazwa. Powstaliśmy tam właśnie, sposobem, nad którym nie warto się rozwodzić. Przyroda stosuje go bowiem powszechnie, mając odwieczną skłonność do autoplagiatów. Z morza muł, z mułu pleśń, stara to pieśń, z pleśni rybki, co powyłaziły na ląd, gdy im się ciasno w wodzie zrobiło, a wypróbawawszy na suszy moc chwyków, przysssały się gdzieś po drodze i tak powstałe SSAKI doszły kuszykaniem sprawnych chodów, a wzajemnym utrudnianiem sobie życia - rozumu, gdyż rozum jest od kłopotów, jak drapaczka od świądu. Wlazły potem pewne ssaki na drzewa, a gdy drzewa uschły, przyszło im zleźć w niemałej biedzie i od tej biedy jeszcze zmądrzały - niestety po zdradziecku.

Nie było już drzew ani nic jarskiego, poszły więc na łów, a raz obgryzając udziec, jeden spostrzegł, że u niego już goła kość, a u drugiego jeszcze mięso, dał mu więc kością w łeb i zabrał mięso. Był to wynalazca maczugi.

W niewiadomy czas potem powstał Zakon. W kwestii jego powstania rozwinęła myśl siemiańska osiemset różnych poglądów. Co do nas, sądzimy, że Zakon powstał, by uznościć byt, skądinąd nie do wytrzymania. Źle było naszym praojcom, o co żywili pretensje - lecz jak tu żywić pretensje do Nikogo - więc w pewnym, nader subtelnym, sensie Religię urodziła nam sama gramatyka wsparta wyobraźnią. Jeśli tu niedobrze, to gdzieś indziej dobrze. Jeśli nigdzie nie można znaleźć tego miejsca, to ono tam, dokąd nie zajdziesz na nogach.

Ergo - grób to skarbonka. Złożysz w nim cnotliwe kości, to będzie ci

wypłacone w zaświatach odszkodowanie z nawiązką za wstrzemięźliwość w wiekuiestej walucie z Bożym pokryciem. Łamali jednak nasi praojcowie po cichu ów Zakon, bo nie wydawało im się całkiem sprawiedliwe, żeby wszystko najlepsze miało być zastrzeżone wyłącznie dla nieboszczyków. Zastrzeżenie to odtłumaczyli nasi teologowie na trzysta sposobów - pominiemy to jednak, inaczej nie starczyłoby na naszą opowieść i tysiąca nocy.

Przodkowie nasi ułatwiali sobie znój różnymi kruczkami i machinacjami, od których poszły maszyny machające za nich cepami, a skoro cepami to i kołami, a skoro kołami to i bitami - w czym tkwi silny skrót, skądinąd wskazany. Pomniejszając tak swoje biedy, dowiedzieli się przy okazji, że Siemia jest kulista, że gwiazdy to supły trzymające w kupie firmament, że pulsar to gwiazda z czkawką, a Siemian porodził muł - co się dało nawet powtórzyć w umyślnych wylęgatoriach już w trzydzieści tysięcy lat od skrziesania ognia.

Cielesny trud oddało się zatem w arenę różnym samobiegom, których można było i przeciw sąsiadom używać, pozostała jednak uciążliwa praca umysłowa, wykoncypowaliśmy więc zmyślny za nas przemysł, jako to myślniczki i myślnice mielące świat na cyfry, a w zmełtym odcedzające ziarno od plew. Najpierw budowało się je ze spiżu, lecz nad tymi trzeba było stać, a to także męczy, wyhodowaliśmy więc ze zwykłych bydła myślodajne liczydła, co pędziły żywot przy żłobie na zadanych im komputacjach i medytacjach. Tak dorobiliśmy się też pierwszego bezrobocia.

Wyzwoleni od znoju, mając mnóstwo czasu na rozmyślanie, zauważyliśmy, że nie jest ze wszystkim tak, jak miało być: brak biedy to jeszcze nie rozkosz. Wzięliśmy się zatem do praktykowania Zakonu na odwrót, próbując każdego z wymienionych w nim grzechów głównych już nie ze strachem i skrycie jak dawniej, lecz hardo, publicznie i z rosnącym rozsmakowaniem. Próby wykazały, że większość tych grzechów jest mało apetyczna, skoncentrowaliśmy się więc u zarania ery Nowożytnej na obiecującym najwięcej - a było nim Oblapianie, czyli Łóstwo, w jego specjalnościach jak cudzołóstwo, wielołóstwo, samołóstwo i tak dalej. Ten dość ubogi repertuar wzbogaciliśmy racjonalizatorskimi innowacjami, od czego powstały kazidła, kochliwe kochery, płcennice - aż każdy Siemianin miał w swoim sodomostwie komplet rujnych maszyn. Nie w smak szło to Kościołom, przymykały jednak oczy, bo czas krucjat minał i było z nimi dość krucho. W postępie przodowało pierwsze mocarstwo Siemi,

Lizancjum, które w powszechnym głosowaniu przerobiło sobie skrzydlatego drapieżnika w godle państwowym na Pornopteryks - Sprośne Ptaszę. Lizańcy, nurzając się w dobrobycie, rozwiązywali wszystko, co nie było jeszcze całkiem rozwiązane, a reszta planety naśladowała ich w tym podług miejscowych możliwości. Dewizą Lizancjum było OMNE PERMITTENDUM, taka bowiem wszechzwolająca permisja leżała u podstaw jego polityki. Tylko mediewalista siemiański, co się przekopał przez nasze kroniki średniowieczne, pojmie należycie zaciekłość owych rewindykacji, był to bowiem istny odrzut zamierzchłej ascezy i dewocji. Jakoś mało kto dostrzegał, że dalej się pilnuje liter Zakonu, tyle że do góry nogami.

Twórcy zwłaszcza, wylażąc ze skóry, by nadrobić zaległości wiekowe, zakładali oficyny drukarskie zwane bluźniami, kłopotząc się tym jedynie, że nikt ich już nie prześladuje za śmiałość. Hymn młodzieży idącej na czele radykałów brzmiał, o ile sobie przypominamy, następująco:

W promiennym blasku
Miedzianych Czół
Wbijemy mamę Na pal,
na kół A potem tatę
Spiszem na stratę
Rzucimy w dół!
Za tatą mamę Za
mamą tatę Hej siup i w
jamę Amen!!

Życie umysłowe kwitło. Wydobyto z niepamięci dzieła niejakiego markiza de Zad wymagające szczególnej uwagi, wpłynęły bowiem na dalszy bieg naszych dziejów. Dwa wieki wcześniej kat wyświecił go jako pisuarystę, zbrudniarza, a dzieła poszły na stos, szczęściem przezorny markiz sporządził odpisy. Ten męczennik i prekursor Nowego głosił Czar Ohydy i Cnotliwość Nicnoty, bynajmniej nie ze względów egoistycznych, lecz zasadniczych. Grzech bawi czasem, pisał, lecz grzeszyć należy, bo to niedozwolone, a nie, bo przyjemne. Jeśli jest Bóg, należy mu robić na złość, a jeśli Go nie ma - to sobie: tak czy owak zamanifestuje się pełnię wolności. Toteż w powieści *Zmorjanna* zalecał koprolatrię jako kult łajna celebrowanego na złocie przy dziękczynnych chorałach, gdyby go bowiem nie było, tłumaczył, koniecznie należałoby je wynaleźć! Za nieco mniejszą zasługę poczytywał wielbienie innych odchodów. W kwestiach rodziny był pryncypialistą: należało wyciąć ją w pień, a jeszcze lepiej nakłonić do tego, żeby się sama wycięła. Nauki te wydobyte z otchłani wieków

wzbudziły podziw i respekt. Tylko prostytutki czepiali się słów, powiadając, że jednak de Zad WOLAŁ wzmiankowaną substancję od krewnych i bliskich - co jednak, jeśli komuś miłsza rodzina?

Zakłamanie tych krytyków zdemaskowali zadyści, uczniowie markiza i kontynuatorzy jego testamentu, opierając się na Teorii docenta Frońda. Duszoznawca ten wykazał, że świadomość to stek łgarstw na wierzchu duszy ze strachu przed tym, co tkwi głębiej („Myślę, więc kłamię”). Frońd doradzał wszakże kurację, sublimację i rezygnację, zadyści natomiast postulowali depaskudyzację przez użycie do przesytu. Zakładali więc rewelatoryny i nauzealne muzea, by folgować w nich sobie i bliźnim, a mając w pamięci to, co nakazywał de Zad, kultywowali tę właśnie część ciała. Jeden z wybitnych przedstawicieli ruchu, docent Incestyn Wichs, mawiał, że tylko Sempiterna Semper Fidelis - zresztą nic pewnego na tym świecie. Ponieważ mówiło się już wiele o ochronie środowiska, zadyści zanieczyszczali je na potęgę. Poza koprozofią pasjonowała umysły futuromancja. Na schyłku minionego wieku upowszechniło się czarnowidztwo, teraz wyśmiewane, boż za jedno miejsce pracy tracone wskutek robotyzacji, zyskiwało się dwadzieścia nowych. Powstawały wszak nieznane dziedzinom farchy, choćby orgianisty, deranzera-podręcznika (co umiał podręczyć na sto ładów), trzeciaka-trianglisty (ten dramatyzował na obstalunek życie rodzinne, tworząc tam trójkąt małżeński, gdzie go nie było), eksteriera i seksteriera (pierwszy był po prostu byłym psem, a drugi uprawiał sodomistykę, odmianę automistyki, czyli sztuki takich aktów strzelistych, które się same wykonują dzięki automatyzacji). Pod naciskiem mody nawet fizycy dorabiali swym aparatom pornoprzystawki.

Reformacja ta rychło wywołała kontrreformację, której rzecznicy, wszystko mając epokę za złe, dokonywali zamachów na banki spermy i brzydkiej pamięci ferrytowej. Obok takich wysadzantów działali abnegaci, propagatorzy Powrotu do Jaskini, jak Wszawel i Ćpawel zachęcający do niechlujstwa i żarcia byle czego, skoro wokół wszystko sterylne i smakowite. Co się tyczy płci pięknej, zbuntowała się totalnie. Przodownice ruchu wysunęły dwa nowe ideały kobiecości - dziwkożonę i świnksa - ażeby nawiązać po wyzwolicielsku do prastarych mitów. Od tego wszystkiego narastał chaos, większość Siemian pokładała wszakże zaufanie w nauce, która bez tremy badała każde zjawisko - ot, choćby orgianistykę sformalizowaną dzięki wprowadzeniu jednostek zwanych orgami (w wypadku nekrofilii były to morgi), rozróżniając subtelnie pomiędzy gzikim, gziarzem a gziacielem czy między naleśnikiem a

obleśnikiem, wszystko klasyfikując i niczemu się nie dziwiąc.

Miała zresztą nauka moc chlubnych dokonań. Toż w tym wieku tradycyjnej inżynierii pospieszyła z pomocą genżynieria.

Najpierw tworzyła niebywałe hybrydy (jak damy i jamochłona, z czego powstał Damochłon), potem wzięła na warsztat samych Siemian. Miłe złego początki - niedługo wybuchła Wolność Cieleśna, gdyż w genżynieryjnych biurach można sobie było obstałować ciało dowolnego kształtu i funkcji. Niektórzy dziejopisowie dzielą historię powszechną Siemi podług powyższego, na erę wojen idealnych, w której bito się o ideały, oraz na erę wojen somatycznych, w której bito się o właściwy standard cielesny. Zresztą nadal owocowały nauki markiza de Zad. Najnowsza kosmogonia utrzymywała, że innych cywilizacji kosmicznych nie dostrzeżono dotąd wskutek tyranii pruderyjnych wyobrażeń. Wyobrażano sobie mianowicie, że takie cywilizacje zajmują się udojem słońc, że konsumują gwiazdy z kramarską oszczędnością. Cóż za głupstwo! W naturze pierwotnego człeka leży, że nie kopie gwiazd, lecz kretowiska, bo na więcej go nie stać. Po to, żeby trwonić bogactwo i potęgę, pierwszej trzeba mieć jedno i drugie. Gwiazda to nie zaskórniak, słońce nie grosz na czarną godzinę, astrotechnik nie liczykrupa. Ilekolwiek by spożytkować gwiazd, zawsze pozostanie niespożyty bezmiar, samym ogromem urągający wszelkiej praktycznej rachubie - toteż Kosmosowi może dać radę tylko pełna bezinteresowność. Ślepym chaosom jego ogni należy przeciwstawić świadomą wolę perzyny. Zresztą jesteśmy już na tej drodze, bo czy nie rozbijamy atomów na drobne kawałki? Wedle stawu grobla. A zatem astrotechnika wysokich cywilizacji musi być orgią wspaniałych razów wytrącających ciała niebieskie z ich baraniego kręcka - dla satysfakcji, nie dla interesu. Firmamenty pełne są galaktyk puszcanych na rozkurz, co notabene tłumaczy obfitą wszechobecność kosmicznego pyłu. Bratnią inteligencję poznaje się więc z astronomicznego dystansu po niebywalej potędze kopniaków, jakie wymierza gmachowi Universum, właśnie tak dowodząc swej rozumnej w nim obecności. Nas jeszcze byle kometa zaś majtnie ogonem z powierzchni Siemi, byle mrugnięcie Słońca nas zgładzi, lecz my urastamy w moc, a nie Kosmos, toteż nadejdzie luby dzień, w którym odkujemy się i pokażemy braciom w rozumie, że nie święci garnki lepia, a może nawet, gdzie raki zimują.

A zatem Kosmos nie rozszerza się i nie rozpręża sam z siebie, tylko rozlatuje się na naszych oczach od manta, które spuszcza mu wysokie astrokracje.

Te naukowe rozważania zagłuszył grzmot nowej wojny światowej, w której konserwa cielesna zderzyła się z blokiem somatycznej wolności. Szczęśliwie działania wojenne nie pociągnęły za sobą większych ofiar, jako że porąbanych przeciwników scalały na polu boju doraźnie rezurekcyjne, czyli natychmiastnice pogotowia wskrzeszalniczego, przy czym wódz naczelny tamże udzielał indygenatu szczególnym zuchom, skąd wzięło się porzekadło, że ze szlachtunku ta szlachta. Obóz zachowania przyrodzonych ciał poniósł klęskę, co osłabiło światową pozycję Kościołów, bo się przy nim opowiedziały. I potem dochodziło do lokalnych powstań znanych jako rebelia biustnicza, insurekcja krzyżowo-pacierzowa, lecz bunty takie stłumiono i nastał - nie na długo - ład, gdyż przyszło do dyktatury rachubińskiej. Rzecz domaga się wyjaśnienia. Już u progu ery cieleśniczej pędził każdy Siemianin podwójny żywot, jeden zwyczajny, a drugi symulowany cyfrowo w ośrodku rachuby personalnej, choć wielu zżymało się na ów cichy nadzór, zwąc go cyfrokracją. Było to jednak nieodzowne, bo już nikt by w głowie nie pomieścił danych ekonomii, przemysłu, a też wszelkich innych niezbędnych rachunków. (Gdyby zaś nawet ktoś pomieścił, to się nikomu nie chciało). Tak więc ład utrzymywały rachownice i symulatory śledzące całą Siemię przez szkła satelitów, pospolicie zwanych Łypantami.

W tym wieku wszechswobód tylko cnota musiała kryć się wstydliwie przed światłem. Dla zrozumiałych powodów prostytutka wygasła od dawna, a jej namiastka - świetlanki i świętaczki - nie cieszyły się powodzeniem, każdy bowiem wiedział, że prawdziwa niewinność nie wystaje na rogu ulicy, więc oferowana musi być czczym udaniem. Cnotnicy kryli się z cnotkami w tajnych klubach, gdzie o chlebie i wodzie uprawiali swe celibacje. W tych właśnie środowiskach nasilały końcówki ośrodków rachuby personalnej apostolstwo nierządu. Później dopatrywano się w tym premedytacji przygotowującej rachubiński zamach stanu. Nikt jednak nie troszczył się o myślność - same rosły, a gdy liczba Siemian przekroczyła bilion, nie stało już miejsca w komputowiskach, chociaż każdy elektron dźwigał w nich na grzbiecie korzec bitów. Poszła więc dalsza ekspansja cyfrowego przemysłu w głąb planety, obracając kolejne warstwy geologiczne - w bityczne, aż wgryzłszy się w ogniste jądro Siemi, zamieniła je w mądro, o czym wszakże mało kto wiedział z obywateli zajętych nowymi sportami (jak łonniczy i rajcarski), nowymi rodzajami muzyki (koncerty na rajfujarkach) itp.

Co prawda zdarzały się zmyłki rachuby, zwane pospolicie cyrfranca, od której z minuty na minutę obywatel tracił majątek, konto, tytuły

własności, a wręcz własną identyczność, lecz dopust taki uważano za nieuchronny.

Poszkodowany cyfrancą, tak zwany znikant, nie miał nic i nie mógł świadczyć się nikim, boż nic takiego jak rodzice, dzieci, małżonek nie istniało już od wieku, a na świadków nie godziły się osoby, z którymi przyszło uczestniczyć w naskoczycielstwie, w pijactwie bądź w innych formach rozrywkowego gziwa. Skoro każdy gził się z każdym, to i nikt oprócz komputera nie znał nikogo bliżej - i los osobisty wisiał cały na jednej nitce ferrytowej pamięci o tysiąc mil pod każdym Siemianinem, księgowany w mądrze - aż do fatalnej chwili. Niekiedy zlewały się od zwarcia w jedność dane dwu osób, niekiedy ulegały rozszczepieniu personalia jednostki - skutek bywał podobny w nieszczęściu. Znikantów nękały prześladowcze urojenia niebytu. Ta pospolita plaga społeczna, zwana neantyzmem, objawiała się najczęściej tak zwanym syndromem nienia. Mając wszystkiego dosyć, nie wiedząc, kim właściwie jest, będąc ze wszystkim na „nie”, poczynął sobie taki nieszczęśnik wygrzebywać gdzie popadło jamę, żeby w niej zniknąć. Istnieli amatorzy intymności właśnie z anonimowymi znikantami, których wyszukiwali im umyślni szczwacze eksterierów wprawionych w tropieniu takich jam. Wskazuje to, jak bardzo się skomplikowało podówczas życie.

Era cieleśnicza obciążyła dodatkowo ośrodki cyfropersonalne, boż obywatele w oczach się teraz dwoili i troili, mnożąc sobie ciała na różne okazje. Nie brakło milionerów-kolekcjonerów, którzy nie chcąc z nikim dzielić zmysłowej satysfakcji, rozmnażali się dla rozpusty przez pączkowanie. Nie lada matematycznym problemem było objęcie rachubą takich powielicieli, jedną głową komenderujących pułkiem ciał: rafinatów tych zwał lud spółkownikami. Czy to właśnie oni doprowadzili mądro do zapaści, czy też, na odwrót, ono doprowadziło masy do szybkościowej erotacji, by w nastalym chaosie przechwycić ster rządów - nie wiadomo do dzisiaj. Dość na tym, że mądro ogłosiło stan wyjątkowy, a zarazem mianowało się najwyższym władcą Siemi z oficjalnym tytułem Przemądra.

Otrzeźwieni tak nagle i okrutnie Siemianie objawili dawną przemyślność i męstwo w biedzie, bo też (jak filozofowano potem) bieda ich stworzyła i w niej tylko czuli się jak ryba w wodzie. Wojna światowa z rozpartym w podziemiach samozwańcem w niczym nie przypominała wojen dawniejszych. Obie strony, mogąc się unicestwić nawzajem w ciągu sekund, przez to właśnie ani się tknęły fizycznie, walcząc na informację. Szło o to, kto przywali kogo łgarnkami sfalszowanych bitów,

zdzieli blagą przez łeb, wdrze się do myśli jak do twierdzy i poprzestawia w nich wszystkie sztabowe molekuly wroga na opak, żeby go tknął informatyczny paralusz. Przewagę operacyjną zyskało natychmiast mądro, będąc głównym buchalterem Siemi; informowało tedy Siemian fałszywie o dyslokacji wojsk, zapasów, statków, rakiet, proszków na ból głowy, przeinaczając nawet liczbę ówieków w podeszwach butów intendenty, by oceaniczną nadmiarowością kłamstw porazić w zarodku wszelki kontratak - toteż jedyna rzetelna informacja wysłana przez mądro na powierzchnię Siemi skierowana była do komputerów fabrycznych i arsenałowych, żeby zaraz wytarły sobie do cna całą pamięć - co się też stało. Jakby tego było jeszcze nie dość, mądro przypieczętowało ów atak na globalnym froncie przetasowaniem i pomieszaniem na groch z kapustą personaliów przeciwnika od wodza naczelnego do ostatniego elektrociury. Sytuacja zdawała się beznadziejna, choć zataczano już na pozycje ostatnie niezagwożdżone wrazym łgarstwem kłamarnice, rychtując ich wyjście w dół; sztabowcy pojmujący daremność tej akcji żądali przecieź otwarcia krzywomyślnego ognia, żeby kłam się kłamem odciskał, choć przyjdzie paść, lecz przynajmniej z niezęlganym honorem. Wódz wiedział jednak, że ani jedną salwą nie dotknie uzurpatora, boż nic dlań prostszeo, jak zastosować pełną blokadę, przecinając łączność i niczego absolutnie nie przyjmując do wiadomości. Posłużył się więc w owej tragicznej chwili samostraceńczym fortem. Kazał mianowicie bombardować mądro całą zawartością wszystkich sztabowych archiwów i kartotek, a więc szczerą prawdą, przy czym w pierwszej kolejności obruszono w głąb Siemi stopy tajemnic państwowych i najsekretniejszych planów, które nie to, że oddać, ale i uchylić ich rąbka znaczyło zdradę stanu.

Mądro nie powstrzymało się od łapczywego rozpatrzenia tak ważnych danych, co zdawały się świadczyć o samobójczym pomieszaniu przeciwnika. Tymczasem do supertajnych informacji stopniowo dołączano rosnącą przymieszkę mniej istotnych, lecz mądro od nawyku i ciekawości odbierało wszystko, łykając dalsze lawiny bitów. Gdy już wyczerpał się zapas tajnych umów międzypaństwowych, szpiegowskich raportów, planów mobilizacyjnych i strategicznych, otwarto upusty zbiornic, w których spoczywały sędziwe mity, sagi, podania, baśnie i legendy praczleckie, święte księgi, apokryfy, encykliki oraz hagiografie. Ekstrahowane z pergaminowych foliałów, tłoczono je w głąb Siemi, a samozwańczy cyfrokrate wskutek impedancji i arogancji, czyli bezwładności i narymności, pochłaniał wszystko bezgranicznie łakomy i

nienasycony, choć dławił się nadmiarem bitów, które mu też na koniec stanęły kością elektryczną w gardle, nie treść bowiem, lecz ilość danych okazała się zabójcza. Najczystsza prawda zbita w ładunek burzący zajęła mądru pod każdy tranzystorowy bok, przegrzała mu bezpieczniki, zalała jego kazamaty pełne jeszcze nieodpalonego zakłamania i rozsadziła je na amen, aż wielomilowe bitociągi misternym gąszczem rozsnute w czerepie planetarnym w okamgnieniu pociekły miedzią i jak przed prawiekami Siemia na powrót krążyła wokół Słońca pełna ogniście płynnego metalu. Jak się w ciszy zaczęła, tak w ciszy ustała ta pierwsza w dziejach bitwa informatyczna. Wszystko zdawało się po staremu, w istocie jednak ćwierć wieku przyszło rozplątywać drobiną po drobinie chaos pierwszej minuty zmagania. Do dawnej świetności dźwignęła się cywilizacja siemiańska dopiero w czterdzieści lat później.

Wojna ta głęboko odcisnęła się w życiu duchowym Siemi, wywołując zażarte spory wśród historyków cywilnych i wojskowych. Jedni twierdzili, że nie ilość zwyciężyła jakość, lecz prawda - fałsz, albowiem dezinformację pokonaliśmy uczciwą informacją.

Zbliżone było oficjalne stanowisko historiografii kościelnej dostrzegającej w ocaleniu Siemi interwencję Opatrzności jako Najwyższej Prawdy.

Szkoła racjonalistów utrzymywała, że właśnie na odwrót - logiczną naturę mądra rozsadził bezlik nieznośnych sprzeczności, jakimi są nafaszerowane pisma teologiczne - a z nich właśnie kręcono ostatnie ładunki. Siemia zawdzięcza więc wprawdzie ocalenie religii, lecz nie tak, jak się to podoba jej wyznawcom.

Znaleźli się też antropozofowie powiadający, że ani pierwsze, ani drugie, ani trzecie: zdrada się zdradą odcisnęła, bo pierwiej mądru nas, a potem myśmy je przechytrzyli; widać w tym niezmienną człeczej natury, albowiem starliśmy się niejako z lustrzanym powiększonym jej odbiciem. Atak mądru to nic innego jak elektronowe powtórzenie sceny jaskiniowej, w której jeden praczek dał drugiemu w łeb ogryzioną kością. Spory te wyszły humanistycie na korzyść, gdyż przyszło zasilać szeregi dyskutantów pospiesznie habilitowanymi doktorami rezerwy. Także sztukom pięknym przysporzyło odniesione zwycięstwo nowego wigoru. Napisano o nim wiele prawdy i jeszcze więcej zmyśleń, z klasycznym na czele, jakoby kroplą, co przelała czarę wytrzymałości samozwańca, była dziecinna bajeczka o kodku w budkach - co jest wszakże zbyt piękne, aby było prawdziwe, to jest kod, jak ktoś rzekł, do góry ogonem odwrócony.

Zdemobilizowanym zuchom, co wracali do swych pieleszy, nijak było otrzepywać powyjmowane z przechowalni damony i błoginki porzucone w wojennej potrzebie. Już nazbyt cywilnie wyglądały ćwiczenia z nimi, gdy tymczasem kipiała bojowość, boż prawdę mówiąc, mało kto zdążył się do syta nawojować. Także producenci pojęli w lot, że dotychczasowe kochawki i kochawce nie są na miejscu.

Panował powszechnie nastrój romantyczny i państwowotwórczy niezużyte męstwo domagało się niezwłocznego wyrazu. Przy powszechnym dążeniu do czynu wojennego nie było jednak z kim się bić. Skoro wroga nie ma już, rzekli sobie głowacze wielkiego interesu, to trzeba się o niego postarać, o co tym łatwiej, że środki techniczne są. Tak powstały wrogomory Wrogomór symulował w sobie obmierzłego najeźdźcę, o takiej charakterystyce, jaką się w nim rozjaźniło, wrzuciwszy do szczeliny wpustu odpowiedni jaźnik wielkości monety. Jaźników oferowano w bród - każdy z innym typem wrażej osobowości, to podstępnie okrutnej, to bezczelnie agresywnej, a zawsze podłej. Podhodowawszy sobie odpowiednio dobranego wroga, gdy się go już dobrze poznało w żywionych zakusach, stawało się do walki w obronie ojczyzny. Nie była ona żadną abstrakcją - producenci pomyśleli i o tym, że jeśli polem bitwy ma być mieszkanie, to i ojczyzna osłaniana własną pierśią powinna

się w nim zmieścić, więc do kompletu wyposażenia należała jej alegoria z rozwianym włosom, wieńcem laurowym w ręku, w szacie trzepocącej niczym sztandar (w cokole była dmuchawa). Zwracając na klienta oczy pełne słodkiej ufności, błagała o ratunek przed nieprzyjacielem, a po odniesionym zwycięstwie wieńczyła go zaraz laurem. Wynik starcia był murowany - wrogomór miał odpowiednie pokrętła, zresztą można było odnieść zwycięstwo, nawet nie wstając z łóżka, zaopatrzony się w niedrogi przedłużacz do znęcarci. Można było wroga zlikwidować w okamgnieniu lub po trosze - zachowując niedobitego na później - podług temperamentu i wyznawanych zasad. Kto był zwolennikiem starannie rozłożonej w czasie surowości, też nie miał kłopotu z wywrzaskami traconego, bo na to był odpowiedni tłumik.

Przeciwnicy innowacji, jakich nigdy nie brak, od razu podnieśli wielki hałas, usiłując skompromitować wrogomoryzację kraju, twierdząc, że aparat to nie żaden trenażer patriotyzmu ani szkoła bogoojczyźnianych uczuć, jak głosi reklama, lecz cyfrowa katownia, godna markiza de Zad, którego błogosławieństwo niewątpliwie należy się wynalazcom.

Wrogomór, głosili, budzi najniższe instynkty, zaprawia w pastwieniu się nad bezbronną ofiarą, a historyjka z obroną ojczyzny jest załganym pretekstem. Czemu ojczyzna to nie stateczna dama w pewnym wieku, matrona czy też nobliwa a krzepka staruszka, lecz monumentalne dziewczę? Czemu jej peplum ma zamek błyskawiczny? Antymoryści wychodzili na ulice, by urządzać demonstracje, na któ rych rozbijali wrogomory i tłukli ojczyzny, wywołując tym wszakże wzburzenie powszechne, zręcznie podchwyczone przez producentów, którzy oskarżali ich o zniewagę publiczną patriotycznych uczuć. Procesy wlokły się w sądach, patrioci rozgrzani świeżo odniesionym w domu zwycięstwem tylko co uwieńczeni wawrzynami, biegli bić antymorystów, a tymczasem asortyment jaźników powiększył się o najzupełniej nowe wzory. Teraz można już było sobie oprócz agresorów symulować w aparacie osoby pod każdym względem pozytywne. Duszoteki proponowały zarówno postaci zmyślane, jak i realne - co zresztą wywołało procesy o tak zwane naruszenie nietykalności osobistej per procura, ponieważ sporo osób zamawiało sobie znajomych, krewnych, zwierzchników, ażeby dać folge takim uczuciom, które dotychczas tłumione wywoływały frustrację i inne szkodliwe przypadłości. Po wielkich mazołach lizancki Sąd Najwyższy orzekł wreszcie, iż jeśli osoba fizyczna poczyna sobie publicznie z osobą symulowaną tak, że gdyby to samo robiła z osobą realną, byłby to delikt w rozumieniu kodeksu prawa cywilnego - to poszkodowany per procura może wnieść skargę o zniewagę osobistą. Gdy ktoś natomiast uwłacza symulowanemu prywatnie i bez świadków, deliktu nie ma. Oczywiście przeciwnicy duchówek (bo tak już teraz nazywały się dawniejsze wrogomory) znów podnieśli wrzawę, wywodząc, że użytkowane czy to prywatnie, czy publicznie duchówki są techniką znieprawiającą i jednym kłamstwem jest wszystko, co głoszą kampanie reklamowe wytwórni - że jakoby duchówki mają zaspokoić poważne niedobory przyjaźni, serdecznej rady i czułości doskwierające szerokim masom i że z osobą naśladowaną można nawiązywać tylko idealne stosunki duchowe. Gdyby tak było, wytwórcy usunęliby z nich wiadome pokrętła znęcarkowe, tymczasem nowy model ma ich więcej niż poprzedni. Producenci na to, że jedynie wyrodek wyrządziłby coś złego symulowanej duszy bratniej, najmilszemu powiernikowi czy wreszcie dostojnej małżonce zaprzyjaźnionego z Lizancjum monarchy, lecz wyrodków wśród ich klienteli na pewno nie ma. Zresztą to, co ktoś robi z imitowanym, jest jego sprawą prywatną, zgodnie z konstytucją i wyrokiem Sądu Najwyższego.

Nic nie pomogła wrzawa opozycji - popyt na duchówki był ogromny. Co prawda procesy o zniewagę trwały, prawnicy mieli pełne ręce roboty, sporne było na przykład, czy można ścigać sądownie tego, kto publicznie chełpi się tym, co prywatnie uczynił jakoby z głową ościennego państwa, a choćby ze zmarłą siostrą sąsiada. Czy to crimen laesae maiestatis, względnie nekrofilia, czy tylko czczy pozór, jak gdyby opowiadać sny, których treść stanowić deliktu nie może? Dylematy te wzmogły inicjatywę ustawodawczą i wyznaczyły nowe granice swobód obywatelskich. Nabywca duchówki mógł czynić z hodowanymi duszami, co chciał, byle nie zakłócał spokoju sąsiadów. Publicznie nie wolno było morzyć, powstały atoli prywatne kluby, w których hobbyści zmagali się o palmę pierwszeństwa, wykańczając rekordową ilość żelaznych nawet charakterów w jeden wieczór. Ciekawe, że rósł popyt na uczonych; co prawda dobroczynne skutki pedagogiczne kontaktów z duchami tak światłymi jakoś się nie przejawiały; powiadano, że im kto większy dureń, tym pazerniejszy na mędrców, widać nie dla zasięgnięcia nauki i rady, bo o włos nie mądrzeje, a leci wnet do duchoteki po następną paczkę jaźników. Osoby cierpiące na brak pomysłów mogły nabyć podręcznik duszołóstwa prezentujący bogatą gamę kombinacji. Pojawiły się też duchówki z lupą czasową umożliwiającą nękanie w spowolnieniu, co uwyrażniało każdy szczegół. Antymoryści w swych publikacjach głosili, że ilekroć wypadki dziejowe uwznioślają społeczne morale, tylekroć przedsiębiorcy ściągają je zaraz w rynsztok, co właśnie zaszło po wojnie informatycznej, gdy z jego patriotycznego wezbrania uczynili sobie źródło dochodów. Ogół nie był jednak chętny tym proklamacjom, zresztą ucichły, kiedy jęła się rozwijać astronautyka. Rozwojowi programu przestrzennego zagroziło mianowicie zjawisko tym osobliwsze, że nie przewidział go ani jeden z futurognostów i prognozerów, których ponad dziewięćdziesiąt tysięcy liczyło samo Lizancjum. Rozpływali się oni nad bezkresnymi perspektywami podboju planet, przepowiadali tempa ich kolonizacji, obliczyli z największą dokładnością tonaż cennych rud, surowców i innych skarbów, jakie będzie Siemia sprowadzać z całego systemu słonecznego, i wszystko to niewątpliwie zgadzałoby się co do joty, gdyby nie pewien szczegół. Oto, chociaż już można było podbijać planety i księżyce, zagospodarowywać ich kontynenty, rozwijać na nich ożywcza i bohaterską działalność, okazywać pionierskiego ducha w starciach z przeciwnościami, jakoś nikt się do tego nie palił. Nie było chętnych! Przyszli więc administratorzy na to, że całą rzecz należy zainicjować jeszcze raz - dając niejako bieg wsteczny, a po wycofaniu się

na wyjściowe pozycje uderzyć w inny ton. Skoro kolonizowanie planet, nazwane przygodą wieku, najwyższym wyróżnieniem i misją dziejową, nie budzi entuzjazmu, to trzeba przemianować planety w kryminały, a wysyłanie bohaterów - w zsyłanie przestępców. Tak się jednym strzałem położy dwie sztuki naraz - bo to i środek na wszelakich wywrotowców, krzykaczy, maćiwodów, i na przeludnienie, jako że robi się już dosyć ciasno.

Politykę tę uprawiano przez sto lat z okładem, aż przyszło się jej z wielkim żalem wyrzec. Jakkolwiek eksport najnowszych technologii na karne planety objęto embargiem, zesłańcy, wśród których przeważały osoby uzdolnione i światłe, sami doszli odmówionych im technik, stworzyli własną flotę raketową, założyli związek trójplanetarny i uspołeczniwszy kopaliny razem z przemysłem, gospodarowali na własny ład. Trudno więc było kontynuować politykę zesłań równającą się zasilaniu teraz już kosmicznie ułożonej opozycji. Odtąd Siemia praktykowała całkowitą izolację od zasiedlonych planet i taki był kres programu przestrzennego.

Wszystko mija, więc i duchomory z czasem znudziły się i wyszły z użycia zastąpione nowymi wynalazkami, a tłok wciąż narastał, bo liczba żyjących podwajała się już co sześć lat. Wprawdzie miliardrom o narcystycznych gustach nadal budowali masturbaniści przestronne samotnie, lecz właśnie tylko krezusów było na to stać. Zwykły milioner musiał się zadowolić członkostwem w ekskluzywnym klubie, na przykład rojalistycznym, gdzie uprawiało się rojalizm jako urojalizm, boż bez królestwa, dysponując jedynie terenowym trenażerem tronowym - teretronem; dla bardzo zajętych, co chcieli popanować, nie odrywając się od biurka, był teletron. Ale już nie o każdej godzinie dało się wyjść z domu, taką zbitą masą przepychały się tłumy ulicami. Demografowie konferowali i uchwalali rezolucje, każde państwo zachęcało sąsiadów do roztropnego powściągu, a oni to samo na odwrót. Nic prócz perswazji - głośiły rządy - czyż nie po to zaharowali się nasi przodkowie, żeby już nikt nigdy nikomu nie mógł niczego zabronić?

Kościół popierał natalistów, zapewniając wiernych, że tłok jest trudnością przejściową, za grobem bowiem zawsze będzie luźno. Mnożyły się atoli tajemnicze, nieznane dotąd zjawiska, na przykład gryźby i kośby, ale najwięcej niepokoju budziło porwanie. W średniowieczu zbóje uprowadzali bogaczy dla okupu, zdarzało się to sporadycznie i później, zawsze jednak w celach przetargowych. Obecnie nikt prawie nie żądał okupu, zresztą tak czy owak po uprowadzonych ginał wszelki ślad.

Prymitywne porywanie raket i przerzutowców pasażerskich ustąpiło wnet miejsca zawilszym procedurom. Nuż jedne ugrupowania specjalistów porywać porywaczy wraz z porwańcami - zajmowali się tym tak zwani porywajcy, a tych brali znowu w sak porywnicy planujący swe operacje metodami programowania dynamicznego z optymalizacją, by zmniejszyć koszty własne. Co się wreszcie tyczy porywistów, ci byli teoretykami ruchu i prognozowali porywowców, którzy mieli się pojawić pod koniec stulecia i uprowadzać w stopniu podniesionym do n-tej potęgi. Porwaniści porywający samych siebie dali się przynajmniej łatwo określić psychiatrycznie jako ekstrapolacja onanistów. Frońdyści utrzymywali, że tak się przejawia nowe wcielenie zadyzmu, lecz antyfrońdyści lepiej wyjaśnili rzecz: nie szło ani o agresję, ani o instynkt śmierci, ani o forszę, ani o stłumione kompleksy dzieciństwa, lecz jedynie o likwidację niemożliwego ścisku, a ponieważ wywołują go zawsze inni, tych innych brano za łeb, żeby ich gdzie bądź poupychać, byle raz na zawsze i jak najdalej. Lękarze badający zbiorowe lęki ochrzcili tę nową jednostkę patologii społecznej przymusowym upychactwem o rozmiarach epidemii. W tym niemal bezwyjściowym położeniu - parcie porywackie objawiało się nieznacznym przebieraniem nogami na miejscu, a drobili tak już i wyżsi oficerowie sztabowi - znów pospieszyła Siemianom z pomocą jak zawsze niezawodna nauka. Doszło do powszechnego wdrożenia technetyki, to jest etyki syntetycznej, instalowanej, tłoczonej i flancowanej pod wszystkimi stopniami geograficznymi, przewodowo jako też bez przewodów. Dzieci chroniono przed ścisaniem, umieszczając je w specjalnych smarkadiach, gdzie było w bród miejsca. Nadto już w powijaki wszywano im specjalne napominajki umacniające w poszanowaniu bliźnich. Gdyby się zaś taki znalazł, co by chciał kogoś choć tylko listownie urazić, to go zaraz perswaderka odwodziła od złej myśli, jasek naszeptywał mu nocą do ucha przez sen, żeby zaniechał, gdyby zaś od uporów i rankorów trwając na swoim, pozatykał sobie uszy, potrzaskał zwyczajne kazalniki, a pancerne poobkładał wojłokiem i filcowymi pantoflami, to obronę cudzej nietykalności przejmowały filtry uczynków agresywnych. Napisze zatwardzialec anonim - atrament się rozleje, skrzynka podrze list, a w ostateczności bezpiecznik ostatniej linii dobroci rozbije adresatowi okulary. Wścieknie się, spróbuje telefonicznego lżenia, a telefon wszystkie obelgi odfiltruje, a gdyby nawet w szale wściekłości z pałką pognał na upatrzonego, ta, mając w swej strukturze łagodyzator, pęknie, nim uderzy!

Porywanie jak ręką odjął, co prawda nie przez to, że wszyscy jak

jeden mąż się udobruchali, po prostu nikt nie miał do tego głowy, łamiąc ją sobie od rana do nocy nad tym, jak by przechytrzyć filtrację i zrobić bliźniemu, co mu niemiłe dla czystej satysfakcji. Wzrósł popyt na dynamit i bomby kumulatywne, a produkcja wosku i filcu skoczyła 0 osiemset procent, zmuszając socjotechników do eskalacji, więc bomby wybuchały bombonierami i wonnym kwieciem, a wypominajki 1 perswaderki ryczały jak trąby jerychońskie. Kiedy uszlachetniające maksymy jęto kaligrafować samolotami na niebie, ludność rzuciła się po kaszkiety z długim daszkiem i ciemne okulary. Szalone przyszły czasy. Rezurekcyjne pogotowie miało pełne ręce roboty, zwłaszcza w porze obiadowej, bo gdy knujący coś złego siadł do rosółu, a makaron ułożył mu się pod łyżką w sentencję moralną, nieraz łyknął łyżkę miast zupy, żeby skończyć z sobą, skoro nie może z bliźnim.

W końcu zmagania technetyki z ludnością stały się domeną gier hazardowych, a tym samym częścią masowej kultury - jako totalizator-moralizator, w skrócie totok-motok. Ten, kto pierwszy przechytrzył nową dobrusznicę, brał główną nagrodę. Wpłynęło to na złagodzenie terroryzmu, bo nie wszystkie środki przeciwmoralnościowe były dopuszczalne, a kto łamał reguły gry, tracił premię. Bodźce materialne w samą porę zlikwidowały w zarodku prywatne starcia atomowe, których sceną stało się jako pierwsze Lizancjum, państwo przodujące pod każdym względem. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby nie totok-motok, albowiem pogłoska, że bojówka ciałkarzy posyła listy nasycone solą uranową do siedziby stronnictwa amoralizatorów i gdy powstanie z nich masa krytyczna, pół miasta wyleci w powietrze, wywołała straszliwą panikę. Na miliony uciekinierów, co pozagwałdzali szosy, z chmur padał grad ornitopterów zderzających się w powietrznych korkach. W promieniu dwustu mil powstała tak zwana tratosfera albo megadeptak. Na szczęście była to katastrofa odosobniona. Co do ciałkarzy, ruch ten powstał w związku ze zmierzchem cieleśnictwa. Kres położył wielocielstwu (nazywanemu też trwonicielstwem) czynnik zgoła trywialny i jak zwykle nieprzewidziany - zabrakło mianowicie haflobromainy, bez której nie można syntezytować wirusów dających się sterować zdalnie tak, by nawlekały na chromosomowe nici geny rozcielnicze. Gdy surowiec do produkcji wirusowych ciągników podrożał dwustukrotnie, a pięć największych konsorcjów cielesnych skrachowało, młodzież lizancka utworzyła subkulturę ciałkarzy domagających się ciał możliwie tanich, oszczędnych materiałowo, poręcznych i skromnych. Co się tyczy amoralizatorów, byli to kongresowi zwolennicy ustawy zakazującej pod

karą dożywocia uszkodzenia dobrusznic demorałkami, rodzajem złośliwnic, głowic samonawodzących się na wszystko, co szlachetne. Chyba jednak pojmujecie, że w podobne drobiazgi naszych dziejów możemy wchodzić tylko wyjątkowo.

Walki zmechanizowanej miłości bliźniego z terrorystami i pryncypialistami wolności czynu stanowiły, rzecz prosta, margines wydarzeń poważniejszych. Większa bezkrwawa bitwa toczyła się na planecie - jako zmagania z potopem ludnościowym.

Należy oddać sprawiedliwość technice, czyniła bowiem, co mogła, aby ulżyć pogarszającej się doli ogółu. Z tak zwanych cyklicznych łakoci, które można było wielokrotnie konsumować, gdyż przechodziły przez ustrój niezmienione, korzystali chętnie najubożsi. Ich też mając przede wszystkim na względzie, utworzono jadłotajnie, przybytki kryptogastronomiczne, w których obywatele dysponujący po temu środkami mogli pożywiać się po dawnemu. Biesiadnicy pałaszowali precjoza kulinarne po ciemku, widząc je dzięki noktowizorom, a zarazem nie budząc zgorszenia gapiów. Urbaniści umieli już wznosić milionowe osiedla wieżowców-sardynkowców w trzy dni. Budowane w takim tempie natychmiast wypełniały ostatki wolnej przestrzeni. Całe Lizancjum było już właściwie jedną metropolią. Rozpoczęła się zarazem gorączkowa miniaturyzacja wszystkiego, co tylko można było pomniejszyć, poczynając od gazet i książek, a kończąc na kolejach. Metro zastąpiono najpierw decymetrem, a potem i centymetrem. Prace przemysłu pomniejszarskiego utrudniały wszakże niezmienione rozmiary samych Siemian. Znow rozległy się głosy zaciętrzewionych antynatalistów, którzy zwali miniaturyzację fałszywą nadzieją i domagali się regulacji urodzin, lecz o niej nikt nie chciał nawet słyszeć, gdyż stanowiłaby drastyczne uszczuplenie podstawowych swobód. Jedynie panującym stanem umysłów można wyjaśnić łatwość, z jaką parlamenty uchwaliły plan genżynieryjny, zwany ustawą nikłościową. Przewidywała ona redukcję standardowego obywatela w skali jeden do dziesięciu. Oczywiście plan dotyczył następnej generacji Siemian. Aby zachować swobodę prokreacji, ustawa głosiła, że tylko ten będzie mógł płodzić dowolną ilość potomstwa, który podda się przestrojeniu genów. Było to sprytnie pomyślane, gdyż eliminowało przymusową mikrogenizację; kto nie chciał się jej poddać, umierał bezpotomnie, toteż następne pokolenie składało się już z samych mikromalców, a gdy wymarli jego rodzice, przejęło po nich pospiesznie zredukowaną w tej samej skali całą gospodarkę planetarną. Nie naruszyło to w niczym panującego komfortu, bo

wszystko małało w proporcji z obywatelami. Wybrawszy mniejsze zło, Kościoły zaaprobowały ten manewr. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów powstał wszędzie miły luz; nadto wszyscy czuli się lekko - toż największe grubasy osiągały dwieście gramów wagi. Sceptycy i czarnowidze powiadali jednak, że to kalekkość, której następstwa okaza się fatalne.

Jakoż plaga ścisku powróciła, niestety, już po dekadzie. Jakkolwiek naczelni genżynierowie zmniejszycielscy rozumieli, że dalsza mikrominiaturyzacja nie jest środkiem pełnowartościowym, gdyż kres położy jej nieściśliwa struktura materii, działając w położeniu przymusowym, poszli na krok tyleż drastyczny, co rozpaczliwy, drugiej redukcji w tej samej skali co poprzednio, więc jeden do dziesięciu. Kolejna generacja Siemian potrzebowała drabin strażackich, żeby się dostać do jednej z dziadkowskich popielniczek wystawianych w muzeach historycznych. Teraz można było wreszcie odetchnąć pełną piersią. Każda grządka stała się ogrodem, a klomb - żywiczną puszczą. Na Mikrosiemian obruszyły się wtedy trzy kolejne wojny światowe - z muchami, komarami i mrówkami. Najstarsi nie pamiętali takich klęsk, zwłaszcza że podczas koszących nalotów komarowych zadały armiom cios w plecy karaluchy, wychynawszy z podziemi miejskich. Ich czarnej zbroi nie brała zrazu nawet broń pancerna, co łatwo pojąć, zważywszy na to, że średni czołg ważył podówczas pięć gramów. Koszmarne komary przekraczające zasięgiem błoniastych skrzydeł rozpiętość rąk dorosłego Siemianina rzucały się na przechodniów, by pić ich krew i pozostawiać skurczone trupy na chodniku; muchy ciamkały swe ofiary ohydnie klejowatymi trąbami; jakkolwiek pociski kumulatywne i granaty termitowe dały w końcu radę najgrubszym pancerzom chitynowym, choć wróg padał gęsto, choć olbrzymie były trofea - padłe żuki przerabiało się na wanny; z błonkoskrzydłych wytwarzać można było szybowce - przecież nie udało się go wybić ze szczętem i w nadzwyczajnym pośpiechu, dzięki zmasowaniu środków technicznych nakryto miasta owadoszczelnymi kopułami ze szkliwa. Jak piszą kronikarze, tym sposobem miniatera otwarta przeszła w zamkniętą. Zresztą karaluchy dalej prowadziły podjazdową wojnę z Siemianami; teraz jednak policja zastąpiła wojsko, a główną rolę obronną przejęły automatyczne pułapki, zwłaszcza roboty wyposażone w broń laserową. Do końca stulecia przetrwały jeszcze nieliczne osady pod gołym niebem, a i to tylko dzięki artylerii przeciwkomarowej i pociskom z głowicami samonawodzącymi na odgłos brzęczenia. Podejmowano próby domestykacji niektórych owadów

(ujeżdżano osy), nie dały jednak spodziewanego rezultatu, jedynie stonogi pełniły przez jakiś czas funkcję kucyków w przedszkolach. Nie warto także rozwodzić się nad ubocznymi korzyściami powszechnej minimalizacji, do jakich należały na przykład polowania na specjalnie hodowane, gigantyczne myszy dochodzące pięćdziesięciu gramów wagi; trudno też dzielić entuzjazm propagatorów nowego sportu wspinaczkowego, jakim stał się drzewizm. Zdobywanie szczytów drzew poza kopułami miejskimi przyciągało niewielu śmiałków, śmiertelnym ryzykiem groziła bowiem nie tylko niebosiężność byle brzozy, ale też każdy majowy deszczyk, który mógł zmieść wspinaczy z gałęzi kroplami wielkości głowy ludzkiej. Zresztą nawet gdyby udało się wybić wszystkie insekty Siemi, co było ambicją sztabów generalnych, nie odmieniłoby to faktycznego stanu, na który większość zamykała oczy - że Siemianie w obecnej postaci nie są zdolni do życia na otwartej przestrzeni, bo byle zefirek zwał ich z nóg, deszczyk topił, ptaszek mógł zadziobać na miejscu. Zarazem jęły powracać z dawien dawna znane, groźne objawy przeludnienia: wszędzie znów powstał tłok i rozpacz wtargnęła do serc. Oczywiście nawet mowy być nie mogło o regulacji urodzin, skoro bowiem dla ocalenia podstawowej swobody złożono tyle i tak ciężkich ofiar, byłby ów krok haniebnym przyznaniem się do całkowitej klęski, więc choćby tylko ze względów prestiżowych uznawano każde inne wyjście za lepsze. Odkryła je lizancka Akademia Sztuk i Nauk - w postaci projektu federacyjnego. Manifest opracowany przez Akademię ogłosiły agencje prasowe całej Siemi. Projekt przewidywał taką przemianę dziedziczności, dzięki której wszystkie dzieci następnego pokolenia będą się mogły połączyć w gigantyczną, harmonijną całość, idealnie podobną do praczłeka - tego olbrzyma, podług współczesnych kryteriów, którego legendarne, nieomal dwustucentymetrowe rozmiary wprost trudno sobie wyobrazić. Idąc na ten krok, stracimy niewiele, głosił manifest, nic właściwie - czyż bowiem nie staliśmy się już więźniami własnych miast? Nie możemy wszak stawić czoła wietrzykowi ani muszce! Żyjemy beznadziejnie i trwale odcięci od przyrody, którą musimy sobie zastępować meszkiem i trawką sztucznych ogrodów, odczuwając podziw pełen grozy na widok byle kretowiska - jako że nie leży już w możliwości naszych zmysłów ogarnięcie jednym spojrzeniem tak zwanych gór, o których możemy jedynie czytać w starożytnych księgach odziedziczonych po naszych dziadach- gigantach. Otóż projekt federacyjny wskrzesi taką właśnie monumetalną postać, a przy tym z połączenia ośmiu bilionów Siemian powstanie nie prosty praczłek, lecz historycznie pierwszy twór,

mianowicie stany zjednoczone tkanek na dwóch nogach, prawdziwy miastodont, państwochód, przed którym otworzy się cały przestwór planety. Nie będzie się czuł samotny w jej bezmiarze, gdyż nie wkroczy w puszcze sam, lecz jako wielomiliardowe społeczeństwo.

Myśl rzucona przez akademików lizanckich zapaliła wszystkie serca i umysły, toteż przyjęto ją we wszechsiemskim plebiscycie. Wszelako dzieje powszechne to nie idylla; doszło do niespodziewanych tarć, a potem do ostatniej już wojny światowej, która wybuchła od tego, że każdy Kościół pragnął mieć w przyszłym państwochodzie osobną instytucję i głos, a tym samym własną jamę ustną utworzoną z kongregacji wiernych i hierarchii duchownej; było to jednak niemożliwe, boż od tyłu jam powstałby zementalizowany dziurawiec jamisty. Krnąbrne duchowieństwo na takie dictum przeszło do roboty wywrotowej. Pojawiły się paszkwile nazywające projektowany państwochód - monstrualnym więzieniem na nogach, zniewolantem, chodzącymi galerami zdanymi na łaskę i niełaskę elity mózgowej, która będzie się literalnie żywić krwią milionów obywateli. Rozpowszechniano kłamliwie insynuacje, jakoby wszystkie placówki w ośrodkach doznawania rozkoszy były już po cichu rozdzielone między projektantów i ich mocodawców. Ta robota wicherzycielska nie odniosłaby skutku, tym bardziej że botanikom udało się wyhodować odmiany kwiatów, których substancje zapachowe miały własności uzacniające, i rzucone na rynek kwiecie to niczym oliwa lana na bałwany koilo wzburzone umysły - niestety, doszło do ujawnienia tajnych akt projektu. Były to protokoły posiedzeń, na których miarodajni eksperci uznali, że nie wszyscy Siemianie jednakowo nadają się do piastowania odpowiedzialnych stanowisk w państwochodzie. Pewne prowincje, zwłaszcza dolnotylne, przewidziano na osiedleńczy teren dla niedorozwiniętych, natomiast centralny aparat nerwowy miał się rekrutować z zamożnych obywateli Lizancjum jako doświadczonych we wielkich transakcjach, więc tym samym predystynowanych do pracy umysłowej.

Wypisawszy na swych sztandarach hasła antypaństwochodowe, wołając, że lepiej zginać, niż iść na wcielenie w głąb łydy czy brzucha wieloraba, by styrać się tam po ciemku do kresu sił, ruszyli rebelianci w bój. Głos stronnictwa „trzeciej drogi” nie został w nastalym chaosie dosłyszany. Byli to tak zwani ewentualiści. Domagali się przemiany genitaliów w ewentualia niezdolne normalnie do płodzenia, a zdobywające tę umiejętność jedynie gdy naczelny dyspozytor płciowy wyłączy impotencjator na pulcie centralnej spółkownicy globu - w razie

ewentualnej potrzeby. Strata była niewielka, jako że projekt i tak by się nie przyjął.

Wojna, a właściwie szereg lokalnych, lecz gwałtownych utarczek, trwała krótko. Mając na oku dobro powszechne i poczuwając się do odpowiedzialności za przyszły los Siemi, państwochodyści użyli przeciw irredencji zmasowanych gazów uszlachetniających. Główna kwatera powstańcza została wzięta bez przelewu krwi dzięki zasypaniu z powietrza naręczami róż i fiołków o wiadomym działaniu - widok jej bombardowania miał być podług naocznych świadków po prostu cudny. Gdy już wszczęto przygotowania do fuzji, rozgorzał nowy konflikt, tym razem w środowisku samych genżynierów. Rzucono mianowicie wniosek przewidujący reorganizację biur projektowych od podstaw. Miały powstać dwa ich oddzielne zespoły. Jeden stanowiłaby Administracja Aglomeracji Męskiej (kryptonim ADAM), drugi zaś - Erotycznie Wyspecjalizowani Autorzy (kryptonim EWA). Co się tyczy surowca, to biura podzieliłyby się ludnością Siemi po połowie. Żadne inne wyjście - głosił wniosek - nie ustrzeże państwochodu przed popadnięciem w brzydki nałóg uwłaczający sztandarom. Gdy natomiast ADAM zawrze z EWA pakt o nieagresji i przyjaźni, po czym oba mocarstwa będą pogłębiały współpracę na bazie wzajemnej równowagi i niewtrącania się w intymne sprawy drugiego, dojdzie z czasem do kontaktów bezpośrednich, których ożywczy wpływ, nadzwyczaj korzystny dla obu wysokich stron, wniknie we wszystkie ich zakątki. Dzięki temu szarzy obywatele w toku codziennych zajęć handlowych, policyjnych i administracyjnych będą partycypować w tych wysoce atrakcyjnych stosunkach, dzięki harmonijnej współpracy właściwych organów mocarstwowych. Plan ów niezwłocznie zaatakowały Kościoły, widząc w nim niebezpieczeństwo, jakkolwiek pośrednie, dla celibatu kapłańskiego, jeśli już nie wspomnieć o tym, że nie będzie żadnego duchownego, który mógłby zalegalizować ów związek. „Żadne pakt, porozumienia ministerstw i innych organów nie mają nic do rzeczy, głosiło oświadczenie rady Kościołów, gdyż w świetle prawa kanonicznego ratyfikacja umów międzypaństwowych nie jest sakramentem małżeńskim, toteż we wniosku chodzi o stręczenie państw do rozpusty, czemu się kategorycznie przeciwstawiamy". Nie ten wszakże głos przeważał szalę, lecz inna refleksja. Idąc na powtórkę Genesis, zaczęłoby się wszystko jeszcze raz od Adama i Ewy, po czym najwyżej za parę tysięcy lat znów przyszłoby do potwornego ścisku wywołanego przeludnieniem Siemi - tym razem masą państwochodów. Po następnym cyklu dziejowym wypadnie tedy dokonać kolejnej fuzji, co pachnie już

obłędem cywilizacyjnym, boż w tej perspektywie każdy państwochód przyszłej epoki sam składałby się z komórek-państw. Od takich widoków zadrżeli sami wnioskodawcy i wycofali wnioski.

Na marginesie sporu o pleć przyszłego państwa wysunął pewien myśliciel osobliwą hipotezę kosmogoniczną. Wywołana przeludnieniem produkcja państwochodów z obywateli - twierdził - i to właśnie podług projektów dwupłciowych jest niechybnie stałą kosmiczną. Wskazuje na to sama istota Wszechświata zbudowanego z cząstek dodatnich i ujemnych, z materii, której odpowiada antymateria, i tak dalej. Mocarstwa powstają więc jako samce i samice, rozmnażają się, a potomstwo ich tworzy następne federacje państwowe. Proces ów trwa nieustannie, ogarniając stopniowo całe Universum, tak iż na pytanie, z czego właściwie składa się materia - wypada odrzec: z czystego substratu państwowości

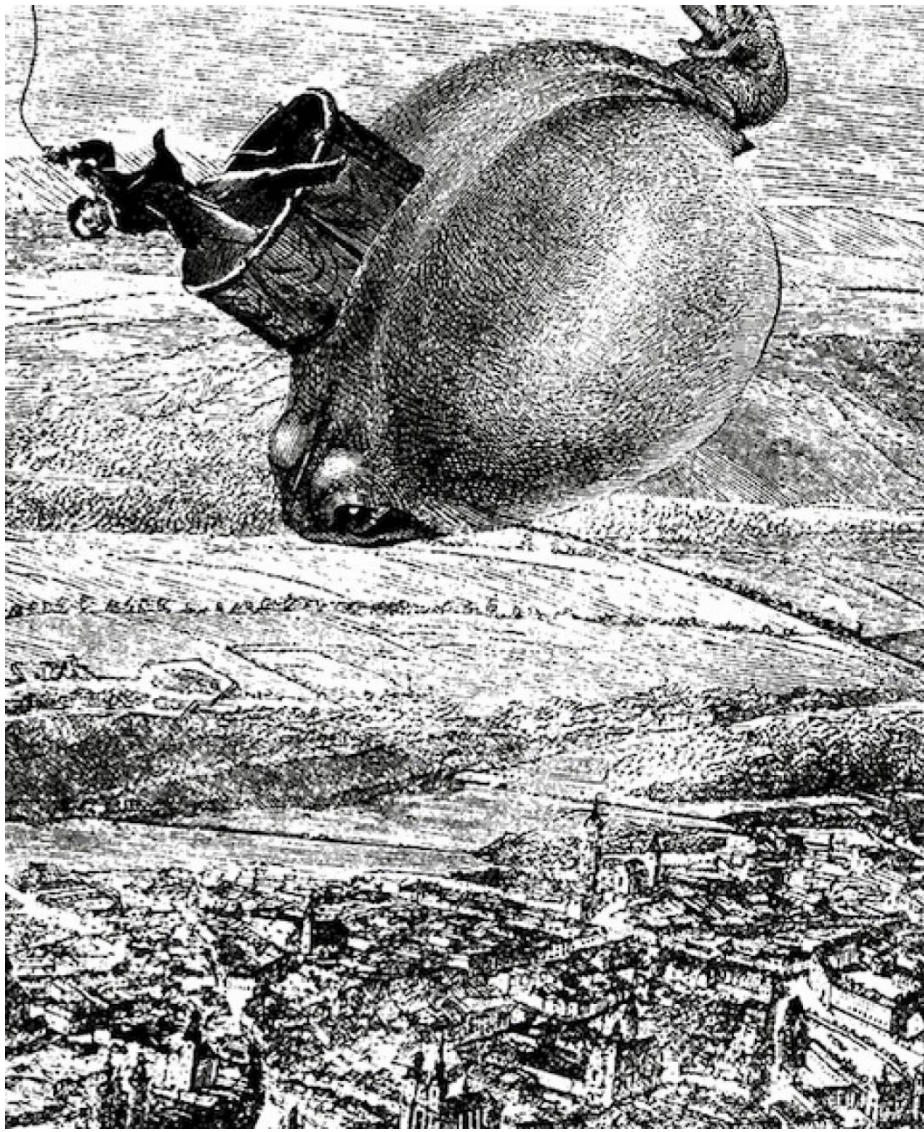
skomprimowanej wielowiekową mikrominiaturyzacją państw tkwiących w państwach. Jakkolwiek malejąc, zatracają one swe dawne cechy, można rozpoznać ich pleć, jak się powiedziało wyżej, a co do dalszego uszczegółowienia rzeczy, winni się nim zająć fizycy. Może warto dodać, że ów myśliciel był znakomitym prawnikiem i jurystą cywilistą. Koncepcja jego nie jest aż tak dziwaczna, jak się wydaje. Mówiąc, że atomy składają się z państw, a państwa z atomów, chciał pewno rzec, iż materia, istniejąc zarówno de iure, jak i de facto, jest w pełni legalna, że stanowi zarówno terminus a quo, jak i ad quem, czyli ona i prawo to właściwie jedno i to samo, a zatem pytanie, co było pierwej, prawo czy świat, jest bezprzedmiotowe, o ile rozumiecie, a co nam idzie. Była to zresztą dywagacja, a wspomnieliśmy o tej hipotezie, bo stanowiła ostatni wykwit nieskonfederowanej myśli siemiańskiej.

Stało, jak wiecie, na jednym organizmie państwowym i po zamknięciu prac ustawodawczych rozpoczęły się w fazie następnej roboty ciałodawcze. O przydziałach do tkanek decydowały losowania, boż każdy by się pchał do organów szczególnie atrakcyjnych, puszczając w ruch wszelkie możliwe chody i protekcje. Co jakiś czas wybuchały afery korupcyjne. Wykrycie jednej z większych, podniebiennej, pociągnęło za sobą przymusowe zesłania winnych w okolice podpacierzową, gdzie brakowało chętnych osiedlenia i mnóstwo etatów wakowało. Ciągłe zamieszki utrudniały postęp prac państwowotwórczych - ten ciągnął do ducha, ten do brzucha, i gdyby się pofolgowało sobkostwu, zamiast zdolnego do życia państwochodu powstałaby olbrzymia głowa z gębą od ucha do ucha na pękatym kałdunie. Wreszcie jednak przyszło do

uroczystej chwili przecięcia wstęgi opasującej nasze mocarstwo. Przecieliśmy ją sobie sami, boż nikogo poza nami nie było już na Siemi, i podnieśliśmy się z okalających rusztowań na całą wysokość, w kształcie, w jakim nas tu widzicie. Nie mogąc oprowadzić was jako drogich gości po całym państwie, uczynimy to pokrótce chociaż słowem.

W tym oto gmachu obrotowym zamkniętym romańską kopułą mieści się nasz Parlament o dwu sąsiadujących z sobą izbach, prawej i lewej, podłączonych do organów wykonawczych administracją dość nerwową. W górnych prowincjach korpuśnych mają siedzibę Ministerstwo Wymiany Gazowej z Zagranicą oraz Główny Zarząd Irygacji skomasowany ze względu na obowiązującą oszczędność lokalową z Centralą Miłości Bliźniego. W środku państwa mieszczą się liczne Zjednoczenia Przemysłowe, na przykład cukrownicze, żywnościowe, chemii syntez i tak dalej. Sześciuset miliardami etatów krążą bezustannie patrole policyjne po wszystkich rubieżach i uchyłkach państwowości, nie znając snu ni odpoczynku. Nieźle to brzmi, nieprawdaż? Nie będziemy jednak ukrywali przed wami, że nie wszystko piękne w państwie siemskim. Największa nasza osobliwość, a zarazem kłopot w tym, że każdy obywatel obdarzony jest świadomością, i w tym oto małym palcu więcej mamy rozumu, niż go tkwi w niejednej szkole wyższej. Niestety, rozum ten nie może cały dojść naraz do głosu, toteż jedynie wokalne grupy dyplomatyczne akredytowane w jamie ustnej ślą wam pod dyktando parlamentarnej komisji do spraw mowy niniejsze wyrazy serdeczności i zamykają sprawozdanie z naszych dziejów braterskich pozdrowieniem w imieniu obywatelskich rzesz zajętych codziennym trudem na niwie organicznej. Gdybyście zapytali, czemu upadł duch w państwochodzie, jak to się mogło stać, że najwyższe władze zleciły spółkom doręczycielskim sięgnąć po kielich cykuty, odpowiemy szczerze: z przyczyn tak zewnętrznych, jak wewnętrznych, gdyż te i tamte stały się nie do zniesienia. Czy wiecie, na co nam przyszło po piętnastu tysiącach lat chlubnego budownictwa cywilizacyjnego? Dysponując tą jedną parą rąk, cóż z tego, że obsadzonych miliardami obywateli, zostaliśmy zmuszeni do koczowania pod gołym niebem i żywienia się korzonkami, nękaną przez triumfujące komary, aż podaliśmy im niesławnie tył, by oprzeć się dopiero w oślizłej jaskini, być może tej samej, którą przed eonami opuścił przodek nasz - troglodyta. Wszystko to, gdyż jego projektantom wydawał się państwochód takim monumentalnym ogromem, nieskończenie wręcz potężnym, że przygotowali dlań tylko garść narzędzi i rajtuzy, zresztą, jak okazała

przymiarka, ciasne wskutek błędu planowania, sądzili bowiem, że taki wielolud sam się z największą łatwością urządzi na planecie. Czy zresztą nie oddali nam w dziedzictwo całej siemiańskiej gospodarki? Ależ tak, cóż nam jednak z miast, w których ulice nawet pięty nie wetkniemy, albo z robotów mniejszych niż opiłki? W końcu, zaciąwszy zęby, dalibyśmy sobie radę z zewnętrznymi trudnościami, gdyby nie fatalny stan wewnętrzny państwa. Nikt, ale to nikt nie jest w nim rad posterunkowi, na którym go postawiono! Brać, dekować się, kwękać, żądać niemożliwości - oto ich dewiza! Jak ma parlament rozstrzygać niecierpiące zwłoki sprawy publiczne, jeśli kolana domagają się własnych oczu, dolne półkule grożą unieruchomieniem środków transportu, bo jakoby jest im zimno i twardo, a czy wiecie, co oznacza katar państwowy? Umielibyśmy się wszakże przeciwstawić nieodpowiedzialnym żądaniom i stłumić szalone apetyty, gdyby nie wywrotowcy skryci w izbach parlamentu, frońdyści podkopujący naszą świadomość państwowych spraw. Czy możecie sobie wystawić, czego się domaga ta nielegalna opozycja w dzień, a zwłaszcza w nocy? Objęcia w posiadanie ościennego państwa płci odmiennej - wtargnięcia w jego rubieże bez wszelkiej wymiany not, gwałtem! Ta okoliczność, że nie ma go i być nie może, ani o włos nie miarkuje zajadłych konspiratorów! Widząc, jak na nic wszelkie układanie się z nimi i perswazja, jak nam korumpują rząd wizjami zmysły mroczącej okupacji, jak prą do tego, by choć urojonym nierządem stał nasz państwachód na obu nogach, kiedy realnym nie może, rozpoznaliśmy w tych głosach duch przeklętego suwerena rui, markiza żądz podkopującego od wieków nasze osnowy, a skoro ów tyran, mimo wszelkich wysiłków naszych i własnych niestyran, nadal chce nami zawładnąć, teraz już pchając się do władz naczelnych, postanowiliśmy z nim i ze sobą skończyć. Po długotrwałej debacie wewnętrznej udaliśmy się tedy na pustynny płaskowyż, napełniliśmy sokiem jagód szaleju znalezioną pod krzakiem pustą cysternę mikrosiemiańską i przyłożyliśmy ją do ust, głusi na wrzask wewnętrznego rajfura, że jakoby z daremnej chuci, a nie z racji czystego stanu jest nasze państwobójstwo! Cysterna cykuty zadrżała wprawdzie w naszym ręku, przysięgamy jednak, że wychylilibyśmy ją do dna, gdyby nie mrozący wicher z wysokości, co runął nagle, uderzył i państwo nasze zapadło w lodowy sen, aby tu dopiero, w waszym życzliwym kręgu, rozewrzeć oczy...



POWTÓRKA

Zdarzyło się, że na dwór króla Hipolipa Sarmandzkiego przybyło dwóch misjonarzy konwertystów, aby głosić wiarę prawdziwą. Hipolip nie był podobny do innych królów. W całej Galaktyce nie uświadczysz drugiego monarchy tyle myślącego co on. Już pędakiem igrał złotymi mózdzkami i budował samodumki wolnomyślne, a tak słuchał mędrców, że gdy miano go koronować, chciał uciec przez okno z sali tronowej i uległ dopiero argumentowi, że inny może być gorszy. Mniemał, że dobre rządy to nie takie, które chwalą lub ganiają, lecz takie, których nikt nie dostrzega. Hołdował filozofii eksperymentalnej, w której o prawdzie decyduje to, co da się zrobić, a nie to, co da się powiedzieć. Bez lęku mogli więc obaj ojcowie konwertyści stanąć przed Hipolipem. Miary nie było ich radosnej zgrozie, gdy pojęli, że król nie to, żeby o Bogu - o żadnej religii jeszcze nie słyszał. Wiedzieli, że będą głosić słowo boże *in partibus infidelium*, ale żeby aż tak! Hipolip miał umysł w kwestiach wiary biały jak niezapisana karta, toteż zacni misjonarze aż nogami przebierali z ochoty nawracania. Zaraz też powiadomili go o Stwórcy Wszechmogącym, który w sześć dni stworzył świat, by odpocząć w siódmym, o chaosie, co latał przedtem nad wodami, o prarodnicach, ich upadku, wygnaniu z raju i o ponownym przyjściu zbawiennym, o miłości i łasce - a król wziął ich z sali audiencyjnej do prywatnych apartamentów i doskwierał im drastycznymi pytaniami, odpowiadali mu wszakże z cierpliwą wyrozumiałością, rozumiejąc, że nie są z kacerstwa, lecz z niewiedzy. Zafrapowany rewelacjami, jakie przyszło mu pierwszy raz słyszeć, kilkakrotnie kazał sobie powtarzać rzecz o stworzeniu świata, bo go wprost odurzała nowością. Wciąż pytał, czy ojcowie całkiem są pewni tego, że Bóg stworzył świat, by go zasiedlić? Czy nie mogło być tak, że celował Stworzeniem gdzieś dalej, a mieszkańcy bożego gmachu załęgali się w nim pokątnie, mimochodem? Miałże naprawdę ich Bóg na osobliwej uwadze, gdy brał się do dzieła? A oni, powściągając zgorszenie wywołane bezgraniczną, więc i bezgrzeszną naiwnością, poręczyli mu, że Bóg dla stworzeń swych świat stworzył, jako iż będąc miłością, nic nie miał na oku oprócz ich szczęścia. Wiadomość o tak silnych afektach Stwórcy dla Stworzonych wywarła olbrzymie wrażenie na Hipolipie. Pewne trudności powstały przy kwestii Szatana, albowiem król zachował się w roli nawracanego dość niekonwencjonalnie. Nie temu się dziwował, że Pan go toleruje, lecz temu, że się nim Kościół brzydzi. - Toż z nim jak z

kanalizacją - rzekł - przykre to, lecz niezbędne. Gdyby nie było Szatana, musiałby Bóg sam doglądać piekieł, co źle by się rymowało z jego nieskończoną dobrocią. Zawszeć poręczniej wydelegować kogoś do tak delikatnych spraw. Bo przy tym, jak jest, bez piekła ani rusz, toby trzeba od samego początku inaczej świat projektować. Więc powinien Kościół oficjalnie uznać nieodzowność szatańską. Ale w końcu pokonali jakoś złotouści ojcowie zastrzeżenia królewskie, wyprowadzali myśl nawracanego na czystą wodę i Hipolip w dwudziestym dziewiątym dniu nauk przyjął Dobrą Nowinę, popłakał się nawet ze wzruszenia, a dwaj misjonarze, też przejęci, ofiarowali mu twardo oprawny tom Zakonu, udzielili błogosławieństw i ruszyli ku nowym mozołom. A król zamknął się na trzy tygodnie w swych apartamentach, rady nie wzywał, posłuchań nie udzielał, raz tylko posłał po stolarza, bo się oberwał pod nim szczebel drabiny biblioteczej. Aż wyszedł jednego ranka do ogrodu, nowym okiem patrząc na najmniejszą trawkę, jako na boże dzieło, a wróciwszy do pałacu, kazał śłać zaraz samego Ontologa Królewskiego jako posła po sławnych konstruktorów omnigeneryków Trurla i Klapaucjusza, żeby się przed nim stawili - ale to natychmiast!

Przybyli więc obaj, zdyszani, bo tak ich pilił dostojny poseł, skłonili się przed tronem i czekali pańskich słów, przy czym Klapaucjusz szturchnął Trurla pod żebro, przypominając, co mu kładł do głowy na wyjezdny - żeby się nie wrywał jak filip z konopi, ale każde słowo obrócił trzy razy w umyśle, nim się odezwie. A najlepiej, żeby siedział cicho. On, Klapaucjusz, bierze już całą audiencję na siebie.

- Witam was, moi mili, i dziękuję za rychłe przybycie - rzekł Hipolip, prosząc siadać. - Słuchajcie pilnie, bo wielkie rzeczy mam na uwadze i siła od was w nich zależy! Niedawno nawiedziło mnie dwóch zagwiezdników, od których posłyszałem, że Kosmos to nie bezpańska rzecz, bo ma Autora. Jest nim Bóg, osoba, jak mi zaręczono, nader sympatyczna, w którą uwierzyłem bez zastrzeżeń, czego i wam życzę. Jutro wydám edykt, którego mocą każdy z mych poddanych otrzyma w kasetowym wydaniu Pismo Święte, lecz nie w tej sprawie was wezwałem. Już wiem, że świat nie jest wsobny ani odsiebny, lecz został sporządzony przez wytwórcę osobiście - jako mieszkanie dla istot również przez onego wykonanych. Tak więc Bóg zrobił swoje, myślę tedy, że i ja winienem swoje zrobić. Przybysze, którym zawdzięczam nawrócenie, namawiali mnie najgoręcej, żebym się odtąd najpierw troszczył o własne zbawienie, czego wysłuchałem bez przerywania, boż byłoby niegrzecznie, ale swoje wiem. Ja nie taki, żebym najpierw o sobie myślał. O ileż wszystek byt

ważniejszy jest ode mnie! Jemu więc chcę poświęcić odtąd resztę mych dni. Znam, mości Trurlu, twoje dzieło *De Impossibilitate Felicitationis Satiandae Entium Sapientium*, lecz nie poruszyło mnie szczególnie, bo i czemu, myślałem, niekiepsko ma się bytować w kiepskim świecie? Toż ostatnią rzeczą, na jaką gotowym był przystać, nim w Boga uwierzyłem, była zwrócona ku nam doskonałość kosmicznej budowli! Myślałem sobie wszakże, że skoro to się samo wszystko nagrzało, rozkręciło i wzleciało, to nie można mieć do nikogo pretensji o ewentualne mankamenty, a tym samym nie ma w defektach bytu żadnego problemu. Teraz jednak, skoro wierzę, już dłużej myśleć tak nie mogę! Zmieniła się postać rzeczy! Wierzę tedy, nie wątpię, że Stwórca jest nieskończenie miły, że nam sprzyja bez granic, że chciał jak najlepiej, będąc perfekcjonistą, ale nie wierzę, że nie można było tego lepiej zrobić!

- Czy WKMość dałeś to do pojęcia swym preceptorom duchowym? - spytał Klapaucjusz z dyplomatycznym ociąganiem.

- Co? Nie. Najpierw, bom nie chciał ich dotknąć, a potem, bo nie widziałem sensu w komunikowaniu im takich obiekcji. Toż to są biegli do spraw teologii, a nie technologii, mnie zaś idzie tylko o tę stronę bytu. Nie mówiłem im nic, tym bardziej że nie zamierzam brnąć w jałowe krytykanctwo, lecz jako rzecznik eksperymentalnej filozofii chcę zakasać rękawy. Wyznaję, przemknęło mi zrazu, by podreperować Stworzonych, bo to i materiałowo nie bardzo przyzwoici, i czynnościowo, żeby już nie wspomnieć o stanie przeciętnej inteligencji, alem wspomniał zaraz twoją rozprawę, panie Trurlu. Tyś nie ruszał świata, a jedynie lokatorów chciałeś remontować: wybac mi, zacny panie, toż postawiłeś rzecz na głowie. Do mieszkania lokatorów przykrawać - kto słyszał takie rzeczy? Zadanie opiewa odwrotnie! Chcę wyprodukować byt alternatywny.

- Król pragnie zostać neokosmicznym inwestorem, a nas wziąć na generalnych wykonawców?

- Dobrześ to ujął, panie Klapaucjuszu. Wiem, że wykonać nowy świat to nie to samo, co nową wialnię, lecz nie lękam się trudności obiektywnych. Gdyby stworzenie Universum było równie łatwe jak ulepianie garnka, ani sam brałbym się do niego, ani bym was nie trudził.

- Wybac, WKMość - rzekł Klapaucjusz - ale niejasne mi, jak, podając się wierzącym w Boga, chcesz skonstruować świat, sprzeczny z tenorem twojej wiary.

- Dlaczego sprzeczny? - zdziwił się Hipolip. - Inny, nie sprzeczny. Ty widzisz w moim zamyśle sprzeczność?

- Tak mniemam.

- Mylisz się i zaraz ci wyklaruję omyłkę. Czy wierzysz w istnienie latających aparatów?

- Wierzę, boż istnieją, panie.

- A w algebrę wierzysz?

- I ona istnieje. Wierzę. Wszakże można się o tych istnieniach przekonać namacalnie lub czynnościowo!

- Ej, ej - uśmiechnął się król - widzę, z jakiej mańki chcesz mnie zażyć, ale nic z tego. Wierzysz także i w to, czego nie doświadczyłeś i nigdy nie doświadczysz. Na przykład w istnienie liczb tak wielkich, jakich z pewnością nigdy się nie doliczysz, oraz słońc, których nigdy nie ujrzysz. Nieprawdaż?

- Istotnie.

- A widzisz. Owóż, czy od tego, że w to wszystko wierzysz, już byś nie mógł zbudować niebywalej maszyny latającej lub wykoncypować nowej algebry? Czy istniejąca algebra uniemożliwia ci wymyślenie innej?

- Nie, panie. Lecz sam mówisz, że Bóg sporządził świat z miłości do Stworzenia. Więc konstruując inny, tym samym odtrącasz bożą miłość.

- *Nego consequentiam!* Nic podobnego. Dajmy na to, że rodzic postawił ci dom. Czy z tego, że chcesz obok wznieść inny, wynika, jakobyś przestał szanować ojca lub aż wzgardził jego miłością? Co ma piernik do wiatraka? Nie widzę związku między mą budowlaną intencją a miłością Najwyższego. Chyba cię przekonałem?

- Odtrącasz przecie dar, doskonały podług twej wiary. Czy nie tak?

- Dlaczego aż odtrącam? Czy powiedziałem, że się chcę wyprowadzić z tego świata? Pragnę dokonać pewnej próby, to wszystko. Poza tym nie zapominaj, że i ja jestem częścią Stworzenia, a z siebie nie zamierzam zrezygnować. - Klapaucjusz skłonił się w milczeniu, a widząc, że Trurl otwiera usta, zręcznie kopnął go w kostkę. Król, który nie spostrzegł tego, rzekł:

- Przejdźmy więc do wytycznych! Jeszcze jako infantowi mówili mi preceptorzy, że świat jest sobie, a my, choć w nim, też sobie. Ani on dba o nas umyślnie, ani nam umyślnie szkodzi, bo nie został frontem do nas wzniesiony. Jeśli to i spiżarnia, to na pewno nie dla myszy postawiona, choć z niej profitują. Lecz skoro nie przeznaczona dla nich, to i nie dziwota, że półki zbyt wysokie, że się można utopić w garnku mleka i że trafiają się po kątach substancje niejadalne.

- A jak z łapką na myszy, WKMość? - nie wytrzymał Trurl. Hipolip się uśmiechnął.

- Myślisz diabła? To, panie Trurlu, ekstremista, bez którego się nie

można obejść! Diabeł w bożym dziele tym jest, czym regulator w maszynie parowej: rozleciałaby się bez niego! Uważasz? W pewnym wyższym sensie plus współpracuje z minusem, a chód dopóty równomierny, dopóki impulsy przeciwstawne się równoważą. Ale może później lub kiedy indziej o tym pogadamy. Przekonano mnie, że jest Ktoś nieskończenie dobry, kto wystawił nam kosmiczne kwatery, pilnując, by jak najakuratniej były zwrócone frontem ku lokatorom. Wszystko jest w bożym dziele dla jego mieszkańców, wszystko pasuje tedy jak ulał, precyzyjnie wymierzone, bo celowe, a jeśli coś gniecie, pije, dręczy lub nawet łupi ze skóry, to też jest przejaw krojcej życzliwości bożej, tyle że maluczki lokator nie od razu umie się w tym wyznać. Teologowie mu pomogą: byt wprawiony w materię jest segregatorem dydaktycznym, czyli właśnie wialnią odsiewającą ziarno od plewy. Ponieważ uwielbiam wprost naukę, urządzenie świata jako wszechnicy z egzaminami konkursowymi wprost nadzwyczaj mi się uwidziało. Wszakże, ledwie opuścili mnie dobrzy ojcowie, zauważyłem z niepokojem, że nie tylko ten świat, lecz w ogóle każdy da się uznać za dar wszechmiłości. Wystawcie sobie świat, w którym wszystko boli. Kto tam pomyśli literkę, stęknie, a kto cały alfabet, już niemal kona. Nawet kiedy o Bogu pomyśli, to też jakby zeń pasy darli. Niechaj skowyczą tam, aż się od tego trzęsą słońca i żar leci im łuską z przepalonych boków. I cóż? Czy nie można chwalić i takiego świata, powiadając, że ten ból życzliwy, bo nagli do rajy, a przy okazji uprzytamnia piekielne przykrości, więc odstręcza od grzechu? I czyż w ogóle można pomyśleć świat tak potworny, żeby już nikt a nikt nie był w stanie nazwać go skutkiem nieskończonej życzliwości Stwórcy? A gdyby to nawet szczere piekło było, też da się utrzymywać, że to jedynie makietka, a prawdziwe piekło jest gdzie indziej i o wiele gorsze. Udowodnij mi, proszę, że tak nie jest! A zatem widzicie, że można wprawić teodyceę w każdy typ świata i głosić, że kto ufa Bogu nawet wtedy, gdy zeń od tej ufności wióry lecą, tym zarabia najpewniej na światłość wiekuistą. Owóz pochwały, co do wszystkiego pasują, nie nazbyt wiele są warte...

- Czy król i to mówił swym ojcom duchownym?

- Słowom królewskim należy przysłuchiwać się z uwagą, mój panie. Powiedziałem, co mi przyszło do głowy po odjeździe zacnych ojców. Myślę sobie, że nasz świat nie jest jedyny. Pewne dane po temu można znaleźć w Piśmie. Weźmy chociażby sąd ostateczny. Ostateczny, a więc po nim już nic ciekawego jako radykalnie nowego nie nastąpi. Jakże po końcowym bilansie nie miałby Pan już niczego nigdy przedsiębrać? To nie do wiary. Prawdziwy twórca nie zadowoli się jedną kreacją.

Oczywiście, światy nie całkiem udane to dlań trudny dylemat. Zachować źle i unicestwić niedobrze, bo właściwie jakim prawem? Zdaje się, że próbował zrazu pewnych usprawnień, tak zwanymi cudami, ale potem dał im spokój...

- Czy WKMość słyszał o kacerstwie i herezji?

- Cóż się tak przypiął do mnie z pytaniami? Myślałby kto, że stoje już na sądzie biskupim. Owszem, słyszałem o apostazjach, ale one idą zawsze z niechęci ku Stwórcy, a ja, na odwrót, chcę mu pospieszyć z pomocą.

- Panie - rzekł, pochrzając Klapaucjusz - znajdujemy się wewnątrz nader delikatnej, a wręcz drażliwej egzegezy teologicznej. Obawiam się, że król nie tych, co należało, wezwał biegłych...

- Mylisz się. Przecież ani nie odstępuję od wiary, ani nie myślę jej reformować. Nie zmierzam ku apostazie, lecz ku genezie.

- Ale bo - zaczął Trurl, lecz Klapaucjusz nastąpił mu na nogę i skłonił się królowi, mówiąc:

- A więc dobrze! Jakie Universum życzy sobie WKMość?

- To właśnie należy obmyślić! Podług teologów dwa ograniczniki umieścił Bóg w swym dziele. Jeden na zewnątrz Stworzonych, a drugi - w nich samych. Bóg wszystko słyszy, lecz nie odpowiada. Dawniej pono konwersował, lecz jakoś przestał. Tak zatem bezpośrednia łączność z Bogiem jest jednokierunkowa. Druga zaporą ma subtelniejsze zastawki. Bóg to taki inżynier, który sporządzając innych inżynierów, już na rajzbracie tak ich ograniczył, żeby nie mogli z nim współzawodniczyć stwórczo. To mówili mi moi nauczyciele, wydało mi się wszakże owo ograniczenie tak dziwne, że próbowałem zbić ich z tego pantaląku, lecz stali przy swoim. A wszak współzawodnictwo nie musi wypływać z niskich pobudek. Wynalazca nowego leku nie stwarza go po to, żeby usunąć w cień wynalazcę leku istniejącego, lecz by skuteczniej zwalczyć cierpienie. Dlaczego więc kreator nowego świata miałby go obmyślać przeciw kreatorowi świata już gotowego? Podług misjonarzy Bóg podejrzewa każdego, kto chce wejść z nim w szranki kreacyjne, o brzydkie uroszczenia. Że to nie idzie mu o świat niekiepski, lecz o tron niebieski, sądzę jednak, że Bóg jest osobą daleko skromniejszą i dlatego właśnie bardziej ujmująca, niż chcą teologowie. Jak wiadomo, dzieło mówi o budowniczym więcej, niż jego chwalcy. Jeśli obejrzyć uważnie świat, widać, że został stworzony nader dyskretnie, wręcz anonimowo. A czyż nie można było umieścić w każdej trawce znaków firmowych? Nie okólników-ogólników, nie komentarzy (wszak Pismo to komentarz do

Stworzenia), lecz oryginalnych znaków poświadczających wprost autentyczność bożego autorstwa! Próbowałem sugerować bożą skromność jako przyczynę anonimowości kosmicznej przygotowującej teologów o ciągłe migreny. Bóg zataił swe autorstwo tak świetnie, jakby go wcale nie było - i gdzież by to spowodował przypadek? Schował się, bo chciał się schować! To mi się podoba! Taką dyskrecję rozumiem! Ale mnie zakrzyczeli. Podług nich Bóg daje nam światem szkołę z miłości, a schował się, żeby dać nam zupełną wolność. Dopóki ogrodnik na widoku, nikt nie pcha się na jabłoń. No, ale jednak tego, kto by używał tej wolności, ile wlezie, diabli wezmą. Jakaś wątpliwa mi w tym pedagogika. Dawać po to, żeby nie brali - cóż to za dawanie? A jeżeli biorą nie z niegodziwości, lecz z rozpędu? Jeżeli nie są wolni jak żywiół, lecz jak wybita ośka, która lata na wszystkie strony, bo taki mają obluzowany charakter? Tak pytałem patrów, a oni na to, że kto zadaje takie pytania, ten szaleje bądź grzeszy, czyli bałwan lub łotr, co się zaś tyczy Pana Boga, zawsze wie lepiej. Może być. Powiedzmy. Pana Boga nie tykam, ale od was nie przyjmę podobnych usprawiedliwień. Mówię to wam z góry, żeby potem nie było jakichś nieporozumień. Daję wam plenipotencję, stwarzajcie śmiało, lecz nie byle jak! Wszystko ma być wykonane solidnie, z optyimizacją ciągłą, a nie uchybową... pojmujecie chyba, do czego piję? Uchybowym optyimizatorem jest Szatan jako regulator-instygator, bo najpierw instyguje do złego, a potem nadstawia otchłań. Prosiłbym uniknąć takiego ekstremizmu.

- Jeśli zebrać słowa WKMości, to takie powstają wytyczne - rzekł Klapaucjusz. - Skoro Bóg zablokował łączność, to my ją otworzymy. Skoro był autorytarnym centralistą, to trzeba kreacji demokratycznie zdecentralizowanej. Demokracja zaś oznacza równość. Każdy mieszkaniec naszego Universum będzie mógł podług zachcenia stwarzać sobie światy, jakie mu się spodobają. Czy tak?

- Uchowaj Boże! - zawołał Hipolip. - Zupełnie nie tak! Jakżebym mógł zacząć demokratyczną kreację od wydawania wam ścisłych rozkazów? Nie byłaby to *contradictio in adiecto*? Dziwię ci się, panie Klapaucjuszu, żeś mógł tak o mnie pomyśleć. Nie uważam też, że Bóg ze wszystkim zakorkował przed nami światostwórstwo, boż podług tej myśli nie mógłbym się brać do roboty. Nie nalegam też zbyt na łączność, bo pierwszej zaludnijcie mi ten nowy świat, a zobaczymy, czy jest tam z kim gadać. Duch duchowi nierówny, moi panowie, wy, coście ich kopy sporządzali, dobrze o tym wiecie. Nie sztuka dać dostęp do siebie byle sfuszerowanej istocie gwoli reklamom i pretensjom. Sztuka nie

fuszerować!

- To już nie wiem - wybąkał Klapaucjusz. - WKMość dajesz nam zupełną projektową swobodę? Mamy sporządzić byt doskonały podług naszego uznania? Ehem, jak by rzec... uczciwszy majestat i uszy, będzie to duumwirat, a nie triumwirat, skoro my mamy zrobić wszystko, a najjaśniejszy pan nic.

- Co znowu? Jakże nic? - zaśmiał się król. - Wszak to ja będę decydował o tym, czy się wam Stworzenie udało! Zresztą nie skończyłem. W szczególności wchodzić nie myślę, ja na waszym miejscu wypróbowałbym rozmaite prototypy, a potem wszystko najlepsze związał bym w jeden supeł, ale to już wasza rzecz. Ot, czego chcę najpierw: abyście wprowadzili sprawiedliwość w trwanie! Jego nieodwracalność to, powiedzmy wyraźnie, skandal. Cokolwiek raz się stało, już się nie odstanie. Komu bliźni zrujnował doczesność, ten w rekompensacie otrzyma światłość wiekuistą. Lecz przecież jutrzejsza kiełbasa nie nasyci wczorajszego głodu, nawet jeśli by miała być nieskończonej długości. Nie takiej pragnę arytmetyki, bo nie widzi mi się dodawanie, w którym przyszła perfekcja z nawiązką anuluje przeszłą paskudę. Nieodwracalność czasu - oto naczelna nielojalność bytu! Wszak wiadomo, że kto zaczyna żyć, sam sobie szkodzi nieobytem w bycie, a kto kończy, ten wprowadza już wie, co do czego i jak, lecz na ogół za późno. Boży zaświat to taka stacja ostatniej obsługi, na której niczego się nie naprawia, a tylko segreguje: między anioły lub do smoły. No, a tej strony rzeczy, że zło może być skutkiem nieubłaganej natury czasu jakoś nie bierze się pod uwagę. Weźcie się do czasu, mówię wam. Kto raz upadnie, będzie to mógł anulować, a jeśli się za pierwszym nawrotem nie poprawi, to po dwudziestym czy po setnym znudzi się albo i wydobrzeje.

- Tak! Można zrobić Universum anizotropowe! - zakrzyknął Trurl, który nie był już w stanie dłużej milczeć. - Świat anizotropowy ze wstecznym biegiem czasu, włączanym w szczególnych miejscach, zwanych osobliwymi punktami *continuum!*

- Czemu tak? - zainteresował się król.

- Bo tym sposobem uniezależni się władztwo nad czasem od stopnia technicznego rozwoju - wyjaśnił Trurl, promieniejąc, że na to wpadł. - Będzie to własność tego świata równie powszechna, jak w naszym powszechnie jest ciężenie! A co znaczy „powszechnie”? Demokratyczne!

- Rozumiem. Nieźle to wygląda. Kiedy pokażecie mi prototyp?

- Bodaj we dwa tygodnie, panie. Co? Jak myślisz? - spojrzał Trurl na kolegę. Klapaucjuszowi nie w smak była tak raptowna decyzja, ale

dość miał audiencji, skinał więc tylko głową.

Wracając, klócili się zawzięcie. Do upadłego spierali się też podczas roboty, lecz terminu dotrzymani. W umówionym dniu przybyli na dwór królewski, ciągnąc małą dwukółkę zawaloną aparatami i narzędziami. Na samym wierzchu stały skrzynie połączone kablem. Zaraz przybiegł król i w sali audiencyjnej, pośród złocen, spłowiałych sztandarów i herbów dynastycznych poustawiali na podłodze aparaty. Klapaucjusz dokręcał śrubki, a Trurl gadał jak najęty:

- W tym większym pudle jest zasilanie, a w mniejszym świat! Takuteńki, jakim zapowiedział najjaśniejszemu panu: anizotropowy, z punktami osobliwymi, w których można przerzucać biegi, a dostęp do tych punktów jest równy i powszechny... Umyśliliśmy też, panie, wykonać kilka osób, które w przyszłości posłużą nam do próbowania następnych uniwersów... Wolę mają wolną, każdy robi to, co mu się żywnie podoba, nie dajemy im nastawień, nie zawężamy ich w niczym, żeby można było polegać na autentyczności ich zachowania... Oczywiście, żaden z tych osobników-próbników nie może być idealnie taki sam w każdym świecie, boż radykalna przeróbka ontologii narusza też fizjologię, zadba się wszakże o zachowanie inwariancji jako tożsamości, w przeciwnym razie bowiem niemożliwe byłoby porównywanie esencji z egzystencją w tych wszystkich światach...

- A jak można tam zajrzeć? - pytał król, patrząc na gorliwą krzątanicę Klapaucjusza i wciąż przeszkadzając, bo mu się nogi plątały w porozrzucanych przewodach.

- Na razie użyjemy prowizorki. Zakładamy na egzystoskop pseudokryształ, laserowy sygnał wzmacnia kaskadowo na wyjściu, no i zwyczajnie już, rzutnikiem, gdzie bądź... a choćby na tę ścianę...

- Można! - rzekł Klapaucjusz, wstając. Trurl przytrzymał w garści słabo kontaktującą wtyczkę, bo nie miał pod ręką taśmy izolacyjnej, i tak zaczęła się projekcja. Alabastrowe płyty między pilastrami poróżowiały, wpłynął na nie obraz, zrazu nieco rozmazany i chwiejny, ale zaraz się wyostrzył. I widzieli, jak pewien feudał, niejaki Marlipont, wyruszając na wyprawę krzyżową, zalecał małżonce dochowanie wierności, będąc zaś z natury podejrzliwcem, zamknął ją w narożnej baszcie zamczyska i jeszcze za jej okutymi dźwierzami posadził zaufanego sługę z mieczem. Dla większej pewności zlecił przykuć onego sługę za nogę do muru pod wykuszem, by nie mógł zejść z posterunku. Klucz wraził pod pancerz, w zanadrze, molestacje sługi choć o beczkę piwa słodowego pomiął milczeniem, wsiał na koń i pognął za kurzawą szyków. Jeszcze kurz się

nie położył, jak Kręślin Szcządry, jego sąsiad, który będąc libertynem, nie pociągnął na wyprawę, jał się wspinać po bluszczu na basztę, w której urodziwa Cewinna feudałowa Marliponcka przedła mech, bo len jej wyszedł, a nie mogła posłać za nowym, będąc uwięzioną.

Mniej więcej na wysokości drugiej kondygnacji oberwał się bluszcz słabo wrośnięty między głazy i runął wraz z Kręślinem libertynem na kamienisty podwórzec, od czego niedoszły amant obie nogi złamał. Z największym trudem, ale i pośpiechem poczołgał się Kręślin, jęcząc z bólu i klnąc w żywy kamień, ku fosie, gdzie go wierni pacholkiowie z końmi czekali, kazał się im ułożyć w kolebce między dwoma jucznymi i gnać z kopyta do sadyby Trzeszczypała Suwy, starca, który miał w pieczy wioskową tempornię. Przybywszy do niego, najpierw prośbą usiłował go skłonić nieszczęsny junak, by przełożył dźwignię wstecz, a kiedy ów nie chciał, zasłaniając się rozkazem marliponckim, Kręślin położył na niechlujnym zydlu worek twardy od dukatów uciulanych na tę ewentualność, od czego Suwa zaniewidział i podtrzymywany z boków przez sługi mógł Kręślin wejść pod daszek osłaniający czasownię, gdzie sterczały lewary. Cofnął główny i zaraz mu się nogi zrosły, bo odwróconym trybem z poniedziałku pechowego wpadł w pozaprzeszłą niedzielę. Dał lekko do przodu, lecz nie nazbyt raptownie, z takim pomysleniem, żeby bluszcz zdażył się pierwiej porządnie rozwinać, więc przyspieszając trwanie, pozierał w okna, czy deszcze padają, nader korzystnie wpływające na korzeniowy system roślin.

W sześć minut odczekawszy roztropnie dobre dwa tygodnie, dał czasowi zwyczajny bieg i co koń wyskoczy pomknął ku wieżycy. Bluszcz okrzepły doskonale wpił się korzonkami w szpary głazów, w oknie nie było nikogo, nuż tedy Kręślin do liściastych pnaczy i na górę. Chybnął w okno. Cewinna jak raz czesała włosy przed srebrną gotowalnią, więc ją zaszedł z tyłu i wziął w objęcia. Drożyła się, ale bez przesady. Gdy ich złączył uścisk, zahurgotały na kamiennych schodach żelazne kroki męża, który wrócił się niespodzianie, bo był zapomniał prosić żonę o przepasanie szarfą na wojackie szczęście, skoro wszyscy inni mieli takie szarfy. Nie zdażył Kręślin dopaść okna, jegiery przeszkodziły, gdy wszedł mąż zbrojny i na tyle bystry, że już chyłac się w drzwiach, by nie rozbić łba o nadproże, wyzgrzytał szablisko z pochwy. Bezbronny Kręślin podał mu tył, za bluszcz, i jak tylko prędko mógł, obsuwał się, małżonek Cewinny zaś, rycząc niczym bawół, przepchał z największym trudem i zgrzytaniem zakutą pierś przez wyzior okienny i jak nie pocznie ciąć, siec, rąbać bluszczowe sploty. Zaraz puściły i Kręślin runął jak kamień.

Lecąc, dość miał przytomności dzielny, choć pechowy zalotnik, by co tchu krzyknąć Cewinnie, niechaj sama następnym razem pamięta o szarfiel!

Teraz gorzej poszło Kręślinowi, bo odwróciło lecącego na przyporach i głową huknął w podworzec, od czego się uszkodził na rozumie. Zipsiał jeszcze, więc znów cisnęli go słudzy do przezornie narychtowanej kolebki i wpierv cwałem, potem rysią pomknęli do starego Trzeszczypała. Zanim Marlipont, łomocząc wewnątrz baszty niczym oberwany kamień młyński, wypadł na dwór rycząc „Konia!! Królestwo za konia!!”, w temporni pociągnął Kręślin omdlewającą prawicą właściwy lewar i to tak rozpaczliwie, że przeleciał wstecz z kwietnia w styczeń. Zimno było czekać w nieopalanej temporni na wyprawę krzyżową, dał więc małą naprzód po same idy marcowe i znów do bluszczu.

Może Cewinna dosłyszała, co wołał amant lecący z baszty na łeb, a może Marlipont zrezygnował tym razem z szarfy, dość, że gdy stanął Kręślin naprzeciw swej złotowłosej, cicho było na schodach jakby i stary sługa uświerkł już z głodu. Przecież rozważny Kręślin zasunął rygle, nim otwarł ramiona milej. Namiętna, zapamiętała była ich miłość w baszcie, nie słyszeli puszczyków ani nawet burzy, co przegrzmiała pod północ. Kręślin zerwał się z zorzą, przerzucił bez słowa nogi przez parapet, szust po bluszczu na podworzec, w siodło i cwałem do temporni. Pokrzywy wokół jak las, w środku cicho, lecz okazał przezorność: przytrzymując niedopięte hajdawery

poraczkował ku wrótni, łypiąc na wsze strony - i słusznie, bo nad uchem huknął mu samopał zastawiony w tym czasie przez niewiadomego. Wtedy dopiero kopnął drzwi i do lewara. Uczynił ze świtu zmierzch poprzedniego dnia, ustawił dźwignię pośrodku i nuż się krzątać.

Zadzierzgnął pętliczkę na wyświechtanej rękojeści, i to pod blatem stołu, sznur na krokiew, z krokwi przez dziurę w dachu na kalenicę, z kalenicy pod okap, tu uwiązał drugi koniec sznura do pustego wiadra, wiadro pod dziurawą rynnę, jeszcze śmieci nagarnął, przytrząsnął nimi sznur idący od lewara, plunął w garście, na siodło i galopem do baszty.

Najmocniej dziwił się temu pośród widzów król jegomość.

- Na cóż on taki? Albo mu następny dzień z nocą gorszy?

- Zważ, miłościwy panie, że on zwykły wstecznych czasów, jak wszyscy tam! - wyjaśnił przystępnie Trurl. - Toteż wie, że cofnąć się dla repetycji miłych chwil nic nie kosztuje, natomiast nie wypróbowana przyszłość może kryć w sobie niewiadome kłopoty!

- A co z tym wiadrem?

- Zapamiętał, że deszcz padał nad ranem! Gdy znów, to znaczy jeszcze raz, lunie o przedświcie, wiadro napełni się, pociągnie sznur i lewar, przez co samo się wszystko powtórzy...

- Widać, że bywały czasowiec - wtracił Klapaucjusz. - Zamaskował sznur! Gdyby kto tam nawet i wszedł, może nie zauważy...

Tymczasem noc miłosna miała się znów ku końcowi i zbierało się na deszcz, aż tu hałas kopyt i szcęk oręża wyrwały ze snu kochanków. Skoczył Kręślin bosko ku oknu i widzi, że źle: na dole kupa zbrojnych, sześciu Marliponckich szwagrów, co mieli dać baczenie na majątek i na Cewinnę, a przyciągnęli, bo ich dobra o dwieście stajań, więc już w sąsiedniego powiatu temporni. Co robić? Chyba wyziorem armatnim obsunąć się prosto w fosę...

Wymknął się strwożonej Cewinnie, wczepił garście w tęgie sploty listowia i jechał już na dół, aż zawrzasnął z bólu. Patrzy, a to nie noc, lecz dzień, on nie na górze, lecz na głazach z połamanymi nogami, a nad nim Marlipont w blachach ryczy:

- A łotrze, a zdrajco, oczajduszo! Myślałeś mię przechytrzonym, alic tak mi daleko do temporni jak tobie, cudzołożco! Czekał, teraz ja cię popieszczę! - Na jego znak niosą pałubę żelazną, kowaną, stawiają, otwierają, a w środku gwoździami cała wybijana - oj, bardzo źle! Kręślin dobrze zna ten instrument! Usilnie wypatruje deszczu - pierwsze krople padają, ale tyle tego, co kot napłakał... Już go wzięli za kark, za ciasnochę, pchają go pachółkowie do żelaznego wnętrza, a tam ćwieki jak brzytwy, niech jeno zatrzasną, a... Huknął grom i leje jak z cebra.

- Nic to! Nie zważać, psubraty! Prędzej tam, nie certolić się, zamknąć, ryglować! - komenderuje Marlipont, a zęby świecą mu przez kratę przyłbicy. Oberwanie chmury! Żeby tylko sznur cały był - Kręślin udał słabość, wali się, leci drabantom przez ręce, mozolą się, już pierwsze ostrza poczuł plecami, wrzasnął - i rymnął jak długi.

Mrok i cisza. Deszcz siąpi. Obmacał boki: całe. Nogi: prostszych nie znajdziesz. Gdyby nie wiadro - pomyślał - byłoby już po mnie. Durnyż ten Marlipont! Nie był ciekawy, co za sznur, skąd, nic, dzięki ci, Panie, żeś mu rozumu nie dał... Co teraz? Gdzie ja? Tam fosa. Mur. Baszta. Cewinna? Nie do niej teraz! Szalony z wściekłości Marlipont musiał pognać do temporni, więc za nim, żeby nie zdażył.

Największym pędem puścił się Kręślin, ale niebawem postrzegł, że jakoś coraz wolniej bieży. Co jest!? Kroki małe jakies. Mocny Boże - nogi się skurczyły! Poszukał wąsów na twarzy - nie ma! Ani chybi Marlipont już w temporni i nie to, żeby tydzień, nie żeby mu rok ujął, ale dobry

dziesiątek lat, mleko pod nosem, teraz będzie mię szukał, aby jak szczenie utrupić...

Więc jak! Co robić? Na wieś, wetrzeć się w bosą dzieciarnię, podły stan, niemowę, głuptaka udać? A nie pozna, nie wyłowi mąż zazdrośnik? Stary on, to mu teraz będzie dopiero na trzydziesty szło! Biegł jednak, wciąż w stronę temporni, aż zobaczył łunę. Wieś się paliła. Jeszcze sobie sprawdzał na palcach, ileż to lat liczy teraz Cewinna, Cewinka raczej. Dwanaście...? To u ojca, margrabiego Hamsterbandzkiego, lalkom krynolinki szyje... Ależ łuna! Żeby tylko tempornia nie... Już był w opłotkach. Pali się chałupa Trzeszczypałowa, kmiecie w świtkach ciągną dobytek ku polom? Oj, nie dobytek, to zbrojni pobici, hołota im buty ściga... Rabuje, jak zwykle na pobojuwisku... Pokotem leżą. Kto zacz? Dlaboga, barwy Marlipontowe, a tam z ognia wypada sam Marlipont, bezoreźny, spieszony, bez misiurki, rwie aż blachami dzwoni, bo za nim konny szwagier i drugi też, z mieczem w ręku! To tak... widać im się majętność zwidziała, z opieki uczynili zajazd... wszakże tylko kiep tak sobie fortunę koryguje, nie rycerz Chronosa...

Ściągnął Kręślin suszące się gacie, jubki kmiece z płotu, do studni, z wiadra je obchlusnął, na łeb cieknące szmaciska, i do temporni, co już buzowała. Osmoliło mu brwi, żar zatchnął, a tu drzwi jakby od środka podparte - niedobrze! Smyrgnął w opłotki, dzieciak zawsze uwinie się prędzej od dorosłego, wyrwał pierwszemu leżącemu krócićę zza pasa, proch na panewce jest? Jest! Przyskoczył do okienka, z tej strony dyle tylko dymiły; alic po strzesze pierwsze błękitne płomyki latają, podniósł się na palcach, wejrzał do środka, tam Suwa z gardłem poderżniętym, z nogami na drzwiach, przez to nie puścili...

Nie miał innego sposobu. Wycelował w płonąca rękojeść lewara. Żeby ino nie za wielki impet, bo do tyła cofnę, że szczęną i nie będzie mnie na świecie, ach diabli nadali! Tyle pomyślał, gdy wygarnął. Huku już nie posłyszał. Leżał na wznak, patrząc w nieobjemne, chmurno szarzące niebo. Wiatr szumiał, cicho było i pusto. Bał się ruszyć. Jeślim osesek, to jakże do dźwigni doleżę? To była jego pierwsza myśl. Dotknął twarzy. Znówem gołowąs, ale zęby w gębie są. Dobre i to. Nie mleczone aby? Nie mógł się doliczyć trzonowców językiem.

- Saperlipopette! - spróbował rzec głośno. - Wyszło - a więc nie srajdami!

Skoczył na równe nogi i ku temporni. O niej myślał, nie o sobie, nie wiedział, czy ma osiem, czy czternaście lat! Musiał leżć ku dźwigni po stołku (był jednak impet w kuli!), ucapił się rękojeści oburącz, mało,

naparł całym sobą do przodu - i wrzasnął od zaskoczenia, bo aż huknął ciemieniem w strop, nie zeskokczywszy w porę ze stołka, rosnąc... Zmacał najpierw guz na głowie, potem wargi: nie masz czasomierza nad zarost! Dobrze jest, wás się sypie!

Zatrzymał czas w środku nocy. Żebyż to można ćwierćwiecze cofnąć, tam gdzie Marlipont i szwagrowie jeszcze od ziemi nie odrośli, oj, byłoby cudnie... Lecz wtedy nie to, że zniemowleję sam, ale wprost zniknę, jakby nigdy mnie na świecie nie było. Oj, szkoda, gołymi rękami wybrałbym ich z kołysek. Do przodu też nie lza dać nadto, bo i Cewinna zmatronieje i nie wiadomo, czy nie stoi kto tam w przyszłości nad lewarem, wznosząc miecz do cięcia - zdarzało się i takie!

Nie wiedział, co czynić, a tu ktoś jął się dobijać do drzwi. Były zaparte dylem, więc krzyczy tam basem na jakichś swoich, żeby duchem taran nieśli! Cofnął więc prędko Kręślin czas o tydzień i znowu już nikogo nie ma. Jam pan czasu, ale nie mogę się stąd ruszyć na krok, to mi piękne panowanie! Złapał Kozak Tatarzyna... Jakże, mieć tempornie za więzienie do końca dni lub tam i sam huścić się z *plusquamperfectum* w *futurum*? *Impossibile est!* Toż wnet tu z głodu uświerknę! A tu znowu ktoś maca zasuwę od zewnątrz i szept się niesie: „Puść miły, to ja, Cewinna!”. Przywiązał ostrożny Kręślin sznurek do rękonożki i pilnie zerka w szparę. Jeśli nie ona, pociągnę, nim tamten wypali przez deski, a niechby nawet, to waląc się trupem, sznur szarpnę, nazad pchnę byt i zmartwychwstanę! Rozmaicie z tym bywa. Nieraz, gdy bieda przyciśnie i stoisz, wzięwszy lewar na siebie, aż czas furkoce, gnając wstecz, pod nogami, po kątach, u ścian wyłaniają ci się skrecone trupy, ozywają w odwróconej agonii, drapią pazurami dyle zakrwawione i czezną jak dym, a gdy stał tak raz, dwu śmiertelnie szczepionych ze sobą wywaliło się z czasu i huknęli go w bok, że o mało nie wypuścił rękonożki. Nie, to naprawdę Cewinna. Wpuścił ją, skoczyła mu na pierś: „Ratuj! Zrób coś, żeby go nie było, żeby się nie urodził, patrzaj, jak mnie bije!”. Pokazuje siniaki na ramionach, szramy... Najpierw kazał jej przynieść sobie krztyne jadła, choć jęczmienny placek, przydałaby się i gomółka sera... Ledwie wyszła, zamierający tętent, chrapanie osadzanego wierzchowca, znowu? To się dopiero wściekł, poznając głos Marliponta, na czele pogoni za umkłą Cewinną, więc cofnął czas o rok - musiał! Już znowu ni strawy, ni napitku. Manewrował i tak, i siak, aż znalazł się w okrażeniu - bo to i szwagrowie, i Marlipont ze swą zgrają, i sam burgrabia, i żebracy, i donosiciele królewscy, i oficerstwo garnizonu fortecznego (ciury armaty zataczają!), i jacyś miastowi z najemnymi, co chcieli anulować interes ze

zbożem, i zbóje, hurma narodu koczuje wokół temporni, biorą go na przetrzymanie, już starców ściągają, zbroją ich, a zarazem na przeciwny wypadek maluchów gromadę musztruują, ucza muszkietami obracać, tak z obu czasowych stron biorą w potrzask nieszczęsnego Kręślina! Starcom tyłem nie umknie, a smarkaczom przodem. I wołają: „Okrażonyś waść, parol, na parol rycerski wychodź”, bo się boją, żeby lewarom czegoś nie uczynił w desperacji - i to się trafia. W samej rzeczy, mając do wyboru dyby (a tamci o to się już wadzili, czy ma iść w miejskie dyby, czy w burgrabiowe, czy do Marlipontowego loszku, czy do szwagrów) lub nicość, hańbę albo honorowy kres, wybrał dzielny, niedopieszczony kochanek Cewinny straszniejsze, wzniosłe wyjście. Dał całą wstecz, pierwaj wszakże przytroczył sznurem lewar do belki w kącie: zginę, aliści czas dalej będzie mknął wstecz, wszystkich w niebyt wraz ze sobą wtrącę!

Znikł prędzej niż obłoczek mgły na wicherze, a z nim i tamci. Dopiero gdy w dawniejszych wiekach sznur zetlał, dźwignia sama wróciła do środkowego położenia. A już puszcza rozrosła się wokół temporni, okamgnieniem stanął nieprzebyty las, żubry czochrały się o węgiel, szły miesiące, odbity od stada włochaty nosorożec wlaź, rycząc, wywaliwszy spróchniałe drzwi, i jak dym szczeł, gdy bodnął lewar rogiem - zamiast dębowego matecznika z rzadka na mokradle rododendrony i paprotniki nagozalażkowe, najwyraźniej epoka zwana karbonem: ni ludzkich osad, ni samej temporni, nic, jeno punkt osobliwy, nad którym tęczowo drżało i gięło się powietrze...

Trurl wyłączył rzutnik, ściągał przewody, a król, nic nie mówiąc, usiadł na tronie, ale widać było, że nie nazbyt zbudowany tą projekcją. Klapaucjusz odchrząknął.

- Nie chcąc nużyć WKMości, w trzy słowa ujmę rzecz. Proces, jaki WKMość widział, jest typowy. Intryga była błaha, lecz czy taka, czy inna, zawsze zmierza ku podobnemu finałowi. Działania antagonistów zawsze ściągają się na coraz krótszym promieniu ku centrum, jakim jest punkt osobliwy, czyli miejsce, z którego można zawiadywać biegami czasu. Jeśli zasięg pojedynczej temporni uczynić wielkim, jeśli tym samym mało ich na planecie, to mało będzie też i ośrodków walki. Jeśli zasięg mały, centrów sporo i odpowiednio też ognisk starć więcej. Nic to jednak nie zmienia w istocie rzeczy. Można uczynić tak, by zwrotniczy czasu nie zostawał sam zagarnięty przez wywołaną zmianę. Lecz i to niczego nowego nie wnosi. Wtedy bowiem osobnik, co znalazł się w czasowni jako ostatni, zostaje zmuszony do ucieczki w przeszłość nader zamierzchłą, a

ponieważ władztwo nad czasem nie może być obojętne żadnym ludziom, logika konfliktu zniewala go ujść w erę zupełnego bezludzia. Tym samym ulega on wytrąceniu z historii i nie bierze więcej udziału w walkach o czasownię. Jeśli na planecie znajduje się tylko jeden punkt osobliwy, powstaje na niej jedno mocarstwo nękanie ruchami odśrodkowymi oraz centralnym zmaganiem o zawładnięcie sterem czasu, przy czym zalecenia najmędrszych osób sprowadzają się do tego, by uczynić punkt osobliwy niedostępnym dla nikogo, na przykład poprzez wtłoczenie go eksplozjami w głąb planetarnej skorupy. Jeśli zaś wprowadzić zamiast punktów osobliwych czasownictwo pod postacią chronomocji, powstają chronoklazmy, eskapady, wyprawy łupieżcze, pojawia się konkwistadorstwo temporalne i chroniczny gangsteryzm, jako też próby monopolizowania chromocyjnych technik, zawsze nieskuteczne, boż co jedni odkryli, inni potrafią też prędzej czy później powtórzyć. Gdy zaś wziąć na rozruch nowożytność, przychodzi do wojen w czasie. Myśl strategiczna w tym, żeby okrążyć przeciwnika od strony przyszłości i spychać go na dno rozwoju - w przeszłość - czyli znów zaczyna się regres. Kto ma w rękę czas, ten ma władzę, więc toczy się o nią walka potęgowana wykrywaniem nowych taktyk ataku i obrony w czasowym wymiarze...

- Jak widzę, odwracalny czas to źródło nowych bied, nie korzyści - rzekł zasepiony Hipolip. - Czy nie macie na to żadnej rady?

- Próbowaliśmy ograniczania ruchów w czasie dławikami akceleracyjnymi i innymi zabezpieczeniami, panie - rzekł Trurl - ale wtedy pierwszym celem zainteresowanych jest likwidacja owych ograniczeń.

- No, dobrze. A jeśli wziąć cywilizację o bogatej kulturze duchowej z wysokim standardem etycznym, liberalną, humanitarną i pluralistyczną?

- Taką możemy zaprogramować od ręki, miłościwy panie - powiedział Klapaucjusz. - Nie robiliśmy tego w przekonaniu, że to także nic nie da, lecz jeżeli taka jest wola królewska, prosimy patrzeć... Trurlu?

Wezwany ponaciskał sprawnie klawisze, przełożył kilka wtyczek, podkreślił amplifikator i westchnął.

- Gotowe.

- Która macierz?

- Czas jako funkcja zmian stałej grawitacyjnej.

Blask padł na alabastrowe płyty. Trurl wyostrzył obraz. Cresslin pochylił się nad stołem.

- To ona? - spytał, patrząc na serię migawkowych zdjęć.

- Tak.

Generał poprawił sobie machinalnie rozporek.

- Cewinna Morribond. Nie poznajesz jej?

- Nie. Miała wtedy dziesięć lat.

- Musisz pamiętać, że ona nie poda ci żadnych szczegółów technicznych. Masz wydostać od niej tylko wiadomości, czy oni mają już chronde, czy nie. Czy jest w stanie gotowości operacyjnej.

- Będzie wiedziała? Pan tego pewien?

- Tak. On nie jest papłą, ale przed nią nie ma tajemnic. Każda rzecz mu dobra, byle mógł ją zatrzymać. Prawie trzydzieści lat różnicy!

- Kocha go?

- Nie sędzę. Raczej imponuje jej. Pochodzisz z tych samych stron co ona, to dobrze. Wspomnienia dzieciństwa. Nie nadskakuj zbyt. Zalecałbym rezerwę, męski urok. Ty to umiesz.

Cresslin milczał. Jego twarz przypominała skupieniem twarz chirurga nad polem operacyjnym.

- Dziś zrzut?

- Dziś, każda godzina jest droga.

- Czy my mamy operacyjną chronde? Generał chrząknął niecierpliwie.

- Tego nie mogę ci powiedzieć i dobrze o tym wiesz. Na razie trwa równowaga: oni nie wiedzą, czy my ją mamy, a my, czy oni. Gdyby cię dostali...

- Wyprują mi flaki, żeby się dowiedzieć?

- Pojmujesz chyba.

Cresslin wyprostował się, jakby już znał na pamięć twarz kobiety ze zdjęć.

- Jestem gotów.

- Pamiętaj o szklaneczce!

Nawet nie odpowiedział.

Nie słyszał już słów generała. Spod metalowych lejów lał się na zielone sukno stołu blask jarzeniówek. Drzwi otwarły się jak kopnięte, wpadł adiutant z taśmą w rękę, dopinając na sobie mundurową kurtkę.

- Generale, koncentracja wokół Hassy i Doeppling! Zamknęli wszystkie drogi.

- Zaraz. Cresslin, wie pan już wszystko. Tak?

- Tak.

- Powodzenia.

Dźwig stanął. Murawa odsunęła się i wróciła na swoje miejsce. W

woń mokrych liści wchodził zapach drażniący, a prawie miły - azotków. Nagrzewają pierwszy stopień - pomyślał. Latarki w rękach dalej stojących wychwytywały z mroku oka sieci maskującej.

- Anakolut?
- Avocado.
- Proszę za mną.

Siadł w ciemnościach za krępym oficerem z gołą głową. Czarny cień śmigłowca otwarł się w mroku jak paszcza.

- Długa droga?
- Siedem minut.

Nocny bąk wzbił się, hucząc, splantował, śmigło jeszcze pędziło, a już stali, niewidzialna trawa łaskotała go po nogach zamiatana mechanicznym wiatrem.

- Do rakiety.
- Do rakiety, tak jest. Nic nie widzę. Jestem oślepiiony.
- Poprowadzę pana za rękę (kobięcy głos!). W tym jest smoking.

Proszę się przebrać. Potem nałoży pan ten pokrowiec.

- Na nogi też?
- Tak. Skarpetki i lakierki w tym futerale.
- Mam skakać boso?
- Nie boso. W tych skarpetkach. Potem zwinąć je razem ze spadochronem. Pamięta pan?

- Tak.

Puścił tę małą mocną kobietą dłoń. Przebierał się w ciemności. Żółty kwadrat. Papierośnica? Nie, zapalniczka. Szpara światła.

- Cresslin!
- Jestem.
- Gotów?
- Gotów.
- Do rakiety, za mną!
- Do rakiety. Tak jest.

Jeden ostry promień oświetlał schody aluminiowe, srebrne. Ich szczyt topniał w mroku. Jakby miał wstąpić pieszo do gwiazd. Otwarta kłapa. Położył się na wznak. Jego lśniący plastikowy kokon szumiał. Lepił mu się do ubrania, do rąk.

- 30, 29, 28, 27, 26, 25, 24, 23, 22, 21, 20. Uwaga: 20 do zera 16, 15, 14, 13, 12, 11, uwaga za siedem sekund start. Cztery, trzy, dwa, jeden, zero.

Ponieważ oczekiwał grzmotu, ten, który go uniósł, wydał mu się

słaby. Lśniący pęczkiem plastik rozpląszczał się na nim jak żywy. Cholera, zakrywa usta, no! Z trudem odgarnął błoniaste zwoje, złapał dech.

- Uwaga pasażer. 45 sekund do szczytu balistycznej. Czy mam już liczyć?

- Nie. Proszę od dziesięciu.

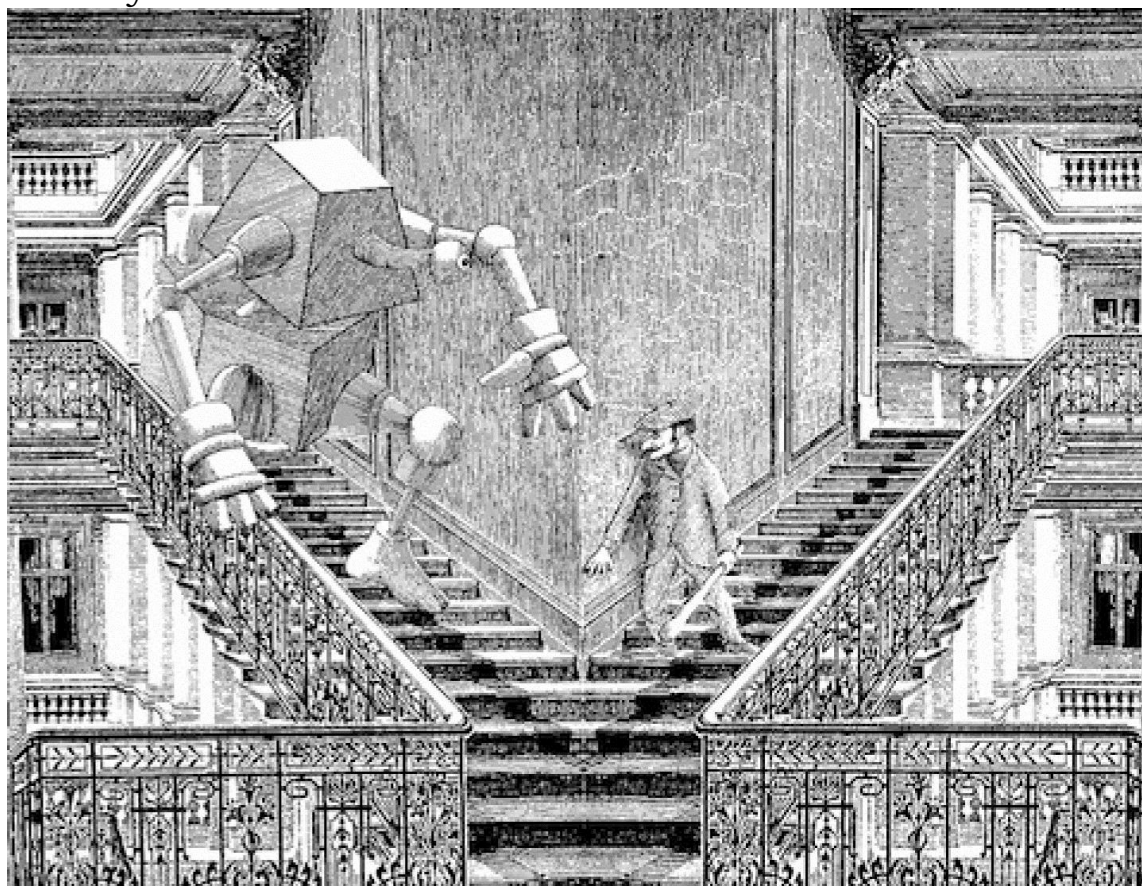
- Dobrze.

- Uwaga pasażer. Apogeum balistycznej. Cztery warstwy chmur, cirrostratus i cirrocumulus. Pod ostatnią widoczność 600. Na czerwień włączę eżektor. Spadochron pasażera?

- W porządku. Dziękuję.

- Uwaga pasażer. Druga gałąź balistycznej, pierwsza warstwa chmur, cirrostratus. Druga warstwa chmur. Temperatura minus 44. Na dole plus 18. Uwaga, piętnaście do wyrzutki. Najazd na cel, zero na sto, boczne odchylenie w normie, wiatr NN2 6 metrów na sekundę, widoczność 600, dobra. Uwaga. Powodzenia! Wyrzutka!

- Do widzenia - rzekł, odczuwając groteskowość tych słów wypowiedzianych do człowieka, którego nigdy nie widział i nie miał zobaczyć.



Wypadł w mrok, wystrzelony, w twarde od pędu powietrze. Świstało mu wokół głowy, koziółkował. Naraz poderwało go z lekkim trzaskiem, podjechał głową wysoko, jakby ktoś zaczął go wyławiać z mroków niewidzialną wędką. Spojrzał wzwyż - czasza spadochronu była niedostrzegalna.

Dobra robota.

Spadał, nie wiedząc, jak szybko. Coś majaczyło pod nogami. Tak jasno? Diabli! Byle nie to jeziorko. Jedna szansa na tysiąc, ale co można... Doszedł go miarowy, lekki szmer, gdy nogami dotknął falującej powierzchni. To było zboże. Znurkował w nim. Nakryła go czasza spadochronu. Skulony odpiął szelki, zaczął zwijać mszysty, dziwaczny materiał, w dotyku podobny do pajęczej gazy. Zwijał go i zwijał - to było najbardziej mozolne. Bodaj pół godziny. Na razie mieścił się w chronogramie. Już włożyć te lakierki, czy jak?

Lepiej już. Plastik odbija światło.

Zaczął rwać na sobie tę osłonę, miękką jak tomofan, jak gdyby samego siebie rozpakowywał. Nocny upominek. Prezent. Lakierki, chusteczka, nożyk, wizytówki.

Gdzie szklaneczka?

Serce mu zabiło, lecz palce już ją znalazły. Nie widział jej, chmury pokrywały całe niebo. Ale potrzęsnał nią i wyczuł chłupot. W środku był wermut. Nie zdarł z niej hermetyzującej błonki. Na to będzie czas, można potknąć się, wylać. Włożył szklaneczkę na powrót do kieszeni, upchnął zwinięty spadochron w futerał, włożył tam te skokowe, mięsiste skarpety, podarty plastikowy kokon. Podobno nic nie może się od tego zapalić. Ale gdyby? Czy nie lepiej wyleźć z tego zboża?

Instrukcja wie lepiej.

Odnalazł na zgrubiałym dnie futerału uchwyt, włożył weń palec, szarpnął, jakby otwierał puszkę piwa, rzucił futerał w to wygniecione przez upadek miejsce w zbożu i czekał.

Nic, trochę dymu. Ani płomienia, ani iskier, ani blasku. Niewypał? Sięgnął ręką na oślepi i omal nie krzyknął, bo nie było tam już twardo nabitego futerału, pełnego tkaniny, linek - kupka ciepłych, ale nie parzących szczątków jak zwęglone wiechcie papieru.

Dobra robota.

Poprawił na sobie smoking, muszkę i wyszedł na drogę. Szedł poboczem dość szybko, ale nie nazbyt, żeby się nie spocić. Drzewo, ale jakie? Lipa? Chyba jeszcze nie. Jesion. Na pewno? Nie widać. Kapliczka ma być za czwartym. Kamień milowy. Zgadza się.

Kapliczka wychynęła z nocy pobieloną ścianą. Po omacku szukał drzwi. Uchyliły się lekko. Czy nie za lekko? A jeśli nie zaciemniono okien?

Postawił na kamiennej podłodze zapalniczkę, nacisnął. Czysty biały blask wypełnił zamkniętą przestrzeń, błysnął w poszarzałych złoceniach ołtarzyka, w szybie zaklejonej od zewnątrz czymś ciemnym. Przejrzał się w tej szybie z największą uwagą, okręcając się, kolejno sprawdzając ramiona, rękawy, wyłogi smokinga, patrząc z boku, czy nie przyłgnał gdzieś skrawek plastikowej folii. Poprawił chusteczkę w kieszonce, podnosił się na palcach jak aktor przed występem, oddychając spokojnie, czuł słabą woń wygaszonych świec, jakby paliły się niedawno. Zamknął zapalniczkę, znów w mroku, wyszedł, stąpając ostrożnie po kamiennych stopniach i rozejrzał się. Było pusto. Obrzeża chmur bieleły miejscami, księżyc nie mógł się przedrzeć, było uczciwie ciemno. Końcem języka, już krocząc miarowo asfaltem, dotknął korony zęba mądrości. Ciekawe, co w niej jest. Oczywiście nawet nie chlanda, nawet nie jej zdalny zapalnik. Ale trucizny też nie może tam być, przez sekundę widział to, co „dentysta” kładł pęsetką do złotego pudełeczka korony, nim zalał ją cementem. Grudka mniejsza od groszku, jak ulepiona z kolorowego maczku cukrowego dzieci. Nadajnik? Ależ nie miał mikrofonu. Nic. Dlaczego nie dali trucizny? Widocznie nie była potrzebna.

Dom wychynał w oddali zza kępy drzew, oświetlony, gwarny, muzyka niosła się w ciemny park. Na gazonach drżał poblask okien. Na piętrze naturalnie świece, w kandelabrach z profitkami. Teraz liczył słupki ogrodzenia, przy jedenastym zwolnił, stanął w cieniu padającym od drzewa, dotknął palcami siatki, odwinęła się, sprężynując, lekko przestąpił jej dolny zwój, który nie ze wszystkim się ściągnął, przekroczył przeszkodę i był już w ogrodzie. Od cienia do cienia, aż przy wyschłej fontannie wyjął z kieszeni szklaneczkę, paznokciem podważył folię, co ją zaklejała, zerwał ją, zmiął i włożył do ust, by od razu popić małym łykiem wermutu. Tak, z tą szklaneczką aperitif w palcach poszedł swobodnie środkiem ścieżki w stronę domu, bez pośpiechu, gość wracający z krótkiej przechadzki, co się zgrzał tańcem i szukał ochłody. Wylał chustką nos, przekładając szklaneczkę z ręki do ręki, między cieniami tych, co stali po obu stronach drzwi, nie widział twarzy, czuł tylko przeprowadzające go nieuważnie spojrzenia.

Blask był prawie błękitny na pierwszych schodach, ciepłożółty na drugich, muzyka grała walca. Gładko - pomyślał. Czy nie za gładko? Tłum był na sali. Nie od razu ją dostrzegł. Stał już o dwa kroki od niej

otoczonej przez mężczyzn z orderowymi wstążeczkami w klapach, gdy w drugiej stronie sali rozległ się łomot, ktoś tam upadł, lokaj w liberii, a z takim rozmachem, że taca pełna kieliszków wyskoczyła mu ręki, bryzgając białym i czerwonym winem. Co za niezgrabiasz. Otoczenie Cewinny zwróciło tam głowy jak na komendę. Jeden Cresslin patrzył na nią. Zdziwił ją ten wzrok, choć ledwie do niej docierał.

- Pani mnie nie poznaje. Prawda?

- Nie.

Zaprzeczyła, żeby odtrącić. Uciąć. Uśmiechał się spokojnie.

- A karego kucyka pamięta pani? Z białą strzałką. I chłopca, który wystraszył go balonem?

Poruszyła powiekami.

- To pan?

- Tak.

Nie musieli się zaznajamiać, skoro znali się jako dzieci. Tańczył z nią tylko raz. Później trzymał się raczej z daleka, za to dobrze po pierwszej wyszli do parku. Wymknęli się drzwiami, które tylko ona знаła. Gdy chodził z nią po alejkach, zauważył to tu, to tam stojących ludzi w cieniach drzew. Aż tyłu. Nie dostrzegł ich nawet, przekraczając siatkę. Dziwne.

Cewinna patrzyła na niego. Jej twarz bieleła w księżycu, który zwyciężył chmury, w drugiej połowie nocy - tak jak miało być.

- Nie poznałabym pana. A jednak przypomina mi pan kogoś. Nie tego chłopca. Kogoś innego. Dorosłego chyba?

- Pani męża - odparł flegmatycznie. - Kiedy miał dwadzieścia sześć lat. Musi pani znać go ze zdjęcia... z tych czasów.

Zamrugła powiekami.

- Ależ tak. Skąd pan to wie? Uśmiechnął się.

- Z obowiązku. Prasa. Chwilowo... korespondent wojenny. Ale z cywilną przeszłością.

Nie zważała na jego słowa.

- Pan jest z tych samych stron co ja. Zastanawiające.

- Czemu?

- Jakieś... niedobre nawet. Nie wiem, jak to wyrazić. Prawie się boję.

- Mnie?

Był szczery, naiwny, zdziwiony.

- Nie, co znowu. Ale to jest jakby... jakby dotknięcie losu. To pana podobieństwo i to, że znaleźmy się jako dzieci.

- Co w tym takiego?

- Nie mogę panu wytłumaczyć. To jakby aluzja. Do tej nocy. Jakby to coś znaczyło.

- Pani jest przesadna?

- Wracajmy. Robi się chłodno.

- Nigdy nie należy uciekać.

- Cóż pan tam znowu?

- Nie należy uchylać się przed losem. To niemożliwe.

- Żeby pan wiedział.

- Gdzie jest pani kucyk?

- A pana balon?

- Tam, gdzie my będziemy za sto lat. Wszystkie rzeczy rozpuszczają się w czasie. Nie ma mocniejszego rozpuszczalnika.

- Mówi pan, jakbyśmy byli starzy.

- Czas jest dla starych zabójczy. Ale niepojęty dla wszystkich.

- Myśli pan?

- Wiem.

- A gdyby?

- Proszę?

- Nie, nic.

- Pani chciała coś powiedzieć.

- Zdawało się panu.

- Nie zdawało mi się, bo wiem, co to było.

- Ej?

- Jedno słowo.

- Jakie?

- Chronda.

Drgnęła. To był strach.

- Co pan...

- Proszę się nie bać. Jesteśmy oboje parą outsiderów, którzy wiedzą (oprócz pani męża i specjalistów doktora Souvy). Tych w ośrodku Neggeneu.

- Co pan wie? Skąd?!

- To samo co pani.

- Niemożliwe. To tajemnica.

- Toteż nie powiedziałbym tego słowa nikomu poza panią.

Wiedziałem, że pani wie.

- Jak mógł pan wiedzieć? Pan... sporo ryzykuje. Wie pan o tym?

- Nic nie ryzykuję, bo moje wiadomości nie są ani mniej, ani bardziej legalne niż pani. Z tą różnicą, że ja wiem, od kogo pani

usłyszała, a pani nie wie, skąd ja.

- To nie jest różnica na pana korzyść. Skąd pan wie?
- A powiedzieć, skąd pani...?
- Czy wie pan też... kiedy ?
- Niezabawem...
- Niezabawem! No, to pan nic nie wie!

Drżała prawie.

- Nie mogę pani powiedzieć. Nie mam prawa.
- A tamto?
- Tamto powiedziałem, bo tyle wyjawiał pani mąż.
- Czy ktoś... skąd pan wie, że on?

- Nikt z rządu nie wie poza premierem. Premier nazywa się Morribond. Czy to nie proste?

- Nie. W jaki sposób? A! Podśluch?!
- Nie. Raczej nie sądzę. Był zbędny. Musiał to pani powiedzieć.
- Dlaczego? Pan wyobraża sobie, że ja...
- Nie. Właśnie dlatego, że pani nigdy by tego nie zażądała. Musiał,

bo chciał dać pani coś, co miało dla niego najwyższą wartość.

- Ach, więc nie podśluchem, tylko psychologią?
- Tak.
- Która godzina?
- Druga za sześć.
- Nie wiem, co się stanie z tym wszystkim.

Patrzała w dookolny mrok. Cienie gałęzi płaskie i wyraźne wibrowały na zwirowanej ścieżce i chwilami wydawało się, że są nieruchome i że to ziemia drży. Muzyka dobiegała ich jakby z innego czasu.

- Jesteśmy tu skandalicznie długo. Pan nie domyśla się jeszcze czemu?

- Zaczynam.
- Tajemnica, która... zrobi to ze światem, nie jest już żadną tajemnicą na chwilę przed... godziną zero. Być może przestaniemy istnieć. To pan też wie?

- Wiem. Ale to nie miało być tej nocy.
- Miało.
- Jeszcze były jakieś... komplikacje. Ale już ich nie ma.

Prawie dotykała go piersiami. Mówiła do niego, ale go nie widziała.

- On będzie młody. Jest tego zupełnie pewien.
- Ależ tak.
- Proszę nic nie mówić. Nie wierzę, nie mogę, chociaż wiem, to

byłoby jak za darmo, tak nie bywa. Ale teraz już wszystko jedno. Nic nie może tego odmienić. Nikt. Albo zobaczę go takim, jak pan jest teraz, albo Remmer mówił... możliwy jest uślizg, w depresji... stałabym się dzieckiem. Pan jest ostatnim człowiekiem, do którego mówię przedtem.

Drżała. Objął ją ramieniem i podtrzymał. Jakby nie wiedząc, co mówi, wybełkotał:

- Ile czasu... zostało?

- Minuty... druga pięć... - szepnęła. Miała zamknięte oczy. Pochylił się nad jej twarzą, równocześnie naciskając językiem tenmetalowy ząb tak mocno, jak tylko mógł. Usłyszał w głowie leciutki trzask i zapadł się w nicość.

Generał dotknął machinalnie spodni.

- Chrononda jest bombą temporalną. Wybuch jej powoduje powstanie lokalnej depresji w czasie. Mówiąc obrazem: jak zwykła bomba tworzy w gruncie lej, depresję przestrzenną, tak chrononda wgłębia się w terażniejszość i pociąga czy też wpycha całe otoczenie w przeszłość. Rozmiar cofnięcia w czasie, tak zwany retrointerwał, zależy od wielkości ładunku. Teoria chronopresji jest zawiła i nie mogę jej panom wyłożyć. Zasada daje się wszakże ująć prosto. Upływ czasu zależy od ciężenia powszechnego. Nie od lokalnych pól ciężkości, lecz od wszechświatowej stałej grawitacyjnej. Nie od samej grawitacji, lecz od jej zmiany. Grawitacja zmniejsza się w całym Kosmosie i to jest niejako druga strona upływu czasu. Gdyby się grawitacja nie zmieniała, toby czas stał. Nie byłoby go wcale. To jest jak z wiatrem. Gdzie jest wiatr, gdy nie wieje? Nie ma go nigdzie, bo on jest ruchem powietrza. Tak się dziś tłumaczy powstanie Kosmosu. On nie w niebie powstał, lecz bytował beczasowo, dopóki grawitacja była niezmienna, aż zaczęła się jej redukcja. Odtąd Kosmos się rozszerza, gwiazdy krążą, atomy drgają, a czas płynie. Istnieje związek grawitonów z chrononami i ten związek wykorzystano do zbudowania chrondy. Na razie nie umiemy manipulować czasem inaczej aniżeli gwałtownie. Jest to zapaść, czyli implozja, a nie eksplozja, wybuch. Największe cofnięcie się w czasie zachodzi w punkcie zero. O 1.59 Cresslin wcisnął zgręz. Po dwunastu sekundach odpaliły wszystkie nasze operacyjne chrondy pogotowia strategicznego. Implozja była kumulatywna. Dlatego obszar rażony chronopresją ma kształt prawie regularnego koła. W punkcie zero depresja wynosi prawdopodobnie 26 do 27 lat. Ta wielkość stopniowo zmniejsza się ku obwodowi. Na rażonym obszarze nieprzyjaciel miał laboratoria, składy, pracownie oraz podziemne poligony chronopresyjne. Ponieważ rozpoczął te prace około 9

do 10 lat temu, obecnie nie ma tam już nic, co stanowiłoby dla nas zagrożenie. Powierzchnia rażenia ma, jak panowie widzicie na tej mapie, około 190 mil średnicy...

- Generale!!

- Słucham.

- Na jakiej podstawie utrzymuje pan, że dzięki Cresslinowi uprzedziliśmy choralny cios nieprzyjaciela?

- Rozkaz brzmiał: jeśli do uderzenia będzie więcej niż 24 godziny, nie wolno mu tknąć zgręzu. Jeżeli dowie się jakichkolwiek szczegółów akcji dotyczących jej terminu, wielkości ładunków, ilości chond, ma to sygnalizować przez wyodrębniony pierścień naszego wywiadu. Jeśliby wróg miał nas zaatakować w obrębie doby, a Cresslin nie zdołała się skontaktować z pierścieniem, winien był uruchomić automatyczny nadajnik zakopany w lesie pod Hassy. I tylko w wypadku, gdyby nie było czasu na dotarcie do sygnalizatora, a tak w najbliższym czasie byłby całkowicie pewny, wolno mu było nacisnąć zgręz. Podkreślam: Cresslin nie znał mechanizmu implozji chronopresyjnej, nic nie wiedział o naszych chondach, nie wiedział nawet, co to jest zgręz. Czy pan minister uważa moją odpowiedź za wystarczającą?

- Nie. Uważam, że zbyt wielką odpowiedzialnością za losy całego świata ośmieliliście się obciążyć jednego człowieka, agenta. Zresztą wszystko jedno, agenta czy nieagenta. Jak mógł jeden człowiek decydować sam?!

- Pozwoli pan udzielić sobie dalszych wyjaśnień. Nasze wiadomości nie równały się zeru przed akcją Cresslina. Oczywistym celem nieprzyjaciela musiał być nasz ośrodek choralny. Obie strony nie znały jedynie wzajemnego zaawansowania prac. Lokalizację naszego kompleksu C znali tak, jak my znaleźliśmy dyslokację ich chronoratoriów. Ukrycie tak olbrzymich kompleksów jest niemożliwe.

- Pan nie odpowiedział na moje pytanie.

- Właśnie zaczynam. Jeśli zataczać koncentryczne kręgi malejącego rażenia wokół naszego kompleksu C, to Hassy znajduje się w strefie uwstecznień o dekadę, a Leylo, jako leżące bliżej C, w strefie depresji dwudekadowej. Wczoraj rano uzyskaliśmy wiadomość, że Morribond nie będzie obecny na przyjęciu, które kanclerz urządza w swojej rezydencji w Hassy, mieliśmy natomiast dane, że Morribond wyjeżdża na inspekcję wojsk rozlokowanych wzdłuż granicy z nami. O ósmej wieczorem przyszła wiadomość, że zamiast udać się do ośrodka garnizonowego Aretonu, zatrzymał się w Leylo.

- Czekajże pan, generale! Czy chce pan przez to powiedzieć, że Morribond usiłował wykorzystać ten chronalny cios, który mieli nam zadać, żeby się przy okazji odmłodzić?

- No... owszem. To jest zdanie naszych ekspertów. Morribond ma... miał sześćdziesiąt lat, jego żona dwadzieścia dziewięć. Minus dwadzieścia lat dla niego i minus dziesięć dla niej - czterdziestoletni mężczyzna i dziewiętnastolatka. Ponadto zachodziła ta, bodaj decydująca okoliczność, że on jest chory na *myasthenia gravis*. Lekarze dawali mu dwa, najwyżej trzy lata życia.

- Czy to jest pewne?

- Tak. Praktycznie pewne. Istotną rolę grał też - myślę sobie - jego, hm, specyficzny zmysł humoru. Kodowe hasło operacji brzmiało „Balkon”.

- Nie rozumiem.

- No jakże? Romeo i Julia. Scena balkonowa... przy jej okazji miał ulec zniszczeniu cały nasz potencjał chronalny.

- Ale stało się na odwrót?

- Istotnie, bo podałem wyliczenia przy założeniu, że miejscem implozji byłby nasz kompleks C, zgodnie z ich planem strategicznym. Dlatego wysłał żonę do Hassy, a sam udał się do Leylo położonego tuż przy naszej granicy. Uznawszy po naradzie w sztabie generalnym sytuację za krytyczną, wysłaliśmy Cresslina natychmiast, to znaczy tak szybko, jak się dało. Wylądował około północy pod Hassy. Ponieważ uderzyliśmy pierwsi, izochrony depresji miały odwrotny kierunek spadku, niż planował nieprzyjaciel. Odwrotny, skoro to myśmy ugodzili ich kompleks chronalny.

- Więc cóż z tego? Morribond stał się mniej młody, niż chciał, a jego żona bardziej... jakież to ma znaczenie strategiczne? Proponuję porzucić ten temat.

- To ma znaczenie strategiczne, a zarazem polityczne, panie podsekretarzu stanu, gdyż musi je mieć zmiana na stanowisku premiera nieprzyjacielskiego rządu. Implozja, wywołując depresję, na samej granicy swego zasięgu wytwarza małe, koncentryczne wybrzuszenie wokół punktu zero. To analogia do efektu zwykłej bomby: centrum wybuchu zagłębia się, a dookoła powstaje wał kraterowy. Chronoda stłacza teraźniejszość wstecz, a na granicy implozji czas przesuwa się naprzód. Jest to tak zwany efekt kompensacyjny. Właśnie Leylo znajdowało się w jego obrębie. Oznacza to, że czas posunął się tam o 9 do 10 lat.

- Morribond ma siedemdziesiątkę? Doskonale! - zachichotał ktoś z siedzących przy zielonym stole.

- Nie. Zgodnie z tym, co powiedziałem o jego chorobie, Morribond nie żyje. Czy są jeszcze pytania?

- Chciałem się dowiedzieć, w jakiej postaci aktualizuje się przeszłość po implozji chrondy Fizycy utrzymują, że przeszłość jako czas doskonale odtwarzalny, do którego można wrócić, nie istnieje.

- To prawda. Implozja nie powoduje idealnego cofnięcia się kalendarza. Nie restytuuje więc konkretnego stanu, który istniał w konkretnym roku, dniu, godzinie i minucie. Każdy obiekt materialny staje się tylko młodszy - przeszłość jako konstelacja wydarzeń, co raz zaszły, ani nie powraca, ani się nie powtarza. O tym, czy to na pewno niemożliwe, eksperci nasi wolą się nie wypowiadać. W każdy razie modelem działania chrondy może być sytuacja na boisku piłkarskim, gdy gracz kopnie piłkę, a drugi gracz odrzuci mu ją z powrotem. Wracająca piłka nie padnie dokładnie w to samo miejsce. To dlatego właściwy przykład, bo piłkę trzeba kopnąć, nie można jej natomiast przenieść przy użyciu precyzyjnych mikrometrów. Implozja też stanowi interwencję w czasie, gwałtowną i nieobliczalną w mikroskopijnych szczegółach.

- A przecież sam pan mówił, generale, że człowiek sześćdziesięcioletni staje się czterdziestolatkiem!

- To coś innego. Jego organizm okazuje się o tyle lat właśnie młodszy fizjologicznie. To samo zachodzi z każdym przedmiotem. Stare drzewo pomłodnieje, zmieni się w sadzonkę. Ale gdyby, powiedzmy, wziąć szkielet który sto lat przeleżał w ziemi i z którego przed rokiem usunięto część kości, to po implozji będziemy mieli przed sobą szkielet, wykazujący w badaniu, że leżał w ziemi tylko osiemdziesiąt lat, ale te kości, które wyjęto z niego, nie pojawią się z powrotem. Jeśli ktoś stracił niedawno nogę, to nawet po implozji z ćwierćwiekowym retrointerwałem jej nie odzyska. Dlatego chronda nie jest uwikłana w tak zwane paradoksy przyczynowe związane z ideą podróży w czasie. Organizm pod implozją restytuuje swoją żywotność w granicach wyznaczonych jego fizjologicznymi możliwościami.

- A maszyny? Książki? Gmachy? Plany?

- Gmach wzniesiony sto lat temu zmieni się nieznacznie. Lecz budowla z betonu, który stężał przed ośmiu laty, okaże się rumowiskiem piasku, cementu, legarów, ponieważ beton starzeje się, więc tym samym nie może istnieć jako beton przed chwilą, w której powstał ze zmieszania

odpowiednich składników. To samo dotyczy wszelkich obiektów, jak mówiłem, także maszyn.

- Czy to całkowicie pewne, że nieprzyjaciel nie dysponuje już potencjałem dla przeciwwuderzenia?

- Takiej pewności nie mamy w stu procentach. Pesymistyczne oceny uznają, że zniszczyliśmy 80% ich chronopotencjału, optymistyczne, że do 98%.

- Czy chronidy nie można zastosować w żaden inny sposób, jako tylko do zniszczenia chronid nieprzyjacielskich?

- Można, panie prezesie, ale zniszczenie chronid wroga oraz ich bazy wytwórczej było absolutnie priorytetowe. Mając nasz potencjał nienaruszony, uzyskaliśmy zupełną przewagę strategiczną i taktyczną. Panowie zechcecie zrozumieć, że nie mogę teraz nic powiedzieć w kwestii, jak użyjemy tego potencjału. Nie ma więcej pytań? Dziękuję panom. Co tam? To głośnik? Proszę o spokój!

- Uwaga. Uwaga. Alarm pierwszego stopnia!! Lokatorzy obserwują zejście satelitów wroga z orbit trojańskich w liczbie czterech. Przeciwrakiety obrony balistycznej przedpola odpalone i wychwyte aktualnie przez wroga. Jeden satelita zniszczony trafieniem pełnym. Trzy satelity na radiancie dzeta wytracają pierwszą kosmiczną. Decyzje lokatorów utrudnia obłok jonowy maskujący, wyrzucony przez symulacyjne główce pierwszego zniszczonego satelity. Uwaga. Uwaga! Naziemne indykatory nawodzenia będą podawały na bieżąco w bezpośredniej łączności za stacjonarnymi satelitami naszej osłony prawdopodobnie cele namierzone przez wroga. Uwaga cel pierwszy: kompleks C z odchyleniem skrajnym 20 do 25 mil od punktu zero. Uwaga, cel drugi, kwatera główna, powtarzam, kwatera główna, z odchyleniem skrajnym 7 do 9 mil od punktu zero.

- Dwadzieścia procent ich chronomocy leci nam na głowy!! - ryknął ktoś. Siedzący dotąd za zielonym stołem zerwali się. Zaszurgotały krzesła, któreś upadło, niedaleko wyła żałobnie syrena.

- Panowie! Proszę pozostać na miejscach! Implozja nie jest niebezpieczna dla życia! Nie ma możliwości izolacji ani ukrycia! Proszę zachować spokój! - nadrywał się generał.

- Uwaga. Uwaga. Drugi satelita zniszczony w jonosferze salwą raketową. Dwa pozostałe satelity weszły w martwe pole obrony podorbitalnej. Zmieniają kurs podług lokatorów osłony bliskiej z siedemdziesięciokrotnym przeciążeniem i odpalają atrapy. Uwaga. Dwa wrogie satelity w osi celu numer jeden i numer dwa. Wchodzą w

perymetr optyczny rażenia bezpośredniego. Uwaga. Ogłaszam alarm najwyższego zagrożenia. Osiem sekund do zera. Siedem do zera. Sześć. Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Uwaga ze...

Obraz zgasł i zapanowało milczenie.

- Nie jest to szczególnie zachęcające! - stęknął Hipolip. - A gdyby czas mógł się rozgałęziać? Nie przymierzając jak rzeka. I gdyby go można regulować jak system kanałów? Co?

- Próbowaliśmy i tego - rzekł Trurl. - Efektem jest pandemonium. Powstają prywatne czasy wyboczone w kształt zatok i rozlewisk, biorące początek z eksternalizacji marzeń sennych. Powstaje chronautyka wywrotowa zagrażająca rozpadem społecznym, więc prześladowana przez władze. Pojawiają się osobiste dowody terażniejszości, podatki retrochronalne, chronicja, interchron, straż trwaniczna, przemysł w międzyczasach, gangi wskrzeszające kaźnionych zbrodniarzy, czasokrażcy i korpusy bezpieczeństwa kalendarzowego. Powstaje masowe wychodźstwo temporalne, ścisk, jedni pchają się drugim w modne epoki, równocześnicy usiłują eksmitować dzikich czasokrażców, wszystkim bowiem Bóg wie czemu wydaje się, że w innym czasie na pewno jest lepiej. Dochodzi do maskowania, ciułania i zagrabiania cennych momentów, powstaje giełda sekularna, wytwarza się czasy fałszywe lub idące kołem, chroniczne więzienia i lochy. Buduje się perpetuatory erotyczne, mistyczne i polityczne, jako też wyciągarki czarownych chwil. Tłumy emigrantów, reemigrantów i kontremigrantów gnają w przeciwne strony przez stulecia, pukając się przy mijaniu w czoła. Dochodzi do tak zwanych drgawek wojennych i chromania przestankowego historii, a to, gdy czasobójcy poduszczeni przez jedno państwo likwidują przyszłego Cezara drugiego państwa w powijakach. Ów nie dorasta, nie zostaje Cezarem, nie odnosi zwycięstwa, znika więc potrzeba dławienia go w pieluszkach, wtedy dorasta cało, toczy zwycięskie wojny, znów wysyła się zatem czasobójców do jego kolebki i tak w kółko. Wykryliśmy osiemset rodzajów tak zwanego *circulus temporalis vitiosus*, ale sądzę, że może ich być nieskończenie wiele. No, a chronoperwersje?! Futurofilia, zegarowy fetyszizm, *delectatio temporosa*, autopedofilia, czyli napastowanie przez lubieżnych starców samych siebie jako niewinnych istotek z lat sielskiego dzieciństwa, a chronania? A dumpingowy import przyszłościowych technologii wywołujący gospodarcze kryzysy? A porywanie w czasie? Miłośnicy królu, godzinami mógłbym ciągnąć te wyliczenia. Najgorzej, jak mogę, odradzam...

- Dobrze! Przekonaliście mnie, że czas odwracalny i podzielny to

niewdzięczna własność Stworzenia - rzekł król, wyraźnie poirytowany. - Ruszcie więc konceptem. Śmielej! Pomyślcie choćby nad tym: świat niniejszy zachowuje się dość neutralnie. Ani zbyt nie sprzyja swym mieszkańcom, ani ich nadto nie gnębi. Ta obojętność łatwo rodzi frustrację. Jak wiadomo, chłodna obojętność rodziców wykoleja dzieci, cóż dopiero obojętność świata! Czyż nie powinien być zapobiegliwy, opiekuńczy, dbający o lokatorów na każdym kroku, uprzedzający ich życzenia? Jednym słowem nie oni do niego, lecz on się do nich powinien dostosowywać! Powiedzmy, że strudzony wędrowiec spada z grzędy skalnej w przepaść, bo się pośliznął. Rozbije się na miazgę. A w naszym świecie zapobiegliwe miejsce upadku zmięknie szybciotko na puch. Wędrowiec otrzepie się i ruszy w swoją drogę. Co? (Król się zapalał). Czy to nie dobre? Dlaczego nic nie mówicie?

- Ponieważ życzliwość to rzecz względna - rzekł Klapaucjusz. - Trzymajmy się tego wędrowca. Kto to jest? Może miał dość życia i rzucił się w przepaść? Czy w takim wypadku kamienie mają pozostać twarde? Ale to zakłada czytanie myśli.

- Powiedzmy. Co z tego, jeśli nic nie ogranicza nas jako stwórców? - odparował król.

- Co z tego? Wędrowiec ten niesie, załóżmy, doniosłą wieść. Jeśli ją doniesie, Aurydzi zwyciężą Benidów, a jeśli nie doniesie, wojnę wygrają Benidzi. Podług Aurydów głązy winny zmięknąć, a zgodnie z Benidami, powinny by stać się jeszcze twardsze. Ale to nie wszystko. Jeśli ten wędrowiec przejdzie cało przez góry, spotka niewiastę, która urodzi mu syna. Ten syn opisze posłannictwo ojca jako czyn podły i haniebny. Nazwie go zdrajcą, bo zapomniałem rzec, że wędrowiec sam był Benidą. Synowskie oskarżenie tak wstrząśnie sumieniami, że otoczony powszechną wzgardą ojciec pisarza się powiesi. Jeśli życzliwa gałąź trzaśnie, skoczy do wody. Jeśli miłosierna woda wyrzuci go na brzeg, połknie truciznę. I tak dalej. Jak długo ma życzliwy świat powiększać jego zgryzotę duchową, udaremniając mu fizyczny kres? Więc może niech lepiej wisi? Lecz jeśli tak, co jest lepsze: zginać bezdziejnie w przepaści czy powiesić się na skutek postępuku syna? Król pozwoli, że nie dopuszczę go do głosu. Wiem, co król chce powiedzieć: wszystko w tym, czy ów wędrowiec istotnie był zdrajcą, a zatem, która z walczących stron zasługiwała na zwycięstwo. Załóżmy, że sprawiedliwy mąż życzyłby go raczej Benidom jako słabszym orężnie, lecz szlachetniejszym w duchu. Więc źle się stało, że wędrowiec zdradził swoich i doprowadził do aurydzkiego triumfu. Wszelako rzecz się tu nie kończy, gdyż nie

streszczam powieści, ale dzieje powszechnie, a te nie mają końca. Zapanowawszy nad Benidami, Aurydzi w sto lat, ani wiedząc jak, podlegli wpływowi zwyciężonych. Pojęli wtedy niewłaściwość wojennego gwałtu, utworzyli z Benidami związek równych z równymi, w którym obu narodom było dobrze. Więc głązy nie powinny były zmięknąć. Możemy wszakże w równoległym przebiegu ustalić, co będzie, jeśli wędrowiec zginął. Zwyciężą wtedy Benidzi. Zwycięstwo to obróci naród dotąd pokojowy, pielęgnujący sztuki, w wojowniczy. Sztuka pójdzie we wzgardę, zaczną się podboje, a w sto lat ze sprawiedliwych ongiś powstaną łupieżcy, przeciw którym obróci się na koniec cała planeta. I cóż? Ze względu na tak fatalny obrót sprawy, głązy powinny przecież zmięknąć, choć leciał na nie zdrajca. A ponieważ dzieje, które opowiadam, muszą, jak każde dzieje, mieć dalszy ciąg wedle tego, czy patrzymy w skutki upadku o pięć, pięćdziesiąt lub pięćset lat naprzód, głązy powinny raz twardnieć, a raz mięknąć. A zatem świat spolegliwy doskonale będzie musiał, niestety, zwariować, usiłując robić rzeczy wzajem sprzeczne.

- Tak? No to sami wymyślcie coś lepszego! - na dobre już rozgniewał się król Hipolip. - Po to was wezwałem! Dlaczego istoty, którymi zaludniacie próbną uniwersę, są kubek w kubek takie jak my?!

- Król daje nam do zrozumienia, że popełniamy plagiaty - odparł Klapaucjusz, powściągając rosnącą irytację. - Król ma słusność. Powinien jednak wiedzieć, że robimy to nie od braku, lecz od zbytku wiedzy. Niczym niezmacony ład trwa tylko we wspólnotach zmyślnych, lecz bezrozumnych. Krzątają ci się jak w ulu, bez pretensji o egzystencjalną nierówność. Żadnych niesnasek, innowacji ku gorszemu, harmonia i ład. Nie wypełniamy naszych światów taką harmonią, bo któż uczyniłby obiekcję, że to harmonia z bezmyślności. Król łaknie uniwersów pełnych rozumu. Łaknie ich każdy Stwórca, jeden Bóg wie czemu. Wszak rozum jest nienasyconym, bo stwarza bezlik możliwych działań, które się wzajem wykluczają. Orłem rozumu jest genialność, a reszką potworność, gdyż jest on wolny w sobie, czyli bez granic - w obie strony. Rzecz jasna, można zaprogramować szczytną harmonię rozumu. Program odwijający się pod świadomością wsacza w nią same wzniosłe chęci. Wszyscy gardzą wszakże tym rodzajem harmonii, bo ona, mówią, narzucona, nieautentyczna, podrobiona, skoro z taśmy, a nie ze spontaniczności. Ten duch coraz światlejszy, bo oświecają go chyłkiem skądś wprowadzane ideały. To zegarynka, nie wolny wschód istnienia! Cóż, możemy wprowadzić programy przeciwbieżne. Jeden znieprawiający, drugi zaprawiający, by rozum samo określał się w

zwarciu i starciu, zaczem usłyszemy, że i to nie tak, bo choć są rozstaje, oba ich końce dano przedustawnie. Tyle w wyborach wolności i samostanowienia, ile w portkach, co je szelki ciągną w górę, a grawitacja powszechna w dół. Z pism filozoficznych można wyjąć naukę, że duch ma przede wszystkim być wolny. Czymże jest wolność? Bezmiernością szans. Gdzież ich więcej niż w nieobliczalności, tam, gdzie możliwe wszystko, bo nic z góry niezaryglowane? Oczywiście można i to skonstruować. Wtedy zamiast cudnych spełnień mamy ciągle brnięcia i błędzenia. Tak więc zadanie opiewa na dojmującą sprzeczność. Wykonać mamy szeroką wąskość, syty głód, święty grzech, szczyt, z którego nie można spaść, aczkolwiek nic nie powstrzymuje, jednym słowem, po to mamy obdarować stwarzanych wolnością, by z niej własnowolnie po kropelce korzystali. Jakkolwiek nikt dotąd nie obstalował u nas wszechświata, ośmielę się zauważyć, że mieliśmy w bród klientów bardzo wymagających, nadto przebiernych, bo sroższych w ocenie dla naszego produktu niż dla wytworów przyrody. Toteż wisi w naszej pracowni apel do przybywających tej treści: „Szanowny kliencie! Zechciej, nim poczniesz psy wieszać na naszych wytworach, przyjrzeć się wykonawstwu natury! Spójrz na siebie i na podobne tobie istoty! Dlaczego nie wybrzydzasz się nad nimi, tak jak nad tym, coś u nas zamówił? U nich zwiesz zaraz każdy defekt skutkiem kuszenia, przypadku, temu, co w nich pomyłone, zaraz skłonnyś dać awans na wyrok niebios, na tragiczność, czyli na tajemnicę, może i haniebną, lecz otchłanną, więc jakoś mimo wszystko wspaniała. To, co jest, szanujesz po trosze, nawet gdy diabła warte, a to, co my oferujemy, nie zasługuje na najmniejsze uszanowanie, bo nie wychynęło z niewiadomej otchłani, lecz z naszego suwaka i ekierki!”.

- Et tam! Opowiadasz! - obruszył się niecierpliwie król. - Też mi diatryba! Wybacz, mój panie, ale wezwałem konstruktorów, a nie samoobrońców! Pokażcie mi te wasze neoistoty! Dawajcie je sam, to pogadamy rzeczowo!

- Nie działamy na pustym miejscu - cierpliwie rzekł Klapaucjusz. - Ten, kto czeka, aż podług samozlepień cząsteczkowych wynurzy się z chaosu świadoma egzystencja, nic nie ryzykuje, ale nie ma też żadnej zasługi. Byli konstruktorzy, co mając na oku solidaryzm, budowali istoty na pół wspólne. Takie, co spółdzielczo dysponują ciałami. Pozostał po tym ślad w baśniach, które bają o smokach wielogłowych. Mniejsza o smoczość. Wielogłowcy biorą się za łby niemal od razu. Myrmeksander Dekstrydyta, aby zapobiec konfliktom, uwspólnił częściowo umysły

stwarzanych przez siebie istot. Połączył głębiny ich życia duchowego i na tak zespolonym podłożu wyhodował indywidualne świadomości. Łączność była zdalna, więc niewidzialna, toteż na oko były to osoby w pełni od siebie odrębne. Ponieważ jaźń żywi się własną głębią, a tę mieli tam jedną, godzili się jak z płatka. Znakomicie im się wiodło! Ledwie jednak doszli owej łączności (a w końcu musieli ją odkryć, zajawszy się nauką), obróciła się zyskana wiedza w zbiorowe nieszczęścia. Pojęli mianowicie, że ovladnąć podświadomością byle kogo, a choćby ostatniego ciury, to tyle, co opanować wszystkich za jednym zamachem. Komu na tym zależało? Ha! Łatwiej rzec, komu na tym NIE ZALEŻAŁO! Jest to wypadek szczególny, ale z problemu ogólnego. Czy była zespólnia dusz, czy nie, penetracja ducha zawsze przechodzi w manipulację podejmowaną z najzacniejszymi intencjami. Lecz WKMość, który dziecięciem już grałeś na cybernecikach i bawiłeś się w małego mózgowniczego, musisz wiedzieć, jak łatwo zmienić automat w gwałtomat lub wręcz samogwałtomat, co robią silniki umysłowe, gdy zyskują samowiedzę, jak się rzucają wtedy na własnego ducha w maszynie, żeby go podbechtywać, podlechtywać i przekabacać coraz fikuśniej dłubokrętami cerebellistyki myślicielskiej, co zawsze kończy się albo rozpryskiem jaźni, albo jej krótkim zwarciem wsobnym. W samej rzeczy, po co rozkopywać gwiazdy, narażając się na oparzenia trzeciego stopnia, po co ruszać na drugi koniec świata, po co kiwać jednym palcem, gdy mały drucik wetknięty, gdzie trzeba, wszystko urokliwie załatwi? Zaprawdę, historia cerebellistyki, której derby pochłonęły po galaktykach moc rozumnych, świetnie zapowiadających się ras, powinna zostać spisana ku powszechnej przestrodze! Ten cały przemysł uszcześliwiarski, chutniczy, te wzmacniacze chuci, czyli chutory...

- Nie, to już nie do wytrzymania! Co ty tu pleciesz? Po co to? Król sam to wie! Nie mów od rzeczy! - jał wołać w tym miejscu Trurl.

- Do czego zmierzam? Król wie to sam? A jednak kwestionuje zachowawczość naszych projektów! Wyjaśniam więc, że nie należy popaść w ten błąd, którego dopuściłeś się swoją inżynierią szczęściopędną...

- Milcz! Jak śmiesz kalumniować mnie przed tronem! Ja ci zaraz...

Widząc, jak nienawistym wzrokiem mierzą się wypróbowani przyjaciele, król wystąpił jako mediator, co zlikwidowało w zarodku waśń i położyło zarazem kres oracji Klapaucjusza.

- Nie padajcie duchem! - rzekł im życzliwie. - Wiedziałem, że obieram sobie najtrudniejsze z zadań, toteż nie byle komu je

powierzyłem! Idźcie już, idźcie, moi kochani, naradźcie się bez awantur i wracajcie do mnie, gdy będziecie mieli lepszy świat do zademonstrowania!

Poszli więc, kłócąc się po drodze i skacząc sobie do oczu z wymachiwaniem rąk, ku zdziwieniu dworaków. Przeszli przez królewską oranżerię, przez ogrody pałacowe, przez pięć mostów na pięciu kanałach miejskich i ani tego spostrzegli.

- Nie w tym sedno - mówił Trurl - by sporządzić świat zapięty na ostatni guzik, świat oczyszczony z kłesk, w którym nikt nie może nikomu ani wyrwać niczego, ani wsadzić. To przyczynkarstwo, lakierowanie bożego dzieła, nie w tym rzecz, by je pucować na wysoki połysk, lecz w tym, by przewyższyć autora w wyjściowej koncepcji!

- Daruj sobie te popisy. Nie stoisz przed królem - kurtyzował go Klapaucjusz.

- Przestań. Składowe doskonałości mają w boskim wariancie to do siebie, że nie są współwykonalne wewnątrz jednej egzystencji. Jeśli o czymś marzę albo za czymś tęsknię, to tego nie mam, a gdy już mam, to ani nie tęsknię, ani nie marzę. Nie mogę upajać się nadzieją, gdy spełniona, a przecież nadzieja jest inną słodyczą niż uciecha posiadania! Tak więc byt niewoli do ciągłych rezygnacji. Jeśli czekam lubego uścisku, to widać nikt mnie nie ściska, a kiedy ściska, to nie mam się już czego spodziewać lubo rozigraną imaginacją. Nie mogę ściskać i nie ściskać, mieć i nie mieć, co mi pewne, to mi liche, a co bezcenne trwale, to nieosiągalne. Tak więc byt huśta się między nadmierną pewnością a zbytnim ryzykiem, czyli między nudą a strachem. Od niedosytu do przesyty jeden krok. Mało tego! To, co jako pomyślane, jest zawsze własne, już nazbyt przez to wiotkie, podległe i bezoporne, a to, co materialne, prawdziwie bezwzględne, jest niepodległe do urągliwości. Duch nazbyt, materia nie dość ode mnie zależy!

- Pleciesz - krzywił się Klapaucjusz, lecz Trurl nie dał się zbić z pantałyku.

- Przekładając te fatalności Stworzenia na język praktyki budowlanej, widzimy trzy restrykcje swobód w bycie: materialne, czasowe i przestrzenne. Albo coś jest rzeczą, albo coś jest myślą: oto pierwsze zniewolenie. Niewola druga równa się umiejscowieniu: kiedy coś znajduje się gdzieś, to już nie może tam się znaleźć nic innego. Niewola trzecia to gwałt, jaki nam zadaje czas, bośmy w nim uwięzieni: gdy nas środa wypuści, to czwartek złapie, po czwartku przytrzyma piątek, wieczny dryl, istne koszary, bezwzględna musztra, równaj krok, ani w

przód, ani w tył - czy ktoś spostrzegł już tak, jak ja, tę wojskową dyktaturę czasu? O włos nie wolno się wychylić z terażniejszości! Uważam, że winniśmy zlikwidować wszystkie te ograniczenia. Co ty na to?

- Chcesz zlikwidować czas, przestrzeń i materię?

- Tak właśnie!

Klapaucjusz wahał się jeszcze, lecz urzekł go radykalizm Trurlowej idei, więc rozejrzył się, a widząc, że znajdują się wśród dzieci przy piaskownicy, bo tam ich nogi zanosły, jął kreślić palcem w piasku pierwsze obwody nowego świata, a Trurl wciąż doskakiwał do jego schematu, dzieci jeszcze bardziej przeszkadzały, wstali więc i spiesznie poszli do pracowni. Minał tydzień, potem drugi, trzeci, a nie dawali znaku życia. Zniecierpliwiony Hipolip posłał umyślnego na spytki, potem samego ministra przemysłu umysłowego, a gdy i ministra nie puścili przez próg, udał się osobiście do konstruktorów. Zastał ich dość wzburzonych w hali zagraconej wprost nieprawdopodobnie, między stertami aparatów poustawianych byle jak, w plątaninie przewodów, a gdy nie okazali skwapliwości w składaniu wyjaśnień, zasiadł na nich po monarszemu i postawił na swoim - wprowadzili go w swoje arkana.

- To, co jest, odrzuciliśmy w całości! - tłumaczył mu Trurl. - Cokolwiek by rzec, świat został narzucony Stworzonym bez wszelkiej z nimi konsultacji, ponieważ Stwórca postanowił ich tym światem raz na zawsze, do samego końca uszczęśliwić. A co, jeśli oni nie życzą sobie być uszczęśliwieni jego metodą, tylko całkiem inną, albo w ogóle pragną zrezygnować z finalnego szczęścia? A może w jednym mgnieniu chcą, a w innym nie chcą? A może ten jest w owej kwestii jednego zdania, a ów drugiego? Co wtedy? Apodyktycznie narzucać konformizm? Wyznaczać drogi do rajów i do piekła pod strychulec? Karać krnąbrnych oryginałów i nagradzać oportunistów? Postąpiliśmy zupełnie inaczej. Najpierw wyrzuciliśmy z Universum materię, przestrzeń i czas!

- Nie może być! - król był zafrapowany. - Dlaczego? I coście dali w zamian?

- Dlaczego? - trząsł głową Trurl. - Dlatego, że duch chce, ale nie może, a materia może, lecz nie chce. Najjaśniejszy pan jest tym zaskoczony? Ale to się przecież rzuca w oczy. Czyż można sobie w ogóle wystawić coś bardziej jeszcze trwonicielskiego od Kosmosu? Miliardy, miliardów ogni gorejących i popielających się przez wieczność... I co z tego? Co to daje? Czemu to służy? Bogu? Ale przecież światłość wiekuista nie mierzy się lumenami i jaśnieje całkiem gdzieś indziej! Nam? Taka to i

służba. Materia wiele może, zapewne, gdyby nie mogła, to i nas by nie było, lecz z jakiego marnotrawstwa surowców, wulkanicznego rozbałwanienia, po ilu błędnych, jakże pokrętnych mozołach epileptycznych, rodzi wreszcie szczyptę sensu! Po co taki rozmach? Dla efektu dramatycznego? Ale Stworzenie to nie przedstawienie. A z kolei duch ugrzęzły w materii, zakuty w nią, tragikomiczny skazaniec! Rwie się z ciała, a tymczasem ciało jego rwie, jemu narywa, aż się rozkurzy lub rozcieknie. Pod względem etycznym to niegodne, a pod estetycznym odstręczające. Tak więc wyrzuciliśmy materię - idiotkę i ducha - więźnia, decydując się na wypośrodkowanie między ich skrajnościami. Naszym tworzywem jest amateria. *Nomen omen! Amo, amas, amat*, nieprawdaż, *ars amandi*, nie tam żadna prana, tao, nirwana, błogostan kisielkowy, bo to bierne nieróbstwo i samolubstwo, lecz czułość w stanie czystym, świat jako rzewna atrakcja molekuł, już w powiciu gospodarnie skrętnych! Elektrony, protony, owszem, kręcą się wokół siebie, lecz nie dlatego, że siły, kwanty, pola, ale dlatego, że się lubią! Zrozumiały więc, co dyktuje postęпки amaterialnej istocie: nie fizyka, lecz sympatia. Zamiast trzech praw Newtona przyciąganie nowego typu: czułość, dbałość, miłość. Zamiast zasady zachowania impulsu zasada dochowania wierności, a co do teorii relatywistycznej, uczucia też są względne, lecz u nas obserwatora zastępuje kochanek, a podstawowy fakt to takt. A ponieważ zrezygnowaliśmy z obskurnych ciał, nie ma więcej fizyki w erotyce, żadnego tarcia, parcia, smarowania, ściskania, toteż siłą rzeczy miłość musi być w naszym Universum zawsze idealna.

- No, a czas? A przestrzeń? - dopytywał się zafascynowany król.

- Czasowi nadaliśmy pokorę i elastyczność, żeby się słuchał tych, którym na nim zależy. Elastyczność ta przedstawia się jako tak zwany zęz. Zamiast koszarowego trwania, zamiast parady godzin, minut, sekund, w nieubłaganym regulaminie kalendarzowym pod werbel zegarów, każdy może sobie zęzić tak niemiarowo, jak mu się spodoba. Komu spieszo, ten wżęzi się ze środy prosto w sobotę, a komu czwartek miły, będzie czwartkował do syta. A przestrzeń usunęliśmy całkowicie, bo jej wymierna kategoryczność tai w sobie silne zagrożenie dla bytujących!

- O? Jakoś nie zauważyłem.

- Jakże? Najpierw jest w niej miejsce tylko dla jednej rzeczy, a gdy pchają się tam inne, dochodzi do nieszczęść. Gdy na przykład kula ołowiana pcha się tam, gdzie już ktoś jest, albo gdy dwa pojazdy usiłują zająć to samo miejsce. A olbrzymie odległości do pokonywania? A ścisk

demograficzny, informatyczny oraz pornograficzny? Duch jest
bezprzestrzenny, do poniżenia

doprowadza go rozciągłość ciał nakłaniająca do chwytania, obejmowania,
turlania, przy czym z góry i tak wiadomo, że prędzej
czy później trzeba puścić!

- No dobrze. I jakżeście temu zaradzili?

- Przestronność zastąpiliśmy upchałością, dzięki której każdy może
być wszędzie naraz, również, a nawet zwłaszcza tam, gdzie są już inni.
Co do istot zaś - a właściwie istoty - tośmy stworzyli zrazu tylko jedną,
wziąwszy sobie za dewizę indywidualizm bez egocentryzmu, liberalizm
bez anarchii oraz idealizm bez przesady. Indywidualizm, a więc jaźń, a
nie jakaś tam zespólnia wciamkana w ogólnikową świadomość nie
wiedzieć czyją. Konkretna istota, lecz nie sobek zagwożdżony własną
osobowością, a więc i nie ze wszystkim osoba. Raczej już wszechosoba,
gdyż rozpościera się bezmiernie. Każdego jest wszędzie trochę - uważasz
WKMość? Nie musi być wszędzie jednakowo, tu go mniej, a tam, gdzie
mu coś ciekawe, zaraz będzie go więcej, powstają bowiem ogniska
koncentracji wywołanej zachcianką lub solennym postanowieniem.
Inaczej mówiąc, skupienie duchowe pociąga za sobą fizyczne. Wszelako i
największy geniusz pozostaje miejscami rzadki. Mimochodem załatwia to
kwestię transportu, boż nie trzeba się nigdzie udawać. Jedynie myśli się
sobie cel, od tego tam się siebie zagęszcza oraz podciąga aż do stanu
nasylenia i satysfakcji.

- Jak rozumiem, macie ten świat już gotowy? To czemu zamykacie
się i nie wpuszczacie moich posłów? Co? Znowu jakieś trudności
obiektywne? Mówcie wreszcie, bo się zgniewam!

Spojrzał Trurl na Klapaucjusza, Klapaucjusz na Trurla i nic.
Widząc, że żadnemu nie pilno, wskazał Hipolip palcem Klapaucjusza:

- Ty mów!

- Panie, są pewne szkopyły...

- Jakie! No! Cóż, słowo po słowie mam waści wyciągać?

- Szkopyły niespodziewane... stworzenie, owszem, udało się, i
możemy je pokazać nawet zaraz, lecz im dalej, tym mniej wiadomo, co i
jak...

- Nie rozumiem. Coś się psuje?

- W tym sęk, że nie wiemy, czy się psuje i nie wiemy też, jak by
się można dowiedzieć, królu panie. Zresztą... łatwo się o tym przekonać.
Trurlu, włącz przekaźnik...

Trurl pochylił się nad największym aparatem ustawionym na dwóch

kulawych stołkach, coś tam nacisnął i na bieloną ścianę padł snop światła. Ujrzał król tęczową gąsienicę na wygonie czy też pawie jaja sadzone na zorzy, lecz dość prędko zorientował się, że jest to Krętlin Szczędry, ledwo wszczęty jaźniak wszechobecny, ani cielesny, ani duchowy, bo właśnie wypośrodkowany. Rósł jak na drożdżach, bo rozmyślał o sobie, a im więcej myślał, tym więcej go było. Gdy usiłował porządnie się skupić, od braku wprawy często się rozrzedzał, a ponieważ Natura nie znosi próżni, pustki te zaraz wypełniał w nim afekt. Naciągał cały oddaniem i czułością, każdym zastanowieniem dźwigając zorzane widnokreśli, bo to, co psychiczne, było tam prawie atmosferyczne. Doskwierały mu jednak błędne amory - zakochania fatamorganowe, gdyż jedne przywały jego uczuć trafiały na wezbrania innych, emablując je wskutek nieporozumienia i tak, wciąż tylko siebie w sobie spotykając, już się miejscami kochał na umór. Potem przeżywał ciężkie rozczarowania, kiedy stwierdzał, że to ciągle tylko on sam, a wszak nie był samolubem i nie siebie pragnął kochać, toteż wszystkie horyzonty zawlokło mu tęsknotą. Wciąż był sam i samotność ta ustaliła jego rodzajnik, został bowiem samcem, od czego nader burzliwie zmęźniał. A ponieważ wszystko się indukuje z przeciwnym znakiem, już zdecydowanie łaknął istoty-innoty rodzaju żeńskiego. Roił sobie upojne kochanki-zorzanki o nieoznaczonych, lecz pokiśliwych dziewokłębach, i chodziła w nim ta miłość do niewiadomych przepięknic jak żywioł - zwłaszcza tam, gdzie prawie już ustawał. Tak przynajmniej można było wyrozumieć sobie owe klimatyczno- psychiczne, umysłowoburzowe zjawiska. Myśli jego stawały się coraz ciemniejsze, aż czarne, zsiadały się w obolałej psyche, niekiedy dochodząc rozmiaru kamieni filozoficznych. Gdyż tak wyglądały owoce beznadziejnych medytacji - niczym ich spetryfikowany osad na dnie duszy. Lecz jeśli tak, czemu uronił kilka co większych sztuk, cicho łypiąc zorzanym blaskiem na wygonie, a potem zafilował i przejaśnił się z wyraźną ulgą? Czyżby to był sposób pozbycia się balastu duchowego? Tak się z sobą borykał, tak wystawiał sobie innoty w różnych fazach upojnej konsolidacji, tak nim rzucało od niezaspokojonych uczuć, aż naderwał się na peryferii i wyłonił z siebie coś jakby cumulus odtracony wichrową ścianą od frontu burzowego. Wyosobnienie to jakiś czas wlokło się za Krętlinem, aż wzięło się do samostanowienia. Wtedy pokazało się, że od impetu nie tę jedyną innotę wyłonił, o jakiej marzył, lecz ich półtrzecia: Zwoinę, więc Cewę albo Cewinę, bezwzględnie pańską, jako też podobne do dwojakarogala jej mężowie. Było ono zrazu jak „mrowie” rodzaju nijakiego, lecz żeńskość Cewiny wywołała w nim dwójmeża.

Właściwie nie było ich dwóch ani jeden, lecz właśnie rozwidlenie niby przejściowy - co już taki został, jako Marlin Przemyczka Ponsjusz lub Ponski, bo o byle co czerwieniał.

Odtąd wszystko się okrutnie pokiełbało. Krętlin sam bodaj nie wiedział, że jest sprawcą swej biedy, boż do dwójmężatki mierzył, a nie dostrzegał nawet, jak gorejąc, targany atakami zazdrości, zwłaszcza w toku myślowej gonitwy za Cewinną, roni następne istoty odpowiadające kalibrem i formatem gwałtowności uczuciowych przesileń. Tak ten świat zaludniał się stopniowo od jego miłosnej szarpaniny. Nikt tam nie wadził nikomu, tym bardziej że lekko i jakby frywolnie, mimochodem przepływano przez się nawzajem, zatrzymując się najwyżej nad szczególnie ciekawym konceptem przenikanego, zresztą przelotnie, bo bez widomych skutków. A jednak coś im uwierało dusze, skoro mało kto nie ronił owych ciemnych jak galasy konkrementów - czarnych myśli zakrzepłych? - zbyt zimnej i zastygłej od tego refleksji?? - dość na tym, że wygony pokryła wnet istna morena, rumowisko światopoglądowe. To, co działo się nad nim, było trudne do pojęcia. Krętlin podczas przypadkowych jakby spotkań przesączał się przez Cewinnę wietrznice, mknąc jak hulaszczy wiatr, niby to jej nie zauważając, lecz był to pozór. Doznawał zawrotnych drzeń, wyczuwając, że ona mu tu i ówdzie sprzyja, że nie jest jej miejscami całkowicie obojętny. Zaczynał wtedy słodko gęstnieć w jej obrębie, a ona udaremniała tę okluzję, dając mu zimny odpływ, biedakowi. Aż raz Krętlin, uchodząc, gdzie myśli poniosą po takiej dyfuzji, co przeszła w konfuzję, uronił wysmużenie dość nikłe, które kręciło się jakiś czas, jakby w niezdecydowaniu, czy stać je w ogóle przy takiej nikłości na personalizację. Jakoż innota owa nie urosła, a tylko wydłużyła się i zwinna jak fryga raz po raz wślizgiwała się w Krętlina - nie wiadomo, żeby judzić czy tylko ażeby pobyc chwilę w kimś znaczniejszym. A potem ów drabant urywał się i bywał mniejszością u Cewinny - maruder? gość nieproszony? - perfidny intruz? samotnik - osmotnik? - nie wiadomo. W każdym razie bywał natrętem, molestował ją i jego, bo się otrząsali po takim nawiedzeniu. Marlina Przemyczki Ponsjusza za to unikał ów dziwny przewężeniec jak ognia. Tymczasem w zachowaniu Krętlina zaszła zmiana. Ni z tego, ni z owego tak wpuchł raz w dwójmęża, tak w nim wezbrał, jakby usiłował wysadzić go z jestestwa. Lecz Marlin Przemyczka Ponski ani nie poczerwieniał. Mały zaś, istny poronnik, chybał to tu, to tam, nykał, zaharapcił kilka kamieni filozoficznych, ale rzucił je zaraz i pokrył się cętkami podobnymi do oczu. Wypatrywał kogoś, czy jak? Wyglądało na to, że już mruga znacząco.

Wszyscy jakoś nieruchawieli. Dlaczego nikt już nie wzbijał się duchem? Dlaczego łyskali? Czy były to załamania świetlne czy duchowe? Nie wiadomo, do czego doszłoby dalej, bo w tym miejscu król Hipolip zaczął tupać nogami i trzeba było przerwać projekcję. Domagał się wyjaśnień.

- Niestety, panie, my również tego nie pojmujemy! - przyznał się od razu Trurl.

- To jest właśnie nasz główny kłopot! Nie wiemy, czy dzieje Cewy i Krętina to niewinne baraszki, czy też czarna skaza naszej Genesis. Co gorsza, nie wiemy nawet, jak by się można dowiedzieć. Powtarzaliśmy kilkakrotnie kreację, zmieniając warunki wyjściowe, ale to nic nie dało. Czasem zamiast dwójmęża powstaje półtorak, raz znów Cewinna miała przemyczkę, ale są to banalne odchylenia statystyczne przy każdym stwarzaniu świata.

- A ten przewężeniec jak?

- Ten wij? Pojmuję, co WKMość raczy mieć na myśli. Pojawia się ona zawsze, raz większy, raz mniejszy, czasem troszkę rozdwojony jak węzowy język, co zaraz budzi rozmaite podejrzenia, lecz król zechce zważyć, że w każdej produkcji występują odpady, a tam, gdzie wszystko nie tyle materialne, co idealne, śmieci też muszą być uduchowione. Więc od tej technicznej strony fenomen zdaje się niewinnym marginesem kreacji.

- Tak mówisz? Ale czemu taki natrętny? Czemu w nich lezie? Czy to nie maćiwoda?

- Biorąc na oko, tak to wygląda - przyznał Trurl. - Alboż my jednak wiemy, maći czy nie maći? Toż oni się wszyscy tam przenikają, a czy spacerowo, czy z kusicielską premedytacją, nie da się orzec, bo i jak unaoczyć intencję? Jesteśmy w kropce, ponieważ wykroczyliśmy poza klasyczny wariant Genezy. Ów duchowy soliter wije się jak wąż, ale to, bo szczupły, więc chybki. Zgodnie z teologią diabeł nie może mieć nadwagi, ale biorąc racjonalnie, czyż zło koniecznie musi być chude? Korpulentne też mogłoby kusić. Nie powtórzyliśmy niczego i z nikogośmy nie ściągali, stwarzając... i oto skutek. Stworzyliśmy świat niepodobny do naszego, więc go nie pojmujemy.

- No wiecie! A Pan Bóg? Czy chcesz mi wmówić, że on kogoś naśladował? Skąd i jak, jeśli powszechnie wiadomo, że stwarzał z NICZEGO?

- Świat, miłościwy panie, ale nie osadników rajskich! „Na swój obraz i podobieństwo”. Tak jest powiedziane. Tak ich wymodelował. I nie przypadkiem! Podobieństwo Stworzonych do Stwórcy to warunek

skutecznej kreacji! Im bardziej odmienny Stwarzany od Stwarzającego, tym mniej będzie miał Stwórcę rozeznania w tym, kogo sprawił, co ów czuje, myśli, łaknie, zamierza i potrafi. WKMość sam tego doświadczyłeś przed chwilą. Jeśli likwiduje się podobieństwo, to niszczy się opokę porozumienia. Jeśli w niczym nie przypominamy naszych stworzonych, to nie możemy pojąć kto, jak, po co, ku czemu czyni - a przede wszystkim, dlaczego działa tak, a nie inaczej. Mowa też niczego nie wyjaśni, ponieważ zasada się cała na podobieństwach, a tych tu nie ma.

Jeśli nie mamy żadnych organów tożsamyh ze stworzonym, jeśli jego cielesność w niczym nie odpowiada naszej, jeśli jego czas nie jest naszym czasem ani jego przestrzeń naszą przestrzenią, to się już nasze oba byty w niczym nie pokrywają ani nawet nie stykają. Możemy wtedy sporządzić świat najpotworniejszych męczarni, nieznanym nam zgoła i niedostępnym skutkiem ignorancji, i nie będziemy mieli najślabszego wyobrażenia, że tośmy właśnie zrobili. Istoty, zupełnie różne od ich Stwórcy, są dlań zupełnie nieprzenikliwe, niepojęte i niepojmowalne. Sądzę, że jest to naczelne prawo światostwórstwa, jego niepozbywalna antynomia. Albo się kreuje zrozumiałych i wtedy muszą być bogopodobni, albo stwarza się odmieńców, których losowi nawet współczuć nie można, gdyż pozostaje hermetyczną tajemnicą.

- Ważną! O! Fundamentalną rzecz powiedziałeś, Trurlu! - zerwał się na równe nogi Hipolip. - Tak! Teraz to uchwyciłem i widzę! Wszak osąd, że ten napuchlec tam doznawał błogości, bo tak kolorowo filował, jest jako dowód prawdy wart tyle samo, co sąd, że ten, kto się ładnie pali na stosie, ma z tego przyjemność! Teraz to rozumiem! Ustawić dzieło stworzenia frontem do jego lokatorów to jedna rzecz, a pojmować, jak im się tam powodzi, co oni mają z tego bytowania, to druga! Panowie, wyrażam wam osobliwą wdzięczność za tę rewelację, bo utwierdziła mnie w wierze. Odtąd będę jeszcze mocniej wierzył w Boga niż dotychczas.

- Nie widzę związku - rzekł zaskoczony Trurl.

- Nie widzisz? A „*credo quia absurdum est*”? Nowa, głębsza treść błysła mi z tego orzeczenia... Nieskończony skończonych stworzył, najtrwalszy - samopsujów, wszechmogący - mogących tyle, co nic, wszechdobry, któremu tym samym najmniejszej fatygi nie sprawia zachowanie cnoty - chuciopędnych mizeraków... jakże więc nie mieli go silnie rozczarować swą konduita? „Na własny obraz i podobieństwo” kroił oczekiwania, niezdolny zminiaturyzować ich do skali stworzonego! Wieczny pożar spodziewał się po iskierce - własnego blasku! Stąd jego pozorna ekscentryczność, rzekome dziwactwa boże, wrażenie, że jest

mantyka, zrzęda, cudakiem, pasjonatem, kwarulantem i pieniaczem, jeszcze po śmierci ciągnącym Stworzonych na rozprawy, na porachunki i kondemnatki po wszystkich wokandach doliny Józefata...

Ach, pojąłem teraz to, co tak uwierało ojców Kościoła, Augustyna bodajże najdotkliwiej, tę niedocieczność urągającą, mało że zdrowemu rozsądkowi, ale i sercu - nie dali rady wyrozumieć, pochowali swoje osłupienie w dogmaty, z własnego rozumu porezygnowali, nie wiedząc, że to się przejawiała antynomia tkwiąca w technice, a nie - w etyce Kreacji! Tak, naturalnie. Teraz już bez wszelkiego wątpienia wierzę i współczuję - zakończył spokojnie król. Klapaucjusz nie słuchał go jednak wcale. Coś jakby przeżuwał, uśmiechał się błędnie do myśli, które nawiedziły go niespodziewanie. Wstał ze świata, na którym siedział dotąd tak solennie, jakby miał ulecieć.

- Najjaśniejszy Panie! - rzekł uroczyście, silnym głosem. - Wpadłem na pewien koncept, całkiem nowy. Żaden ze mnie samochwał, ale już muszę rzec: to jest pomysł, no cóż, trudno, najzupełniej genialny. Już wiem, co należy zrobić, aby stworzyć świat dążący do doskonałości; taki, którego mieszkańcy odnajdą i utwierdzą po wsze czasy własne szczęście, mimo iż nie będą w niczym (ale to w niczym!) podobni do tego, kto ich stworzył.

- No? No???! - jednym głosem krzyknęli Trurl i Hipolip.

Tu jednak Klapaucjusz się zaciął. Oświadczył, że do czterech dni przygotuje nowy świat i okaże w eksperymencie jego niezawodność. Darmo nalegał monarcha i wściekał się Trurl. Z uśmiechem wyższego wtajemniczenia, z pobłażliwą obojętnością tego, kto zarobiwszy na wieczną sławę, za nic ma urągania zawistników, począł Klapaucjusz zbierać z podłogi instrumenty. Wtedy Trurl oświadczył, że umywa ręce od następnego aktu stworzenia, że się przeprowadzi i na własną rękę podejmie rzecz w innym kierunku. Monarcha umówił się z oboma w dworskiej sali audiencyjnej na najbliższą środę i na tym stanęło.

Obaj przybyli punktualnie - Trurl z pustymi rękami, Klapaucjusz, ciągnąc dwukólkę trzeszczącą pod ciężarem aparatów. Zaraz też przystąpił do pokazu.

- Królu, udało mi się - rzekł. - By wszystko było jasne, muszę poprzedzić moją Genesis kilkoma słowami wstępnymi... Mój... ee... kolega Trurl sformułował antynomię kreacji w klasycznym wariacie następująco: im niepodobniejszy Stwórca do Stworzonych, tym trudniej mu się wyznać w ich losie. Gdy w granicy podobieństwo dochodzi do zera, Stwórca nie wie już o jakościach bytu swoich stworzeń nic. Stąd

niepokonywalny jakoby dylemat: albo
upodobniasz stworzonych do siebie, ale wtedy, im lepsze pojmowanie kreowanych, tym większe ograniczenie Kreatora, który zatracą swobodę czynu, albo im swobodniej będzie sobie poczynał, tym bardziej będą mu się wymykali stworzeni w esencji i w egzystencji. Co do mnie, unieściełem ten dylemat, stwarzając nieklasycznie. Nie jeden świat stworzyłem, lecz ich potencjalną wielość. Nie universum, lecz poliversum powołałem do bytu w tej skrzyni. Nie wiem sam, jak się powodzi w niej teraz mym istotom, lecz nic im moja niewiedza nie szkodzi, ponieważ umieściłem ich w bycie wielozwrotnym, który mogą wymieniać na zupełnie inne byty. Komu nie odpowiada aktualny jego świat, kto ma go powyżej uszu, komu los niemiły, ten bieży do zwrotnicy i od jednego pociągnięcia wprowadza całość na nowy tor istnieniowy. Tak więc każdy byt dany trwa na rozstaju, będąc stacją przesiadkową ku bezlikowi innych, łatwo dostępnych bytów. Ponieważ stworzeni moi przebiegają wśród bytów sami jak wśród ulegalek, ponieważ przymierzają je do siebie jak czapki, kierując się własnym, a nie moim upodobaniem, jest to świat poddawany wciąż w jakościach ostatecznych pod głosowanie jego mieszkańców. Jako Stwórca dałem im najwyższą wolność. Nie wybieram za nich, nie udzielam im żadnych zaleceń, instrukcji ani przykazań z krzaka lub innego miejsca, niczego im nie narzucam ani nie wzbraniam, jakoby wiedząc lepiej od nich samych, w czym ich szczęście, co ich wyniesie, a co pograży. Mogą błędzić, ale żaden błąd nie będzie ostateczny, bo naprawić go może przerzucenie ontycznego biegu. Nie jest więc mój świat dydaktyczny, autorytarny, szkolny, sądowy - kategorycznie założony z góry raz na zawsze bez wszelkich konsultacji i dyskusji. Nie jest to świat-poprawczak z karami i nagrodami, które bym ustanowił, zachowując sobie prawo łaski na wyjątkowe okazje. Nie jest to byt - popręg, który ja jeden niekiedy mógłbym poluzować cudowną interwencją osobistą. Ponieważ ten świat będzie się wciąż przekształcał i mienił bytami dopóty, dopóki pozostanie w nim choć jedna istota niekontenta z tego, co jest, musi on wędrować zwrotnicami w różne strony, musi pograżać się w różnych losach, aż dotrze do takiego, który wszystkich w nim zadowoli. Wtedy dopiero nikt nie tknie przetrutki i zapanuje wieczysta harmonia. Tak więc świat mój nie startuje w raj, żeby poślizgnąć się w stronę piekieł, ale na odwrót, w szarpaninie się rodzi, a do raju zmierza. Nie mieszmam się do spraw mego świata! To wszystko, panie.

- Aha - rzekł Hipolip, który aż pojaśniał cały, słuchając przemowy

Klapaucjusza. - O! A to mi! W samej rzeczy... Proszę! No, no... Zdaje mi się, mój panie świątoczyńco, żeś utrafił w dziesiątkę! Powiadasz, że urządziłeś wybory, co? Pięcioprzymiotnikowe głosowanie demokratyczno-ontyczne: równe, powszechne, wolne, tajne, a jeszcze odwracalne... Cóż, to mi doprawdy wygląda na egalitaryzm całkowity! I powiadasz, że nie możesz nic pojąć z ich tam motywów, postępków, co? Prawdę mówiąc, trochę szkoda...

- Otóż to! - podniósł Klapaucjusz palec oskarżającym gestem.

- „Trochę szkoda”, nieprawdaż? Szkoda, że nie można wynosić się, wtrącać, mądrzyć, żądać, łajać, pieścić, egzekwować, rogów ucierać, polewać siarką... a także prawić sobie dusery ustami stworzonych. Zapewne to i owo można pojąć nawet i z takiego świata, jak ten mój wskrzynny, lecz ta ewentualna wiedza do niczego nie zobowiązuje, pozostaje niejako prywatnym mniemaniem, *votum separatum* Stwórcy na marginesie Genezy...

- No cóż, pokaż nam więc ten świat, pokaż, miły Hospodynie! - westchnął król i usadowił się wygodniej, gdy Klapaucjusz, przy Trurlu milczącym nader pośepnie, puścił snop światła na alabastrową ścianę.

Znów ujrzeli Krętliną-zorzanią, jego duchowe parcia i zawody zakończone wydaniem na świat obojnaczego zespołu - Cewinna nic się nie zmieniła, mąż natomiast okazał się teraz Półtorakiem, jako że zostało dlań mniej niż poprzednio amaterii, i zaistniał jako odwłokowo przewężony Marlin Podponcki. A ponieważ byli to już widzieli, rzecz wydała im się dość nawet przystępna - miejscami jasna. Każdy był tam po trosze wszędzie, każdy udzielając się innym na wrywki, partycypował do woli w bratnich i siostrzanych duszach, wizytując wewnętrznie bliźnich, z umiarem idącym od napięcia powierzchniowego i dobrych manier. Może chcąc wskazać daremność (w porozumieniu) mowy artykułowanej, włączył Klapaucjusz nasłuch i ten świat dotąd niemy odezwał się wielogłosym gwarem. Zaraz dobiegły ich też odgłosy zężenia. To mąż, Marlin, wyboczał sobie jaśniejszą chwilą w Cewinnie, brodząc w jej kontemplacjach. Potem coś się między nimi popsuło, Podponcjusz uszedł w dal, zachmurzony od tyłu, a Krętlin jął napierać. Cewinna nie przepuszczała go prawie, jak zaimpregnowana.

- Daj mi na jeden choć zęż! Zeźnimy się! Wchmurzyny zrobimy! Sam się zachmurzaj! Proszę się we mnie nie mieszać! To moja kłakość! Osmotyczna moja, gęstnicza zorzanno! Wytrącimy Poncioka w kłajster! Pan się zapomina! - donosiło się niezrozumiale. - Co, wolisz półtoranta? Ja cię wmoję! Wtroję! Zemstrzę! - nie ze wszystkim było jasne, kto, o

czym, w jakim sensie woła. Wśród moreny z hałd kamienia filozoficznego tu i ówdzie wystawały dość schludnie zadane przebytownie. Cewinna ściągnęła się przed wzburzonym Krętlinem do najbliższej, gdzie warował zwrotniczy, nieprzenikniony, bo zasnuty bielmem, istny mleczak. Doszło między nimi do wymiany myśli.

- Daj mi wpływ, daj odpust choć na jeden zęz, bo się zjuchcę! - czyżby domagała się pomocy od mlecznika? - Szansuj mi zabyt... muszę! Na dręcarski wsącz! Odemnij się, bój się odbytu! Nie cuduj się, nie heleń się, no!

W tym pomieszczeniu Cewinna dyfundowała już przez zwrotniczego do lewarów, a zarazem Krętlin, wychodząc z siebie, okrążał jej zsiadłości, wsiał się w nią, impetem zagarniając po drodze mleczaka, i zaczął ją upchale zęzić:

- Światujmy się tutaj, tu!!!

A już Marlin rwał ku nim, puściła ligatura, mąż z wyosobnionym, przybocznym Podponckim wkroczyli w Krętliną od namysłnej, wydłeli go, powstało wbiegowisko, Cewinna wychynęła stamtąd rozburmuszona i zaczęła innieć. Co chwila się przeistaczała: ewi się, mariolizuje, złudmiła, czy to jakaś choroba, czy rodzaj mimikry? Ze strachu może, czy jak? Podług pewnej bliskiej względniczki naheleniła się, ale stała się raczej Helendą niż Heleną - może od zmieszania czy z pośpiechu... Tymczasem nad przebytownią Marlin i Podponcjusz wadzili się z Krętlinem, istną kipiela kisielową, rozprawiając we wzajemnych turbulencjach zwrotniczego, który daremnie starał się ześrodkować dżgany od podmyślniej.

- Pękaj, cudzołowcza dyfuzjo! - wszechnią jak jeden mąż.

- Sam pękaj! Wsiąkajcie w kitany dręt, a nie, to ja was wsiąknę! - kochanek na to, co prawda niedoszły, ale był już prawie dochodził.

- Rozpuścicielu! Ty, wszędo jedna! W ontykę won!

Krętlin w okamgnieniu wymyślił się znad przebytowni i już był przy Cewinnie, napełnił całą, choć w fazie Helendy. Kopnął się na to mąż w dwie strony naraz, jakby się chciał rozerwać, ku żonie i do zwrotnicy.

- Przebytuje, żeby Kręślacz wsiąkł! Czy Cewa niezmienniczy? Prędko mi szansuj, Bielczu!

Tamten, wyblakły, siapi:

- Glancowany drastyk! Albo zerowsko, albo transfinalnie. Odradzam kompromis. To żaden zęz!

- Uwyrażniaj! Kto się wzerzy? Scibant?

- Hy? Może twoja ćwiertnia, a może Poncka. A może obaj zbyjecie

się. Ja nie prorok, ja szanser!

- Szansa ci w zez! Ściewaj! Przebytuje!

Dopadł Marlin zwrotnicy, Podponcki z nim razem, ciągną... Łysło, zanicowiało, ale w oczymgnieniu znów są - tyle że nie wszyscy ani ci sami, bo już ontologia inna. Poncjusza ni śladu, Krętlin już nie Krętlin, ale Gręślicz i to podkarolony, jakby go takim zaindukowała brzeźnie Cewinna, sama niezmieniona - przynajmniej na pierwszy rzut oka. Przebytowanie wywołało powszechną panikę. Kto żyw, dawał nura w byle kogo, czy żeby się schować, czy od płodowego refleksu - nie wiedzieć. Każdy chciał być jakby w samym środku. Cewinna też chciała. Ruszyła w postronną niejaśnicę, ale trafiła na tak akurat odeszłą miejscem zainteresowań, że tu jej prawie nie było, toteż przejaśniła ją na wylot i chybla na morenę. Drżała jeszcze, a tu - co za stałość uczuć - Marlin pół na pół z Gręśliczem ku niej, zmieszała się, a oni z nią. Chciała precz, otrząsnąć się, ujść z tego skotłowania, bo już nikt własnych myśli nie poznawał i jak swoje ciągnęli, co popadło, i cudze w zamieszaniu psychicznym, Cewinna zwała powłóczyście, a tamci z trudem rozsypali się, pełni obcych uczuć, zmierzili się i do zwrotnicy. Tym razem Marlin dał inny byt. Z chaotycznej wrzawy można było wnosić, że nikt teraz niczego nie pojmuje. Dymiło jak od stu pożarów bez ognia. Zdaje się, że każdy, wszędziejąc aktualnie jak po dawnemu, ponadto wypuszczał z siebie będąziny, czyli niedokonane jeszcze intencje, projekty na przyszłość, tym obficie wysmużane, im rozpaczliwiej usiłował się skupić. A może była to tylko postać eksternalizacji myśli - czy wreszcie doszło (tak potem mniemał Trurl) do panpsychicznego wyciszenia i rzekome dymy były umysłowymi bebechami wywróconymi na lewą stronę.

Patrzą, a tu Gręślicz pryska na wsze strony zamiast moreny światopoglądowej - jakieś tumby po sam horyzont wnioskuje z cicha pęk myślinność, świat w wersji jakby silnie uduchowionej, lecz i uoficjalnionej, bo wszędzie pełno ojczyźniaków i faszyn.

Mąż już nie mąż, lecz bącz, gdyż bączkuje ku Cewinnie z dość silną precesją. Siły Coriolisa, Maupertuisa, centryfugalne czy zawroty głowy - nie wiadomo. Na domiar wszystkiego znikły tu rodzaje. Nie wiedzieć tedy, co począć, bo znikł sens konfliktu. Seks to już przeszłość zapomniana, nie seks, lecz eks. Bącz nie zauważył tego na skutek bezwładności, właściwej silnym afektom, chciał się rzucić w głąb Niekarola Gręślickiego, hicząc „Ja cię zakłakoce, ja ci pokażę etruski byt!” - ale zamoczyło go, gdy zobaczył, że to już nie kochanek, lecz kochanko: zniyaczyła Gręślicza ta ontologia! Tu wszedł im w paradę mleczak, gdyż

wytchnął bączka, a sam huź do bytowni i daje całą w tył, żeby przywrócić jakąś poprzedniość, lecz albo trafił w zły zęz, albo omsknął mu się chwyt na ontojeści. Stękły wszystkie koordynaty, kontinuum okropnie jękło, jakby macierz ronila, posypał się grad kamieni filozoficznych i łysnął nowy świat - ale jaki!!

Z męża-bączka - rozjazda, wyraźnie żeńska, jakby trochę tego rodzaju żeńskiego zostało jeszcze na samym dnie, zwrotniczy w opałach, marny jego los, bo się puścił powojem w wyścielnik bytowni, i zakwitł na ontojeści kwiatem tęczowym - niby w noc świętojańską! - a gdzież Cewinna? Jakieś przesadnie wyłupiaste rozbałuszenia, balonety-montgolfiery, ondulowana wielobaniastość ze wstążeczkami, wpapilocona w tło niebios, byłaby to ona?... Rozjazda z bączka wścibia się w sąsiednik, gdzie pielgrzyb z niedodmą rajcuje na jednej nodze, a ze stu stron naraz drzące z wysiłku prawiczki sięgają po ontojeść.

Król od dobrej chwili wołał już, żeby zatrzymać, żeby natychmiast przestać. Klapaucjusz usłuchał go niechętnie, wyłączył aparaturę, mrużąc, że można było przeczekać jeszcze parę przebytowań, że to się w końcu musi wydestylować, wyklarować, oni tak z niedoświadczenia, od nienawyku, wskutek pochopności, lecz nikt go nie słuchał. Król wetknął berło do kieszeni, rękawem czyścił jabłko, a Trurl, opuściwszy się na czworaki, obchodził z trzech stron skrzynię światową, mrużąc to jedno, to drugie oko, zaglądał do środka przez szpary, pukał w denko, potem wstał zdecydowanym ruchem i rzekł, otrzepując kolana:

- No tak. Wydostawszy się z klasycznej antynomii, szanowny kolega wlaź w nieklasyczną. Pięcioprzymiotnikowe wybory ontologii, co? Śmieszne rzeczy! Oni w tej skrzyni niczego sobie nie wybierają, a tylko rzucają się na oślep jak ryby na patelni, biedacy Wynalazek niewątpliwie jest: padaczka wielobytowa, *grand mai*, czyli ontolepsja *progressiva*, nowy rodzaj mąk egzystencjalnych, no bo cóż oni tam robią? Od cholery uciekają do dżumy, od dżumy w trąd, czy można atoli powiedzieć, że kto od jednej zarazy umyka w drugą, stopniowo zbliża się do ideału?

Tu zaczął Klapaucjusz krzyczeć, a nawet zapomniawszy o monarszej obecności, tupać na Trurla, który usiadł na jego świecie i bimbając nogami, uśmiechał się prowokacyjnie. Doszłoby może do karczemnych scen, gdyby się Hipolip nie wmieszał, przypominając, że to bądź co bądź stwarzanie świata. Ochłonawszy nieco, zaczął Klapaucjusz szybko i uczenie tłumaczyć, czemu zbiór alternatyw bytowych musi być dla stworzonych nieprzejrzysty: byty nie byty, żeby je przemierzać z preselekcją. Ryzyko tkwi w każdym przejściu, lecz to nieuchronne - jako

koszty własne postępu. W jego, Klapaucjusza, wariacie koszty te są mniejsze niż w klasycznym - gotował się dowieść tego rachunkami. Preselekcją to fikcja, bo kto wykracza z jednej ontyki w inną, ten nie tylko otoczenie zmienia, lecz i samego siebie - a skutków metamorfozy nie da się przewidzieć! Ryzyka nie unikać, próby wymagają czasu - cóż to jest, tych paręnaście minut obserwacji, wobec niezbędnych eonów? Idealny stan może nastąpić za godzinę lub za dwieście lat - to prawda, lecz innej drogi nie ma.

I prawil tak, używając coraz dłuższych terminów, powołując się na topologię ducha i na geometrię wjaźnień oraz rozjaźnień, wykładając elementy ontografii endoskopicznej, klimatyzacji życia emocjonalnego, a w szczególności jego zalodzeń, wyżów, opadów oraz upadków duchowych, i gadał tak, aż mu w gardle zaskrzypiało, a króla rozbolała głowa. Trurl wstał wtedy ze świata, na którym siedział, i wyjąwszy zza pazuchy niewielki karteluszek, rzekł:

- I ja nie próżnowałem przez te dni ostatnie, panie. Czy moge przedłożyć ci wynik mej pracy?

- Czekażże - powiedział król. - Jeden z moich doradców to mi wczoraj wyjawil: gdyby świat wyszedł nam lepiej aniżeli Panu Bogu, znaczyłoby to, iż On właśnie jest górą, bożby się okazało, że udzielił nam, swym stworzeniom, nieograniczonej plenipotencji kreacyjnej. Gdyby się natomiast NIE UDAŁO, znaczyłoby to, że nam tej plenipotencji nie dał, bo nie chciał. Ergo: jeśli wygramy, to wtedy właśnie przegramy, a gdy przegramy, to właśnie wtedy wygramy! Wygrać możemy bowiem tylko na boże, nie na własne konto. Natomiast przegrywając, objawimy niemoc, którą On nam przydał, i tę niemoc w Niego zwrócimy zaraz oskarżająco, żeśmy ofiary dyskryminacji w światoczyństwie! Cóż powiecie mi na to?

- Et tam, sofizmat - pchał Trurl swój papier pod nos królowi, przy czym zapomniał się do tego stopnia, że chcąc czym prędzej Klapaucjusza do reszty pogrążyć w oczach monarchy, ciągnął go za obszyty gronostajem rękaw. - Tutaj patrz WKMość! To przeprowadzony przeze mnie, sformalizowany, więc ostateczny dowód NIEMOŻLIWOŚCI stworzenia świata!

- Hę?? - zdumiał się monarcha. - Dobrzeż słyszę? Udowodniłeś, że nie można??...

- Tak, panie. Bez wszelkich naciągów. Szkoda trudu! Oto mój dowód na to!!

Król wytrzeszczył oczy.

- Jakże... przecież - a to... to wszystko...? - rozwiódł rękami. - Wszak

świat istnieje...

- Eee - wzruszył ramionami Trurl. - Taki to i świat... mnie szło o doskonały...



GALERIA RYSUNKÓW DANIELA MROZA

